

360°

człowiek
na krawędzi



W POGOŃ ZA CIENIEM

„Nikt nie powinien spoczywać
nieznany na dnie oceanu”

RICHIE KOHLER

#1 BESTSELLER

ROBERT KURSON

O tych, co poświęcili wszystko, by wyjaśnić
jedną z ostatnich zagadek drugiej wojny światowej

MAPY, PRZEKROJE,
ZDJĘCIA

360°

człowiek
na krawędzi



W POGOŃ ZA CIENIEM

„Nikt nie powinien spoczywać
nieznany na dnie oceanu”
RICHIE KOHLER

#1 BESTSELLER

ROBERT KURSON

O tych, co poświęcili wszystko, by wyjaśnić
jedną z ostatnich zagadek drugiej wojny światowej

MAPY, PRZEMOJE,
ZDJEŚCIA

Czyta się jak najlepszy thriller. Trzyma w napięciu do ostatnich stron, funduje wzruszenia, dramaty i zwroty akcji niczym seans najlepszego kina. Jest przy tym książką pod wieloma względami mądrą – autor poszukuje prawdy i z wielkim taktem opisuje historie bardzo trudne. To doskonały reportaż o ludziach ogarniętych wielką pasją – nurkowania i wyjaśniania podwodnych tajemnic.

MARCIN JAMKOWSKI

**autor książki „Duchy z głębin Bałtyku.
Steuben, Gustloff, Goya”**

Lodowate wody Atlantyku, poszukiwacze skarbów, tajemniczy okręt, nierozwikłana zagadka, wartka akcja i sprawna narracja. To wszystko składa się na doskonałą powieść. Ale to nie powieść, lecz opowieść o początkach nurkowania technicznego, o pasji, która przeradza się w obsesję, o cenie, jaką trzeba za to zapłacić. W końcu o dwóch poszukiwaczach przygód, których los poprowadził drogą zupełnie niespodziewaną, nawet dla nich samych. Wyborna lektura dla każdego.

MALGORZATA POPIENIA

Wielki Błękit

Jest w odkrywaniu historii ukazanej w „W pogoni za cieniem” coś mistycznego... Z jednej strony bowiem zadowoleni będą fani nurkowania, miłośnicy literatury eksploatacyjnej i wątków historycznych. Z drugiej zaś to wciągające przedstawienie zmagania człowieka z ogromem natury, jej skrywającym liczne tajemnice obliczem. Napisana przyjaznym i angażującym językiem książka pozostanie na długo w pamięci czytelnika. Polecam!

DAWID ZARAZIŃSKI

Dziennik Turystyczny

ROBERT KURSON
W POGONI ZA CIENIEM
W PRZEKŁADZIE
JAKUBA URBAŃSKIEGO

Mayfly
WARSZAWA 2014

Tytuł oryginału:

SHADOW DIVERS

Copyright © 2014 by Robert Kurson and U-869 Partnership

This translation published by arrangement with Random House, an imprint of The Random House Publishing Group, a division of Random House, Inc.

Ilustracja na okładce:

WOJTEK WILK NA PODSTAWIE „VOM ORIGINALL ZUM MODELL: UBOOTTYP IX C”

FRITZA KOHLA I AXELA NIESTLÉGO

Grafika:

WOJTEK WILK

Skład wydania:

JOANNA MERKLEJN

Redakcja:

MACIEJ CEGIELLA

OŁO SAWA

Korekta:

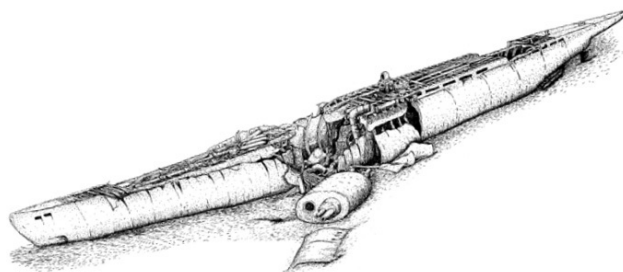
HANNA KUS

ISBN 978-83-62827-21-3

Wydawca:

Mayfly sp. z o.o.

02-093 Warszawa, ul. Pasteura 4/6/54



Oto historia dwóch Amerykanów, którzy postanowili zaryzykować wszystko, by wyjaśnić jedną z ostatnich tajemnic drugiej wojny światowej.

P_RZEDMOWY

R_ICHIE K_OHLER

P_AWEŁ P_ORĘBA

T_OMASZ S_TACHURA

Zdumiewa mnie, gdy wracam myślami do wydarzeń opisanych w tej książce i dostrzegam, jak ogromny wpływ miały na moje życie na przestrzeni ostatnich dwudziestu trzech lat. To niesamowite, gdy weźmiecie pod uwagę, że książka ta nie opowiada historii, którą – jak sądziłem – napisze Robert Kurson. Dla mnie i dla Johna Chattertona była to opowieść o zaginionej łodzi podwodnej – tajemniczym wraku, którego istnienia nie był w stanie wyjaśnić żaden rząd, historyk ani ekspert. Była to historia o niebezpiecznym świecie głębokiego nurkowania i eksploracji wraków. Jednak dla Roberta Kursona historia ta w równym co najmniej stopniu opowiadała o Johnie i o mnie: kim byliśmy jako ludzie, jakie łączyły nas relacje i co skłaniało nas i nam podobnych do podejmowania tak wysokiego ryzyka. Przy okazji opowieści o nurkach wrakowych przesuwających granice ludzkich możliwości i nazistowskich łodziach podwodnych, Robert rzucił oślepiające światło na nasze życie osobiste. Prawdę mówiąc, czuję się znacznie bardziej komfortowo jako nurek eksplorujący niebezpieczne wraki niż jako przedmiot dogłębnej psychoanalizy.

Dla mnie i dla Johna bycie nurkiem było nie tyle hobby, ile stylem życia. Większość naszych przyjaciół nurkowała i wszyscy spędzaliśmy lwią część wolnego czasu na rozmowach o nurkowaniu, planowaniu zejść i przygotowywaniu kolejnych wypraw. Z perspektywy naszych żon spędzaliśmy pod wodą zbyt wiele letnich weekendów, wydając na to zdecydowanie za dużo pieniędzy. Książki, tabele nurkowe i schematy budowy łodzi zalegały na półkach i stołach, konkurując z naszymi rodzinami o miejsce i uwagę. W każdym z naszych domów można było znaleźć kolekcję bulai i innych przedmiotów wydobytych z zatopionych statków. Zabawne, że chociaż byliśmy z Johnem do siebie podobni, u zarania tej historii nie łączyła nas przyjaźń, a wręcz przeciwnie. Musiał się pojawić niezbadany, tajemniczy wrak, byśmy dostrzegli wspólnotę naszych losów i dostrzegli ścieżkę wiodącą ku czemuś, co miało się okazać przyjaźnią na całe życie. Była to wyboista droga, która nie tylko nadała naszemu życiu zupełnie nowy kierunek, ale też pozwoliła mi zredefiniować samego siebie jako człowieka.

Była to epoka poprzedzająca narodziny „nurkowania technicznego”. Nie dysponowaliśmy rebreatherami, specjalnymi mieszankami gazów czy komputerami nurkowymi. Mając do dyspozycji jedynie sprzęt z lat 60., przesunęliśmy granice wyznaczone przez tabele dekompresyjne amerykańskiej marynarki wojennej, by nurkować na wrakach takich jak Andrea Doria leżąca na głębokości 75 metrów. Zmagając się z przejmującym zimnem i otepiającą umysł narkozą azotową, zdobyliśmy uznanie w branży, wczółgując się do wraków, by wydobyć pożądane artefakty, nurkując na granicy możliwości sprzętu i przekraczając przyjmowane wówczas granice nurkowania na

powietrzu. Był to niebezpieczny sport, za którego uprawianie zbyt aroganccy lub źle przygotowani nurkowie płacili najwyższą cenę. Ten rodzaj nurkowania nie znosił głupców, lecz tolerował niewielką grupę nurków opierającą się na wewnętrznych normach selekcji i samokształceniu (w przypadku tego rodzaju nurkowania nie istniały formalne kursy przygotowawcze), która wyprawiała się w morze coraz dalej i głębiej, niestrudzenie poszukując i nieustannie pielęgnując nadzieję na odnalezienie nieuchwytnego świętego Graala nurków wrakowych: „dziewiczego” wraku. Kiedy rozniosło się, że dziewiczy wrak – U-Boot – został odnaleziony w odległości stu kilometrów od wybrzeża, choć nigdy nie zgłoszono zaginięcia tego rodzaju łodzi podwodnej w tym regionie, wiedziałem, że muszę ruszyć na kolejną wyprawę, by tam zanurkować.

Kiedy John po raz pierwszy zidentyfikował wrak jako niemiecki U-Boot z okresu drugiej wojny światowej, chciałem po prostu zdobyć kawałek historii tej wojny, pokryty plamami rdzy element stołowej zastawy ozdobiony swastyką, który mógłbym postawić na kominku, uzupełniając w ten sposób zbieraną przez całe życie kolekcję pamiątek z innych wraków. Tak bardzo go pragnąłem, że miałem wrażenie, jakbym już go trzymał w rękach. Im więcej jednak czytałem o U-Bootach i bitwie o Atlantyk, im częściej przyglądałem się czarno-białym zdjęciom tych marynarzy, poznając ich nieludzkie życie i makabryczną śmierć, tym bardziej uświadamiałem sobie głęboką przemianę zachodzącą w moim życiu. Nie wydarzyło się to od razu, zauważcie, lecz stopniowo, gdy ostrożnie przeszukiwałem wrak wśród kości wystających spod osadu zalegającego tę zimną, żelazną trumnę. Zacząłem odczuwać pokrewieństwo, pewien rodzaj odpowiedzialności za tych poległych młodych ludzi. Był może częściowo winne było moje niemieckie pochodzenie, ale istotniejsze wydaje się to, że sądziłem, że nikogo nie obchodzi ani ci młodzi ludzie, ani to, co się z nimi stało. W 1944 roku byli wrogami mojego kraju i gdybym został powołany do służby, walczyłbym z nimi na śmierć i życie, by ochronić swój dom i swój kraj, ale w 1991 roku, kiedy ich odnaleźliśmy, byli już tylko zaginionymi nieszczęśnikami spoczywającymi w nieoznaczonym grobowcu, o którym nie wiedział nikt z wyjątkiem nas. Nikt nie powinien spoczywać na wieczność nieznany z imienia i nazwiska na dnie oceanu.

Podczas każdego przeprowadzonego w tym wraku nurkowania mierzyłem się z grozą ich doczesnych szczątków spoczywających w wypełnionym osadem grobie. Zanurzony w głębokiej wodzie, wciśnięty w trzewia rozbitego statku, konfrontowałem się z własną moralnością i śmiertelnością. Wizja wydobywania trofeum straciła na znaczeniu, a wkrótce całkowicie zbladła w obliczu misji pozbierania odłamków zapomnianej historii tej łodzi podwodnej i opowiedzenia światu prawdy o tym, co znaleźliśmy. Kimkolwiek byli ci ludzie, pięćdziesiąt lat temu powiedziano ich rodzinom, że zginęli podczas wojny, a ich U-Boot zatonął.

Nie znali jednak prawdy. Nie wiedzieli, gdzie są ich bliscy i co się z nimi stało. Ci ludzie byli czyimiś synami, braćmi, mężami i ojcami. Miałem poczucie, że muszę doprowadzić do ponownego nawiązania zerwanej więzi, dopowiedzieć ostatni rozdział ich życia. Chciałem opowiedzieć rodzinom poległych, że nurkowie, którzy odnaleźli ich bliskich, potraktowali ich szczątki i miejsce ich spoczynku z szacunkiem.

Oto historia, którą powinien napisać Rob Kurson. Oto historia, którą chcieliśmy przekazać rodzinom zaginionych żołnierzy i światu.

Oto historia, która zmieniła bieg mojego życia.

RICHIE KOHLER

Richie Kohler (ur. 1962) – amerykański nurek wrakowy, szklarz, jeden z odkrywców U-869, organizator wypraw eksploracyjnych na wraki SS *Andrea Doria* i RMS *Titanic*.

* * *

W lutym 1945 roku w pobliżu Nowego Jorku dwa niszczyciele, USS *Howard D. Crow* i USS *Koiner*, zrzuciły bomby głębinowe na kontakt sonarowy. Nikt wtedy nie wiedział, że udało im się zatopić niemiecki okręt podwodny. Leżący na 73 metrach głębokości wrak tego okrętu stał się jedną z najsłynniejszych zagadek nurkowego świata, wyzwaniem dla amatorów pragnących odkryć jego historię. Któż by mógł przypuszczać, że mimo iż w czasie wojny nie udało mu się odegrać roli, do jakiej został wyznaczony, pół wieku później przyniósł śmierć penetrującym go amerykańskim płetwonurkom.

„W pogoni za cieniem” to wciągająca opowieść o ludziach pasjonujących się odkrywaniem historii wraków. Zarówno tych, którzy nurkując na wraku, szukali wskazówek pozwalających je zidentyfikować, jak i tych, którzy szperali w archiwach, jeździli do żyjących jeszcze niemieckich marynarzy *Kriegsmarine* i pasjonatów historii. Autor wspomina również o budzących liczne kontrowersje amatorach-archeologach, których ambicją jest posiadanie w domu kolekcji wyciągniętych z wraków pamiątek, oraz opisuje współzawodnictwo pomiędzy ludźmi i zespołami, kłótnie i wojny, a także wymyślne psikusy, jakie sobie nawzajem robili.

Robert Kurson opisuje nie tak dawne czasy, kiedy tworzyło się to, co współcześnie nazywamy nurkowaniem technicznym. Píše o ludziach, których często tragiczny los przekuty został na obowiązujące dziś zasady bezpiecznego nurkowania. Historie te są dla nas tak ciekawe, ponieważ owe nurkowania odbywały się na podobnych głębokościach i w podobnych warunkach, w jakich nurkujemy w Bałtyku. Wśród wielu wspaniałych wraków mamy i zatopionego blisko Helu U-Boot. Wrak tego okrętu znajduje się niemal na tej samej

głębokości co U-869, który stał się kanwą opowieści.

P^{AWEL} P^{ORĘBA}

Paweł Poręba (ur. 1970) – instruktor nurkowania trymiksowego i jaskiniowego, autor książki „Nurkowanie techniczne”.

* * *

Odgłos własnego oddechu i niesamowita koncentracja, te dwie rzeczy towarzyszą nurkowi przed wejściem do wraku. Są z nami zawsze przy oglądaniu czegoś, czego inni nie mogą sami przeżyć, wprowadzając w niesamowity stan – swoistego przeniesienia się w czasie. Dla niektórych nurkowanie wrakowe jest tak wciągające, że narażają własne życie i szczęście najbliższych. Potrafią szkolić się latami, gromadzić sprzęt, dane o nowych i starych wrakach, a na nurkowanie wydawać fortunę. A wszystko po to, by przez chwilę przeżyć emocje nieporównywalne z niczym innym.

Brzmi to jak szaleństwo i tak pewnie jest.

Choć w dzisiejszych czasach wiemy o nurkowaniu wrakowym dużo więcej niż kiedyś, stosujemy lepszy i bezpieczniejszy sprzęt, a także wypracowane przez lata procedury, to nadal jest to zajęcie dla naprawdę niezwykłych zapaleńców.

Czytając tę książkę, zdałem sobie sprawę z czegoś bardzo ważnego. Zrozumiałem, co naprawdę znaczy słowo „prekursor” i jak silną trzeba mieć motywację i psychikę, aby „odkryć nieznane”, i mimo wielu przeciwności dopiąć swego. Obecnie w wysokie góry oraz na dno morza schodzi wielu ludzi. Czasami traktują to jako dodatkową atrakcję podczas wakacji. Jednak to nie oni, tylko ten, który pierwszy wejdzie tam, gdzie wcześniej nikogo nie było, jest prawdziwym eksploratorem, reszta po prostu podąża jego śladami.

To, co zrobili John i Richie na początku lat 90. ubiegłego wieku, mając do dyspozycji prymitywny sprzęt, graniczy z prawdziwym szaleństwem. Jak wiemy dzisiaj, opłacili to problemami osobistymi i śmiercią kolegów.

Czy było warto? Przekonaj się sam.

Moja babcia zwykła mawiać: „Jeden pije lampkę szampana od czasu do czasu, a inny codziennie letnią herbatę”.

T^{OMASZ} S^{TACHURA}

Tomasz Stachura (ur. 1965) – nurek wrakowy, fotograf, założyciel firmy SANTI Diving oraz współzałożyciel Konferencji Nurkowej Baltictech.

SPIS TREŚCI

Przedmowa

Od autora

1. Księga liczb

2. Wizura zero

3. Kształt mocy

4. John Chatterton

5. Wariacka głębokość

6. Richie Kohler

7. Nóż Horenburga

8. Tam nic nie ma

9. Ciężki łup

10. Zakłamana historia

11. Przegapiony znak

12. Żaden z nas już nie wróci

13. Ten okręt to nasze przeznaczenie

14. Kreisläufer – zabłąkana torpeda

15. Brawurowy plan

Epilog

Lista załogi U-869

Informacja o źródłach

Podziękowania

O autorze

Plan sytuacyjny nurkowań wraku na U-869

*Dla Amy,
odpowiedzi na moje życiowe poszukiwania
Dla Nate'a,
już poszukiwacza*

OD AUTORA

Kilka lat temu jeden z przyjaciół opowiedział mi niesamowitą historię. Dwóch pletwonurków amatorów odkryło wrak niemieckiego U-Bootu spoczywający u wybrzeży New Jersey. Na pokładzie znajdowały się szczątki 56-osobowej załogi. Ani rząd, ani historycy, ani też specjaliści od badań podwodnych nie mieli pojęcia, co to był za okręt, kim była jego załoga i jak wrak znalazł się w pobliżu New Jersey.

Początkowo nie bardzo chciało mi się wierzyć w całą tę historię. Wszystko brzmiało zbyt niesamowicie, by mogło być prawdziwe. W związku z tą opowieścią odżyły jednak wspomnienia z dzieciństwa. Wieki temu, jeszcze w szkole podstawowej, jeździliśmy z klasą na wycieczki do Muzeum Nauki i Przemysłu w Chicago. Zawsze odwiedzaliśmy dwie główne ekspozycje: działającą kopalnię węgla i *U-505*¹, niemiecki okręt podwodny, przechwycony w 1944 roku. Większość dzieciaków wołała kopalnię z prawdziwymi ruchomymi wagonikami i wybuchami. Mnie zdecydowanie bardziej pociągał okręt podwodny. Przypominająca gigantycznego węgorza maszyna bojowa, z niesamowitym wnętrzem pełnym rur, drutów i zaworów, wyglądała zdecydowanie groźniej niż bombowiec czy czołg Sherman. Patrząc na nią spoczywającą w tym miejscu, zaledwie kilka metrów od brzegów jeziora Michigan, wyobrażałem sobie niewidzialnego myśliwego, przemierzającego przybrzeżne wody, w których pływam. Ten okręt mógł przecież podplłynąć zaledwie kilometr czy dwa od mojego domu.

Zadzwoiłem do Johna Chattertona i Richiego Kohlera, owych dwóch pletwonurków z New Jersey. Spytałem, czy mogę przylecieć, by wysłuchać ich opowieści. Spotkaliśmy się u Chattertona. Przed domem zaparkowany był jego wiekowy motocykl Royal Enfield, obok stał nieco nowszy model Harleja, na którym przyjechał Kohler. John Chatterton był zawodowym pletwonurkiem, pracował przy podwodnych robotach budowlanych w pobliżu Manhattanu. Richie Kohler był właścicielem zakładu szklarskiego. W weekendy obaj nurkowali w poszukiwaniu wraków. Wydawali się zupełnie zwykłymi facetami.

Obiecałem, że nie zabiorę im zbyt dużo czasu. Czternaście godzin później ciągle słuchałem ich historii. Opowiedzieli mi nie tylko o samym odkryciu U-Bootu, lecz również o tajemnicy, przygodzie, rywalizacji na morzu, zaciekłych waśniach i przynależności do pogrążonej w obsesji grupy niezwykle odważnych ludzi. Zrelacjonowali mi także swoją odyseję intelektualną, która uczyniła z nich wytrawnych badaczy. To, jak przekopywali się przez dokumenty źródłowe, uczyli niemieckiego, szukali śladów za granicą, budowali teorie, spierali się z zawodowymi historykami, by w końcu zupełnie od nowa zapisać karty historii i dać świadectwo wydarzeniom, które wcześniej poczytywane były za plotkę.

– Brzmi jak powieść sensacyjna? – zapytał z twardym brooklyńskim

akcentem Kohler, siadając na swojego harleya. Kiedy w nocy jechałem na lotnisko, trudno było mi uwierzyć we własne szczęście. Spotkałem dwóch całkiem zwyczajnych ludzi, którzy zmierzyli się z wyjątkowo niebezpiecznym światem i rozwiązali zagadkę historii, z którą nie mogły poradzić sobie kolejne rządy. Ich opowieść stwarzała fascynujące możliwości. Wystarczyło to tylko pozbierać. Taka okazja do napisania książki zdarza się tylko raz w życiu. Nie mogłem jej zaprzepaścić. Tak jak oni nie mogli zaprzepaścić okazji do odkrycia tajemnicy U-Bootu. W pewnym sensie miałem coś wspólnego z Chattertonem i Kohlerem.

Oto ich historia. Prawdziwa i dokładna. Nic nie jest zmyślane i nic nie jest moją interpretacją, nie dałem tu upustu wyobraźni. Napisałem tę książkę na podstawie setek godzin rozmów z Kohlerem i Chattertonem, niezliczonych wywiadów z płetwonurkami, historykami, specjalistami i wreszcie naoczными świadkami opisanych tutaj wydarzeń lub ich krewnymi i znajomymi. Dialogi, nawet te z czasów drugiej wojny światowej, zaczerpnąłem bezpośrednio z wywiadów z ludźmi, którzy tam byli. Starałem się wszystko potwierdzić w tylu źródłach, w ilu było to tylko możliwe.

Kiedy zgłębiałem zagadnienie niebezpieczeństw związanych z nurkowaniem na leżących w głębinach wrakach, uderzyły mnie uwagi nurków na temat głębokości. Według nich, tajemniczy U-Boot spoczywa w tak głębokich i ciemnych wodach, że nurkuje się w zupełnym niemal mroku. Mrok spowija całą opowieść, zmarłych członków załogi, drugą wojnę światową, pozornie wiarygodne źródła historyczne i to, z czym musieli zmierzyć się sami nurkowie. Przez sześć lat Kohler i Chatterton nurkowali w mroku. Sześć lat trwała ich niesamowita podróż. Napisałem tę książkę, abyście mogli im w niej towarzyszyć.

¹ Niemiecka łódź podwodna typu IXC przechwycona przez flotę amerykańską 4 czerwca 1944 roku po udanym ataku rakietowymi bombami głębinowymi (Hedgehog). Po rozbrojeniu ładunków wybuchowych zostawionych przez dowódcę U-Bootu, Haraldą Langeego, łódź została odholowana do bazy alianckiej na Bermudach. Łupem Amerykanów padły kody do maszyny szyfrującej Enigma, a także dwie nienaruszone torpedy G7 z mechanizmem naprowadzania akustycznego (przyp. red.).

★ First Class Pool, one of three aboard the *Andrea Doria*.



Beauty sails the Sunny Southern Route

IN the sweeping modern décor of the handsome *Conte Biancamano* . . . in the rich appointments and Old World artistry of the graceful *Saturnia* and *Vulcania*, beauty sails this nature-favored route to Europe. The lovely *Andrea Doria* is so lavishly decorated that she's been called "a floating guide to art."

Whichever ship you choose, the flawless service of Italian Line is yours, the superb cuisine of Continental chefs . . . and you'll dance, play, eat, swim, live in beauty on the *Sunny Southern Route* to all Europe.

NEW!
CRISTOFORO COLOMBO
Sister Ship of the *Andrea Doria*
COMING SOON!



Italian Line

"ITALIA" Società di Navigazione—Genova

See your Travel Agent or **AMERICAN EXPORT LINES** (General Agents)
39 Broadway, New York 6, N. Y.

ANDREA DORIA EXPRESS SERVICE ON THE SUNNY SOUTHERN ROUTE • 6 DAYS TO GIBRALTAR • 8 DAYS TO NAPLES • 9 DAYS TO CANNES AND GENOA
SATURNIA • VULCANIA • CONTE BIANCAMANO TO AZORES • PORTUGAL • NORTH AFRICA • GIBRALTAR • SPAIN • MAJORCA • FRANCE • ITALY • SICILY

ROZDZIAŁ 1

KSIĘGA LICZB

Wspaniałość życia otacza każdego człowieka i to zawsze całą pełnią swej gotowości, ale przysłonięta, skryta w głębi, niewidzialna, bardzo odległa. Lecz tkwi tam wcale nie wroga, nie oporna, nie głucha. Gdy się ją wezwie właściwym słowem, po imieniu, przyjdzie.
Franz Kafka, Dzienniki 1910-1923 w przekładzie Jana Wertera

Brielle w stanie New Jersey, wrzesień 1991.

Ccałe życie Billa Nagle'a zmieniło się w dniu, kiedy w jednym z zapuszczonych portowych barów wysłuchał opowieści pewnego rybaka o tajemnicy odkrytej przez niego na dnie Atlantyku. Zupełnie nieoczekiwanie rybak obiecał powiedzieć Billowi, jak tam dotrzeć. Umówili się na spotkanie następnego dnia na rozwalającym się drewnianym pomoście, przy którym cumował *Seeker*¹. Kapitan Bill Nagle zbudował tę łódź, by czekać na okazję.

Jak dotąd więcej ludzi wylądowało na Księżycu, niż nurkowało na głębokich wrakach. Nadeszła umówiona godzina, ale rybaka jeszcze nie było. Bill chodził w tę i z powrotem, uważnie omijając dziury w przegniłych deskach pomostu. Większą część życia spędził na oceanie i znakomicie wyczuwał moment, w którym coś się miało zmienić. Z reguły czuł coś takiego, kiedy nadchodziła burza lub gdy miała rozbić się łódź. Wiedział, że dzisiaj coś się wydarzy, gdy rybak wręczy mu świstek papieru, zabazgrany liczbami prowadzącymi do zatopionej tajemnicy. Patrzył w dal, próbując dostrzec rybaka, nikogo jednak nie zauważył. Od morza, w kierunku małego rybackiego miasteczka Brielle, powiała słona bryza. Rozbijały się zacumowane przy nabrzeżu łodzie, a w oczy Nagle'a poleciały słone bryzgi. Kiedy opadła mgiełka, znów popatrzył na brzeg. Tym razem dostrzegł nadchodzącego rybaka, który ścisnął w dłoniach małą kwadratową karteczkę. Mężczyzna wyglądał na zaniepokojonego. Tak jak Bill spędził całe lata na oceanie i doskonale czuł nadchodzące zmiany.

W powiewach nadchodzącej jesieni Brielle traci cały blichtr i obnaża swoje prawdziwe oblicze małego portowego miasteczka na środkowym wybrzeżu New Jersey, zamieszkanego przez kapitanów łodzi i rybaków, gdzie do późna w nocy otwarte są sklepiki w sąsiedztwie, a dzieciaki reperują siatki na małże. W takich miejscach pełno jest nieudaczników. Po ulicach chodzą przebrzmiałe sławy i przegrani – trzyma ich przy życiu tylko wiara w morze. Kiedy Brielle opuszczają letnicy, ujawnia się jego prowincjonalny charakter. Widać wtedy prawdziwe życie jego mieszkańców egzystujących dzięki temu, co przyniesie morze, i próbujących utrzymać się na powierzchni.

Seeker góruje nad innymi łodziami uwiązanymi w przystani. Uwagę przyciąga nie tylko niemal 22-metrowej długości pokład. Połatany drewniany kadłub i wyszczerbione śruby świadczą o tym, że łódź naprawdę dużo przeszła i była w

wielu miejscach. Bill Nagle wymyślił ją i zbudował tylko w jednym celu: by pływać z płetwonurkami do najbardziej niebezpiecznych wraków na Atlantyku.

Miał wtedy czterdzistkę. Szczupły, spalony słońcem były Sprzedawca Roku Składanych Narzędzi. Widząc go w tym miejscu, czekającego na rybaka, ubranego w poszarpaną koszulkę i sandały z second-handu, z nieodłączną butelką najlepszego przyjaciela, Jima Beama, w rękę, nikt nie ośmieliłby się przypuszczać, że był kiedyś prawdziwym artystą i miał swoje wielkie dni.

W wieku dwudziestu paru lat Bill stał się legendą wśród osób nurkujących na wrakach. Był cudownym dzieckiem imającym się sportu, który zwykle zabija swoich adeptów. W tych czasach nurkowanie na głębokich wrakach było domeną łowców przygód. Niezliczone wraki, nawet te sławne, leżały niezbadane na dnie Atlantyku. Polowanie na nie, na ich pogiecie żelastwo i zatrzymaną w miejscu historię, było niczym film pobudzający wyobraźnię Nagle'a.

Nurkujący na wrakach na północnym wschodzie nigdy nie myśleli o skarbach. Wyładowane po brzegi złotymi dublonami i srebrnymi piastrami hiszpańskie galeony nie zapuszczały się w te rejony. Nawet jeśli się zapuszczały, Bill nic by sobie z tego nie robił. Wyrósł w sąsiedztwie szlaków wodnych wiodących do New Jersey i Nowego Jorku, wód pełnych frachtowców, liniowców oceanicznych, statków pasażerskich i okrętów wojennych, od których zależały interesy i bezpieczeństwo Ameryki. W tych wrakach niekiedy trafiały się rzadkie okazy porcelany lub biżuterii, ale on i jemu podobni szukali tam czegoś innego. Oglądali zniekształcone dzioby zniszczonych statków, widzieli zatrzymane na zawsze ostatnie sceny z życia członków załogi, cały dramatyzm rozpaczliwych prób ratowania sytuacji. Widzieli wszystko własnymi oczami, tak jak wyglądało to naprawdę, a nie jak kazali im postrzegać historycy i badacze.

Robili to, by odkrywać. Wielu spośród spoczywających w głębinach wraków nigdy nie widziały oczy ludzkie, jako ostatni patrzyli na nie ludzie idący razem z nimi na dno. Pozostałyby niezbadane, dopóki siły natury nie obróciłyby ich w proch. W epoce lotów na Księżyc dno Atlantyku wciąż pozostawało niezmierzonym pustkowiem, a leżące na nim wraki czekały tylko na odkrywców.

Trzeba było być facetem z prawdziwymi jajami, by robić to, czym zajmował się za swoich młodych lat Bill Nagle. W latach 70. i 80. ekwipunek nurkowy był wciąż dosyć prymitywny. Tak naprawdę niewiele zmienił się od 1943 roku, kiedy to Jacques Cousteau² pomógł opracować system zbiorników i regulatorów pozwalający człowiekowi oddychać pod wodą. Nawet na głębokości 45 metrów, uznawanej przez większość organizacji nurków za granicę bezpieczeństwa, drobna usterka sprzętu mogła zabić najbardziej wytrawnego płetwonurka. Badając najciekawsze wraki, Bill i inni królowie tego sportu schodzili na

głębokość 60 metrów³, niekiedy nawet głębiej. Zupełnie zapominając o swojej biologii, prosili się wręcz, by siły natury przeniosły ich w zaświaty. Ludzie ginęli, i to często, nurkując na wrakach, które czekały na Nagle'a.

Nawet jeśli jego ciało i sprzęt mogły sprostać atlantyckim głębinom, kapitan *Seekera* bezustannie stawiał czoła niezliczonym niebezpieczeństwom. Każde mogło w mgnieniu oka przynieść mu śmierć. Była to stosunkowo młoda dziedzina sportu, brakowało dawnej wiedzy i informacji przekazywanych z ojca na syna, całego kolektywnego doświadczenia, dzięki któremu utrzymują się przy życiu współcześni nurkowie. Dzisiaj kumple dzielą się ze sobą przy piwie przestrogi i wskazówkami, dostępne są czasopisma specjalistyczne i liczne kursy. On uczył się tego wszystkiego na własnej skórze, na nieludzkich głębokościach. Kiedy trafiał na jakieś zupełnie nieprawdopodobne, potworne okoliczności, a przy leżących głęboko wrakach zdarzało się to często, był pierwszą osobą, która mogła o tym opowiedzieć. Gdy udawało mu się przeżyć, a także jemu podobnym, pisały o tym czasopisma.

Bill docierał coraz głębiej. Nurkując na głębokość ponad 60 metrów, w miejscach, których nigdy nie odwiedzali amatorzy, zaczął robić coś, co trudno było do końca pojąć naukowcom. Kiedy penetrował spoczywające na tych głębokościach wraki, był często jedną z pierwszych osób, które widziały statek od czasu zatonięcia. Jako pierwszy otwierał sejf, w którym zamknięte były drogocenne przedmioty, i spoglądał na szczątki ludzi zaginionych w morzu. Oznaczało to także, że był zdany wyłącznie na siebie. Nie dysponował mapami naszkicowanymi przez poprzedników. Gdyby ktoś odwiedził te wraki przed nim, mógłby go ostrzec: „Nie dotykaj zewnętrznej belki sufitowej w nadbudówce. Kiedy tam podpłynąłem, trochę się obluzowała, wygląda tak, jakby całe pomieszczenie miało się zawalić na głowę”. Bill musiał odkryć to wszystko sam. Gdy w niemal zupełnym mroku przesłizgujesz się przez labirynt poskręcane i połamane cielska wraku, każde pomieszczenie może okazać się pułapką bez wyjścia. Czyhają na ciebie ruchome piaski i wiszące na włosku struktury wraku. Potwierdzi to chyba każdy nurek zajmujący się eksploracją wraków. Zupełnie inaczej jest płynąć ze świadomością, że ktoś już tam był i udało mu się wyjść cało.

Dno Atlantyku było za czasów Nagle'a zupełnie dziewicze i niezbadane. Niczym pionierzy Dzikiego Zachodu odkrywcy musieli wykazać się olbrzymią determinacją. Pojedynczy wypadek we wraku mógł odstraszyć i zniechęcić do wyzwań wszystkich poza najtwardszymi. Pierwsi płetwonurkowie, tacy jak Bill, mieli wypadki niemal codziennie. Z branży dosyć szybko odpadali niedzielnii nurkowie i ciekawscy. Ci, którzy pozostawali, wydawali się należeć do innego gatunku. Brutalnie zmagali się ze światem i byli niezwykle porywczy.

Wyciągnięcie młota i przebicie nim dziury w burcie wraku nie było dla nich żadnym problemem, nawet jeśli ich organizm miał być skazany na przyswojenie większej ilości dwutlenku węgla, co w połączeniu z narkozą azotową stanowiło iście zabójczą mieszankę.

Pod wodą nie istnieje prawo własności. Często nurkowie wykradają trofea z plecionych siatek innych nurków, zgodnie z zasadą: „Właścicielem jest ten, kto wypłynie z tym na powierzchnię”. Bywało, że spory rozstrzygano brutalnymi pojedynkami na pięści na pokładach łodzi, a nawet pod wodą. Przedmiotów wyciągniętych z wraków strzeżono niczym oka w głowie i często wyciągano w ich obronie noże. Pierwsi nurkowie eksplorujący leżące na dużych głębokościach wraki mieli w sobie coś z piratów.

Bill Nagle był inny. W najbardziej brutalnych latach sportu zawsze kierował się rozumem. Pochłaniał rozprawy naukowe, dokumenty źródłowe, powieści, mikrofilmy i wszystko, co tylko mogło być związane z historycznymi okrętami, dopóki nie został prawdziwym ekspertem. Ze swoją wiedzą mógł stanąć ramię w ramię ze skutnikami w dowolnej stoczni na przestrzeni setek lat. Był koneserem części statków i rozkoszował się siłą, jaką okręt czerpał ze współgrania wszystkich swoich elementów. Ta wiedza pozwalała mu patrzeć na okręty z podwójnej perspektywy. Z jednej strony doskonale rozumiał narodziny statku, z drugiej zaś znakomicie zdawał sobie sprawę, na czym polega jego śmierć. Zwyczajni nurkowie, zbliżając się do wraku, postrzegają mieszaninę pogiętej stali i połamanego drewna, płataninę rur i przewodów jako kupę śmieci. Złomowisko, które może kryć w swojej głębi kompas lub inne trofeum. Podpływają w przypadkowe miejsce i zaczynają grzebać z zapalem szukającego kości szczeniaka. W tych samych okolicznościach Bill poskładałby w umyśle zniszczone części i ujrzał okręt w pełni chwały. Jednym z najcenniejszych znalezisk kapitana był ponadmetrowej długości mosiężny gwizdek z parowca łopatkowego *Champion*⁴, zasilana parą piszczałka o dumnym dźwięku, umieszczona na szczycie masztu. Gwizdek był naprawdę majestatyczny, ale najpiękniejsze w całym odkryciu było to, że pod wodą wyglądał jak kawał bezwartościowej rury. Pływając wśród szczątków wraku, Bill ujrzał oczami duszy, jak statek łamie się i tonie. Znał jego anatomię i widząc, jak się rozpada, dostrzegł miejsce, w którym znajdował się gwizdek. Właśnie tam umieszczona była ta pozornie bezwartościowa rura. Kiedy w ciągu zaledwie jednego dnia Bill odnalazł dwa stery z brytyjskiego tankowca *Coimbra* (rzadko zdarzało się, by ktoś odkrył w swojej karierze chociaż jeden ster), jego zdjęcie powieszono tuż obok portretu Lloyda Bridgesa na mostku jednego z najsławniejszych w tych czasach statku poszukiwaczy *Sea Hunter*. Bill Nagle miał wtedy 25 lat.

Nigdy nie mierzył wartości przedmiotów takich jak ów miedziany gwizdek

parowy w walorach estetycznych i pieniądzach. Dla niego ważna była ich symbolika. Nieco dziwny jest widok dorosłego faceta zbierającego z narażeniem życia filiżanki oraz spodki i budującego wspaniałe gabloty, by pomieścić w nich te delikatne relikwie. Ale dla Nagle'a i jemu podobnych cacka te były tożsame z wyprawami odkrywczymi i przekraczaniem barier. Telegraf wystawiony na widok w salonie nurka to coś więcej niż tylko lśniący przedmiot. To wiadomość: „Gdyby ktokolwiek dotarł przede mną na mostek tego okrętu, z pewnością nie zostawiłby tam tego telegrafu”.

Instynkt musiał zaprowadzić Billa do wraku *Andrei Dorii*, stanowiącego dla nurków coś na miarę Mount Everestu. Była to tylko kwestia czasu. Olbrzymi włoski liniowiec pasażerski poszedł na dno w 1956 roku. Zderzył się w gęstej mgłę ze szwedzkim liniowcem *Stockholm*⁵ w pobliżu wyspy Nantucket. Zginęło wtedy 51 osób. Zanim liniowiec zatonął, by spocząć na burcie na głębokości 75 metrów, uratowano 1659 osób. *Doria* nie była typowym celem Nagle'a. Powszechnie znano jej położenie, a nurkowie zaczęli badać wrak już następnego dnia po zatonięciu statku. Jednak syreny *Dorii* nieodparcie wzywały wielkich poszukiwaczy wraków. Nawet po tylu latach pełno było na niej zdobyczy: między innymi serwisy ze wspaniałej włoskiej porcelany, zdobione owianym legendą znakiem „Italia”, srebra, bagaże, płytki ceramiczne projektowane przez znanych artystów, posrebrzane patery, biżuteria i tabliczki. Nie tylko za czasów Nagle'a, ale i po dziś dzień nurkowie mogą badać *Dorię*, obawiając się jedynie o to, czy starczy im sił, by wydobyć na powierzchnię wszystkie zdobyte trofea.

Gdyby *Doria* miała do zaoferowania tylko swoje skarby, nie pociągałaby Billa tak niemiłosiernie. Prawdziwym wyzwaniem było badanie wraku. Statek spoczywał na burcie, toteż nawigacja była niezwykle trudna i niebezpieczna. Nurek musiał w myślach obrócić swój świat o 90 stopni, by zrozumieć, dlaczego drzwi znajdują się w podłodze, a sufity po prawej stronie. Wrak leżał bardzo głęboko, w najpłytszym miejscu było 60 metrów, w najgłębszym, tam gdzie kadłub uderzył w dno oceanu, ponad 75. Zdarzało się, że ludzie zupełnie tracili orientację, niektórym kończyło się powietrze, inni odchodzili od zmysłów w stanie narkozy i umierali na *Dorii*. We wraku było tak ciemno i niebezpiecznie, że niektóre z pokładów pozostały niezbadane przez całe dziesięciolecia po zatonięciu. Te pokłady były celem Nagle'a.

Z czasem Billowi udało się spenetrować wrak w miejscach, które inni przez długie lata uznawali za niedostępne. Półka nad kominkiem w jego salonie stała się miniaturowym muzeum *Dorii*. Po dosyć krótkim czasie kapitan postanowił skupić się na dzwonie. Dzwon jest koroną statku, jego głosem, nie ma chyba cenniejszej zdobyczy dla nurka. Wiele sław przez całą swoją karierę nie było nawet blisko zdobycia tej nagrody. Bill postawił sobie za cel zdobycie dzwonu

Dorii. Ludzie uważali, że kompletnie mu odbiło. Przez 30 lat dziesiątki nurków bezskutecznie szukały dzwonu i nikt nie wierzył, że jeszcze tam jest.

Kapitan przystąpił do pracy. Studiował plany pokładów, albumy z dokumentacją fotograficzną i dzienniki członków załogi. W końcu tak jak wielu jego poprzedników opracował plan. Potrzebował kilku dni, może nawet tygodnia, by wyciągnąć dzwon. Niestety, żadna z czarterowych łodzi nie zabrałaby nurka na tak długo na *Dorię*. Bill miał jednak trochę oszczędności z czasów Składanych Narzędzi, postanowił zatem kupić za nie własną łódź. Statek stworzony w jego wyobraźni miał tylko jedno zadanie: wydobyć dzwon *Dorii*.

Był to pierwszy *Seeker*, 12-metrowy kuter przybrzeżny zbudowany w New Jersey, w szkutni Henrique. W 1985 roku kapitan zwerbował pięciu najlepszych nurków, ludzi, którzy dzielili jego pasję odkrywczą. Umówili się, że zabiera ich na *Dorię* na swój koszt. Cel wyprawy był jasno i z góry określony: nurkowie płynęli po dzwon.

Przez pierwszych kilka dni nurkowie działali zgodnie z planem Nagle'a. Niczego jednak nie znaleźli. Nie było żadnego dzwonu. W takiej sytuacji nawet najbardziej żarliwi nurkowie po prostu by się wycofali. Jeden dzień na otwartym oceanie w 22-metrowej łodzi potrafi wywrócić wnętrzności na drugą stronę; Bill i jego drużyna spędzili cztery dni na pokładzie 12-metrowej wanny. Ale człowiek nie poddaje się łatwo, kiedy widzi perspektywy, nawet mgliste. Kapitan porzucił dziób *Dorii*, na którym prowadził poszukiwania wraz ze swoją załogą, i skierował się ku rufie. Od tej pory mogli polegać wyłącznie na intuicji i doświadczeniu. Była to pełna improwizacja, i to na najbardziej zabójczym wraku na Atlantyku. Nikt nie był jeszcze na rufie. Postrzegając *Dorię* nie jako stertę sześciometrowych kawałków drewna i stali, lecz pojedynczy złożony organizm, Bill i jego koledzy postanowili zbadać to, co pozostało jeszcze niezbadane.

Piątego dnia trafili w dziesiątkę – znaleźli dzwon *Andrei Dorii*. Odgrzebali go, wybili młotem trzpień mocujący kielich dzwonu i za pomocą potężnego worka wypornościowego wydobyli trofeum na powierzchnię. W środowisku nurków zawrzało. Zgodnie z umową właścicielem połowy dzwonu był Bill, reszta należała do pięciu pozostałych członków wyprawy, a ostatecznie dzwon miał przejść w ręce tego, kto jako ostatni zostanie przy życiu. Kapitan załadował 70-kilogramowy dzwon na pakę, pick-upa swojej żony, i poprosił ją, by odwiozła zdobycz do domu. Kiedy dotarła na miejsce, okazało się, że dzwonu nie ma. Zadzwoniła do Nagle'a i oznajmiła: „Nie wiem, co się z nim stało!”. Bill był bliski zawału serca. Obdzwonił patrolę policyjną z pytaniem: „Czy ktoś nie znalazł gdzieś gigantycznego dzwonu?”. Okazało się, że w rzeczy samej, ktoś zgłosił na policję takie znalezisko. Jeden z patroli odebrał doniesienie: „Znalazłem coś dziwnego, nie wiem, co to jest, ale wygląda jak wielki dzwon z

napisem *Andrea Doria*”. Bill o mało nie dostał zawału po raz drugi. Odebrał dzwon i ubezpieczył go na 100 tysięcy dolarów. Stał się bogiem.

Wkrótce w jego umyśle wykiełkował nowy pomysł. A gdyby tak zrobić z *Seekera* profesjonalną czarterową łódź dla płetwonurków? Mógłby zarabiać pieniądze, robiąc jednocześnie to, co najbardziej w życiu kochał.

– Dochrapię się na tym sławy – opowiadał przyjaciółom.

Rocznie był w stanie przeprowadzić sześć wypraw na *Dorię*, w wolnym czasie szukając wraków *Caroliny*, *Texela*, *Nornessy* i *Pan Pennsylvanii*⁶, wspaniałych statków, których los był nieznany od wielu dziesięcioleci. Jego żona mieszkała z dwójką ich dzieci w Pensylwanii. On sam osiadł w Brielle, spotykał się z inną kobietą i wiódł żywot kawalera. Żona żyła nadzieją, że któregoś dnia Bill wróci do domu, i wychowywała dzieci w szacunku dla ojca. Kapitan mógł urzeczywistnić swoje plany i rozkręcić własny interes. Zbudował drugiego *Seekera*, niemal dwukrotnie większego niż pierwszy. Statek miał być specjalnie przystosowany do przewożenia nurków do wielkich wraków, tych, których eksploracja wymagała serca pioniera.

Niemal natychmiast Bill zaczął borykać się z przeciwnościami. Bynajmniej nie brakowało mu klientów. Kłopot polegał na tym, że nie był w stanie ich przy sobie zatrzymać. Była to odwrotna strona medalu. Okazało się, że na wyprawie nurkowej jedyną rolą kapitana jest zabawianie klientów pogawędką. Przeciętny niedzielny nurek pod koniec dnia chce zaprzyjaźnić się z prawdziwym człowiekiem morza. Bill wyobrażał sobie swój interes jako serię niezliczonych wypraw do głębokich i niebezpiecznych wraków, takich jak *Doria* czy *Choapa*⁷. Jego klienci woleli jednak pływać do pobliskich zwykłych wraków, jak *Stolt Dagali*⁸, *SS Mohawk*⁹ lub *Tolten*¹⁰. Dla niego ludzie ci nie byli nurkami, tylko zwykłymi turystami. Patrzył, jak wdrapują się na pokład *Seekera* ze swoimi nowiutkimi jaskrawozielonymi płetwami – jaskrawozielonymi!!! – i słuchał o ich szalonych planach robienia zdjęć homarom i dotykania „prawdziwego” wraku. Nie potrafił ukryć niesmaku. Otworzył swój interes, by badać nieznane, tymczasem związał się z klientami, którzy podniecali się czymś zupełnie zwyczajnym.

Zaczął pić. Jim Beam nie znosił klientów *Seekera* jeszcze bardziej niż sam kapitan. Dosyć szybko Bill stał się opryskliwy i chamski. Często stał na mostku i słał w dół zjadliwe uwagi na temat klientów.

– Nie na tym polega nurkowanie! – krzyczał. – Popatrzcie na siebie, żółtodzioby. Popłyńcie na Karaiby ze swoimi zielonymi płetwami! Że też sprzedawcy ze sklepów nurkowych mają czelność sprzedawać te śmieci niewinnym ludziom. Banda oszustów!

Pod koniec wyprawy, po kilku godzinach picia, zdarzało mu się rzucić:

– Zabierzcie do cholerne bydło z mojej łodzi!

Przyjaciele i załoga błagali Nagle’a:

– Bill, na rany Chrystusa, nie możesz tak mówić do ludzi, którzy ci płacą. To twój interes!

Kapitan nie zważał jednak na ich słowa. Pił jeszcze więcej. Podczas jednego z czarterów postanowił samowolnie zmienić trasę i popłynąć do innego wraku, trudniejszego miejsca, które pobudzało jego wyobraźnię i aż prosiło się o odkrycie. Głębokość 50 metrów leżała poza granicami możliwości nurków na pokładzie. Człowiek, który wynajął łódź, był wściekły.

– Co ty do cholery wyprawiasz, Bill? Mieliliśmy popłynąć na wrak na 30 metrach. Moi ludzie nie poradzą sobie na tej głębokości.

Kapitan odburknął:

– Czas zatem nauczyć ich nurkowania dekompresyjnego!

Po czym zatrzasnął się na mostku.

To było właśnie to. Bill płynął tam, gdzie chciał – nie był cholernym taksówkarzem, nie był na sprzedaż i nie chciał sprzeniewierzać się duchowi nurkowania. Pod koniec lat 80. picie Nagle’a wzięło jednak górę nad jego sławą i umiejętnościami. Z wychudłych pleców sterczały kościste łopatki, skóra przybrała niezdrowy żółty odcień, a na głowie sterczały skołtunione, zaniedbane włosy. Wciąż jeszcze pięknie pływał, przypominał trochę emerytowane gwiazdy bejsbolu, które nadal potrafią niezłe rzucać w czasie rozgrywek „dinozaurów”. Doświadczeni nurkowie zauważyli jednak, że jego wypadki na *Dorii* nie były już tak brawurowe. Bill już nie pływał tam, gdzie jeszcze nikogo nie było.

– Muszę złapać odpowiedni nastrój – mówił najbliższemu przyjacielom.

Wszyscy wiedzieli, że tak naprawdę oznacza to: „Muszę skończyć z piciem”. W 1990 roku Bill po raz ostatni zanurkował na *Dorii*. Takiego wraku nie da się pokonać, nie dając z siebie wszystkiego. Świadczyło o tym kilka całkiem świeżych ciał spoczywających w jego wnętrzu. Kapitan wciąż tracił klientów. Każdego dnia opowiadał kilku osobom, które jeszcze szanował, jak piękne i wspaniałe było nurkowanie za starych dobrych czasów.

Tak wyglądały życie i interes Billa Nagle’a późnym latem 1991 roku. W Brielle skończył się sezon turystyczny, miasteczko powróciło do swojego normalnego, monotonnego życia. Bill spędził niemal cały sierpniowy dzień, czyszcząc *Seekera* i rozmyślając nad swoim życiem. Kiedy słońce miało się już ku zachodowi, ruszył powoli na przechadzkę. Szedł nabrzeżem, potem przez pełen dziur żwirowany parking, aż do drzwi obiektu, który postawiono tam jakby z myślą o nim. Portowa Oberża czynna była do późna przez okrągły rok. Był tam Jim Beam, a on był potwornie spragniony.

Nikt nie pamięta już, kiedy zaczęto nazywać ten przybytek Potworną Oberżą,

każdy mógł jednak powiedzieć, skąd się ta nazwa wzięła. Zagorzali palacze pokasływali w osnuwającej bar gęstej chmurze dymu papierosowego. W okolicie grilla dolatywały bezlitośnie cuchnące wyziewy z toalet. Wszystko kleiło się od brudu. Przesiąknięte na wskroś nikotyną ściany pokryte były wyznaniem miłosnymi nasmarowanymi przez pijanych rybaków. Pewnego razu właściciel postanowił je umyć i do wnętrza baru weszło kilku uzbrojonych w szlauchy ludzi. Kiedy odkręcili wodę, strumienie przebiły ściany na wylot.

Nie lepiej prezentowała się klientela. Potworna Oberża nie miała zbyt wielu gości, grupa stałych bywalców ograniczała się do miejscowych twardzieli. Harleyowcy, rybacy, faceci z pobliskiej siłowni, mechanicy i ludzie nurkujący na wrakach, cała lista nieogolonych bywalców Potwornej Oberży. Ci faceci (nikt nie ośmieliłby się przyprowadzić tutaj kobiety) nie byli bynajmniej zainteresowani stojącymi pod ścianą automatami do gier i stołami bilardowymi. Nie przeszkadzał im również zwyczaj napełniania przez barmana miseczek z orzeszkami ziemnymi resztkami z innych miseczek. Pili piwo i gorzałę z plastikowych kubków, potem gasili w nich niedopałki. Co chwila wybuchały bójkі, ale Bill nigdy nie został wywalony z knajpy. Kiedyś przez miasto przeszła plotka, że barman wyrzucił go na ulicę za nieprzyzwoite zachowanie. Nikt w to nie wierzył. Bynajmniej nie dlatego, że nikt z miasta nie potrafił sobie wyobrazić, że kapitan może zachowywać się nieprzyzwoicie. Po prostu ludziom nie mieściło się w głowie, że ktoś może zachowywać się aż tak nieprzyzwoicie, by wywalono go z tego typu speluny.

Tego wieczoru Bill zajął swoje stałe miejsce przy barze. Zamówił Jima Beama. I jeszcze jednego. Pół godziny później do knajpy wszedł ubrany w brudną koszulę 38-letni kapitan łodzi rybackiej. Przyszedł uregulować rachunek za paliwo. Ludzie znali go jako Skeetsa. Pojawiał się w porcie od lat, zawsze cumował swoją łódź kilka kroków od *Seekera*. Wynajmował ją rybakom, brał na pokład zaledwie cztery czy pięć osób – interes był niewielki, ale potrafił go prowadzić. Oznaczało to dwie rzeczy: wiedział, gdzie są ryby, i umiał trzymać gębę na kłódkę.

Znalezienie ryb było oczywiście kluczowe. Klienci wynajmujący łodzie rybackie nie wracali, jeśli za pierwszym razem kapitan zabrał ich na pustynię. Faceci tacy jak Skeets wciągali nosem powietrze, patrzyli w niebo i mówili:

– Panowie, dzisiaj czuję tuńczyka.

I kapitan musiał zabrać ich do któregoś z tych małych miejsc, zapisanych w zabazgranych po brzegi notesach, wetkniętych na sam spód szuflad na mostku. Czasami było to miejsce tuż przy plaży, niekiedy wymagało dłuższej podróży na otwarte morze, do jednego z podwodnych kanionów. Najczęściej oznaczało jednak wycieczkę do jednego z wraków.

Dla rybaków wraki to życie. Masa stali i drewna, pod którą pogrzebane mogły zostać istoty ludzkie, dosyć szybko staje się gwarnym skupiskiem życia morskiego pośród dna oceanu. Tutaj cały łańcuch pokarmowy dosłownie pozuje do zdjęć. Drobne żyjątka przyczepiają się do spoczywających na dnie przedmiotów. Stworzonka te przyciągają drapieżniki, w ślad za nimi podążają polujące na nie większe drapieżniki i tak dalej. Wrak staje się odrębnym ekosystemem. Przypływają tu także żerujące na otwartych wodach ryby pelagialne – tuńczyki, dorsze i wąłusze. Mogą się tu porządnie odpaść – jeszcze bardziej „odpasają się” kapitanowie łodzi rybackich.

Trzymanie gęby na kłódkę jest też niezmiernie ważne. Każdy kapitan wynajmujący swoją łódź rybacką ma na podorędziu spis powszechnie znanych i regularnie odwiedzanych wraków. Ale tak naprawdę liczą się tylko te nieznane, to właśnie dzięki nim zostaje się prawdziwym kapitanem. W ciągu całej swojej kariery dobry kapitan, taki jak na przykład Skeets, tworzy swoją prywatną listę kilkunastu obiektów, znanych tylko sobie i garstce wtajemniczonych. Może odkryć jakieś wraki, bacznie śledząc wskazania sondy i szukając nietypowych pagórków na dnie oceanu. Tajemnice kilku takich miejsc może też poznać od jakiegoś wybierającego się na emeryturę rybaka, któremu oddał w swoim czasie przysługę. Im więcej znasz wraków, tym więcej zarabiasz pieniędzy. Im więcej znasz sekretnych miejsc, tym więcej klientów wynajmuje twoją łódź.

Kapitanowie pilnie strzegli swoich tajemnic. Klienci nie mogli brać ze sobą na pokład żadnych przyrządów nawigacyjnych i nie wpuszczano ich na mostek, by nie podejrzeliby pozycji łodzi. Kiedy kapitan dostrzegł podczas połowu inną łódź, podnosił kotwicę i płynął dalej, czekając, aż potencjalny szpieg odpłynie. Jeśli jakaś łódź śledziła go od wyjścia z portu, płynął zygzakiem przez środek morza, rzucał kotwicę byle gdzie i udawał, że łowi, dopóki konkurent się nie oddalił. Musiał być cały czas czujny, bo od tego zależało, czy zarobi na życie. Ludzie wciąż opowiadają historię o kapitanie Viking Fleet¹¹ z Montauk. Facet zażądał fortuny za zabranie na połów dwóch braci. W nocy, kiedy zasnął, bracia weszli cichaczem na mostek i sfilmowali jego notatniki z pozycjami. Rok później na złotych łowiskach kapitana pełno było łodzi.

Przez ostatnich kilka lat Skeets łowił w miejscu, na jakie trafia się raz w życiu, jakieś 60 mil od Brielle. Dotarł tam pewnego mglistego dnia, trałując na tuńczyka. Technika ta polega na tym, że łódź ciągnie za sobą w wodzie pojedynczą linę z przyczepionymi do niej przynętami przypominającymi płynące kalmary lub inną drobnicę. Ponieważ łódź jest cały czas w ruchu, kapitan musi uważnie obserwować inne statki w pobliżu. We mgle robi to za pomocą radaru. Skeets obserwował swój radar i po krótkim czasie na ekranie zobaczył inną łódź. Zielony punkcik pozostawał jednak w bezruchu, co

oznaczało, że łódź stoi na kotwicy. Mogło oznaczać to tylko jedno – ktoś polował na wrak.

Skeets skierował się do portu, ale po chwili wziął kurs na zakotwiczony statek. Zanim zdążył odpowiedzieć, złapał go i spisał pozycję. Okazało się, że łódź należy do jego kumpla. Skeets dostał od niego przez radio komunikat: „Nie zdradź nikomu tego miejsca. Niech nie przyjdzie ci do głowy o nim mówić. Ono jest naprawdę wyjątkowe”.

Kilka dni później Skeets powrócił w to miejsce. Było po prostu niesamowite, wystarczyło zarzucić haczyk, a rzucały się na niego całe stada tłustych tuńczyków, strzępieli i dorszy. Najlepsze było to, że o miejscu wiedzieli tylko on i jego kumpel, co oznaczało, że Skeets może przypłynąć tu w każdym momencie bez obawy, że inny kapitan sprzątnie mu zdobycz sprzed nosa.

Coś dziwnego jednak działo się ze Skeetsem za każdym razem, gdy odwiedzał to miejsce. Pławił się w jego bogactwach, ale nie mógł przestać myśleć o przedmiocie, który spoczywał w samym sercu tego podwodnego raj. Musiał być olbrzymi – tyle można było wywnioskować na podstawie wielkiego zielonego bąbla, jaki pojawiał się na monitorze sondy pokazującym obraz dna. Spoczywał na głębokości co najmniej

60 metrów i był zrobiony ze stali. Skeets doszedł do tego wniosku, oglądając płatki rdzy, które przyklejały się do przynęt. Poza tym nie był w stanie powiedzieć niczego więcej. Zżerała go ciekawość. Było w tym miejscu coś, co budziło w nim instynkty. Spędziwszy całe życie na morzu, rybak zaczyna podświadomie czuć, czy coś ma jakieś znaczenie, czy nie. Dla niego to miejsce miało znaczenie.

Przez całe lata, kiedy Bill widywał Skeetsa na parkingu lub płacącego rachunki za paliwo w Potwornej Oberży, zaczynał go pytaniem:

– Hej, Skeets, natknąłeś się może na jakieś wraki, których nie ruszali jeszcze nurkowie?

A ten odpowiadał niezmiennie:

– Przykro mi, Bill, niestety nie.

Tego wieczoru jednak Skeets popatrzył na Nagle’a i powiedział co innego.

– Łowiłem w tym miejscu. Nie uwierzysz. Tuńczyki. Dorsze. Same wielkie sztuki.

Bill uniósł brew, patrząc na dno szklanki z bourbonem.

– Czyżby?

– Tak, 60 mil od brzegu. Głęboko, i to według twojej miary, może 70 metrów wody. Coś jest tam na dole. Powinieneś to sprawdzić. Myślę, że na dnie leży coś naprawdę dużego.

Nawet po kilku szklankach Jima Beama Bill potrafił poznać różnicę między

pusztą portową gadaniną a słowami płynącymi z głębi serca. Uważał Skeetsa za dobrego kapitana i faceta, który naprawdę zna ocean. Nie miał cienia wątpliwości, że można zaufać jego instynktowi. Mimo to nie mógł i nie chciał poprosić o namiary. Kapitanowie długo pracują na swoją reputację, a pytanie o coś takiego byłoby brutalnym naruszeniem etyki zawodowej.

Skeets sam wysunął propozycję.

– Szukam małego wraku w pobliżu brzegu. Jest tam pełno okoni. Wiem, że tam często nurkujesz. Daj mi namiary na to miejsce, a ja dam ci namiary na moje. Muszę je jednak zatrzymać dla siebie. Nikomu o nich nie mów.

Bill pokiwał głową.

Umówili się, że wymienią się namiarami następnego dnia na łodzi Nagle’a. Tej nocy Bill nie mógł spać. Z niecierpliwością czekał na spotkanie. Następnego dnia przyszedł godzinę wcześniej i wałęsał się po przegniłym drewnianym pomoście, przy którym stał *Seeker*. Instynkt szarpał niespokojnie całym ciałem mężczyzny. To spotkanie wiązało się z czymś więcej niż tylko obiektem spoczywającym na dnie oceanu. Ono miało zupełnie odwrócić koleje losu.

Kiedy w końcu pojawił się Skeets, Bill zaprosił go na mostek *Seekera*. Stali w ciasnym pomieszczeniu, w otoczeniu przyrządów nawigacyjnych, opróżnionej do połowy butelki Jima Beama i wymiętoszonego śpiwora w kowbojów i Indian, w którym od wczesnej młodości sypiał Bill. Spojrzeli sobie w oczy.

– Muszę ci coś powiedzieć – rzucił Skeets. – Miejsce, które znalazłem, jest złe. Ten obszar oceanu jest niebezpieczny. Wrak leży w małym zagłębieniu, nad nim jest krawędź i potężny prąd płynący w górę nad szelf kontynentalny, naprawdę mnóstwo wody w ruchu.

– Nie obawiaj się – odpowiedział kapitan.

– Billy, to naprawdę złe miejsce. Musisz mieć nurków z najwyższej półki. Nawet jeśli będzie pełna flauta i spokojna woda, łódź będzie dryfować ze trzy węzły. Wiesz, co to znaczy i jak niebezpieczne są te prądy pod powierzchnią. Do tego jest głęboko. Myślę, że jakieś 70 metrów. Nie mam pojęcia o nurkowaniu, ale lepiej uważaj na swoich ludzi.

– Jasne, Skeets. Wiem, wiem. Nie martw się. Wymieńmy się tymi namiarami.

Żaden nie mógł znaleźć czystej kartki. Bill sięgnął do kieszeni i wyciągnął dwie serwetki z Potwornej Oberży. Napisał namiary – małe, pełne okoni morskich wzniesienie na południe od Seaside, sterta skał wymarzona wręcz do świetnego połowu. Kiedy skończył, Skeets zaczął przepisywać na zatłuszczonym przez Nagle’a masłem orzechowym kawałku serwetki różnice czasów w systemie LORAN-C¹². Kapitan nie powinien zdradzać położenia tak cennych miejsc. Ale tylko Bill mógł mu powiedzieć, co jest tam na dole. Był jedynym znanym mu facetem, który potrafił zejść na głębokość 70 metrów. Poza

tym wyglądał na równego gościa, który nie wypapla nikomu namiarów i nie odsprzeda ich właścicielowi konkurencyjnego interesu.

Wręczył Nagle'owi serwetkę.

– Zatrzymaj to dla siebie – przypomniał. – I na litość boską, uważaj.

Skeets wyszedł ze sterówki, zszedł po stromych, białych, drewnianych schodkach i wrócił do doku, na swoją łódź. Po chwili Bill poszedł w jego ślady. Z długopisem w jednej dłoni i ściśniętą mocno serwetką w drugiej udał się do Potwornej Oberży. Zamówił Jima Beama i zaczął przepisywać podane przez Skeetsa namiary swoim kodem na kolejnej serwetce. Zazwyczaj trzymał księgę z namiarami na pokładzie *Seekera*, ale były to publiczne namiary. *Możecie je sobie ukraść, sukinsyny*. Na to, co najlepsze, zarezerwowany był jego portfel. Można było zabić Nagle'a i ukraść jego portfel, ale cyfry nic nie znaczyły bez właściwego klucza, a on nigdy nikomu go nie zdradził. Złożył nową serwetkę i wsunął do portfela, sejfu, w którym spoczywały marzenia. Podniósł się i poszedł zadzwonić do Chattertona.

Jeśli Bill Nagle potrafił odnaleźć część siebie w innym nurku, to był nim John Chatterton. Wysoki, przystojny 40-letni zawodowy nurek, którego dudniący, naznaczony akcentem z Long Island głos stał się nieodłącznym elementem ścieżki dźwiękowej większości ważnych odkryć wraków w tym okresie. Na co dzień pracował na podwodnych budowach w okolicach Manhattanu. Zajmował się robotą wymagającą mosiężnego hełmu i palnika Broco o temperaturze 5000 stopni. W weekendy kierował jednymi z najbardziej pomysłowych i odważnych nurkowań, jakie kiedykolwiek przedsięwzięto na Wschodnim Wybrzeżu. Bill widział w nim odbicie swoich najlepszych dni.

Spotkali się po raz pierwszy w 1984 roku na pokładzie *Seekera*. Johna nie obchodził specjalnie cel wyprawy, przyłączył się tylko po to, by obserwować Billa, żywą legendę. Wkrótce potem wynajął *Seekera*, by popłynąć do *Texas Tower*, starych urządzeń radarowych sił powietrznych, jakieś 60 mil od brzegu. Wieża zawaliła się w czasie sztormu w 1961 roku, a cała załoga zginęła. Podstawa *Texas Tower* leżała na głębokości 70 metrów wbita w piasek. Miejsce to było zbyt niebezpieczne dla wszystkich poza najbardziej wytrawnymi nurkami. Czubek można było jednak eksplorować z łatwością już na głębokości niecałych 30 metrów i bez problemu mogli dotrzeć tam wszyscy uczestnicy wyprawy.

Jeden z nurków zaczął się strasznie puszyć. Od dawna cieszył się opinią narwańca, nikogo więc nie zaskoczyło, gdy podsunął plan zejścia na samo dno. Nie trzeba było czekać długo, żeby głębiny się odezwały. Facet chciał za wszelką cenę wyjąć mosiężne okno. Kończyło mu się powietrze, a on uparł się, żeby skończyć. Utonął. Na tych głębokościach takie rzeczy dzieją się niezwykle

szybko.

Teraz na dnie niebezpiecznego wraku było jeszcze ciało. Ktoś musiał po nie zejść. Była to robota Nagle'a. Zwykle sam schodził po trupa lub robił to jeden z jego kumpli-pomocników. Wszyscy jednak dopiero wyszli z wody i nie mogli do niej wrócić, dopóki nie pozbyli się nadmiaru azotu zgromadzonego w ich ciałach. Proces ten zajmował kilka godzin.

Chatterton zgłosił się na ochotnika. Nieznający dna nurek mógł z łatwością stracić orientację i zgubić drogę powrotną na *Seekera*. Bill zapytał go, czy zna z grubsza topografię wraku.

– Szczerze mówiąc niezbyt, ale i tak zejść – powiedział John.

Ta odpowiedź przemówiła do Nagle'a.

Chatterton dotarł do dna *Texas Tower* i ruszył na rekonesans. Wkrótce odnalazł nurka. *Nie wygląda źle jak na trupa* – pomyślał. Przyczepił jego butle do worka o wyporności 100 kilogramów i zaczął napełniać go powietrzem. Ciało zaczęło powoli unosić się ku powierzchni. Na wszelki wypadek przywiązał je długim zwojem liny do wraku – jakby coś poszło nie tak, zawsze łatwiej będzie je znaleźć.

No i coś poszło nie tak. Podczas wynoszenia do góry gwałtownie zmniejszające się ciśnienie wody sprawiło, że powietrze w skafandrze zaczęło pęcznieć, zamieniając nurka w martwą wersję ludzika z reklamy Michelina. Gdy wypłynął na powierzchnię, potężna fala uszkodziła worek wypornościowy i ciało opadło z powrotem na dno. Zapadał już zmrok i ponowne nurkowanie było niestety trochę niebezpieczne.

John zgłosił się na ochotnika, by rano zejść po ciało. Zrobiło to ogromne wrażenie na Nagle'u. Zostali na noc na morzu, a na śniadanie musieli zadowolić się chipsami Doritos. Chatterton zszedł pod wodę i ponownie odnalazł ciało. Tym razem biedny gość nie wyglądał zbyt dobrze. Coś zjadło jego powieki, a nadgryzione usta odsłoniły zęby, stał się czymś, co nurkowie określają mianem „pokraka”¹³. Kiedy ciało wypłynęło na powierzchnię, Bill wciągnął je na pokład.

– Odwaliłeś kawał niezłej roboty – powiedział Johnowi. – Jesteś dobrym nurkiem.

Od tej pory stali się przyjaciółmi.

Wkrótce Chatterton został członkiem załogi *Seekera*. W 1987 roku po raz pierwszy popłynął na *Dorie*. Kręcił się wokół wraku, ale nie odważył się na nic więcej. Miejsce było na tyle niebezpieczne i przerażające, że postanowił nigdy tam nie wracać. Podczas tej samej wyprawy Bill znalazł ważącą blisko 100 kilogramów drewnianą tablicę z napisem „ZACHOWAJ CZYSTOŚĆ ŚRUB”. Był to najpiękniejszy napis tego typu, jaki Chatterton widział w swoim życiu. Uścisnął dłoń Nagle'a, podziękował mu za okazję i rzekł:

– Odbyłem wyprawę na sam szczyt. Raz mi wystarczy.

Ale Bill wiedział lepiej. John nie mógł zapomnieć o wraku. Podziwiając majestatyczność *Dorii*, dostrzegł cień tajemnic, jakie odsłania wrak przed tymi, którzy patrzą oczami duszy. Wrócił. Ogrom *Dorii* stanowczo go przytłaczał, człowiek mógł nurkować dziesięć razy po 25 minut i nie był w stanie zobaczyć całości. Wrócił więc po raz kolejny. Fascynowało go odwiedzanie takich miejsc, bycie obecnym w tym niezmiernym składzie drobiazgów, które niegdyś znaczyły coś dla ludzi. *Doria* bardzo szybko stała się jego pasją. Grabiąc liście, oglądając mecz futbolowy Giants i podchodząc do stoiska nabiłowego w sklepie, Chatterton układał w głowie swoje wrażenia z wraku. Z oderwanych obrazów i doświadczeń w jego umyśle powstawał stopniowo spójny obraz *Dorii*.

– Dlatego właśnie nurkuje – powiedział Nagle’owi. – Chcę, żeby właśnie na tym polegało nurkowanie.

Wkrótce John zaczął pływać do miejsc i odkrywać rzeczy, do których nikt wcześniej nie dotarł – nawet Bill ze swoimi stadami nurków w najlepszych czasach. Jego osiągnięcia zyskały rozgłos wśród nurków na Wschodnim Wybrzeżu. Wciąż uczył się od Nagle’a. Był pełen podziwu dla jego instynktu i umiejętności wyobrażania sobie statków takimi, jakimi były w chwilach swojej chwały. Fascynowała go wytrwałość, z którą Bill studiował plany pokładów i dzienniki okrętowe, łatwość, z jaką stawiał się w sytuacji nawigatora statku, i niesamowita umiejętność opracowywania planów wypraw nurkowych obejmujących cały wrak, mimo iż znana była zaledwie skromna jego część. Świetnie się bawił, wydobywając z ukrytych zakamarków *Dorii* bezwartościowe, kompletnie zardzewiałe przedmioty tylko po to, by Bill rzucił na nie okiem i zgadł, z którego miejsca dokładnie pochodzą.

Nagle’a i Chattertona łączyła przede wszystkim filozofia. Obydwóm w nurkowaniu chodziło o odkrywanie, docieranie we wszystkie zakątki, do tego, co nieznane. Jeśli postrzegało się świat w ten sposób, to było naprawdę wiele miejsc, w które nie dało się dotrzeć, ale trzeba było do cholery przynajmniej spróbować. Musiałeś zaryzykować. Po co żyć, skoro nie chcesz tam dotrzeć?

Następnego dnia po tym, jak Skeets zdradził mu swój sekret, Bill umówił się z Johnem na pokładzie *Seekera*. Weszli po schodkach do sterówki, kapitan zamknął drzwi i opowiedział przyjacielowi całą historię zasłyszana od Skeetsa. Co może leżeć w tym miejscu na dnie? Mężczyźni snuli kolejne domysły. Może to okręt wojenny lub statek handlowy z okresu wojny? Prawie niemożliwe – w czasie żadnej z wojen źródła wojskowe nie odnotowały w tym rejonie nasilonych działań. Czy mógł być to *Corvallis*, statek zatopiony podobno w latach 30. przez ludzi z Hollywood w czasie kręcenia filmu katastroficznego? Też raczej niemożliwe, podobno filmowcy zapisali jedynie przybliżone

informacje dotyczące miejsca, w którym kręcono film. Owszem, obszar ten obejmował łowisko Skeetsa, ale również kilkaset mil kwadratowych oceanu wokół. A może wagon metra? Też mało prawdopodobne – władze New Jersey zatapiały je celowo, by przyciągnąć zwierzęta morskie, ale lokalizacje wszystkich były starannie zapisywane.

Bardziej realne wydawały się mniej romantyczne scenariusze. Mogła być to sterta skał albo bezwartościowa barka wykorzystywana przy budowie rurociągu. Najprawdopodobniej była to zwykła stara barka wyładowana śmieciami. W ostatnich latach często zdarzało się, że władze miast wyładowywały prehistoryczne szkunery odpadkami, ucinając ich maszty i zatapiały byle gdzie. Bill i John byli w wielu takich miejscach.

Możliwe jednak, że było to coś naprawdę wielkiego.

Kapitan *Seekera* wymyślił plan. Zorganizują wyprawę w to miejsce. Każdy z nich zwerbuje sześciu najlepszych nurków, takich, którzy dadzą sobie radę, nurkując w nieznane, na głębokość 70 metrów. Podróż nie będzie przyjemna – sześć godzin w jedną stronę w chłodnym wrześnieowym powietrzu. Każdy z nurków zapłaci 100 dolarów na pokrycie kosztów paliwa i innych wydatków. Żadnych obietnic. Inni kapitanowie konfidencjonalnym szeptem oferowali wycieczki do dziewiczych miejsc, a potem zawsze okazywało się, że to jakiś humbug. Schodziłeś na dno tylko po to, by znaleźć nowiutki jaskrawopomarańczowy łom dla płetwonurków leżący wśród pozostałości po kutrze rybackim. Kończyło się na tym, że kapitan patrzył ci w oczy ze słowami: „Kurczę, chłopaki, nie miałem pojęcia, że to tak wygląda”. Bill i John byli inni. Organizowali wyprawę ze swoim zwykłym podejściem: pewnie nic tam nie ma, ale musimy spróbować.

Wyznaczyli termin na Święto Pracy 1991 roku. Obdzwonili wszystkich dobrych nurków, jacy przyszli im do głowy. Większość odrzuciła zaproszenie. Nawet kilka prawdziwych sław – faceci, których powinny podniecać tego typu pomysły – odmówiło udziału w wyprawie. Z reguły tłumaczyli się banalnym:

– Wolę wydać moje pieniądze na coś pewnego, a nie wyprawę w ciemno po nie wiadomo co.

Jeden z nich, Brain Skerry, powiedział Chattertonowi:

– Wiesz co, stary? Urodziłem się zbyt późno. Wszystkie fajne wraki już znaleziono. Epoka wielkich odkryć się skończyła.

Tak wyglądało to w 1991 roku. Ludzie chcieli czegoś pewnego. Bill i John dzwonili dalej. W końcu, kiedy wyczerpała się już lista kontaktów, udało im się znaleźć dwunastego nurka. Chatterton był zniesmaczony.

– Nikt nie chce odkryć niczego nowego! Co się do cholery dzieje?

Bill, zwykle pełen entuzjazmu przed nową wyprawą, smutno potoczył

wzrokiem po czerwonych krzyżykach na swojej liście i niemal szeptem odpowiedział:

– Ci faceci nie mają serca do nurkowania na wrakach, John. Oni po prostu tego nie czują.

Tuż po północy 2 września 1991 roku całe Brielle pogrążone było we śnie. Bill, John i dwunastu nurków, którzy zgodzili się wziąć udział w ekspedycji, załadowali na *Seekera* butle, maski, automaty oddechowe, noże, latarki i całe sterty innego sprzętu. Czekali ich sześciogodzinny rejs do miejsca wskazanego przez Skeetsa. Niektórzy wdrapali się na koje i poszli spać. Pozostali usiedli wokół kołyszącego się stołu. Skorzystali z okazji, by trochę się poznać, i śmieli się, że wyjdą na skończonych idiotów, jeśli okaże się, że zapłacili ciężkie pieniądze za to, by nurkować wśród sterty kamieni. O pierwszej nad ranem kapitan *Seekera* sprawdził, czy wszystkie osoby wpisane na listę są na pokładzie. „Zabezpieczcie cały sprzęt” – rzucił do tych, którzy jeszcze nie poszli spać, i wszedł po schodkach do sterówki. Chatterton dał sygnał, by przerzucić się z zasilania portowego na generator. Lampki w mesie zamigotały i zgąsły, a światło potężnych reflektorów halogenowych załało białym blaskiem tylny pokład. Jeden z nurków odłączył przewody zasilające, wąż doprowadzający wodę i telefon stacjonarny z nabrzeża. Bill odpalił bliźniacze silniki Diesla. Zatrzęsły się i zakaszały, jakby buntowały się przeciwko nagłemu przerwaniu ich drzemki. Po chwili zaskoczyły.

John ściągnął cumy.

– Cuma dziobowa oddana. Trzymam cumę rufową... trzymam... trzymam... okej, rzucam! – zawołał do Nagle’a, rzucając na brzeg ciężką linę.

Seeker był gotowy do drogi. Kapitan zapalił w sterówce czerwone, przyćmione światła, sprawdził krótkofalówkę, nadajnik, LORAN-C i radar. Uruchamiając silniki jeden po drugim, delikatnie wyprowadził łódź z doku. Po kilku minutach *Seeker* przeszedł pod wiaduktem kolejowym i wypłynął na ocean. Najprawdopodobniej płynęli z tymi ludźmi do jakiejś barki ze śmieciami. Może rzeczywiście epoka wielkich odkryć podwodnych już się skończyła. Jednak gdy za rufą powoli znikwały światła portu w Brielle, John i Bill dostrzegli na horyzoncie cień nadziei. Na chwilę świat stał się piękny i wspaniały.

¹ Poszukiwacz (przyp. tłum.).

² Jacques-Yves Cousteau – francuski oficer marynarki, badacz mórz, podróżnik oraz filmowiec i pisarz, zwany „kapitanem” lub „komendantem Cousteau” (przyp. red.).

³ Do początku lat 90. nurkowania wrakowe w USA wykonywane były na powietrzu w wodzie o temperaturze wahającej się między 4 a 11°C. W 1991 r. Tom Mount, założyciel organizacji szkolącej nurków – IANTD, opublikował pierwsze standardy nurkowania z trimiksem (przyp. red.).

⁴ *SS Champion* – zatopiony 7 listopada 1879 roku parowiec łopatkowy w kolizji z szkunerem *Lady*

Octavia. W wyniku kolizji śmierć poniosło 28 pasażerów. Wrak leży na głębokości 35 m (przyp. red.).

5 Szwedzko-amerykański liniowiec płynął na trasie z Nowego Jorku do Göteborga i Kopenhagi (przyp. red.).

6 Ofiara *U-550*, jeden z największych tankowców na świecie, została storpedowana 16 kwietnia 1944 r. przez niemiecką łódź podwodną, a następnie zatopiona przez aliancki samolot. Większość z 25 ofiar zginęła w morzu, próbując w panice opuścić tonący statek. Wraku *SS Pan-Pennsylvania* nie odnaleziono do dzisiaj (przyp. red.).

7 *SS Choapa* – amerykański frachtowiec zatopiony u wejścia do nowojorskiego portu w wyniku kolizji z tankowcem *Voco* 21 września 1944 roku. Najgłębsza część wraku leży na głębokości 60 m. Widoczność nie przekracza często metra, a wrak spowity jest sieciami i fragmentami żyłek (przyp. red.).

8 *SS Stolt Dagali* – liczący 178 m norweski tankowiec poszedł pod wodę w wyniku kolizji z izraelskim liniowcem *SS Shalom* 26 listopada 1964 roku. W katastrofie ocalała część dziobowa statku, która została odholowana do portu. Rufa leży na głębokości 40 m. Po rekonstrukcji tankowiec ten pływa do dzisiaj (przyp. red.).

9 *SS Mohawk* – zbudowany w 1926 r. parowiec pasażerski utonął po kolizji z norweskim transportowcem *Talisman*. W wyniku zderzenia śmierć poniosło 45 członków załogi. Do dzisiaj na wraku parowca znajdowana jest porcelana, srebrne sztucce, butelki i utensylia kuchenne (przyp. red.).

10 *SS Tolten* – przypadkowa ofiara ataku torpedowego kapitana *U-404* Ottona von Bullowa, który widząc zaciemnioną sylwetkę transportowca, posłał go na dno 13 marca 1942 r. W rzeczywistości *SS Tolten* był częścią floty komercyjnej Chile, która nie pozostawała w stanie wojny z Niemcami Adolfa Hitlera, a wygaszenie świateł związane było z koniecznością przestrzegania instrukcji US Navy. W wyniku ostrzału w Atlantyku śmierć poniosło 27 członków załogi, a Chile stanęło w wojnie po stronie aliantów. W czeluściach wraku dwóm nurkom udało się wyciągnąć rekordowego homara ważącego prawie 12 kg (przyp. red.).

11 Cumująca w Montauk na Wschodnim Wybrzeżu flota kutrów rybackich, należąca od pięciu pokoleń do rodziny Forsberg (przyp. red.).

12 LORAN (LONg RANge Navigation) – system działający u wybrzeży namierzający pozycję za pomocą sygnałów odbieranych od nadajników rozmieszczonych na brzegu. Dziś używa się urządzeń wyposażonych w odbiorniki satelitarne (GPS) (przyp. red.).

13 Oryg. creature-feature (przyp. tłum.).



Helmuth Neuerburg z ulubioną fajką na mostku U-869.
Arch. Richie Kohler

ROZDZIAŁ 2

WIZURA ZERO



Nurkowanie na głębokich wrakach jest jednym z najbardziej niebezpiecznych sportów na świecie. Tylko w kilku innych dyscyplinach przyroda, fizjologia, sprzęt, instynkt i przedmioty mogą się wszystkie naraz sprzysiąć, by bez ostrzeżenia i ze wszystkich stron uderzyć w twój umysł i osłabić ducha. We wnętrzach wraków znaleziono zwłoki wielu nurków, którzy mieli jeszcze wystarczająco dużo powietrza, żeby wypłynąć na powierzchnię. Nie chcieli umrzeć, raczej nie potrafili już się zorientować, jak przeżyć.

Na pozór sport ten podobny jest do swego bliskiego krewnego, popularnego nurkowania z pojedynczą butlą w pobliżu ośrodków wypoczynkowych. Trudno jednak mówić o statystykach bezpieczeństwa. Ludzie nurkujący na duże głębokości stanowią znikomy ułamek spośród światowej populacji około 20 milionów licencjonowanych nurków. Wypadki nie rzutują specjalnie na wyśmienite statystyki sportu, którego większość uczestników nie rusza się poza płytkie wody tropików, pozostając przezornie cały czas w towarzystwie innych i rzadko szukając pod wodą czegoś więcej niż pięknych widoków. W Stanach Zjednoczonych około 10 milionów osób posiada licencję nurka, spośród nich zaledwie kilkaset osób nurkuje na spoczywających w głębinach wrakach. Ci nieliczni nie baczą na to, że ich życie często wisi na włosku, liczy się tylko to, by ten włos nie pękł. Jeśli nurkujący głęboko zajmuje się tym sportem wystarczająco długo, prędzej czy później otrze się o śmierć, zobaczy, jak ktoś inny umiera, lub sam zginie pod wodą. Są takie chwile, że trudno powiedzieć, która z tych trzech ewentualności jest najgorsza.

Nurkowanie głębokie jest nietypowe pod jeszcze jednym względem. Na próbie wystawione zostają najbardziej pierwotne zachowania instynktowne – oddychać, patrzeć i uciekać w obliczu zagrożenia. Nie wystarczy, że założymy na siebie cały ekwipunek, by poczuć związane z tym ryzyko. Musimy uświadomić sobie wszystkie zagrożenia. One będą czyhać także na nas i dopiero kiedy zdamy sobie z tego sprawę, zaczniemy rozumieć nurkujących głęboko i opowiadane przez nich historie. Dotrze do nas, czemu silni mężczyźni poddają się pod wodą. Czemu większość ludzi na świecie nigdy nie pomyślałaby nawet o popłynięciu za namiami rybaka 60 mil od brzegu i zejściu na głębokość 70 metrów na samym środku pustkowia.

Nurek musi się liczyć z dwoma zagrożeniami związanymi z oddychaniem na dużych głębokościach. Po pierwsze, poniżej 24 metrów jego ocena rzeczywistości i zdolności ruchowe mogą ulec zaburzeniu z powodu zjawiska zwanego narkozą azotową.

W miarę jak schodzi głębiej, objawy narkozy zaczynają się nasilać. Poniżej 30

metrów, a więc tam, gdzie leży większość wraków, sprawność nurka może być już naprawdę poważnie upośledzona. Mimo to musi on wciąż wykonywać swoje zadania i podejmować decyzje, od których zależy jego życie.

Po drugie, jeśli coś nie pójdzie dobrze, nie można ot, tak sobie, po prostu wrócić na powierzchnię. Nurek, który przebywał jakiś czas na dużej głębokości, musi wynurzać się stopniowo, zatrzymując się w z góry ustalonych odstępach, by pozwolić swojemu ciału przystosować się do zmniejszającego się ciśnienia. Musi to robić, nawet jeśli wydaje mu się, że się dusi, krztusi lub umiera. Spanikowani nurkowie, którzy spieszą ku „słońcu i mewom”, ryzykują, że padną ofiarą choroby dekompresyjnej (DCS), tak zwanych bends, napięć, które powodują ogromny ból, często w okolicy stawów. Duże pęcherzyki mogą spowodować trwałe inwalidztwo, paraliż lub śmierć. Ci, którzy mieli okazję przyjrzeć się spazmom i rozpaczliwej agonii wywołanej przez pęcherzyki, zarzekają się, że woleliby udusić się i utopić pod wodą, niż wynurzać bez dekompresji po długim nurkowaniu.

Znaczna część spośród niezliczonych zagrożeń czyhających na nurków w głębinach wiąże się w jakiś sposób z narkozą azotową i chorobą dekompresyjną. Obydwie dolegliwości wynikają z różnicy ciśnień. Na poziomie morza ciśnienie atmosferyczne odpowiada z grubsza ciśnieniu panującemu wewnątrz naszego ciała. Kiedy gramy w siatkówkę na plaży lub jedziemy autobusem, poddani jesteśmy działaniu ciśnienia jednej atmosfery, czyli około kilograma na centymetr kwadratowy. Pod takim ciśnieniem normalnie funkcjonujemy. Powietrze, którym oddychamy, ma skład 21% tlenu, 78% azotu, a pozostały procent stanowią inne gazy. Odżywczy tlen metabolizujemy. Azot, jako gaz obojętny, jest przez nasz organizm wydalany wraz z resztą nieskonsumowanego tlenu i dwutlenkiem węgla w efekcie metabolizmu.

Pod wodą sytuacja zmienia się diametralnie. Każde kolejne 10 metrów głębokości oznacza wzrost ciśnienia o jedną atmosferę. Na nurka ścigającego koniki morskie na głębokości 10 metrów działa ciśnienie dwóch atmosfer, dwukrotnie wyższe niż na powierzchni. Praktycznie tego nie odczuwa. Ale coś dzieje się z powietrzem, którym oddycha z butli. W dalszym ciągu składa się z tych samych gazów, z proporcją cząsteczek tlenu do azotu 21:78, ale przy każdym wdechu do płuc dostaje się dwa razy więcej cząsteczek gazu. Przy trzech atmosferach cząsteczek azotu i tlenu jest trzy razy więcej w tej samej objętości i tak dalej¹.

Kiedy nurek oddycha pod wodą, nadmiarowe cząsteczki azotu wciągnięte do płuc nie pozostają obojętne, tak jak u człowieka siedzącego na brzegu. Zamiast tego rozpuszczają się w krwi i docierają do tkanek – mięśni, stawów, mózgu,

kości, dosłownie wszędzie. Im dłużej pozostaje się pod wodą, tym więcej azotu zbiera się w tkankach.

Na głębokości jakichś 20 metrów przy trzech atmosferach zgromadzony w tkankach azot zaczyna działać na większość osób jak narkotyk. To właśnie jest narkoza azotowa. Niektórzy porównują ją do zatrucia alkoholem, inni do zamroczenia środkami znieczulającymi, jeszcze inni do zatrucia oparami eteru lub gazem rozweselającym. Na niewielkich głębokościach objawy są dosyć łagodne – trochę zaburzona ocena rzeczywistości, osłabione zdolności motoryczne i chwytność dłoni, zawężone pole widzenia, lekko pobudzone emocje. Objawy te nasilają się w miarę schodzenia głębiej. Na głębokości ponad 50 metrów przy ciśnieniu sześciu atmosfer większość nurków przestaje funkcjonować. Niektórzy zaczynają mieć dwie lewe ręce, kłopot sprawiają im proste czynności, takie jak wiązanie liny. Inni zostają „otumanieni głębokością” do tego stopnia, że zaczynają mówić do siebie, by uwierzyć w to, co się wokół nich dzieje. Kiedy zejdziesz się jeszcze niżej, dajmy na to na 60 czy 70 metrów, mogą zacząć się halucynacje. Homary mówią do ciebie po imieniu i udzielają rad.

Czasami nurkowie uświadamiają sobie, że są „naćpani” na podstawie dźwięków, jakie dobiegają do ich uszu. Mogą być to „tam-tamy” – ogłuszający łoskot własnego pulsu w uszach, lub też zwykłe przygłuszone brzęczenie, jakby głos dzwoniącego budzika wetkniętego pod poduszkę. Poniżej 60 metrów narkoza może wziąć górę nad uczuciami strachu, radości, smutku, podniecenia i zniechęcenia. Drobnе problemy – zgubiony nóż, odrobina piasku w ustach – urastają do rangi prawdziwych kataklizmów i mogą zaowocować kompletną paniką. Sprawy poważne – wyczerpująca się butla lub utrata liny asekuracyjnej – postrzega się niczym zupełne błahostki. W wielce nieprzyjaznym otoczeniu, jakim jest wnętrze wraku, zaburzenia oceny, zdolności motorycznych i rozchwianie emocjonalne zaczynają wszystko poważnie komplikować.

Azot w powietrzu, którym oddycha nurek, stwarza jeszcze jeden problem. Odkłada się w tkankach z czasem i wzrostem głębokości. Nie stanowi to zbytniego problemu przy krótkim nurkowaniu na małych głębokościach. Przy dłuższych głębokich nurkowaniach podczas wynoszenia na powierzchnię zgromadzony w tkankach azot uwalnia się do krwiobiegu. Od tempa tego procesu zależy, czy nurek ucierpi na skutek pęcherzyków, a w skrajnych przypadkach, czy umrze.

Kiedy nurek wznosi się powoli, stopniowo zmniejsza się ciśnienie, a zgromadzony w tkankach azot opuszcza tkanki ciała w postaci mikroskopijnych pęcherzyków. Ten sam efekt możemy zaobserwować, powoli odkręcając butelkę

wody gazowanej. Kiedy stopniowo redukujemy ciśnienie w butelce, bąbelki są stosunkowo niewielkie. To właśnie ich rozmiar ma tutaj kolosalne znaczenie. Pęcherzyki azotu mogą przemieszczać się wydajnie w krwiobiegu, tylko gdy są mikroskopijnej wielkości. Bez problemu docierają wtedy do płuc, z których są w naturalny sposób wydychane. Tego właśnie chce nurek.

Kiedy jednak nurek wynurza się zbyt szybko, ciśnienie spada bardzo gwałtownie. Rozpuszczony w tkankach azot zamienia się w bąbelki tak duże jak przy gwałtownym otwarciu butelki wody sodowej. Duże pęcherzyki azotu są śmiertelnym wrogiem nurka głębinowego. Kiedy powstaną poza krwiobiegiem, mogą zacząć uciskać tkanki, blokując krążenie. Jeśli dojdzie do tego w okolicy stawów lub nerwów, efektem może być paraliżujący ból, powracający przez długie tygodnie lub nawet do końca życia. W przypadku gdy pęcherzyki zaczną uciskać rdzeń kręgowy lub mózg, blokada krążenia wywołać może paraliż lub śmierć. Natomiast gdy zbyt wiele gazu dostanie się do pęcherzyków płucnych, dochodzi do zatoru płucnego. Jeśli gaz przedostanie się z uszkodzonego pęcherzyka do arterii, dochodzi do zgonu (AGE – Arterial Gas Embolism).

Aby zapobiec powstaniu dużych pęcherzyków azotu, wznosząc się na powierzchnię, nurek głęboki musi bezwzględnie zatrzymywać się na z góry określonych głębokościach. Dzięki temu pęcherzyki azotu usuwane są z ciała wraz z wydychanym powietrzem. Przerwy te nazywane są przystankami dekompresyjnymi i zostały dokładnie wyliczone na podstawie wieloletnich badań naukowych i empirycznych doświadczeń. Nurek oddychający powietrzem po 25 minutach spędzonych na głębokości około 60 metrów może wynurzać się nawet przez dwie i pół godziny. Pierwszy przystanek jest na głębokości 12 metrów i trwa pięć minut, kolejne ustawione są co trzy metry, a ich czas trwania zwiększa się, by na trzech metrach osiągnąć 25 minut². Długość dekompresji zależy od głębokości i spędzonego na niej czasu – długie nurkowanie na większych głębokościach oznacza dłuższą dekompresję. Jest to jedna z przyczyn, dla której nurkujący na wrakach nie spędzają całych godzin pod wodą. Dwugodzinne nurkowanie wymagałoby aż dziewięciu godzin dekompresji.

Narkoza azotowa i choroba dekompresyjna są najgroźniejszymi spośród niebezpieczeństw, jakie grożą nurkującym głęboko. Prawdziwy nurek nie ośmieli się wejść na pokład łodzi płynącej na wyprawę do leżącego w głębinach wraku, nie czując należytego respektu przed tymi zagrożeniami.

Na północnym wschodzie Atlantyku nurkowie na ogół docierają do wraków wynajętymi łodziami. Mimo iż część ma własne jachty, z reguły nie są one w stanie sprostać warunkom panującym na otwartym oceanie. Większość jachtów

czarterowych ma przynajmniej 11 metrów długości i jest w pełni przystosowana do żeglugi pełnomorskiej. Klienci często schodzą pod wodę dwa razy w ciągu dnia, jednak między nurkowaniami muszą odczekać kilka godzin, żeby pozbyć się resztek azotu ze swojego ciała. Wyprawy nurkowe trwają więc z reguły cały dzień, a niekiedy przeciągają się na noc.

Dobry nurek wchodzi na pokład z planem. Przez kilka dni, czasem tygodni, poprzedzających wyprawę analizuje wrak, studiuje plany pokładów, utrwala w pamięci kontury i podejmuje decyzję co do miejsca eksploracji, określając rozsądne cele. Z reguły opracowuje całą strategię ich osiągnięcia. Nawigacja jest dla niego kluczem do bezpieczeństwa i sukcesu na pokładzie wraku. Prawdziwy nurek nie zamierza miotać się bez planu, w nadziei znalezienia przypadkiem jakiegoś trofeum. Widział wielu ludzi, którzy się tak zachowywali, niektórzy z nich nigdy już nie wrócili na powierzchnię. Dobry, przemyślany plan jest jego religią. Na wiele dni przed wyprawą doskonale wie, co ma robić i gdzie płynąć, jest przygotowany i potrafi zareagować na wszystkie niespodzianki, a w głębinach Atlantyku zdarzyć się może wszystko.

Prawdziwym przyjacielem nurka głębinowego jest sprzęt. To on otwiera wrota do niedostępnych światów i stanowi barierę między człowiekiem a przyrodą. Nurek niemal z miłością zapina, zawija, zaciąga i sprawdza swój 80-kilogramowy osprzęt, w którym wygląda jak połączenie współczesnej rzeźby z filmowym kosmitą z lat 50. W pełnym stroju porusza się jak kłoda, ale to wyposażenie jest dla niego życiem. Jeśli którykolwiek z jego elementów zawiedzie, zaczną się kłopoty. Nurek ma na sobie sprzęt za kilka tysięcy dolarów: światła stroboskopowe, czołówkę, latarki, liny, młotek, łom lub młot, noże, maskę, płetwy, sprzączki do płetw, kamizelkę ratowniczo-wyrównawczą (jacket), automaty, scyzoryk wielofunkcyjny, kompas, siatkę na trofea, worki wypornościowe do wyniesienia przedmiotów na powierzchnię, boję do wystrzelenia w razie niebezpieczeństwa, karabińczyki, zawory, narzędzia, tabliczki do pisanie, marker wodoodporny, laminowane tablice dekompresyjne, rękawice neoprenowe, kaptur, stoper, pas balastowy, obciążniki na nogi i linkę asekuracyjną. Oprócz tego zapasowe egzemplarze części. Zamiast standardowego mokrego skafandra z pianki neoprenowej zakłada cieplejszy, zdecydowanie droższy suchy skafander i dwie warstwy specjalnej grubej bielizny z polipropylenu. Ma dwie butle, a nie jedną, i naprawdę potrzebuje tego całego wyposażenia.

Kiedy wynajęta łódź zbliża się do celu, kapitan za pomocą swoich urządzeń nawigacyjnych ustawia ją według „namiarów” na tyle blisko wraku, na ile to możliwe. Jego załoga, z reguły dwóch lub trzech nurków zatrudnionych na

pokładzie łodzi, znajduje oparcie dla stóp na śliskim pokładzie i łapie za linę kotwiczną. Używane na łodziach nurkowych kotwice to z reguły cztero- lub pięcioramienne stalowe haki. Przywodzą raczej na myśl urządzenia, za pomocą których Batman wdrapywał się na budynki, a nie tradycyjne kotwice admiralicji, jakie tatuują sobie na bicepsach starzy marynarze. Kotwica wisi na kilkumetrowej długości łańcuchu, przedłużonym kilkudziesięciometrową liną nylonową o średnicy dwóch centymetrów. Na znak kapitana załoga rzuca kotwicę, licząc, że sięgnie ona dna i zahaczy się gdzieś o wrak.

Precyzyjny rzut jest niezwykle ważny. Wbrew pozorom lina kotwiczna nie tylko utrzymuje łódź w miejscu. Jest dla ciebie niczym pępowina, wzdłuż niej przebywasz całą drogę do wraku i, co ważniejsze, wzdłuż niej wracasz na łódź. Nurek nie może ot, tak po prostu zeskoczyć z łodzi i rzucić się do wody, myśląc, że opadnie na dno we wraku. Zanim skoczysz do wody, łódź zdąży czasami zdryfować kilkaset metrów od wraku. A nawet jeśli pozostaje bezpośrednio nad nim, nurek, który zeskoczyłby z niej i schodził pod wodę, nie trzymając się liny kotwicznej, szybko stałby się igraszką podwodnych prądów wirujących pod powierzchnią oceanu. Mogą one znieść cię kilkaset metrów od wraku. W ciemnych wodach atlantyckich głębin, gdzie widoczność spada niekiedy do dwudziestu paru centymetrów, nurek, który wylądowałby nawet kilka metrów od wraku, mógłby błąkać się po dnie całymi latami i nic nie znaleźć. W rzadkich przypadkach, kiedy widoczność jest rewelacyjna i sięga, na przykład, 15 metrów, schodząc swobodnie na dno i lądując 16 metrów od wraku, nie masz szans, by go ujrzeć. Musisz zgadywać, w którą stronę ruszyć na poszukiwania. Jeśli obierzesz zły kierunek, zaczynasz się błąkać i po chwili zupełnie tracisz orientację. Nurek ma szansę odnaleźć wrak, tylko kiedy schodzi wzdłuż liny kotwicznej.

Jeszcze ważniejsza jest droga powrotna. Jeżeli nie jesteś w stanie określić położenia liny kotwicznej, musisz zacząć wynurzać się w miejscu, w którym się aktualnie znajdujesz. Ze swobodnym wynurzaniem wiąże się wiele zagrożeń. Bez względu na okoliczności należy się dekompresować. W zależności od czasu spędzonego pod wodą i głębokości proces ten zajmuje godzinę lub dłużej. Bez liny kotwicznej w ręku ciężko jest pozostać w bezruchu i zdecydowanie trudniej określić dokładną głębokość wymaganą do prawidłowej dekompresji. Wtedy zaczyna się problem z pęcherzykami. Jest to dopiero pierwszy z całej serii kłopotów. Jeśli nie trzymasz się liny, może znieść cię prąd. Nawet gdy zaczniesz wynurzać się dokładnie na wysokości łodzi, unosząc się swobodnie w toni i dekompresując przez godzinę, przy prądzie o sile zaledwie dwóch węzłów, lądujesz na powierzchni prawie cztery kilometry od łodzi. Z takiej odległości nie

masz szansę dostrzec łodzi, mało prawdopodobne jest też, by ktokolwiek ze statku zobaczył cię. Nawet jeśli zauważysz łódź, nie ma najmniejszych szans, by do niej dopłynąć, nawet w akcie desperacji. Cały czas znosi cię prąd, a dodatkowo dźwigasz na sobie kilkadziesiąt kilogramów sprzętu. Nie zatoniesz od razu, twój ekwipunek jest bowiem lżejszy od wody, a skafander i kamizelka wypornościowa – jacket³, utrzymują cię na powierzchni. Łatwo jednak wpaść w panikę. W zimnych wodach Atlantyku hipotermia to kwestia zaledwie kilku godzin. Przypominasz sobie wszystkie szczegóły usłysanych niegdyś dramatycznych historii o dryfujących nurkach zaatakowanych przez rekiny. Wiesz, że nawet jeżeli uda ci się przeżyć dobie, skóra wokół ściągaczy skafandra rozmięknie na tyle, że zaczniesz spod niego uchodzić powietrze i powoli jego miejsce zajmie woda. Wtedy nie da się uniknąć hipotermii. Wiesz, że nikt na pokładzie nie będzie wiedział, czy udało ci się wypłynąć. Ludzie mogą uznać, że zginąłeś gdzieś we wnętrzu wraku lub zjadły cię rekiny, nigdy jednak nie będą pewni. Problem polega na tym, że jeśli nikt nie dostrzeże cię unoszącego się gdzieś pośród białych zmarszczek na oceanie, nie ma szans, żeby znaleźli cię żywego. Jest to chyba najgorsza, najbardziej potworna rzecz, jaka może spotkać zagubionego na morzu nurka.

Ponieważ lina kotwiczna jest liną życia, pozostawienie kotwicy tylko zahaczonej o wrak jest zbyt ryzykowne. Podwodne prądy mogą ją uwolnić i pociągnąć ze sobą. Trzeba ją więc jakoś zabezpieczyć. Jest to zadanie dla załogi, która nurkuje na dół, do wraku, by zabezpieczyć kotwicę. Gdy skończą, wypuszczają na powierzchnię kilka białych styropianowych kubków. Jest to sygnał dla kapitana i nurków, że kotwica jest przywiązana i można już schodzić pod wodę.

Kiedy sygnał dotrze do nurków, rozpakowują cały swój rynsztunek i zaczynają go na siebie zakładać. Ubrany nurek dokładnie sprawdza cały sprzęt, opukuje, ciągnie, uciska i ostukuje wszystko niczym pilot w samolocie. Pod wodą nie będzie mógł sobie pozwolić na ten luksus. Jeśli ma jakieś wątpliwości co do sprzętu, niejasne przeczucie, że coś jest nie w porządku, musi działać teraz.

Dobrego nurka można poznać po tym, jak się ubiera. Wydaje się, że ekwipunek stanowi integralną część jego ciała. Zna każdą najmniejszą nawet jego część, wszystkie paski są idealnej długości, narzędzia po mistrzowsku przypięte, wszystko pasuje. Dopóki nie zmieni się w morskiego stwora, porusza się instynktownie, niczym baletmistrz manipulując rękami i całym stukającym i kłapiącym sprzętem. Rzadko potrzebuje pomocy. Gdy ktoś poruszy się, by mu pomóc, z reguły usłyszy: „Nie, dziękuję” lub raczej: „Nie dotykaj moich

rzeczy”. Prawdziwy pasjonat woli noże za dziesięć dolarów od tych za sto. Kiedy zgubi tańszy, nie będzie czuł się zobligowany, by pod presją narkozy azotowej ryzykować życie i za wszelką cenę szukać zguby na dnie. Nie dba o piękny wygląd swojego sprzętu – często pokrywa go naklejkami, graffiti i naszywkami świadczącymi o dawnych wypadach nurkowych. Nie uznaje jaskrawych kolorów. Żółtodzioby, które wybierają te barwy, dosyć szybko usłyszą o nich opinię wytrawnej załogi. W pełnym rynsztunku nurkujący głęboko wygląda jak mechanizm szwajcarskiego zegarka, inni przypominają raczej wnętrze dziecięcego kufra z zabawkami.

Kiedy nurek stoi obładowany sprzętem, wygląda niczym 160-kilogramowy, zgarbiony, neoprenowy małpolud. W tym stroju potrzebujesz kilku sekund, by w płetwach przeczłapać na drugą stronę śliskiego pokładu. Wystarczy jedna nieoczekiwana fala, żebyś jak długi wyłożył się na pokładzie. Oddychając powietrzem z podwójnych butli, twinseta, będziesz mógł spędzić jakieś 25 minut na głębokości 60 metrów, po czym poświęcić godzinę na wynurzenie i dekompresję.

Kiedy tylko wskoczysz do wody, butle nagle przestają ci ciążyć, wręcz przeciwnie, czujesz, jakby wynosiły cię na powierzchnię. Łapiesz „granny”⁴, żółtą linę pociągniętą pod łodzią z rufy do liny kotwicznej. Odkręcasz zawory suchego skafandra i jacketu, by wypuścić z nich odrobinę powietrza i nadać sobie lekko ujemną pływalność. Dzięki temu powoli opadasz pod wodę, by zatrzymać się, unosząc niczym duch na głębokości metra z kawałkiem. Schodzisz po „granny” aż do liny kotwicznej. Wypuszczasz jeszcze trochę powietrza i zaczynasz powoli opadać.

Jesteś na drodze do wraku. Z reguły schodzisz tam samotnie. Jest to najbardziej uderzające w tym sporcie. Nurkujący głęboko bierze ze sobą pod wodę mnóstwo rzeczy, ale zostawia na górze partnera. W nurkowaniu rekreacyjnym partner to podstawa. Ludzie zawsze pływają w parach, by w dowolnym momencie móc sobie pomóc. W płytkiej, przejrzystej wodzie partner jest gwarancją bezpieczeństwa. Może podzielić się swoim powietrzem w razie awarii aparatu i wyprowadzić zestresowanego kolegę na powierzchnię lub wypłatać go z żyłki rybackiej. Samą swoją obecnością zapewnia komfort i poczucie bezpieczeństwa. Na dnie Atlantyku jednak nawet pełen dobrych chęci nurek może zabić siebie i swojego partnera. Człowiek, który wciska się do zgniecionego przedziału wraku, by pomóc drugiemu, sam może znaleźć się w potrzasku. Może też do tego stopnia zmącić wodę i ograniczyć widoczność, że żaden z nich nie będzie w stanie odnaleźć drogi na zewnątrz. Próbując podzielić się swoim powietrzem lub pomóc spanikowanemu koledze – a więc chcąc zrobić

coś, co jest podstawowym obowiązkiem partnera w nurkowaniu rekreacyjnym – ryzykuje się życie. Nurek duszący się na głębokości 60 metrów traktuje swojego żywego kolegę jak ostatnią deskę ratunku, gotów jest go zabić, żeby zabrać mu zapas gazu. Zdarzało się, że kompletnie spanikowani ludzie atakowali nożem swoich potencjalnych wybawców, wyrwali im z ust aparaty oddechowe i wyciągali ich z głębin bez dekompresji – wszystko w dzikiej, szalonej próbie wydostania się na powierzchnię.

Samo przyglądanie się drugiej osobie pogrążonej w panice na tych głębokościach może okazać się niebezpieczne. Z powodu narkozy azotowej na głębokości 60 metrów twoje emocje są i tak dosyć silne. Kiedy znajdziesz się twarzą w twarz z nurkiem, który jest przekonany, że nadchodzi jego koniec, możesz nagle dostrzec świat jego oczami, zobaczyć przez pryzmat paniki wszystkie potworności, które w każdej chwili mogą ci się przydarzyć. Albo sam spanikujesz, albo, co bardziej prawdopodobne, spróbujesz go uratować. Tak czy inaczej, od tego momentu tracisz poczucie bezpieczeństwa, nie wiesz, co stanie się za chwilę. Bynajmniej nie chcę tu sugerować, że nurkowie nie powinni pracować lub nie pracują razem we wraku – robią to bowiem często. Jednak w kwestii bezpieczeństwa dobrzy nurkowie nigdy nie polegają na innych. Ich filozofia opiera się na wyrachowanej niezależności i założeniu, że muszą sobie radzić sami.

Schodzenie na dno wzdłuż liny kotwicznej to w sumie nic wielkiego. Z reguły dotarcie do leżącego na głębokości 60 metrów wraku zajmuje od dwóch do czterech minut. Schodząc, nie czujesz praktycznie swojej wagi niczym podwodny astronauta. Przez pierwszych kilka metrów twój świat jest przejrzysty i błękitny. Nad głową widzisz igrające na powierzchni fal żółte plamy światła słonecznego. Na niedużych głębokościach nie ma zbyt wielu zwierząt, od czasu do czasu przepłynie obok ciebie tuńczyk lub delfin zaintrygowany dziwnym kształtem i hałaśliwymi bąblami o płaskim dnie. Dobiegają do ciebie dwa odgłosy, syk aparatu oddechowego podczas wdechu i trzaski bąbli wydychanego powietrza. Będą towarzyszyły ci w czasie całej przygody niczym metronom. Kiedy schodzisz niżej, sceneria zmienia się jak w kalejdoskopie. Prądy, widoczność, światło i stworzenia morskie, wszystko to zmienia się wraz z głębokością, i to w zupełnie nieprzewidywalny sposób. Wówczas nawet zwykłe zejście wzdłuż liny kotwicznej zamienia się w prawdziwą przygodę.

Schodzisz na 55 metrów i stajesz twarzą w twarz z wrakiem, pogiętym, powgniatanym i połamanym w dziwaczny sposób, zupełnie wbrew naturze. Scenografowie z Hollywood nigdy nie potrafili uchwycić tego typu brutalnych zakończeń, nie są w stanie oddać tego, w co mogą zamienić się całkiem

zwyczajne przedmioty. Rury, przewody i druty sterczą z otwartych ran, wybebeszone instalacje wychodzą na wierzch. Przez zniszczony wrak przepływają w tę i z powrotem całe ławice ryb. Wszystko pokryte jest wodorostami do tego stopnia, że daje się rozpoznać jedynie najbardziej charakterystyczne kształty, śrubę, płetwę sterową i bulaje. Reszcie musisz się naprawdę długo przypatrywać, zanim dostrzeżesz kształty całego statku. Niezwykle rzadko, kiedy woda jest naprawdę przejrzysta, może udać ci się ogarnąć wzrokiem cały wrak naraz. Zwykle widzisz jedynie jego fragmenty, zwłaszcza że twoje pole widzenia zawężone jest z powodu narkozy azotowej.

Masz może 25 minut na to, by zająć się wrakiem, potem musisz zacząć wracać na powierzchnię. Jeśli miałeś w głowie plan, możesz od razu skierować się w interesujący cię rejon wraku. Większość nurków pozostaje wyłącznie na zewnątrz. Schodzą na dno tylko po to, by dotknąć statku, rozejrzeć się za porozrzucanymi w jego pobliżu przedmiotami lub porobić trochę zdjęć. Za każdym razem robią z grubsza to samo. Duch statku spoczywa jednak w jego wnętrzu. Tam powstawała jego historia i tam można odkryć zamrożone w bezruchu ostatnie sceny z życia załogi. Wnętrze kryje całe wyposażenie mostka, telegraf, ster i busolę pokazującą niegdyś kurs. Można tu znaleźć bulaje, pogrzebane manometry i zegarki kieszonkowe opieczętowane znakami narodowymi i morskimi. Pod warstwą mułu spoczywają walizki i trzymane na ważne okazje butelki szampana. Tylko we wnętrzu wraku znajdziesz mosiężny zegar z wygrawerowanym znakiem producenta i wskazówkami, które zamarły na cyferblacie w chwili zatonięcia statku.

Te wnętrza mogą być naprawdę przerażające. Porządek przestrzeni został zupełnie zachwiany, liniowość uległa do tego stopnia wypaczeniu, że ludzie zupełnie tutaj nie pasują. Korytarze urywają się nagle w połowie długości, a zarwane sufity blokują schody. Trzymetrowej niegdyś wysokości drzwi okazują się teraz półmetrowe. Salony, w których damy zwykły grać w brydża, i kajuty, gdzie kapitanowie kreślili na mapie kurs, przewrócone są do góry nogami, na bok lub w ogóle nie istnieją. Niekiedy ze ściany sterczy wanna. Być może ocean na zewnątrz jest niebezpieczny, ale jest bezkresny, gdziekolwiek spojrzeć. Natomiast wewnątrz wraku, gdzie architektem jest chaos, ukryte zagrożenia czekają na każdym kroku i dają o sobie znać zupełnie nieoczekiwanie. Dla wielu ludzi pogrążone w głębinach truchło statku jest najbardziej niebezpiecznym miejscem, jakie było im dane odwiedzić w ciągu całego życia.

Nurek, który wpływa do wnętrza wraku, zwłaszcza z zamiarem dotarcia do jego głębszych części, musi nauczyć się postrzegać przestrzeń zupełnie inaczej niż na lądzie. Trzeba nauczyć się myśleć w trzech wymiarach, kierując się

wskazówkami, które na łądzie mogą się wydawać zupełnie absurdalne – *obrócić się w lewo, opuścić się niżej, popłynąć na ukos do góry i wzdłuż spawu w prawo*. Musisz pamiętać dokładnie wszystko – każdy obrót, skręt, wzniesienie się i opadnięcie – na dodatek w otoczeniu niemal zupełnie pozbawionym znaków szczególnych, gdzie wszystko pokryte jest dywanem jamochłonów. Jeśli chociaż na chwilę zawiedzie cię zmysł orientacji lub pamięć, zaczniesz zadawać sobie pytania w rodzaju: *Czy przepłynąłem przez dwa, czy przez trzy pomieszczenia, zanim dotarłem do kajuty kapitana? Czy zanim wspiąłem się na tę wieżyczkę strzelniczą, płynąłem w lewo, prawo i prawo czy w prawo, lewo i prawo? Czy nie zdając sobie z tego sprawy, wpłynąłem na inny pokład? Czy to jest ta rura, którą widziałem przy wyjściu z wraku, czy któraś z sześciu rur, jakie zobaczyłem, płynąc tutaj?* Tego typu pytania są dosyć kłopotliwe. Oznaczają, że najprawdopodobniej się zgubiłeś.

Zagubiony we wnętrzu wraku nurek jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ma ograniczony zapas powietrza. Jeśli nie znajdziesz drogi do wyjścia, utoniesz. Gdy znajdziesz drogę, ale zużyjesz zbyt dużo powietrza z butli – może zabraknąć go na prawidłową dekompresję. W takich momentach daje o sobie znać narkoza, szumiąca już od pewnego czasu w głębi mózgu. Niczym z zaciętej płyty gramofonowej w głowie kołacze się uporczywie coraz bardziej donośny głos: *Jestem zgubiony, jestem zgubiony, jestem zgubiony, jestem zgubiony...* Zastanawiasz się coraz poważniej, czy nie odgadnąć drogi do wyjścia. Jeśli ulegniesz tej pokusie, zaczniesz błądzić niczym pijane dziecko we mgle. Szukając na oślep drogi, gubisz się w niezliczonych ślepych zaułkach i wiodących donikąd korytarzach statku. Każdy fałszywy ruch pogłębia twoją dezorientację. Kończy się powietrze. Masz coraz mniej czasu. Tak właśnie zagubiony nurek staje się kolejnym trupem.

Nawet jeśli nie masz kłopotów z nawigacją, musisz brać pod uwagę słabą widoczność. Na dnie oceanu, na głębokości 60 metrów, jest bardzo ciemno. We wnętrzu wraku jest jeszcze ciemniej, czasami panuje tam zupełny mrok. Gdyby widoczność zależała tylko od oświetlenia, czołówka i latarka załatwiałyby problem. Wrak pełen jest jednak mułu i gruzu. Wystarczy najdelikatniejszy nawet ruch – sięgnięcie po talerz, kopnięcie płetwą lub obrót w celu zapamiętania czegoś charakterystycznego w wyglądzie pomieszczenia – by szlam wzburzył się i ograniczył widoczność. W tej zupełnej ciemności czujesz się, jakbyś nurkował w mroku, wśród cieni, polując nie na sam wrak, ale na jego mgliste kontury.

Bynajmniej nie pomagają ci bąbelki. Wydychane powietrze wzburza i podnosi

szlam i rdzę. Samym oddechem jesteś w stanie wywołać istną burzę płatków rdzy – dużych jak ziarno grochu i małych niczym kryształki cukru. Bąble wzbudzają również olej napędowy, który zawsze nieuchronnie wycieka ze zbiorników i maszyn, rozlewając się po całym wraku. Powietrze rozpyla olej w mgiełkę, która oblepia twoje usta i pokrywa maskę, jeszcze bardziej pogarszając widoczność. Nie ma już „prawo” i „lewo”. W mgle mułu, rdzy i oleju jakakolwiek nawigacja wydaje się niemożliwa.

Aby zapobiec wzburzaniu mułu, nurkowie uczą się przemieszczać za pomocą minimalnych ruchów. Niektórzy poruszają się niczym kraby, odpychając się jedynie koniuszkami palców, trzymając płetwy gdzieś za sobą, zupełnie nieruchomo. Nie machają nimi, by się wznieść lub opaść, robią to, nabierając powietrza w płuca lub w ostateczności spuszczać lub pompując jacket – regulujący wyporność pęcherza między plecami a butłami. Kiedy dotrą do jakiegoś ciekawego miejsca, regulują wyporność tak, by ukłęknać, delikatnie dotykając podłóża kolanami i ramionami.

Te wszystkie środki ostrożności mogą co najwyżej odwlec najgorsze. Jeśli spędzisz we wraku dużo czasu, z pewnością uda ci się w pewnym momencie popsuć widoczność – kwestia jak szybko i jak bardzo. Kiedy podniesie się chmura szlamu, płatków rdzy i drobinek oleju, widoczność we wraku może pogorszyć się na kilka minut, czasami nawet na dłużej. Nawet jeśli radzisz sobie wyśmienicie z nawigacją we wnętrzu wraku, widzisz tak źle, że nie jesteś w stanie dotrzeć do wyjścia. Każdy ruch wzbija kolejne chmury mułu. Przy zerowej widoczności możesz być dwa metry od wyjścia i nigdy go nie znaleźć. Świadomość tego niezbyt dobrze wpływa na twoje samopoczucie, zwłaszcza w stanie narkozy azotowej. W rytmie tam-tam⁵ nawet błahostki urastają do rangi potwornych problemów, niewątpliwie zaś zerowa widoczność jest jedną z gorszych rzeczy, jakie mogą ci się przytrafić. We wszechogarniających ciemnościach oślepiiony nurek aż się prosi, żeby się zgubić.

Jakby mało było problemów z nawigacją i widocznością, we wnętrzu wraku musisz się liczyć z jeszcze jednym niebezpieczeństwem, może nawet bardziej paskudnym od pozostałych. W całej gwałtowności, z jaką tonie statek, jego sufity, ściany i podłogi wypluwają swoje wnętrzności. Uporządkowane niegdyś przestrzenie wypełniają się płataniną przewodów elektrycznych, drutów, pogiętych metalowych sztab, sprężyn z materaców, ostrych odłamków potrzaskanych sprzętów, nóg od krzeseł, obrusów, rur i innych sprzętów, które zupełnie niedostrzegalnie służyły niegdyś pasażerom i załodze. Teraz wszystkie stanowią zagrożenie, stercząc zupełnie obnażone na drodze nurka. Czekają tylko, by zahaczyć się o rurę aparatu oddechowego, niezbędnik lub którąś z

innych wystających części wyposażenia trzymających nurka przy życiu. Kiedy zapłaczesz się w coś takiego, stajesz się marionetką. Wszelkie próby wyszarpania się z tego gąszczu mogą zakończyć się utknięciem w nim na zawsze. Przy złej widoczności trudno uniknąć wpadnięcia w te sidła – nie ma chyba doświadczonego nurka, któremu by się to nie przytrafiło i to przynajmniej kilka razy.

Zagubiony lub zaplątany we wnętrzu wraku nurek staje twarzą w twarz ze Stwórcą. We wrakach znajdowano ciała z oczami i ustami rozwartymi z przerażenia. Zwłoki nieszczęsnych nurków, wciąż zagubionych, wciąż ślepych, wciąż zaplątanych lub wciąż unieruchomionych. Jest jedna dziwna prawidłowość związana z tymi wszystkimi zagrożeniami – rzadko kiedy nurka zabija sam problem i niebezpieczeństwo. To jego reakcja na zagrożenie, a przede wszystkim to, czy zachowa zimną krew, decyduje, czy uda mu się przeżyć.

To, co się dzieje ze spanikowanym nurkiem we wnętrzu wraku, wygląda następująco:

Przyspieszają tętno i oddech. Na głębokości 60 metrów każdy wdech wymaga siedmiokrotnie większej objętości powietrza niż na powierzchni. W panice nurek może opróżniać swoje butle tak szybko, że strzałki manometrów opadają dosłownie na jego oczach. Sam ten widok przyspiesza jeszcze akcję serca i oddech, co z kolei pozostawia jeszcze mniej czasu na rozwiązanie problemu. Cięższy oddech oznacza cięższą narkozę. Narkoza wzmacnia panikę. Zaczyna się błędne koło.

Odpowiedź na panikę jest błyskawiczna i niezwykle silna, dokładnie tak, jak zaplanowała to ewolucja. Ale we wraku, gdzie każde niebezpieczeństwo może pociągnąć za sobą mnóstwo innych, wszelkie akty desperacji mogą wyłącznie pogorszyć sytuację. Zgubiwszy się, możesz wpaść na coś, poszukując w panice wyjścia. Nagłe ruchy podniosą chmurę mułu i osłabią widoczność – nie dość, że nie wiesz, gdzie jest wyjście, to jeszcze nic nie widzisz. Zaczynasz jeszcze bardziej nerwowo szukać drogi na zewnątrz. Miotając się, możesz się w coś zaplątać lub strącić na głowę coś ciężkiego. Oddychasz coraz ciężiej i widzisz, jak nieuchronnie opadają wskazówki manometrów.

Możesz wezwać pomoc. Głos całkiem nieźle rozchodzi się pod wodą, problem polega na tym, że nie da się określić kierunku, z którego dobiega. Nawet jeśli ktoś usłyszy twoje wołanie, jest mało prawdopodobne, aby mógł ci przyjść z pomocą. Kiedy jesteś samotnie uwięziony we wraku, twój mózg nie jest w stanie wydusić z siebie nic rozsądnego, po głowie krążą tylko myśli typu: *Zaraz umrę! Wyjść! Wyjść!* Starasz się coraz bardziej. Wskazówki opadają. Jest ciemno. To już chyba koniec.

W 1988 roku Joe Drozd, świetnie wyszkolony nurek z Connecticut, zapisał się na wyprawę na pokładzie *Seekera* do wraku *Andrei Dorii*. Miała być to jego pierwsza podróż do słynnego wraku, wreszcie spełniały się marzenia. Aby dodatkowo się zabezpieczyć, dołożył do zwykłego podwójnego zestawu trzecią butlę z powietrzem – małego awaryjnego „kucyka”. „Na wszelki wypadek” – tłumaczył wszystkim. Drozd i jego dwaj partnerzy dostali się do wraku przez dziurę Gimbela – owiany grozą prostokątny otwór w ścianie pokładu pierwszej klasy, otwarty w 1981 roku przez Petera Gimbela⁶, dziedzica fortuny Gimbelów. Otwór ten odcina się czernią od zielonego oceanu. Wiedzie prosto w dół, niemal 30 metrów, a sam jego widok mrozi krew w żyłach nawet najbardziej doświadczonym nurkom.

W chwilę po wpłynięciu do wraku, na głębokości około 60 metrów, jeden z zaworów aparatu oddechowego na plecach Drozda zaplątał się w 30-metrową żółtą linę z polipropylenu, zostawioną tu przez innego nurka jako wskazówka. W sprzyjających warunkach poprosiłby swoich partnerów o pomoc. Ale na głębokości 60 metrów, kiedy w głowie szumi narkoza, warunki nigdy nie są sprzyjające. Joe mógł z łatwością odciąć linę i się uwolnić. Sięgnął po nóż, jednak zamiast chwycić go prawą ręką, której normalnie używał, złapał go lewą, prawdopodobnie dlatego, że zaplątał się z tej właśnie strony. Kiedy nieporadnie sięgał, usiłując przeciąć linę, zupełnie niespodziewanie docisnął zawór spustowy swojego suchego skafandra. Ze skafandra zaczęło uchodzić powietrze. Drozd stracił wyporność i zaczął tonąć. Im głębiej się znajdował, tym mocniej działała narkoza, w końcu zaczęła go zwycięzać.

Opadając, bardzo szybko stracił zdrowy rozsądek. Za każdym razem, kiedy sięgał, by przeciąć linę, dociskał zawór spustowy, wypychając ze skafandra powietrze. W ten sposób stawał się coraz cięższy. Narkoza nasilała się, zupełnie blokując myślenie, toteż nie przyszło mu do głowy, żeby przełożyć nóż do drugiej ręki. Zaczął coraz szybciej oddychać. Narkoza dawała się we znaki coraz bardziej. Działając w coraz większym pośpiechu, Joe zużył całe powietrze z pierwszej butli i przez pomyłkę, zamiast na drugą z dużych, przełączył aparat na małą butlę.

Kilka minut później uwolnił się z oplatającej go liny. Przez ten czas jego partnerzy zorientowali się, że coś jest nie w porządku, i podpłynęli, by mu pomóc. W potwornej narkozie, zaciskającym się coraz bardziej suchym kombinezonie, opadając coraz to głębiej, Drozd zużył całe powietrze z tego, co uważał za swoją drugą butlę.

Wtedy dopłynęli do niego obaj partnerzy. Jeden złapał go i usiłował wypłynąć

na zewnątrz *Dorii*, ale Joe, który stracił powietrze z suchego skafandra, był zbyt ciężki. Nurkowie musieli zrobić coś, by nie tonął dalej. Jeden z nich dopuścił powietrza do swojego skafandra, zwiększając swoją wyporność na tyle, by łatwiej można było wyciągnąć Drozda z wraku. Ten jednak, spragniony powietrza, przekonany, że obydwie główne butle są puste, wpadł w histerię. Szarpał się ze swoimi wybawcami, dopóki nie uwolnił się z uchwytu. Nurek, który go trzymał, pozbawiony balastu w postaci Joego zyskał nagle nadmierną wyporność i wystrzelił do góry, nie będąc w stanie w całej tej szamotaninie wypuścić powietrza ze skafandra. Wypłynął z wraku. W płytszej wodzie, pod naporem coraz to niższego ciśnienia, z każdym metrem zyskiwał coraz większą wyporność. Po chwili był już na 30 metrach i wciąż leciał jak strzała ku powierzchni. Gdyby wypłynął bez dekompresji, uszkodziłby sobie poważnie ośrodkowy układ nerwowy albo się zabił. Wznosząc się w takim tempie, nie był w stanie wypuścić powietrza. W polu widzenia nie było liny kotwicznej, a on wciąż się wznosił.

Na dole, we wnętrzu *Dorii*, Joe wypłuł z ust swój aparat. Jest to poniekąd całkiem normalna reakcja człowieka ogarniętego paniką. Do jego płuc wdarła się słona woda, którą próbował odruchowo wykrztusić. Pole widzenia zawężyło się do tego stopnia, że widział tylko ciemność. Drugi z partnerów podał mu swój zapasowy aparat oddechowy, ale Drozd rzucił się na niego, wymachując z wściekłością nożem. Pod wpływem potwornej narkozy jego umysł rozpadł się na milion kawałków. Joe odwrócił się i popłynął w głąb wraku z pełną butlą na plecach i wiszącym u boku aparatem. Wciąż machał na wszystkie strony nożem, jakby chciał pociąć ocean na plasterki. Płynął tak, dopóki nie zniknął na zawsze w ciemnych czeluściach wraku.

Dotkniętemu narkozą i przerażonemu całą sytuacją partnerowi również zaczęła grozić panika. Był przekonany, że Drozd i jego partner nie żyją. Sprawdził manometry, potwierdzając swoje najgorsze obawy: przekroczył limit czasu, powinien już zacząć dekompresję. Zaczął się wynurzać w przekonaniu, że z całej trójki tylko jemu dane było przeżyć.

Jednak zdarzył się cud. Na głębokości niecałych 20 metrów pierwszemu z nurków udało się w końcu wypuścić trochę gazu z kombinezonu i spowolnić wynurzenie. W tej samej niemal chwili dostrzegł linę kotwiczną, przecinającą wody oceanu wstęgę, dar Boga. Podpłynął i chwycił ją z całych sił, jakby była życiem. Przeżył bez żadnego uszczerbku na zdrowiu. Drugi nurek zakończył dekompresję i też przeżył, ciężko przerażony, ale nietknięty. Drozd zginął z pełną powietrza butlą na plecach.

Nie wszyscy nurkowie poddają się panice tak jak Joe. Naprawdę dobry nurek uczy się okiełznywać emocje. W momencie kiedy się zgubi, straci widoczność, zapłacze lub zaklinuje, mimo otępiającego działania narkozy tłumi w sobie utrwalony przez miliony lat ewolucji odruch, żeby się wyrwać. Stara się uspokoić i skoncentrować, czekając, aż uspokoi się nieco jego oddech, trochę odpuści narkozę i powróci zdrowy rozsądek. W ten sposób zwycięża w sobie to co ludzkie i staje się czymś zupełnie innym, wyzwolonym spod mocy instynktu wybrykiem natury.

Aby wejść w taki stan, musisz poznać najgłębsze zakamarki i tajemnice strachu. Trzeba znać go od podszewki, być z nim za pan brat – tylko wtedy będziesz w stanie sobie poradzić, kiedy ten dorwie cię we wnętrzu wraku. Dochodzi się do tego długimi latami. Wymaga to poznania teorii, dyskusji z doświadczonymi nurkami i ich porad, poważnych przemyśleń, no i oczywiście praktyki i ciężkich doświadczeń. Kiedy w pracy szef przedstawia ci najnowsze wyniki sprzedaży, kiwasz potakująco głową, myśląc: *Cokolwiek złego działoby się we wraku, wszystko jest w porządku, dopóki oddycham*. Płacąc rachunki i przerzucając kanały w telewizorze, mówisz do siebie w myślach: *Jeśli znajdę się w tarapatach we wnętrzu wraku, muszę zwolnić. Dać sobie spokój. Muszę nabrać przekonania, że mi się uda*. Im bardziej jesteś doświadczony, tym większy sens dostrzegasz w tym, co radzą wielcy nurkowie: „Poradź sobie z pierwszym problemem spokojnie i do samego końca, zanim zaczniesz nawet myśleć o kolejnym”.

Zwykły amator nurkowania czasami spieszy się, by uporać się z problemami na tyle szybko, by inni nie mogli być świadkami jego zmagania. Kiedy stawką jest życie, zdyscyplinowany nurek woli zaryzykować upokorzenie. Nie jest też tak chciwy. Wie, że ludzie pochłonięci pogonią za przedmiotami przestają skupiać się na nawigacji i przetrwaniu. Nawet pogrążony w narkozie pamięta, że trzy czwarte nurków, których pochłonoło wnętrze *Andrei Dorii*, zginęło z siatkami pełnymi trofeów. Wie, że kiedy znajduje sześć talerzy i widząc siódmy, myśli: *Nie mógłbym spojrzeć w lustro, gdyby ktoś inny zdobył ten talerz* – słyszy w głowie tylko głos narkozy. Bierze sobie do serca słowa kapitana łodzi czarterowej Danny’ego Crowella, który pokazując swoim klientom wiadro pełne popękanych talerzy i pogiętego srebra, mówi:

– Chcę, żebyście zobaczyli ten towar. Jeden facet oddał za to życie. Znaleźliśmy to w jego siatce. Wygląda na ciężkie. Dotknijcie sami. Czy ta kupa gówna jest warta waszego życia?

Po opuszczeniu wraku zaczynasz drogę powrotną na łódź. Jeśli wszystko

poszło zgodnie z planem, przepełnia cię radość ze zwycięstwa, gdy dokucza ci narkoza, możesz czuć się zupełnie otumaniony. Nie wolno ci jednak się odprężyć. Droga ku powierzchni oceanu obfituje w niebezpieczeństwa, a każde z nich może pokonać nawet najlepszy.

Zaczynasz się wynurzać, gdy tylko dotrzesz do liny kotwicznej. Ale nie możesz wypłynąć wzdłuż niej na powierzchnię niczym balon. Jeśli coś rozproszy twoją uwagę, na przykład zobaczysz rekina lub uciekniesz gdzieś myślami, może okazać się, że przegapiłeś któryś z przystanków koniecznych do właściwej dekompresji. Podczas wynurzania wzdłuż liny dobry nurek stara się osiągnąć neutralną wyporność. Niemal nic nie ważąc, możesz napędzać się delikatnymi pociągnięciami płetw lub kopnięciami, ale jeżeli nic cię nie rozproszy, nigdy nie ominiesz w pędzie ważnych przy wynurzaniu przystanków. Wznosząc się, stopniowo wypuszczasz powietrze ze skafandra i jacketu, dzięki czemu cały czas zachowujesz neutralną wyporność i zapobiegasz nagłemu wystrzeleniu ku powierzchni.

Zakładając, że woda jest spokojna, gdy się wynurzasz, przeprowadzając dekompresję, podczas kolejnych przystanków spędzisz zupełnie beczynn timer godzinę lub dłużej. Po raz pierwszy zawisasz na głębokości 20 metrów, docierają tu już promienie słoneczne i czujesz, że woda jest cieplejsza. Może być zupełnie przejrzysta albo mętna. Czasami jest spokojnie, niekiedy jednak roi się od meduz i innych drobnych stworzeń. Najczęściej woda jest zielonkawoniebieska. Przemieszczając się tak między światami, nie czując swojej wagi, wolny od narkozy, z dala od czyhającego w głębinach niebezpieczeństwa, masz wreszcie trochę czasu, by pomyśleć o tym, co zobaczyłeś.

Wypływasz na powierzchnię w pobliżu dziobu łodzi. Teraz zostaje ci tylko przepłynąć wzdłuż burty lub pod kilem i dotrzeć do spuszczonej z rufy metalowej drabinki. Musisz wspiąć się na pokład – i nurkowanie skończone. Na spokojnych wodach ten ostatni etap to rutyna. Kiedy jednak morze jest wzburzone, stalowa drabinka zamienia się w nieokiełznane dzikie zwierzę.

Historia ta przydarzyła się w 2000 roku. George Place właśnie wynurzył się na powierzchnię po nurkowaniu na jednym z przybrzeżnych wraków. Sięgnął po drabinkę spuszczoną z rufy *Eagle's Nest*. Morze było rozjuszona, a horyzont zasnuwały ciemności. Kiedy łódź uniosła się gwałtownie na fali, drabinka podskoczyła i uderzyła George'a w szczękę. Oszołomiony i ledwie przytomny rozluźnił uchwyt. Gwałtowny prąd porwał go i poniósł zupełnie dezorientowanego za rufę. Łodzie nurkowe ciągną za sobą przyczepioną do bojki linę bezpieczeństwa, którą dryfujący nurek może chwycić i przyciągnąć się

z powrotem do statku. Place nie był w stanie jej złapać. Nurek, który znajdzie się poza zasięgiem liny bezpieczeństwa, narażony jest na poważne niebezpieczeństwo.

Ktoś z pokładu pobiegł zawiadomić kapitana Howarda Kleina. Kiedy jednak Klein dotarł na rufę, George był już poza zasięgiem wzroku. Kapitan nie mógł po prostu odciąć kotwicy i ruszyć łodzią na poszukiwanie, bo wzdłuż liny dekompresowali się jeszcze inni nurkowie. Chwycił więc krótkofalówkę, wskoczył do pontonu i ruszył na poszukiwanie zaginionego nurka. Morze było coraz bardziej wzburzone, toteż w ciągu kilku sekund Howard również zniknął z pola widzenia. Po minucie nadał przez radio, że wysiadł mu silnik na pontonie. Zaczął dryfować, stopniowo oddalając się od łodzi. Widział ją tylko, gdy znalazł się na grzbiecie fali. W tym czasie żona Place'a, bosman na pokładzie *Eagle's Nest*, nadawała przez radio mayday. Jej wezwanie dotarło tylko do łodzi rybackiej, oddalonej o jakąś godzinę drogi. Załoga obiecała spróbować powiadomić inny, znajdujący się nieco bliżej statek. Od tego momentu nikt nie mógł już nic zrobić. Pozostało tylko modlić się, by George był wciąż przytomny.

Po półgodzinie Kleinowi udało się uruchomić silnik pontonu. Przez ten czas zdryfował jednak zbyt daleko, by wierzyć, że uda mu się znaleźć Place'a. Wrócił więc na swoją łódź. Chwilę potem załoga *Eagle's Nest* odebrała przez radio komunikat. Rybacy dostrzegli George'a jakieś pięć mil od łodzi nurkowej. Był żywy. Dryfował przez ponad dwie godziny. Klein, już ze wszystkimi nurkami na pokładzie, odebrał Place'a przemarzniętego do szpiku kości, ale zdrowego. Po tym wydarzeniu nurkowie z pokładu *Eagle's Nest* zaczęli wierzyć w cuda.

George'owi brakowało dosłownie dziesięciu sekund do zakończenia półtoragodzinnego nurkowania, w tej ostatniej chwili stanął jednak twarzą w twarz ze śmiercią. Był to kolejny przykład, jak naprawdę wygląda ten sport i życie ludzi, którzy go uprawiają.

Nurkując na głębokich wrakach, nikt nie może być pewny swojego bezpieczeństwa aż do momentu, kiedy stanie z powrotem na pokładzie.

¹ Zasada ciśnienia parcjalnego (cząstkowego) gazu (przyp. red).

² W czasach, gdy na świecie rodziło się pojęcie nurkowania technicznego, stosowano tabele dekompresyjne opracowane przez Bulhmana oraz amerykańską armię dla nurkowań powietrznych. Zakładały one, że nurek wychodzący z wody może mieć dwa bary w tkankach, a w trakcie wynurzenia przesycenia nawet je przekraczały. Dziś wiemy, że stosowanie takich dekompresji niesie ryzyko wystąpienia choroby dekompresyjnej. Obecnie stosuje się mieszaniny gazowe akcelerujące dekompresję oraz bardziej rozwinięte modele dekompresyjne zakładające między innymi początkowe i końcowe przesycenie gazami obojętnymi – na Gradient Factor (przyp. red.)

³ Kamizelka ratunkowo-wypornościowa – urządzenie, które łączy funkcję noszaka butli oraz pęcherza wypornościowego pompowanego za pomocą gazu z butli lub wydychanego przez nurka. Nazwa „jacket” jest wykorzystywana nie do końca poprawnie do określania „skrzydeł” – worków wypornościowych na ogół w kształcie podkowy, umieszczanych pomiędzy uprzężą a butlami na plecach nurka – wyposażonych w takie samo urządzenie inflacyjne jak jacket (przyp. red.).

⁴ Granny – w bezpośrednim tłumaczeniu „babcia” – lina pomocnicza, dzięki której nurek zaraz po wejściu do wody nie musi zmagać się z prądem, najsilniejszym zazwyczaj przy powierzchni (przyp. red.).

⁵ Puls tętnic, który w charakterystyczny sposób słychać pod wodą, w szczególności w sytuacji stresowej (przyp. red.).

⁶ Peter R. Gimbel – spadkobierca sieci sklepów Gimbels, założonych przez żydowskiego imigranta Adama Gimbela przed 1887 r. Po śmierci brata bliźniaka Gimbel poświęcił się eksploracji i podwodnej fotografii. Opublikował serię zdjęć z nurkowania na *Dorii* w 1956 roku, przeprowadził transmisję na żywo z otwarcia sejfu tego wraku w 1984 r., a także nakręcił i wyprodukował film fabularny „Blue Water, White Death”, będący inspiracją dla książki „Szczęki” Petera Benchleya (przyp. red.).



Helmuth Neuerburg. Arch. Jürgen Neuerburg

ROZDZIAŁ 3

KSZTAŁT MOCY

S

seeker pruć fale już jakieś 20 minut. Za szaroczną linią horyzontu skryły się ostatnie nocne światła wybrzeża Jersey. O tym, że czternastu mężczyzn wyruszyło w poszukiwaniu szczęścia, świadczyły tylko zapalone światła łodzi, oznaczające „statek o napędzie mechanicznym w drodze” – białe na szczycie masztu, zielone na prawej burcie i czerwone na lewej.

Bill i John ustawili samoster. *Seeker* miał dotrzeć na miejsce za sześć godzin. Wszyscy klienci rozebrali się i poukładali na drewnianych ławach ciągnących się wzdłuż ścian mesy. Większość z nich bez problemu znalazła sobie miejsce. Na ławach rozłożyli koce i śpiwory. Nikt nie miał odwagi, by położyć się bez ubrania na którymś ze służących za posłanie niebieskich materacy gimnastycznych. Wiele jest romantycznych woni, jakie można poczuć na morzu, niewątpliwie jednak nie należy do nich zapach, jaki wydzielają przesiąknięte przez lata słoną wilgocią i potem nurków materace.

Tej nocy, kiedy Bill i John pracowali w sterówce, pozostali nurkowie spali w mesie. Byli to:

- – Dick Shoe, lat 49, Palmyra, New Jersey. Kierownik laboratorium fizyki plazmowej na Uniwersytecie Princeton.
- – Kip Cochran, lat 41, Trenton, New Jersey. Policjant.
- – Steve Feldman, lat 44, Manhattan. Asystent w stacji telewizyjnej CBS.
- – Paul Skibinski, lat 37, Piscataway, New Jersey, przedsiębiorca wydobywczy.
- – Ron Ostrowski, wiek, pochodzenie i zawód nieznany.
- – Doug Roberts, lat 29, Monmouth Beach, New Jersey. Właściciel firmy kosmetycznej.
- – Lloyd Garrick, lat 35, Yardley, Pensylwania. Chemik doświadczalny.
- – Kevin Brennan, lat 30, Bradley Beach, New Jersey. Zawodowy nurek.
- – John Yurga, lat 27, Garfield, New Jersey. Kierownik sklepu ze sprzętem nurkowym.
- – Mark McMahon, lat 35, Florham Park, New Jersey. Zawodowy nurek.
- – Steve Lombardo, lat 41, Staten Island, Nowy Jork. Fizyk.

Część z nich zamierzała schodzić pod wodę w parach: Shoe z Cochranem, Feldman ze Skibinskim, Ostrowski z Robertsem i McMahon z Yurgą. Pozostali woleli nurkować samotnie, głównie ze względów bezpieczeństwa. Twierdzili, że partner nie wpadnie w panikę i cię nie zabije, jeśli go po prostu go nie ma.

Większość знаła się z wcześniejszych wypraw do wraków lub przynajmniej ze słyszenia, ale wszyscy szukali już kiedyś „tajemniczych pozycji”. W sumie, w rezultacie wielu wypraw, udało im się do tej pory odnaleźć kilka barek ze śmieciami i parę stert kamieni.

Tego wieczoru ocean był wyjątkowo łaskawy dla *Seekera*. Niemal o świcie LORAN pokazał, że łódź jest pół mili od celu. Bill wyłączył samoster, zredukował obroty silników i wlepił wzrok w ekran sondy. Śpiący w mesie nurkowie zaczęli się powoli budzić. Stłumiony odgłos pracujących na niskich obrotach silników podziałał na żądnych przygód facetów jak budzik.

Bill powoli podpłynął do wyznaczonej pozycji. Na elektronicznym wyświetlaczu sondy pojawił się jakiś kształt.

– Coś jest na tej pozycji – zawołał do Johna.

– Rzeczywiście. Widzę. Wygląda jak statek leżący na burcie – odparł Chatterton.

– Jezus Maria, John, na dodatek wygląda na to, że jest głębiej niż 60 metrów. Zrobię jeszcze kilka kółek. Przyjrzymy się temu dokładnie.

Kapitan *Seekera* przekręcił koło sterowe do oporu, dał ster prawo na burt i zrobił drugie kółko. Potem trzecie i czwarte, nazywali to koszeniem trawnika. Przez cały czas nie spuszczał oczu z wyświetlacza sondy, obserwując bacznie rzeźbę dna oceanu. Czasami urządzenie pokazywało, że coś spoczywa na dnie na głębokości 70 metrów, raz pokazało nawet prawie 80. Brennan, Yurga i Hildemann wdrapali się po drabinie na mostek.

– No i co my tam mamy, Bill? – zapytał Yurga.

– Jest głębiej, niż się spodziewałem. Cokolwiek by to było, leży chyba na samym dnie, nie ma dużego spadku. Myślę, że trzeba będzie nurkować na jakieś 70 metrów. W 1991 roku nie było doświadczonych nurków, którzy schodziliby na tę głębokość. Nawet najodważniejsi z tych, którzy badali wrak *Andrei Dorii*, prawie nigdy nie schodzili na jej samo dno, na 75 metrach. Większość ograniczała się do najwyższych części wraku, na jakiś 55 metrach, a tylko naprawdę najlepsi raz lub dwa razy do roku zapuszczali się na 70 metrów. Jednak Bill twierdził uparcie, że kształt pokazywany przez sondę leży na 70 metrach. Co gorsza, wyglądało na to, że wystaje z piachu zaledwie z 10 metrów.

Chatterton był w stanie zejść na 70 metrów. Zaproponował więc następujący plan. Brennan i Hildemann rzucą kotwicę. On sam skoczy do wody i sprawdzi, co leży na dnie. Jeśli to coś będzie wyglądało na warte nurkowania, przywiąże kotwicę. Jeżeli okaże się, że to jakaś parszywa barka, kupa kamieni albo wrak, ale rzeczywiście leżący na głębokości prawie 80 metrów, odczepi kotwicę, wróci

na powierzchnię i odwoła nurkowanie. Bill przystał na takie rozwiązanie.

Tymczasem na pokładzie pod sterówką zgromadzili się pozostali nurkowie. Kapitan odsunął drzwi, wyszedł na zewnątrz i wychylił się przez reling.

– Słuchajcie, dziewczynki, sprawa wygląda następująco. Cokolwiek jest tam na dole, leży na sześćdziesięciu pięciu, siedemdziesięciu metrach, w dodatku płasko. To coś jak nurkowanie na *Dorii*, może nawet trudniej. John skoczy pierwszy i sprawdzi, co to jest. Jeśli to jakaś parszywa barka ze śmieciami, zostawiamy ją w świętym spokoju – jest za głęboko, żeby się zajmować takim głównem. Jeżeli to coś ciekawego i nie wygląda, jakby chciało nas żywcem pożreć, idziemy. Tak czy inaczej czekamy na Johna. Nikt się stąd nie rusza, dopóki John nie powie, że wszystko w porządku.

Chatterton zabrał z pokładu rufowego swój sprzęt i zaczął się ubierać, podczas gdy Bill próbował przyhaczyć wrak. Gdy kotwica chwyciła, zgasił silniki. *Seeker* był teraz połączony z czymś, co leżało na dnie oceanu. Kapitan zszedł na pokład rufowy, na którym Chatterton po raz ostatni sprawdzał, czy wszystko w porządku z zaworami. Po chwili wszyscy zgromadzili się wokół stołu, przy którym się ubierał. John udzielił jeszcze kilku ostatnich wskazówek.

– Dajcie mi sześć minut, potem rzućcie luźną linę – powiedział do Nagle’a. – Będę miał wystarczająco dużo czasu, by strzelić w dół i się rozejrzeć. Jeśli to jakiś śmieć albo jest za głęboko, wypuszczę dwa kubki. Jeżeli zobaczycie dwa kubki, to znaczy, że nie przywiązuję kotwicy. Możecie ją wtedy wyciągnąć razem ze mną. Jeśli jednak wypuszczę jeden kubek, to znaczy, że warto nurkować i nie jest za głęboko. Jak zobaczycie jeden kubek, wyciągajcie linę, będę już do niej przywiązany.

Chatterton odwrócił się do pozostałych nurków.

– Tak na wszelki wypadek, żeby nie było żadnych problemów. Nikt nie skacze, dopóki nie skończę dekompresji, nie wyjdę na pokład i nie powiem wam, co tam jest. Pasuje?

Wszyscy pokiwali głowami. John podszedł do burty, włożył aparat do ust, naciągnął na twarz maskę i zerknął na zegarek. Sześć minut. Bill sprawdził czas na swoim zegarku. Sześć minut. Wszedł z powrotem do sterówki, wyłączył LORAN i schował wydruk termiczny z sondy w szufladzie. Lubił tych gości, byli jego klientami i kumplami. Ale nie zaryzykowałby podania im namiarów. Yurga, Brennan i Hildemann wrócili na dziób. Chatterton przyklęknął na relingu i wskoczył do wody.

Tuż pod powierzchnią John podpłynął do liny kotwicznej, chwycił ją, po czym spuścił trochę powietrza z jacketu, by zredukować swoją wyporność.

Wartki prąd zaczął kręcić i szarpać na wszystkie strony, lina wiła się niczym wąż. Chatterton z całych sił trzymał uchwyt i odpychając się obydwoma dłońmi, powoli schodził na dno, walcząc, by nie zostać zdmuchniętym z liny przez prąd.

W normalnych warunkach tego typu zejście trwałoby dwie minuty. Po pięciu minutach od skoku do wody John wciąż walczył.

– Skopią mi tyłek. Rzuć linę, zanim w ogóle uda mi się tam dotrzeć – mamrotał do siebie.

W momencie kiedy zegarek pokazał sześć minut, wylądował na spoczywającej prawie na piachu stercie metalu. Wokół niego, w wirującej ciemnozielonej wodzie, unosiły się poziomymi warstwami cząsteczki białej substancji – wyglądało to jak gwiazdkowy śnieg. W słabej, sięgającej zaledwie półtora metra widoczności dostrzegł tylko plamy rdzy oraz reling i jakiś zaokrąglony kontur nad sobą. Całość miała jakiś dziwny opływowy kształt, prawdopodobnie była to stara barka. Przynajmniej nie sterta skał. Chatterton sprawdził swój głębokościomierz, wskazywał 65 metrów. Piasek był jakieś pięć metrów pod nim, może na 70 metrach. Była to maksymalna głębokość, na jaką mogli zejść nurkowie, z którymi przypłynął. Poszukał wzrokiem jakiegoś wysokiego punktu, do którego można uwiązać kotwicę. Na głębokości około 63 metrów dostrzegł słupek. Wtedy dotarła luźna lina. Miał szczęście, że w tej wirującej wodzie udało jej się opaść na dno. Podpłynął do kotwicy, uwolnił ją i starannie przywiązał wraz z pięciometrowym łańcuchem do słupka. Hak był teraz zabezpieczony. Wyjął z torby ze sprzętem jeden styropianowy kubek i puścił do góry. Można było nurkować.

Na dziobie *Seekera* załoga wpatrywała się z niecierpliwością w fale. Kiedy pojawił się sygnał od Johna, Yurga pobiegł na mostek i otworzył drzwi.

– Wypuścił jeden kubek! – wrzasnął. – Będziemy nurkować!

Naciągnęli luz na linie kotwicznej, obłożyli ją na knadze i dołączyli do reszty nurków zebranych na pokładzie rufowym *Seekera*. Chatterton spędził około dwudziestu minut na dnie, potrzebował więc jakiejs godziny na dekompresję. Nikt nawet nie ruszył się w stronę sprzętu. Wszyscy czekali na Johna.

Tymczasem na dnie Chatterton przyczepił lampę stroboskopową do łańcucha kotwicznego. Na tle czarnozielonej wody unosiło się pełno małych białych cząsteczek, ograniczających widoczność do trzech metrów. Johnowi udało się w blasku czołówki określić z grubsza kształt kadłuba. Wydawał się delikatnie zaokrąglony, wyjątkowo elegancki, jakby zbudowany nie po to, by wozić towary lub coś pompować, ale by ślizgać się po wodzie. Na głębokości 61,5 metra dotarł na szczyt wraku. Powoli zaczął przemieszczać się do przodu, pod prąd,

ostrożnie, tak by nie puścić spoczywającej pod nim struktury i nie dać się ponieść wodzie. Z każdym krokiem w świetle czołówki pojawiał mu się przed oczami nowy obraz, poprzednie ujęcie znikało gdzieś w otaczającym mroku. W ten sposób John posuwał się nad tą całą masą, oglądając coś na kształt pokazu slajdów. Poruszał się bardzo powoli, analizując każde ujęcie. Większość powierzchni wraku pokryta była warstwą białych i pomarańczowych wodorostów, skutecznie zacierających kształt tego, co było pod spodem. Po kilku sekundach dotarł do miejsca pokrytego pogiętymi, zardzewiałymi rurami, otoczonego płataniną poszarpanych i porozpruwanych przewodów elektrycznych. Pod tym gniazdem zniszczonego sprzętu, przyczepione do kadłuba, spoczywały cztery nietknięte cylindryczne przedmioty dwumetrowej może długości.

Rury – pomyślał Chatterton. Barka z rurami. Cholera, to pewnie jakiś tankowiec albo pogłębiarka.

Przemieszczał się dalej wzdłuż grzbietu wraku. Gdzieś w głębi mózgu, jakby w tle, zaczęła szumieć narkoza. Po kilku sekundach zauważył właz. Zatrzymał się. Barki nie mają takich włazów. Podpłynął bliżej. Właz był pod kątem w stosunku do kadłuba. Zazwyczaj nie buduje się ich pod kątem. Służą przecież po to, by ludzie i towary mogli dostać się nimi do wnętrza statku, z reguły otwierają się więc prosto do dołu. Kto wpadł na pomysł, żeby zbudować właz pod kątem do statku? John wsadził głowę do otworu. Wnętrze wypełniło się białym blaskiem. Było tam jakieś pomieszczenie. Był tego pewien, zachowały się bowiem ściany. Przestraszona ryba z szerokim pyskiem i spiczastą brodą podpłynęła do maski Johna, popatrzyła mu w oczy, po czym obróciła się i znikła we wnętrzu wraku. W tej osłoniętej od unoszących się w oceanie cząsteczek zamkniętej przestrzeni panowała znakomita widoczność. Przy jednej ze ścian spoczywał jakiś przedmiot. Chatterton wpatrywał się w niego nieruchomo. *Ten kształt – myślał. Nie ma nic innego o tym właśnie kształcie.* Serce zabiło mu mocniej. Może miał przywidzenia? Może narkoza była silniejsza, niż mu się wydawało? Zamknął na chwilę oczy. Otworzył je znowu. Przedmiot wciąż był na swoim miejscu.

Płetwy. Silnik. Wygląda jak cygaro. Kształt rodem z horrorów i filmów katastroficznych. Kształt, który od czasów dzieciństwa tkwił w jego wyobraźni. Kształt mocy.

Torpeda.

Cała, nienaruszona torpeda.

Podniósł się i zaczął ze sobą rozmawiać w myślach. Z jednej strony chciał sprawdzić, na ile silna jest narkoza, z drugiej zaś wrażenia były zbyt mocne, by

mógł przetrwać je sam.

Jestem w narkozie – powiedział do siebie. Jestem na głębokości 65 metrów. Kompletnie wyczerpany od walki z prądem. Mam przywidzenia.

Stoisz na szczycie okrętu podwodnego – opowiadał sobie.

Na tym obszarze oceanu nie ma żadnych wraków okrętów podwodnych. Mam mnóstwo książek. Czytałem je. Tu nie ma żadnych okrętów podwodnych. To niemożliwe.

Stoisz na szczycie okrętu podwodnego.

Jestem w narkozie.

Nie ma niczego innego, co miałoby kształt torpedy. Pamiętasz te zaokrąglone krawędzie kadłuba, które wyglądały, jakby zaprojektowano je z myślą o ślizganiu? Właśnie odkryłeś okręt podwodny.

To wielkie nurkowanie.

Nie, John, to zdecydowanie więcej niż wielkie nurkowanie. To coś jak święty Graal.

Wyjął głowę z wnętrza wjazdu. Jeszcze minutę temu nie miał pojęcia, w której części wraku się znajduje. Teraz torpeda stała się latarnią morską. Wiedział, że okręty podwodne wyrzucały torpedy z obydwu końców. Był w takim razie na dziobie lub na rufie. Prąd płynął dokładnie w stronę, którą wskazywała torpeda. Jeśli się puści i da ponieść wodzie, za chwilę dopłynie do końca wraku. Powinien wtedy bez problemu stwierdzić, czy to dziób, czy rufa. Kiedy tylko rozluźnił uchwyt, prąd zerwał się i szarpnął tak nagle, jakby wydobył się z wnętrza samego okrętu, niczym wściekły wydech wyrwanej po latach z drzemki maszyny. Prąd poniósł Chattertona za linę kotwiczną, wystrzelił go niczym z procy w kierunku końca wraku. Jeszcze sekunda, a John wpadłby gdzieś w czelusć oceanu. Wiedziony instynktem wyciągnął przed siebie rękę. Trafił na coś twardego. Udało mu się złapać wygięty kawałek metalu sterczący z samego końca wraku. Za tym kawałkiem metalu był tylko piasek i bezmiar oceanu. Odetchnął z ulgą i trochę się uspokoił. Przed nim znajdował się koniec wraku. John widział już kiedyś zdjęcia okrętów podwodnych. Ich dzioby były tępo zakończone i zwężały się pod kątem do dołu i ku rufie, natomiast rufa była u góry zaokrąglona w poziomie, u dołu zaś znajdowały się śruby i płetwa sterowa. To był dziób. Dziób okrętu podwodnego. Przyjrzał się dokładnie roślinom porastającym wrak i śladom korozji na metalowym kadłubie. Nie było mowy o pomyłce w określeniu wieku statku. Ten okręt podwodny pochodził z okresu drugiej wojny światowej. Z książek wiedział, że na tych wodach nie zatoneła żadna z amerykańskich łodzi podwodnych. Spojrzał po raz kolejny na wrak. Przez chwilę nie ośmielił się tego pomyśleć. Nie było jednak wątpliwości.

– Trzymam się U-Boota – powiedział na głos. – Trzymam się U-Boota z czasów drugiej wojny światowej.

W tej chwili dobiegł końca jego 20-minutowy czas na dnie. Chatterton podpłynął z powrotem do przyczepionego do liny kotwicznej reflektora. Trzymał się blisko wraku, by osłonić się przed uderzeniem wartkiego prądu. Płynąc, podziwiał spoczywające zaokrąglone krawędzie kadłuba. Wspaniałe opływowe kształty, zaprojektowane tak, by były niewidzialne, kształty, które wciąż wyglądały tajemniczo.

Był już najwyższy czas, by zacząć się wynurzać. Pierwszy przystanek dekompresyjny był dopiero na 18 metrach. Kiedy wznosił się do góry, powoli ustępowała narkoza. John kłócił się sam z sobą w myślach. *Może nie widziałeś wcale torpedy. Może zobaczyłeś wentylator we wnętrzu jakiejś barki. Ludzie wynurzają się z 70 metrów i gadają ciągle jakieś głupoty, teraz ty będziesz kolejnym gościem, który plecie brednie.* Wiedział jednak lepiej. Panował nad swoją narkozą. To była torpeda. Dziób U-Boota.

Zrobił pierwszy przystanek na 18 metrach. Docierały tu już promienie słońca, woda była ciepła. Znikły ostatnie ślady narkozy. Obraz torpedy coraz wyraźniej rysował się w jego pamięci. Przed oczami stanął mu katalog wraków okrętów podwodnych, który całymi latami studiował. Niektóre leżały setki mil na północ, inne setki mil na południe. W tej okolicy nie było jednak żadnego. Czy na pokładzie mogły być szczątki załogi? Czy mógł być to U-Boot z załogą na pokładzie, o którym nikt poza nim nie wiedział? Zbyt niesamowite. Co ten okręt robił na wodach New Jersey?

Chatterton wynurzył się na głębokość 12 metrów i zaczął swój drugi przystanek. Przypomniawszy sobie sen sprzed lat. Śniło mu się, że odnalazł tajemniczy okręt podwodny. Łódź, którą odkrył, należała do Rosjan, załoga była wciąż na pokładzie. Była to wspaniała wizja, ale szybko dotarło do niego, że to tylko sen. To właśnie najbardziej utkwilo mu w pamięci. W sekundę po przebudzeniu uświadomił sobie, że tak cudowne rzeczy nie mogą zdarzyć się w prawdziwym życiu.

Wynurzył się jeszcze dwa metry i zaczął kolejny przystanek. Miał przed sobą jeszcze 25 minut dekompresji. Dopiero wtedy wynurzy się na powierzchnię i opowie innym o swoim znalezisku. Na górze nurkowie z zapartym tchem śledzili wypuszczane przez niego bąble, wypływające na powierzchnię wzdłuż liny kotwicznej. Mieli czekać, aż wynurzy się na powierzchnię.

– Ta bezczynność mnie chyba zabije – powiedział Brennan do pozostałych nurków. – Muszę coś zrobić.

Gdyby nie był tak wyśmienitym i skrupulatnym nurkiem, ze swoimi długimi

włosami, sumiastymi wąsami i wrażliwością troglodyty, mógłby z powodzeniem zostać członkiem ekipy koncertowej Grateful Dead. Wszyscy nurkowie na pokładzie *Seekera* woleli nowoczesne suche skafandry, znakomicie izolujące od czterostopniowej temperatury panującej w głębinach Atlantyku. Tylko Brennan pozostał wierny zeszmakonemu, poklejonemu i połatанemu mokremu skafandrowi, który zakładał do wyciągania z sadzawek wózków golfowych i naprawiania basenów w rezydencjach bogaczy. Reszta uznawała za swój obowiązek nabijanie się z jego przestarzałego sprzętu.

– Hej, Kevin – wołali. – Czy twój skafander pochodzi z neolitu, czy z mezozoiku?

– Chłopaki, zakładam ten sam skafander, kiedy nurkuję na *Dorię*. *Dorię*! Mam w nim większą swobodę ruchów niż wy wszyscy razem wzięci. I do cholery, jeśli muszę się wyszczać, to szczam. A wy, głąby, w tych waszych suchych skafandrach musicie trzymać. Pieprzę to gównu – ja sobie po prostu szczam.

Inni nurkowie wysłuchaliby tych wywodów i tylko pokręcili głowami. Ale na *Dorii* były cztery stopnie. Mokry skafander to jakby mieć na sobie T-shirta. Do licha, Brennan wyłaził na powierzchnię po 90 minutach spędzonych w tej temperaturze i ani razu nie wyciągnął tłustego homara albo jakiegoś ekstraprzeciemotu. Zdejmując swój połatany mokry skafander, zawsze uśmiechał się od ucha do ucha, odnosił sukcesy nurkowanie po nurkowaniu – było w nim coś z iluzjonisty.

Wypuszczane przez Johna bąble wciąż unosiły się wzdłuż liny kotwicznej. Brennan ubrał się zgodnie ze swoim minimalistycznym zwyczajem. Nie uznawał obwieszania się zapasowym sprzętem i nowinkami technicznymi – tacy kolesie wyglądali jak jakaś cholerna choinka. Zgodnie z jego z filozofią, im mniej miał na sobie, tym mniej mogło się zepsuć. I tym szybciej mógł skoczyć do wody, kiedy nie był już w stanie wytrzymać ani minuty dłużej.

Kilka minut potem był już za burtą. Po paru sekundach dotarł do Chattertona, który wciąż wisiał pod wodą, starając się całym swoim umysłem uwierzyć w to, co udało mu się odkryć. Brennan przerwał mu klepieniem w ramię, po czym obrócił dłonie do góry i wzruszył ramionami, zadając w ten uniwersalny sposób pytanie: „Co tam?”. John wyciągnął ze swojej torby przybory do pisania i naskrobał tak wielkimi i grubymi literami, że ledwie mieściły się na tabliczce, jedno słowo: „SUB”.

Przez moment Brennan był zupełnie jak sparaliżowany. Po chwili zaczął ryczeć przez swój aparat. Słowa brzmiały, jakby mówił przez dwie poduszki, ale

wciąż dało się je rozróżnić.

– Chyba żartujesz, John? Jesteś pewien? Naprawdę?

Chatterton pokiwał głową.

Brennan zawył:

– O Boże! O cholera! Jezu Chryste!

Mógł dać nura do samego wraku i mieć cały okręt podwodny tylko dla siebie. Ale żaden równy facet nie zachowałby takiej informacji w tajemnicy. Wystrzelił w górę liny kotwicznej, wychynął na powierzchnię i wypłuł aparat z ust.

– Hej, Bill! Bill! – zawołał do Nagle’a wciąż siedzącego w sterówce. Bill wybiegł na zewnątrz, przestraszony, że Brennan ma jakieś kłopoty. Z reguły nurek wypływał z krzykiem na powierzchnię minutę po zanurzeniu, gdy miał jakieś problemy.

– Co się do cholery stało, Kevin? – zawołał Bill.

– Hej, Bill! Bill! Wyobraź sobie, że John twierdzi, że to okręt podwodny!

Nie musiał już nic więcej mówić. Kapitan zbiegł ze schodków sterówki i zebrał pozostałych nurków.

– John mówi, że to okręt podwodny.

Do tego momentu niektórzy mieli pewne obiekcje co do nurkowania na głębokość 70 metrów. Słowa „okręt podwodny” skutecznie rozwiąły wszelkie wątpliwości. Nurkowie pobiegli się ubierać. Z tyłu pozostał tylko Bill. Alkoholizm zrujnował jego kondycję fizyczną do tego stopnia, że mógł spokojnie zapomnieć o nurkowaniu na taką głębokość. Unoszący się przy linie kotwicznej Brennan włożył z powrotem aparat i dał nura pod wodę. Mijając Chattertona, pomachał zaciśniętymi pięściami, dając znak „w drogę”. Kilka minut później, kiedy John dotarł do przystanku na sześciu metrach, przeparadowało przed nim w zawrotnym tempie pozostałych jedenastu nurków. Wszyscy spieszyli się do dziewiczego wraku. John nie miał szansy, by powiedzieć im o niebezpieczeństwach na wraku i głębokości. Musiałby chyba nieźle im nałgać, żeby nie nurkowali tego dnia, nie miał jednak takiego zwyczaju. Wrak dotykał piasku dna na głębokości 70 metrów, a jego najwyższy punkt był zaledwie 6 metrów wyżej. Było to na granicy możliwości tych dwunastu facetów, upojonych okazją, jaka im się trafiła.

Chatterton skończył wreszcie dekompresję. Przepłynął pod kilem *Seekera* i wspiął się po aluminiowej drabince spuszczonej z rufy. Kapitan czekał na swojego protegowanego, zwieszając się z relingu na rufie, dopóki ten nie zdjął maski i nie usiadł na stole do zakładania sprzętu. Jim Beam osłabił mięśnie oraz refleks Billa i nadał jego skórze żółtawy odcień, ale nie naruszył jego serca odkrywcy. Kapitan wciąż wierzył, że świat alkoholika może być piękny, kiedy

odkryje się tkwiące gdzieś w jego zakamarkach tajemnicze historie. Powoli podszedł do Johna, osłaniając oczy przed słońcem. Pokiwał do przyjaciela głową. Chciał powiedzieć coś wzniosłego, był to bowiem dzień, o którym tacy faceci jak on i Chatterton marzyli od lat. Jednak nie zrobił tego, tylko spojrzał mu po prostu w oczy.

– Doszły mnie słuchy, że jest całkiem nieźle – powiedział w końcu.

– Tak, Bill – odpowiedział John, klepiąc przyjaciela po ramieniu. – Jest całkiem nieźle.

Przez dobrą minutę Bill był w stanie tylko kiwać głową i powtarzać: „Cholera!”. Każdy cal jego wyniszczonego ciała wyrывał się do oceanu jak roślina wyginająca się do słońca. Nigdy nie pragnął tak bardzo skoczyć do wody jak właśnie w tej chwili. Od dawna już nie zabierał ze sobą sprzętu, jednak kiedy tylko zerknął na Chattertona, był już całym umysłem w wodzie.

– Opowiedz mi o tym, John – powiedział. – Powiedz mi wszystko. Z najdrobniejszymi szczegółami, każdy kawałek tego, co zobaczyłeś, poczułeś i usłyszałeś.

Dotychczas John nie był w stanie powiedzieć Nagle’owi niczego nowego. Czegokolwiek przełomowego dokonałby na *Dorii* i innych wielkich wrakach, Bill zawsze był tam przed nim. Dlatego Chatterton badał głębiej i dalej, by któregoś dnia dotrzeć wreszcie tam, gdzie nie było jeszcze wielkiego Billa Nagle’a. Właśnie nadszedł ten dzień. John widział to w wielkich oczach przyjaciela. Opowiedział mu wszystko.

Spodziewał się, że Bill zada mu jakieś pytania techniczne, zacznie wypytywać o stopień skorodowania metalu i grubość osadu w śluzie torpedowej. Zamiast tego usłyszał słowa:

– Ten okręt podwodny może mnie zmienić. Da mi motywację i pozwoli odbudować zdrowie i kondycję. To jest to, co może mnie wreszcie przywrócić do życia.

Kiedy Bill pomagał Johnowi się rozebrać, 70 metrów pod nimi pozostali nurkowie rozpoczęli eksplorację wraku. Od momentu kiedy Chatterton opuścił wrak, prąd nieco zwolnił, pozwalając im w miarę swobodnie pływać wzdłuż kadłuba, bez obawy, że zostaną wessani.

Ostrowski i Roberts zajęli się konturem wraku i charakterystycznie spłaszczonym górnym pokładem. Jedno i drugie pasowało do okrętu podwodnego. Podpłynęli we dwóch wzdłuż grzbietu wraku, starając się nie dostać z podniecenia zadyszki. Nie mieli pojęcia, czy płyną w kierunku dziobu, czy rufy. Po chwili znaleźli dziurę w szczycie stalowego kadłuba. Wyglądała, jakby coś z niezwykłym impetem wybiło ją do wnętrza. Stal nie gnie się aż tak

łatwo. Kiedy zajrzeli do środka, ich oczom ukazała się gęstwina połamanych rur, maszyn, zaworów i dźwigni. Popatrzyli w górę, oświetlając zwoje przewodów elektrycznych zwisających z sufitu. Oddechy przyspieszyły. To pomieszczenie mogło kryć w sobie historię. Wystarczyło na chwilę wpłynąć do środka i zaraz wypłynąć, by odkryć tożsamość wraku. Jednak żaden z nich nie miał tyle odwagi. To pomieszczenie mogło kryć odpowiedź, ale wraz z nią kryło setki sposobów na zabicie zbyt ciekawskiego nurka.

Shoe i Cochran postanowili przyjrzeć się wrzecionowatemu kształtowi wraku i zbadać stopień korozji. Obaj mieli doświadczenie w nurkowaniu do wraków z czasów drugiej wojny światowej, a ten był skorodowany dokładnie w ten sam sposób. Jakiś czas spędzili, próbując poluzować zawór, który zainteresował Cochрана, ale żadna z części nie chciała puścić.

Nurkujący w pojedynkę Hildemann nie do końca wierzył, że to, na czym stoi, jest wrakiem okrętu podwodnego. Przekonał się o tym ostatecznie, kiedy w okolicy samego dziobu, jakieś trzy metry ponad piaskiem, dostrzegł długą wąską tubę sięgającą w głąb łodzi. Czytał sporo książek o okrętach podwodnych. Bez wątplenia była to rurowa wyrzutnia torpedowa – przez nią pocisk wydostawał się do wody.

Skibinski i Feldman oddalili się kilkanaście metrów od wraku w nadziei, że uda im się ogarnąć go wzrokiem – na tej głębokości i przy tej widoczności była to dosyć odważna decyzja. Spojrzeli na siebie i pokiwali zgodnie głowami: okręt podwodny. Podpłynęli z powrotem do reflektora, który przyczepili do liny kotwicznej. Obaj nurkowali już na *Texas Tower*, jednym z najbardziej mrocznych głębokich wraków północno-wschodniego Wybrzeża. Na tym wraku było jeszcze ciemniej. Zostali blisko reflektora.

McMahon i Yurga zostali na szczycie wraku. Oni też już się przekonali, że ten opływowy kształt jest okrętem podwodnym. Kiedy podpłynęli kawałek wyżej, Yurga dostrzegł na kadłubie śluzę zanurzeniową, jedną z głównych części mechanizmu zanurzeniowego okrętu podwodnego. Minutę później dotarł do umieszczonego pod kątem wjazdu, który widział John. Włożył od niego głowę. W świetle latarki zobaczył płetwy rufowe i śrubę torpedy, okrytej potworną sławą i chyba najgroźniejszej broni morskiej, jaką kiedykolwiek skonstruowano. Wszyscy aż wyrywali się, by zobaczyć coś więcej, ale jeszcze na górze ustalili, że dla własnego bezpieczeństwa na tej głębokości muszą trzymać się blisko liny kotwicznej. Yurga złapał homara i dołączył do McMahona, który zaczął już wynurzać się na powierzchnię.

Brennan dotarł na dno jako pierwszy po Chattertonie. Posuwał się powoli z

prądem, dopóki nie dotarł do czegoś, co wyglądało na dziób okrętu. Dał się jeszcze kawałek ponieść i kiedy znalazł się jakieś sześć metrów przed wrakiem, obrócił się twarzą do dziobu. Wypuścił z jacketu odrobinę powietrza i opadł kolanami delikatnie na piasek. Klęczał niczym wierny przed świętym obrazem, z nabożną czcią wpatrując się w tę wielką bryłę. Prąd zaczął się wzmacniać, ale Brennan zamarł w bezruchu, jakby wrósł w piasek.

Nie mogę w to uwierzyć – myślał. Wiem, że to U-Boot. Niemiecki U-Boot. Popatrz tylko! Płynie wprost na mnie jak w czołówce „Das Boot”. Niemal słyszę muzykę z filmu.

Przez radość i narkozę, gdzieś z głębi, przedarł się do jego umysłu głos przypominający o wzmagającym się prądzie. Popłynął z powrotem, każdym kopnięciem płetw walcząc z wartką wodą. W końcu dotarł do liny kotwicznej. Był w głębokiej narkozie, nie mógł złapać oddechu i potwornie kręciło mu się w głowie. *Nigdy więcej nie odpłynę już tak od tego wraku* – obiecał sobie w myślach, po czym zaczął wynurzać się z powrotem na *Seekera*.

Między 1939 a 1945 rokiem Niemcy zbudowały flotę 1167 U-Bootów. Każdy z nich był w stanie zupełnie niepostrzeżenie uderzyć we wroga. Budziły grozę, były bowiem doskonałym, upiornym uosobieniem obiektu niezwykle pierwotnego lęku – lęku przed czyhającą w ciszy śmiercią, mogącą nadejść ze wszystkich stron. Niektóre z U-Bootów podpływały bezczelnie na kilka zaledwie mil od brzegów Stanów Zjednoczonych. Na tyle blisko, by złapać jazzowe stacje radiowe i oglądać przez peryskop światła przejeżdżających samochodów. W 1940 roku w ciągu jednego miesiąca podwodna flota zatopiła 66 statków, tracąc zaledwie jeden własny. Przez całą wojnę ocean wyrzucał na amerykański brzeg ciała ludzi zabitych na pokładach zatopionych przez U-Booty statków. Był to przerażający widok. Zdecydowanie jednak gorsza była świadomość, że zabójcy mogą być wszędzie, zupełnie niewidzialni i niesłyszalni.

Spośród 1167 U-Bootów 757 zostało zatopionych, przechwyconych, zbombardowanych w macierzystych portach i bazach morskich lub poszło na dno w wyniku awarii lub zderzenia. Z 859 okrętów, które wyruszyły w misję na front, 648, czyli ponad 75 procent, zatopiono lub przechwycono na pełnym morzu. Niektóre zostały posłane na dno przez okręty wroga lub samoloty, które nie były w stanie tego potwierdzić. Do zagłady innych przyczyniły się miny, awarie sprzętu i błędy załogi. Jako że większość U-Bootów zginęła pod wodą, aż 65 okrętów zniknęło w niewyjaśnionych okolicznościach. W bezmiarze niezbadanych wód U-Booty stały się doskonale ukrytymi grobami.

Gdy nurkowie wypłynęli na powierzchnię i wdrapali się na pokład *Seekera*, pośpiesznie zrzucili swój sprzęt i rozpoczęli ożywioną dyskusję. Wszyscy byli trochę oszołomieni odkryciem całkiem dziewiczego wraku okrętu podwodnego. Każdy miał już swoją własną teorię. Mógł to być *U-550*¹, *U-Boot* prawdopodobnie posłany na dno na dalekiej północy Atlantyku, nigdy jednak nieodkryty. Raczej nie był to amerykański *S-5*². Wielu nurków szukało tego wraku i badało jego historię, wszyscy byli przekonani, że spoczywa na dnie gdzieś w pobliżu Maryland. Załódze mogło udać się uciec, wąż wyglądał na otwarty – trudno było jednak cokolwiek powiedzieć. Prawdopodobnie okręt zatonął w dosyć brutalny sposób – nikomu nie udało się dostrzec kiosku, nadbudówki o charakterystycznym kształcie, w której mieścił się główny wąż do okrętu. Kiosk stanowił główny punkt obserwacyjny, w nim znajdowały się peryskopy i stanowisko bojowe dowódcy okrętu. Wszyscy zaczęli się zastanawiać, gdzie do cholery się podział.

Wtedy wkroczył do akcji Yurga. Poprzedniego dnia zupełnie przez przypadek wstąpił do księgarni morskiej, by kupić jakąś lekką lekturę na drogę. Jego wybór padł na książkę „*The U-Boat: The Evolution and Technical History of German Submarines*”³. Kiedy wyszedł na pokład z tą książką, wszyscy stłoczyli się wokół niego i zaglądając przez ramię, zaczęli porównywać to, co widzieli, ze szczegółowymi schematami i planami. John rozpoznał cylindryczne zbiorniki, które widział na wraku, Yurga śluzy zanurzeniowe. To musiał być niemiecki okręt. To *U-Boot*.

Nurkowie toczyli ożywioną dyskusję i dalej studiowali książkę. John i Bill oddalili się od pozostałych i wspięli do sterówki. Załoga wyciągnęła kotwicę. Kapitan wziął kurs na Brielle, odpalił silniki i odpłynął. Teraz mogli zacząć z Johnem swoją prywatną dyskusję.

Byli zgodni, że to historyczne nurkowanie. Samo odkrycie to jednak dopiero połowa roboty. Druga połowa, ta naprawdę istotna, to identyfikacja wraku. Obaj śmiali się z nurków, którzy odgadywali tożsamość odkrytego przez siebie wraku i nie byli w stanie zrozumieć, że określanie jej na zasadzie: „No więc, znaleźliśmy sztukę porcelany z duńską sygnaturą, także wrak jest z pewnością duński” jest po prostu żalosne. Jeśli oznajmiliby, że udało im się odnaleźć okręt podwodny, nie zrobiłoby to na nikim specjalnego wrażenia. Dopiero gdyby udało im się określić dokładnie jego tożsamość, nazwać coś bezimiennego, zapisaliby się na kartach historii.

Bill miał jeszcze kilka może nieco bardziej przyziemnych powodów, żeby odkryć, co to za okręt. Nawet w stanie kompletnego załamania psychicznego

wciąż łaknął sławy. Zidentyfikowanie wraku zagwarantowałoby mu pozycję legendy wśród nurków. Jego sława sięgnęłaby dalej na zewnątrz, do ludzi, którzy być może nie słyszeli zbyt wiele o *USS San Diego* czy nawet *Andrei Dorii*, ale ożywiali się zawsze na dźwięk słowa „U-Boot”. Takie odkrycie uczyniłoby go sławnym. Identyfikacja wraku napędziłaby mu klientów. W tych rzadkich wypadkach, kiedy kapitan łodzi nurkowej odkrywa okręt, nurkowie uznają go za jego nieformalnego właściciela. Chcą płynąć tam z facetem, który go odkrył i zbadał, mając nadzieję, że w ten sposób podczepią się do historii.

Bill i John sądzili, że trzeba będzie jeszcze raz czy dwa razy zanurkować, by wydobyć coś, co pozwoliłoby na jednoznaczną identyfikację wraku. Jakiś znaczek, tabliczkę stoczni, dziennik lub cokolwiek innego. Do tego czasu najrozsądniej byłoby nie pisać nikomu ani słówka o tym odkryciu. Dziewiczy okręt podwodny, zwłaszcza jeśli był to U-Boot, przyciągnąłby uwagę całej konkurencji. Ktoś mógłby śledzić *Seekera* podczas następnego rejsu i próbować podpatrzeć lokalizację wraku. Inni mogliby odgadnąć z grubsza okolicę, w której znajdował się okręt, i namierzyć *Seekera* w momencie, kiedy nurkowie znajdowałiby się pod wodą. Nie można byłoby wtedy wyciągnąć kotwicy i uciec. Gdyby któryś z rywali przechwycił namiary, mógłby pospieszyć się i zgarnąć całą sławę dla siebie. Nie brakowało piratów, którzy nie przepuściliby takiej okazji niesamowitego odkrycia. Ale umysły Nagle’a i Chattertona najbardziej zaprzętała obawa przed jedną tylko osobą. Żaden z nich nie musiał wymawiać tego nazwiska. Doskonale wiedzieli, przed kim trzeba za wszelką cenę strzec tajemnicy wraku.

Był to Bielenda.

W 1991 roku na Wschodnim Wybrzeżu była zaledwie garstka sławnych łodzi nurkowych. Jedną z nich był *Seeker*. Inną był cumujący na Long Island *Wahoo*, posiadający 55-stopowy kadłub z żywicy. Jego kapitanem był 55-letni Steve Bielenda, facet o kłacie atlety i obliczu cherubinka, wyglądający, jakby z trudem mieścił się w swoim 100-kilogramowym ciele. W 1980 roku magazyn „*Newsday*” nadał Bielendzie tytuł Króla Głębin. Od tej pory nie było chyba dnia, żeby Bielenda nie przypominał o swej koronacji, bez względu na to, czy ktoś chciał jeszcze o tym słuchać, czy już nie.

Od kiedy w połowie lat 80. Bill rozkręcił swój interes z czarterem łodzi, odnosili się do siebie z Bielendą ze szczerą niechęcią. Tak naprawdę nikt (na czele z nimi dwoma) nie miał pojęcia, skąd wzięła się ta niechęć. Od lat obrzucali się kalumniami, próbując za wszelką cenę zepsuć konkurentowi reputację. Bill był w opinii Steve’a pijaczkiem, który narażał na

niebezpieczeństwo swoich nurków i obrzucał błotem klientów. Bill za to uważał Bielendę za leniwego bufona, goniącego bezustannie za kasą, pływającego do oklepanych wraków, niewnoszącego nic twórczego do sportu. Klienci często byli zmuszeni opowiedzieć się po którejś ze stron. Nurek zostawał w końcu chłopcem Steviego albo chłopcem Billy'ego. Biada temu, kto przyznał się, że nurkuje z obydwoma.

– Nurkujesz na *Wahoo* w przyszłym tygodniu? – pytał swoich klientów Bill. – Bez jaj, co z ciebie za facet? On ci da kopa w tyłek, zabierze forszę i tyle. Ten gość traktuje ludzi jak bydło.

Równie niemilo było na pokładzie *Wahoo*. Bielenda i załoga jego łodzi nie zostawiali suchej nitki na tych, którzy byli na tyle głupi, by przyznać się, że pływali na pokładzie *Seekera*. Zdarzało się, że ludzie z załogi *Wahoo* mówili o płacących żywą gotówką klientach: – Trzeba porządnie umyć tego gościa szlauchem, bo wciąż cuchnie jak *Seeker*.

Kiedy jeden z klientów przyznał się, że podziwia Nagle'a, książkę, którą ze sobą przyniósł, wrzucono na samo dno zęzy. W 1991 roku nienawiść, jaką darzyli się obaj kapitanowie, stała się niemal przysłowiowa.

Dla zwolenników Nagle'a sprawa była jasna, cała gorzka nienawiść brała się stąd, że Bill poważnie zagrażał pozycji Bielendy. To fakt, że kapitan *Seekera* za dużo pił, mimo to jednak pozostał odkrywcą, kombinował, badał, marzył i był odważny. Dla rosnącej wciąż grupy klientów był czymś w rodzaju żywej legendy. Wiele osób uważało, że Steve bagatelizował wszystkie wielkie osiągnięcia Nagle'a. Mimo tytułu Króla Głębin sam nie miał w sobie nic z pioniera. Był asekurantem, nie ruszał się z portu w złą pogodę, podczas gdy Bill podbijał wściekle morze. Kapitan *Seekera* zyskiwał sławę zdobywcy, a zwabieni nią klienci stopniowo przenosili się na jego łódź. O ile interes Bielendy jakoś znosił te migracje, o tyle sam Steve nie był w stanie znieść ujmy, jaką stanowiły one dla jego honoru.

Jednak to nie słów Bielendy obawiał się Bill, kiedy *Seeker* unosił się nad tajemniczym okrętem podwodnym. Był pewien, że Steve nie zawaha się przed niczym, żeby dopaść wraku. Krążyło o nim wiele historii. Podobno jeśli służyłeś na pokładzie *Wahoo*, mogłeś zostać poproszony o oddanie znalezionych we wraku przedmiotów, które akurat mu się spodobały. W ramach żartu Bielenda mówił swoim klientom, że muszą się przygotować na to, że jeżeli uda im się odkryć dzwon okrętowy z *Oregonu*⁴, kiedy będą nurkowali z *Wahoo*, oddadzą go Królowi Głębin albo przepłyną z trofeum wpław do brzegu 13 mil. Steve miał przyjaciół niemal wszędzie, w Straży Wybrzeża, na innych łodziach,

kutrach rybackich i we Wschodnim Stowarzyszeniu Łodzi Nurkowych (Eastern Dive Boat Association), którego był prezesem. Bill był przekonany, że jeśli na zewnątrz przecieknie choć słówko o odkryciu U-Bootu, Bielenda, nie zważając na nic, z pełną determinacją skieruje się wprost do wraku, by go zidentyfikować, zabrać, co się da, i zgarnąć wszystkie zasługi.

Chatterton stwierdził, że jeśli do wraku nie dorwie się *Wahoo*, zrobią to jacyś inni żądni krwi nurkowie. Dlatego za wszelką cenę trzeba było dochować tajemnicy.

– Przez najbliższe dwa tygodnie *Seeker* jest zarezerwowany – powiedział Bill do Johna. – Popłynemy w sobotę, dwudziestego pierwszego. Zaprosimy tylko tych ludzi, którzy są teraz, nikogo więcej, ani jednej pieprzonej osoby więcej. Oni wiedzą, że jeśli będą siedzieć cicho, to dobrze na tym wyjdą. Wchodzimy w układ. Nikt z tej łodzi nie puści pary z gęby. To jest nasz okręt podwodny.

– Jestem za – odpowiedział Chatterton.

Zostawił Nagle’a za kołem sterowym i zszedł po stromych białych schodkach na pokład rufowy. Zawołał wszystkich nurków i poprosił, by zeszli na spotkanie do mesy. Zajmowali kolejno miejsca, na ławach, podłódze, obok tosteru, pod rozkładówkami z „Playboya”. Mieli jeszcze wilgotne od słonej wody włosy, niektórzy przynieśli ze sobą słone paluszki i colę. John zwrócił się do nich donośnym barytonem, z wyraźnym akcentem z Long Island.

– To było niesamowite nurkowanie, ale samo znalezienie wraku to jeszcze nie wszystko. Musimy go zidentyfikować. Kiedy to zrobimy, zmienimy historię. Podjęliśmy z Billem decyzję. Wracamy na ten wrak 21 września. To będzie taki prywatny rejs – tylko wy jesteście zaproszeni. Nie bierzemy nikogo innego. Jest w okolicy pełno wielkich nurków, legendarnych facetów, którzy gotowi byliby zabić, żeby z nami popłynąć. Ale ich nie bierzemy. Jeśli któryś z was nie popłynie, będziemy mieli pustą kaję. Musimy jednak dochować tajemnicy. Jeśli ktoś usłyszy, że odkryliśmy okręt podwodny, zaraz będziemy mieli na karku dwustu gości.

Chatterton na chwilę zawiesił głos. Nikt się nie odezwał. Po chwili milczenia poprosił, by dali słowo honoru, że dotrzymają tajemnicy. Każdy nurek na tej łodzi musi przysiąc, że będzie milczał jak grób na temat dzisiejszego odkrycia. Jeśli ktoś spyta ich, gdzie byli, mają powiedzieć, że nurkowali na wraku *Parkera*⁵. Kazał im też wyrzucić ze swojego języka słowa „okręt podwodny”. Mieli nikomu nic nie mówić, dopóki nie uda im się zidentyfikować wraku.

– Musicie być jednomyślni – powiedział John. – Każdy z was musi na to przystać. Jeśli chociaż jeden z was nie ma zamiaru dotrzymać tajemnicy, nie ma

problemu, w porządku... Ale wtedy na następny rejs łapie się pierwszy lepszy z brzegu. Łódź otwarta, zapraszamy wszystkich. A więc jak? Wchodzicie w ten układ?

Rejsy czarterowe do głębokich wraków bynajmniej nie są imprezami integracyjnymi. Nurkowie płyną razem na pokładzie jednej łodzi tylko po to, by dostać się do wraku, nie ma to nic wspólnego z pracą zespołową. Każdy ma własny plan, szuka swoich trofeów, dokonuje prywatnych odkryć. Głęboko nurkujący, nawet najbardziej przyjacielscy, uczą się myśleć o sobie jako zupełnie odrębnym, samowystarczalnemu byciu. Na pełnych niebezpieczeństw wodach tego typu podejście pozwala im przetrwać. W tej chwili Chatterton zaproponował, żeby czternastu takich facetów stało się nagle jednym milczącym organizmem. Tego typu sytuacje i układy nie mają miejsca na łodziach czarterowych.

Zrobiło się zupełnie cicho. Niektórzy z nich spotkali się po raz pierwszy w życiu właśnie na tym rejsie.

I wtedy zaczęli wstawać. Kolejno obchodzili mesę, mówiąc:

- Wchodzę w to.
- Ja też.
- Nie pisnę ani słowa.
- Możecie na mnie liczyć.
- Będę milczał jak grób.

W minutę było po sprawie. Wszyscy się zgodzili. To był ich okręt podwodny. I tylko ich, nikogo więcej.

Niesiony skrzydłami nadziei *Seeker* mknął przez fale do Brielle. Nurkowie oglądali kolejno książkę Yurgi o U-Bootach. Usiłowali uspokoić się i ukryć emocje. Powtarzali odpowiedzialne zapewnienia typu „Wiemy, że badania mogą zająć sporo czasu i będą dosyć żmudne, ale jeśli się do tego przyłożymy, powinno się nam udać”, od środka jednak rozpierała ich radość. Kiedy zapadł wieczór, puścili wodze fantazji i zaczęli snuć teorie dotyczące ich okrętu podwodnego. W czasie tej triumfalnej podróży do domu wszystkie hipotezy wydawały się prawdopodobne, każdy pomysł był dobry: *Czy na pokładzie mógł być Hitler? Czy nie krążyły plotki, że pod koniec wojny próbował uciec z Niemiec? Może cały wrak załadowany jest nazistowskim złotem?* Po sześciu godzinach rejsu, około dziewiątej wieczorem, Bill wprowadził łódź do portu i zacumował. Nurkowie zaczęli zbierać swój sprzęt.

Jeden z nich, Steve Feldman, został trochę z tyłu, czekając, aż w drzwiach sterówki pojawi się Chatterton. Spośród czternastu mężczyzn na pokładzie Feldman miał najkrótszy staż w tym sporcie, zaledwie dziesięć lat doświadczeń. Odkrył nurkowanie stosunkowo późno, miał wtedy 34 lata i był po wyjątkowo bolesnym rozwodzie. Zakochał się tak bezgranicznie w nurkowaniu, że aż prosiło się, by został instruktorem. Ostatnio dawał lekcje nurkowania na Manhattanie. Wielu spośród nurków na pokładzie, wliczając w to samego Chattertona, nigdy wcześniej nie spotkało Feldmana. Na ogół pływał on w ciepłych wodach nadmorskich kurortów albo nurkował po homary na Long Island, w ramach słynnych środowych imprez kapitana Paula Heplera. Kiedy John schodził z góry na pokład rufowy, Steve zatrzymał go na chwilę.

– John, chciałem ci podziękować. Ta wyprawa była po prostu ekstra. To coś ważnego, naprawdę ważnego. Nie mogę się doczekać, kiedy tam wrócimy. Strasznie się napaliłem, że tam wracamy. Chciałem podziękować tobie i Billowi, że pomyśleliście, by zabrać mnie ze sobą. Spełniło się moje marzenie.

– Też się tak czuję, chłopie – odpowiedział Chatterton. – O czymś takim marzy się przez całe życie.

Sekret *Seekera* przetrwał może dwie godziny. Około północy Kevin Brennan zadzwonił do swojego bliskiego kumpla z Brooklynu, Richiego Kohlera.

Dwudziestodwuletni Kohler był jednym z najbardziej doświadczonych i odważnych nurków na Wschodnim Wybrzeżu, zajmujących się badaniem głębokich wraków. Był także zapamiętałym historykiem amatorem, interesował się wszystkim, co związane było z Niemcami. Brennan uważał, że niepodzielenie się z kumplem tak ekscytującymi wieściami byłoby skrajnym brakiem lojalności. W rzeczy samej Kohler pewnie zostałby zaproszony na wyprawę *Seekera*, gdyby nie jego kłótnia z Chattertonem. Kohler był jednym z „chłopców Steviego” i mimo że w dosyć drastyczny sposób rozstał się z Bielendą, jego wcześniejsze przejścia z Johnem sprawiły, że nie był zbyt mile widziany wśród członków wyprawy.

W sypialni Kohlera zadzwonił telefon.

– Richie, chłopie, obudź się. To ja, Kevin.

– Która godzina...?

– Chłopie, obudź się. Słuchaj, znaleźliśmy naprawdę coś niezłego.

– Co znowu znaleźliście? Która godzina?

– Problem polega na tym, Richie, że nie mogę powiedzieć ci, co znaleźliśmy.

Żona Kohlera odwróciła się i spojrzała na niego z wściekłością. Przeniósł się

z telefonem do kuchni.

– Kevin, skończ z tym do cholery. Powiedz mi, co znaleźliście.

– Nie ma mowy. Dałem słowo honoru. Obiecałem, że nikomu nie powiem. Nie zmusisz mnie, żebym się wygadał.

– Słuchaj, Kevin. Nie możesz, ot, tak sobie zadzwonić do mnie o północy, powiedzieć mi, że znalazłeś coś niesamowitego i oczekiwać, że pójde spokojnie spać. Mów i już.

– Nie mogę, stary. Richie, nie próbuj wleźć mi na ambicję. Powiem ci tak: weź i zgadnij. Jeśli ci się uda, nie będę zaprzeczał.

Kohler, ubrany w bieliznę, z zapuchniętymi od snu oczami, usadowił się na stole kuchennym i zaczął zgadywać. Czy to liniowiec pasażerski? Nie. Barka? Nie. *Cayru*⁶? *Carolina*? *Texel*? Nie, nie, nie. Tego typu zgadywanka ciągnęła się jeszcze z pięć minut, a odpowiedź Brennana niezmiennie brzmiała: nie. Kohler wstał i zaczął przemierzać pokój w tę i z powrotem. Zrobił się czerwony na twarzy.

– Kevin, bydlaku, daj mi jakąś podpowiedź! Dostanę przez ciebie szau!

Brennan pomyślał chwilę, po czym powiedział z niskim, karykaturalnym włoskim akcentem.

– To nie MY-Boat, to...

– Co takiego? – zdziwił się Kohler.

– To właśnie podpowiedź – odpowiedział Kevin. – Nic więcej nie powiem. To nie MY-Boat, to...

– Czy ty coś piłeś?

– To jest wskazówka, Richie.

Przez jakieś pięć minut Brennan powtarzał swoją podpowiedź. Przez pięć minut Kohler miotał obelgi i przeklinał swojego kumpla, tworząc karkołomne anagramy i ich wariacje, w których połapać mógł się tylko inny brooklyńczyk. W końcu do niego dotarło: to nie MY-Boat – to YOU-Boat. U-Boot.

– Znaleźliście U-Boot?

– Tak jest do cholery, Richie, znaleźliśmy.

Kohler usiadł z wrażenia. U-Boot. W okolicach New Jersey nie ma żadnego U-Boot.

– To pewnie *Spikefish*⁷ – wydusił w końcu Richie, mając na myśli amerykański okręt podwodny z okresu drugiej wojny światowej, zatopiony w 1960 roku podczas ćwiczeń strzeleckich. – Jeśli na coś trafiliście, to musiał być to właśnie *Spikefish*.

– Nie, Richie. Klęczałem przed tym na piasku. Kiedy patrzyłem do góry, słyszałem w uszach muzykę z „Das Boot” da-da-DA-da! Tylko nikomu nie mów. To tajemnica.

– Dzwonię zaraz do Billa Nagle’a. Musze załapać się na następną wyprawę – odpowiedział Kohler.

– Nie! Nie ma mowy. Nie rób tego, Richie! Nie możesz niczego powiedzieć.

W końcu Kohler zgodził się dochować tajemnicy. Tak jak Brennan, szedł spać, mając przed oczami sceny z filmu „Das Boot”.

Tego samego wieczoru, dla uczczenia odkrycia, Bill porządnie sobie popił. Z każdym łykiem coraz mocniej czuł, że trzymanie takiej sensacyjnej wiadomości w tajemnicy jest potwornym egoizmem i zakrawa niemal na zbrodnię. Zadzwoił lodem w szklance, by zawołać Danny’ego Crowella, członka załogi *Seekera*, który nie mógł popłynąć na wyprawę z powodu jakichś zobowiązań. Nie bawił się w żadne zgadywanki, prosto z mostu wyszeptał:

– Znaleźliśmy U-Boot, tylko, do cholery, nikomu nie piśnij ani słowa.

Następnego ranka, kiedy John Yurga wszedł do sklepu ze sprzętem nurkowym, w którym pracował, zadzwonił telefon. Był to Joe „Kapitan Zero” Terzuoli, zaprzyjaźniony kapitan łodzi nurkowej, jeden z najlepszych klientów sklepu.

– Yurga, siemasz, tu Zero. Jak tam wyprawa?

– Mogło być gorzej. Okazało się, że to sterta kamieni, więc popłynęliśmy zanurkować na *Parkerze*.

– No cóż, przynajmniej spróbowaliście, trzymaj się, na razie.

Pięć minut później ponownie zadzwonił telefon. Yurga podniósł słuchawkę.

– Tu Zero! Właśnie gadałem z Ralphiem. Mówi, że rozmawiał z Dannym Crowellem. Podobno Bill powiedział mu, że to był U-Boot.

Yurga poczuł, jak jego żołądek staje się ciężki jak kamień. Lubił Zera i na samą myśl, że go okłamuje, zrobiło mu się niedobrze. Ale poprzysiągł dotrzymać tajemnicy.

– Nie wiem, o czym ty mówisz, Zero. To była kupa kamieni. Zadzwoń do Billa.

Yurga odłożył słuchawkę i natychmiast wykręcił numer Nagle’a. Chciał zdążyć przed Zerem.

– Bill, tu Yurga. Co się do cholery dzieje? Wygadałeś się komuś?

– Pieprzony Danny Crowell! – ryknął Bill. – Mówiłem mu, żeby siedział cicho!

Pozostałym nurkom dochowanie tajemnicy przyszło zdecydowanie łatwiej. Kilku opowiedziało o odkryciu rodzinie i znajomym, niemającym nic wspólnego z nurkowaniem. Inni woleli nie ryzykować i nie wspomnieli o niczym nawet swoim żonom. John dosyć szybko dowiedział się o długim języku Nagle'a. Wiedział o słabości swojego kumpla i niezbyt go to zaskoczyło. Podpowiedział Billowi, żeby zaczął podawać sprzeczne informacje. W poniedziałek miał utrzymywać, że odkrył U-Boot, we wtorek chwalić się znalezieniem *Corvallis*, w środę *Caroliny* i tak dalej, aż wszyscy przestaną w to wszystko wierzyć. Bill wymamrotał, że się postara. Chatterton usłyszał w tle brzęk kostek lodu. Będą musieli naprawdę trzymać się na baczności, żeby następnym razem ktoś nie namierzył ich wraku.

Dwa tygodnie oczekiwania były potworną męczarnią dla żyjących tajemnicą nurków. Czuli się, jakby mieli spędzić na łódzie całą wieczność. Wielu postanowiło więc zrobić coś, co wydawało się w tej sytuacji najlepszym rozwiązaniem. Zaczęli grzebać w książkach.

Większość pracowała zupełnie niezależnie w swoich domach i miejscowych bibliotekach. Szperali w lokalnych kronikach poświęconych wrakom, dziejom U-Bootów i kronikach marynarki wojennej z okresu drugiej wojny światowej. Postanowili odszukać informacje o wszystkich okrętach podwodnych, które mogły zostać zatopione w okolicach tajemniczego wraku. Wszędzie wyraźnie powtarzały się wzmianki o dwóch U-Bootach.

W kwietniu 1944 roku na współrzędnych 40°09' szerokości geograficznej północnej i 69°44' długości geograficznej zachodniej siły alianckie zatopiły okręt *U-550*. Te namiary wskazywały wyraźnie na okolice New Jersey. Wszyscy zaczęli pospiesznie studiować mapy nawigacyjne, szukając tej pozycji. Okazało się jednak, że leżała ona jakieś 100 mil na północ od okolic wraku. Były to cały czas wody przybrzeżne New Jersey, ale miejsce było zdecydowanie zbyt odległe. Tak czy inaczej, do tej pory nikomu nie udało się namierzyć wraku *U-550*. Większość uważała, że rozbieżność tego rzędu da się w jakiś sposób wytłumaczyć. Być może niezbyt dokładnie odnotowano miejsce trafienia okrętu. Może *U-550* został tylko uszkodzony przez siły alianckie i przemknął pod wodą aż do miejsca, w którym znajdował się tajemniczy wrak. Istniało jeszcze wiele innych możliwości. *U-550* był jedynym udokumentowanym okrętem podwodnym zatopionym na wodach New Jersey, toteż większość nurków stawiała właśnie na niego.

Tuż za nim był *U-521*⁸, zatopiony w czerwcu 1943 roku, w przybliżeniu przy współrzędnych 37°43' szerokości geograficznej północnej i 69°44' długości

geograficznej zachodniej. Sprawdzili namiary na mapie nawigacyjnej. Miejsce to leżało na wodach stanu Virginia, jakieś 90 mil na wschód od zatoki Chincoteague. Nie były to wody New Jersey, miejsce znajdowało się jakieś 120 mil na południe od tajemniczego wraku, ale tak jak w przypadku *U-550* nurkowie uznali, że da się to bez większego problemu wytłumaczyć. Do tej pory nie odkryto ani *U-550*, ani też *U-521*. Bez przerwy dzwonili do siebie, oznajmiając entuzjastycznie swoje kolejne odkrycia. Nikt nie miał wątpliwości, że wrak jest niczym innym niż *U-550* bądź *U-521*.

Yurga wystosował list do Archiwum Narodowego w Waszyngtonie. Uprzejmie poprosił w nim o „przesłanie wszelkich informacji dotyczących *U-Bootów*, jakie znajdują się w posiadaniu archiwum”. Podał swoje nazwisko i adres.

Po tygodniu otrzymał od pracownika archiwum odpowiedź:

„Szanowny Panie, mamy tutaj trzynaście metrów bieżących regałów, sięgających od podłogi do sufitu, zapełnionych tylko i wyłącznie dokumentami związanymi z *U-Bootami*. Mówię tu o samych tekstach, nie wspominam o rysunkach i zdjęciach. Być może zechce pan nas odwiedzić i przeprowadzi swoje badania na miejscu”.

Bill na własną rękę przeprowadził trochę badań dotyczących *U-550* i *U-521*. Aż drżał z podniecenia, pochłaniając historię tych wraków i wyobrażając sobie skutki odkrycia któregoś z nich. Wedle relacji obydwie *U-Booty* zostały zatopione stosunkowo blisko miejsca, w którym spoczywał tajemniczy wrak. Żadnego z nich nigdy nie odnaleziono. Dla Nagle’a był to wystarczający dowód, że odkryty przez nich okręt podwodny jest którymś z tych dwóch *U-Bootów*. Zadzwoił do Chattertona i poprosił go, by po pracy wpadł na chwilę na *Seekera*.

O zmierzchu Chatterton zaparkował na placu przed Potworną Oberżą. Bill był na pokładzie *Seekera*, stał nad okazałą stertą dokumentów, stanowiącą efekt jego badań.

– John, włącz na pokład, musisz to zobaczyć – zawołał Bill. – Jesteś przygotowany na trochę historyjek?

Przez następną godzinę Bill wprowadzał przyjaciela w historię zatopienia *U-550* i *U-521*. Im więcej podawał szczegółów, tym bardziej John utwierdzał się w przekonaniu, że żaden z tych *U-Bootów* nie miał nic wspólnego z ich wrakiem. Kiedy Bill skończył, Chatterton potrząsnął głową.

– Bill, nie ma mowy.

– O co ci chodzi? O czym nie ma mowy?

– To nie jest żaden z tych U-Bootów.

– Co ty do cholery opowiadasz? Czemu?

– Popatrz na współrzędne, w jakich posłano na dno *U-550*. To 100 mil od naszego miejsca. To naprawdę olbrzymia odległość.

– Alianci musieli się pomylić, podając współrzędne – przerwał mu Bill. – Zapisywali je w ogniu walki. Ktoś mógł zrobić błąd. Omsknęło mu się pióro.

– Nie ma mowy, Bill. Tam były trzy niszczyciele. Wszystkie były zgodne co do współrzędnych, popatrz na ich raporty. Chcesz mi wmówić, że na trzech niezależnych okrętach zrobiono niezależnie dokładnie ten sam błąd? Myślisz, że na tych niszczycielach wiedzieli, jak dotrzeć do Irlandii Północnej, ale nie potrafili dokładnie określić pozycji na wodach amerykańskich?

Przez jakąś minutę Bill ciężko oddychał. John wzruszył przepaszając ramionami. W oczach kapitana *Seekera* błysnęła wściekłość.

– No cóż, w takim razie nasz wrak to *U-521* – powiedział. – Skoro to nie *550*, to widocznie jest to cholerny *521*.

– To nie jest *521* – odrzekł Chatterton. – Znowu mówimy o okręcie Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych na wodach stosunkowo blisko brzegu. Mamy uwierzyć, że ludzie z marynarki wojennej nie są w stanie stwierdzić, czy są na wysokości Baltimore czy Brielle? Że nie wiedzieli, gdzie się znajdują? Jak możesz być zaledwie 60 mil od brzegu i nie mieć pojęcia, gdzie jesteś?

Na czoło Nagle'a wystąpiły żyły.

– No dobra, cwaniaczku! W takim razie, co to za U-Boot?

– Nie wiem, Bill. Ale jestem na sto procent pewien, że to żaden z tych dwóch.

Kilka dni potem John postanowił wyruszyć w podróż. W Muzeum Nauki i Przemysłu w Chicago znajdował się *U-505*, U-Boot typu IXC, przechwycony w 1944 roku przez siły alianckie w Afryce. Stanowił element stałej ekspozycji. Okręt zachował się w świetnym stanie i był otwarty dla zwiedzających.

– Chcę przespacerować się po okręcie podwodnym. Poczuć go – powiedział swojej żonie, Kathy. – Nie mam zielonego pojęcia o U-Bootach. Ale chcę wejść do środka, stanąć tam i chłonąć wszystko, co mnie otacza.

Za kupowany bez wcześniejszej rezerwacji bilet w samym środku tygodnia linie lotnicze zażyczyły sobie majątek. Mimo to Chatterton zapłacił. Planował wziąć wolny dzień w pracy, polecieć do Chicago na kilka godzin i jeszcze tego samego wieczoru wrócić do domu.

W środę, 18 września, wylądował na lotnisku O'Hare. Do drugiej wyprawy

Seekera zostały zaledwie trzy dni. John złapał taksówkę i pojechał prosto do gigantycznego muzeum. Tam skierował się wprost do U-Bootu. Stał w kolejce w towarzystwie rozbieganych dzieciaków z wycieczek szkolnych, znudzonych emerytów i kilku kadetów. Zaczął liczyć, ile razy uda mu się powtórzyć wycieczkę po okręcie przed powrotem do New Jersey.

¹ Wrak *U-550* został odkryty 23 lipca 2012 r. przez ekipę pod kierownictwem Joego Mazraanego 130 km na południe od Nantucket na głębokości około 100 metrów. Łódź została zatopiona 16 kwietnia 1944 r. z dział pokładowych okrętów eskortujących konwój zmierzający z Nowego Jorku do Wielkiej Brytanii. Trzynastu marynarzy zostało wziętych do niewoli, część pozostałych przeżyła katastrofę w niezalanej części dziobowej *U-Bootu*. Na podstawie trzech znalezionych ciał wysnuto wniosek, że pozostali członkowie załogi wydostali się z zatopionej jednostki i próbowali dopłynąć do brzegu. Żadnemu jednak to się nie udało. (przyp. red.).

² *USS S-5* – amerykańska łódź podwodna, której stępka została położona w 1917 r., by dwa lata później okręt mógł wyjść na pełne morze. Podczas prób zanurzeniowych, 89 km od wybrzeża, torpedownia *S-5* została zalana. Próby stabilizacji okrętu nie przyniosły efektu. W trakcie prac łódź dostrzegła załogę drewnianego parowca *Alanthus*. Do historii przeszła konwersacja dwóch członków ekip:

- Okręt?
- *S-5*.
- Bandera?
- Amerykańska.
- Kurs?
- Do piekła na kompas.

Ostatecznie jednostce przyszedł z pomocą pancernik *Ohio*, który próbował odholować *S-5* na wody przybrzeżne. W trakcie operacji jednak lina została przerwana i łódź podwodna poszła na dno. Obecnie leży na głębokości 50 metrów u wybrzeży New Jersey (przyp. red.).

³ „*U-Booty: Ewolucja i dzieje rozwoju technicznego niemieckich okrętów podwodnych*” (przyp. tłum.).

⁴ Brytyjski liniowiec pasażerski, laureat Blue Riband za najszybsze przepłynięcie Atlantyku w 1884 r. *SS Oregon* zatonął dwa lata później po zderzeniu ze stosunkowo niewielkim szkunerem *Charles H. Morse*. Dziura w kadłubie była tak duża, iż mogła pomieścić dyliżans wraz z końmi. Zatonięcie liniowca było efektem oszczędności armatora, który co prawda nie skąpił na luksusowym wyposażeniu kabin, ale zamiast stali użył żelaza do budowy kadłuba (przyp. red.).

⁵ Wrak transportowca zbudowanego w ramach programu *Liberty* zatopiony w 1974 r. jako element sztucznej rafy u wybrzeża Północnej Karoliny (przyp. red.).

⁶ Rzadko odwiedzany wrak największego żaglowca klasy windjammer, który pływał w XIX i XX w. po wodach Atlantyku. Prawdopodobnie należał do brazylijskiego armatora i został zatopiony w czasie drugiej wojny światowej. Wyłożony tekiem mostek kapitański został wyłowiony z żaglowca na początku lat 90. (przyp. red.).

⁷ *USS Spikefish (SS-404)* – zbudowany w stoczni Portsmouth Naval Shipyard amerykański okręt podwodny typu *Balao*, podstawowej obok jednostek typu *Gato* serii amerykańskich okrętów podwodnych w czasie drugiej wojny światowej. Jak inne jednostki swojego typu został zaprojektowany w konstrukcji częściowo dwukadłubowej, otrzymał sztywny kadłub ze stali o zwiększonej ciągliwości i wytrzymałości celem zwiększenia testowej głębokości zanurzenia do 400 stóp (122 metry). Uzbrojony był w 24 torpedy Mark XIV wyrzuciwane z sześciu wyrzutni torpedowych na dziobie oraz czterech wyrzutni rufowych. Układ napędowy tych okrętów stanowiły cztery generatory elektryczne Diesla oraz cztery silniki elektryczne o

mocy 2740 shp, napędzające dwa wały napędowe ze śrubami. W trakcie drugiej wojny światowej brał udział w wojnie podwodnej na Pacyfiku (przyp. red.).

⁸ *U-521* – zatopiona u wybrzeży Nowego Jorku niemiecka łódź podwodna, której wrak nigdy nie został odnaleziony. Prawdopodobnie leży on obecnie na głębokości przekraczającej 170 m na obszarze określonym z dokładnością do 3–5 mil. U-Boot został zniszczony z zaskoczenia, gdy jego kapitan Klaus Bargsten – jedyny ocalały z katastrofy – czytał rozdział „Middletown, USA” przewodnika turystycznego. Łódź została najpierw ostrzelana z działek eskorty konwoju, a następnie obrzucona bombami głębinowymi. Klaus Bargsten resztę wojny spędził w niewoli (przyp. red.).



Jedyny ocalały z załogi U-869, radiotelegrafista Herbert Guschewski. Zachorował na zapalenie płuc tuż przed wypłynięciem okrętu w ostatni rejs. Arch. Richie Kohler

ROZDZIAŁ 4

JOHN CHATTERTON



John Chatterton dziwił się trochę, że jeszcze chodzi po tym świecie i odwiedza muzea. Żył z dnia na dzień, często podejmując decyzje, od których mógł zależeć jego byt. Były to postanowienia, które większości turystów stojących z nim w kolejce wydałyby się zupełnie niezrozumiałe. Teraz, kiedy miał 40 lat, żonę i świetną pracę, jego przeszłość czasami wydawała się należeć do kogoś zupełnie innego. W zupełnie przypadkowych miejscach, takich jak to muzeum, nieistotne z pozoru drobiazgi sprawiały, że przenosił się w przeszłość. Ponura szara farba ścian pomieszczenia, w którym czekał na swoją kolejkę, obudziła wspomnienia z 1970 roku. Kiedy myślał o tych czasach, czuł, jak krew coraz szybciej krąży w jego żyłach. Teraz być może nie odstawał zbyt wiele wyglądem od pozostałych ludzi w kolejce. Z pewnością jednak żaden z tych ludzi nie przeżył nawet połowy tego co on.

Jack i Patricia Chatterton powitali swoje pierwsze dziecko jesienią 1951 roku. Drzewa okryte były jeszcze bujnym listowiem. Jak na lata 50. John nie mógł chyba urodzić się lepiej. Jack, z dyplomem prestiżowej uczelni Yale, piął się po szczeblach kariery jako inżynier lotnictwa. Pracował dla koncernu Sperry. W czasach, kiedy przestrzeń powietrzna kojarzyła się nieodparcie z Marsjanami i promieniami śmierci, była to fantastyczna robota. Patricia miała 24 lata i właśnie skończyła karierę modelki. Jej pełna gracji figura i burza kasztanowych włosów były ozdobą międzynarodowych pokazów mody.

Kiedy John skończył trzy lata, przeprowadzili się do nowego, zbudowanego na wzór rancza domu w Garden City, modnej podmiejskiej dzielnicy Long Island, zamieszkaney przez urzędników z Manhattanu, miejscowych biznesmenów i dżokeja Eddiego Arcaro. Trudno wyobrazić sobie lepsze miejsce do wychowywania dzieci. Garden City było bezpieczne i spokojne, jego rozległe domostwa i kolorowe telewizory niosły Amerykanom obietnicę lepszego jutra.

Kiedy John miał cztery lata, Patricia urodziła kolejnego syna. Na cześć jej ojca nazwali go MacRae. Chłopcy powoli dorastali do wieku szkolnego, razem z nimi rosły fortuny mieszkańców Garden City. Miastu służyły aż cztery stacje kolejowe Long Island Railroad, podczas gdy większość innych miejscowości mogła poszczycić się co najwyżej jedną. Chattertonowie cieszyli się posiadaniem wielkiego telewizora, mieli w domu ogrzewanie elektryczne, a boczne kółeczka w pierwszym rowerze Johna nie wydawały z siebie przeraźliwego skrzypienia.

Patricia spędzała czas na plaży. Zabierała chłopców do Gilgo Beach, plaży ciągnącej się wzdłuż łańcucha wysp barierowych na południowym wybrzeżu

Long Island, jakieś 40 minut jazdy od domu. Puszczala ich samopas, mknęli zawsze niczym zerwane z uwięzi balony, młóćąc gołymi stopami rozpalony piasek plaży, dopóki nie dobiegli do chłodnej wody oceanu. Ojciec Johna nigdy nie towarzyszył rodzinie. Był ciągle zajęty. Poza tym nie lubił piachu i słonej wody.

To w słonej wodzie John czuł się najlepiej. W domu był trochę przygaszony. W szkole było całkiem w porządku, książki lubił tak sobie. Uważał, że Mickey Mantle jest niezłym gościem¹. I tylko kiedy stał po kolana w wodzie Atlantyku i patrzył w dal, gdzieś poza horyzont, czuł, jakby widział zupełnie inny świat. Świat, o którym nikomu się nie śniło. Kiedy w domu wtulał nos w przesączone zapachem słonej wody koszulki, czuł dokładnie to samo.

Życie w domu Johna wyglądało inaczej niż u jego przyjaciół. Matka zawsze rozmawiała z nim bez ogródek. Traktowała go jak kogoś dorosłego i bez skrupowania wyrażała swoje poglądy. Ojciec był człowiekiem niezwykle rozrywkowym, nie bawiło go jednak miotanie piłki i wycieczki na ryby, którymi zajmowali się typowi telewizyjni ojcowie. Spędzał w domu godziny za swoim biurkiem, analizując równania aerodynamiki i wypalając swoje codzienne cztery paczki kentów. Po dwóch martini gotów był założyć na twarz maskę goryla i biegać po okolicy.

Kiedy Jack rozpił się bardziej, Patrycja próbowała nakłonić go do zostania przykładowym ojcem. Bronił się przed tym, uciekając coraz bardziej w pracę, papierosy i alkohol. Wtedy Patricia stwierdziła, że dopóki żyje jej ojciec, może sobie pozwolić, by zostawić Jacka.

Ojcem Patricii był Rae Emmet Arison, kontradmirał w stanie spoczynku, bohater marynarki wojennej². W latach 30. przez dziesięć lat służył jako dowódca okrętów podwodnych, a w czasie drugiej wojny światowej dowodził w bitwach. Dla Patricii, która od wczesnego dzieciństwa obdarzała go niespotykaną czcią, ojciec był wzorem odwagi, skromności i zaangażowania. Admirał przeniósł się na stare lata do Południowej Karoliny, mieszkał w pobliżu plaży. Patricia postanowiła zaaranżować kilka wizyt i rozpocząć kampanię, dzięki której chłopcy mieli pójść w ślady swojego dziadka.

Opowiadała synom o miłości dziadka do okrętów podwodnych, o tym, jak wszyscy na sobie polegali, jak każdy powierzał innym swoje życie. Świeżo zaciągnięty żółtodziób był odpowiedzialny za przetrwanie okrętu na równi z jej ojcem. A on szanował to i poważał. Czasami opowiadała historie o bitwach,

jakie admirał Ariston stoczył w czasie wojny na Pacyfiku. Przede wszystkim jednak starała się przekazać chłopcom, w jaki sposób jej ojciec rozumiał swoje człowieczeństwo. Opowiadała im, jak po wojnie jeździł po całej Ameryce, odwiedzając rodziny wszystkich ludzi, którzy zginęli pod jego rozkazami. Uważał, że powinien osobiście powiedzieć im, jak bardzo podziwiał ich synów. Mówiła, jak wspierał rodziny poległych, podtrzymując ludzi na duchu i pomagając im materialnie. Prawie codziennie powtarzała im, jak bardzo dziadek cenił sumienność i wytrwałość. Twierdziła, że dla człowieka, który mierzy wysoko i nigdy się nie poddaje, nie istnieją żadne granice.

W trzeciej klasie John grał w szkolnym przedstawieniu Odważnego Księcia. Nie był gwiazdą, był nią Czarujący Książę. Nie miał dziewczyny, ona także należała do Czarującego Księcia. W dodatku w ostatnim akcie ginął. Ale John uwielbiał tę rolę. Kiedy zbliżała się noc premiery, myślał sobie: *Naprawdę jestem jak Odważny Książę. Nie jestem przystojny jak Czarujący Książę. Dziewczynki mnie niezbyt lubią. Ale mam za to coś wyjątkowego, to odwaga. Lepiej jest być Odważnym Księciem niż Czarującym Księciem, bo ma się odwagę.*

Kiedy John miał dziesięć lat, życie jego rodziców stało się ciągłą kłótnią. Spędzał więcej czasu na plaży. Wyrobił sobie dosyć nietypowe jak na dziecko poczucie humoru, a jego donośny tubalny śmiech sprawiał, że zatrzymywali się nawet dorośli.

– Twój dzieciak jest jak ktoś w naszym wieku – mówili przyjaciele Patricii.

Tego lata jedni z sąsiadów pozwolili Johnowi wypróbować swój prosty sprzęt do nurkowania. Butla miała dużą wyporność, więc chłopiec mógł tylko unosić się na powierzchni. Ale głowę miał zanurzoną w wodzie i oddychał – oddychał pod wodą! Widział promienie słońca przebijające się przez powierzchnię i biegnące w kierunku dna. Nie widział aż tak daleko i bardzo chciał zejść niżej pod wodę. Sąsiedzi zabronili mu jednak nurkować. Dlatego kiedy oddychał pod wodą, nieprzerwanie myślał o tym, że gdyby udało mu się dostać głębiej, dowiedziałby się wreszcie, co się tam dzieje.

Pewnego letniego dnia 12-letni John wybrał się ze swoim kumplem Robem Denigrisem poza Garden City. Złapali stopa – w 1963 roku nie była to tak niebezpieczna przygoda jak dziś. Dotarli jakieś 80 kilometrów od domu, do małej miejscowości w hrabstwie Suffolk. Ruszyli polną drogą, rozglądając się za czymś fajnym, co można było z reguły znaleźć przy tego typu drogach. Trafili na stary dom w wiktoriańskim stylu. Miejsce wydawało się opuszczone, teren porośnięty był zielskiem, splątane gałęzie drzew zasłaniały zamknięte okna. Wnętrze domu było ciemne i nieruchome, tak jakby słońcu nie chciało się

wchodzić do środka. Chłopcy powoli podeszli do domu, widzieli wystarczająco dużo horrorów, żeby nie tracić czujności. Wierzyli jednak, że wewnątrz może kryć jakąś tajemnicę. Popchnęli drzwi. Ustąpiły.

Na piętrze znaleźli sterty gazet sprzed dziesięcioleci. Wyglądały, jakby nikt ich nigdy nie czytał. Usiedli na starych skrzynkach i zaczęli czytać na głos historie dziwnych ludzi, z innych czasów, i o ich problemach, które dzisiaj wydawały się im zupełnie bezsensowne. W piwnicy John odnalazł pełno słoików z przetworami z owoców – wyglądało to na zapasy na ładnych parę lat. Poczul bijący z tych słoików optymizm. Wiedział, że ludzie, którzy kiedyś tutaj mieszkali, wierzyli, że zostaną tu przez lata, i liczyli na to, że w przyszłości będą delektować się czymś słodkim. Chłopcy spędzili w domu kilka godzin. Żadnemu nie przyszło nawet na myśl, by cokolwiek niszczyć lub ruszać. Kiedy zapadł zmrok, ustawili wszystko na swoim miejscu i poskładali nawet gazety. Zostawili wszystko dokładnie tak, jak zastali.

Jadąc stopem do domu, snuli domysły, próbując wyjaśnić dzieje domu i jego mieszkańców. Przetwory wskazywały na obecność kobiety, okna nie były zabite, gdyż ludzie wyjechali zupełnie niespodziewanie. Gazety mógł zostawić jakiś ich krewny, i to długo po tym, jak wyprowadzili się stamtąd ostatni domownicy. Czas upłynął im bardzo szybko na tych rozmyśleniach.

Kilka dni później usiłowali wrócić do tego domu autostopem, nie potrafili jednak dokładnie powiedzieć, dokąd chcą jechać. Łazili po polnych drogach, ale nie trafili z powrotem w to samo miejsce. Próbowali ponownie następnego dnia i jeszcze dzień później. Za każdym razem jednak wracali z pustymi rękami.

Za wszelką cenę chcieli tam wrócić. Próbowali jeszcze może z sześć razy. Rysowali mapy. Ale nie udało się i nigdy się nie dowiedzieli, gdzie byli. Potem jeszcze wiele razy jeździli autostopem. Nigdy jednak nie trafili do tak wspaniałego miejsca.

W 1965 roku, kiedy pierwsze oddziały piechoty morskiej lądowały w Da Nang, John wstąpił do liceum w Garden City. Sporo urósł i ze swoimi blond włosami i coraz mocniej zarysowaną szczęką z każdym tygodniem wyglądał bardziej na mężczyznę niż chłopca. Łatwo zdobywał nowych przyjaciół, zwłaszcza wśród chłopaków, którzy podziwiali jego dziki charakter, to, że wybierał się autostopem na kilkudziesięciokilometrowe wycieczki autostopem albo odrestaurowanym indianinem z wajchą biegów przy baku³.

W szkole średniej John nadal uczył się bardzo przeciętnie. Kiedy zaczął drugi rok nauki, powoli skryształizowały się mgliste odczucia, które towarzyszyły mu od podstawówki. Garden City było odcięte od reszty świata. Tak jakby otaczała je powłoka ochronna, skutecznie izolująca mieszkańców od tego, co działo się

naokoło. Ludzie martwili się błahostkami, tym, kto ma najlepszy domek na wakacje i czy ojciec da forszę na założenie nowych amortyzatorów w mustangu. Sąsiedzi zarzekali się, że są za równością obywatelską i dosłownie wychodzili z siebie, wychwalając pozytywny efekt posiadania w klasie „czarnego chłopca”, problem polegał na tym, że w Garden City nie mieszkali przedstawiciele mniejszości ani klasa robotnicza.

W liceum John kontynuował swój romans z plażą. Mimo to nigdy nie marzył, żeby zostać światowej klasy wędkarzem, mistrzem surfingu lub drugim po Jacques’u Cousteau odkrywcą. Jedynym bohaterem był dla niego dziadek. Nie miał nawet swojej ksywki, co według niego było jakby podsumowaniem całej jego osoby. Zawsze jednak myślał wiele o oceanie. Za każdym razem, kiedy patrzył na Atlantyk, nie mógł wyjść z podziwu nad ogromem świata rozciągającego się poza granicami Garden City.

W 1968 roku z Wietnamu wciąż dopływały wieści o niewyobrażalnej wręcz liczbie ofiar wojennych. Każdy miał swój pogląd w tej sprawie. John starał się słuchać wszystkich. Im bardziej jednak przysłuchiwał się opiniom innych, tym bardziej dochodził do wniosku, że ludzie ci nie mają o niczym bladego pojęcia. Nie wątpił bynajmniej, że wierzą w to, co mówią; tak naprawdę podziwiał ich zapał, chociaż jemu także udzielała się energia epoki. Ale kiedy zadawał sobie pytanie o te wszystkie ofiary i im bardziej się nad tym zastanawiał, tym silniejsze było jego przekonanie, że tak naprawdę niewielu ludzi ruszyło tam, by zobaczyć na własne oczy, jak to wszystko wygląda.

W tym czasie rozeszli się rodzice Johna i ojciec wyprowadził się do Kalifornii. Pewnego wieczoru zadzwonił do domu i spytał syna, czym zamierza zajmować się w przyszłości. John doskonale wiedział, co ojciec chciałby usłyszeć – że chce złożyć papiery na Yale, a potem poświęcić się pracy badawczej. Ale z jego ust popłynęły zupełnie inne słowa. Powiedział ojcu, że postanowił poznać świat, nie jako turysta lub intelektualista, ale samodzielnie szukając odpowiedzi na nurtujące go pytania. Wyjaśnił, że nie ma pojęcia, w którą stronę będzie zmierzał, ale że musi iść, by samemu się o tym przekonać.

– Niech cię cholera weźmie! – wybuchnął ojciec.

Jack rozkręcił własny interes i właśnie opracował instalację do Bar-O-Matic, urządzenia pozwalającego barmanom nalewać z jednej rurki do kilku szklanek naraz. Mierzył wysoko. Miał sporo pieniędzy i chciał, żeby John pracował razem z nim.

– To jest twój plan. Ja mam inny – odpowiedział John.

– Jeśli tego nie zrobisz, John, skończysz jako zwykły robociarz.

John odwiesił słuchawkę.

Jakoś na początku 1969 roku, w ostatnim semestrze szkoły średniej, jedna z koleżanek Johna weszła na lekcję z czarną wstążką na ramieniu. Bombowce B-52 przeprowadziły ostatnio zmasowane bombardowania celów w pobliżu granicy z Kambodżą. Protestujący domagali się wycofania wojsk amerykańskich z Wietnamu. Dziewczyna wypowiadała tego dnia niezwykle kategoryczne sądy; wierzyła w ich antywojenne przesłanie. John wyobraził sobie siebie jako żołnierza ryzykującego w boju życie. Zastanawiał się, co w takiej sytuacji pomyślałby o tej dziewczynie, jej wstążce i zaciśniętych pięściach. Nie wiedział jednak, co myśleć, czuł, że brakuje mu wiedzy. Był to jego największy życiowy problem. Poczul to właśnie wtedy, w klasie, stojąc tuż obok dziewczyny ze wstążką, wśród studentów skandujących: „Tak wygląda prawda!”. Brakowało mu odpowiedzi. Nigdy nie miał okazji osobiście przekonać się, jak to wygląda naprawdę.

Johnowi wpadł do głowy pomysł. Armia mogła otworzyć przed nim świat. Wstępując do wojska, mógł zobaczyć wszystko sam. Zadał sobie pytanie, czy byłby w stanie zabić drugiego człowieka lub walczyć za sprawę, której nie uznawałby za słuszną. Znów nie potrafił znaleźć odpowiedzi. W pewnym momencie go oświeciło, mógł zgłosić się jako wolontariusz do personelu medycznego. Bez względu na to, jak paskudna okazałaby się sytuacja, jako sanitariusz pomagałby ludziom, zamiast nieść im śmierć. Byłby w porządku wobec siebie, a jednocześnie stanąłby twarzą w twarz z najważniejszymi pytaniami gnębiącymi świat.

Na początku myślał o marynarce, domenie swojego dziadka. Ale marynarka wojenna w specjalny sposób traktowała wnuków swoich bohaterów. John nie chciał być traktowany jak ktoś wyjątkowy. Inne jednostki nie dawały możliwości zdobycia specjalizacji. Tylko siły lądowe zapewniały wolontariuszom szkolenie na lekarza w zamian za czteroletnią służbę. John postanowił się zaciągnąć.

W styczniu 1970 roku armia przypisała szeregowca Chattertona do oddziału neurochirurgii 249. szpitala w Asaka, w Japonii. John miał 18 lat. Na dobrą sprawę jego oddział istniał tylko w jednym celu: miał radzić sobie z koszmarami wojny. Każdego dnia, jakby wynurzając się zza szczytu wzgórza, przybywała nowa fala rannych żołnierzy amerykańskich. Niektórzy mieli oderwany tył głowy, inni poszarpany kręgosłup, część bredziła w malignie, jeszcze inni wyli, wołając swoje matki, z wykrzywionymi potwornym grymasem twarzami. Gdy pacjenci dochodzili do zdrowia i leczyli rany, jakie zadano im za pomocą okrutnej broni, John mył ich, ubierał i przekręcał na łóżku. Wielu z nich było jego rówieśnikami. Zdarzało się, że przed operacją któryś z żołnierzy patrzył mu

w oczy ze słowami: „Chłopie, jestem sparaliżowany”. Niekiedy, pracując na oddziale, Chatterton uciekał myślami, próbując wyobrazić sobie życie 18-letniego faceta zupełnie nieoczekiwanie pozbawionego swojego ciała.

Jeśli jakiś żołnierz miał się w 1970 roku nieźle, z pewnością był to John. Często łapał pociąg i jechał do Asaka, by napić się piwa i zjeść kolację w jednej z licznych knajpek sukiyaki. Lubił swoją pracę, była bardzo ważna i jednocześnie pełna emocji. Oglądał świat. Nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Ale kiedy oglądał paradę przywożonych na oddział neurochirurgii ludzi z kompletnie zrujnowanymi życiorysami, zaczynał uporczywie zadawać sobie pytania: Co sprawiło, że ci ludzie to sobie robią? W jaki sposób im się to stało? Co dzieje się za tym wzgórzem?

Chatterton obserwował rannych. Skupiał się na ich oczach, kiedy lekarze tłumaczyli, jak posługiwać się wózkami inwalidzkimi i respiratorami. Patrzyli gdzieś daleko przed siebie, jakby byli w stanie widzieć na wskroś przez lekarzy. Johnowi ci żołnierze nie kojarzyli się z „szarżą lekkiej brygady”. Wyglądali na przybitych, przestraszonych i samotnych. Ale wyglądali też tak, jakby wiedzieli coś, o czym on nie miał pojęcia.

Mijały miesiące, przez 249. szpital przewijały się nieprzerwanie całe transporty pacjentów neurochirurgii, Chatterton coraz bardziej uporczywie zadawał sobie pytania. Pochłaniał czasopisma, czytał książki i szukał okazji do rozmów. Z tych źródeł jednak czerpał tylko informacje o polityce, nie wyjaśniały one, co sprawiło, że świat doszedł to tego stadium. Po raz kolejny powróciło uczucie, które miał jako chłopiec, bawiąc się na plaży. Czuł, że musi tam dotrzeć i zobaczyć wszystko na własne oczy.

W rozmowach z przyjaciółmi John zaczął wspominać, że zastanawia się nad złożeniem podania o przeniesienie do Wietnamu. Ich odpowiedzi były jednomyślne i bardzo bezpośrednie: „Odjechało ci?”. Kiedy zwierzył się ze swoich planów przełożonym, poprosili go, by jeszcze raz porządnie się nad tym zastanowił. Tłumaczyli, że służba w szpitalu neurochirurgicznym należy do najtrudniejszych i najbardziej szczytnych powołań żołnierza. Powiedział im, że nie ma to nic wspólnego z patriotyzmem i szczytnymi ideałami, po prostu chciał zrozumieć. Nawet ranni błagali Chattertona:

– Chłopie, nie jedź tam – to potworny błąd.

Pewien sparaliżowany żołnierz powiedział mu:

– Zostań tu, odsiedź swoje i jedź do domu. Ja jestem spisany na straty, ale ty jesteś jeszcze w porządku i powinno już tak zostać.

Ale John zażądał przeniesienia. W czerwcu 1970 roku znalazł się w samolocie lecącym do Chu Lai w Wietnamie Południowym.

Został wcielony do 4. Batalionu 31. Pułku Piechoty Dywizji Amerykańskiej. Po wylądowaniu kazano mu się zgłosić do batalionowego szpitala polowego w bazie artylerii w pobliżu granicy laotańskiej. Miejsce nazywało się LZ West. Trafił tam jeszcze tego samego ranka.

Około południa w bazie zadzwonił telefon. Ktoś odebrał, przez chwilę milczał, po czym wymamrotał do słuchawki: „Cholera”. Po chwili w bazie zaczęło się gotować. Oficer dowodzący wezwał Chattertona:

– Bierz swój sprzęt. Lekarz w polu został zabity, kiedy wysiadał z helikoptera. Zastąpisz go.

John nie był pewny, czy dobrze usłyszał. Ma zastąpić zabitego lekarza? W helikopterze? Na polu bitwy? W tym samym momencie facet zaczął szlochać, a w jego oczach pojawił się dziki błysk. Chatterton zetknął się już z takimi objawami w szpitalu w Japonii, były typowe dla osób cierpiących na załamanie nerwowe.

John stał w miejscu. Wokół niego biegali ludzie, chwytając broń i sprzęt. Nie miał pojęcia, gdzie ma iść i co robić. Po jakiejś minucie złapał go za rękę mały facet z przetłuszczonymi brązowymi włosami.

– Słuchaj, też jestem sanitariuszem. Przygotuję wszystko, co będzie ci potrzebne, żeby tam polecieć.

Wyglądał na starszego, przynajmniej na 24 lata. Przedstawił się jako „Mysza”.

– Chodź ze mną – powiedział Mysza.

Zaprowadził Chattertona do bunkra w pobliżu stanowiska artylerii. W ciągu kilku godzin miał się pojawić helikopter, który zabierze Johna do dżungli. Mysza obiecał, że w tym czasie pokaże mu, jak to wszystko funkcjonuje.

– Jak chcesz, możemy trochę pogadać przy robocie.

W bunkrze Mysza załadował torbę Chattertona polowymi środkami medycznymi – pigułkami na malarię, tetracykliną, morfiną, woreczkami do kroplówek, plastrami, nożyczkami i opatrunkami. Wyjaśnił mu też, jak stosuje się wszystko w warunkach polowych, w nagłych przypadkach. Różniło się to nieco od tego, czego John nauczył się w szpitalu. W przerwach opowiadał mu o Wietnamie.

– Nienawidzę wojny – zarzekał się Mysza. – Ale jestem tutaj. Robię wszystko, co w mojej mocy, by pomóc ludziom. Jestem tutaj, by być dobrym sanitariuszem. Wojna mnie nie dotyczy. Tutaj celem mojego życia jest być dobrym sanitariuszem.

Mysza opisał tabletki na malarię i dyzenterię, pozaciągał sprzączki w rzymsztunku Johna i powiedział mu, żeby oprócz dużej apteczki, używanej przez

większość sanitariuszy, nosił ze sobą także małą. Wy tłumaczył, że w czasie patrolu dobry sanitariusz oddziela wszystkie środki opatrunkowe i przeciwbólowe od całego gówna na alergię i problemy żołądkowe. Nie ma sensu dźwigać ze sobą preparatów antyhistaminowych, żeby opatrywać rany postrzałowe głowy.

– Jestem odpowiedzialny za tych chłopaków – tłumaczył. – Uważam, że muszę być w stosunku do nich w porządku. Tylko jedna rzecz się liczy – ludzie. Tylko ta jedna rzecz.

Chatterton spytał go o pistolet kalibru .45, który spoczywał na jego udzie – czy sanitariusze polowi nie powinni być lepiej uzbrojeni?

– Wielu sanitariuszy nosi strzelbę lub karabin maszynowy – odpowiedział Mysza. – Noszę jakąkolwiek broń tylko po to, by bronić rannych. Nie zamierzam pozwolić, żeby wróg wykończył faceta, którego właśnie opatruję, tylko dlatego, że jestem bez broni. Nie mam zamiaru nosić żadnej broni bojowej. Nie jestem wojownikiem. Wolę zostawić cały ten ciężki towar. To trochę symboliczne. Przypomina mi, czemu tu jestem.

W ciągu następnych dwóch godzin Mysza zupełnie zauroczył Johna swoją filozofią. Miał własne poglądy na temat odwagi, poświęcenia i oddania. John w pełni się z nimi zgadzał, nigdy jednak nie udało mu się ich tak jasno wyrazić. Na te dwie godziny zupełnie zapomniał, że jeszcze tego samego dnia będzie ryzykował swoje życie na linii frontu.

W końcu przyleciał helikopter. Ktoś zawołał: „Idziemy!”. Mysza pomógł Chattertonowi zapakować granaty oraz ponczo i po raz ostatni przepytał go, na jakie dolegliwości stosować poszczególne pigułki. John chwycił swój hełm i przypiął do pasa pistolet kalibru .45.

– Jeszcze jedno – powiedział Mysza. – Będziesz tam robił mnóstwo różnych rzeczy i ze świadomością każdej z nich będziesz żył już do końca. Będziesz musiał podejmować decyzje. Kiedy znajdziesz się w takiej sytuacji, zadaj sobie kilka pytań: Gdzie chciałbym być za 10 czy 20 lat? W jaki sposób chciałbym postrzegać tę decyzję, kiedy będę stary? To są pytania, które powinieneś sobie postawić w obliczu ważnych decyzji.

John skinął głową i uścisnął jego dłoń. Mysza miał zostać w bazie. Chatterton zastanawiał się, czy kiedykolwiek go jeszcze ujrzy.

– Wielkie dzięki, Mysza, do zobaczenia – krzyknął. Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Wgramolił się do wnętrza helikoptera i usiadł na skrzynce z konserwami. Nie było żadnych foteli i pasów bezpieczeństwa. Maszyna uniosła się w górę i rozplynęła w promieniach słońca, ponad

drzewami, w drodze ku prawdziwemu Wietnamowi.

Helikopter wysadził Chattertona z kilkoma skrzynkami zapatrzenia w dżungli. Po chwili zniknął gdzieś pośród nieba. Na miejscu nikogo nie było. Johnowi wydawało się, że minęła wieczność, zanim usłyszał szelest w kępie zarośli. Odwrócił się w stronę, z której dobiegał odgłos. Ujrzał grupę kilkunastu mężczyzn wyłaniających się z dżungli. Byli biali, mieli brudne twarze, długie włosy i niechlujne, rozczochrane brody. Tak jakby w samym środku wietnamskiej dżungli zmaterializował się nagle gang kalifornijskich harleyowców. Podeszli do niego, ubrani w porwane oliwkowe T-shirty i poszarpane spodnie. Żaden nie miał hełmu, kamizelki kuloodpornej ani jakiegokolwiek innego elementu wojskowej garderoby. Kiedy znaleźli się bliżej, Chatterton zauważył, że wszyscy mają ten sam wyraz twarzy, wygląd człowieka, którego nic już nie jest w stanie zaskoczyć.

Żołnierze otworzyli skrzynki z zaopatrzeniem i zaczęli się nim obładowywać. Żaden z nich, łącznie z przypisanym do posterunku sanitariuszem, nie odezwał się ani słowem do Johna. Co chwila któryś spoglądał na niego z pogardliwą niechęcią. Ich wzrok mówił wszystko: „Gównu wiesz. Nie zagrzejesz tutaj miejsca. Kiedy będziemy potrzebowali pomocy, pewnie nie będziesz w stanie nic zrobić”. Kiedy skończyli się pakować, jeden z nich mruknął do niego: „Idziemy”. Tworzyli mały pluton, przenosili się właśnie w nowe miejsce. Po drodze mieli w razie potrzeby tropić i zabijać Wietnamczyków z północy. Grupa weszła gęsiego w głąb dżungli. Chatterton poszedł razem z nimi.

Szli przez pola ryżowe, tłukąc owady wielkości ptaków, przedarli się przez pełne krokodyli rzeki, mijając rozprutego serią z karabinu maszynowego bawoła. Po jakiejś godzinie w dżungli odezwały się strzały. Wszyscy padli na ziemię. John był ostatni. Kule orały wokół nich ziemię. Chatterton był przekonany, że za chwilę eksploduje mu serce. Kiedy skończyła się strzelanina, rozejrzał się wokoło. Wyraz twarzy jego towarzyszy nie zmienił się od momentu, kiedy zobaczył ich po raz pierwszy. Po kilku minutach znowu ruszyli w drogę. John zebrał się w sobie i dołączył do pozostałych. Kiedy złapał z powrotem oddech, a jego mózg zaczął ponownie działać, pomyślał sobie: *Ci faceci to jacyś narwani zabójcy. Nikt się do mnie nie odzywa. Gdzie ja do cholery jestem? Co ja najlepszego zrobiłem?*

Spędzili upalną noc pod gołym niebem, w blasku księżyca. Wszyscy spali, ale John nie był w stanie zmrużyć oka. O świcie dostrzegł, jak w zaroślach znika tygrys. Następnego ranka, kiedy temperatura sięgała niemal 40 stopni, dotarli na skraj opuszczonej wioski. Wedle raportów, gdzieś w pobliżu znajdowały się siły wroga. Poza Chattertonem wszyscy w oddziale byli uzbrojeni po zęby i w pełni

przygotowani na konfrontację. Zwłaszcza 28-letni John „As” Lacko, tapeciarsz z New Jersey, którego Chatterton wytypował na szefa stada. Mierzący 185 centymetrów wzrostu Lacko zaliczał już trzecią turę, jak na wietnamskie standardy był więc starym wygą. Miał karabin maszynowy M-60 i siedemset sztuk amunicji powtykanej w pasy przewieszone na piersi. Był uosobieniem określenia „uzbrojony po zęby”. Podobno zdobył przydomek „As”, ponieważ miał zwyczaj kłaść czarną kartę do gry na piersi zabitych przez siebie żołnierzy wroga⁴.

Wyruszyli na zwiad. Szli gęsiego. Po chwili doszli do osuszonego pola ryżowego, które wydawało się idealnym przejściem przez pagórkowatą okolicę. Wyszli na otwarty teren, rozglądając się w poszukiwaniu wroga po szczytach okolicznych pagórków. Po jakichś 50 metrach Lacko wszedł na kamień, żeby mieć lepszy widok. W tym momencie ze wzgórza po lewej stronie posypały się strzały. Pięć kul, w tym dwie przeciwpancerne, wbiło się w lewe i przeszło prawe biodro Lacka. Porażony rzucił broń i położył się na ziemi, starając schować się pod osłoną półmetrowej trawy. Z ran zaczęła sączyć się krew. Pozostali zawrócili i schowali się za trzymetrowej wysokości przyzłą kamieni i błota, wznoszącą się na brzegu pola. Ktoś zawołał:

– Ace dostał! Sanitariusz! Sanitariusz!

Chatterton i drugi sanitariusz podczołgali się do przodu. Jakieś 50 metrów przed sobą widzieli kontury Lacka. Leżał na otwartej przestrzeni, stanowiąc idealny cel. Przeciwnik raczej go nie wykończy, będzie czekać, aż podbiegnie sanitariusz, wtedy za jednym zamachem załatwi dwie osoby.

Drugi sanitariusz, przełożony Johna, podczołgał się do brzegu ściany z błota.

– Mam to w dupie. Nie idę tam – powiedział do Chattertona.

Żołnierze tylko na niego popatrzyli. Tak jak w przypadku Johna, nie spodziewali się, że cokolwiek zrobi. Drugiego dnia w Wietnamie żaden żołtodziób nie będzie biegł przez sam środek strzelaniny.

– Zajmę się nim – powiedział John.

Wszyscy umilkli. Ale chyba nikt nie był zaskoczony bardziej od niego samego. John zaczął zdejmować z siebie cały rynsztunek, wszystko poza małą apteczką, którą przygotował dla niego Mysza.

– Jezu, ten dzieciak naprawdę chce tam iść – odezwał się ktoś.

Żołnierze zaczęli zajmować pozycje, by zapewnić ogień osłonowy. Z każdą chwilą zawężało się pole widzenia Chattertona, czuł, jak cichnie dobiegający z dżungli hałas. W końcu słyszał tylko swój ciężki oddech i bicie serca. Jeszcze w szpitalu w Japonii wiele myślał o chwilach takich jak ta. Wierzył, że kiedy stanie

w obliczu takiej decyzji, będzie mógł zrobić użytek z nauk dziadka. Teraz, kiedy przygotowywał się, by pobiec do Lacka, myślał sobie: *Zobaczę, na co mnie stać.*

Pobiegł pędem przez otwartą przestrzeń. Ze wzgórza po lewej stronie zagrzechotały strzały. Pociski rozpryskiwały błoto pod jego stopami, ale biegł dalej. W połowie drogi zobaczył leżącego w trawie Lacka. Przyspieszył. Ziemia przed nim trzęsła się od pocisków. Za sobą słyszał, jak ludzie z jego plutonu odpowiadają ostrzałem tak gęstym, jakby niebo miało wybuchnąć ogniem. Był przekonany, że zginie, czekał tylko, aż upadnie, ale coś powstrzymało go, żeby zawrócić. Czuł, że nie chce spędzić reszty życia ze świadomością, że się poddał. Po sekundzie wślizgnął się w trawę tuż obok Lacka.

– Leżałem tam i powoli ogarniał mnie bezwład i przerażenie – wspominał po latach Lacko. – I wtedy zobaczyłem tego nowego faceta, jak biegnie ze wszystkim, co tylko przy sobie miał. Nie znałem go w ogóle, nawet nie wiedziałem, jak ma na imię. Ale on, narażając swoje życie, wpakował się prosto w linię ognia.

John schował się w trawie obok Lacka. Kule ryły wokół nich ziemię. John sięgnął do apteczki po nożyczki, rozciął do końca nogawki i sprawdził, czy tętnice są całe. Były w porządku. Lacka można było od razu przenieść. Teraz musiał dostać się z nim za ścianę z błota 50 metrów od miejsca, w którym byli. Tak jakby mieli przedostać się przez cały Wietnam.

Zastanawiał się, czy nie przerzucić sobie Lacka przez ramię, ale ranny ważył dobrych 20 kilogramów więcej niż on. Usiadł więc na ziemi i złapał go za ręce. Ze wzgórza posypało się więcej strzałów. Zaczął odpychać się nogami, ciągnąc za sobą Lacka. Za każdym razem przesunął się z nim o długość ciała. Cały czas w oczekiwaniu, aż ktoś go trafi. Po dwóch minutach byli w połowie drogi; w tym czasie żołnierzom z plutonu udało się namierzyć źródło nieprzyjacielskiego ognia. Zaczęli strzelać w tym kierunku, odpierając atak. Po chwili Chattertona i Lacka dzieliło od ściany już tylko kilka metrów, a potem tylko półtora. Żołnierze ruszyli im z pomocą. Chwilę później pojawiły się dwa amerykańskie helikoptery bojowe Cobra. Otworzyły ogień zaporowy do pozycji wroga na wzgórzu. Tuż za nimi przyleciał śmigłowiec medyczny Huey. Sanitariusze podnieśli zupełnie zszokowanego Lacka i zabrali go do szpitala.

Kiedy huey zniknął z pola widzenia, John osunął się na ziemię. Był kompletnie wyczerpany i odwodniony. Ledwo zdawał sobie sprawę, gdzie się znajduje. Ale dostrzegł, że coś się zmieniło w ludziach. Zaczęli się do niego odzywać. Klepali po ramionach. Uśmiechali się. Nazwali go Doktorkiem.

Idąc przez dżunglę, niektórzy z żołnierzy zaczęli się zastanawiać, ile jeszcze może potrwać odwaga Chattertona. Towarzysząc patrolom bojowym,

amerykańscy sanitariusze w Wietnamie wyjątkowo narażali swoją skórę. Byli tam, by pomagać rannym, by do nich dotrzeć, często pakowali się w sam środek akcji, biegli przez pola minowe, wystawiali się na linie strzału snajperów i musieli omijać zasadzki. Poza tym czekało na nich jeszcze jedno zdecydowanie bardziej poważne niebezpieczeństwo, często przeciwnik polował na nich bardziej niż na innych żołnierzy. Zabicie sanitariusza oznaczało, że ranni będą zdani tylko na siebie – był to poważny cios dla morale oddziału.

Przez kilka dni po tym, jak postrzelono Lacka, John zgłaszał się na ochotnika na wszystkie patrole, na które wyruszał pluton. Ludzie chrząkali, klepali go po plecach i próbowali wyjaśniać, że sanitariusz, który chodzi na wszystkie zwiady, bierze na siebie niemożliwe do zniesienia śmiertelne ryzyko. Ale coś gotowało się w jego wnętrzu. Wyśmienie spisał się w czasie pierwszego patrolu i przepełniało go poczucie dumy. Nie dopuszczał do siebie myśli, że mógłby porzucić pierwszą w swoim życiu rzecz, w której sprawdzał się lepiej niż inni. Coś, w czym był naprawdę wyjątkowy i mógł stać się wielki.

Przez całe następne dwa tygodnie John chodził na zwiad ze swoim plutonem. Każdego dnia dochodziło do wymiany ognia, a on zawsze spieszył na pomoc rannym. Zawsze robił to dokładnie w ten sam sposób. Podczas gdy większość sanitariuszy schylała się i czołgała, starając się za wszelką cenę być jak najmniej widoczna, John podnosił swój metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i biegł, ile sił w nogach, mając głęboko gdzieś ogień nieprzyjaciela. Wkrótce Doktorek wyrobił sobie niesamowitą reputację, z którą nie mogły równać się żadne medale i odznaczenia. Był w opinii ludzi zwariowanym skurczybykiem.

Chatterton był w plutonie może dwa tygodnie, kiedy dotarła do niego wiadomość, że Mysza został zabity. Jego oddział wziął jeńców, a Mysza miał ich pilnować. Wtedy w pobliżu ich pozycji zakradł się, szukając celu, snajper wroga. W zasięgu wzroku miał do wyboru wielu Amerykanów. Ale Mysza ze swoim pistoletem kalibru .45 wyróżniał się na tle reszty – dla żołnierza wroga wyglądał jak oficer. Snajper namierzył Myszę i pociągnął za spust, trafiając sanitariusza kilkoma pociskami.

Jeśli John miał jeszcze jakieś złudzenia co do Wietnamu, to wszystkie te głupie myśli wyparowały wraz ze śmiercią Myszy. Zamienił swój pistolet kalibru .45 na karabin M-16. Przyjechał do Wietnamu, szukając odpowiedzi na temat Ameryki i ludzi, i w jednej chwili to wszystko okazało się oczywiste. Ameryka nie powinna pakować się do Wietnamu. Ludzie zabijali się nawzajem, bo byli zwierzętami. Miał teraz swoje odpowiedzi... po prostu zajebiście. Mimo to wciąż zgłaszał się na ochotnika do wszystkich patroli i biegł do każdego rannego żołnierza. Kiedy siadał oparty plecami o pień drzewa, łapiąc oddech, nie

mógł nadziwić się, jak wspaniale smakuje życie, kiedy ktoś musi doskonale się sprawdzać. Zaczął się zastanawiać, czy czasem nie przybył do Wietnamu, by poznać odpowiedzi na zupełnie inne pytania, niż te, które nurtowały go przed wyjazdem.

– Ludzie mówili wiele o tym dzieciaku – mówi dr Norman Sakai, chirurg batalionu. – Wtedy nie miałem jeszcze okazji go spotkać. Pierwszą rzeczą, którą można było o nim usłyszeć, było to, że zawsze szedł w szpicy. Nie chciało mi się w to wierzyć. Sanitariusze nie powinni angażować się w wojnę. Samo chodzenie na patrol było już pewną przesadą. Ale chodzenie w szpicy? Nigdy nie słyszy się, by sanitariusze szli w szpicy. Pomyślałem sobie, że to jakiś wariat. Ale ludzie mówili, że nie, on po prostu był inny niż wszyscy. Wszyscy bez przerwy o nim mówili.

Tygodnie powoli przechodziły w miesiące i przez cały czas Chatterton starał się jakoś określić. Obserwował siebie i innych w akcji, patrzył, jak żołnierze żyją i umierają, jak wykazują się olbrzymią odwagą i wpadają w załamanie nerwowe. Wnikliwie przyglądał się zachowaniu otaczających go ludzi, próbując odnaleźć jakieś wskazówki na przyszłość. Stopniowo udało mu się odcedzić z tego wszystkiego pewne zasady, które wydawały się niepodważalnymi prawdami. Zbierał je i niczym leki gromadził w apteczce swojego umysłu. Pod koniec sześciomiesięcznej służby polowej wyznawał następujące zasady:

- Gdyby coś było łatwe, ktoś zrobiłby to już wcześniej.
- Jeśli podążasz dokładnie czyimś śladem, omijasz godne rozwikłania problemy.
- Doskonałość rodzi się z przygotowania, poświęcenia, skupienia i hartu. Jeśli pójdziesz nawet na drobny kompromis, staniesz się przeciętnikiem.
- Bardzo często stajesz w obliczu ważnej decyzji, na rozstaju dróg. Musisz zdecydować, czy idziesz dalej, czy zostajesz. Z konsekwencjami tej decyzji będziesz borykać się do końca swego żywota.
- Sprawdzaj wszystko sam, nic nie jest takie, jak się na pierwszy rzut oka wydaje ani jak mówią inni.
- Łatwiej jest żyć z jakąś decyzją, jeśli podjęło się ją, kierując się szczerym wyczuciem dobra i zła.
- Facet, który ginie, jest często tym, który stracił nad sobą panowanie. Facet, któremu jest wszystko jedno i powiedział: „Już jestem martwy – to, czy żyję, czy umarłem, nie ma znaczenia, liczy się tylko, w jaki sposób mogę siebie ocenić”, jest najgroźniejszym na świecie przeciwnikiem.
- Najgorsze z możliwych wyjść to poddać się.

Przez cztery miesiące John rozmyślał nad dobrą i złą drogą życia, wciąż

zastanawiał się nad swoimi pryncypiami. W miarę jak kolejne patrole się wykrwawiały i umierali coraz to nowi ludzie, utwierdzał się w swoich przekonaniach. Zaczął powoli dochodzić do wniosku, że właśnie po to przyjechał do Wietnamu. Kiedy jako dziecko patrzył gdzieś w dal ponad wodami Atlantyku, był przekonany, że po drugiej stronie kryje się coś więcej. Wezwwały go właśnie te myśli, rozważania, jaką drogę powinien obrać w życiu człowiek.

W czerwcu 1971 roku, po odbyciu 12-miesięcznej tury, Chatterton przyleciał do domu na dwutygodniowy urlop. Potem miał wrócić jeszcze na sześć miesięcy do Wietnamu – zgłosił się na ochotnika. Matka była przerażona wyglądem i zachowaniem syna. Nie używał krzesła i nie spał na łóżku, funkcjonował tylko na podłodze. Jadł przy stoliku w salonie, siedząc po turecku na ziemi. Kiedy prosiła go, by coś opowiedział, przez chwilę milczał, po czym zaczynał szlochać i mówić jej o ludziach, którzy stracili tył głowy i wyli, wołając swoje matki. Opowiadał o głodzie, o tym, jak po raz pierwszy zabił człowieka, jak widział najokropniejsze rzeczy, jakie tylko może ujrzyć człowiek. Po chwili znowu cichł.

Matka złapała za telefon i zadzwoniła do jednego z przyjaciół rodziny, mającego znajomości w armii. Chatterton nigdy nie wrócił do Wietnamu. Został przeniesiony do Fort Hamilton na Brooklynie.

Poślubił dziewczynę, którą znał jeszcze ze szkoły średniej, ale szybko uświadomił sobie, że popełnił błąd. Po kilku miesiącach wzięli rozwód. Tak wyglądały całe dwa lata – rutyna, zabijanie czasu, złość, zagubienie, troska o przyszłość. W końcu wywiązał się z czteroletniego kontraktu z armią. I wtedy postanowił rzucić wszystko.

Lata 1973–1978 spędził, szukając dla siebie niszy. Mieszkał na Florydzie, uczęszczał tam na uczelnię i próbował pracować w szpitalu. Kiedy w 1976 roku ojciec zmarł na atak serca, w wieku 48 lat, John przeprowadził się do New Jersey i rozkręcił własną firmę budowlaną w miasteczku wczasowym Cape May. Żadne z tych zajęć nie dawało mu jednak poczucia doskonałości, które towarzyszyło mu w Wietnamie. Od czasu, kiedy wrócił do Stanów, potwornie tęsknił za tym uczuciem.

Wiosną 1978 roku wybrał się do przystani w Cape May, by poprosić jednego ze znajomych o pracę na kutrze poławiającym przegrzebki. Następnego dnia był już na morzu. Facet wyjaśnił mu całą filozofię: łódź ciągnęła za sobą po dnie oceanu dwie trzymetrowej szerokości stalowe łopaty. Co pół godziny łopaty wyciągano z wody, by wyrzucić na pokład zawartość przyczepionych do nich

worków. Załoga przekopywała się przez sterty tego, co żyło w oceanie, wyciągała małże i wyrzucała pozostałe śmieci za burtę. Małże zabierano do kralalni, gdzie wyłuskiwano je z muszli. Kiedy Chatterton spytał, co będzie należało do jego obowiązków, usłyszał prostą, ale konkretną odpowiedź: „Wszystko”.

John poznawał łowienie małży od samych podstaw. Uczył się ciąć i łączyć blachy łopat, wiązać węzły, splątywać liny, słowem robić wszystko, co w tym zawodzie było potrzebne. Czuł, jak budzi się w nim instynkt. Jadł niczym król. Kucharze pokładowi o potarganych brodach znali przegrzebki i homary lepiej niż szefowie kuchni pięciogwiazdkowych restauracji w Paryżu. Ale z tego wszystkiego Chattertona najbardziej poruszało to, że mógł patrzeć, jak u jego stóp na pokładzie ożywa całe dno morskie. Potężne łopaty wyciągały z dna oceanu dokładnie wszystko, wśród stert przegrzebek trafiały się fragmenty rosyjskich sieci rybackich, czaszki waleni, bomby, kule armatnie, zęby mastodontów i muszkiety. I przedmioty z wraków okrętów. Pełno pochodzących z nich rzeczy. Pozostali ludzie z załogi traktowali je jak zwyczajne śmieci. Przegrzebki oznaczały dla nich pieniądze, reszta była bezwartościowym gównem, które wyrzucało się za burtę. Dla Johna te właśnie przedmioty były czymś.

Za dziewięciodniowy rejs kapitan zapłacił Chattertonowi trzy tysiące dolarów. Wręczył mu też pięciokilogramowy worek małży. Jak na 1978 rok był to niebotyczny zarobek. Co więcej, John mógł od teraz liczyć na miejsce na pokładzie. Tego roku popłynął jeszcze na kilka rejsów. Niektóre były całkiem dochodowe, inne zupełnie beznadziejne, z każdego jednak przywiózł ze sobą kufer pełen niesamowicie pobudzających wyobraźnię rzeczy wydobytych z dna.

Znosił to wszystko do domu. Po pewnym czasie jego mieszkanie zaczęło wyglądać jak statek piracki z niskobudżetowego filmu. Telewizor stał na klatce na homary, na ścianie wisiała czaszka walenia, półki obstawione były kośćmi wielorybów, a pod sufitem rozciągnięta była rosyjska sieć rybacka, spadająca na głowę wszystkim, którzy wchodzili do pokoju.

Przez dwa lata uzbierał całkiem niezłą sumę pieniędzy i poznał morze jako poławiacz przegrzebek. Wiele razy chodziło mu po głowie nurkowanie, ale napięty i nieprzewidywalny plan pracy nie pozwalał na tego typu zajęcia. John obiecywał sobie, że kiedy tylko będzie miał nieco więcej czasu, zarzuci na plecy butle i zobaczy ocean na własną rękę.

W 1980 roku Chatterton poznał Kathy Caster, współwłaścicielkę małej portowej knajpki w Cape May. Właśnie wrócił z kolejnego niezwykle udanego połowu. Wiedział, że Kathy mu się spodoba, jeszcze zanim skończyli

pierwszego drinka. Wiele kobiet, które miał do tej pory okazję poznać, wiodło zupełnie przewidywalne życie. Kathy była inna, niezwykle twórcza i otwarta na świat. Dorastała w pobliskim Atlantic City, ale po ukończeniu szkoły średniej uciekła do Kalifornii, aby zasmakować tamtejszego życia. Nosila prostą sukienkę, płaszcz z owczej skóry, długie blond włosy i miała cudowny uśmiech. Kiedy ludzie rozmawiali o festiwalu w Woodstock, opowiadała, że nie tylko tam była, ale również mieszkała przez jakiś czas w samym miasteczku.

Johnowi najbardziej podobało się w niej pragmatyczne podejście do życia. Kathy nie interesowała się babskimi zajęciami, które zaprzętały większość znanych jej kobiet. Nie lubiła salonów piękności i uważała, że robienie zakupów jest potwornie nudne. Wolała uprawiać sport na świeżym powietrzu. Szanowała to, że Chatterton zarabiał na życie własnymi rękami, pracując na morzu.

Kathy się go nie bała. Miał 29 lat, ale nie myślał o studiach. Na całe tygodnie wypływał na morze w czasie potwornych sztormów. Był bardzo daleki od znalezienia swojego miejsca w życiu. Potrafiła to uszanować. Kiedy powiedział jej, że nie za bardzo wie, co zrobić ze sobą w życiu, odpowiedziała, że w niego wierzy.

Kathy i John zamieszkali razem. Kupił jej pistolet kalibru .380. Miała go trzymać w domu dla bezpieczeństwa, gdy on wypływał w rejs. Kiedy poszli na strzelnicę, podziwiał łatwość, z jaką obchodziła się z bronią. Chociaż nigdy wcześniej nie strzelała z pistoletu, trafiała zawsze prosto między oczy makiet. Stanowczo była w jego typie. Żadnemu z nich nie spieszyło się do ołtarza i dzieci. Ich związek był dosyć luźny i nie planowali odległej przyszłości. „Jeśli jakaś kobieta jest w stanie wytrzymać z tymi wszystkimi kośćmi wielorybów, to myślę, że da radę wytrzymać też ze mną” – twierdził Chatterton.

Mieszkali ze sobą niecały rok, kiedy w 1981 roku ceny przegrzebek spadły na łeb na szyję. W związku z tym drastycznie spadły też zarobki Johna. Restauracja, w której pracowała Kathy, zamknęła swoje podwoje i tym samym zostali bez środków do życia. Chatterton wpisał się na wyczerpujący 17-dniowy rejs. Kiedy na sam koniec kapitan wypisał mu czek na 85 dolarów, doszedł do wniosku, że chyba najwyższy czas porzucić ten biznes.

Zastanawiali się z Kathy nad swoją przyszłością. Za rok, w 1983, John miał stracić prawo do bezpłatnych studiów. Jeśli chciał wrócić na uczelnię, musiał zrobić to niemal natychmiast. Był zafascynowany komputerami, widział w nich przyszłość. Zapisał się więc na kurs programowania.

Na dzień przed pierwszymi zajęciami John ocknął się w środku nocy. Usiadł na łóżku i zaczął potrząsać Kathy, aż się obudziła. Była przekonana, że miał

jakiś koszmar lub nawroty wspomnień z Wietnamu. Objęła go, nie zapalając nawet światła.

– Kathy, Kathy, Kathy...

– Co się stało, John?

– Nie mogę zostać programistą.

– O czym ty mówisz?

– Nie mogę spędzić całego życia, siedząc w blasku jarzeniówek.

– W porządku, już w porządku. Chcę, żebyś był szczęśliwy, John.

– Wiem, co zrobię. Zostanę zawodowym płetwonurkiem.

– Co takiego?

– Nie wiem dokładnie. Jeszcze nie wiem... Wydaje mi się, że to w sam raz dla mnie... Tak... Zawodowy płetwonurek!

Chatterton z zadowoleniem zapadł w sen.

Nie miał pojęcia, czym zajmowali się zawodowi płetwonurkowie i gdzie pracowali. Czuł jednak, jak rozstępują się wiszące nad nim czarne chmury. Następnego dnia z samego rana pobiegł, żeby kupić magazyn „Skin Diver”⁵. Były w nim ogłoszenia szkół nurkowych. Pomysł wydawał się znakomity. Miał doświadczenie w stolarce, obróbce metali, medycynie oddechowej i nurkowaniu. W wodzie czuł się jak ryba. Jeden z kursów oferowała szkoła w Camden. Dwa miesiące później Chatterton podjechał tam swoim fioletowym gremlinem, by zrealizować swoje nowe marzenie.

Już po kilku minutach spędzonych na kursie utwierdził się w przekonaniu, że zawód nurka jest jego przeznaczeniem. Instruktor tłumaczył, że zawodowi nurkowie robią karierę jako przedstawiciele zawodu niszowego. Muszą improwizować, rozwiązywać rodzące się na bieżąco problemy, pracują w nieprzyjaznym i ciągle zmieniającym się otoczeniu. John mógł z ledwością usiedzieć w miejscu. Przypominał sobie, że właśnie w tego typu okolicznościach zablasył w Wietnamie.

Powoli przyzwyczaiał się do ciężkiego sprzętu – 12-kilogramowego hełmu Desco Pot toczzonego z miedzi, węży doprowadzających powietrze ze znajdującego się ponad powierzchnią generatora, grubych rękawic neoprenowych i suchego skafandra. Wszystko to stało się jego drugą skórą. Przez cały czteromiesięczny kurs Chatterton wciąż nie mógł się nadziwić, dlaczego tak długo żył nieświadomy, że można zarabiać na nurkowaniu.

Po zdobyciu licencji podpisał umowę z przedsiębiorstwem nurkowym działającym w porcie nowojorskim. Podczas pierwszego miesiąca nurkował może pięćdziesięciokrotnie, za każdym razem w wyjątkowym miejscu i z niezwykłym zadaniem. W ciągu tygodnia zlecano mu na przykład rozwalenie

podwodnej konstrukcji betonowej, wbicie pali pod lądowisko należącego do zarządu portu helikoptera i zespawanie zardzewiałego wspornika pod South Street. Za każdym razem odpowiadał swoim szefom: „Mogę się tym zająć”.

W wodach pod Manhattanem John borykał się z poważnymi trudnościami. Często pracował przy zerowej widzialności. W tunelach, jaskiniach lub pod budynkami było tak gęsto od mułu i osadu, że nie był w stanie zobaczyć własnej rękawiczki przytkniętej do maski. Niekiedy musiał wykonywać jakąś bardzo precyzyjną robotę wciśnięty gdzieś w nieludzko niewygodne miejsce. Grube neoprenowe rękawice zupełnie pozbawiały go czucia w rękach. W zimie, w lodowatych wodach nowojorskiego portu, suchy skafander chronił przed zimnem nie lepiej niż folia do zawijania żywności. Nocne pływy z uporem chuliganów niszczyły to, co udało mu się zdziałać poprzedniego dnia.

W domu powtarzał Kathy: „Jestem stworzony do tej roboty”. W wodzie był w pełni skoncentrowany, potrafił się rozluźnić wciśnięty gdzieś między stalowe belki i nie tracił nerwów, nawet gdy nie mógł nic zobaczyć. Zgłaszał się na ochotnika do każdej pracy, był z tym za pan brat.

John lubił stawiać sobie wyzwania. W dni, kiedy widzialność spadała do zera, przyciskał się całym ciałem do wszelkich wystających elementów otoczenia. Odbierał bodźce dotykowe łokciami, kolanami, karkiem i nawet płetwami, dopóki nie udało mu się poskładać w wyobraźni kompletnego obrazu miejsca, w którym miał pracować. Sprawiał, że każda część jego ciała zamieniała się jakby w dodatkową rękę. Lewą łydękę dociskał do ściany, by nie stracić orientacji, prawym kolaniem przytrzymywał zestaw kluczy, a stopę wystawiał przez dziurę jako wskaźnik zmian prądu. Im więcej czasu spędzał pod wodą, tym bardziej wyostrzał się jego zmysł dotyku. Wkrótce nauczył się odróżniać zwykłą stal od skorodowanej tylko na podstawie różnic w wibracjach, w jakie wpadał metal, kiedy stukał w niego nożem. Często wystarczało mu potrzeć kolaniem lub pasem wypornościowym o przedmiot, by odgadnąć jego przeznaczenie i stan.

Dzięki uniezależnieniu się od wzroku, Chatterton mógł popuścić cugle wyobraźni. Zaczął wizualizować sobie całe historie swoich nurkowań, przed oczyma wyobraźni widział, jak będzie opadała na dno obręcz, z której ześlizgnie mu się uchwyt, jak odnajdzie orientację w tunelu, kiedy pęknie jedna z belek podporowych i jak wydostanie się z jaskini, gdy zawali się jej wejście. W następnym roku doszedł do wniosku, że ciałem i umysłem jest w stanie widzieć równie wyraźnie i ostro jak oczami. Zapewniło mu to niesamowity spokój. Kiedy coś pod wodą poszło nie tak, nawet w kompletnej ciemności, w narastającym chaosie nie wpadał w panikę, wiedząc, że jest w stanie widzieć. Wkrótce zaczął negocjować warunki najtrudniejszych i najbardziej

niebezpiecznych zleceń w całej branży. Czuł swoim ciałem, sprzętem i narzędziami i był przekonany, że jest bezpieczny, dopóki na podstawie bodźców w jego umyśle powstają obrazy. Członkowie załóg zaczęli nazywać Johna mistrzem.

Przy dobrej widzialności obserwował dokładnie wszystko. Sprawdzał, w jaki sposób różne przedmioty opadają w wodzie, jak prądy wody wpływają na osad denny, jakie są stadia korozji metalu, jak woda tańczy wokół przedmiotów będących dziełem ludzkich rąk, czy też w jakiej orientacji układają się kawałki drewna zagrzebywane w piasku. Ciekawiło go wszystko. Uważał, że może mu się to przydać w przyszłości, podczas kolejnych nurkowań – nawet jeśli w tym momencie nie wiedział, w jaki konkretnie sposób.

Jadąc do pracy, niczym tancerz pracujący nad choreografią, myślał nad ruchami, jakie będzie wykonywał w czasie nurkowania. Ustalał hierarchię czynności i zastanawiał się nad kolejnością użycia narzędzi. Nie wchodził do wody, dopóki nie był w pełni usatysfakcjonowany swoim planem, dopuszczającym każdą ewentualność. Dobrze pamiętał, co spotykało w Wietnamie żołnierzy, którzy aż do momentu rozpoczęcia akcji nie zastanawiali się nad swoimi ruchami. W ten sposób minimalizował konieczność podejmowania decyzji już pod wodą, w momencie kiedy mnóstwo różnych czynników mogło zaburzyć jego ocenę rzeczywistości.

Najważniejsze było jednak to, że się nie poddawał. Zawodowy nurek może być superspawaczem, ekspertem od wyburzania podwodnych konstrukcji, mistrzem łatania rur, ale to jeszcze nie wszystko. Jeśli ze wszystkich sił, całym swoim ciałem i umysłem nie stara się skończyć roboty, bez względu na to, co dzieje się wokół, nigdy nie będzie naprawdę wielki. Tego typu sytuacje zdarzały się w pracy zawodowego nurka każdego dnia. Dla nich właśnie żył i na nie przez długie lata czekał John. Pewnego razu stłukł jedno z ochronnych szkieł do spawania w swoim hełmie. Wymiana szkła opóźniłaby realizację całego projektu. Postanowił spawać bez szkła, z zamkniętymi oczami, jako ślepy spawacz. Ludzie na pokładzie patrzyli na niego jak na wariata, kiedy wynurzył się w hełmie ze stłuczonym szkłem i powiedział: „No dobra, chłopaki, robota skończona”. Tego wieczoru jechał do domu, ciesząc się, że odnalazł swoje powołanie, zawód życia, dzięki któremu znów mógł być doskonały.

W 1985 roku Chatterton wstąpił do związku zawodowego budowniczych portowych i przeprowadził się do Hackensack w stanie New Jersey. Świetnie zarabiał i czerpał wiele korzyści z zawodu nurka. Wolny czas spędzał głównie, nurkując wokół pobliskich plaż, zwłaszcza w okolicach ośrodka katolickiego. Na płyciznach oddalonych zaledwie kilkaset metrów od brzegu spoczywały tam

dwa małe wraki, drewniany i stalowy. John był nieustrudzony w ich badaniu.

Te małe okręty zaostriły jego apetyt, chciał zobaczyć coś więcej. Wstąpił do sklepu nurkowego, by spytać się o inne wraki w pobliżu. Sprzedawca skinął głową, pokazując na stertę zielonych ulotek odbitych na kopiarce. Były to rozpiski planowanych w najbliższym czasie rejsów czarterowych. Chatterton przejrzał wydruki, pochłaniając nazwy takie jak *USS San Diego*⁶, *Mohawk* i *Texas Tower*. Przeglądając sierpniowe terminy, zatrzymał wzrok na nazwie *Andrea Doria*. Nie wierzył własnym oczom – *Andrea Doria* była naprawdę sławna, była częścią historii. Stacje telewizyjne kręciły filmy dokumentalne o tym wraku. Zapytał sprzedawcy, czy są jeszcze jakieś wolne miejsca na rejs.

– Chłopie, *Andrea Doria* to prawdziwy Mount Everest – odpowiedział sprzedawca. – Tylko dla najlepszych. Ludzie giną na *Dorii*. Zacznij od czegoś mniejszego.

John zapisał się na rejsy na kilka skromniejszych przybrzeżnych wraków. Każda wyprawa fascynowała go ze względu na wiążącą się z zatopionym okrętem historię. Wracał zawsze tak rozentuzjasmowany, że Kathy postanowiła zapisać się na kurs nurkowania. Eksplorowali razem dziesiątki pobliskich wraków. Kathy czuła się tym w pełni usatysfakcjonowana, ale Chatterton miał coraz większy apetyt. Postanowił pracować nad zdobyciem certyfikatu instruktora nurkowania, uważał, że to najlepsza metoda, by przygotować się do wyprawy na *Dorię*.

Późnym latem 1985 roku właściciel sklepu nurkowego, przekonawszy się, że nurkowanie na wrakach jest życiową pasją Johna, poradził mu, żeby przyłączył się do grupy najbardziej doświadczonych nurków na *Seekerze*. Była to łódź czarterowa należąca do Billa Nagle’a, jednej z wielkich legend tego sportu. Właściciel powiedział mu:

– Bill może wydawać się szorstkim w obejściu draniem, ale prawdopodobnie łączy was to samo podejszcie do nurkowania.

Seeker był dla Chattertona prawdziwym odkryciem. Bill i jego klienci nosili podwójne butle, byli uzbrojeni w młoty, łomy, zapasowe latarki i nosili ze sobą po trzy noże. Studiowali plany pokładów. Często wyprawiali się z dala od brzegu, nie zważając na odległość, chcieli dotrzeć do najciekawszych wraków. Niekiedy w nadziei odnalezienia zupełnie dziewiczego wraku wyczyniali naprawdę niesamowite rzeczy. To właśnie tak bardzo ujęło Johna, przywodziło bowiem na myśl ducha wczesnych pionierów amerykańskich, ludzi, których zawsze podziwiał.

Podczas pierwszych kilku rejsów Bill traktował go dosyć opryskliwie. John

powoli rozgryzał jego osobowość. Kapitan potrafił być upierdliwy – dało się to zauważyć, jeszcze zanim łódź wypłynęła z portu, z drugiej strony jednak widać było, że lubi mierzyć wysoko. Dlatego Chatterton zawsze kręcił się w pobliżu Nagle’a.

– Co za kutas? – mruczał kapitan. – Twierdzi, że coś jest niemożliwe? Co to za facet, który nie pójdzie sam sprawdzić?

John wpisywał się na wszystkie możliwe rejsy na *Seekerze*.

W 1986 roku, spędzając weekendy na pokładzie, Chatterton zaczął zauważać, że wszystkie umiejętności, jakie udało mu się zdobyć w pracy, okazują się niezwykle przydatne podczas eksploracji wraków. Nie miał problemów z wpływaniem do potrzaskanych i niebezpiecznych przedziałów zatopionych okrętów, wiedział bowiem doskonale, że odnajdzie drogę na zewnątrz. Nie tracił spokoju przy kiepskiej widzialności, nawet gdy podnoszący się szlam sprawiał, że wnętrze wraku tonęło w czerni. Wiedział, że jego ciało może bez problemu widzieć zamiast oczu. Ponieważ nie zważał na to, co się działo wokół, często igrał z nieznanym – a w czasie wypraw *Seekera* zdarzało się wiele niespodziewanych rzeczy. W 1986 roku, kiedy zgłosił się na ochotnika, żeby wyciągnąć ciało nurka z *Texas Tower*, żadnemu z pozostałych ludzi, którzy pierwszy raz nurkowali na *Tower*, nie przeszło to nawet przez myśl. John zszedł po ciało, i to dwa razy.

W 1987 roku Chatterton oświadczył się Kathy. Od kiedy kupił Kathy pistolet, jej początkowa niechęć do broni palnej przerodziła się w prawdziwą pasję. Robiła karierę strzelecką, podróżowała po całym kraju, biorąc udział w kolejnych konkursach, i była na najlepszej drodze do pobicia kilku rekordów kraju. Była to dla ich związku ciężka próba, przypominała lata, kiedy John wypływał na całe tygodnie na połów. Czasami mieli wrażenie, że żyją zupełnie osobnym życiem. Kiedy Kathy była gdzieś w drodze, potwornie za sobą tęsknili.

Chatterton stawiał sobie niezwykle wysokie wymagania, ale oczekiwał również bardzo wiele od innych. Wystarczyło, że jakiś znajomy, ktoś z rodziny lub nawet Kathy zachowali się w sposób niezgodny z jego oczekiwaniami lub ośmielili się wygłaszać poglądy sprzeczne z jego systemem wartości, a całymi dniami się nie odzywał. Kiedyś kumpel obiecał mu, że wpadnie pomóc grabić liście. Spóźnił się trzy godziny, zamiast o dziewiątej rano pojawił się w południe. Chatterton nie tylko do niego nie podszedł, ale przez miesiąc nie zamienił z nim ani słowa.

– Nie można na nim polegać – powiedział Kathy. – Nie potrafię żyć w ten sposób. Zaufanie jest dla mnie wszystkim.

Pobrali się w czasie rejsu nurkowego na Key West. Kilka miesięcy później John zdobył certyfikat instruktora nurkowania. Czuł, że jest już gotowy, by zmierzyć się z *Andreą Dorią*. Kapitan *Seekera* organizował pięciodniowy maraton na *Dorię*, więc Chatterton zapisał się na rejs i zarezerwował sobie kaję. Była to historyczna wyprawa, przywieźli z niej kilka eksponatów kwalifikujących się do muzeum. Od tego momentu *Doria* stała się jego pasją. Zaczął śnić o wraku. Były tam miejsca, które uchodziły za zupełnie niedostępne, nie dotarł do nich jeszcze żaden nurk. Co tak naprawdę oznaczało słowo „niedostępne”?

Na początku 1988 roku Chatterton zaczął przygotowywać się do powrotu na *Dorię*. Cały czas zadawał sobie pytanie, co takiego właściwie pociąga go we wrakach? Im bliżej było do kolejnej wyprawy na *Dorię*, tym bardziej zaczynał to rozumieć. Wrak statku krył w sobie niesamowicie dużo sekretów. Niektóre z nich można było odkryć, eksplorując jego wnętrze, odnajdując ukryte w nim przedmioty. Inne tajemnice czekające we wnętrzu zatopionego okrętu nie miały materialnej formy. Były to tajemnice samego nurka. Wrak dawał ludziom nieograniczone wręcz możliwości poznania samych siebie. Wystarczyło tylko chcieć. Zawsze można było posunąć się kawałek dalej, wykopać coś, co leżało trochę głębiej, odnaleźć miejsca, do których nikomu wcześniej nie udało się dotrzeć. Bez względu na to, w jakim wraku był, John zawsze potrafił znaleźć okazję i rozwikłać jakiś godny uwagi problem. Było to dla niego wszystkim, czuł, że dla takich rzeczy warto żyć. W rozmowach z kolegami zaczął podkreślać, że nurkowanie na wrakach bardzo pomaga odkryć prawdę o sobie.

Przez kolejne trzy lata Chatterton był panem *Dorii*. Spenetrował pokłady trzeciej, drugiej i pierwszej klasy. Były to przełomowe osiągnięcia, przez wiele lat uznawane za niemożliwe. W tym sporcie wszyscy gonili za trofeami. John jednak rozdawał za darmo bezcenne przedmioty wydobyte z *Dorii*, tłumacząc swoim przyjaciółom: „Ile tych filiżanek mi potrzeba?”. Wyrobił sobie reputację jednego z najlepszych nurków spośród tych, którzy nurkowali na wrakach na Wschodnim Wybrzeżu. Niektórzy twierdzili, że jest jednym z najlepszych nurków na świecie. Pewnego dnia kapitan *Seekera* powiedział mu największy komplement: „Kiedy zginiesz, nikt nie będzie w stanie odnaleźć twojego ciała”.

Kiedy Bill poważnie pograżył się w alkoholizmie i zgorzknieniu, Chatterton zaczął pilnować interesu kumpla, starając się utrzymać *Seekera* przy życiu. Wydawał się zawsze w wyśmienitym humorze ze swoim jednowarstwowym suchym skafandrem i donośnym tubalnym śmiechem na podorędziu. Wbrew pozorom potrafił jednak bardzo ostro zareagować, gdy ktoś naruszył jego system

wartości. Pod żadnym pozorem nie tolerował lenistwa i niemoralnego zachowania. Równie surowo potępiał je u siebie, jak i u innych. I biada temu, kto ośmielił się wejść mu w drogę.

W 1990 roku doszły do niego słuchy, że właściciel jednego ze sklepów nurkowych zabrał ludzką kość z wraku U-Bootu *U-853*, zatopionego w pobliżu Rhode Island. John zadzwonił do niego. W tym czasie jego imię znali niemal wszyscy nurkowie na Wschodnim Wybrzeżu.

– Słyszałem, że zbierasz na *U-853* kości – powiedział Chatterton.

– Taaa. Widzę, że wieści szybko rozchodzą się po ludziach – odpowiedział sklepikarz.

– Zabrałeś ją do domu?

– Jasne, że tak.

– Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz? – ryknął Chatterton.

Sklepikarz zaśmiał się nerwowo.

– Ja nie żartuję – powiedział John.

– Słuchaj stary, oni byli naszymi wrogami. Jebać Niemców. Wygraliśmy.

Chatterton ryknął do słuchawki:

– Powiem ci co. Jesteś taki zadowolony z tego, co zrobiłeś? Zadzwoń do gazet i powiem, żeby przyszli zrobić z tobą wywiad. Będiesz mógł im powiedzieć, jak dumny jesteś z bycia hieną cmentarną. W całym stanie ludzie będą mówić, jaki z ciebie bohater i jak kradniesz kości. Świetna reklama dla twojej firmy. Zaraz dzwonię do redakcji.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

W końcu sklepikarz zapytał:

– Co według ciebie mam teraz zrobić?

– Wiesz co. Wpieprzyłeś się. Wpieprzyłeś się po uszy – odpowiedział John. – Siedzę ci teraz na tyłku i ani mi się śni odpuścić. To był marynarz z tego okrętu. Ograbiłeś grób żołnierza. Teraz weźmiesz tę kość z powrotem i zostawisz ją na swoim miejscu. Nie na zewnątrz wraku, ale dokładnie w tym miejscu, gdzie ją znalazłeś. Jak już to zrobisz, zadzwoń do mnie i powiedz. Wtedy ci odpuszczę.

Po tygodniu dotarła do niego wiadomość, że kość jest na swoim miejscu, wewnątrz okrętu.

W 1991 roku Bill pił już tak potwornie, że nie był w stanie nurkować. Lekarze powiedzieli mu, że pijaństwo go zabije. Wciąż jednak, kiedy już wszyscy klienci na pokładzie *Seekera* spali, Chatterton prowadził z nim nocne dysputy o odkryciach. O tym, że nurkowanie tak naprawdę polegało na szukaniu. Rozmyślali, jak wspaniale byłoby znaleźć coś zupełnie nowego, ważnego, o

czym nikt jeszcze nie słyszał.

¹ Mickey Charles Mantle – zmarły w 1995 r. bejsbolista amerykański. W latach 50. i 60. grał w drużynie New York Yankees. Uważany za jednego z najlepszych oburęcznych graczy w historii sportu.

² Rae Emmet Arison został odznaczony Krzyżem Marynarki Wojennej, najwyższym odznaczeniem wojskowym nadawanym przez Departament Marynarki Wojennej, za przejęcie dowództwa nad ciężkim krążownikiem *USS San Francisco* podczas ciężkich starć w pobliżu Wysp Salomona 13 listopada 1942 r. (przyp. red.).

³ Suicide shifter – lewarek samobójców – dźwignia zmiany biegów przy baku motocykla, nazwę zyskała przez urazy, które powodowała w trakcie wypadków (przy. tłum.).

⁴ Postać Lacky’ego została uwieczniona w osobie sierżanta Animala Mothera z filmu Stanleya Kubricka „Full Metal Jacket” (przyp. red.).

⁵ Powołane do życia w 1951 roku przez dwóch byłych żołnierzy, Chucka Blakeslee i Jima Auxier, pierwsze na świecie czasopismo nurkowe. Zerowy numer kosztował 25 centów, miał 15 stron, a na okładce zdjęcie Nelsona Mathisona trzymającego w dłoni ogromnego okonia morskiego ustrzelonego u wybrzeży Kalifornii. Dwukrotnie sprzedawany różnym właścicielom „Skin Diver” utrzymał się na rynku przez 50 lat, by zakończyć życie w 2002 roku. (przyp. red.).

⁶ Przechrzczony na *USS San Diego* amerykański krążownik *California* zatonął prawdopodobnie po wpłynięciu na niemiecką minę 19 lipca 1918 r. Był to jedyny tak duży okręt utracony przez marynarkę USA w czasie pierwszej wojny światowej (przyp. red.).

ROZDZIAŁ 5

WARIACKA GŁĘBOKOŚĆ



John wszedł do wnętrza *U-505*. Był to U-Boot z czasów drugiej wojny światowej wystawiany w Muzeum Nauki i Przemysłu w Chicago. Ze wszystkich stron otaczały go fantastyczne mechanizmy. Ze ścian i sufitu sterczał prawdziwy gąszcz urządzeń technicznych – manometry, wskaźniki, rury, przewody, głośniki, instalacje hydrauliczne, zawory, radia, sonar, włazy, przełączniki, dźwignie. Wszystko na przekór idei, że człowiek nie może funkcjonować pod wodą.

Najbardziej obszerne pomieszczenia miały niewiele ponad metr szerokości i metr osiemdziesiąt wysokości. W wielu miejscach nie mogła obok siebie stanąć dwójka dzieci z wycieczki muzealnej. Żeby przejść do niektórych przedziałów, członek załogi musiał przeczołgiwać się głową naprzód przez okrągłe stalowe włazy. Nikt, łącznie z samym kapitanem, nie miał koi, która wyglądałaby na mogącą bez problemu pomieścić jego ciało.

Ze słuchawek popłynął głos przewodnika i opowieść o życiu na pokładzie U-Boota. Marynarze spali na wąskich kojach na trzy zmiany. W dziobowym przedziale torpedowym, największym pomieszczeniu na całym okręcie, spało, pracowało i jadło około 25 ludzi. Oprócz nich mieściły się tam jeszcze zapasy ziemniaków, konserw, pojemniki z kiełbasą i nawet do sześciu uzbrojonych torped. Rozwścieczone morze miało okręt takim jak ten niczym dziecinną zabawką, tak że marynarze zlatywali z koi, a jedyny na pokładzie garnek spadał z przypominającego kuchenkę dla lalek palnika w kambuzie. Na zimnych wodach wiszące nad głową rury pokrywały się szronem z kondensującej pary wodnej, zamrażając karki i włosy załogi. Często przed zimnem można był schronić się tylko w maszynowni, w której z ogłuszającym szczękiem metalu pracowały dwa bliźniacze silniki Diesla. Temperatura przekraczała tam 40 stopni, do tego dochodziły potworny wilgotny zaduch i hałas, od którego głuchli mechanicy. Powstający w trakcie pracy silników tlenek węgla uwalniał się do pomieszczeń, otumaniając umysły i powodując zaburzenia snu. Zapach z maszynowni był jedynym aromatem, który dawało się wyczuć we wszystkich przygotowywanych na miniaturowej kuchence posiłkach.

John doskonale widział, że wentylacja miała zapewnić wyłącznie przetrwanie, o komforcie nie było mowy. U-Booty bardzo szybko zaczynały śmierdzieć. Mimo iż na pokładzie większości okrętów znajdowały się dwie toalety, jedna z nich była z reguły zarezerwowana na ekstrasapasy, toteż druga musiała służyć niekiedy nawet 60-osobowej załodze. Spuszczanie wody było niezwykle delikatną czynnością wymagającą długiego treningu – jeśli popełniło się jakiś błąd, woda z oceanu mogła wdrzeć się do wnętrza okrętu i go zatopić. Na

początku wojny, kiedy U-Booty znaczną część czasu przebywały na powierzchni, odpadki wyrzucano po prostu za burtę. W późniejszym okresie, gdy z obawy przed wykryciem dowódcy nakazywali zanurzenie, ze śmieciami trzeba było improwizować. Odpadki z kilku dni wpychano do wyrzutni torped i odpalano. W żargonie czynność ta nazywana była *Müllschuss* – „strzałem śmieciami”. Jednak dosyć szybko ludzie zaczynali śmierdzieć bardziej niż odpadki. Na okręcie podwodnym nie było miejsca na przedmioty osobiste, wliczając w to garderobę. Zaledwie kilka osób mogło pozwolić sobie na zmianę bielizny, większość nosiła „kurewskie gacie” – czarne szorty, które dosyć skutecznie kryły ślady miesiąca spędzonego na morzu. *Aż trudno uwierzyć, że sześćdziesięciu facetów żyło tutaj przez kilka miesięcy, budząc w tym czasie strach na całym świecie* – pomyślał Chatterton.

Powoli przesuwiał się dalej, słuchając przewodnika. Żeby nie stracić orientacji i utrwalić sobie w pamięci obrazy, co kilka sekund zatrzymywał się i naciskał przycisk STOP na odtwarzaczu. Studiował układ półek, elementów maszyn, manometrów i kształt podłogi, wyobrażając sobie jednocześnie, jak to wszystko mogłoby wyglądać na dnie Atlantyku, pokryte grubą warstwą wodorostów i 50-letniej rdzy. Zaglądał do zakamarków maszyn i stref zamkniętych dla zwiedzających, szukając wzrokiem wszystkiego, co mógłby próbować odnaleźć we wraku w New Jersey, jakiejś tabliczki znamionowej, plakietki stoczni lub dziennika zawierającego numer okrętu. Wszystko, co robił, irytowało pozostałych zwiedzających. Blokował wąskie przejścia, opierał się o dzieci i pakował na plecy staruszkom. Kiedy przewodnik poprosił go o opuszczenie okrętu, wyszedł na zewnątrz, wrócił do kolejki i czekał na następną turę.

Następnym razem już tylko udawał, że naciska guziki na swoim odtwarzaczu. W mesie oficerskiej dostrzegł drewniane szafki, mogły spokojnie przetrwać pół wieku pod wodą. W ich wnętrzu zapewne kryły się jakieś ważne dokumenty. Zatrzymał się też na całe pięć minut przy stole nawigacyjnym. Udawał, że nie słyszy utyskiwań ludzi stojących za nim w kolejce. Nad stołem było kilka półek z instrumentami nawigacyjnymi. Gdyby we wraku udało mu się znaleźć któryś z nich, miałby świetną wskazówkę pozwalającą zidentyfikować okręt.

Znowu ustawił się w kolejce. Tym razem zamierzał wyobrazić sobie, jak tonie U-505. We wnętrzu okrętu odtwarzał w myślach różne scenariusze zatonięcia okrętu, poczynawszy od trafienia pociskiem, przez przeciek, wybuch na pokładzie, na awarii sprzętu kończąc. Za każdym razem wyobrażał sobie, w jaki sposób zapadają się leżące przed nim pomieszczenia, jak sypie się przyczepiony do ścian sprzęt, podłogi zgniatają w harmonijkę, i gdzie gromadzą się szczątki. Zastanawiał się, w którym miejscu okręt mógł się przełamać – tam udałoby się

wpłynąć do jego wnętrza – i przez jakie sekcje wraku da się najłatwiej przepłynąć. Stawał w kolejce jeszcze sześć razy. W końcu był w stanie odtwarzać w pamięci wszystkie scenariusze niczym stare odcinki ulubionego serialu. Przewodnik cynicznie się uśmiechał, widząc, jak John za wszelką cenę próbuje udawać, że używa jeszcze słuchawek.

Na lotnisku O'Hare Chatterton kupił sobie żółty notatnik, długopis i różowy flamaster do podkreślania. Zaczął szkicować *U-505*. Na różowo zaznaczył miejsca, w których mogły zachować się tabliczki identyfikacyjne lub inne przydatne przedmioty. Na marginesie notował uwagi: „Mosiężna tabliczka stocznia na peryskopie – to może być właśnie to”. Wchodząc na pokład samolotu lecącego do New Jersey, myślał: *W sumie osiągnąłem to, po co tutaj przyjechałem. Mam już pojęcie o U-Bootach i wyczucie.*

Drugi rejs do tajemniczego wraku okrętu podwodnego miał odbyć się w sobotę, 21 września 1991 roku. Lista załogi i pasażerów zasadniczo się nie zmieniła poza jednym wyjątkiem. Tym razem nie było Rona Ostrowskiego, który miał jakieś ważne sprawy rodzinne. Zamiast niego płynął Dan Crowell, kapitan jachtowy, przez długie lata członek załogi *Seekera*. Za pierwszym razem nie mógł płynąć ze względu na zobowiązania służbowe. Nurkowie ledwie mogli usiedzieć w miejscu, z niecierpliwością oczekując zbliżającego się wielkiego dnia.

Niektórzy z nurków, jak Doug Roberts i Kevin Brennan, zabijali czas, sprawdzając i poprawiając swój sprzęt. Inni, jak Kip Cochran, Paul Skibinski i John Yurga, zajmowali się studiowaniem szczegółów budowy U-Bootów w nadziei znalezienia wskazówek, które naprowadzą ich na drogę do rozwikłania tajemnicy. Wszyscy czuli rosnące podniecenie. Nurkowie przez całą swoją karierę czekali na okazję wpisania się na karty historii. Ich dzieliły od tego zaledwie trzy dni.

Chyba żaden z nich nie był jednak tak podekscytowany jak 40-czteroletni Steve Feldman, jedna z głównych postaci w stacji telewizyjnej CBS – nurek, który pod koniec poprzedniego rejsu podziękował Chattertonowi. Feldman zabrał się do nurkowania zaledwie dziesięć lat wcześniej, po nagłym rozwodzie. Rozstanie z żoną było dla niego szokiem. Został sam, gruby i pogrążony w depresji. Odpalał jednego papierosa od drugiego. Znajomi nie mogli patrzeć, jak taki sympatyczny, skromny facet pogrąża się w bólu. Namawiali go na zajęcia z jogi, kurs nurkowania, cokolwiek, co przywróciłoby go do życia. „Eeeeetam” – odpowiadał im z szorstkim, nowojorskim akcentem.

Pewnego dnia zmusił się do pójścia na lekcję nurkowania. Bill otworzył przed

nim wodny świat. Steve zaczął spędzać każdą chwilę wolnego czasu, zgłębiając tajniki sportu. Zrzucił parę kilogramów, powróciło też jego dawne pogodne oblicze, przystojna twarz południowca, z gęstymi i czarnymi wąsami i lśniąco-niebieskimi oczami. Rzucił palenie i zapisał się na siłownię, wszystko po to, by stać się lepszym nurkiem.

Przez następnych kilka lat nurkował na płytkich, ciepłych wodach. Sport zupełnie go zmienił. Woda stała się jego światem, miejscem, w którym czuł się tym, kim chciał naprawdę być. Znalazł sobie dziewczynę. Regularnie pływał na wielkie śródkowe „rajdy” kapitana Paula Heplera. Złapane homary gotował w kuchni stacji CBS aktorom oper mydlanych i pomocnikom z planu. Kupił sobie specjalnie namiot, żeby mieć się gdzie przebierać w czasie zimowego nurkowania na plaży.

Dosyć szybko zaczął nurkować na wrakach. Rzadko docierał głębiej niż na 30 metrów i na ogół penetrował okręty bardzo pobieżnie, ale niezwykle interesował się ich historią. Zaczął zapisywać się na wszystkie rejsy do wraków, jakie tylko udało mu się znaleźć. Ponieważ jak wielu nowojorczyków nie miał samochodu, często można było go zobaczyć, jak stoi przed swoim domem na Dziewięćdziesiątej Siódmej, między Central Park West a Columbus, obwieszony 100 kilogramami sprzętu, i próbuje zatrzymać taksówkę. Większość kierowców na chwilę zwalniała, by przyjrzeć się tej dziwnej postaci, jakby rodem z Marsa, po czym gwałtownie dodawała gazu. Przyjaciele Feldmana po prostu uwielbiali ten widok, najbardziej jednak podobały im się miny przejeżdżających ulicą kierowców taksówek i to, że Steve nigdy nie przejmował się, że nikt się nie zatrzymuje, nawet jeśli stał w strugach deszczu.

Zawsze pojawiał się na pokładzie łodzi nurkowej w swoim firmowym stroju: czapce bejsbolowej bez logo, T-shircie z potężną porcją makaronu kantońskiego z sosem fistaszkowym na wynos. Bez względu na to, jak wzburzone było morze i jak ciężkie nurkowanie, zawsze zjadał całą porcję makaronu. Puste opakowanie w koszu na śmieci było niezaprzeczalnym dowodem, że „Feld” uczestniczył w rejsie.

Nie minęło wiele czasu i został instruktorem. Nurkował już na głębszych wrakach, czasem na 35, raz nawet na 50 metrach. Z reguły jednak pływał w ciepłych płytkich wodach, pozostawiając szalone wyprawy na wodach Wschodniego Wybrzeża prawdziwym fanatykom sportu. Kiedy Paul Skibinski, kumpel, którego znał z rajdów Heplera, zaprosił go do udziału w wyprawie organizowanej przez Nagle’a, skorzystał z okazji. O Nagle’u, Chattertonie i *Seekerze* krążyły w tych okolicach legendy, teraz miał szansę z nimi nurkować.

Z pierwszego rejsu Feldman wrócił zupełnie odmieniony. Skakał do wody ramię w ramię z najlepszymi. Dotknął dna na głębokości 60 metrów, znacznie głębiej, niż mu się kiedykolwiek marzyło. Należał do sekretnej grupy, która miała odsłonić tajemnicę historii. I to on mógł być tym, który zidentyfikuje wrak. Sobotniego popołudnia, przed powrotnym rejssem do wraku, kupił dużą porcję kantonńskiego makaronu z sosem fistaszkowym na wynos. Stargał na ulicę swój sprzęt. Jeszcze dziesięć lat temu czułby się zupełnie zagubiony. Teraz, kiedy przejeżdżający taksówkarze gapili się na niego w osłupieniu, wiedział, że wybiera się dokładnie tam, gdzie jest jego miejsce. W ten sposób właśnie wyobrażał sobie nurkowanie i zawsze tego szukał: w wodzie, zupełnie niezależny, mógł być tym, kim naprawdę chciał być, i nikt nie mógł mu tego odebrać.

Seeker odbił od nabrzeża w Brielle około pierwszej nad ranem. Wyruszał w podróż powrotną do tajemniczego wraku U-Bootu. Noc była spokojna i wymarzona wręcz do snu, ale tym razem na pokładzie nikt nie spał. Wszyscy wiedzieli, że skoro na pokładzie jest trzynastu nurków i każdy z nich może zejść pod wodę dwa razy, to w sumie wychodzi dwadzieścia sześć nurkowań. Każde z nich było szansą na odnalezienie czegoś, co pozwoli zidentyfikować wrak. Dzisiaj któryś z nich miał szansę zostać kimś.

Tylko jednej osobie na pokładzie nie udzieliło się podniecenie. Stojący w sterówce Bill wyglądał na nieźle zdenerwowanego, kiedy ustawiał parametry LORAN i wyprowadzał *Seekera* z portu.

– Coś nie tak, Bill? – zapytał Chatterton.

– Boję się, że jakiś skurwysyn namierzy nas przy wraku – odpowiedział. – Ktoś puścił farbę, że ostrzemy sobie zęby na coś wielkiego.

– Ktoś puścił farbę! Co ty powiesz? – zapytał zdziwionym głosem John.

– Na to wygląda.

– Ciekawe, jak to się stało! – zaśmiał się Chatterton. Jego donośny głos poniósł się aż do mesy pod nimi. – Gdybyś potrafił utrzymać swój długi jęzor na uwięzi dłużej niż jeden dzień, Bill, może byłbyś dzisiaj trochę bardziej wyluzowany.

– Cholera, nie tylko ja się wygadałem.

– Słuchaj, Bill, nikt poza nami nie wypływa pod koniec września 60 mil od brzegu. Bielenda i jego goście nie mają żadnych ciekawych zajęć. Nawet jeśli dotarły do nich wieści, że robimy coś wielkiego, są zbyt leniwi, żeby się tym zająć. Chcą, żebyśmy najpierw odwalili za nich całą ciężką robotę.

– Wiem, John. Pewnie masz rację.

– Czeka! Bill, patrz! Bielenda na sterburcie! Śledzi nas! – zaczął się drażnić

John.

– Spadaj!

Sześć godzin później *Seeker* dotarł do celu. Nurkowie zaczęli się przebierać. Chatterton miał znowu skoczyć jako pierwszy, przywiązać kotwicę i zabrać się do swojego nurkowania. Podczas gdy reszta zamierzała wybrać sobie jakieś konkretne miejsce i szukać w nim czegoś, co pozwoli na identyfikację okrętu, John planował opłynąć wrak, próbując złapać orientację na podstawie tego, co widział w Chicago. Nie miał zamiaru szukać czegoś konkretnego, chodziło mu o same wrażenia. Kiedy odnajdzie się we wraku i zrozumie jego położenie, będzie mógł opracować właściwy plan. Obierając taką strategię, ryzykował, że któryś z pozostałych nurków ubiegnie go w identyfikacji okrętu. Jednak zdecydował się podjąć to ryzyko. W nurkowaniu hołdował zasadzie, że najpierw należy wszystko porządnie przygotować, toteż nie zamierzał zacząć bezmyślnie przekopywać wraku w nadziei, że uda mu się coś znaleźć.

Zszedł wzdłuż liny kotwicznej. Widzialność była umiarkowana, sięgała może sześciu metrów. Kiedy zbliżył się do dna, zauważył, że kotwica zahaczyła się o kawał metalu spoczywający w piachu obok okrętu. Kanciasty kształt nie budził cienia wątpliwości – masa żelastwa była z pewnością kioskiem, punktem obserwacyjnym, który powinien znajdować się na szczycie okrętu. Podpłynął trochę bliżej. Widział teraz okręt. Leżał na piasku zupełnie nietknięty. Miał kształt dokładnie taki jak na zdjęciach w albumach, z jednym tylko wyjątkiem – w burcie okrętu była olbrzymia dziura wysokości około pięciu i szerokości mniej więcej dziewięciu metrów. Chatterton doskonale znał metal. To uszkodzenie mogło powstać tylko w wyniku potwornej katastrofy. Tej samej, która sprawiła, że kiosk oderwał się od kadłuba i upadł w piasek. Okręt z pewnością nie poszedł na dno nietknięty.

Dziura przykuła uwagę Johna. Mógł w nią wpłynąć i przeszukać jej okolice, próbując zidentyfikować wrak, zanim na dno dotrą pozostali nurkowie, ale nie było to zgodne z jego planem. Wpłynął na szczyt wraku i obrócił się w lewo, studiując topografię okrętu i zapamiętując w myślach obrazy. Przy końcu wraku zauważył luk torpedowy, który spostrzegł za pierwszym razem. Z tego, co pamiętał, luk był na dziobie, a więc dziura była w lewej burcie. W umyśle Chattertona powoli zaczął krystalizować się pełny obraz statku.

Odwrócił się i popłynął w drugą stronę. Kiedy był już przy samej rufie, odezwał się jego timer. Musiał wracać do liny kotwicznej i zacząć się wynurzać. Pozostali nurkowie, z których pierwsi zaczynali już schodzić pod wodę, z pewnością wpłyną w dziurę i zaczną w niej grzebać. John miał już jednak informacje, a więc to, po co przyплыwał. Eksplorację mógł zostawić sobie na

drugie nurkowanie, kiedy już dokładnie przestudiuje i poskłada w umyśle obraz okrętu. Wtedy będzie wiedział, gdzie płynie.

Kiedy Chatterton wynurzał się wzdłuż liny kotwicznej, do wraku dotarli kolejni nurkowie. Skibinski i Feldman dostali się do środka dziury w pobliżu obalonego kiosku i zaczęli przeszukiwać szczątki. Skibinski natknął się na metrowej długości rurę stanowiącą niegdyś element wyposażenia – uznał, że może być na niej jakiś numer seryjny. Przez kolejnych kilka minut grzebali z zapalem w mule, oczarowani mnogością wielce obiecujących pozostałości. Obiecali sobie, że bez względu na to, jak kuszące będą odkrycia, po czternastu minutach bezwzględnie zaczną się wynurzać. Zegarek Skibinskiego właśnie pokazał trzynaście minut. Popukał Feldmana w ramię i pokazał gestem, że idzie do góry. Ten skinął potwierdzająco głową. Skibinski skierował się ku linie kotwicznej i zaczął się po niej wspinać. Trzeba było wykazać się niesamowitą samodyscypliną, by zostawić taki skarbiec przedmiotów, ale obydwaj postanowili za wszelką cenę trzymać się planu.

Wspinając się po linie, Skibinski zerknął w dół, szukając wzrokiem Feldmana, który wyglądał, jakby sprawdzał coś jeszcze we wraku.

– Lepiej niech kończy się w tym grzebać i się zbiera – wymamrotał przez aparat, wspinając się na kolejne kilka metrów.

Zerknął znowu w dół, tym razem spostrzegł, że z aparatu Feldmana nie wydobywają się bąble. W głębi jego umysłu, gdzieś w tle, odezwał się szum narkozy. *Coś jest nie tak* – pomyślał. *Muszę tam zejść i to sprawdzić.* Puścił linę kotwiczną i odpłynął do kumpla.

Złapał go i obrócił. Z ust Steve’a wypadł aparat oddechowy. Nie mrugał oczami. Paul zajrzał głębiej w jego maskę, patrzyły na niego zupełnie nieruchome oczy. Nie mrugał.

– Ludzie muszą mrugać, Steve, do cholery, zamrugaj! Nic. Kurwa mać! Ożeż kurwa mać! – wrzeszczał przez aparat. W jego głowie coraz donośniej dudniła narkoza. Próbował włożyć aparat w usta kolegi, ale te pozostawały rozdziawione – było wyraźnie widać, że nie oddycha.

– O kurwa! Kurwa mać! – zawył.

Czuł, jak głowa zaczyna mu coraz bardziej ciążyć, oddychał coraz szybciej, gwałtownie redukując swoje zapasy powietrza. Feldman wciąż patrzył na niego nieruchomymi oczami.

Paul objął go lewym ramieniem. W głowie kołatały mu się pytania. *Napełnić jego skafander powietrzem i wystrzelić go na powierzchnię? Nie mogę tego zrobić, przecież szlag go trafi od pęcherzyków. Zostawić go tutaj i zająć się sobą*

i wynurzaniem? Nie mogę zostawić kumpla, nie mogę zostawić kumpla, nie mogę zostawić kumpla. Pozostawało tylko jedno wyjście, wyciągnąć Steve'a na powierzchnię. Czasami nieprzytomni nurkowie odzyskiwali przytomność w trakcie wynurzania, był przekonany, że słyszał o takich przypadkach.

Wciąż ujemnie wyporny Feldman ciążył jak ołów. Skibinski, połykając powietrze, z całych sił podciągał się jedną ręką na linie kotwicznej, w drugiej ręce trzymał kumpla. Steve wygiął się pod naporem prądu, jego ramiona zwisały bezwładnie u boków, a nogi sterczały do przodu. Wciąż patrzył przed siebie nieruchomymi oczyma. Z każdym podciągnięciem Paul coraz bardziej się męczył i wciągał coraz więcej powietrza. Dotarł na 50, 48 i w końcu na 46 metrów. Wtedy dostrzegł nad sobą dwóch nurków, Brennana i Robertsa. Właśnie schodzili na dno.

Na chwilę rozluźnił uchwyt, by trochę odpocząć. W tym samym momencie zaczął unosić ich prąd. Skibinski, wiedząc, że cały czas spala powietrze i że za parę sekund zgubi się w morzu, zaczął rozpaczliwie kopać płetwami, usiłując pochwycić z powrotem linę kotwiczną. Walczył zajądło z prądem. W pewnym momencie nie był już w stanie utrzymać kumpla. Puścił go. Bezwładny Steve zaczął błyskawicznie opadać na dno. Cały czas leciał plecami do dołu, patrząc przed siebie, jego usta zamykały się i otwierały, ale nie wydobywały się z nich bąble powietrza.

Roberts instynktownie ruszył w kierunku ciała, ale Feldman wciąż tonął. Doug zdawał sobie sprawę, że puszczając linę kotwiczną, by go pochwycić, sam ryzykuje, że się zagubi. Ale działał pod wpływem impulsu – nie mógł pozwolić, by drugi człowiek zniknął na zawsze w otchłani. Mniej więcej na 60 metrach udało mu się sięgnąć i pochwycić Steve'a. Bezwładne ciało było jednak tak ciężkie, że obydwaj zaczęli opadać na dno. Roberts opanował się i zaczął rozpaczliwie szukać regulatora wyporności lub zaworu napełniającego suchy skafander – gdyby udało mu się napompować sprzęt kolegi, łatwiej byłoby go wyciągnąć na powierzchnię. Ale Feldmana oplatał gąszcz sprzętu i Roberts nie był w stanie znaleźć pod nim zaworów wypornościowych. Napełnił swój skafander powietrzem, lecz nie udało mu się zatrzymać opadania. Razem dotknęli dna. W głowie Douga odezwała się narkoza. Zerknął w twarz Steve'a, ale nie dostrzegł w niej życia. Nie widział wraku. Nie był w stanie dostrzec liny kotwicznej. Ze wszystkich stron otaczał go piasek. *Jesteśmy w samym środku pustkowia – pomyślał. Jestem w zafajdanej krainie nicości. Już po mnie.*

Podczas gdy Roberts razem z Feldmanem osiadali na dnie, ogarniętemu

paniką Skibinskiemu na głębokości 48 metrów udało się z powrotem pochwycić linę. Oczy wyszły mu z orbit. Pospieszył w kierunku Brennana, robiąc gest, jakby podcinał sobie gardło. pokazywał w ten sposób, że brakuje mu powietrza. Kevin Brennan już widział podobne sceny – to klasyczny przypadek paniki. Skibinski rzucił się na jego aparat. Kevin jednak odsunął się do tyłu. Nie mógł pozwolić, żeby Paul zabił ich obu. Sięgnął za siebie po zapasowy aparat i podał go miotającemu się koledze. Ten chwycił go i zaczął oddychać rezerwą Brennana. Kevin zaczął się razem z nim wynurzać, robiąc krótkie przystanki dekompresyjne na 15 i 12 metrach. Cały czas w głowie kołatała mu myśl: *Jeśli Doug jeszcze żyje, na pewno się zgubił i teraz mu odbija. Siedzi tam na dnie, narażając własne życie dla gościa, który i tak już jest trupem. Jestem za niego odpowiedzialny. Muszę go znaleźć.* Na głębokości 10 metrów przekazał Skibinskiego innemu nurkowi i ruszył na dno w poszukiwaniu Roberta.

Siedząc na piasku, na samym dnie oceanu, Doug Roberts sprawdził wskaźniki butli – walcząc z Feldmanem zużył 60 procent swojego zapasu tlenu. Jeśli zostałby tutaj dłużej, mogło zabraknąć mu powietrza na pełną dekompresję. Obok niego, na piasku spoczywało ciało Steve’a. Trup miał rozdziawione usta i szeroko otwarte oczy. Narastająca narkoza zawęziła pole widzenia Douga – widział już tylko to, co znajdowało się bezpośrednio przed nim. *Jeśli nie ruszę się stąd szybko, będzie nas tutaj na dnie dwóch* – pomyślał. Z żadnej strony nie widział liny kotwicznej. Musiał wypłynąć na powierzchnię, licząc się z tym, że prąd może znieść go całe mile od *Seekera*. Nie pozostawało nic innego, niż modlić się, żeby ktoś dostrzegł go pośród fal, zanim zgubi się na morzu i utonie.

Zanim rozpoczął wynurzenie, postanowił przywiązać się do Feldmana. W ten sposób, jeśli ktoś znajdzie jego ciało, znajdzie również Steve’a. Próbował obwiązać go liną, ale nie był w stanie opanować ruchów i zawiązać porządnego węzła. Spróbował ponownie. W końcu udało mu się porządnie zabezpieczyć linę. Zaczął się wynurzać.

Nie wiedział dokładnie, ile czasu spędził na dnie. Cały czas się wynurzał. Na głębokości 35 metrów ton zaczęły rozświetlać pierwsze przebląsy światła. Nagle zobaczył cud. W bliżej niewyjaśniony sposób, wynurzając się, dotarł z powrotem do liny kotwicznej *Seekera*. Musiał znieść go prąd. Przywiązał cienką nylonową linę prowadzącą do Feldmana do liny kotwicznej i zaimprovizował pierwszy przystanek dekompresyjny. W chwilę potem dotarł do niego Brennan. Razem wynurzyli się na powierzchnię.

Kevin jako pierwszy wdrapał się na pokład *Seekera*. Gdy John i Bill zobaczyli

go wchodzącego po drabinie, od razu zorientowali się, że coś jest nie tak. Był w wodzie za krótko.

– Mamy problem – powiedział Brennan, ściągając maskę. – Mamy trupa we wraku. To chyba Feldman.

Chatterton przywołał gestem Steve’a Lombardo, lekarza, który za chwilę miał skoczyć do wody, i poprosił go, by został na pokładzie. Bill wybiegł pędem ze sterówki. Kilka minut później na pokład wspiął się Skibinski. Wchodząc na ostatni stopień, ściągnął z twarzy maskę i zaczął szlochać:

– Nie żyje! On nie żyje!

I, zanim ktokolwiek zdążył do niego podejść, zachwiał się, pochylił do przodu i z wysokości prawie metra runął na twarz, prosto na drewniany pokład *Seekera*. John, Bill i Steve Lombardo podbiegli do bełkocącego nurka, przekonani, że padając, skręcił kark. Delikatnie przekręcili Paula, próbując uwolnić go z płataniny sprzętu. Mężczyzna cały czas powtarzał: „On nie żyje! Nie mogę oddychać! Mój automat! On nie żyje!”. Chatterton zdjął z jego głowy kaptur, Skibinski pokryty był wymiocinami.

– Paul, posłuchaj mnie – powiedział John. – Zrobiłeś dekompresję?

– Nie wiem...

– Musisz mi powiedzieć, czy zrobiłeś dekompresję?

– Steve nie żyje! – zawył Skibinski i zaczął znowu wymiotować.

– Czy zrobiłeś dekompresję?!

Paulowi udało się skinąć twierdząco głową. Zrobił dekompresję.

Następny wyszedł na powierzchnię Doug Roberts.

– Feldman został na dole! Musicie go stamtąd zabrać! – zawołał.

Chatterton nie ruszył się. Patrzył badawczo na twarz Roberta.

– No, ruszcie się! – zawołał Doug. – Feldman jest tam na dole!

John zauważył na jego twarzy krew. Instynkt medyczny wziął górę.

– Pozwól, że zajrzę pod twoją maskę, masz chyba krwotok – poprosił Chatterton.

Zdjął maskę kolegi. Była pełna krwi. Doug wykrztusił jeszcze więcej krwi ustami i nosem. Ktoś zawołał: „Wezwijcie helikopter!”. John, w pełni opanowany, zajrzał Robertsowi głęboko w usta i nos. Wyglądało na to, że krwawienie ustało.

– Myślę, że po prostu pękło mu jakieś naczynko – powiedział. – Nie sądzę, żeby to był krwotok. Podajcie mu na wszelki wypadek tlen. Nie potrzebujemy helikoptera.

Doug pooddychał trochę tlenem i się uspokoił. Potwierdził, że Feldman był pod wodą bez automatu niemal 30 minut. Powiedział też, że uwiązał go na lince ze swojego zwoju i że przywiązał ją do liny kotwicznej na głębokości mniej więcej 35 metrów.

Chatterton zawołał Nagle'a i Danny'ego Crowella.

– Zanim do czegokolwiek się zabierzemy, musimy ściągnąć wszystkich na pokład i upewnić się, że wszystko jest w porządku. Żadnych ran i załamania nerwowych – stwierdził. – Dopiero potem możemy zejść po ciało.

– Kto schodzi? – zapytał kapitan *Seekera*.

– Danny i ja – powiedział Chatterton. – Jesteśmy załogą i po niego pójdziemy.

Crowell skinął głową. Obliczyli, że muszą poczekać jeszcze dwie godziny, zanim pozbędą się z ciała nadmiaru azotu, który zgromadził się w trakcie pierwszego nurkowania. Dopiero potem będą mogli bezpiecznie wejść drugi raz do wody. Bill wrócił do sterówki i zamknął za sobą drzwi. Musiał podjąć decyzję.

Zgodnie z przepisami Straży Wybrzeża kapitanowie łodzi musieli niezwłocznie poinformować straż o zaginięciu nurka. Nikt jednak nie wspominał o tym, że kapitan ma rzucić wszystko, by nadać przez radio informację o martwym nurku. Normalnie Bill czy też inny kapitan bez ociągania nadaliby informację o śmierci Feldmana. Było to ich powinnością i przyspieszało przeprowadzenie przez straż obowiązkowego dochodzenia. Bill patrzył tępo na swoje radio. Jeśli powiadomi strażników teraz, informacje o pozycji wraku dotrą do wszystkich łodzi i rybaków w promieniu trzydziestu mil. Każdy z nich może bez problemu ustalić kierunek i miejsce, z którego nadano komunikat, i dobrać się do wraku. Co gorsza, Bill był przekonany, że Bielenda ma swoje wtyczki w straży. Jeśli ujawni lokalizację teraz lub kiedykolwiek indziej – splądrowanie przez Bielendę wraku i przypisanie sobie całej należnej *Seekerowi* chwały będzie tylko kwestią czasu.

Kapitan wpadł na pomysł. Wezwie Straż Wybrzeża, dopiero gdy *Seeker* będzie gotowy do podniesienia kotwicy i skierowania się z powrotem do brzegu. Nawet wtedy poda im tylko przybliżone koordynaty miejsca wypadku. *Po cholerę mają wiedzieć, gdzie się to dokładnie stało?* – myślał, szukając uzasadnienia. *Nie będą tu przecież płynęli po trupa.* Wyszedł ze sterówki, nie tknąwszy nawet radia.

Dwie godziny po tym, jak Skibinski wynurzył się na powierzchnię, Chatterton i Crowell założyli sprzęt i popłynęli po ciało Feldmana. Na głębokości 35

metrów znaleźli przywiązaną przez Robertsa linę. Ciało Feldmana powinno leżeć gdzieś na dnie oceanu, przywiązane do jej drugiego końca. John zszedł, by je zabrać. Kiedy dotarł do dna, znalazł jedynie maskę i rurkę przywiązane do liny. Ciała nie było widać.

Domyślał się, co mogło się stać. Ze zwężonym polem widzenia i osłabionymi narkozą zdolnościami motorycznymi, zamiast do ekwipunku lub butli Roberts przywiązał linę do głowy Feldmana. Kiedy prąd szorował Steve'em po piasku, lina ześlizgnęła się z jego głowy, zahaczając o maskę i rurkę. Feldman wciąż był gdzieś na dnie oceanu. Chatterton i Crowell mieli jednak zbyt mało czasu, by zabrać się do szukania. Wrócili na statek i zebrali pozostałych nurków.

– Słuchajcie – powiedział John. – Musimy zejść na dół i spróbować go znaleźć. Miał ujemną wyporność, więc z pewnością nie unosi się na powierzchni. Leży gdzieś na piasku, z dala od wraku. Nie wiem, czy będziemy go w stanie odnaleźć. Ale musimy przynajmniej spróbować.

Nurkowie wstrzymali oddech, mając nadzieję, że nie usłyszą z jego ust tego, czego obawiali się najbardziej. Ale następne słowa Chattertona potwierdziły ich obawy.

– Musimy zrobić przeszukiwanie wahadłem.

W sporcie, jakim jest nurkowanie na wrakach, niewiele jest rzeczy bardziej niebezpiecznych niż przeszukiwanie wahadłem. Sama technika opiera się na dosyć prostych zasadach. Nurek przywiązuje do wraku specjalną linkę, po czym cofa się z prądem. Kiedy odejdzie na odległość, powiedzmy sześciu metrów, zakreśla łuk 180°, szukając na piasku przedmiotów, małży lub zagubionych nurków. Jeśli poszukiwanie jest bezowocne, luzuje nieco więcej liny, odchodzi kawałek dalej i zakreśla łuk o większym promieniu. Jego życie zależy od liny. Jeśli ją zgubi, na przykład wyślizgnie mu się z ręki albo przetrze o sterczący z dna kamień, kawałek blachy lub kadłub wraku – jest zgubiony. Niczym wędrowiec na środku pozbawionej jakichkolwiek cech charakterystycznych pustyni, nie ma pojęcia, z której strony jest wrak. Musi wynurzać się swobodnie, ryzykując nieprawidłową dekompresję i licząc się z tym, że wypłynie na powierzchnię kilka mil od łodzi nurkowej i zgubi się na morzu.

Chatterton zapytał, kto zgłasza się na ochotnika. Było to nie lada wyzwanie. Robiło się dosyć późno i wszyscy byli spięci, wszystko to stanowiło wręcz idealną pożywkę dla narkozy. Poza tym i tak nikt nie był już w stanie pomóc Feldmanowi.

Większość nurków musiała zostać na pokładzie jeszcze przez dwie lub trzy godziny, żeby skończyć odgazowywanie. Nie mieli szans, by zejść pod wodę

przed zapadnięciem zmroku. Kondycja fizyczna i stan zdrowia nie pozwalały nurkować Nagle'owi. Pozostawało zaledwie czterech czy pięciu kandydatów.

Brennan potrząsnął głową.

– On jest już trupem – zwrócił się do Johna. – Nie zamierzam dostać pęcherzyków ani zgubić się, szukając trupa. O mało co nie utonąłem przez spanikowanego Skibinskiego, musiałem skrócić dekompresję. Prąd jest zdecydowanie silniejszy. Nie mogę zrobić nic dla tego faceta. Nie zamierzam ryzykować życiem.

Chatterton nie mógł ryzykować wysłania z powrotem do wody Roberta. Skibinski był zupełnie rozstrojony emocjonalnie. Z szeregu wystąpili John Hildemann i Mark McMahon. Podjęli się przeczesać dno. Hildemann miał iść pierwszy – był jedynym nurkiem, który tego dnia jeszcze nie schodził pod wodę. W razie potrzeby po nim miał zejść McMahon.

Znalazłszy się na dnie, Hildemann przyczepił reflektor do liny kotwicznej. Widzialność sięgała około dziewięciu metrów. Na twarzy czuł napór wartkiego prądu. Odwinął trochę liny. Zatoczył półkole, obserwując dno oceanu. Nie zauważył nikogo z żadnej strony. Z każdym krokiem ponura zieleń wody wydawała się coraz bardziej przerażająca. Znalazł tylko kilka kawałków połamanego drewna, ale nic więcej.

Następny był McMahon. Przywiązał linę do szczytu wraku i powoli się wycofał, pozwalając, by z kołowrotka odwinęło się dwanaście metrów linki. Przez cały czas nie spuszczał oka z wraku. Kiedy linka się naprężyła, zaczął poszukiwanie, unosząc się trzy metry nad dnem, żeby poszerzyć pole widzenia. Nic nie znalazł. Odwinął jeszcze siedem i pół metra i pozwolił się unieść prądowi. Kontury wraku powoli rozmyły się w mroku. Po chwili wrak zniknął. Teraz bez względu na to, w którą stronę spoglądał, widział jedynie mętną zieloną wodę, unoszące się w niej białe cząsteczki i niknącą gdzieś w ciemnościach białą, trzymilimetrowej grubości linkę. Ciała nigdzie nie było. Narkoza coraz głośniej huczała mu w głowie. Odwinął kolejne siedem i pół metra linki. Gdzieś z piasku wyszedł krab i zaczął do niego mówić.

– Idź dalej, Mark – powiedział. – Idź dalej.

McMahon poczuł się trochę zaniepokojony. Z drugiej jednak strony był oczarowany. Zatrzymał się na chwilę i spojrzał na dno. Na piasku pojawiło się więcej krabów. Wszystkie machały do niego szczypcami. Przemawiały do niego płynną angielszczyzną.

– Tutaj, Mark, tutaj – wołały. – Chodź tutaj...

Zaczął się zastanawiać, czy nie powinien podążyć za nimi w głąb morza.

Wziął głęboki oddech. Zaczął mówić do siebie w myślach. *Muszę się stąd wydostać – powiedział. Kraby do mnie mówią. Kiedy kraby zaczynają do ciebie mówić, już najwyższy czas wracać.*

Na pokładzie McMahon powiedział pozostałym, że jemu również nie udało się nic znaleźć. Feldman mógł już zdryfować pięć mil od łodzi. Zapadał już zmierzch. Okropnie było zostawiać za sobą nurka. Będzie to potworny szok dla jego rodziny. Ale John i Bill stwierdzili, że to już koniec.

– Ktoś się w końcu zabije, jeśli będziemy dalej szukać – powiedział Chatterton. Ustalili z Nagle'em, że podnoszą kotwicę i płyną z powrotem.

Po wejściu do sterówki Bill skontaktował się ze Strażą Wybrzeża i zgłosił śmierć nurka. Była czwarta po południu – od momentu, kiedy usłyszał wiadomość o śmierci Feldmana, upłynęło pięć godzin. Kiedy strażnicy zapytali, czemu nie zgłosił tego wcześniej, Bill odpowiedział, że był zajęty wyciąganiem nurków i organizowaniem poszukiwań podwodnych. Podał im przybliżoną lokalizację miejsca wypadku i mało dokładne namiary, obejmujące obszar kilku mil kwadratowych obok pozycji wraku. To skutecznie powstrzyma wszystkich, którzy ostrzyli sobie zęby, by położyć łapy na wraku należącym do załogi *Seekera*. Zwłaszcza Bielendę.

Straż Wybrzeża nakazała Nagle'owi zawinąć do Manasquan w stanie New Jersey. Strażnicy mieli spotkać się z załogą *Seekera* na tamtejszym nabrzeżu. Pięciogodzinny rejs upłynął w atmosferze ponurego milczenia. Część nurków usiłowała pocieszyć Skibinskiego, zapewniając go, że zrobił wszystko, co było w jego mocy, by uratować przyjaciela. Zastanawiali się też, co było przyczyną wypadku i doszli zgodnie do wniosku, że Feldman zapadł nagle na bezdech i zemdlał pod wodą. Tego typu wypadki zdarzały się dosyć często. Utrata przytomności dotyczyła nurków na dużych głębokościach, naukowcom jednak nie udało się ustalić, czym może być to spowodowane.

Około dziesiątej wieczorem *Seeker* zawinął do przystani posterunku Straży Wybrzeża Stanów Zjednoczonych przy ujściu rzeki Manasquatan. Wszyscy znajdujący się na pokładzie byli po kolei wzywani do środka i proszeni o opisanie swojej wersji wydarzeń. Potem zwalniano ich do domu. Jadąc do domu, Skibinski myślał o rozmowie, jaką odbył z Feldmanem poprzedniego wieczoru, kiedy jedli razem kolację. Mówili o wyprawie, kto jedzie, co mogą odkryć, o identyfikacji okrętu i jakie mają szczęście, że trafiła się im taka okazja. W pewnym momencie Steve zupełnie nieoczekiwanie powiedział: „Tak bardzo kocham nurkowanie, że jeśli kiedyś będę miał umrzeć, chciałbym zginąć pod

wodą”. Niemal przed samym domem Skibinski sięgnął do portfela po karteczkę z numerem telefonu. Zatrzymał się na stacji benzynowej i zadzwonił do bliskiego przyjaciela zmarłego kolegi, Buddy’ego, aby przekazać mu złe wieści.

Większość nurków jeszcze z portu zadzwoniła do swoich żon i dziewczyn, by opowiedzieć im o Feldmanie. Zrobili to, by wiedziały, że u nich wszystko w porządku i że będą potrzebowali, aby w domu ktoś nie spał, kiedy wrócą.

Kevin Brennan pojawił się w domu po północy. Kiedy jego dziewczyna zasnęła, zadzwonił do Richiego Kohlera. Tym razem nie bawił się już z kumplem we włoski akcent i zgadywanki.

– Hej Richie, tu Kevin. Słuchaj, stało się coś potwornego.

Brennan miał tak przybity głos, że Kohler ledwie go rozpoznał.

– Która godzina, Kevin?

– Znasz Feldmana?

– Nie. Kto to jest?

– Nie żyje.

– Kto to jest Feldman?

– Partner Paula. Ja pierdolę, on nie żyje. O rany, Richie...

– Kevin, co się stało? Uspokój się i powiedz mi, co się stało.

Brennan był w stanie wykrztusić z siebie tylko bardzo ogólne informacje.

– Muszę już iść, Richie. Zadzwonię jutro i opowiem ci dokładnie całą historię.

Kohler odwiesił słuchawkę. Było mu przykro z powodu śmierci nurka. Ale kładąc się z powrotem do łóżka, myślał tylko o jednym. Myśl ta nie dawała mu spokoju do samego rana: musi zastąpić Feldmana w czasie następnej wyprawy.

Rano znowu zadzwonił Brennan. Opowiedział Kohlerowi całą historię ze szczegółami. Znali się od wielu lat, byli bardzo bliskimi przyjaciółmi i zawsze byli ze sobą szczerzy do bólu, toteż pod koniec rozmowy Richie, nie owijając w bawełnę, rzucił:

– Kevin, musicie zabrać mnie na następną wyprawę.

– Wiem, Richie. Pogadam dzisiaj z Billem.

Tego samego popołudnia Brennan wciągnął Kohlera na listę załogi. Kapitan *Seekera* uznał, że to świetny pomysł. Richie był bystry, twardy i nieugięty. Był jednym z najlepszych nurków na Wschodnim Wybrzeżu. Grzebał się w historii drugiej wojny światowej i znał na niemieckim sprzęcie i technice. Na dużych głębokościach czuł się jak u siebie w domu. I nie należał do tych, którzy zejść na dno i się zabijają – po wypadku Feldmana była to ostatnia rzecz, której

potrzebował Bill.

Normalnie Kohler zostałby uwzględniony w pierwotnym składzie ekspedycji. Ale ciągnęły się za nim pewne zaszłości. Po pierwsze, Chatterton niezbyt go lubił. Nie tylko ze względów osobistych, ale również dlatego, że Richie należał do okrytych złą sławą Atlantyckich Nurków Wrakowych (Atlantic Wreck Divers) hardcore'owego, elitarnego gangu nurków. Członkowie gangu nosili na kurtkach naszywki z trupimi czaszkami i piszczelami i znani byli z wszczynania burd na czarterowych łodziach nurkowych. Byli nieustraszeni i znakomici technicznie, tego John odmówić im nie mógł. Potępiał jednak ich żądę posiadania, zbiorowy instynkt nakazujący zabieranie każdego kawałka śmiecia z wraku tylko po to, żeby udowodnić swoje męstwo, wracając na powierzchnię z workami pełnymi trofeów. Uważał, że żaden z nich nie nurkuje wiedziony instynktem odkrywcy, chęcią zdobycia wiedzy lub potrzebą sprawdzenia, czego może się w tym sporcie dowiedzieć o samym sobie. Oni po prostu chcieli tego całego gówna, i to w dużych ilościach.

Gdyby jednak członkostwo w gangu było jedynym grzechem Kohlera, Chatterton byłby skłonny mu to wybaczyć. Często zdarzało mu się nurkować z ludźmi z tej grupy, z niektórymi utrzymywał nawet przyjacielskie kontakty. Ale Richie popełnił zdecydowanie cięższy grzech, może nawet najgorszy z możliwych, i to właśnie ciążyło na jego kontaktach z Johnem. Dwa lata wcześniej Kohler i kilka innych osób postawiło sobie za cel zrujnowanie *Seekera*.

Pod koniec 1989 roku Chattertonowi udało się przecisnąć przez wąską szczelinę, wiodącą do jadalni trzeciej klasy na *Dorii*. Wielu nurków usiłowało się tam dostać całymi latami, nikomu się to jednak nie udało. We wnętrzu sali John ujrzał całe góry lśniącej białej porcelany. Było tego więcej, niż kiedykolwiek zebrali wszyscy klienci *Seekera* razem wzięci. Chatterton stwierdził, że to świetna okazja dla Nagle'a: nurkowie będą się zabijali o miejsca na pokładzie *Seekera*, by dostać się do tych przedmiotów. Problem polegał na tym, że oprócz Johna zaledwie kilka osób dysponowało umiejętnościami pozwalającymi na przedostanie się przez wąskie wejście. Chatterton wpadł na szalony pomysł – w czasie następnej wyprawy mógł przeciąć jedną ze sztab blokujących wejście za pomocą podwodnego palnika Broco. Wtedy jadalnia będzie stała przed wszystkimi otworem. Bill powiedział tylko: „Jesteś niesamowitym skurwielem, John!”.

Zorganizowali specjalną wyprawę *Seekera* na *Dorię*. John zabrał ze sobą palnik. złożył go i podłączył na pokładzie do zbiorników paliwa i specjalnej

butli z tlenem. Pod wodą zmienił zwykłą maskę na specjalną maskę ochronną z przyciemnianą szybą i odpalił broco. Palnik rozbłysnął oślepiającym czerwonym płomieniem. Zaczął ciąć sztabę rozgrzanym do temperatury pięciu i pół tysiąca stopni Celsjusza palnikiem, wokół gotowała się woda i sypały się snopy białych iskier. Tego dnia nurkowie z *Seekera* wyciągnęli z *Dorii* ze sto misek i talerzy. Były to pierwsze przedmioty z pokładu trzeciej klasy, które ujrzały światło dzienne. Jeden z nurków utrwalił ten historyczny moment kamerą wideo. Pod koniec wyprawy Bill zebrał wszystkich na pokładzie.

– Kończy się sezon i w tym roku już tutaj nie wrócimy – powiedział. – Ale pierwsze, co zrobimy w przyszłym sezonie, to przypłyniemy tutaj i naprawdę damy czadu na pokładzie trzeciej klasy.

Wkrótce okazało się, że ktoś z *Seekera* jest zdrajcą. Na zewnątrz przeciekła kopia taśmy wideo. Zobaczył ją Kohler i kilku innych członków Atlantyckich Nurków Wrakowych. Byli zaskoczeni tym, że Chatterton użył broco, by utorować sobie drogę – to było niesamowite! Kiedy sztaba odpadła i wejście do jadalni stanęło otworem, kamera pokazała górę białych naczyń, które wyglądały, jakby ułożył je sam Święty Mikołaj¹. Niektórzy mruknęli z podziwem: „O, cholera”.

Nagranie trwało kilka minut. Kohler nigdy nie widział takiego łupu. Każdym ciałem swojego ciała pragnął tej łatwej zdobyczy, mieniającej się w pokoju, do którego utorował drogę Chatterton. Ale sytuacja nie wyglądała zbyt ciekawie, ponoć John i Bill planowali wrócić na *Dorię* na samym początku kolejnego sezonu, na długo zanim większość łodzi pomyśli nawet o ruszeniu do tego wraku. Postawili sobie za cel wybranie wszystkich przedmiotów do cna, tak żeby nic już nie zostało dla Bielendy i załogi *Wahoo*.

Nurkom eksplorującym wraki często jednak sprzyja opatrność. Tym razem opatrność ważyła sto kilogramów i przybrała postać Bielendy. Planował on własny rejs na *Dorię* na dwa dni przed planowaną wyprawą *Seekera*. Kohler i jego kumple mogli wpakować się na teren Johna w samą porę, by wybrać tyle przedmiotów, ile tylko uda im się udźwignąć. W momencie kiedy przypłynie *Seeker*, na miejscu będzie już zupełnie pusto. Wiedząc o niesnaskach między Bielendą a Nagle'em, Richie podejrzewał, że Bielenda potraktuje tę szansę niczym dar niebios. Ale idea wygryzienia Nagle'a z *Dorii* była sprzeczna z etyką Kohlera. Nie przechwytuje się ot, tak sobie zdobyczy innego nurka. Z drugiej strony nagranie było tak urzekające, porcelana tak wspaniała i było jej tak dużo... Kohler spotkał Chattertona zaledwie raz w życiu, ledwie go znał,

toteż nic sobie nie robił z chudzielca z palnikiem. Lubił natomiast i szanował Nagle'a, z pokładu *Seekera* miał same dobre wspomnienia. Poza tym uważał Bielendę za nadętego bufona i plagiatora, bez wątpienia nie był to człowiek czynu. Śmieszył go tytuł Króla Głębin. Ale ta porcelana była tak piękna, piętrzyła się niczym ośnieżone szczyty. Poza tym płynęli tam jego kumple z AWD...

– Wpisz mnie na listę – powiedział Bielendzie. Nigdy w życiu nie widział, żeby Bielenda był tak napalony na prowadzenie rejsu.

Rejs Bielendy zaplanowany był na 23 czerwca. Kohler nie pisał nikomu ani słowa o czarterze. Ale najwyraźniej sumienie dręczyło też kogoś innego. Wieści o planie i terminie rejsu *Wahoo* dotarły do Nagle'a. Zadzwoił do Chattertona wściekły i pijany.

– Co za skurwysyny! – wył do słuchawki. – Musimy coś z tym zrobić!

John wpadł na pomysł. Razem z Glenem Plokhoyem, inżynierem i częstym bywalcem rejsów *Seekera*, zrobią metalową kratę, która zablokuje wejście do trzeciej klasy, które wypalił Chatterton. *Seeker* popłynie na *Dorię* na dwa dni przed rejsem Bielendy. Napelnią worki porcelaną, a potem John i Glen zainstalują kratę. Kiedy przyplyną nurkowie z *Wahoo*, zastaną zamknięte wejście.

Bill uznał, że to znakomity pomysł. Ale Chatterton nigdy nie poprzestawał na ogólnych zarysach planu. Wymyślił również, że:

– razem z Plokhoyem zaprojektują kratę w ten sposób, żeby można ją było otwierać i zamykać. Zamknięcie kraty odetnie wszystkim dostęp do pomieszczenia, włączając w to nurków z *Seekera*,

– krata musi wydać się nurkom z *Wahoo* słaba i łatwa do usunięcia, tak żeby zmarnowali czas i wyszli na głupków, usiłując ją otworzyć,

– krata nie może przeszkadzać nurkowi w przepłynięciu przez wąską szczelinę, którą John dostał się do wnętrza pomieszczenia, tak żeby każdy, kto tylko zechce pójść w jego ślady, miał taką możliwość.

Chatterton i Plokhoy zabrali się do pracy w sali wykładowej jednego z miejscowych sklepów nurkowych. Dokładnie przestudiowali nagranie wideo i znaleźli skalę odniesienia wymiarów. Naszkicowali projekt, mierzącej 150 na 180 centymetrów i ważącej blisko 150 kilogramów stalowej kraty. Zamiast przyspawać ją na miejscu, przyczepią ją łańcuchami, tak żeby chybotą się i sprawiała wrażenie obluzowanej. Wymyślili też specjalne zamknięcie, które można było odkręcić jedynie za pomocą robionego na zamówienie klucza.

Poprosili kumpla, żeby zrobił dla nich taki właśnie klucz. Na koniec zamazali całe zamknięcie grubą warstwą smaru uniemożliwiającą rozpoznanie rodzaju klucza. Nurkowie Bielendy będą niczym małpy próbowali otworzyć zamknięcie za pomocą standardowych kluczy.

Seeker wyruszył na *Dorię* 48 godzin przed rejsiem planowanym przez Bielendę. Przez dwa dni, niczym elfy Świętego Mikołaja, nurkowie pływali w tę i z powrotem, napełniając kolejne worki porcelaną z jadalni pokładu trzeciej klasy. Zabrali tyle, ile tylko byli w stanie unieść. Po południu drugiego dnia John i Glen przygotowali się do zainstalowania kraty. Powiedzieli Nagle'owi, że zamierzają zostawić wiadomość dla Bielendy i nurków z *Wahoo*. Coś wyjątkowo złośliwego i subtelnego, co dotknie ich do żywego. Bill zrobił się czerwony na twarzy.

– Powinniście napisać: PIEPRZ SIĘ, BIELENDĄ, CHOLERNY GNOJKU!

– Nie wiem, czy dokładnie to mieliśmy na myśli – stwierdził Chatterton. – Tak czy inaczej przygotowaliśmy już tę wiadomość.

Montowanie kraty poszło jak z płotka. Była luźna, ale nie chciała ustąpić. Wyglądała niepozornie, ale w rzeczywistości była pancerna. John sięgnął do swojej torby, wyjął z niej tabliczkę i przywiązał ją do kraty. Napisał drukowanymi literami:

ZAMKNIĘTE Z POWODU REMANENTU
PROSIMY O UŻYWANIE DRUGIEGO WEJŚCIA
DZIĘKUJEMY
ZAŁOGA I KAPITAN JACHTU *SEEKER*

Tego samego wieczoru łódź Bielendy ruszyła na wyprawę na *Dorię*. Kiedy *Wahoo* ustawił się nad wrakiem, dwóch nurków skoczyło do wody, by przyczepić kotwicę jak najbliżej wejścia na pokład trzeciej klasy. Kolejni nurkowie ciągnęli słomki, by ustalić, kto jako pierwszy będzie miał zaszczyt wejścia na wrak. Wygrał Kohler i jego kumpel z Atlantyckich Nurków Wrakowych, Pete Guglieri. Ich plan był prosty – mieli napełnić tyle siatek, ile się da. Richie nigdy wcześniej nie był aż tak podekscytowany, skacząc do wody, jak wtedy.

Minutę później dotarli do wraku i znaleźli się naprzecwko tabliczki pozostawionej przez Chattertona. Przez chwilę unosili się w wodzie kompletnie osłupiali ze zdziwienia. Potem dostali szału. Guglieri zaczął szarpać kratę. Kohler walił w nią młotem. Obejrzeli ją ze wszystkich stron, usiłując rozgryźć metodę pokonania zamknięcia. Obydwaj pracowali na budowach i doskonale wiedzieli, w jaki sposób rozkłada się takie rzeczy. Próbowali wszystkich

znanych sztuczek. Zupełnie bezskutecznie. Richie o mało nie stracił przytomności z wściekłości. Skończył mu się zapas powietrza i jedyną rzeczą, jaką był w stanie zrobić, było zerwanie pozostawionej przez Johna tabliczki.

Kiedy wrócili na pokład *Wahoo*, Bielenda i pozostali stłoczyli się wokół nich w oczekiwaniu pierwszych wieści.

– I jak tam? – zapytał Steve.

Opowiedzieli mu o kracie.

– A to bydlaki! – zawył.

Steve Bielenda biegał w furii jak opętany, tupiąc i krzycząc. Ktoś podsunął myśl, żeby przyczepić kratę łańcuchem do *Wahoo* i spróbować ją zerwać. Steve odrzucił ten pomysł, przypominając, że *Wahoo* miał zaledwie 49 ton wyporności.

Kiedy zdejmowali z siebie sprzęt, Guglieri nagle wybuchnął śmiechem.

– Co cię tak, kurwa, śmiesz? – zapytał Kohler.

– Punkt dla nich – odpowiedział Guglieri. – Znaleźli to jako pierwsi. Odwalili kawał roboty z tą kratą. Kolejny punkt dla nich.

Przez moment Kohler patrzył na swojego kumpla jak na idiotę. Po chwili rozszerzyły mu się oczy. Sekundę później, do wtóru z Guglierim, wybuchnął donośnym śmiechem.

– Masz rację, powiedział. – Usiłowaliśmy zrobić ich w konia, ale nas ubiegli.

Teraz, po ponad roku, Bill był w stanie przebaczyć Richiemu. Nurkowanie było niezwykle drapieżnym interesem, tego typu sytuacje zdarzały się nagminnie i trzeba było pozwolić im odejść w niepamięć. Qd tamtego czasu Kohler miał ostrą sprzeczkę z Bielendą i poprzysiągł sobie, że nigdy nie będzie miał już nic wspólnego z Królem Głębin. Z punktu widzenia Nagle’a, Kohler był niejako naturalnym kandydatem na miejsce Feldmana.

Chatterton był odmiennego zdania. Jako człowiek honoru i nieugiętych zasad miał nieco inne odczucia co do odbycia tak ważnego rejsu z kimś, kto próbował go kiedyś wyrolować. Bill długo myślał nad całą sprawą. Szanował Johna bardziej niż kogokolwiek innego. Ale to było zbyt ważne nurkowanie, mieli tworzyć historię. Musiał mieć w zanadrzu najlepszych nurków. Powiedział Brennanowi, że daje Kohlerowi zielone światło.

Wiść o śmierci Feldmana bardzo szybko rozeszła się wśród społeczności nurków. Wszyscy wiedzieli już, że ekipa *Seekera* odkryła okręt podwodny. Z początkiem następnego tygodnia Nagle’owi zaczął urywać się telefon. Dzwonili nurkowie, którzy chcieli dołączyć do wyprawy, wielu z nich przepuściło okazję

popłynięcia na pierwszy rejs do wraku. Bill zaprosił do udziału w ekspedycji dwie osoby: Brada Shearda, inżyniera lotniczego i fotografa podwodnego w jednej osobie, oraz policjanta stanowego, Steve’a McDougala. Mieli zastąpić Lloyda Garricka, który po wypadku Feldmana postanowił wycofać się na jakiś czas z nurkowania, i Dicka Shoe, który z kolei wolał pozostać przy nurkowaniu na *Dorii* i innych trudnych wrakach, i zarzekał się, że nigdy więcej nie wróci do czegoś tak niebezpiecznego jak ten okręt podwodny.

Bill planował wrócić na wrak 29 września, zaledwie osiem dni po wypadku. Kohler pojawił się na nabrzeżu około dziesiątej wieczorem, ubrany w barwy swojego gangu, błękitną dżinsową kurtkę, z naszywką z trupa czaszką i pischelami i logo Atlantic Wreck Divers. Chatterton był już na pokładzie i spinał swój ryszunek.

– Hejka, może by mi ktoś trochę pomógł? – zawołał Kohler ze swoim potwornym brooklyńskim akcentem. – Co tam? Widział któryś z was Kevina?

John, który żartował właśnie z innym nurkiem, nagle zamilkł. Nie musiał się odwracać, wiedział, że to głos członka gangu nurkowego ze Wschodniego Wybrzeża, głos rabusia trofeów, faceta, który próbował wystrychnąć go na dudka na *Dorii*. Odwrócił się od swego rozmówcy i zrobił krok w kierunku nabrzeża, na którym stał Kohler. Ucichło pół tuzina rozmów, które toczyły się na pokładzie. Bill, lubujący się w obserwowaniu porządných i zacieklejch waśni, przykleił twarz do szyby sterówki. Kohler podszedł kawałek do przodu, czubki jego tenisówek wisały teraz na wodą. Zmierzyli się wzrokiem. Richie wzruszył ramionami, ożywiając tym ruchem naszywkę Atlantic Wreck Divers rozpostartą na jego plecach. Chatterton nienawidził tej kurtki. Podszedł jeszcze krok bliżej. W innych okolicznościach mogłoby dojść do spięcia. Tej nocy jednak żaden z nich nie posunął się dalej. Feldman nie żył od ośmiu zaledwie dni i wciąż nie znaleziono jego ciała. Sytuację uratował Brennan, który wystąpił naprzód i poprosił Kohlera:

– Richie, rzuć mi te swoje śmieci.

John wrócił do pakowania sprzętu, a Kohler wszedł na pokład *Seekera*, by zacząć pierwszą ze swoich wypraw do tajemniczego U-Bootu.

Seeker wyszedł z Brielle około północy. Kohler i Brennan zostali na pokładzie, patrząc, jak gdzieś na horyzoncie znika linia brzegu. Rozmawiali o wraku. Richie, tak jak w dniu pierwszej rozmowy, był wciąż przekonany, że nurkowie znaleźli wrak *Spikefish*, amerykańskiego okrętu podwodnego z okresu

drugiej wojny światowej, zatopionego w latach 60. w trakcie ćwiczeń strzeleckich. Brennan upierał się, że to niemiecki U-Boot. Powiedział:

– Kiedy zejdziesz tam na dół, przekonasz się sam. Usłyszysz muzykę.

Chatterton jak zwykle skoczył pierwszy. Przywiązał kotwicę. Jego plan był następujący: zrobić kilka ujęć kamerą, zapomnieć o przedmiotach i wrócić z wiedzą. Często wykorzystywał kamery wideo, potrafiły one dostrzec pod wodą pewne niuanse, których nie było w stanie wychwycić ludzkie oko. Potem, już na pokładzie, oglądał te nagrania, ucząc się topografii wraku i planując kolejne nurkowanie. W domu oglądał je jeszcze dziesiątki razy.

Wpłynął do dziury ziejącej w burcie okrętu, włączył kamerę i zaczął filmować nią wszystko dookoła, starając się zarejestrować wszelkie chaotycznie powyginane elementy sterczące z ran okrętu, które mogłyby w jakiś sposób zahaczyć i uwięzić nurka. Wycofał się i przepłynął nad wrakiem, najpierw ku dziobowemu lukowi torpedowemu, potem ku rufie. Poza fragmentem jednej z łopat śruba zagrzebana była w piasku. Kiedy skończył się czas, John wrócił do liny kotwicznej i zaczął się wynurzać. Po raz kolejny kończył nurkowanie, nie znalazłszy żadnego przedmiotu.

Następni byli Kohler i Brennan. Richie od razu rozpoznał wąski kadłub okrętu podwodnego. Popłynęli ku rufie, a potem nad statkiem, dopóki nie dotarli do otwartego wjazdu. Jego widok sprawił, że Kohler na chwilę się zatrzymał – okręty podwodne zdecydowanie powinny mieć zamknięte wjazdy. Zaświecił do środka. W dół, ku ciemnej czeluści, prowadziła drabinka.

Ktoś musiał otworzyć ten wjazd – pomyślał Richie. Wyobraził sobie wodę wdzierającą się na pokład i wrzeszczących facetów, pchających się na drabinę, by otworzyć wjazd i uciec.

Wystawił głowę z wjazdu. W chwilę potem zaczęli z Brenannem wynurzać się na powierzchnię. Kohler liczył, że trafi na jakiś przedmiot, cokolwiek z napisem po angielsku, i udowodni, że ten okręt to *Spikefish*. Niczego jednak nie znalazł. Kiedy wspięli się na pokład *Seekera*, zdjął skafander i sprzęt i siadł w mesie, żeby zjeść lunch. Tuż obok niego John przeglądał na ekranie małego telewizorka swoje nagranie. Pozostali nurkowie rozmawiali o znaleziskach. Jak się jednak okazało, nikt nie znalazł niczego, co mogłoby mieć znaczenie.

Około południa Chatterton przygotował się do kolejnego nurkowania. Po poprzednim nurkowaniu Brennan był lekko połamany i czuł ból w stawach, stwierdził więc, że na dzisiaj mu już starczy, i spakował swój sprzęt. Kohler założył skafander i postanowił nurkować w pojedynkę. Ani jemu, ani Johnowi nie przyszłoby do głowy, żeby nurkować razem, ale skoczyli do wody w

odstępie zaledwie kilku minut.

Tym razem Chatterton miał zamiar spenetrować okręt. Podpłynął do oderwanego od kadłuba kiosku, który spoczywał obok okrętu, niczym mafiozo ustrzelony przy swoim samochodzie. Z kadłubem okrętu wieżyczkę łączyła pojedyncza rura. Mając w pamięci schematy, John rozpoznał w niej jeden z dwóch peryskopów okrętu. Pozwolił się zdryfować do wnętrza kiosku, wciąż tkwił tam w metalowej osłonie koniec peryskopu. Pancierz wyglądał jak hełm spartańskiego wojownika z wyciętym na soczewkę otworem. Chatterton przypomniał sobie, że na zdjęciach z *U-505* widział tabliczki znamionowe przyłączone do obudowy peryskopu. Wrócił do pomieszczenia kontrolnego i zaczął szukać tabliczki we wnętrzu kiosku. Nie znalazł jednak nic – jeśli była tu jakakolwiek tabliczka, to zniknęła zjedzona zębem czasu lub odpadła w trakcie katastrofy. U szczytu kiosku zauważył właz, którym wchodzili i wychodzili członkowie załogi. Był otwarty.

John postanowił zmienić obszar badania i wydostał się z kiosku. Stał teraz dokładnie na wprost dziury w burcie. Wpłynął do środka, a następnie przepłynął przez mały właz, przez który przeczołgali się marynarze, przechodząc z pomieszczenia kontrolnego do kajut oficerskich lub pomieszczenia, w którym mieściła się radiostacja. Gródź łącząca właz z kadłubem była zupełnie rozerwana od strony burty. Chatterton uświadomił sobie, że musiała zadziałać na nią jakaś potężna, niszczycielska siła. Posuwał się na palcach naprzód, zręcznie unikając kontaktu z płataniną pogiętych rur, poszarpanego metalu i rozbebeszonych przewodów elektrycznych sterczących ze ścian i sufitu. Woda we wnętrzu okrętu była nieruchoma, z rzadka unosiły się w niej jakieś zanieczyszczenia. Z wygiętego w łuk sufitu wystawały nietknięte i znakomicie widoczne wręgi. John prawdopodobnie znajdował się teraz w pomieszczeniu radiowym, naprzeciwko kajuty kapitana. Posuwał się naprzód, przeszedł przez prostokątne drzwi po lewej stronie i kolejne, po prawej. W końcu dotarł do pomieszczenia pełnego wygiętych w łuk rur i połamanych metalowych gretingów. Odezwał się w nim instynkt. Przypominał sobie to, co widział w Chicago, i filmy ilustrujące zagładę *U-505*, które stworzył w myślach. *Tutaj mogła być szafka* – pomyślał, zdając sobie sprawę, że zapewne nie wygląda już teraz jak szafka. Podpłynął kawałek w lewo i zapalił latarkę. Ciemna ryba z białymi wąsami umknęła gdzieś przestraszona. Trwał w bezruchu, czekając, aż oczy przyzwyczają się do światła. Jakby z mgły wynurzył się przed nim kształt szafki. John wciąż się nie ruszał. Z półeczek zdawały się wystawać zarysy misek i talerzy. Podpłynął bliżej i sięgnął po porcelanę. Udało mu się wyjąć dwie miski. Podsunął je pod twarz. Z przodu

były białe z zieloną obwódką. Z tyłu odcisnięta czarnymi cyframi widniała data: 1942. Nad nią znajdowały się orzeł i swastyka, symbole Trzeciej Rzeszy.

W tym samym czasie swoje drugie nurkowanie kończył Kohler. Wpłynął przez otwarty właz do wnętrza U-Bootu, ale Johnowi udało się już zepsuć widzialność do tego stopnia, że Richie nie odważył się posunąć dalej. Popłynął do obalonego kiosku. Znalazł tam fragment tuby, takiej, przez którą porozumiewali się między pokładami marynarze. Nie było na nim jednak żadnych napisów. Kohler włożył zdobycz do torby i zaczął wynurzać się na powierzchnię.

Chatterton zerknął na zegarek i zobaczył, że już najwyższy czas ruszać na górę. Krok po kroku, wrócił drogą, którą przyszedł. Wydostał się z okrętu i dotarł z powrotem do liny kotwicznej. Był z siebie naprawdę zadowolony, jego planowanie i prace domowe przyniosły efekt. Da jedną z tych misek Nagle'owi. Wyraz twarzy kapitana będzie bezcenną nagrodą.

Przez niemal godzinę John i Richie wynurzali się, przechodząc dekompresję, żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że drugi jest tuż obok. Na głębokości dziewięciu metrów Chatterton dogonił Kohlera. Ustawił się tuż pod nim. Richie wyginał się na wszystkie strony, próbując dojrzeć, co jest w siatce Johna. Żył, zbierając przedmioty, i nie potrafił się powstrzymać na widok torby wypełnionej trofeami. Puścił linę i opadł w dół do Chattertona. Unosili się teraz oko w oko. Trudny do pomylenia z czymkolwiek innym biały blask porcelany rozświetlał wodę wokół Johna. Kohler poczuł falę gorąca, serce zaczęło bić mu żywiej. W tej siatce była historia, czuł to. Sięgnął po torbę.

John błyskawicznie odsunął ją i zasłonił się barkiem, żeby zablokować Richiego. Napięli się w nerwowym oczekiwaniu, patrząc sobie prosto w oczy. Unosili się tak w bezruchu, wydawało im się, że trwa to całą wieczność. Nie lubili się nawzajem. Nie lubili też tego, co sobą reprezentowali. Poza tym nie tyka się towaru drugiego nurka. Ale im bardziej Chatterton patrzył w oczy Kohlera, tym mniej widział w nich coś groźnego, wyglądało na to, że tamten po prostu potwornie chciał zobaczyć tę porcelanę. John powoli i ostrożnie obrócił bark i wysunął siatkę przed siebie. Przez oczka worka Richie dojrzał orła i swastykę. Wybuchnął radością i zaczął krzyczeć przez aparat: „O, cholera! Udało ci się! Nie mogę uwierzyć! Zrobiłeś to!”. Przez minutę tańczył jak małe dziecko, trzymając w ręku siatkę. Kręcił się, kopał płetwami i klepał Johna po ramieniu, co chwila sprawdzając, czy aby na pewno widzi to, co mu się wydawało. Teraz nie było już cienia wątpliwości. Odkryli niemieckiego U-Bootu.

Kiedy wznosili się do następnego przystanku, Chatterton usiłował za wszelką cenę powstrzymać entuzjazm Kohlera i jego poklepywania. Gdy już na pokładzie *Seekera* kapitan wziął do ręki miski, był w stanie wykrztusić z siebie jedynie: „O, ja chromolę...”. Pozostali nurkowie klepali Johna po plecach i robili mu zdjęcia, jak trzyma miski.

Gdy *Seeker* kierował się z powrotem do portu, większość nurków zeszła pod pokład, żeby się trochę zdrzemnąć. Chatterton i Kohler siedzieli razem na pokładzie, na skrzyni klimatyzatora. Wyprawa zupełnie oszołomiła Richiego, w ciągu jednego zaledwie dnia zrealizował swoje największe pasje – zainteresowanie marynistyką i historią, okrętami podwodnymi, poszukiwaniami i trofeami. Czuł się częścią historii. Przez chwilę rozmawiał z Johnem o budowie U-Bootu, jego uszkodzeniach i otwartych włazach. Żaden z nich nie odezwał się słowem o Atlantyckich Nurkach Wrakowych i Bielendzie.

– Wiesz co? To było najbardziej ekscytujące nurkowanie w moim życiu – stwierdził Kohler. – W ogóle takie coś zdarza się raz w życiu, ale nie o to chodzi. Najbardziej mi się spodobała ta chwila, kiedy patrzyliśmy pod wodą na naczynia. Przez chwilę ty i ja byliśmy jedynymi ludźmi na świecie, którzy wiedzieli, że to jest na pewno U-Boot. Jedynymi na całutkim świecie.

Chatterton skinął głową. Wiedział, co Richie ma na myśli. Zdawał sobie sprawę, że nie mówił teraz o nurkowaniu. On mówił o życiu. John pomyślał, że w sumie nie byłoby głupio poznać tego faceta trochę lepiej.

¹ Oryg. „Walt Disney” (przyp. tłum.).



Martin Horenburg na pokładzie U-869. Arch. Richie Kohler

ROZDZIAŁ 6

RICHIE KOHLER

Jeśli kiedykolwiek ktoś urodził się po to, by nurkować do dziewiczego warku U-Boota, tym kimś z pewnością był Richie Kohler.

W 1968 roku Richard i Frances Kohler, z trójką małych dzieci, przeprowadzili się do domu w Marine Park, na Brooklynie. Zamieszkali w niezwykle zżytych ze sobą sąsiedztwie, wśród Żydów i Włochów. Dzieciaki biegały za sprawunkami podstarzałych wdów, a imigranci sadzili drzewa figowe na podwórzach swoich domów. Dwudziestoosmioletni Richard był właścicielem zakładu szklarskiego. Pochodził z Niemiec i był z tego dumny. Jego żona Frances była równie dumną ze swoich korzeni potomkinią sycylijskich imigrantów. Oboje usiłowali zaszcześcić w dzieciach poczucie tożsamości i więzi z tradycją. Skupiali się na sześcioletnim podówczaś Richiem, który osiągnął już wiek pozwalający docenić tego typu wartości. Zauważyli jednak, że z ich synkiem dzieje się coś dziwnego. Z zapamiętaniem czytał książki, ale nie interesowały go drukowane wielką czcionką bajki dla dzieci, które podobały się jego rówieśnikom. Wolał przeglądać „National Geographic”, książki historyczne i wszystko, co dotyczyło świata zewnętrznego. Kiedy w domu nie było już nic więcej do czytania, zabierał się z powrotem do tych lektur i zaczynał wszystko od nowa. Matka pytała go, czy nie wolałby bawić się z innymi dziećmi, tarzać w piachu i brudzić. Poprosił ją wtedy, by subskrybowała „Popular Mechanics”¹. Frances nie wiedziała, czy się cieszyć, czy wołać lekarza. Nigdy nie spotkała nikogo – ani dziecka, ani dorosłego – tak zawziętego w poszukiwaniu odpowiedzi.

Kupiła synkowi więcej książek, a Richie czytał dalej – biografie wojskowe, opisy bitew, monografie poświęcone broni i wszystko, co wiązało się z kultem męstwa. Wkrótce Francis musiała wypędzać Richiego na dwór siłą.

Kiedy dowiedział się o programie badań kosmicznych Apollo, wydawało mu się, że pomysł poznania zupełnie obcego środowiska i ulepszenia go jest zbyt piękny, by mógł być prawdziwy. Ale przeczytał o Neilu Armstrongu i postanowił zostać kosmonautą. Pił napój energetyczny Tang, robił dla swoich ludzików G.I. Joe „kombinezony kosmiczne” z folii aluminiowej i błagał matkę, żeby kupowała obiady Swanson z dostawą do domu – z tego, co było dostępne na Brooklynie, to one właśnie najbardziej przypominały jedzenie kosmiczne.

W tym okresie jego ojciec w pocie czoła rozwijał swój warsztat szklarski. Nie szczędził jednak czasu, by dać dobre wychowanie swoim dzieciom. Doceniał zamiłowanie Richiego do książek, ale chciał, by jego syn zyskał także hart ducha. Uczył go różnych prac fizycznych w domu, w warsztacie i na swojej

łodzi – powierzał mu do wykonania odpowiedzialne zadania. W wieku siedmiu lat Richie potrafił ciąć szkło, rok później z mistrzowską wprawą posługiwał się piłą tarczową. Kiedy coś mu się nie udało, ojciec wściekał się, krzycząc: „Jesteś głupi czy co?” lub „Nie zachowuj się jak matoł!”. Zawstydzony Richie zwieszał pokornie głowę, niesamowicie czcił swego ojca i bolało go, gdy sprawiał najsilniejszemu człowiekowi na świecie zawód. Matka miała mu za złe te słowa. „Jak możesz tak mówić?” – pytała. „Wiesz, jak bardzo twój własny ojciec ranił cię takimi słowami. Jak możesz robić to samo swojemu dziecku?” Richard Kohler nigdy jej nie odpowiedział.

Nie minęło zbyt dużo czasu, a chęć przypodobania się ojcu stała się silniejsza od marzeń o zostaniu astronautą. Kiedy ojciec zapytał: „Bawisz się G.I. Joes? Laleczkami?”, Richie przerzucił się na budowanie modeli okrętów wojennych i samolotów myśliwskich. Gdy ojciec zabierał go na łódkę i dawał mu do wykonania ważne zadania, Richie trząsł się na samą myśl, że zrobi niewłaściwy węzeł lub będzie sterował złym kursem. Świadomość, że może zostać nazwany durniem, zupełnie go obezwładniała, lina wyślizgiwała mu się z rąk. Mimo to w czasie wycieczek z ojcem samodzielnie wiązał węzły i sterował na otwartym oceanie. Który z siedmiolatków z sąsiedztwa mógł się czymś takim pochwalić? Wkrótce Richie mógł robić rzeczy, na które nie pozwalano nawet nastolatkom. Wyłącznie dzięki temu, że ojciec wierzył w umiejętności swojego syna i robił wszystko, by je rozwijać.

Wprawdzie Richie wciąż pasjonował się historią, stopniowo jednak zaczęły wypierać ją zainteresowania nieco innej natury. Obydwoje rodzice usilnie starali się zaszcześcić w nim dumę ze swego dziedzictwa. Zapachy sycylijskich potraw gotowanych przez Frances, poklepywanie i szczypanie w policzki przez jej rodzinę, ślady szminki, unikanie mięsa w piątki, wstyd przed otwartym okazywaniem uczuć i głosy sąsiadów wydzierających się w sycylijskim dialekcie na dzieci, wszystko to przypominało Richiemu o jego włoskich korzeniach. Do tego dochodziły jego gęste, kruczoczarne i sztywne włosy, stawiające opór szczotce i pracownicy zaczesane na bok w stylu Donny’ego Osmonda². Skóra Richiego miała odcień jak prawdziwa, sprowadzana z Włoch oliwa Ekstra Vergine z samego dna butelki. Oczy miał koloru kory, a brwi gęste. Ich końce opadały w dół niczym zwieszone w akcie rezygnacji ramiona piłkarza. Były to brwi kogoś, kto z pasją opowiada historie. Brwi, które opadają i wznoszą się, towarzysząc emocjom. Kiedy był mały, były ciągle w ruchu, nawet gdy czytał książki.

Z kolei ojciec Richiego uważał, że jako Niemcy należą do klasy ciężko

pracujących, uczciwych ludzi, którym obcy jest ból i lenistwo. Jego filozofia zawierała się w słowach: „Jeśli chcesz więcej, sam bądź czymś więcej”. Starał się wpoić to przekonanie synowi. Kazał mu być dumnym z dziedzictwa swych przodków i nie pozwolić, by ktokolwiek w tym makaroniarskim sąsiedztwie lub gdziekolwiek indziej traktował go gorzej tylko dlatego, że jest Niemcem. Pod wpływem lektur i audycji telewizyjnych w Richiem i tak rozwinęły się już podstawy niemieckiej dumy. Dostrzegł też, że bez względu na to, jaka była opinia ludzi o Niemcach, wszyscy bez wyjątku szanowali ich wrodzony perfekcjonizm.

Nieco mniej strawne były natomiast wspomnienia ojca o panu Segalu, sąsiedzie, którego podziwiał jako chłopiec. Segal, niemiecki imigrant, był niegdyś siłaczem w cyrku. Wyemigrował, kiedy Hitler umocnił się przy władzy, przedtem jednak kilkukrotnie zjeździł całe Niemcy. Segal opowiadał Richardowi Kohlerowi o kraju, który kochał, ojczyźnie wybitnych naukowców i artystów, rzemieślników tworzących piękne przedmioty. Roztaczał bajkową wizję wiosek o wielowiekowej tradycji oraz dumnych, ciężko pracujących i sumiennych ludzi. Przed spotkaniem z Segalem Kohler nigdy nie zastanawiał się nad dziedzictwem przodków. Kiedy go poznał, poczuł się Niemcem. Ojciec Richiego niekiedy zupełnie zatracił się we swoich wspomnieniach o panu Segalu, zapominając, że nie jest już dzieckiem. Richie słuchał opowieści o tym, że pan Segal jest bohaterem jego ojca. Wydawało mu się niesamowite, że może istnieć człowiek tak mocny, że jest bohaterem dla jego własnego bohatera.

Richie skupił się na lekturach dotyczących historii Niemiec, zwłaszcza okresu drugiej wojny światowej. Zauważył, że telewizja bardzo często pokazywała Niemców jako wredne szczyry. Dziwił się, czemu ludzie uznają ich za takich złych, przecież to tylko bestia w postaci Hitlera odpowiedzialna była za całe zło. Czytał o przedwojennych Niemcach i o tym, jak Hitler doszedł do władzy. Kiedy w szkole zadawano wypracowanie lub pracę domową, zawsze pisał o stronie niemieckiej. Jak tłumaczył ludziom w sąsiedztwie, nazwisko Kohler pochodziło od niemieckiego słowa oznaczającego górnika kopiącego węgiel.

Im bardziej poznawał historię, tym silniej czuł, że jego rówieśnicy w zupełnie inny sposób myślą o świecie. Wielu lubiło czytać o wojnach i bitwach, ale tylko on wydawał się interesować żywotami żołnierzy. Zastanawiał się nad dziwnymi zagadnieniami, które nawet nie przyszłyby na myśl jego kolegom. Myślał o listach, które pisali żołnierze uwięzieni w bunkrze na linii frontu, czemu szeregowcy tęsknili najmocniej za drobiazgami, które zostały w domu, o dzieciństwie pilotów myśliwców i o tym, co czuła rodzina, kiedy przychodziła

do niej wieść o śmierci syna. Kiedy oglądał w książkach zdjęcia ciał zabitych żołnierzy leżących na polu bitewnym, miał nadzieję, że te książki nie są dostępne w rodzinnych stronach tych żołnierzy.

Ojciec Richiego, mimo iż wypruwał sobie żyły w pracy, zawsze znajdował czas, by spędzić weekend z dziećmi. Nie należał jednak do ojców, którzy grają z dziećmi w bejsbol i chodzą na przedstawienia szkolne. Jeśli Richie chciał spędzać z nim czas, a zwykle bardzo chciał, musiał to robić na warunkach dyktowanych przez niego. Z reguły oznaczało to, że będą spędzać czas na łódce.

Richie często trząśł się ze strachu, kiedy czuł, że ojciec bacznie obserwuje go wiążącego szoty lub woskującego chromowane relingi. Wiedział, że jeśli coś sknoci, ojciec może go zwymyślać lub powiedzieć: „Jesteś zupełnie bezużyteczny!”. Czuł się naprawdę szczęśliwy, kiedy udało mu się zrobić wszystko tak, jak należy. Ojciec powierzał mu na łódce dużą odpowiedzialność i wkrótce Richie zaczął przyzwyczajać się do jego „bez względu na wszystko” – koncepcji, wedle której dla chcącego nie ma rzeczy niemożliwych.

Z dala od brzegu świat stawał się w oczach ciekawego siedmiolatka jeszcze większy niż zwykle. Ojciec Richiego uwielbiał łowić ryby i, jak przystało na prawdziwego wędkarza, miał książkę ze swoimi numerami, paszport do sekretnych miejsc. Często łowili ryby na wrakach. Kiedy wpatrywali się w swoje wędkę, Kohler opowiadał synowi, że wśród licznych wraków na dnie spoczywają także niemieckie U-Booty, fantastyczne maszyny, łowcy zdolni do przetrwania w najbardziej nieprzyjaznym otoczeniu na całej ziemi. Richie zawsze marzył o podboju nieznanych światów w przestworzach kosmosu. Idea takich maszyn, działających całe dekady temu, i to niemal w jego sąsiedztwie, była jeszcze bardziej fascynująca niż filmy science fiction, które widział w telewizji. W trakcie jednej z wycieczek, kiedy akurat przepływali przez przesmyk Rockaway, Richie zapytał o okrągłą kolumnę z kamienia, wystającą z wody dokładnie w połowie drogi między Brooklynem a Breezy Point; wyglądała jak forteca. Ojciec wyjaśnił mu, że wojskowy korpus inżynieryjny wykorzystywał tę konstrukcję do naciągania podwodnych stalowych sieci, które miały powstrzymać U-Booty przed wpływieniem do zatoki Jamaica.

– Potrafisz w to uwierzyć, Richie? – zapytał ojciec. – Niemcy dotarli aż tutaj. Patrz, widać stąd most Verrazano. U-Booty dotarły aż tak blisko. Richie niezwykle uradował się tą informacją, ale nie zdradził jej swoim kumplom. Uważał, że wiedza o U-Bootach u samych brzegów Ameryki jest tajemnicą, którą mogą znać tylko prawdziwi wędkarze, tacy jak on i jego ojciec.

Kiedy dowiedział się od ojca o stalowych sieciach, wybrał się do sklepu, kupił

model U-Bootu i pomalował go tak, jakby okręt dostał się w te sieci. Gdy przeglądał mapy morskie ojca, z zaskoczeniem zauważył, że opodal Block Island, na Rhode Island spoczywa zatopiony U-Boot, *U-853*. Obok nazwy okrętu na mapie znalazł też wypisaną czerwonymi drukowanymi literami adnotację: UWAGA – NIEZDETONOWANA AMUNICJA. Mimo iż minęło już ćwierć wieku od czasu, kiedy U-Booty pływały po morzu, wciąż było w nich coś żywego.

Pewnego słonecznego i ciepłego dnia ojciec zabrał ośmioletniego Richiego na wycieczkę na nartach wodnych do zatoki Dead Horse na wodach Mill Basin w pobliżu Brooklynu. Był to mały akwen, wokół którego motorówki ciągały narciarzy wodnych. W pewnym momencie w trakcie jednej z jazd Richiego poluzowała się lina. Chłopiec wpadł do wody. Kohler szybko wykręcił łodzią, krzycząc do niego: „Wskakuj na łódkę! Wskakuj na łódkę!”. Po chwili wyciągnął syna z wody i zaczął powoli zataczać kółka wokół jakiegoś przedmiotu unoszącego się na powierzchni wody. Powiedział Richiemu: „Wskakuj do kabiny i nie patrz”. Patrzenie było istotą życia Richiego, toteż zszedł tylko kawałeczek po schodkach i wciąż patrzył. Śledził wzrokiem przedmiot, wokół którego zataczał kręgi ojciec. Po chwili stwierdził, że jest to ciało jakiejś kobiety. Poznał, że to kobieta, po dole bikini. Ojciec wezwał Straż Wybrzeża i dalej zataczał koła. Richie patrzył badawczo. Kobieta leżała twarzą do dołu, wokół unosiły się długie włosy. Miała rozpostarte nogi, a spod kostiumu kąpielowego wystawały pośladki. Na plecach i udach widniały symetryczne nacięcia, z których wyzierało białe ciało. Trup kołysał się poruszany falami wywołanymi przez łódkę ojca. Serce podeszło mu do gardła, ale nie potrafił przestać patrzeć. Nie rozplakał się. Nie skrył pod pokładem. Po prostu nie mógł się nadziwić, jak można zostawić kogoś na oceanie i nikogo o tym nie poinformować.

Kiedy sezon żeglarski miał się ku końcowi, ojciec postanowił nauczyć Richiego nurkowania. W domu pozwalał mu składać i rozkładać butle i aparat oddechowy. Uważał, że oswajając swoją trójkę dzieci ze sprzętem mechanicznym, sprawi, że nie będą czuły przed nim strachu. Czasami wrzucał cały sprzęt na dno basenu na podwórku za domem, po czym kazał Richiemu zanurkować pod wodę, złożyć sprzęt i zacząć oddychać. Poznając podwodny świat, Richie czuł się niczym nurkowie z filmu „20 000 mil podmorskiej żeglugi”³.

W dodatku cały czas czytał. Gdyby ktoś obserwował wyłącznie jego zajęcia

szkolne, doszedłby z pewnością do wniosku, że Richie jest potwornym kujonem. Nie należał do żadnej drużyny sportowej i nie bawił się na świeżym powietrzu tak regularnie jak inni chłopcy z sąsiedztwa. Większość wolnego czasu spędzał, czytając lub budując modele z okresu drugiej wojny światowej, wzbogacane o coraz to więcej detali. Mimo pozorów nie był jednak mięczakiem. Pewnego razu ojciec usłyszał, że Richie został pobity po lekcjach przez niejakiego Vinniego, przerośniętego byczka z fryzurą afro. Zabrał Richiego na spacer po okolicy, a gdy wreszcie natknęli się na winowajcę, kazał go synowi porządnie obić. Po tej walce dzieciaki z sąsiedztwa zupełnie zmieniły zdanie o Richiem. Teraz krążyły słuchy, że jeśli ktoś zadrze z młodym Kohlerem, może spodziewać się poważnych kłopotów. Po tej historii nikt nie odważył się już go zaczepiać.

Latem, kiedy Richie miał dziewięć lat, on, jego ojciec i zaprzyjaźniony mechanik z przystani wybrali się 10-metrowym jachtem motorowym Kohlerów typu *Viking Sport Fisherman* ochrzczonego *Lisa Frances* na jednodniowe party. Richie mógł już sam nawigować i pływać w oceanie, a ojciec pozwalał mu nawet mieszać alkoholowe drinki dla dorosłych. Jednym słowem, był niezwykle ważnym członkiem załogi. Kohler przekazał Richiemu ster i pozwolił chłopcu wypłynąć przez przesmyk na otwarty ocean. Jakies dziesięć minut po wyjściu z portu Richie zupełnie nieoczekiwanie dał ster na burtę. Gwałtowny manewr zaniepokoił ojca.

– Co ty wyprawiasz? – zawołał.

– Przed nami pływa opona, nie chciałem w nią uderzyć – odpowiedział Richie.

Kohler obrócił się i spojrzał w wodę.

– To nie opona – powiedział.

Richie zmrużył oczy i wyteżył wzrok. Kiedy łódź przepływała bliżej, dostrzegł, że to, co uznał z daleka za oponę, było ludzkim ciałem. Unosiło się twarzą do dołu, z wyprostowanymi rękoma i kiwającymi się w wodzie nogami. Nad głową niczym całun powiewała czarna wiatrówka. Fale wywołane przez łódź obróciły na chwilę głowę tak, że Richie widział teraz twarz. Mężczyzna miał zamknięte oczy, był starannie ogolony. Włosy wpadały mu do oczu. Spod wiatrówki wystawał jaskrawy golf. Miał zupełnie białą skórę. Był martwy.

Ojciec przejął ster i niemal w miejscu zawrócił łodzią.

– Wskakuj biegiem do kabiny i nie patrz! – nakazał Richiemu.

Richie wyszedł ze sterówki, ale wciąż patrzył. Ojciec i jego znajomy wzięli trzymetrowy bosak i zaczęli przyciągać ciało ku łódce. Woda była wzburzona i rzucała nim na wszystkie strony, wyciągnięte ręce trupa pozostawały jednak

nieruchome, sterczały na boki, tak jakby mężczyzna został ukrzyżowany. Kohler wezwał Straż Wybrzeża.

– Weźcie ciało na pokład – rozkazał przez radio operator.

– Nie ma mowy – odpowiedział Kohler.

Doskonale wiedział, że biorąc ciało na pokład, naraża się na udział w przedłużonym dochodzeniu. Nie miał na to czasu. Zdecydował się zostać na miejscu i czekać na przybycie patrolu. Podczas gdy strażnicy w pośpiechu płynęli do ich łodzi, Kohler z kumplem stroili sobie niewybredne żarty:

– Sprawdźmy, czy ma portfel!

– Ma jakieś pierścionki z brylantami?

Na miejsce przybył kuter Straży Wybrzeża.

– Wciągnijcie ciało na platformę rufową i płyncie za nami – nadali przez radio strażnicy.

– Nie ma mowy – odpowiedział Kohler. – Puszczę teraz ciało luzem, podpłynię i sami je weźcie.

Wizja trupa unoszącego się na wodzie i niknącego na zawsze w dali przeraziła Richiego zdecydowanie bardziej niż sam widok ciała. Wiedział, że ojciec jest śmiertelnie poważny. Modlił się w duchu, żeby strażnikom udało się wyłowić ciało.

Kuter podpłynął we wzburzonej wodzie kawałek bliżej. Richie wpatrywał się wciąż w twarz trupa i jego wyciągnięte na boki ręce. Kiedy kuter był już całkiem blisko, Kohler podał bosak jednemu ze strażników, który na widok ciała zaczął wymiotować. Straż Wybrzeża kazała Kohlerowi płynąć za sobą do brzegu. Kiedy wszyscy dotarli już na posterunek, ciało przeniesiono na nosze. Z ust trupa kapłała woda. Do noszy podbiegł z płaczem chłopiec w wieku Richiego.

– Mój tata! Mój tata – zawodził.

Richie wzdrygnął się, ze wszystkich sił starając się nie zacząć szlochać. Kilka minut potem ktoś powiedział Kohlerom, że ofiarę złapał na jachcie gwałtowny sztorm. Mężczyzna wypadł za burtę i utonął. Podobno był pastorem.

Przez całą drogę do domu Richie myślał, co by się stało, gdyby nie znaleźli z ojcem ciała pastora. Minął już rok od momentu, kiedy zobaczył w wodzie ciało kobiety, nie przestawała go jednak dręczyć myśl, że ktoś może być pozostawiony w wodzie. Przecież ich rodziny i bliscy czekają w domu i tak bardzo potrzebują wiedzieć, gdzie oni są.

Gdy Richie skończył jedenaście lat, ojciec wreszcie zabrał go na nurkowanie. Pojechali na nabrzeże, przy którym Kohler cumował swoją łódź. Richie

sprawdził wszystkie zawory, splunął do maski, żeby nie zaparowała pod wodą i poklepał się po udzie, upewniając, czy nóż jest wciąż na miejscu. Stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, skoczył do wody, robiąc fikołka do tyłu, dokładnie tak, jak aktorzy w serialu telewizyjnym „Sea Hunt”⁴. Nowojorska woda nie była zbyt czysta, na powierzchni, wśród plam oleju, niedopałków i styropianowych kubków, unosił się stary parasol. Richie był jednak oczarowany tym, co zobaczył pod wodą – na dnie pełno było skrzypłoczy, wokół niego śmigały strzeble i falowały niesione prądem meduzy. Gdy przemierzał ten niedostępny dla zwykłych istot ludzkich świat, w którym tuż pod nosem Amerykanów pływały niegdyś U-Booty, poczuł, że wkroczył w nowy wymiar niczym astronauta. Zawsze marzył o czymś takim.

Kiedy Richie skończył dwanaście lat, jego rodzice się rozeszli, a ojciec zaczął się spotykać z inną kobietą. Pewnej nocy w lutym 1975 roku Frances weszła na palcach do sypialni syna. Chłopiec spał. Obudziła go, wręczyła mu walizki i powiedziała, żeby się spakował, i pomógł bratu zrobić to samo.

– Gdzie jedziemy? – zapytał Richie, przecierając oczy.

– Jedziemy na Florydę – odpowiedziała Frances. Była trochę zaskoczona swoją odpowiedzią. Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, żeby wybrać się na Florydę.

O drugiej nad ranem wpakowała trójkę dzieci do swojego czarnego buicka riviery i ruszyła na południe autostradą New Jersey. Zatrzymała się na stacji benzynowej, żeby kupić mapy. Nawigację powierzyła Richiemu. O świcie zatrzymali się na parkingu i ucieli krótką drzemkę. Potem jechali już bez przerwy, aż dotarli do domu matki Frances w New Port Richey na Florydzie. Frances nie uprzedzała jej, że przyjadą. Rosalie Ruoti ucałowała córkę i wyściskała wnuki. Matka Richiego wiedziała już, że nigdy nie wróci do Nowego Jorku.

Kilka tygodni po opuszczeniu Nowego Jorku Richie świętował w domu babci swoje trzynaste urodziny. Niedługo potem Frances kupiła w pobliżu własny dom. Richie powiedział ojcu przez telefon:

– Kocham cię, a ciebie tutaj nie ma.

Kohler mógł odpowiedzieć tylko:

– Wiesz, chłopie, nic na to nie poradzę. Jakoś nie układa nam się z twoją mamą.

Po kilku takich telefonach Richie wiedział już, że będzie dorastał na Florydzie.

W wieku lat czternastu Richie wstąpił do pobliskiego liceum Hudson Senior High School. Pewnego dnia po zajęciach w sali sportowej Richie zauważył, jak jeden z wyrośniętych osiłków z klasy popycha chudego, wysokiego blondynka, którego kojarzył z zajęć z algebry. Podszedł do nich i uprzejmie poprosił go, żeby przestał znęcać się nad kolegą. Ten odparł: „Pilnuj swojego pieprzonego nosa, bo...”. Nie zdążył dokończyć, kiedy na jego policzku wylądował potężny prawy sierpowy. Upadł na beton i zaczął coś jęczeć pod nosem. Ojciec Richiego miał rację, kiedy ktoś odgraża się, jak to zaraz cię spierze, wal sierpowym.

Chudzielec podziękował i przedstawił się jako Don Davidson. Zaprosił Richiego po szkole do domu. Pod sufitem w jego pokoju wisiało kilka modeli myśliwców z drugiej wojny światowej. Były tak wymuskane w każdym detalu, że na zdjęciu można by było wziąć je za oryginały. Richie położył się na plecach i patrzył w powietrze. Po chwili przeniósł się w myślach na niebo Filipin w 1944 roku, w czasie bitwy o zatokę Leyte. Karabiny maszynowe pruły skrzydła samolotów przeciwnika, piloci wroga wyskakiwali z kokpitów płonących maszyn. Donowi spodobało się, że Richie położył się na podłodze, robił zawsze dokładnie to samo. Na półkach stało przynajmniej ze dwadzieścia książek o Luftwaffe, siłach powietrznych Hitlera.

– Jestem Niemcem – powiedział Richiemu Don. – Całkiem poważnie interesuję się techniką okresu drugiej wojny światowej – zwłaszcza osiągnięciami niemieckich inżynierów i ich superbronią.

Richie opowiedział Donowi o Kriegsmarine – niemieckiej flocie – o tym, jak U-Booty podpływały pod sam Nowy Jork, zaledwie o jedną czy dwie mile od jego domu. Przyznał się, że też jest Niemcem. Od tej pory byli już najlepszymi kumplami.

Gdy tylko Richie i Don skończyli 15 lat, zapisali się na kurs nurkowania i zdobyli certyfikat juniora. Nurkowali niemal bez przerwy, strzelali z kuszy do ryb, a czasami igrali nawet z rekinami. Richie czuł się pod każdym względem niczym podwodny astronauta, zdobywający światy niedostępne dla znudzonych dzieciaków, siedzących obok niego w szkole na lekcjach biologii. Cieszył się swoim wspaniałym ekwipunkiem, który otwierał przed nim głębiny morza, jednocześnie chroniąc przed czyhającymi w nich niebezpieczeństwami. Czerpał niesamowitą radość z poczucia niezależności, które towarzyszyło polowaniom z harpunem. Myśliwi, tacy jak on i Don, potrafili spędzić nawet godzinę w bezgranicznych przestworzach. Byli sami, bez ojców, i polegali tylko na sobie.

W ostatniej klasie liceum Richie rzucił się w wir imprez towarzyskich. Czas, który długimi latami poświęcał na studiowanie książek, zaczęły wypełniać mu

inne zajęcia, picie piwa na imprezach plażowych, przemykanie trawki w pudełkach po kliszach fotograficznych i podrasowywanie czarnego oldsmobila Cutlass Supreme, rocznik 1974. Nosił się zgodnie z obowiązującą w latach 70. modą: włosy do ramion, drobny wąsik, szorty z obciętymi nogawkami i czarna koszulka koncertowa z odblaskowym nadrukiem. W słońcu Florydy jego oliwkowa skóra przybrała niemal hebanowy odcień. Coraz wyraźniej rysowały się ostre kontury szczęki. Podobał się dziewczynom. A ruchliwe brwi wciąż mówiły i mówiły.

W szkole jechał cały czas na piątkach i czwórkach, ale nauczyciele zawsze wypisywali na kartach z jego ocenami uwagi w rodzaju: „Nie wyróżnia się” lub „Robi, co mu się żywnie podoba”. Już na dobre przylgnęła do niego przyprowadzona mu niegdyś przez ojca etykieta twardziela. Kiedy pewnego razu 14-letni brat Richiego, Frank, poskarżył się, że sterroryzował go dorosły bandzior, 16-letni Richie dorwał faceta i tłukł go, dopóki ten nie zaczął błagać z płaczem o litość. Kiedy indziej Richie i jego czterech kumpli z drużyny futbolowej postanowiło zadrwić sobie z młodszych kolegów. Przez dziurki wentylacyjne w szafkach podpalili ich stroje gimnastyczne. Władze szkoły postanowiły wyciągnąć surowe konsekwencje. Sprawa trafiła do sądu. Podczas rozprawy sędzia obiecał wyczyścić akta sprawy, jeśli chłopcy przyrzekną, że tego typu sytuacja się nie powtórzy. Po tej aferze Richie nie wszedł już w konflikt z prawem.

Z biegiem lat Richie zaczął zastanawiać się nad swoją przyszłością. Nie chciał już chodzić do szkoły. Mimo iż nauka sprawiała mu przyjemność, chciał coś robić, działać, a nie spędzać kolejne lata w szkolnej ławie. W głowie zaświtał mu pomysł. Zaciągnie się do marynarki wojennej. W ten sposób będzie mógł żyć na wodzie, podróżować po świecie i pracować z najbardziej spektakularnymi maszynami wojennymi, jakie kiedykolwiek wymyślono. Może będzie służył na pokładzie bojowego okrętu podwodnego – na samą myśl o tym serce zaczynało bić mu szybciej. Nie na pokładzie okrętu z głowicami atomowymi, ale na szybkim, zwinnym podwodnym myśliwym-ścigaczu.

Pod koniec roku szkolnego, w ramach Dni Kariery, szkołę odwiedził oficer z biura rekrutacyjnego marynarki wojennej. Richie miał do niego mnóstwo pytań. Oficer powiedział mu, że dla osób, które uzyskają najwyższy wynik w teście kwalifikacyjnym sił zbrojnych, przewidziane są miejsca na programach szkoleniowych dla oficerów. W ramach szkoleń rekruci mogli wybrać dowolny kierunek, łącznie z okrętami podwodnymi. Richie zapisał się na test i podszedł do niego z pełnym opanowaniem. Uzyskał wynik 98 procent. Marynarka

wojenna przyjęła go z otwartymi ramionami. Richie zapytał ponownie o okręty podwodne.

Oficer rekrutacyjny zapewnił go, że w zamian za podpisanie sześcioletniego kontraktu marynarka zapewni mu służbę na okręcie podwodnym. Na potwierdzenie swych słów pokazał kontrakt z odpowiednią klauzulą. Richie i jego matka podpisali dokumenty. Kohler zdążył już zapomnieć o swoich marzeniach o byciu kosmonautą. Teraz, po latach, chociaż brzmiało to nieco dziwnie, powiedział sobie w myślach: *Wróciłem do akcji.*

Po ukończeniu szkoły średniej został zabrany razem z kilkoma tuzinami innych rekrutów do bazy lotnictwa marynarki wojennej na Florydzie. Specjalnie podstawiony autobus zawiózł ich na przysięgę. Nad głowami krążyły odrzutowce marynarki. Rekruci zostali zaprzysiężeni. Został żołnierzem Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

Jeszcze tego samego dnia oficer w niebieskiej kurtce wezwał Richiego do swojego biura i poprosił, by usiadł.

– Mamy problem, synu – powiedział. – Skłamałeś w swoim podaniu.

– Co pan ma na myśli? – zapytał Richie.

Oficer wyjaśnił, że biuro rekrutacyjne dotarło do informacji o incydencie z podpalaniem szafek w liceum. Marynarka nie miała zamiaru tolerować na pokładzie swoich okrętów nikogo uwikłanego w podpalenia. Pod żadnym pozorem.

Richie poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Wyjaśnił całą sprawę, tłumacząc, że był to szczeniacki wybryk, i powiedział, że sędzia zdecydował, aby wymazano ten incydent z papierów. Oficer był niewzruszony. Obiecał, że pozwoli Richiemu pozostać w szkole oficerskiej pod jednym tylko warunkiem, musi się pogodzić z tym, że nigdy nie będzie służył na pokładzie żadnej jednostki. Miał podpisać specjalne zobowiązanie. Nie zgodził się. Kilka godzin później znalazł się na ulicy, kompletnie załamany i zagubiony. Służył w Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych niecały dzień. Przez kilka kolejnych dni szwendał się bez celu, rozmyślając nad swoim życiem i zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze trafi mu się taka okazja. Ponieważ nie przychodziło mu nic do głowy, zdecydował się wrócić do Nowego Jorku i zacząć pracować dla ojca.

Przez trzy lata harował jak wół, budując drugi oddział firmy ojca. Ani razu nie dotknął nawet sprzętu do nurkowania, który leżał w piwnicy magazynu Fox Glass. Pewnego dnia dostał zlecenie wymiany okna w centrum nurkowym Wantagh South Bay Dive Center, na Long Island. W czasie pracy zauważył

fotografię przedstawiającą nurka we wnętrzu wraku. Facet wyglądał, jakby wymontowywał krany z wanny. Richie zapytał o to zdjęcie właściciela sklepu, Eda Murphy'ego.

– To *Andrea Doria* – odpowiedział Murphy.

Richie czytał o *Dorii* w książkach. Wiedział, że statek zatonął w pobliżu Nowego Jorku, ale nigdy nie wpadł na to, że ktoś może nurkować na jego wraku. Murphy wyciągnął stertę zdjęć z *Dorii*. Nie przypominała obrosniętych wodorostami i wziętych we władanie przez morskie stworzenia zatopionych okrętów, jakie Kohler oglądał na Florydzie. *Doria* wyglądała jak statek z Hollywood, z nietkniętymi kajutami, rurami i unoszącym się w korytarzach echem życia i tragedii.

– Chcę tam nurkować – rzucił niespodziewanie. Ta nagła deklaracja zupełnie go zaskoczyła. Przez ostatnie trzy lata nawet nie myślał o nurkowaniu.

– O nie, nie – odpowiedział karcącym tonem Murphy. – *Doria* to coś, na co trzeba porządnie zasłużyć. Leży na 75 metrach. Jest tylko dla najlepszych.

– Byłem najlepszy – zapewnił go Kohler. Opowiedział Murphy'emu o swoich polowaniach z harpunem na Florydzie.

– To nie polowanie z harpunem, przyjacielu – odparł Murphy. – Ale coś ci powiem. Mam grupę klientów, którzy wybierają się w ten weekend na wrak *USS San Diego*. To krążownik z okresu pierwszej wojny światowej, zatopiony przez niemiecką minę. Leży na piasku. To dobry wrak. Możesz popłynąć z nimi. Jest na głębokości 33 metrów, powinieneś dać sobie radę. Tylko weź ze sobą sprzęt.

– Będę na pewno – odpowiedział Richie.

Niemal od razu po powrocie do firmy pobiegł do piwnicy. Jego sprzęt pokryty był grubą warstwą kurzu i nalotem pleśni. Rozpakował butlę, rozmontował aparat oddechowy, maskę i płetwy. Skafander roztaczał wokół siebie woń ząteczłego neoprenu.

W weekend wyruszył na *San Diego*. Kiedy łódź nurkowa dotarła na miejsce, zaczął przebierać się w skafander. Pozostali nurkowie pokasztywali i podśmiewali się z niego. Nie miał rękawic, butów i kaptura – w mokrym skafandrze bez rękawów wyglądał jak farmer. Ktoś nawet rzucił pytanie, czy zasiał już rano zboże.

– Tam na dole jest potwornie zimno – powiedział mu jeden z nurków. – Chłopie, na Florydę jest stąd niezły kawał drogi.

– W porządku, nic mi nie będzie – odrzekł Kohler.

Po minucie pod wodą trząśł się z zimna. Szarozielona woda nie miała więcej

niż dziesięć stopni. Kiedy dotarł na dno, zauważył, że wrak jest odwrócony do góry dnem – „na żółwia”. Popłynął wzdłuż burty, szukając jakiegoś wejścia, w końcu udało mu się znaleźć gródź otwartą na ocean. Nie miał za grosz wprawy w kopaniu, przesiewaniu i innych technikach wykopaliskowych. Po prostu włożył rękę w muł i zaczął grzebać. Wyciągnął kilkanaście nabojów. Niesamowite. Zaczął trząść się z zimna. Popatrzył na zegarek – był pod wodą zaledwie pięć minut. Z obawy przed śmiercią z wyziębienia zaczął powoli się wynurzać. Wypływając na powierzchnię, zerknął na pociski. Amunicja trafiła z pierwszej wojny światowej wprost w jego dłonie. Wciągnęło go.

Po tym rejsie zaczął kompletować porządny sprzęt, jakiego używali na północno-wschodnim Wybrzeżu nurkowie eksplorujący wraki. Kupił suchy skafander, rękawice i nóż za 50 dolarów. Zapisywał się na wszystkie rejsy organizowane przez sklep nurkowy. Jakiś instynkt kierował go zawsze w miejsca pełne przedmiotów. Często odkrywał rzeczy, obok których inni latami przepływali. Bez cienia obawy przemierzał kajuty *Oregonu*, *San Diego* i innych wraków. Penetrował przestrzenie, które budziły grozę wśród instruktorów. Miał nurkowanie we krwi. Falowanie oceanu, warkot silników łodzi czarterowych, szarzielona barwa wody, biała smuga Mlecznej Drogi odbijającej się o północy w lustrze wody, wszystko to przypominało mu stare dobre czasy, kiedy pływał jako majtek ze swoim ojcem, letnie rejsy, lata, kiedy rodzic wydawał się olbrzymem, a takiego szkraba jak on woda mogła porwać dosłownie wszędzie.

Wydawało mu się, że w nurkowaniu na wrakach nie ma żadnych granic. W jednym z pism nurkowych przeczytał o grupie ludzi, którzy w 1967 roku wynajęli łódź, by popłynąć na *Dorię*. Jeden z nich, John Dudas, odnalazł kompas statku. Dla Kohlera Dudas był człowiekiem zupełnie innego gatunku. W czasach, kiedy nurkowie nie mieli wszystkich zaworów i manometrów, zamarzali w swoich mokrych skafandrach i modlili się, żeby nie zaparowały im szkiełka zegarków, Dudas zszedł na głębokość 75 metrów i wydobył stamtąd kompas razem z obudową. Dla Richiego, który dopiero zaczynał rozumieć grozę narkozy azotowej i prawdziwe znaczenie słowa „zimno”, Dudas był prawdziwym bohaterem – połączeniem astronauty, najemnika, gladiatora i delfina.

Gromadząc coraz to nowe doświadczenia, Kohler opracował własny styl męstwa. W czasie jednego z nurkowań na *San Diego* przecisnął się przez przerdzewiałą w ścianie dziurę do pomieszczenia czarnego dosłownie od oleju. Przy praktycznie zerowej widzialności napełnił swoje zielone siatki porcelaną, lunetami, latarniami i rogami sygnałowymi, po czym rozdzielił trofea między

kolegów na pokładzie łodzi. Po tym wyczynie zainteresowały się nim czasopisma specjalistyczne. Na innych wrakach, takich jak *Oregon*, *Relief*⁵, *Coimbra*⁶ i *Resor*⁷, grzebał w mule i wpływał w zupełnie pogruchatane przestrzenie, aż prosząc się, żeby stracić zupełnie orientację. Zawsze wychodził cało, z zapasem powietrza w butlach. Na ogół wypływał z tych niebezpiecznych miejsc z łupem. Cały czas rósł jego apetyt na trofea. Im więcej ich wyciągał, tym silniej pożyłkował nowych.

Pewnego dnia Murphy zadzwonił do Kohlera, by zaprosić go na prywatne spotkanie. Powiedział mu o grupie, a właściwie prawdziwym gangu sześciu nurków. Stwierdził, że mają bardzo podobny do niego charakter. Gang nie miał żadnej oficjalnej nazwy, ale pozostali nurkowie określali ich mianem Rzezimieszków⁸. Jak twierdził Murphy, nie wahali się przed niczym, by zdobyć trofea, i cieszyli się opinią prawdziwych twardzieli. Byli jednak najlepszymi nurkami na Wschodnim Wybrzeżu.

– Nurkują potwornie głęboko, Kohler – powiedział Murphy. – Pakują się tam, gdzie nie chodzi nikt inny. Zupełnie jak ty.

– Możesz mnie jakoś przedstawić? – zapytał Richie.

Murphy zaprosił członków gangu na jeden z rejsów na *Oregonie*, organizowanych przez jego sklep. Kohler także wpisał się na listę. Murphy przedstawił ich sobie nawzajem. Do gangu należało sześciu facetów, pięciu robotników i inżynier lotnictwa – każdy z nich miał za sobą przynajmniej dziesięć lat doświadczenia w nurkowaniu. Na pokładzie łodzi zachowywali się głośno i po grubiańsku, ale we wnętrzu wraku zupełnie się odmieniali. Kohler obserwował, jak stają się jednym organizmem. Porozumiewali się na migi i konsekwentnie realizowali swój plan. Jeden z nich, Pinkie, wspomagany przez pozostałych, wszedł przez wąską dziurę do przedziału towarowego na rufie. Pozostali kolejno odbierali od niego siatki pełne bulajów, beczulek alkoholu, zastawy stołowej i innych przedmiotów, wszystkiego, co tylko udało się mu wydobyć. Każdy z członków gangu wydawał się doskonale przewidywać wszystkie ruchy pozostałych. Niemal do zera minimalizowali zbędne gesty, starając się wyciągnąć tyle trofeów, ile tylko się dało. Richie nigdy wcześniej nie widział tak zgranego zespołu. Jako dziecko podziwiał zawsze wspaniałe skomplikowane maszyny przy pracy, teraz czuł, że mógłby całymi godzinami obserwować tych facetów.

Na pokładzie świętowali zdobycie łupu, żłopiąc potworne ilości piwa, klnąc i pochłaniając całe tony zimnych zakąsek. Kohler pokazał im dwa gigantyczne

homary, które złapał we wraku. Zaczęli marudzić:

– Gdzie, do cholery, są twoje trofea? Jeśli chcesz łapać homary, to trzeba było popłynąć jakąś pieprzoną motorówką.

Richie uśmiechnął się i spytał, czy może znowu z nimi nurkować.

Członkowie gangu nie lubili obcych, ale akceptowali Kohlera. Chłopak pił równo z nimi i darzył pogardą tych samych kapitanów łodzi czarterowych co oni. Co więcej, wydawał się podzielać ich piracką naturę. Złożyli mu propozycję:

– Będiesz browarmistrzem. Jak przywieziesz piwo, to popłyniesz z nami na następny rejs.

Kohler przywiózł ze sobą hektolitry piwa, robił tak przez następny rok. Nigdy nie spotkał facetów, którzy tak ostro imprezowali. Przed wypłynięciem z portu wszczynali burdy w pizzeriach, na wodzie pokazywali gołe tyłki przepływającym obok łodziom i zakładali świńskie ryje z plastiku, kwicząc na nie lubianych kapitanów. Do tego przez cały czas pochłaniali gargantuiczne ilości alkoholu i żarcia. W przerwach w błaznowaniu uczyli Richiego rzeczy, których nurek nie nauczyłby się za żadne pieniądze na kursie.

Musztrowali go niczym oficerowie w wojsku. Kazali mu pozbyć się cywilnego sprzętu i zaczęli wyposażać w ekwipunek nurka z prawdziwego zdarzenia. Uprząż? Do dupy, kup taką jak ta. Latarka? Wychrzań to gównem z Florydy do śmieci i kup jaśniejszą – na rany Chrystusa, to jest Atlantyk! Nóż za 50 dolarów? Pieprzone cacko, kup tańszy, za którym nie będziesz nurkował i się nie utopisz, jak go upuścisz. Nauka była jasna, jeśli wybierasz się w miejsca, w które nie ośmielają się wybrać inni, używaj naprawdę solidnego sprzętu.

Potem postanowili wyplenić jego dawne nawyki. Zmusili go do studiowania planów pokładów i zdjęć. Dzięki temu można było określić najsmakowitsze miejsca wraku. Nurkowie, którzy bezładnie ryli w mule gdzie popadło, nigdy nie obławiali się tak jak ludzie dysponujący porządną wiedzą. Wyznawali zasadę odpowiedzialności grupowej, wszyscy członkowie gangu pracowali wspólnie i dzielili łupy. Kohler musiał zawsze liczyć się z tym, że będzie pakował do worka cudze rzeczy lub kończył zaczęta przez kogoś robotę. Wszystko po to, by zmaksymalizować łup. Jeśli był gotów zabić dla łupu, to wszystko pięknie, ale nie w obrębie grupy. Musiał raz na zawsze zapamiętać, że wewnątrz grupy obowiązuje żelazna zasada: nigdy się nie ruchamy nawzajem.

Starali się jak najlepiej wyjaśnić mu swoje podejście do wraków, ich metody były bardzo konserwatywne, ale skuteczne. Dyskutowali, w jaki sposób kąć nachylenia wraku mówi o tym, gdzie spoczywają przedmioty. Pokazali mu wyższość siły umysłu i stalowych klinów nad ślepą siłą i ciężkimi młotami. Byli

chodzącymi leksykonami wypadków nurkowych. Studiowali dokładnie wszystkie krytyczne sytuacje, jakie miały miejsce pod wodą, oraz przypadki pęcherzyków i utonięć. Starali się odtworzyć każdy z wypadków, zrozumieć jego istotę, przyczyny i dociec, w jaki sposób można było temu zapobiec. Byli przekonani, że po latach pochłaniania informacji o tym, kto, kiedy, dlaczego i co spieprzył i zginął, łatwiej będzie im uniknąć powtórzenia czyjegoś błędu.

Wbijali Richiemu do głowy podstawy przetrwania. Nauczyli go, że dopóki oddycha, wszystko jest w porządku. Wy tłumaczyli, że w odpowiedzi na atak hysterii należy spowolnić ruchy, wycofać się i przeanalizować w myślach całą sytuację. Roztoczyli przed nim koszmarną wizję wystrzelenia na powierzchnię bez dekompresji. Kohler wziął sobie do serca słowa: „Wolałbym poderżnąć sobie gardło, niż narazić się na takie pęcherzyki”. Wiedział, że widzieli ludzi, którym krew zamieniała się w pianę, a serce co chwila stawało, kiedy wspinali się na pokład. Bezustannie przestrzegali go przed „efektem kuli śnieżnej” – ignorujesz jeden czy dwa błędy z pozoru problemy tylko po to, by po chwili napotkać kolejne przeszkody. W efekcie kłopoty kumulują się i nagle przytłacza cię ich cała lawina.

– Zawsze od razu rozwiązuj pierwszy problem, i to do końca – powtarzali. – Jeśli tego nie zrobisz, będziesz po chwili pieprzonym trupem.

Richie zapamiętał każde słowo. Kiedy zabierali go do najbardziej niebezpiecznych wraków, trzymał się wszystkich porad, obładowywał trofeami i bez uszczerbku wynurzał na powierzchnię. Przez cały następny rok zapisywał się na każdy czarter, na który wybierali się ludzie z gangu. Traktowali go trochę z przymrużeniem oka, był „młodym gniewnym”, ale widzieli, że tak jak oni przynosi na wspólny stół pełne siatki trofeów. Chłopak nie znał czegoś takiego jak sceptycyzm. Nie było dla niego rzeczy niemożliwych, żaden plan nie wydawał się go przerastać. Wierzył, że gang będzie w stanie wydostać łupy z dziobu *Coimbry*, mimo iż wrak miał 120 metrów długości, spoczywał na głębokości 60 metrów, w lodowatej wodzie i nigdy wcześniej żadnemu nurkowi nie udało się dotrzeć na dziób.

– Świetny sposób, żebyśmy skończyli nogami do przodu, cwaniaczku – zareagowali na ten pomysł, po czym obrzucili go puszkami po piwie.

Nabijali się do rozpuku z tego pomysłu i drwili z Kohlera, który robił się tym bardziej czerwony na twarzy, im bardziej upierał się, że to możliwe. Po chwili jednak zaczęli się sami zastanawiać, czy aby czasami nie ma racji. Miesiąc po propozycji Richiego członkowie gangu uzbroili się w dodatkowe butle, opracowali plan działania zespołowego i weszli do historii jako pierwsi nurkowie, którym udało się dotrzeć na dziób wraku *Coimbry*. (Dzwonu nie

wydobyto po dziś dzień).

Pewnego dnia w drodze powrotnej z nurkowania członkowie gangu zaczęli rozmawiać o własnym zrzeszeniu. Gdyby udało im się zwerbować nowych członków i porządnie się zorganizować, mogliby samodzielnie czarterować łódzie. W ten sposób nie tylko by oszczędzili, ale również to oni decydowaliby o celu wyprawy. Oczywiście wymagałoby to pewnego poświęcenia, każdy z członków dorzucałby się do wszystkich czarterów, bez względu na to, czy sam by płynął. W ten sposób mogliby zbudować prawdziwą potęgę.

Wszyscy członkowie wyprawy potwierdzali kolejno swój udział:

– Wchodzę w to.

Trzeba było jeszcze wymyślić jakąś oficjalną nazwę. Ktoś rzucił propozycję: „Atlantyccy Nurkowie Wrakowi”. Brzmiało nieźle. Ktoś inny zaproponował klubowe wiatrówki z logo. „Nie jesteśmy drużyną pieprzonych kręglarzy” – brzmiała odpowiedź pozostałych. W takim razie może identyczne niebieskie dżinsowe kurtki z trupa czaszką i pieszczelami? To było już lepsze. Teraz sześciu oryginalnych członków gangu miało za zadanie wybrać czterech kolejnych. Głosowanie miało być w pełni jawne. Jako kandydatów zgłoszono tylko najlepszych nurków spośród tych, którzy nurkowali kiedyś z gangiem i mieli podobne podejście do tego sportu. Kiedy padło nazwisko Richiego, w górę podniosły się cztery kciuki, dwie osoby wstrzymały się od głosu. Kohlerowi stanęło serce. Nikt nie odezwał się słowem. Gdy nurkowie, którzy wstrzymali się od głosu, doszli do wniosku, że już wystarczająco go zestresowali, również podnieśli kciuki ku niebu. *Twardziele do samego końca* – pomyślał Richie. Połało się piwo. Złożono przysięgi na wierność. Narodzili się Atlantyccy Nurkowie Wrakowi.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy powstał Atlantyccy Nurkowie Wrakowi, do Kohlera dotarła pocztą pantoflową wiadomość, że ojciec spotyka się z jego byłą dziewczyną. Richie mieszkał z nią ponad rok wcześniej. Spotkał się z ojcem, który przyznał, że to prawda i że ich związek trwa już ładnych parę miesięcy. Richie był zdruzgotany. Przez minutę nie był w stanie wykrztusić słowa.

– Jak mogłeś? – wykrztusił w końcu.

– Jestem twoim ojcem i mogę robić to, na co mam ochotę – usłyszał. – A jak ci się to nie podoba, to tam są drzwi.

Drzwi. Gdyby przez nie wyszedł, nie miałby już możliwości powrotu. W świetle zasad jego ojca człowiek, który wybierał drzwi, już nigdy nie mógł wrócić. Richie poczuł, jak robi się czerwony na twarzy, ścisnęło mu się gardło.

Jeszcze mógł się wycofać, mruknąć dla zachowania twarzy jakieś przekleństwo, miałby pracę, przyszłość i nie zerwałby stosunków z ojcem. Poza tym nie kochał już tej dziewczyny. Kim do cholery była, żeby przez nią wybierać drzwi? Spojrzał ojcu głęboko w oczy. Ten nawet nie mrugnął. Gdyby Richie teraz wyszedł, przekreśliłby raz na zawsze tego silnego faceta, który znał ocean, wszystko rozumiał i zahartował go przed światem. Czy był w stanie to zrobić? Kohler znał siebie. Potrafił poradzić sobie ze wszystkim pod warunkiem, że uważał, że to, co robi, jest słuszne.

– Wybieram drzwi – oznajmił.

Jeszcze tego samego dnia zabrał swoje rzeczy z piwnicy Fox Glass. Miały minąć długie lata, zanim zobaczy ponownie ojca.

Teraz musiał znaleźć jakąś pracę. Jeden ze znajomych sprzedawców szkła szepnął słówko w firmie, szukała właśnie kogoś z doświadczeniem Richiego. Płacili całkiem nieźle. Po kilku dniach pracował jako mechanik w Act II Glass and Mirrors, firmie obsługującej nowojorską społeczność ortodoksyjnych Żydów. Dobrze dogadywał się z szefem i już po czterech miesiącach został szefem działu.

Przez kolejne dwa lata ciężko harował, udało mu się opracować nową strategię dla firmy. Szef wynagrodził te wysiłki, mianując go współnikiem. Życie znów stało się wspaniałe. Latem Kohler poświęcał się Atlantyckim Nurkom Wrakowym. Ocean nie doświadczył jeszcze czegoś takiego jak ich gang.

W czasie organizowanych przez nich rejsów jedzenie stawało się bogiem. Brali ze sobą najlepsze wędliny, sery, kiełbasy i pasztety. Wszystko w ilościach na miarę rzymskich orgii. Gdy jeden z nich przynosił zrobioną przez żonę sałatkę z pomidorów i mozzarelli, następny przebijał go tydzień później delikatnie podduszoną polędwiczką wieprzową. Czasami piekli na pokładowym grillu steki i kurczaki, a w drodze powrotnej trafiała się niekiedy ustrzelona podczas nurkowania flądra.

Warcholstwo cenili nawet wyżej niż obżarstwo. Często, bez uprzedzenia kapitana, gang darł się: „Przerwa na pływanie!”, po czym wszyscy rozbierali się do naga i wskakiwali do wody, nie wypuszczając z rąk nieodłącznych puszek z piwem. Pili, nawet taplając się w wodzie. Czasami brali ze sobą broń i urządzali sobie ćwiczenia, strzelając do wyrzucanych w powietrze wypchanych zwierząt. Kiedy mijali łódź, na której odbywało się eleganckie przyjęcie, zasypywali ją gradem puszek po piwie i na całe gardła śpiewali swój hymn:

Kurza dupa, pipa kacza, stara łysa bladź?

Dziewięćdziesiąt dwa kondomy powtykane w kadź?

Matkojebca czy fiut rybi malowany pstro?

Pierdolony nurek jestem! A ty, kurwa, kto?!⁹

Kiedy pasażerowie wydawali się niewystarczająco obrażeni, gang przypieczętowywał swój występ wypięciem w ich kierunku gołych tyłków.

Każdy z Rzezimieszków miał swoją ksywkę. Pet Guglieri, najstarszy i najrozsądniejszy ze wszystkich, ochrzczony został „Cesarzem”. Jeff Pagano, ze względu na swój negatywny stosunek do rzeczywistości, zyskał przydomek „Nienawiść”. Pat Rooney nazywany był „Młotem” – pod wodą nie rozstawał się z tym narzędziem. John Lachenmeyer był „Rozhuśtanym Wacusiem”, miał bowiem zwyczaj przechadzania się nago po pokładzie. Z kolei do Brada Shearda, inżyniera lotnictwa, przywarła ksywka „Strugacz Fiutów” – kiedyś bowiem usiłował wyrzeźbić z kawałka wyrzuconego przez morze drewna łódkę, ale to, co udało mu się wystrugać, przypominało bardziej fallusa niż statek. Kohler dorobił się swojego przydomku, kiedy rozmawiali o wypadku Richarda Pryora¹⁰ w czasie oczyszczania kokainy. Kiedyś realizował jakieś zamówienie w znanym z handlu narkotykami kwartale na Brooklynie, był więc na tyle obznajomiony z tematem, że potrafił wyjaśnić pozostałym członkom gangu różnicę między crackiem a kokainą. Został nazwany „Krakerem”.

Mniej więcej w tym samym czasie poznał Felicię Becker, ciemnoskórą piękną asystentkę z działu sprzedaży jednej z firm współpracujących z jego zakładem szklarskim. Felicia potrafiła zrozumieć jego zafascynowanie nurkowaniem. Pobrali się jesienią 1989 roku, wkrótce po ślubie Felicia zaszła w ciążę.

Tej samej jesieni Richie zatrzymał się pewnego wieczoru na kolację w hiszpańskiej knajpce na Brooklynie. Był sam. Siedział przy barze, kiedy ktoś klepnął go w plecy. Był to jego ojciec. Przez ostatnich pięć lat nie widzieli się ani nawet ze sobą nie rozmawiali. Starszy Kohler spytał, czy może się przysiąc. Richie odpowiedział, że jasne.

– Będiesz dziadkiem – oznajmił.

Ojciec nie wiedział nawet, że Richie ma żonę.

Spędzili kilka godzin, opowiadając sobie nawzajem o życiu i rodzinach. Żaden nie wspomniał nawet słowem o byłej dziewczynie Richiego. Ojciec zaproponował, by Richie wrócił do Fox Glass. Ten odpowiedział, że nie wyobraża sobie, że miałby dla kogokolwiek pracować po tym, jak został współnikiem we własnym interesie. Wtedy ojciec zaproponował, by założyli wspólną firmę i otworzyli interes w New Jersey. Kohler przystał na tę propozycję. Nie zmienił zdania co do dawnego sporu, ale teraz to ojciec wykonał

pierwszy ruch. Richie cieszył się, że wraca do rodzinnego interesu. Tym bardziej że teraz wiedział, że jeśli przyjdzie im się kiedyś rozstać, będzie w stanie sobie poradzić.

W 1990 roku Richie i Felicia świętowali przyjście na świat swego pierwszego potomka. Był to syn. Kohler całymi dniami pracował, a wolny czas poświęcał Atlantyckim Nurkom Wrakowym. Ich własnoręcznie robione, odbijane na ksero kalendarze nurkowań były białymi krukami dla kolekcjonerów ze społeczności nurków. Jednostronicowy kalendarz usiany był zdjęciami pornograficznymi z tanich magazynów dla panów. Jako namiary kontaktowe podane były numery w stylu 1-800-WAL-SIE¹¹. Jeden z planów obiecywał „zajęcia ze żłopania piwa, lekcje wołania świń, oglądanie lesbijek w akcji, zabawy bronią automatyczną, jeszcze więcej piwa, gnębienie żółtodziobów... no i oczywiście superzajebiste nurkowanie”. W innym zamieszczona była informacja: „Jeśli nie masz naszych numerów, to znaczy, że mamy w dupie nurkowanie z takim frajerem”. W środku znajdowała się lista terminów, łodzi i wraków, na które planowano rejsy. Gang bardzo często korzystał z usług Bielendy i jego łodzi *Wahoo*.

Dosyć długo Kohler nie miał nic przeciwko pływaniu na *Wahoo*. Ale ostatnimi czasy spierał się ostro z Bielendą, raz o mało nie doszło między nimi do bójki. Richie potrzebował teraz łodzi, żeby się dostać na *Dorię*. Nurkował już kilka razy z Nagle'em, na *Seekerze* pływał na *Durleya Chine*¹², *Bidevinda*¹³ i *Resora*. Bill od dawna był dla niego legendą. Mimo że słynął z oschłości i niecierpliwości, zawsze traktował go z szacunkiem. W latach 1990 i 1991 Kohler zapisał się na kilka rejsów czarterowych na *Seekerze*, mimo iż wtedy interesem Nagle'a zajmował się niemal wyłącznie Chatterton. Kohler nigdy nie miał okazji znaleźć się razem z nim na pokładzie.

Jesienią 1991 roku Richie dowiedział się o dziewiczym wraku okrętu podwodnego. I nagle jego życie zmieniło się zupełnie. Całymi dniami zupełnie bez celu przemierzał w tę i z powrotem pokoje w pracy i mieszkaniu. Nie zwracał uwagi na rodzinę i przyjaciół. Zżerała go niecierpliwość i pożądanie, ale tak naprawdę nie był w stanie sprecyzować, czego pożąda. I wtedy zadzwonił Brennan, żeby powiedzieć mu: „Płyniesz z nami”. Słowa te wywołały całą kaskadę wspomnień. Richie przeniósł się w czasy dzieciństwa, kiedy to ojciec opowiadał mu o panu Segalu, a on sam poczuł się dumny ze swego nazwiska i z budowanych przez niemieckich inżynierów maszyn. Przypomniawszy sobie, jak pożerał wzrokiem tysiące stron książek o drugiej wojnie światowej, odwadze i stalowych sieciach rozciągniętych wzdłuż wybrzeży Nowego Jorku. Znalazł się

na pokładzie jachtu, który zaprojektowali wspólnie z Donem, by opłynąć świat dookoła. Ujrzał oficera marynarki, który obiecał mu miejsce na okręcie podwodnym i sprzęt, dzięki któremu udało mu się spenetrować tajemnicze podwodne światy. Czuł, że musi stać się częścią tego dziewiczego U-Boota, przez 29 lat bowiem ten okręt był częścią jego życia.

¹ Czasopismo popularnonaukowe – coś w stylu dawnego „Młodego Technika” (przyp. tłum.).

² Amerykański piosenkarz i gwiazda telewizyjna lat 70., bożyszcze nastolatków. Wykonawca m.in. ówczesnych hitów „Go Away Little Girl” i „Puppy Love”. Mormon, na scenie występował w duecie z siostrą Marie jako Donny i Marie (przyp. red.).

³ Adaptacja powieści Juliusza Verne’a ze studia Walta Disneya. Nakręcona w 1954 r. produkcja zdobyła dwa Oscary. W roli kapitana Nemo wystąpił Kirk Douglas (przyp. red.).

⁴ Amerykański serial telewizyjny z początku lat 50. W rolę nurka wcielił się Lloyd Bridges, którego narzekania, że twinset jest zbyt ciężki, przyniosły efekty. Reżyser zlecił wykonanie butli z balsu i pomalowanie jej na srebrno. Jedynie w pierwszych odcinkach Bridges jako Mike Nelson nosił prawdziwy twinset. Do historii przeszła powtarzana przez niego fraza w niemalże każdym odcinku: „Wówczas moje płuca domagały się powietrza” (przyp. red.).

⁵ Pływająca latarnia morska Straży Wybrzeża USA zatopiona w 1960 r. po kolizji z frachtowcem *Green Bay*, który kontynuował dalszy rejs po Atlantyku bez przeszkód (przyp. red.).

⁶ *SS Coimbra* – ważyący 6,768 ton amerykański tankowiec storpedowany przez U-123 z ładunkiem 9 tys. ton oleju przekładniowego. Z 46 członków załogi ocalało 10. Do dzisiaj nad wrakiem unosi się plama oleju. Kilka lat po znalezieniu przez Nagle’a sterów Keith Wipprecht wyciągnął z wraku telegraf. *Coimbra* leży na głębokości 58 metrów (przy. red.).

⁷ *RP Resor* – zatopiony 27 lutego 1942 r. amerykański tankowiec z ponad 70 tys. baryłek ropy na pokładzie. Dwie wystrzelone z *U-578* torpedy były przyczyną śmierci prawie całej 50-osobowej załogi. Dwóch ocalałych mężczyzn było tak oblepionych ropą, że każdy z nich ważył prawie 300 kg (przyp. red.).

⁸ Z ang. „Thugs” (przyp. tłum.).

⁹ W oryginale:

Cat’s ass, rat’s ass, dirty old twat;

Sixty-nine douche bags tied in a knot;

Cocksucker, motherfucker, dicky licker, too;

I’m a fuckin’ scuba diver, who the fuck are you? (przyp. tłum.)

¹⁰ Richard Pryor był znanym komikiem amerykańskim. W 1980 roku podpalił się w trakcie oczyszczania kokainy (przyp. tłum.).

¹¹ W Stanach Zjednoczonych numery wszelkich infolinii często składają się z cyfr i słów (przyp. tłum.).

¹² Początkowo sądzono, że parowiec *Durley Chine* to *G&D*, wrak nazwany od imion Gloria i Doris, dziewczyn przebywających na pokładzie kutra, którego kapitan pierwszy odnalazł statek. W rzeczywistości tajemniczym okrętem okazał się zatopiony w 1918 r. po kolizji z brytyjskim parowcem *Harlem* statek o kodowej nazwie *Bacardi*. Nazwa wzięła się od butelki z rumem, użytej jako boja do oznaczenia wraku. Jego identyfikacja była zasługą kolegów Kohlera z Atlantic Wreck Divers, a konkretnie Ricka Jaszyna, który w lipcu 1987 r. wyciągnął z wnętrza dzwon oznaczony „S.S. Durley Chine-1913-Cardiff”. Pochodzenie *G&D* określono natomiast w 1995 roku. Okazał się nim parowiec *Yankee*, przetransportowany nad ocean z Wielkich Jezior do przewozu węgla. Zatonął po kolizji z liniowcem *Argentina* w 1919 r. (przyp.

red.).

¹³ Norweski frachtowiec *Bidevind* padł ofiarą dwóch niemieckich torped wystrzelonych 30 kwietnia 1942 roku z *U-752* i zatonął na miejscu. U-Boot przeżył swoją ofiarę o rok; w maju 1943 r. poszedł na dno z 29 członkami załogi pod bombami typu RP-3 zrzuconymi z brytyjskiego samolotu (przyp. red.).



Martin Horenburg. Arch. Richie Kohler

ROZDZIAŁ 7

NÓŻ HORENBURGA

W

ydawało się, że swastyki na naczyniach, które John wydobyl z wnętrza U-Bootu, czekały tam długie lata tylko po to, by uruchomić jego wyobraźnię. Można było spędzić całe życie, studiując historię nazistów, U-Booty, ale tak naprawdę była to tylko wiedza, operowało się suchymi faktami. Naczynia były namacalne, prawdziwe i ciężkie. Pod palcami wyraźnie czuło się wypukłe ramiona swastyki, nawet z zamkniętymi oczami można było poczuć ten okryty złą sławą kształt. Od czasu, kiedy okręt poszedł na dno, nikt nie skatalogował, nie opisał, ba, nawet nie dotknął tej porcelany. Naczynia trafiły z hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy bezpośrednio do salonu Chattertona. Kiedy tak stały na półce nad kominkiem, czuło się w nich coś budzącego niepokój.

O ile po śmierci Feldmana w społeczności nurków były jeszcze osoby, które nie słyszały o odkryciu tajemniczego U-Bootu, o tyle po odkryciu owych naczyń całe środowisko zawrzało. Niemal wszystkie rozmowy we wszystkich sklepach nurkowych na Wschodnim Wybrzeżu dotyczyły U-Bootu i jego tożsamości. John i Bill byli przekonani, że cała ta wrzawa będzie potężnym ciosem dla ego Bielendy. Król Głębin nie tolerował pretendentów do swojego tronu. Nawet jeśli nie znał jeszcze lokalizacji wraku, wyciągnięcie informacji od Straży Wybrzeża było dla niego wyłącznie kwestią czasu. Normalnie *Seeker* wróciłby do wraku po tygodniu, załoga była przekonana, że jedno lub dwa kolejne nurkowania wystarczą, by U-Boot zdradził swą tożsamość. Ale zaczął się sezon huraganów, pora roku, kiedy w najlepszym wypadku można liczyć nie na parę dni, ale raczej parę godzin ładnej pogody. Zmuszony do pozostania na lądzie Bill zabrał się za siebie, starając się otrzeźwieć i odzyskać kondycję na tyle, by w przyszłym sezonie wrócić do nurkowania. Chatterton wrócił do swoich poszukiwań. Skoro nie był w stanie penetrować wraku w morzu, postanowił zbadać jego wnętrze, studiując historię.

Podczas gdy pozostali nurkowie kartkowali kolejne książki w bibliotekach, próbując odnaleźć jakieś wskazówki mogące pomóc w identyfikacji wraku, John wrócił do swojego pierwotnego pomysłu. Wznowił korespondencję z archiwum Centrum Historycznego Marynarki Wojennej w Waszyngtonie, D.C. (Naval Historical Center). Archiwum było prawdziwą skarbnicą informacji o marynarce wojennej i to właśnie w ekspertyzach opracowanych przez jego pracowników spodziewał się znaleźć klucz do tajemnicy U-Bootu. Ale odpowiedzi z archiwum przychodziły po kilku tygodniach. Kiedy już dotarły, okazywało się, że ograniczają się do jednej strony suchych i bardzo ogólnych informacji. Jeśli Chatterton zamierzał przebić się przez pokłady historii, musiał zabrać się do tego sam i to zdecydowanie bardziej energicznie.

Nie był zresztą jedyną osobą, która rozpoczęła tak poważne poszukiwania. W swoim domu w New Providence, w stanie New Jersey, Kohler zagrzebał się w pokaźnym zbiorze książek o U-Bootach. Pożerał kolejne tytuły i zarywał noce nawet wtedy, gdy interesy wymagały, by był przed świtem na nogach. Goląc się, jednym okiem patrzył w lustro, drugim zaś przeglądał katalog wydawnictw Instytutu Marynarki Wojennej, szukając kolejnych tytułów. Wystawiał czeki i zamawiał ciągle nowe książki, modląc się, żeby żona nie dowiedziała się, ile pieniędzy na to przepuszcza. Zapisał się do klubu niemieckich imigrantów przy Route 130, w Burlington, w stanie New Jersey, tylko po to, by opowiedzieć starszym członkom organizacji historię tajemniczego U-Bootu i znaleźć ochotników, którzy pomogą mu w tłumaczeniu świeżo kupionych niemieckich książek.

Skontaktował się też z kapitanem łodzi, który przy okazji jakiegoś czarteru wspomniał mu, że zna członka załogi U-Bootu. Poprosił kapitana, by znalazł tego faceta i spytał go, czy ma jakieś wskazówki, które mogą pomóc w identyfikacji wraku. Kapitan porozumiał się ze znajomym weteranem i oddzwonił do Kohlera.

– Przeszukuj buty – oznajmił.

– Co takiego?

– Przeszukuj buty. Jeśli uda ci się znaleźć na pokładzie jakieś buty, przeszukaj je. Ten facet twierdzi, że ludzie mieli zwyczaj podpisywać buty od środka, żeby nikt inny ich nie zakładał. Nienawidzili, kiedy ktoś chodził w ich butach. Poza tym często wkładali do nich zegarki i biżuterię, na tym też mogą być wygrawerowane ich imiona.

Richie zapamiętał, że ma szukać butów. Żaden z nurków nie pomyśli nawet o tym, żeby zajrzeć do starego, gnijącego buta. Zostawia obuwie w spokoju, płynąc w poszukiwaniu kolejnych sztuk porcelany, tabliczek stoczni lub innych efektownych przedmiotów. Postanowił, że jeśli tylko będzie miał okazję, przeszuka wszystkie buty.

W tym czasie wpadł na kolejny pomysł, chyba najlepszy z tych, które przyszły mu do głowy. Słyszał kiedyś, że gdzieś w Stanach mieszka emerytowany dowódca U-Bootu, Herbert Werner. Werner nie był zwykłym dowódcą okrętu. Był także autorem książki „Żelazne trumny”¹ („Iron Coffins”), wspomnień, które przeszły już do klasyki gatunku. Kohler zaczął szukać go w książkach telefonicznych i w końcu trafił. Werner mieszkał w Ameryce, w ukochanym New Jersey. Richie zapisał jego numer i drżąc z podniecenia, zadzwonił do jednego z wielkich dowódców floty U-Bootów.

Słuchawkę podniósł mężczyzna. Jego głos zdradzał delikatny niemiecki akcent.

– Dzień dobry, szukam pana Herberta Wenera – powiedział Richie.

– Przy telefonie.

Serce zabiło mu mocniej. Być może już za chwilę pozna tajemnicę U-Bootu.

– Proszę pana, nazywam się Richie Kohler. Jestem pływaczem. Odnaleźliśmy z kolegami wrak U-Bootu u wybrzeży New Jersey. Dzwonię do pana, ponieważ...

– Wszystko, co miałem do powiedzenia na ten temat, napisałem w mojej książce – oznajmił suchym, chłodnym tonem Wener. – Nie mam nic do dodania.

– Ale chciałbym tylko spytać...

– Żegnam – powiedział miłym tonem Wener i odwiesił słuchawkę.

Kohler dopiero po jakiejś minucie otrząsnął się na tyle, by oderwać słuchawkę od ucha.

Minęło kilka tygodni od dnia, w którym talerze z wraku ujrzały światło dzienne. Nurkowie poświęcili dziesiątki godzin na studiowanie historii i z ich badań wyraźnie wynikało jedno: nigdzie nie zarejestrowano, żeby jakikolwiek U-Boot zatonął w promieniu 100 mil od miejsca, w którym spoczywał wrak. Johnowi wydawało się, że badania prowadzone wspólnie z archiwistami z Centrum Historycznego Marynarki Wojennej wręcz posuwają się wstecz. Słyszał już niemal z Nagle'em, jak Bielenda rozgrzewa silniki *Wahoo*. Ni stąd, ni zowąd wpadł na pomysł: czemu nie oznajmić światu o odkryciu tego U-Bootu? Z pewnością znajdą się jacyś historycy, specjaliści, którzy potrafią określić tożsamość okrętu. Czemu nie przyspieszyć badań, zwracając się właśnie do nich? I tak cała sława z odkrycia przypadnie *Seekerowi*. Bielenda i inni nie będą mogli przejąć podstępnie wraku, a zagadka zostanie i tak rozwiązana z udziałem nurków z *Seekera*. Jedyne ryzyko polegało na tym, że ktoś inny zgarnie laury za zidentyfikowanie wraku. Chatterton stwierdził jednak, że w razie czego będzie w stanie się z tym pogodzić. Zaproponował Nagle'owi, żeby napisali notatkę do gazety. Bill podszedł do tego pomysłu z dużym entuzjazmem.

– Podaj pod tekstem moje nazwisko i numer telefonu – powiedział Johnowi.

Szperając w miejscowej bibliotece, Chatterton trafił na książkę o pisaniu notatek prasowych. Wieczorem stworzył w domu tekst następującej treści:

„Do natychmiastowej publikacji,

10 października 1991 roku.

Ekipa nurków odkryła wrak tajemniczego U-Bootu tuż u wybrzeży New Jersey.

Kapitan Bill Nagle wraz z grupą nurków z łodzi *Seeker* z Brielle, w stanie New Jersey, odkrył niemiecki okręt podwodny z okresu drugiej wojny światowej zaledwie 65 mil od wybrzeży New Jersey, w przybliżonej pozycji 40°N, 73°30'W. Wrak spoczywa do góry dnem i znajduje się w niemal nienaruszonym stanie, chociaż nosi wyraźne ślady uszkodzeń spowodowanych przez zderzenie z podwodnym pociskiem.

U-Boot leży na głębokości blisko 70 metrów, co ogranicza do niego dostęp do jedynie najlepiej wyszkolonych nurków. Okręt podwodny odkryty został w dzień Świąta Pracy, w czasie ekspedycji *Seekera* w poszukiwaniu niezidentyfikowanych wraków. W trakcie kolejnych wypraw jeden z członków załogi *Seekera*, John Chatterton, odkrył we wnętrzu wraku dwa porcelanowe naczynia, sygnowane swastyką z datą 1942. Odkrycie to potwierdza pochodzenie wraku.

Przedmioty odkryte we wraku dowodzą, że mamy do czynienia z niemieckim okrętem podwodnym z okresu drugiej wojny światowej. Pozostaje tylko pytanie którym? Nigdzie nie zarejestrowano, żeby jakkolwiek z U-Bootów zatonął w promieniu 150 mil od tego miejsca; archiwa niemieckie nie wzmiankują również o okrętach zaginionych na wodach New Jersey. Nurkowie z załogi *Seekera* zamierzają kontynuować eksplorację wraku, próbując ustalić jego tożsamość i tajemnicze okoliczności zatonięcia. Wygląda na to, że trzeba będzie napisać od nowa kolejny z rozdziałów historii wojen morskich.

Kontakt: Kapitan Bill Nagle”

Chatterton wziął od Kevina Brennana czarno-białe zdjęcie jednego z naczyń, zamierzał dołączyć je do notatki. Sporządził listę wszystkich gazet, jakie znał. W sumie do głowy przyszło mu dziesięć redakcji, łącznie z lokalnymi gazetami, agencjami Associated Press, UPI i czasopismami poświęconymi nurkowaniu. Rozesłał do nich notatkę wraz z odbitką.

Pierwszy dzień minął całkowicie bez odzewu. Kolejnych kilka również. John parę razy sprawdzał linię telefoniczną Nagle’a. Dzwonił do firmy telekomunikacyjnej i prosił, żeby zobaczyli, czy wszystko w porządku. Telefon

działał, jak należy. W końcu zadzwonił do Nagle'a.

– No cóż, chyba nie wypaliło – stwierdził.

– Na to wygląda – wymamrotał Bill.

Telefon Nagle'a zadzwonił kilka dni później. Bill skierował rozmówcę do Chattertona. Był to reporter z wydawanego w Newark „Star-Ledger”, jednego z najbardziej poczytnych dzienników w New Jersey. Facet wyglądał na dosyć zmęczonego i niezbyt zainteresowanego. Jego pytania aż ociekały sceptycyzmem, zachowywał się, jakby ktoś kazał mu przeprowadzić wywiad z kolejnym świrem, który odkrył latający spodek na swoim podwórku.

– Hmm, a więc twierdzicie, że udało się wam znaleźć tajemniczego U-Boota? – zapytał.

John odpowiedział, że tak. Facet zadał jeszcze kilka pytań. Na wszystkie Chatterton udzielił dosyć wyczerpujących odpowiedzi. Pod koniec rozmowy reporter zapytał, czy może wpaść do niego do domu. Nazajutrz był u Johna i obracał w rękę porcelanę. Zrobił trochę notatek i stwierdził, że historia jest na tyle ciekawa, że może trafić nawet na pierwszą stronę.

Następnego ranka Chatterton w szlafroku i klapkach wyszedł na podjazd, by podnieść świeże wydanie „Star-Ledger”. Na dole strony widniał nagłówek: WRAK U-BOOTA ODNALEZIONY W POBLIŻU POINT PLEASANT. Pod spodem znajdował się artykuł ilustrowany zdjęciem Billa i Johna trzymających naczynia. Chatterton wbiegł do mieszkania i zadzwonił do Nagle'a. W artykule znalazło się wszystko, co trzeba: opisy zagrożeń związanych z nurkowaniem głębokim, wzmianki o powszechnej obecności U-Bootów na wodach amerykańskich, śmierci Feldmana i komplikujących się próbach rozwikłania tajemnicy tożsamości okrętu. Cytowano nawet profesora Henry'ego Keatts, znanego i uznawanego za eksperta autora opracowań o U-Bootach.

– Nie ma cienia wątpliwości, że znaleźli U-Boota – powiedział gazecie Keatts. – Tak naprawdę ciekawe jest to, w jaki sposób ten okręt skończył w tym miejscu... W tym rejonie nie powinno być raczej żadnego z nich.

Artykuł w „Star-Ledger” wywołał niesamowity odzew w mediach. Tego wieczoru telefony Nagle'a i Chattertona po prostu się urywały. Dziennikarze ze stacji radiowych, telewizyjnych i gazet dzwonili z prośbą o wywiad. Międzynarodowe media trąbiły o tajemniczym U-Boocie znalezionym u wybrzeży New Jersey. CNN wysłało na miejsce specjalną ekipę. Reporterzy sfilmowali Billa i Johna na pokładzie *Seekera*, trzymających nad głową talerze ze swastykami. Nawet goniący za sensacją brukowiec „Weekly World News” zamieścił na pierwszej stronie tytuł: NAZISTOWSKI OKRĘT PODWODNY

PRZECHWYCONY PRZEZ OKRĘT MARYNARKI WOJENNEJ STANÓW ZJEDNOCZONYCH! Artykuł utrzymany był w wyjątkowo sensacyjnym duchu, nawet jak na czasopismo tego pokroju. Między innymi napisano w nim, że z Niemiec wypłynęły dwa okręty, jeden odkryty przez nurków w okolicach New Jersey i drugi, który wpadł w pętlę czasową i wynurzył się na powierzchnię dopiero niedawno. Wciąż młodzi członkowie załogi byli przekonani, że w Niemczech rządzi Hitler. Cytowano oficera marynarki wojennej ze środowisk bliskich Waszyngtonowi, który rzekomo powiedział: „Nie mam pojęcia o zaburzeniach czasoprzestrzeni, ale wydaje się, że to jedyne rozsądne wytłumaczenie tej sytuacji”.

Telefon Chattertona, uśpiony przez pierwsze dwa tygodnie po wysłaniu notatki, teraz nie dawał mu spokoju. Dzwonił bez przerwy, spędzając mu sen z oczu i uniemożliwiając spokojne zjedzenie posiłku. Skrzynka na listy pękała w szwach. Docierały do niego nawet przesyłki adresowane: „John Chatterton, nurek, New Jersey”.

Wiele z osób, które usiłowały nawiązać kontakt, utrzymywało, że potrafią określić tożsamość okrętu lub przyczyny jego zatonięcia. Synowie, matki, bracia i wnuki zarzekali się, że to nikt inny, tylko ich bliscy zaatakowali i zatopili wraży okręt w trakcie tajnej misji, o której po dziś dzień nie poinformował rząd. Inni z kolei utrzymywali, że są w posiadaniu ściśle tajnych informacji dotyczących U-Bootów. Kolejni opowiadali, jak widzieli członków załóg okrętów podwodnych, którzy przyplływali wpław ku wybrzeżom Ameryki, by kupić chleb lub wpaść na potańcówkę. Jakiś staruszek zadzwonił, by opowiedzieć, że kiedyś, gdy jeszcze jako nastolatek łowił ryby na oceanie, spotkał na brzegu starszego Niemca, który „popatrzył na zaznaczony na naszej mapie punkt, w którym łowiliśmy, i stwierdził, że w tym właśnie miejscu stracił swojego U-Boota”. „To właśnie tam znaleźliście wasz wrak” – stwierdził z przekonaniem dziadek. Kilka wdów zadzwoniło, twierdząc, że ich mężowie zatopili U-Booty, ale nigdy nie dostali za to żadnego wynagrodzenia. Zadzwonił też jakiś facet o głosie nauczyciela akademickiego, który powiedział, że całą tajemnicę można rozwiązać w banalny sposób – należy po prostu usunąć osad i szlam z kiosku. Wszystkie U-Booty miały na nim wyraźnie wymalowane numery.

Zadzwonił też pewien mężczyzna z mocnym niemieckim akcentem.

- Szukam nurka, który odnalazł U-Boota – powiedział.
- Słucham, to ja – odpowiedział Chatterton.
- Co może mi pan powiedzieć o nurku, który zginął?
- No cóż, był naprawdę niezłym nurkiem. To potworny wypadek.
- Nazywał się Feldman?

- Tak.
- Jak to się pisze?
- F-E-L-D-M-A-N.
- Czy Feldman był Żydem?

W tym momencie John odwiesił słuchawkę.

Innego dnia zadzwonił kolejny facet z równie silnym niemieckim akcentem.

– Wasze bąble zakłócają wieczny sen marynarzy – powiedział i zupełnie nieoczekiwanie się rozłączył.

Chatterton sprawdził wiele z usłyszanych historii, nawet te, które były zupełnie poplątane. Wszelkie historie o członkach załóg U-Bootów przenikających w głąb społeczeństwa amerykańskiego trzeba uznać za wytwór czyjejś chorej wyobraźni. Ludzie z U-Bootów pojawiali się na lądzie sporadycznie i na ogół byli to sabotażyści lub szpiedzy. Owszem, na kioskach okrętów malowano numery (widać to nawet na niektórych zdjęciach), ale tylko przed wojną. Wraz z wybuchem drugiej wojny światowej numery te zamalowano lub wyczyszczono. Żaden z tropów, którymi podążał John, nie przybliżył go ani na cal do poznania tajemnicy U-Boota.

Ludzie wydzwaniali także do Kohlera. Jego nazwisko wspomniano w kilku artykułach w prasie. Tak jak Chatterton zasypywany był roszczeniami osób, które utrzymywały, że pół wieku temu ich bliscy zatopili niemieckie okręty i nie doczekali się za to żadnej nagrody. Odbierał także telefony od kolekcjonerów.

- Czy na pokładzie okrętu są jakieś szczątki ludzkie? – pytał jakiś człowiek.
- Trudno w tej chwili powiedzieć – odpowiedział Richie.
- Chciałbym kupić czaszkę hitlerowca.
- Nie zajmuję się takimi rzeczami.
- Dam dwa tysiące dolarów za taką czaszkę.
- Powiedziałem wyraźnie, że nie zajmuję się czymś takim.
- Co to ma do cholery znaczyć, że się tym niby nie zajmujesz? Wygraliśmy. Może powiesz, że jesteś jakimś miłośnikiem nazizmu?

Kohler zauważył, że tak zwani kolekcjonerzy dosyć szybko się irytują. Nauczył się więc odkładać słuchawkę, nie dając im dojść do słowa.

Z Chattertonem kontaktowali się jednak nie tylko członkowie rodzin, fanatycy i spiskowcy. Wkrótce po ujawnieniu całej sprawy otrzymał list z Ambasady Niemiec w Waszyngtonie. Autorem był kapitan niemieckiej marynarki wojennej Dieter Leonhard. List zaczynał się niezwykle serdecznie, znalazły się w nim nie tylko gratulacje, ale i oferta daleko idącej pomocy w badaniu wraku. Jednak już kawałek dalej Leonhard jasno precyzował oficjalne stanowisko Niemiec.

„Republika Federalna Niemiec zachowuje wszelkie prawa własności do okrętów podwodnych bez względu na to, czy obecnie ich wraki spoczywają w obrębie wód terytorialnych kraju, czy też poza nimi. Zatopione niemieckie okręty wojenne są traktowane w pierwszym rzędzie jako grobowce marynarzy. Nurkowanie w obrębie wraków i ich badanie wymaga wydania przez rząd specjalnego pozwolenia. Jak dotąd wszelkie wnioski o tego typu pozwolenia spotkały się z odmową. Wrak ma pozostać grobem i RFN zabrania naruszania w jakikolwiek sposób jego aktualnego stanu. Niniejsze postanowienia egzekwowane będą na drodze prawnej”.

Chatterton oddzwonił na numer podany na papeterii. Przełączono go do Leonharda. John powiedział, że właśnie otrzymał jego list i że będzie niezwykle wdzięczny za pomoc w zdobyciu dokumentów i badaniach. Leonhard odrzekł, że z przyjemnością udzieli mu wszelkiej pomocy. Wtedy Chatterton zadał pytanie, które nie dawało mu spokoju.

– Czy jest pan w stanie ustalić tożsamość tego wraku?

Leonhard stwierdził, że w tego typu sytuacjach rząd niemiecki bardzo często zdaje się na wiedzę człowieka o nazwisku Horst Bredow, pracownika Archiwum U-Bootów w Cuxhaven-Altenbruch. Zaoferował, że poda do niego wszelkie namiary, po czym z naciskiem powiedział to, o czym pisał już w liście – Niemcy nie pozwalają na nurkowanie na zatopionych U-Bootach.

– Co to za U-Boot? – zapytał John.

– Ten, którego znaleźliście – odpowiedział Leonhard.

– Wiem, ale jaka jest konkretna nazwa tego U-Boota?

– Nie mam pojęcia.

– Jakie są dokładne namiary wraku? – zapytał Chatterton.

– Również nie mam pojęcia.

– Będę z panem zupełnie szczery – powiedział John. – Chcę uszanować waszą decyzję. Ale nie macie pojęcia, co to za wrak, a więc nie możecie utrzymywać, że należy on do was. Postawiłem sobie za cel zidentyfikować ten okręt, wyryć na nagrobku nazwę i zamierzam kontynuować nurkowanie, dopóki tego nie zrobię.

– Proszę zrozumieć nasze stanowisko, panie Chatterton. Nie chcemy, żeby nurkowie schodzili do tego wraku i rozrzucaли szczątki ludzkie, które mogą znajdować się na pokładzie i w pobliżu okrętu – odpowiedział Leonhard. – Nie możemy do tego dopuścić i nie dopuścimy.

W tym momencie John rozumiał już sytuację Leonharda. Nie mógł oficjalnie udzielić nurkowi pozwolenia na eksplorowanie grobowca wojennego. Ale z jego

dosyć miłego i uprzejmego tonu Chatterton wywnioskował, że Leonhard nie zamierza robić żadnych oficjalnych kłopotów, oczywiście pod warunkiem że wrak traktowany będzie z należyтым szacunkiem. Podziękowali sobie nawzajem za czas poświęcony całej sprawie i zakończyli rozmowę.

Mniej więcej tydzień po ukazaniu się w prasie pierwszej notatki John trafił wreszcie na jakieś obiecujące tropy. Po pierwsze, odezwał się do niego Harry Cooper, założyciel i przewodniczący Sharkhunters International, liczącej tysiące członków organizacji z Florydy, której celem było „poświęcenie się utrwalaniu historii U-Bootwaffe” (tak przynajmniej głosiło ich motto). Chatterton zetknął się kiedyś z wydawanymi przez nich biuletynami. Były to wyglądające zupełnie po amatorsku publikacje, przeładowane tekstem i wykrzyknikami. Znajdowały się w nich wywiady, opracowania historyczne, ciekawostki, dyskusje i ogłoszenia. O ile same pisma wyglądały niezbyt zachęcająco, o tyle organizacja jako taka była całkiem poważna. Skupiała amerykańskich profesorów, byłych członków załóg i kapitanów U-Bootów, weteranów amerykańskiej marynarki wojennej i wielu ekspertów. Cooper nalegał, aby John przyłączył się do Sharkhunters, twierdząc, że wszechstronne i daleko sięgające kontakty grupy mogły pomóc w rozwikłaniu zagadki. Cooper zadawał pytania, które do tej pory jeszcze nie padły: Czy wrak miał zbiorniki siodłowe? Czy na rufie była jedna czy dwie wyrzutnie torped? Informacje te można było bez większego problemu zdobyć w trakcie kolejnego nurkowania. Cooper wyjaśnił, że powiedziałyby one sporo o typie U-Bootu i być może roku, w którym wyruszył w misję. Chatterton obiecał sprawdzić to w czasie następnej wyprawy i dać mu znać.

Pewnego ranka do Johna zadzwonił mężczyzna, który utrzymywał, że w 1942 roku zatopił U-Bootu z balonu obserwacyjnego. Jeszcze miesiąc wcześniej Chatterton uznałby tego typu informację za bredzenie chorego umysłowo, jednak dzięki swoim ostatnim studiom dowiedział się, że w czasie wojny sterowce stanowiły całkiem skuteczną broń przeciwko U-Boatom. Dzięki nim okręty musiały pozostawać cały czas zanurzone. Sterowce stanowiły także eskortę konwojów przemieszczających się wzdłuż Wschodniego Wybrzeża. W pewnym momencie w czasie drugiej wojny światowej w lotnictwie służyło ponad 1500 baloniarzy. Sterowce były nieco większe od tych, które obecnie wykorzystuje się w kampaniach reklamowych, na ich pokładach znajdowała się niezwykle skomplikowana maszyna służąca do zwalczania okrętów podwodnych. Mogły walczyć także z wynurzonymi okrętami. Tego typu potyczki często kończyły się uszkodzeniem statku, podczas gdy sterowce wznosiły się bez większych strat w powietrze.

– Jestem już stary i pamięć mi trochę szwankuje – zaczął tłumaczyć się mężczyzna. – Nie pamiętam już wszystkich szczegółów. Ale wiem, że udało mi się zatopić z balonu U-Bootu.

– Proszę mówić. Cały czas słucham. Naprawdę cieszę się, że pan zadzwonił.

– No więc stacjonowałem wtedy w Lakehurst, w stanie New Jersey. Zaatakowałem U-Bootu w pobliżu bazy. Zatopiłem go za pomocą bomby głębinowej. Przykro mi, ale to wszystko, co pamiętam. Mam nadzieję, że to panu w czymś pomoże.

John zanotował opowieść w notesie i zapisał, żeby poprosić swojego korespondenta w Centrum Historycznym Marynarki Wojennej o wszystkie dokumenty związane z atakami sterowców na okręty podwodne w pobliżu wraku.

Dzień czy dwa później Chatterton pojechał do Naval Weapons Station Earle w hrabstwie Monmouth w stanie New Jersey. Pokazał tam ekspertom od broni, eksplozji i artylerii taśmę wideo nagraną we wraku. Przejrzeli ją kilka razy. Długo dyskutowali między sobą, rzucając terminami naukowymi i technicznymi, by w końcu dojść do następujących wniosków:

– Zniszczenia w kabinie nawigacyjnej U-Bootu wyglądały raczej na spowodowane eksplozją, a nie zderzeniem.

– Kształty i kierunek uszkodzeń metalu wskazywały, że do eksplozji doszło raczej na zewnątrz okrętu.

– Uszkodzenia zostały spowodowane przez coś o sile zdecydowanie większej niż mina głębinowa, broń, którą powszechnie stosowały w walce z U-Bootami siły alianckie.

John skrupulatnie wszystko notował. Zapytał specjalistów, czy byliby tak mili, by spróbować odgadnąć, co mogło być przyczyną tak koszmarnych zniszczeń.

– Nie jesteśmy pewni – odpowiedział jeden z nich – ale jeśli mielibyśmy obstawiać, to wydaje się nam, że okręt został zniszczony w wyniku bezpośredniego uderzenia torpedy.

Bezpośrednie uderzenie torpedy? Jadąc do domu, Chatterton rozważał tę hipotezę na wszystkie możliwe sposoby. Kto mógł wystrzelić tę torpedę? Historia o zatopieniu przez amerykański okręt podwodny U-Bootu znalazłaby się w każdym podręczniku historii. W okolicy, w której spoczywał wrak, nigdy do czegoś takiego nie doszło. Czy inny U-Boot mógł przez pomyłkę zatopić okręt z własnej floty? Coś takiego zdarzało się wcześniej, ale głównie w wilczych stadach – grupach U-Bootów, które wspólnie polowały na okręty wroga. Nigdy nie zanotowano obecności wilczego stada w pobliżu miejsca

wraku. Z czystym sumieniem można było odrzucić teorię, że uszkodzony U-Boot przybył z innego miejsca, tak jak zakładał Bill i kilku innych nurków. John był przekonany, że bez względu na to, co załatwiło U-Bootą, musiało to zrobić dokładnie w tym miejscu, gdzie go znaleźli.

Minął zaledwie tydzień od ukazania się artykułu w „Star-Ledger”, a Chatterton, korzystając z takich czy innych źródeł, zgromadził już całkiem pokaźny zbiór informacji. Najlepsze było jednak jeszcze przed nim.

Sporo informacji przyniosło spotkanie, jakie miało miejsce u Nagle’a. Mieli tam okazję porozmawiać z majorem Gregorym Weidenfeldem, zajmującym się historią Cywilnego Patrolu Lotniczego (Civil Air Patrol). Weidenfeld skontaktował się z Nagle’em za pośrednictwem reportera z gazety. John słyszał kiedyś o CAP. Była to zorganizowana w 1941 roku przez burmistrza Nowego Jorku Fiorella La Guardia organizacja paramilitarna, skupiająca pilotów cywilnych i innych ludzi, którzy patrolowali rejon wybrzeża małymi, należącymi do prywatnych osób samolotami. Każdej nocy sprzedawcy z delikatesów, księgowi i dentyści patrolowali w towarzystwie pilotów niebo nad wybrzeżem Nowego Jorku i New Jersey, polując na U-Booty za pomocą minibomb podczepionych prowizorycznie pod skrzydłami samolotu. Broń była przymocowana w taki sposób, że niekiedy pilotom zabraniano lądować z wciąż przyczepionymi do skrzydeł bombami w obawie przed ich samoistną detonacją. Według rozkazów mieli je zrzucić bez względu na to, czy udało im się wyśledzić U-Bootą, czy nie. Weidenfeld powiedział, że przez cały czas trwania wojny CAP wykrył ponad 150 okrętów podwodnych i zrzucił na kilka z nich miny głębinowe.

– Zatopiliśmy dwa U-Booty – wyjaśnił Weidenfeld – ale nigdy nam tego nie wynagrodzono.

– Czytałem o tym – powiedział Chatterton. – Uważacie, że marynarka wojenna nie chce nagradzać cywilów.

– Dokładnie – odrzekł Weidenfeld. – Marynarka nie chce tego uznać, ponieważ opinia publiczna byłaby przerażona, że konieczne było zaprzęgnięcie ludności cywilnej do walki z U-Bootami. Poza tym nie chcą ujawniać, że okręty podpływały tak blisko naszego wybrzeża. Wracając do tematu – jeden z okrętów został zatopiony u wybrzeży Florydy, drugi w pobliżu New Jersey.

John wziął do ręki długopis. Weidenfeld zaczął swoją historię.

„Jedenastego lipca 1942 roku dwóch naszych pilotów lecących samolotem Grumman Widgion dostrzegło U-Bootą, jakieś 40 mil od brzegu, kawałek na północ od Atlantic City. Śledzili go przez cztery godziny, czekając, aż wynurzy

się na głębokość peryskopową. Kiedy wreszcie wypłynął na powierzchnię, zrzucili 150-kilogramową minę głębinową. Mina eksplodowała – widzieli plamę oleju, która pojawiła się na powierzchni w miejscu, gdzie był okręt. Zrzucili drugi ładunek w sam środek tej plamy. Rozwalili ten okręt na sto procent. Niestety, obydwaj piloci już nie żyją. Przez wiele lat starałem się, żeby moi ludzie zostali za to nagrodzeni. Myślę, że znaleźliście właśnie ich U-Boota”.

Chatterton był zachwycony opowieścią. Weidenfeld podał dokładną datę i miejsce, położone tylko 25 mil od wraku. Wystarczyłoby zdobyć gdzieś listę U-Bootów zaginionych na wodach amerykańskich w lipcu 1942 roku i zagadka byłaby rozwiązana. Nawet jeśli okręt zatopiono w pewnej odległości od miejsca położenia wraku, John byłby to w stanie jakoś wytłumaczyć. Podziękował Weidenfeldowi i obiecał zrobić wszystko, co było w jego mocy, by sprawdzić, czy odkryty przez nich okręt jest tym samym, który niemal 50 lat temu zatopili piloci z Cywilnego Patrolu Lotniczego. Następnego dnia profesor Keatts powiedział reporterowi „New York Post”:

– To najbardziej wiarygodna historia spośród tych, które do tej pory słyszałem. To może być spokojnie ten sam U-Boot.

W tym samym czasie Chatterton odebrał kolejny niezwykle telefon, tym razem od kolekcjonera pamiątek związanych z nazistami. Hobbista nie dzwonił jednak z ofertą kupna przedmiotów.

– Zbieram między innymi fotografie dowódców U-Bootów – powiedział Johnowi. – Prowadzę korespondencję z wieloma z tych facetów. Jednym z nich jest Karl-Friedrich Merten, ósmy z kolei as U-Bootwaffe okresu drugiej wojny światowej. Przeczytał waszą historię w jakimś niemieckim piśmie i bardzo się tym zainteresował. Chętnie podzieli się z wami pewnymi informacjami, pod warunkiem że będziecie tak mili i podacie adres do korespondencji.

– Oczywiście – odpowiedział Chatterton.

Przez kolejnych kilka tygodni przychodziły coraz to nowe listy z Niemiec. Merten dziękował w nich Johnowi i pozostałym nurkom za starania. Opowiedział też pewną niezwykle intrygującą historię.

Jego kolega, Hannes Weingärtner, był również dowódcą U-Boota i podobnie jak Merten awansował na prestiżowe lądowe stanowisko dowódcy flotyli szkoleniowej. Weingärtner był jednak człowiekiem walki i w 1944 roku, w wieku 35 lat, postanowił porzucić pracę za biurkiem i wrócić do czynnej służby na okręcie. Za zadanie postawiono mu przeprowadzenie *U-851* na Ocean Indyjski i dostarczenie zaopatrzenia do niemieckich baz na Dalekim Wschodzie oraz ładunku rtęci dla japońskiej marynarki wojennej. *U-851* był okrętem typu

IXD2, zwanego U-krażownikiem, przystosowanym do patroli największego zasięgu.

Merten uważał, że zadanie to niezbyt przypadło do gustu Weingärtnerowi, nie to miał na myśli. Hannes był człowiekiem akcji – zawsze tkwił w nim pierwotny instynkt łowcy i wojownika – chciał polować na statki nieprzyjaciela i zabijać.

„Miałem wrażenie, że Weingärtner postrzegał rolę wojny U-Bootów tak jak w czasie swojej ostatniej służby we wrześniu 1939 roku” – napisał Merten. „Nie znam dokładnej treści jego rozkazu patrolowego, ale *U-851* z pewnością nie został skierowany na Ocean Indyjski, tylko ku wybrzeżom Stanów Zjednoczonych”. Merten uważał za całkiem prawdopodobne, że dziki zew skierował Weingärtnera do Nowego Jorku.

„Osobiście jestem niemal pewny, że wrak, który znaleźliście, okaże się *U-851*” – napisał Merten.

Słowo „osobiście” zeskoczyło z kart papeterii i zaczęło kołatać się w wyobraźni Chattertona. List zawierał prawdziwą, bardzo osobistą informację, przekazaną przez jednego z asów U-Bootwaffe. Teoria Mertena prześcigała wszystkie podręczniki i historyków, trafiała w sedno sprawy. Merten znał swojego przyjaciela, a teraz John znał Mertena. Chyba nigdy w życiu nie czuł się równie podekscytowany.

Zebrał całkiem sporo informacji, ale postanowił nie wspominać Kohlerowi o kontaktach z Mertenem. Doceniał jego entuzjazm, ale wciąż widział w nim tylko kolejnego nurka, którego apetyt na zdobycze jest zdecydowanie silniejszy niż chęć zgłębienia historii i kunszt. Podzielił się natomiast swoimi odkryciami z Yurgą, który uporczywie poznawał wszelkie tajniki techniczne budowy i wyglądu U-Bootów. Poza tym Yurga potrafił spojrzeć rozsądnym okiem naukowca na wysnute przez niego śmiałe teorie.

W ciągu dwóch zaledwie tygodni nawiązał kontakt z asem U-Bootwaffe, pilotem sterowca, znanym historykiem i przewodniczącym klubu U-Bootów. Każdy z nich dostarczył mu wiadomości, których nie sposób było znaleźć w jakichkolwiek książkach, ba, niektóre z nich nawet stały z nimi w jawnej sprzeczności. Dla Johna, który od wczesnego dzieciństwa szukał lepszych wyjaśnień, szansa przekonania się osobiście, jak to naprawdę wyglądało, i przewracanie historii do góry nogami były pełnym objawieniem.

Podczas gdy Chatterton odbierał telefony od coraz to nowych osób, Kohler zgłębiał tajemnice U-Bootów niczym student szykujący się do ważnego egzaminu. Każdą wolną chwilę poświęcał na dociekania związane z U-Bootami,

ich konstrukcją, ewolucją, systemem dowodzenia i losem. Prowadząc większość z tych studiów, kierował się jednym motywem – nieodpartą chęcią wyciągnięcia z wraku jak największej ilości przedmiotów. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek w swojej karierze nurkowej czuł się tak jak wtedy, gdy jako pierwszy zobaczył znaną przez Johna niemiecką porcelanę. Trzymając w dłoniach to naczynie, poczuł, że ma do czynienia z czymś transcendentnym. Nie potrafił jeszcze dokładnie wyrazić słowami, o co mu chodzi, ale wiedział, co czuje. W tej jednej sztuce porcelany zawarte było wszystko, co czyniło ten wrak tak niezwykłym – historia, symbolizm, piękno i tajemnica zebrane w jedno.

Mijały dni, a Kohler zagłębiał się coraz bardziej w swoje badania. W pewnym momencie zauważył, że przykłada coraz większą wagę do książek opowiadających o czasach i życiu ludzi z U-Bootów. Był trochę zaskoczony tą konstatacją, zwłaszcza że wcześniej stawiał sobie za główny cel identyfikację wraku i zdobycie przedmiotów. Kiedy czytał o tych ludziach, zapominał, że ma do czynienia z książką. Czuł, że przenosi się w czasie i przestrzeni, wewnątrz U-Bootu nie było już tylko bezduszną maszyną, ale miejscem, w którym toczyło się życie ludzi. Czuł grozę złowieszczych, klaustrofobicznych warunków, w jakich żołnierze zmuszeni byli spędzać czas wojny, chłód, jaki bił od torped spoczywających tuż przy twarzach śpiących marynarzy, smród niezmiętej przez sześć tygodni bielizny, potoki pustych słów płynących z ust ludzi stłoczonych zbyt blisko siebie przez długi czas i nieprzyjemne zimne krople skraplającej się na suficie wody, spadające na kark marynarza kończącego sześciogodzinną wachtę. Oczywiście interesowały go też szczegóły techniczne, ale to nie one sprawiały, że serce zaczynało bić mu szybciej. Biło szybciej, gdy myślał o marynarzach z U-Bootów czekających zupełnie bezradnie na zbliżającą się do ich okrętu aliancką torpedę. Słyszających monotonne ping...ping...ping...sonaru, poprzedzające potężną eksplozję. Przez całe lata żył w przekonaniu, że U-Booty były niemal niezniszczalne. Teraz zaczął dowiadywać się o „Sauergurkenzeit” – „czasie kiszzonego ogórka” – momencie historii, kiedy to inwencja aliantów oraz ich przewaga finansowa i technologiczna zaczęły odwracać bieg podwodnej wojny. U-Booty całymi tygodniami przemierzały morze, nie zatopiwszy w tym czasie żadnego okrętu wroga, ścigający stali się ściganymi. Autor jednego z opracowań twierdził, że żadna siła zbrojna w historii ludzkości nie doświadczyła takich strat i mimo to nie przestała walczyć. Nadszedł październik. Kohler zastanawiał się, czy na pokładzie tajemniczego okrętu zostały szczątki któregoś z członków załogi i czy ktoś z jego rodziny wie, gdzie spoczywa jego bliski.

Chatterton wciąż odbierał niezliczone telefony i dostawał listy. W pewnym

momencie wśród innych informacji doszły do niego wieści o złowrogich planach konkurencji. Bielendzie udało się zdobyć dokładną lokalizację ich wraku. Był gotów ruszyć tam choćby nazajutrz. Najgorsze było jednak to, że ponoć dostał te numery od Nagle'a.

Z tego, co dotarło do Johna, plan wyglądał następująco: Bielenda organizował wyprawę na wrak, której oficjalnym celem było odnalezienie ciała Feldmana. Łódź i paliwo na podróż miał zorganizować inny kapitan. Do Bielendy należało znalezienie nurków, którzy zajmą się poszukiwaniem ciała na dnie. Chatterton szczerze wątpił w to, że Bielenda lub ktokolwiek inny będzie nawet bardzo pobieżnie szukał ciała. Od wypadku minął już miesiąc, prądy na dnie były niezwykle silne, nie mówiąc już o tym, że Feldman nigdy nawet nie był we wnętrzu wraku. Zadzwoił do Nagle'a. Usłyszał brzęk kostek lodu w szklance.

– Cholera, John. Dałem im te numery – przyznał Bill.

Zaczął się tłumaczyć. W środku nocy zadzwonił do niego bliski kumpel, kapitan łodzi nurkowej. Bill pił. Kumpel oznajmił mu, że ma trzy zestawy namiarów i wie, że jeden z nich z pewnością odpowiada miejscu, w którym spoczywa U-Boot. Bill słuchał, jak kapitan recytuje liczby. Miał rację – jeden z zestawów był dobry. Bill był kompletnie pijany, mimo to dotarło do niego, że Bielenda wyciągnął ogólne namiary od swoich szpicli ze Straży Wybrzeża, po czym poprosił kumpla, by sprawdził w swoich grubych księgach wszystkie miejsca leżące w pobliżu. Teraz kapitan, powołując się na wieloletnią przyjaźń, naciskał, by Bill podał mu dokładne namiary. W innych okolicznościach za coś takiego Bill by go zniszczył. Teraz jednak, otumaniony alkoholem i wciąż obwiniający się za śmierć Feldmana i to, że nie był nawet w stanie przywieźć jego ciała do domu, wymamrotał, że drugi zestaw wydaje się całkiem „prawdopodobny”.

– Gdy tylko odłożyłem słuchawkę, wiedziałem już, że wszystko spieprzyłem – wyznał Johnowi.

Tuż po tej rozmowie Chatterton odebrał kolejny telefon. Dzwonił Bielenda. Powiedział, że zorganizował wyprawę, by odnaleźć ciało Feldmana. Poprosił Johna, by z nim popłynął.

Chattertonowi opadła szczeka. Przez chwilę cieszył się na samą myśl o przyjęciu zaproszenia, przekonany, że Bielenda odpuści sobie poszukiwanie ciała i pozwoli nurkom rzucić się na pokład U-Bootu po łupy. Zapytał go, jakie naprawdę ma plany związane z wrakiem. Steve uparcie twierdził, że płyną, by odnaleźć ciało Feldmana. John postanowił w takim razie zapytać, gdzie

zamierzają szukać. Bielenda odpowiedział, że wokół wraku. Tego było już za wiele, Chatterton był pewny, że jedynym celem Bielendy jest wejście do wnętrza U-Bootu. Przerwał mu w pół zdania i stwierdził, że doskonale wie, jaki naprawdę jest ich plan. Steve próbował oponować, ale John obrzucił go gradem przekleństw i powiedział, że nie chce mieć nic wspólnego z rzekomą misją ratowania ciała, i rzucił słuchawkę.

Kilka dni później Bielenda popłynął z paroma nurkami do wraku. Niektórzy rzeczywiście z całego serca przyłożyli się do poszukiwania Feldmana. Inni po prostu popłynęli do okrętu. Nikt nawet nie zobaczył ciała. Według jednego z nurków wielu uczestników wyprawy wróciło wieczorem do domu z głębokim przeświadczeniem, że wrak jest potwornie niebezpieczny i tylko czyha na kolejne ofiary.

Wieści o wyprawie dotarły do Johna i Richiego już następnego dnia. Obydwaj zadali swoim informatorom jedno i to samo pytanie: czy komuś udało się zidentyfikować U-Bootu? Okazało się, że nikt nawet nie był tego bliski. Ani Chatterton, ani Kohler nie byli zaskoczeni tą odpowiedzią. Ale podejrzewali, że Bielenda na tym nie poprzestanie i wróci. Póki to Bill Nagle i *Seeker* będą w blasku jupiterów, póty nie spocznie ze swoimi pirackimi zamiarami Bielenda.

W poniedziałek, na samym początku listopada, tuż po wyprawie Bielendy słońce zalało blaskiem niebo nad New Jersey. Widok ten ożywił Nagle'a na tyle, że postanowił zadzwonić do Johna.

– Możemy jeszcze raz popłynąć na U-Bootu – stwierdził Bill. – Możemy wypłynąć w środę. Zidentyfikować ten wrak w środę. Wchodzisz w to czy nie?

– A czy ja kiedykolwiek mówiłem, że nie wchodzę? – zapytał Chatterton.

Zaczęli dzwonić do ludzi. Wyprawa miała odbyć się 6 listopada 1991 roku. Po śmierci Feldmana kilku nurków, którzy brali udział w pierwszym rejsie, stwierdziło, że woli nie kusić losu. Pozostali stwierdzili, że płyną. Na środę pozostały dwa wolne miejsca. Kapitan *Seekera* postanowił zadzwonić do dwóch ludzi-legend.

Tom Packer i Steve Gatto byli chyba najbardziej znaną parą nurków wrakowych na Wschodnim Wybrzeżu. W sporcie, w którym ze względu na potencjalne niebezpieczeństwo z reguły nie pływa się w parach, Packer i Gatto byli żywym zaprzeczeniem reguły. Wydawali się istnieć jako pojedynczy organizm, przewidywali nawzajem swoje ruchy w sposób, w jaki robią to tylko bliźniacy, planowali nurkowania zupełnie jednomyślnie. Wiele osób ze społeczności nurków nazywało ich „duet Packo-Gacko”. Packer był w drużynie

Nagle'a wówczas, gdy udało im się wyciągnąć dzwon z *Dorii*. Kilka lat później Gatto wydobył z *Dorii* koło sterowe. Obydwaj rzadko opuszczali wrak z pustymi rękoma, bez tego, po co przypłynęli. Tym razem powiedzieli Nagle'owi, że płyną z zamiarem zidentyfikowania U-Boota.

Około północy nurkowie stawili się na pokładzie *Seekera* na zbiórkę. Kohler po raz kolejny przyszedł w barwach swojego gangu – niebieskiej dżinsowej kurtce z czaszką, piszczelami i logo „Atlantyccy Nurkowie Wrakowi”. John pokiwał z politowaniem głową. Kohler zmierzył go wrogim spojrzeniem, jakby chciał zapytać: „Masz jakiś problem, fiucie?”. Nie odezwali się do siebie ani słowem. W powietrzu wciąż czuło się pamięć o Feldmanie. Gdy tylko w rozmowie padło jego nazwisko, nurkowie odpowiadali: „Taaa” lub „Uhhh”, po czym szli do mesy, jakby zapominając o normalnych żartach i błaznowaniu.

Rozciągnięci na kojach po przeciwnych stronach mesy, Chatterton i Kohler układali w myślach dokładny plan nurkowania. John pragnął wykorzystać swoje pierwsze nurkowanie do dwóch celów. Po pierwsze, idąc za radą Harry'ego Coopera z klubu Sharkhunters, zamierzał sprawdzić zbiorniki siodłowe okrętu, przyłączone na zewnątrz pojemniki na paliwo, stosowane w najpopularniejszych w niemieckiej flocie okrętach typu VII. Jeśli zostanie mu jeszcze trochę czasu, sprawdzi też, czy na rufie są dwie wyrzutnie torped – wąskie rury, którymi pocisk opuszczał okręt. Cooper twierdził, że parzyste wyrzutnie wskazywałyby raczej na większy model, typu IX. Typ VII miał tylko jedną wyrzutnię rufową.

Kohler z kolei rozmyślał o orłach i swastykach. Przez sześć tygodni dzień w dzień wyobrażał sobie, że uda mu się odkryć hitlerowskie naczynie, sięgnąć w głąb tajemnicy i wyciągnąć stamtąd przedmiot świadczący o czasach, kiedy to losy świata mogły potoczyć się zupełnie inaczej. Nie wytrzyma ani dnia dłużej, nie mając na własność takiego kawałka historii. Płynął prosto po talerze.

Chatterton ubrał się bardzo wcześnie rano. On, Packer i Gatto zajmą się kotwicą i zejną pod wodę jako pierwsi. Będą się cieszyć idealną widzialnością, ale podniosą tumany mułu i osadu, które znacznie utrudnią kolejnym nurkom znalezienie jakichkolwiek przedmiotów. Kohler miał gdzieś taki plan. Wbiegł po schodach do sterówki, w której Chatterton gadał o czymś z Nagle'em.

– Bill, co do cholery jest z tym facetem? – zapytał Richie, wskazując na Johna.

– O co chodzi, Richie? – zapytał Bill.

– On mi spieszy całą widzialność. Teraz ja idę przodem po naczynia.

Poprzednio to on był pierwszy. Pozwól mi dzisiaj zejść pierwszemu.

– John będzie filmował – odpowiedział Bill. – Skaczesz po nim. Tylko nie wskakuj przed nim i nie schrań widzialności. John potrzebuje przejrzystej wody do zdjęć.

– Co takiego? Dlaczego on automatycznie skacze zawsze jako pierwszy? Korzysta ze znakomitej widzialności, podczas gdy reszta musi pływać w chmurach pyłu. To nie fair.

– Słuchaj, Richie – przerwał mu Chatterton. – Nawet nie wiesz, jak tam jest.

– Masz rację – wszedł mu w słowo Kohler. – Nikt nie wie, jak tam jest, bo żaden z nas nie schodzi tam przy dobrej widzialności. Zamierzałem płynąć dzisiaj przodem, bo poluję na naczynia. A teraz Bill każe mi iść gdzie indziej. To naprawdę nie jest fair, nie uważacie?

Kohler pokiwał głową i wrócił na pokład, mrucząc pod nosem wiązkę przekleństw kończące się słowem „Chatterton”. Był wściekły z powodu decyzji Nagle’a, ale zamierzał uszanować ją jako rozkaz kapitana na swojej łodzi. Może popłynąć gdzie indziej.

Kiedy Chatterton, Packer i Gatto skakali do wody, morze było spokojne, niebo częściowo zasnuwały chmury. Przywiązali kotwicę tuż nad uszkodzoną kabiną nawigacyjną, pomachali do siebie, życząc sobie powodzenia, po czym popłynęli każdy w swoją stronę. John popłynął wzdłuż burty, szukając zbiorników siodłowych, o których wspominał Cooper. Nie dostrzegł niczego, co mogłoby je przypominać. Był to całkiem dobry dowód, że okręt nie należy do typu VII, i niezwykle cenna informacja z punktu widzenia dalszej eksploracji wraku. Wyrzutniami torped na rufie postanowił zająć się później, przepłynięcie takiego kawałka zajęłoby mu zbyt dużo cennego czasu. Zamiast tego zamierzał wpłynąć do znajdującej się tuż pod nim kabiny nawigacyjnej i sfilmować, jak przeciska się do wyrzutni torped na dziobie.

Zbliżając się do wejścia do wnętrza wraku, zauważył Packera i Gatta. Wciąż unosili się nad wyrwanym w burcie wejściem do kabiny nawigacyjnej. Znał język gestów tych znakomitych nurków, oceniali zagrożenia piętrzące się we wnętrzu wraku i zdecydowali, że nie będą próbowali ich od razu pokonać. *Spryciarze* – pomyślał John, wpływając do wnętrza. *Przynajmniej tym razem nie uda im się zidentyfikować wraku.*

W praktycznie zupełnie zdemolowanej kabinie Chatterton czuł się jak u siebie w domu. Oglądał taśmy wideo nakręcone w trakcie poprzednich nurkowań niezwykle wnikliwie, niczym trener piłkarski nagranie meczu. Starał się utrwalić w pamięci wszystkie kształty i wejścia, wyobrażając sobie każdy

najmniejszy nawet krok i posunięcie, które mogą przynieść mu jeden z tysięcy problemów. Nie był tutaj od sześciu tygodni, ale po obejrzeniu wszystkich kaset był w stanie odnaleźć w tym całym rozgardiaszu jakiś sens. Przybył tu, by poczuć swoje mistrzostwo.

Popłynął naprzód, w głąb kabiny nawigacyjnej, lawirując między sterczącymi zewsząd przewodami i rozglądając się za zniszczonymi maszynami. Kierował na wszystkie strony obiektyw kamery. W końcu minął po lewej stronie kajutę kapitana, po prawej zaś pokój radiokomunikacyjny. Bez większych problemów minął mostek i dotarł do kajut oficerskich, w których pod koniec września udało mu się znaleźć porcelanę. Teraz przyszedł czas, by przedostać się do dziobowego przedziału torpedowego, pomieszczenia znajdującego się na samym dziobie U-Bootu. W tym momencie urywały się filmy nawigacyjne z poprzednich nurkowań, dalej już nie udało mu się dotrzeć. Jeśli miał zamiar przeć naprzód, musiał zdać się na swój instynkt i jaja.

Kamera uniosła się ku górze pomieszczenia, John lekko załopotał płetwami i przesunął się kawałeczek do przodu. Tuż przed nim zmaterializowała się drewniana przegroda, droga do luku torpedowego była zablokowana przewróconą szafką. Podpłynął bliżej. Począł chwilę, aż uspokoi się wzburzona woda. Powoli uniół prawe ramię do poziomu barku i rozwarł dłoń, po czym zastygł w tej pozycji niczym wąż gotujący się do pochwycenia ofiary. Kiedy pył w pomieszczeniu opadł, wyrzucił ramię do przodu, przebijając przegrodę dłonią. Drewno rozsypało się na kawałki, tworząc chmurę pyłu drzewnego i drzazg. John zamarł w bezruchu i pozwolił, by kawałki drewna opadły. Kiedy chmura cząsteczek osiadła na podłodze i wróciła jako taka widzialność, ujrzał okrągły właz prowadzący do luku torpedowego na dziobie U-Bootu. Ruszył płetwami i popłynął naprzód.

Unosił się teraz w kwaterach niższych rangą oficerów, w miejscu gdzie sypiali członkowie załogi, tacy jak nawigator, główny mechanik i starszy radiotelegrafista. Jeszcze z Chicago pamiętał, że w tym pomieszczeniu mogą znajdować się naczynia i inne przedmioty. Powiódł wzrokiem po szczątkach i osadzie pokrywającym podłogę od strony lewej burty, szukając znajomej bieli porcelany. Dostrzegł ją. Zbliżył się jeszcze kawałek. Ta biel była inna. Wciąż posuwał się naprzód, aż okazało się, że biały przedmiot jest okrągły, ma oczodoły, kości jarzmowe i otwór nosa tuż nad górną szczęką. Czaszka. Chatterton zatrzymał się na chwilę. Począł, aż trochę opadnie wzburzony osad. Tuż obok czaszki leżała długa kość, może przedramię lub piszczel, obok niej było jeszcze kilka mniejszych kości. John przypomniał sobie otwarte włazy na pokładzie okrętu. Jeśli ci ludzie próbowali uratować się z U-Bootu,

przynajmniej niektórym z nich się to nie udało.

Teraz musiał podjąć decyzję. Radzono mu, by przeszukał kieszenie, buty i inne rzeczy osobiste, które znajdzie we wnętrzu okrętu, bardzo prawdopodobne, że właśnie wśród nich znajdzie srebrny zegarek lub portfel z inicjałami członka załogi. Może uda mu się nawet trafić na zapalniczkę lub papierośnicę, na której na zamówienie kogoś z załogi wygrawerowano numer okrętu. Chatterton wiedział, że ubrania i przedmioty osobiste leżą z reguły w pobliżu kości. Nie ruszał się. Jeżeli zacznie ich szukać, to nawet jeśli będzie robił to niezwykle ostrożnie, może zakłócić spokój szczątków ludzkich. Nie chciał tego robić. Wielokrotnie zastanawiał się nad tą ewentualnością, zwłaszcza po odkryciu porcelany, kiedy to doszedł wniosku, że okręt prawdopodobnie poszedł na dno wraz z całą załogą. Zawsze kończyło się na myśli, że przecież ten okręt jest mogiłą wojenną ze szczątkami poległych w boju żołnierzy. Z własnego doświadczenia wiedział, jak wyglądają polegli żołnierze i co znaczą w świecie wojen i szalonych przywódców. Widział, jak z młodych ludzi walczących w obronie swojego kraju uchodzi życie, i zdawał sobie sprawę, że bez względu na politykę i intencje kraju każdy jego żołnierz zasłużył po śmierci na szacunek. Wiedział też, że być może kiedyś będzie musiał opowiedzieć rodzinie poległego o tych kościach i nie chciał mówić w takiej sytuacji, że przerzucał te szczątki w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby mu w identyfikacji wraku i przyniosło trochę sławy.

Odwrócił nieco głowę, by nie wpatrywać się w czaszkę. Kopnął płetwami i popłynął na przód, pozwalając szczątkom zniknąć z powrotem w mroku. Chwilę potem, z roztaczających się przed nim ciemności w pewnej odległości zaczął wyłaniać się dziobowy przedział torpedowy. Kiedy podpłynął bliżej, dostrzegł, że okrągły wąż do pomieszczenia, dziura, przez którą wchodzili i wychodzili marynarze, jest otwarty, ale blokuje go fragment jakiejś zniszczonej maszyny. Podniósł przeszkodę, przesunął ją na bok i wpłynął do torpedowni. Spoczywały w niej dwie torpedy skierowane dziobem do przodu okrętu, wydawały się gotowe do odpalenia – zupełnie tak jak w czasie wojny. Jedną z nich widział już wcześniej, w czasie pierwszej wyprawy na wrak. Widać było tylko dwie górne z czterech wyrzutni torped. Druga para musiała leżeć gdzieś niżej, przykryta grubą warstwą mułu i pyłu, sięgającą połowy wysokości pomieszczenia. John ze swoich badań wiedział, że pokrywy wyrzutni torped często oznakowane były tabliczkami. Przypominał sobie też, że marynarze obsługujący wyrzutnie mieli zwyczaj pisanego swoich ksywek lub imion żon i narzeczonych na zewnętrznej stronie klap. Podpłynął bliżej i zaczął szukać jakichś dowodów, ale czas i słona woda doszczętnie zniszczyły wszelkie ślady tabliczek i napisów. Najwyraźniej

wrak nie chciał wyjawiać swojego sekretu.

Powoli powiódł kamerą po całym pomieszczeniu, starając się uchwycić jak najwięcej szczegółów, które mogłyby mu pomóc w późniejszych badaniach. Koję, które niegdyś wisiały wzdłuż burt, już dawno zniknęły, podobnie zresztą jak skrzynki z jedzeniem i zapasami, na których spali w tym pomieszczeniu marynarze. Bloczki służące do podnoszenia ciężkich torped i ładowania ich do wyrzutni leżały porozwalane w mule. Jakiś biały punkt przyciągnął wzrok Chattertona. Skierował w jego stronę światło latarki. Z pogruchotanych maszyn wypłynęła w panice spłoszona blaskiem ryba. W świetle latarki John ujrzał kość, potem jeszcze jedną i dziesiątki kolejnych. Mimo iż pomieszczenie leżało dosyć daleko od zniszczonej katastrofą kabiny nawigacyjnej, musiało zginać tu wielu ludzi. „Jezu, co się stało z tym okrętem?” – wymamrotał przez aparat. Odwrócił się, by wydostać się na zewnątrz. Po chwili niemal otarł się twarzą o kość udową, największą i najmocniejszą kość ludzkiego szkieletu. Odwrócił wzrok i powoli przepłynął obok, by w końcu wydostać się z torpedowni.

Jego przejście przez wrak podniosło tumany czarnego pyłu, który ograniczył widzialność niemal do zera. Żeby wydostać się z wraku, musiał podążać wedle mapy, którą stworzył sobie w umyśle. Powoli, odpychając się palcami, przemieszczał się przez kolejne pomieszczenia, odwracając w myślach zapamiętaną wcześniej drogę i próbując przewidzieć wszelkie związane z nią zagrożenia. Przepływając przez kajutę oficerów, trzymał się sterburty, by nie poruszyć szczątków ludzkich, które dostrzegł, płynąc w drugą stronę. W niemal zupełnej ciemności przemierzał przestrzenie, w których inni nurkowie nie odważyliby się nawet postawić stopy na sucho i przy dobrym oświetleniu. Po raz kolejny przeżył dzięki temu, że wolał poznawać wrak, niż polować na trofea. Po raz kolejny dobre przygotowanie pozwoliło mu wyjść cało z labiryntu pułapek i przeszkód. Opuścił wrak przez wyrwę w kabine nawigacyjnej i podpłynął do reflektora, który przypiął do liny kotwicznej. Zaczął 90-minutową drogę ku powierzchni.

Wciąż wściekając się, że Chatterton przejął dziób U-Bootu, Kohler zdecydował się zająć rufą okrętu. Przypominał sobie uszkodzone poszycie na szczycie rufy wraku i zastanawiał się, czy uda mu się dostać tamtędy do niezbadanej jeszcze części okrętu. Instynkt go nie zawiódł. W uszkodzonym kawałku ział otwór wywalony przez jakąś potężną, działającą z zewnątrz siłę – było wyraźnie widać wgnieciony do wnętrza okrętu metal. Uszkodzenia nie były aż tak drastyczne jak w kabine nawigacyjnej, toteż było wystarczająco dużo miejsca, by odważny nurek dał radę wcisnąć się do środka. Kohler opłynął ziejący w kadłubie otwór, wypuścił trochę powietrza z kamizelki

wypornościowej i zagłębił się we wnętrzu U-Bootu.

W blasku białego światła latarki dostrzegł zarysy dwóch sąsiadujących ze sobą wyrzutni torped. Od razu zorientował się, gdzie się znajduje, i uświadomił sobie wnioski płynące z tego odkrycia. Był w rufowym przedziale torpedowym czegoś, co najprawdopodobniej było U-Bootem typu IX, okrętem patrolowym zaprojektowanym z myślą o dużym zasięgu i długich misjach. Chatterton zamierzał osobiście sprawdzić rufowe wyrzutnie torped, ale Kohler go w tym ubiegł. W ten sposób w ciągu pół godziny dwóm nurkom udało się odpowiedzieć na dwa najistotniejsze pytania dotyczące budowy tajemniczego okrętu.

Kohler powiódł snopem światła po wnętrzu pomieszczenia. Pod stertą śmieci i szczątków znalazł metalową tabliczkę i „płuco ratunkowe” – połączenie kamizelki ratunkowej z aparatem oddechowym, używane przez marynarzy okrętów podwodnych w czasie ewakuacji z zatopionego statku. Serce zabiło mu szybciej. Były to właśnie takie przedmioty, na których często znajdowały się znaczki identyfikacyjne. Przybliżył je do szyby maski. Wszystko, co mogło być kiedyś wyryte na tabliczce, uległo jednak nieubłaganemu działaniu czasu. Płuco, mała ciekawostka techniczna, również nie miało żadnych znaków. Kohler wrzucił przedmioty od swojej siatki i podpłynął kawałek w kierunku rufy, aby przyrzeć się dokładniej wyrzutniom torped. Tak jak John wiedział, że klapy wyrzutni były często oznakowane i niekiedy miały na sobie wyryte imiona narzeczonych marynarzy.

Nie dotarł jednak do wyrzutni. Płynąc, dostrzegł wystającą ze sterty śmieci na podłodze krawędź białego naczynia. Żyła złota! W końcu udało mu się trafić na trochę porcelany. Podpełznął na kolanach do naczynia, uważając, by nie wzburzyć więcej szlamu, niż było potrzeba. Czy ten kawałek porcelany też będzie miał orła i swastykę? Czy będzie to jego największe odkrycie w życiu? Powstrzymywał się ze wszystkich sił, by nie skoczyć do przodu i nie zacząć grzebać w mule. *Powoli, powoli, powoli.* W końcu udało mu się przepłynąć trzy metry dzielące go od naczynia. Powoli wyciągnął rękę do przodu i najdelikatniej, jak tylko potrafił, chwycił brzeg porcelany. Naczynie delikatnie ugięło się pod naciskiem. Puścił je. Wróciło do pierwotnego kształtu. Od razu dotarło do niego, o co chodzi. Zrobił nie byle jakie odkrycie z jednorazowego talerzyka. Tego typu przedmioty pojawiły się dobre 30 lat po tym, jak ostatnie U-Booty zniknęły z morza. „Zieloni” nurkowie są często zaskoczeni, kiedy we wnętrzu starego wraku znajdują współczesne przedmioty, ale stary wyga, taki jak Kohler, we wnętrzu stuletnich wraków widział już puszki po piwie

Budweiser, plastikowe buteleczki po lekach, aplikator do tamponów i baloniki z postaciami z kreskówek. Tego typu przedmioty, wyrzucone z przepływających statków, opadały na dno i tułały się po nim, dopóki nie zahaczyły się gdzieś we wraku. Kohler wyjął talerzyk i wepchnął go do swojej siatki, trochę tak, jakby podczas przechadzki po parku podniósł upuszczony przez kogoś papierek po hot dogu. Wokół dziury po talerzyku podniosła się chmura osadu. Jego oczom ukazał się kolejny biały przedmiot. Tym razem nie był to już tekturowy talerzyk. Była to kość udowa.

Ciarki przeszły mu po plecach. W przeciwieństwie do Chattertona nie zastanawiał się, co robić, kiedy trafi gdzieś na szczątki ludzkie. Nigdy wcześniej nie widział we wraku kości. I nigdy nie musiał podejmować decyzji tego typu na głębokości 70 metrów, z szumiącą w głowie narkozą. Co do jednego miał pewność – nie był rabusiem grobów. Nie zamierzał przeszkadzać spoczywającym tutaj kościom tylko po to, by zdobyć trofea. Ale czy może grzebać w pobliżu? To zupełnie co innego. W pobliżu kości to nie to samo co wśród nich. Zerknął jeszcze raz na kość. Poczuł falę zimna. Zaczął oddychać zdecydowanie szybciej.

Cofnął się kilkanaście centymetrów. Jego ruch sprawił, że osad zawirował i przykrył kość równie szybko, jak ją odsłonił. Kohler spędził ostatnich sześć tygodni, studiując życie członków załogi U-Bootów. Dotarło do niego, jak zdradliwa i niewdzięczna była ich praca, jaka groza towarzyszyła ich podwodnym patrolom i jak beznadziejna była ich sytuacja w ostatnich dniach wojny. Wszystko to kołatało się w jego umyśle. Teraz miał przed sobą kość udową, najbardziej masywną z kości ludzkiego szkieletu, oderwaną od tego, co niegdyś było istotą ludzką. Ta kość była czymś na kształt mostu łączącego książki z tym, co widział oczyma wyobraźni. W jakiś sposób powstrzymała Kohlera. Po chwili chłód ustąpił miejsca wstydrawi. Patrząc na miejsce, w którym zobaczył kości, pomyślał nawet: *Nie chciałem ci przeszkadzać*. Zdecydował, że wraca na *Seekera*. Przeszedł kawałek dzielący go od dziury wyrwanej w suficie, wpuścił trochę powietrza do kamizelki wypornościowej i wydostał się na zewnątrz U-Bootu.

Kilka minut później zaczął trwające półtorej godziny wynurzanie wzdłuż liny kotwicznej. Przez pewien czas zastanawiał się nad losem U-Bootu i tym, że zginęli ludzie znajdujący się nawet tak daleko od epicentrum katastrofy. W miarę dekompresji z powrotem zaczęła narastać w nim frustracja związana z Johnem. Nie potrafił pogodzić się z myślą, że ten, pod pretekstem kręcenia filmów, kradnie mu najlepszą widzialność w miejscu, które było istną kopalnią trofeów. Tajemniczy U-Boot był pełen porcelany, a ten gość kręcił sobie filmy!

Kiedy Kohler wszedł na pokład *Seekera*, nurkowie zgromadzili się wokół niego, by obejrzeć dokładnie tabliczkę i płuco ratunkowe, które odkrył. Niektórzy opowiedzieli mu też, jak Chatterton przedarł się do dziobowego przedziału torpedowego. Kohler miał już tego dość. Postanowił po raz kolejny porozmawiać o tym z Nagle'em.

W sterówce, wciąż w ociekającym wodą suchym skafandrze, Kohler dobitnie wyjaśnił Nagle'owi, że przywykł do obyczajów Atlantyckich Nurków Wrakowych, których etos nakazywał, by nurkowie schodzili pod wodę i pracowali jako zgrany zespół. Wszyscy dla dobra grupy, a nie za każdym razem jakaś cholerna walka o to, kto pierwszy. John wszedł za nim do kabiny. Kohler zmierzył go wściekłym wzrokiem. Chatterton zatrzęsął drzwiami i niemal szeptem powiedział:

- Widziałem tam z przodu czaszki.
- Widziałem długą kość, chyba udową na rufie – rzucił na to Kohler.
- Na dziobie jest całkiem sporo kości – powiedział John.
- Sfilmowałeś tę czaszkę? – zapytał Kohler.
- Nie. Nie nagrywałem na kasetę żadnych kości.
- Co takiego? Nie nagrywałeś na kasetę kości. Bierzesz dla siebie najlepszą widzialność, możesz spokojnie kręcić i w momencie, kiedy przepływasz obok kości, nie filmujesz? To co ty tam do cholery robiłeś?

Przez chwilę Chatterton nie odezwał się ani słowem. Bill machnął z rezygnacją ręką, jakby chciał powiedzieć: „A róbcie sobie, co się wam żywnie podoba!”.

- Specjalnie ich nie filmowałem, uważam, że to kwestia szacunku – wytłumaczył John.

Kohler wzgardliwie skinął głową i wyszedł z kabiny. Zrobił sobie kanapkę z masłem orzechowym i dżemem i rozłożył się w mesie, żeby trochę odpocząć. Potrzebował trzech godzin, żeby odgazować się z zakumulowanego w organizmie azotu. Dopiero potem mógł ponownie skoczyć do wody. Po chwili do kabiny wszedł Chatterton. Włożył do odtwarzacza swoją kasetę i zaczął analizować swoje pierwsze nurkowanie. Nie odezwali się do siebie ani słowem.

John miał wrócić do wody jako pierwszy. Tym razem zamierzał przeszukać okolice stołu nawigacyjnego i pomieszczenia oficerskie w nadziei znalezienia szafek, w których mógłby kryć się dziennik okrętowy, mapy lub inne papiery, takie jak te przechowywane pieczołowicie w drewnianych meblach U-Bootu, którego widział w Chicago. Zamierzał ograniczyć się do części przedziału oficerskiego, w której nie było szczątków ludzkich.

Dotarł na miejsce bez większych problemów. Podważył spoczywające na dnie szczątki maszyn i zabrał się do przekopywania mułu, próbując wyczuć kształty szafek. Wprawdzie nie znalazł żadnej, ale wyczuł ręką niewielki przedmiot; z początku wziął go za pudełko. Po chwili udało mu się wydobyć je na powierzchnię sterty szlamu i osadu. Wyglądało jak szuflada na sztućce, o wymiarach mniej więcej trzydzieści na dwadzieścia centymetrów, z przegródkami na noże, łyżki i widelce. Cała szuflada razem z zawartością oblepiona była czarnym, galaretowatym błotem. Chatterton przyjrzał się jej nieco dokładniej, w jednej z przegródek dostrzegł kontury łyżek. Wepchnął pudełko do swojej siatki i zawrócił do liny kotwicznej. Może na którymś ze sztućców była wygrawerowana jakaś data lub rok.

Wkrótce po tym, jak John opuścił okręt, na pokład wraku dostał się Kohler. Tym razem skierował się ku dziobowi wraku, dokładnie tam, gdzie poprzednim razem Chatterton odkrył naczynia. Jeśli będzie musiał zмагаć się ze wzburzonym przez niego mułem, trudno. Tym razem zamierzał się obłowić.

Widzialność nie była aż tak fatalna, jak się tego spodziewał, widział charakterystyczne kontury, a to dla atlantyckiego nurka wrakowego oznaczało, że nie jest źle. Przepłynął przez pozostałości wzniesionych przez Johna obłoków pyłu i dotarł do przedziału zajmowanego niegdyś przez oficerów. Tylko on i Chatterton ośmielili się dotrzeć tak daleko w głąb dziewiczego wraku. Grzebał w osadzie i śmieciach, szukając zaokrąglonych, białych krawędzi i próbując trafić dotykiem na gładkie powierzchnie, oznaczające dla nurków nic innego, tylko porcelanę. Znalazł dziesięciocentymetrowej wysokości buteleczkę z nadrukiem *Glockengasse*, który wziął za nazwę wody kolońskiej. Pamiętał, że czytał, jak marynarze z U-Bootów polewali się wodą kolońską, próbując zwalczyć przeraźliwy odór ciał pozbawionych pryszniców przez całe studniowe patrole w dusznych okrętach. Nie przypłynął tu jednak po wodę kolońską, szukał porcelany. Wrócił do swoich poszukiwań, grzebiąc dłonią w osadzie i mule, tak jak małe dzieci robią to w piaskownicy. Na nic nie trafił. Zaczął grzebać jeszcze głębiej. Odsunął trochę śmieci i trafił na coś, co mógł nazwać tylko cmentarzem – czaszki, żebra, kości udowe, piszczele i stopy. Znowu zrobiło mu się zimno. *Stoję na środku zbiorowej mogiły* – powiedział sobie w myślach. *Muszę stąd wyjść.* Wepchnął butelkę po wodzie kolońskiej do siatki i zawrócił. Z delikatnej mgły szlam zamienił się w czarną ścianę. Wziął głęboki wdech i zamknął na chwilę oczy. Nawigacja. Dopóki jesteś w stanie oddychać, wszystko jest dobrze. Przypomniawszy sobie całą drogę i odwrócił ją w myślach. Wymanewrował na zewnątrz U-Bootu, tak jakby podążał wzdłuż linii z okruszków chleba. Szkoła

Atlantyckich Nurków Wrakowych po raz kolejny się sprawdziła.

Niemal pod samą powierzchnią John przypiął swoją siatkę do przyczepionej do łodzi liny – na rozbujanym morzu nie ośmieliłby się wspinać po drabinie *Seekera*, trzymając w ręku tak delikatną zdobycz. Na pokładzie rozebrał się, wysuszył i dopiero wtedy wyłowił z oceanu siatkę. Nurkowie otoczyli go, by przyrzuć się łupowi. Chatterton wyciągnął z siatki szufladę i sięgnął w głąb czarnej galarety. W powietrzu rozszedł się smród metanu, zgniłych jaj i ropy, tak jakby przedmiot po raz ostatni protestował przeciwko wyrwaniu go ze snu. Z ust widzów posypały się obelgi i utyskiwania.

Pierwszymi przedmiotami, jakie ukazały się ich oczom, były posrebrzane sczeplone ze sobą widelce. Elektroliza przeżarła je tak dokumentnie, że to, co pozostało, przypominało papier ryżowy – cieniutki model widelca – zarys kształtu. Bill przysunął się o krok. Widział już przedtem tego typu przedmioty i wiedział, że najdelikatniejszy nawet wstrząs może sprawić, że rozpadną się w pył. Sięgnął po widelce, by rozłożyć je na stole i móc się im dokładniej przyrzuć. Potwornie trzęsły mu się ręce, odezwało się wieloletnie picie i wyniszczający tryb życia. Stanął, próbując wziąć się w garść. Wyglądał, jakby prosił swoje ciało o łaskę, o chwilę długą na tyle, by pozwoliła mu cieszyć się tym momentem z innymi. Ręce przestały się telepać. Sięgnął po widelce, chwycił je, wstrzymując oddech, rozdzielił i ułożył na stole. Każdy z widelców miał odciśniętą w najszerszym miejscu od spodniej strony rękojeści pieczęć z orłem i swastyką. Bill obrócił je delikatnie, próbując doszukać się innych znaków identyfikacyjnych. Kiedy nic nie znalazł, odsunął się od stołu i uwolnił oddech. Dłonie zaczęły latać mu tak potwornie, że z trudem wepchnął je do kieszeni spodni.

Następnie z szuflady wyłoniło się kilka łyżek ze stali nierdzewnej, były wciąż na tyle twarde, że pewnie nawet dałoby się nimi zjeść owsiankę. Rozłożyli łyżki na blacie stołu, żeby je obejrzeć. Nie miały żadnych pieczęci ani sygnatur. Została już tylko jedna przegródka szuflady, ta z nożami. John przyjrzał się jej dokładnie, wyglądało na to, że jest tam tylko jeden sztuciec, nóż ze stalowym ostrzem i drewnianą rękojeścią. Chatterton włożył rękę w galaretowate błoto i go wyciągnął.

Nóż pokryty był błotem. John zanurzył go w wiadrze ze sodką wodą i zaczął pocierać rękojeść palcami, starając się usunąć brud. Kiedy odpadły płatki błota, poczuł pod kciukiem wyryte na rękojeści litery. Opłukał nóż w wiadrze i zaczął trzeć mocniej. Wyczuł pod kciukiem więcej liter. Z wrażenia zjeżyły mu się włosy na karku. Pozostali nurkowie stłoczyli się wokół niego. Chatterton wciąż tał. W końcu na blat opadła ostatnia warstwa błota. Pod kciukiem ukazało się

wyrzeźbione na rękojeści noża pisanymi literami nazwisko HORENBURG.

Przez kilka sekund wszyscy trwali w bezruchu, nie odzywając się ani słowem. W końcu, Brad Sheard, inżynier lotnictwa, wystąpił naprzód i poklepał Johna po plecach.

– No, stary, to jest właśnie to – powiedział. – Zidentyfikowałeś U-Boot. Teraz trzeba tylko znaleźć marynarza o nazwisku Horenburg. Moje gratulacje.

– To może być najlepszy przedmiot, jaki kiedykolwiek wyciągnąłem z wraku – oznajmił pozostałym nurkom Chatterton. – Ten facet sam wyrył swoje nazwisko na ręczce noża. To nie jakaś tabliczka znamionowa zrobiona w fabryce. To coś jak prywatna wiadomość. Teraz muszę tylko znaleźć Horenburga i U-Boot będzie zidentyfikowany.

W tym czasie na pokład wdrapał się Kohler. Po kolei oglądali z innymi nurkami nóż i gratulowali Johnowi. Wszyscy byli bardzo wylewni, ale widać było, że są zniesmaczeni, że to nie im udało się odkryć coś, co pozwoli na identyfikację wraku.

– Zadzwoń do mnie jutro, jak już znajdziesz tego Horenburga i ustalisz, co to za U-Boot – mówili do Chattertona. Packer i Gatto, którym w trakcie drugiego nurkowania udało się spenetrować tylko rufę wraku, podeszli uścisnąć Johnowi dłoni.

Kiedy już *Seeker* mknął pełną parą ku wybrzeżu, Chatterton dołączył do Nagle’a w sterówce i przejął ster. Zaczęli podsumowywać mijający dzień. Kilka minut potem wszedł Kohler. Bill podał mu piwo i zaprosił, by został z nimi. Kohler wymamrotał kilka słów gratulacji dla Johna. Bill wyczuł w jego głosie żal o to, że Chatterton zszedł pod wodę jako pierwszy i odrobinę zazdrości z powodu noża. Wyglądało na to, że szykuje się niezła konfrontacja. Bill, już po kilku piwach, nie potrafił przepuścić takiej okazji. Zaczął drażnić się z nurkami, podburzając ich na swój ulubiony sposób.

– Richie, jeśli nie podoba ci się, że John skacze jako pierwszy, to może powinieneś postawić kratę i zamknąć mu drogę – powiedział, zanosząc się chrypliwym rechotem. – I jeszcze zostawić na tej kracie tabliczkę z napisem „Zamknięte z powodu inwentaryzacji”.

Bill uśmiechnął się od ucha do ucha, na poły naiwnym jak u uczniaka, na poły szatańskim uśmiechem. Obaj nurkowie wiedzieli, że kapitan lubuje się w kłótniach, i byli wściekli, że próbuje zaspokoić ich kosztem swój apetyt. Ale temat kraty we wraku *Andrei Dorii* wisiał nad nimi od momentu, kiedy Kohler przyłączył się do wypraw na U-Boot. Bill był sprytnym draniem i udało mu się

zażegnać klótnię.

– Może wreszcie powinniśmy o tym porozmawiać – zaproponował Kohler.

– Dobra – odpowiedział John. – Powiem ci jedno. Nie cierpię tych całych twoich Atlantyckich Nurków Wrakowych. Próbowaliście mnie wyruchać na *Dorii*.

– Tak, było tak, masz rację – odpowiedział Kohler.

– Gdyby nie uczciwość jednego z waszych ludzi, nigdy byśmy się o tym nie dowiedzieli. Nie zamierzam zdradzić ci, o kogo chodzi, ale jest dla mnie jasne, że tylko jeden z was ma coś, co można nazwać sumieniem.

– Słuchaj – powiedział Kohler. – Już ustaliłem temat kraty z Billem. Próbowaliśmy cię wyruchać. Przyznaję się do tego. Chcesz, żebym cię przeprosił? Chcesz, żebym zaczął płakać i błagał cię o wybaczenie? O to ci chodzi?

– Nie potrzebuję niczych przeprosin – rzucił Chatterton. – Pokonaliśmy was waszą własną bronią. Krata była najlepszą zemstą, jaką można było sobie wyobrazić. Jeśli chodzi o mnie, to uznałem w tym momencie całą sprawę za zamkniętą.

– No dobra, wygrałeś – stwierdził Kohler. – Nie będę z tego powodu darł szat. Dla mnie też sprawa się na tym skończyła. A tak między nami, to też nie lubię takich jak ty. Traktujecie wszystko, co wiąże się z nurkowaniem, tak cholernie poważnie. My przynajmniej mamy z tego trochę zabawy.

– Pokazywanie tyłków ludziom z przepływających łodzi, pornograficzne kalendarze rejsów i niepasujące do siebie stroje to cała wasza zabawa?

– Tak, do cholery, to nasza zabawa. Też powinienes kiedyś spróbować.

– Cały wasz problem polega na tym, że...

– Nie mamy żadnych problemów.

– A mnie się wydaje, że macie, i to całkiem sporo.

– Mam to w dupie – rzucił Kohler, dopijając resztkę piwa. Wyszedł ze sterówki na pokład i usiadł na skrzyni wielkiego klimatyzatora. Parę minut później zszedł po drabinie i usiadł koło niego John. Przez chwilę milczeli.

– Słuchaj, Richie – odezwał się w końcu Chatterton. – Nie muszę za każdym razem skakać jako pierwszy. Jeśli nie masz nic przeciwko wiązaniu kotwicy, to nurkuj następnym razem pierwszy. Ale pamiętaj, wiązanie to niezły hazard. Jeśli trafisz na jakiś problem, możesz zmarnować całe nurkowanie, żeby się z tym wszystkim uporać.

– Nie rób ze mnie wała – odpowiedział Kohler. – Szanuję cię. Chciałem po prostu, żeby wszystko było fair.

Na kilka minut znowu zapadła cisza. Przerwał ją Kohler, który zaczął opowiadać Johnowi o swoich odczuciach związanych z U-Bootem. O tym, że ten okręt jest dla niego czymś więcej niż tylko okazją do obłowienia się w faszystowskie trofea. Przyznał się, że od pierwszej podróży na wrak niczym nawiedzony kupował i czytał książki o U-Bootach. Może odzywały się w nim niemieckie korzenie. Z jednej strony pragnął odkryć na pokładzie wraku jakieś trofea, z drugiej zaś czuł, jak coraz bardziej wciąga go historia wojen tych okrętów i ludzi, którzy na nich walczyli. Spytał Chattertona, czy już przeczytał „The U-Boat War in the Atlantic, 1939-1945” Güntera Hesslera. Kiedy okazało się, że nie, streścił mu całą książkę. John był zaskoczony, nie spodziewał się po atlantyckim nurku wrakowym tego typu zwierzeń.

Chatterton wstał i poszedł na chwilę do mesy po paczkę masła orzechowego. Po chwili wrócił i przysiadł się do Kohlera.

– Słuchaj – zaczął. – Po tym, jak cała historia trafiła do mediów, dostałem mnóstwo telefonów i listów. Myślę, że część z tych informacji może cię całkiem zainteresować.

Przez następne trzy godziny John zasypywał Kohlera rewelacjami z ostatnich kilku tygodni. Opowiedział mu o Cywilnej Obronie Powietrznej, o pilocie sterowca, o rodzinach, świrach i specjalistach samoukach, o Harrym Cooperze z Sharkhunters, asie U-Bootów kapitanie Mertenie i losach jego kolegi Weingärtnera, który wbrew rozkazom mógł popłynąć swoim okrętem typu IX do New Jersey zamiast na Ocean Indyjski. Kohler chłonał informacje i zadawał tysiące pytań, każde z nich wydawało się Chattertonowi trafne i intrygujące. Zapadał wieczór, *Seeker* wpływał już do zatoczki w pobliżu Brielle. Nurkowie zeszli pod pokład, do mesy, żeby się spakować. Już na dole John poprosił Kohlera o adres.

– Zamierzasz mi coś wysłać? – zapytał Kohler.

– Chcę podesłać ci taśmę, którą dzisiaj nagrałem. I kilka innych – odpowiedział Chatterton. – Musisz mi tylko obiecać, że nie pokażesz ich nikomu innemu i nie wypuścisz ich z rąk. Doskonale wiesz, że właśnie przez coś takiego spaliłem *Dorię*. Myślę, że mogą ci pomóc w poruszaniu się we wnętrzu wraku. Sądzę, że mogę ci zaufać.

– Dzięki, stary – odpowiedział Kohler. Nabazgrał na kartce swój adres. – Masz moje słowo.

Tej nocy John wyjął świeżo znaleziony nóż i położył go na biurku. Nazwisko HORENBURG było tak wyraźne jak w dniu, kiedy wyrył je na trzonku marynarz.

– Kim byłeś? – zapytał, zerkając na nóż. – Co się stało z twoim okrętem i kim byłeś?

Zgasił światła w pracowni i poszedł do sypialni.

Jeszcze tylko dzień lub dwa – powiedział do siebie. *Jeszcze tylko dzień, lub dwa i będę miał w ręku rozwiązanie tajemnicy tego U-Boota.*

¹ W Polsce książka ukazała się w 2002 r. nakładem gdańskiego wydawnictwa Finna (przyp. tłum.).



U-869 na morzu podczas ćwiczeń. Olimpijskie kółka na wieżyczce wskazują, iż todzią dowodzi absolwent rocznika 1936 - roku olimpiady w Berlinie.

ROZDZIAŁ 8

TAM NIC NIE MA



Następnego ranka po odkryciu noża Chatterton zabrał się do szukania Horenburga. Dokładnie opisał swoje odkrycie w liście, który przesłał do czterech ekspertów. Każdy z nich mógł wpaść w jakiś sposób na ślad Horenburga i przyczynić się do zidentyfikowania tajemniczego okrętu. Wysłał więc list do:

- Harry’ego Coopera, prezesa Sharkhunters, którego kontakty w świecie U-Bootów sięgały naprawdę daleko.

- Karla-Friedricha Mertena w Niemczech, asa U-Bootów, z którym ostatnio korespondował (i który był przekonany, że tajemniczy okręt to dowodzony przez jego kolegę *U-851*).

- Charliego Grutzemachera, kuratora Międzynarodowego Centrum Dokumentacji Okrętów Podwodnych (International Submarine Document Center) w Deisenhofen w Niemczech, znanej na całym świecie skarbnicy informacji o U-Bootach.

- Horsta Bredowa, weterana wojny U-Bootów i założyciela Archiwum U-Bootów w Cuxhaven-Altenbruch w Niemczech. Archiwum miało jeden z najlepszych na świecie zbiorów dokumentów związanych z personelem U-Bootów, tam też rząd niemiecki odsyłał wszystkich badaczy.

John spodziewał się, że dostanie odpowiedź najpóźniej w ciągu tygodnia. W tym czasie Kohler przekopywał się dalej przez źródła historyczne, zbierając informacje o patrolach U-Bootów na wodach amerykańskich. Obydwaj, Chatterton ze swoim nożem i Kohler z książkami, czuli, że rozwiązują coś więcej niż tylko zagadkę. Byli przekonani, że kiedy uda im się już zidentyfikować okręt, to na nich dwóch spadnie odpowiedzialność za wyjaśnienie rodzinom poległych marynarzy i historii, czemu okręt znalazł się na wodach amerykańskich, jak wyglądał jego koniec i czemu jego dzieje umknęły historykom. A jeśli gdzieś żyła jeszcze pani Horenburg, to zasługiwała na to, żeby wiedzieć, czemu jej mąż spoczywał pogrzebany na dnie oceanu u wybrzeży New Jersey i dlaczego nikt na świecie nie wiedział, że się tam znajduje.

Minął tydzień bez jakiegokolwiek odzewu. Potem kolejny. John wysiadywał przy telefonie, czekając na dzwonek. Sprawdzał, czy gdzieś między kartkami zapychających skrzynkę pocztową śmieciowych ulotek nie zawieruszyła się błękitna koperta lotnicza. Minął miesiąc. Napisał do swoich ekspertów po raz kolejny. Wszyscy odpowiedzieli mu dokładnie to samo: mieliśmy pewne wątpliwości – cały czas nad tym pracujemy. Tuż po świętach, niemal dwa

miesiące po wysłaniu pierwszego listu, Chatterton odebrał telefon. Dzwonił miłośnik U-Bootów, którego niedawno poznał. Miał informacje.

– Nóż to ślepy zaułek, panie Chatterton. Musi pan wrócić na wrak.

– Co ma pan na myśli, mówiąc, że to ślepy zaułek?

– Na U-Bootach służył tylko jeden człowiek o nazwisku Horenburg. I nigdy nie był na zachodnim Atlantyku.

– Na których U-Bootach służył?

– Nie pamięta.

Przez chwilę Chatterton nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Szum w słuchawce przekonał go, że rozmówca jest wciąż na linii. W końcu udało mu się wykrztusić pytanie.

– Horenburg żyje?

– Żyje – odpowiedział rozmówca.

– Przeżył zatopienie okrętu?

– Tego nie powiedziałem.

– Co on powiedział?

– Powiedział, że to ślepy zaułek.

– Co jest ślepym zaułkiem?

– Ten nóż. Nie przypomina sobie żadnego noża.

– Mówił coś jeszcze?

– Proszę o tym zapomnieć, Chatterton. Powinien pan ruszyć dalej.

– Chwileczkę. Chciałbym zamienić kilka słów z Horenburgiem.

– To niemożliwe. On z nikim nie rozmawia.

– Proszę przekazać mu, że chciałbym z nim porozmawiać. To dla mnie bardzo ważne. Jeśli to jego nóż, chciałbym mu go zwrócić.

– On nie chce z nikim rozmawiać.

– Czy może mi pan przynajmniej powiedzieć, na których okrętach on pływał?

– Nic sobie nie przypomina. Musi pan ruszyć w innym kierunku. Przykro mi, ale nie mogę panu bardziej pomóc. Muszę już kończyć. Do widzenia.

Chatterton usiadł, kompletnie zdruzgotany. Nawet nie odłożył słuchawki. Horenburg żyje? Nie przypomina sobie noża? Z nikim nie rozmawia? Trzymał słuchawkę przy uchu, nie zwracając uwagi na automatyczny komunikat operatora telefonicznego. Zastanawiał się nad czymś, co wydawało mu się niemożliwe. *Nóż z nazwiskiem członka załogi – najbardziej niesamowity przedmiot, jaki kiedykolwiek znalazłem – to ma być ślepy zaułek?*

Przez kilka dni nie przestawał myśleć o Horenburgu. Facet przetrwał wojnę, dożył sędziwego wieku i był w stanie wyjaśnić tajemnicę. Ale nie miał zamiaru mówić. Czemu? Dlaczego nie podał chociaż numeru okrętu, na którym służył?

Kilka dni później przysły odpowiedzi od Mertena, Bredowa i Grutzemachera. Wszyscy trzej doszli do tej samej konkluzji – w całej flocie niemieckiej służył tylko jeden Horenburg – Martin Horenburg, *Funkmeister*, starszy radiotelegrafista w U-Bootach. Ostatni patrol odbywał na pokładzie U-869, okrętu zatopionego przez siły alianckie u wybrzeży Afryki w 1945 roku. W wyniku ataku zginęła cała załoga U-Bootu, włącznie z Horenburgiem. Był to jedyny patrol, na jaki wypłynął U-869. Okręt zatonął 3650 mil od miejsca, w którym spoczywał tajemniczy wrak.

John wpadł w furję. Był przekonany, że jego trzech niemieckich informatorów, szanowanych ekspertów, miało rację co do Horenburga. Oznaczało to, że jego znajomy miłośnik U-Bootów nie rozmawiał wcale z Martinem Horenburgiem, o ile w ogóle z kimkolwiek rozmawiał. Skreślił go z listy i postanowił nie zawracać sobie nim więcej głowy. Mimo wszystko jednak nie był do końca przekonany, czy jego niemieccy informatorzy zgłębili sprawę do końca, tak jak zrobiłby to on sam. Może był jeszcze jakiś inny Horenburg, którego przeoczyli. Chatterton słyszał kiedyś o znajdującym się w Niemczech pomniku, na którym wyryte były nazwiska wszystkich członków załóg U-Bootów poległych w akcji. Gdyby pojechał do Niemiec, mógłby zobaczyć pomnik na własne oczy i sprawdzić po kolei wszystkie wypisane na nim nazwiska, w poszukiwaniu kolejnego Horenburga. Tak, gdyby pojechał do Niemiec, miałby okazję obejrzeć pomnik, odwiedzić muzeum U-Bootów i poszperać w archiwach Bredowa. Zajrzał do kalendarza. Marzec był idealnym miesiącem, żeby się tym porządnie zająć.

Chatterton zaprosił Yurgę i Kohlera, żeby pojechali z nim do Niemiec. Yurga przyjął zaproszenie. Kohler, prowadząc własny interes, nie mógł sobie pozwolić na tygodniowy wypad. Ale zaproszenie mile go połechnęło. Chatterton traktował sprawę ze śmiertelną powagą i nie zaprosiłby nikogo, kogo by nie szanował i na kim nie mógłby w razie potrzeby polegać.

– Popracuję na naszym kontynencie – powiedział Johnowi. – Będę szedł dalej moim tropem.

Tuż przed marcowym wypadem do Niemiec Chatterton odebrał telefon zupełnie inny niż wszystkie te, które rozdzwoniły się po burzy w mediach. Dzwonił starszy, dystyngowany pan, który przedstawił się jako Gordon Vaeth, były oficer wywiadu Floty Atlantycznej, służący w czasie drugiej wojny światowej w szwadronie sterowców. Czytał doniesienia o poczynionych przez nurków odkryciach i chciał dowiedzieć się, jakie badania rozpoczął John.

Chatterton powiedział mu o opieszalej wymianie korespondencji z Centrum Historycznym Marynarki Wojennej.

– Jeśli miałby pan ochotę przyjechać do Waszyngtonu, z ogromną przyjemnością przedstawiłbym pana szefom tego centrum. Tak się składa, że są moimi przyjaciółmi – powiedział Vaeth. – Być może pomogą panu w znalezieniu tego, czego pan szuka. Nie chciałbym się w jakikolwiek sposób narzucać, ale jeśli mogę się jakoś przysłużyć pana sprawie, będę naprawdę zaszczycony.

John nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Vaeth brał udział w wojnie podwodnej i to jako oficer wywiadu, co więcej, miał znajomości w Centrum Historycznym. Umówili spotkanie pod koniec lutego w Waszyngtonie. Odwieszając słuchawkę, Chatterton zastanawiał się, czy planowana podróż do Niemiec będzie w ogóle potrzebna. Jeśli ktokolwiek mógł znać rozwiązanie zagadki, tym kimś mógł być tylko rząd amerykański. Teraz, z pomocą i protekcją Vaetha, John będzie w stanie dotrzeć do samego źródła.

Kilka dni po rozmowie Chatterton odbył samochodem czterogodzinną podróż do Waszyngtonu. O dziesiątej rano miał spotkać się z Vaethem w Centrum Historycznym Marynarki Wojennej. Był na miejscu godzinę wcześniej. Zaparkował samochód na parkingu Kwatery Marynarki Wojennej w Waszyngtonie (Washington Navy Yard). Był w środku kompleksu wiekowych budynków, poprzecinanego brukowanymi alejkami i torami kolejki. Tutaj znajdowały się biblioteki i sale wykładowe. Zza jednej z kamiennych budowli wyglądał zakotwiczony na rzece Anacostia stary niszczyciel. John skierował swoje kroki do Centrum Historycznego, w którym zmagazynowane były dokumenty archiwalne marynarki oraz eksponaty muzealne. W środku czekał już na niego starszy mężczyzna o śnieżnych włosach, ubrany w tweedową marynarkę. Wstał, by się przywitać. Przedstawił się jako Gordon Vaeth.

Kiedy już wymienili uprzejmości, Vaeth przedstawił swój plan wizyty Chattertona. Zamierzał przedstawić go Bernardowi Cavalcante'owi, szefowi archiwów operacyjnych, światowej sławy ekspertowi od U-Bootów, oraz kierownikowi centrum, doktorowi Deanowi Allardowi. Tych dwóch ludzi miało dostęp do niemal wszystkich materiałów poświęconych U-Bootom, jakie znajdowały się na terenie Stanów Zjednoczonych. John wziął głęboki wdech. Teraz był przekonany, że od rozwikłania zagadki dzieli go kilka minut.

Vaeth towarzyszył Chattertonowi do biura Cavalcante'a. Jak wyjaśnił Vaeth, pokoje te zawierały znakomitą większość materiałów archiwalnych marynarki wojennej i jedyną osobą, która nad nimi panowała, był właśnie jakby stworzony

do tej roboty, zapalony historyk Cavalcante. „Jest wyjątkowym ekspertem od U-Bootów” – szepnął Vaeth, kiedy z sąsiedniego pokoju wyłonił się drobnej budowy mężczyzna w średnim wieku, w kraciastej sportowej kurtce i grubych okularach do czytania. Cavalcante przywitał się z nimi bardzo serdecznie, ale jego podniesione brwi wydawały się mówić: „O, Boże, kolejny wariat od U-Bootów w moim biurze”.

Kiedy usiedli, Vaeth poprosił Johna, by opowiedział całą historię. Chatterton starał się mówić bezpośrednio i zwięźle. Razem z kilkoma innymi nurkami odkrył U-Boot z czasów drugiej wojny światowej, jakieś 60 mil od wybrzeży New Jersey. Odkryli trochę przedmiotów, które potwierdzały autentyczność znaleziska, ale nie byli w stanie określić na ich podstawie dokładnej tożsamości okrętu. Sprawdzali w książkach historycznych, ale nie udało im się znaleźć wzmianki o jakimkolwiek U-Boocie w promieniu stu mil od lokalizacji wraku. Korzystając z namiarów LORAN, wrócili w to miejsce jeszcze trzykrotnie, koordynaty miejsca były więc ściśle ustalone. Nakręcili kilka kaset wideo, John przywiózł ze sobą ich kompilację.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Cavalcante popatrzył na Vaetha z niepewnym uśmiechem, potem skierował wzrok na Chattertona. Sięgnął do biurka, wyciągnął kilka papierów i dał je Johnowi do podpisania – jeśli centrum miało przyjąć kasetę, trzeba było dopełnić wszystkich formalności. Chatterton nigdy nie czuł się tak ważny, podpisując dokumenty. Cavalcante wziął kasetę i spojrzał Johnowi głęboko w oczy.

– Proszę pana, pracujemy dla Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych – powiedział Cavalcante. – Wiemy co nieco o tym, co leży w oceanie. Niekoniecznie jednak dzielimy się tymi informacjami. Mam nadzieję, że rozumie pan, panie Chatterton, co mam na myśli?

– Oczywiście, proszę pana.

– Prowadzimy dokładną ewidencję wraków wzdłuż Wschodniego Wybrzeża. Zbieramy dane ze względów czysto wojskowych, nie dla celów historycznych, badawczych lub... wybaczy pan, dla celów nurków. Ta lista jest tutaj. Ale nie mogę jej panu pokazać. Bardzo mi przykro.

John poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Odpowiedź tkwiła gdzieś po drugiej stronie biura Cavalcante’a, a ten facet nie chciał otworzyć mu drzwi. Vaeth siedział na swoim miejscu, wyprostowany i dostoyny; milczał. Cavalcante nie odezwał się ani słowem. Chatterton zastanawiał się, czy czasem spotkanie nie dobiegło już końca. Nie zamierzał zaprzepaścić takiej okazji.

– Panie Cavalcante, nie muszę oglądać tej listy – powiedział. – Interesuje

mnie tylko ten konkretny wrak w tym konkretnym miejscu. To dla mnie bardzo istotne. Nazwanie tego grobu należy się rodzinom marynarzy i historii. Tam na dnie spoczywają szczątki tuzinów marynarzy, nikt nie ma pojęcia, kim byli i w jaki sposób znaleźli się w tym miejscu.

Cavalcante poskrobał się z zakłopotaniem w policzek. Vaeth uniósł głowę, jakby chciał zapytać: „I co ty na to, Bernie?”. Cavalcante skinął lekko głową.

– No cóż, myślę, że mogę to sprawdzić – stwierdził. – Ale nie mogę dać panu żadnych fotokopii tych materiałów. Nie wolno panu też robić żadnych zdjęć.

– Nie ma problemu, bardzo panu dziękuję – odpowiedział John. – Wystarczy mi w zupełności, jeśli powie mi pan po prostu, co wie o tym wraku.

Chatterton zapisał na kartce dokładną pozycję wraku i wręczył je Cavalcante’owi, który przeprosił ich na chwilę i zniknął w fortocy regałów z dokumentami. Vaeth uśmiechnął się i pokiwał znacząco głową: „Nieźle panu idzie”. Odpowiedź była tuż-tuż.

Cavalcante wrócił po kilku minutach z grubym segregatorem pod pachą. Usiadł przy swoim biurku i popatrzył na Johna z podniesionymi brwiami.

– Jest pan przekonany, że to dokładna pozycja? – zapytał.

– Na sto procent – odpowiedział Chatterton. – Byliśmy tam trzy razy.

– No cóż, wygląda na to, że w tej pozycji nic nie ma. Nie ma U-Boota ani niczego innego. Nie w tej pozycji.

Oblicze Vaetha rozjaśnił powstrzymywany do tej pory uśmiech.

– To niesamowite – stwierdził w końcu Cavalcante. – To naprawdę niesamowite. Weźmy tę taśmę do doktora Allarda i obejrzymy ją razem. On musi ją zobaczyć. Muszę panu powiedzieć, panie Chatterton, że mnóstwo ludzi zawraca nam głowę, utrzymując, że odkryli U-Boota lub są w posiadaniu tajnych informacji o U-Bootach. Niemal zawsze okazuje się, że to nic ciekawego. Ale to jest po prostu niesamowite.

Cavalcante wprowadził Chattertona i Vaetha do eleganckiego gabinetu. Wkrótce przywitał ich mężczyzna w średnim wieku, ze szpakowatymi włosami z przedziałką pośrodku, w okularach w drucianej oprawie, tweedowej marynarce i muszce pod szyją. Przedstawił się jako doktor Dean Allard, dyrektor centrum. Poprosił gości, aby usiedli.

Cavalcante wprowadził go w całą historię. Pan Chatterton odkrył U-Boota u wybrzeży New Jersey. Określił dokładną lokalizację, wiek znaleziska i stwierdził, że na pokładzie znajdują się szczątki ludzkie. Na dowód tego wszystkiego ma taśmę wideo. Allard przysłuchiwał się zmęczony. Słyszał tego typu zapewnienia tysiące razy. Nigdy nie miały żadnego pokrycia w

rzeczywistości.

Dla zwiększenia dramatyzmu Cavalcante zawiesił na chwilę głos.

– I tu dochodzimy do sedna sprawy, doktorze Allard – kontynuował. – Sprawdziłem w naszych aktach. Tam nic nie ma.

Allard pokiwał głową.

– Rozumiem – powiedział. – Jak sądzę, ma pan przy sobie tę taśmę, panie Chatterton. Czy mógłbym ją zobaczyć?

W czasie gdy Cavallcante przygotowywał taśmę, Allard wezwał do gabinetu swojego asystenta, Williama Dudleya. Allard przygasił światła. Obejrżeli w pięciu ujęcia nakręcone przez Johna w okolicach przewróconego kiosku i po drodze do dziobowego przedziału torpedowego. Przez czterdzieści minut projekcji ciszę co chwila przerywały pomruki zdziwienia: „Fascynujące!”, „Niewiarygodne”, „Zadziwiające”.

– Nie mogę uwierzyć, że leży tam niemiecki okręt z czasów drugiej wojny światowej, a my nic o tym nie wiedzieliśmy – stwierdził Allard. – Panie Chatterton, czy gdybym miał do dyspozycji okręt marynarki wojennej i nurków gotowych popłynąć w to miejsce, zgodziłby się pan na współpracę w identyfikacji wraku?

Minęła chwila, zanim do Johna dotarła powaga tej propozycji. Był zwykłym gościem z New Jersey, który z kilkoma butlami na plecach rozbijał się po oceanie łodzią wyciągającą ledwie jedenaście węzłów. Tymczasem Allard proponował mu wysłanie do rozwikłania zagadki zespołu zawodowych nurków wojskowych, sił i środków Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Próbował ułożyć naprędce wyszukaną odpowiedź, godną tak wspaniałej propozycji, ale jedyne, co przyszło mu do głowy, to wykrztusić: „No, jasne!!!”

Dudley wystąpił krok naprzód. Ze wszystkich obecnych w pokoju tylko on jeden się nie uśmiechał.

– Doktorze Allard, bardzo mi przykro, ale nie możemy tego zrobić – powiedział. – Jak panu wiadomo, Stany Zjednoczone złożyły do Międzynarodowego Trybunału skargę na Francuzów odnośnie konfederackiego statku *Alabama*. Argumentowaliśmy to tym, że Francuzi nurkujący na okręcie wojennym Amerykanów naruszają obiekt chroniony jako cmentarz wojenny. Nie możemy w tym samym czasie nurkować na niemieckim cmentarzu wojennym znajdującym się na wodach amerykańskich. Osłabiłoby to naszą pozycję przed trybunałem.

Allard rozważał przez chwilę wytoczony przez Dudleya argument.

– No cóż, masz rację, Bill – powiedział, po czym zwrócił się do Chattertona. –

Jestem rozczarowany. Skoro jednak nie możemy pomóc panu czynnie z nurkowaniem, panie Chatterton, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby ułatwić panu badania archiwalne.

Allard podniósł się z krzesła, zdjął marynarkę i podwinął mankiety.

– A więc do dzieła. Bill, czy mógłbyś dać panu Chattertonowi ulotkę dotyczącą naszych zbiorów?

Dudley zaprowadził Johna do swojego gabinetu. Zamknął za sobą drzwi, odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie podoba mi się pan – oznajmił. – Nie lubię nurków myszkujących we wrakach.

John wiedział, co się kroi. Niektórzy naukowcy ostro potępiali nurków za ich skłonność do wyciągania i ruszania znajdujących się we wraku przedmiotów. Chatterton rozstrzygnął ten dylemat wiele lat temu. Gdyby zdarzyło mu się odkryć łódź wikińską sprzed tysiąca lat, zostawiłby ją archeologom. W takich wrakach są rzeczy, które powinni zbadać i zabezpieczyć profesjonaliści. Ale dobrze udokumentowana jednostka z czasów drugiej wojny światowej, o której prawie wszystko wiadomo? John wierzył, że pozostanie w dobrych układach z Allardem, Cavalcante’em i Centrum Historycznym. Dlatego też postanowił nie wdawać się w czcze dyskusje z Dudleyem.

– Okej, nie ma problemu – oznajmił Chatterton.

Dudley wrócił z Johnem do gabinetu Allarda. Tam dyrektorzy podziękowali mu za ukazanie Centrum Historycznemu tej „prawdziwej tajemnicy”. Następnie Vaeth i Cavalcante zaprowadzili go do archiwum i przedstawili Kathleen Lloyd, archiwistce, prawej ręce Cavalcante’a. Kathleen miała zająć się Chattertonem i pomóc mu na tyle, na ile tylko było to możliwe. John podziękował Allardowi, po czym zniknął w towarzystwie Lloyd i Vaetha w czytelní zapełnionej po brzegi personelem wojskowym, pisarzami, weteranami, historykami i kadrą profesorską. Lloyd przybliżyła Chattertonowi cztery podstawowe, niezmiernie ważne narzędzia badawcze. Każde z nich było dla Johna prawdziwym objawieniem. Były to:

1. 1. Anti-submarine Warfare Incidents Reports (ASW) (Kronika działań wojennych przeciwko okrętom podwodnym). Była to dzienna kronika wszelkich kontaktów między siłami alianckimi (okrętami, samolotami, sterowcami, patrolami obrony cywilnej, uzbrojonymi strażnikami na pokładach jednostek handlowych) a jednostkami wroga uznanymi za okręty podwodne. W raportach uwzględniono wszystkie bitwy, pościgi, widzenia i wykrycia za pomocą sonaru – słowem wszystko, co związane było z

- polowaniem na U-Booty. Jeżeli w raporcie opisana była bitwa, znajdował się w nim odnośnik do bardziej szczegółowego opisu „raportu ataku”.
2. 2. Eastern Sea Frontier War Diaries (ESFWD) (Dzienniki Wschodniego Frontu Morskiego). Dzienna kronika znaczących działań i obserwacji poczynionych przez personel aliancki wzdłuż Wschodniego Wybrzeża Ameryki Północnej. Było tu opisane dokładnie wszystko, począwszy od pojawienia się plam oleju na wodzie i tajemniczych kłębow dymu na horyzoncie, skończywszy na odkryciu kamizelki ratunkowej. W przeciwieństwie do raportów zawartych w ASW, zapiski niekoniecznie odnosiły się do okrętów podwodnych.
 3. 3. BdU KTB. Dzienniki działań bojowych U-Bootów na wodach całego świata, opracowane przez BdU (Befehlshaber der U-Boote) Głównodowodzącego Okrętów Podwodnych. Były tam zarejestrowane wszystkie rozkazy, kontakty radiowe ze sztabem i działania bojowe. Wojnę przetrwały tylko BdU KTB z okresu do 16 stycznia 1945 roku, późniejsze dzienniki zostały zniszczone przez Niemców.
 4. 4. Teczki poszczególnych U-Bootów: sprawozdania Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, skompilowane informacje o konkretnych okrętach. Były tam dane o typie U-Boota, jego rozkazach, patrolach, przechwyconych przez nasłuch komunikatach, raporty wywiadowcze, zdjęcia, stenogramy z przesłuchań wziętych do niewoli członków załogi oraz życiorysy dowódców.

Lloyd poradziła Chattertonowi zacząć poszukiwania od przejrzenia raportów ASW i sprawdzenia, czy w okolicy tajemniczego wraku doszło do jakichkolwiek kontaktów sił alianckich z okrętami podwodnymi wroga. Jeśli trafi na jakieś wzmianki o tego typu zdarzeniach, będzie mógł zwrócić się o szczegółowe raporty ich dotyczące, a także porównać doniesienia z dziennikami BdU, żeby sprawdzić, które okręty mogły w tym czasie znajdować się na wodach amerykańskich. Lloyd przyniosła mu pierwsze pudła z fiszkami, oznaczone datą 1942. Vaeth uśmiechnął się pod nosem i życzył Johnowi szczęścia.

– Jeśli zajdzie taka potrzeba, przejrzę kartka po kartce wszystkie dokumenty, jakie są w tym archiwum – stwierdził Chatterton.

Z tymi słowami usiadł i otworzył pierwsze z pudeł z raportami ASW z 1942 roku. Zaczął od 1 stycznia. Przeglądał kolejne strony w poszukiwaniu szerokości i długości geograficznych w promieniu 15 mil od lokalizacji wraku.

Kilka godzin później skończył z rokiem 1942. Przejrzał ponad tysiąc

doniesień. Żadne z nich jednak nie dotyczyło zdarzeń, które miałyby miejsce w promieniu 15 mil od miejsca, w którym spoczywał tajemniczy wrak. Miał wracać na noc do domu, ale postanowił zadzwonić do żony i uprzedzić ją, że zostaje jeszcze dwa dni. Następnego ranka był pierwszy w kolejce do archiwum. Tym razem poprosił o rok 1943.

Przebrnął po kolei przez wszystkie raporty z okresu wojny. Na przedstrzeni czterech lat ani jedna jednostka aliancka nie nawiązała kontaktu z okrętem podwodnym w promieniu 15 mil od miejsca, w którym spoczywał wrak.

John spytał Lloyd, czy w następnej kolejności może przejrzeć Dzienniki Wschodniego Frontu Morskiego – mogły być tam informacje na temat czegokolwiek, co wydarzyło się w pobliżu miejsca położenia wraku, bez względu na to, czy miało to jakikolwiek związek z U-Bootami. W odpowiedzi Lloyd przyniosła mu kolejną górę dokumentów. Podobnie jak w przypadku raportów, Chatterton przekopał się przez dokumenty ze wszystkich lat wojny, szukając choćby śladu wydarzeń, jakie miały miejsce w pobliżu wraku. Zajęło mu to dwa dni. Przez cały okres wojny w okolicy wraku nie zdarzyło się absolutnie nic – nikt nie zauważył unoszących się na wodzie szczątków, zmytej z pokładu kamizelki ratunkowej, ciała marynarza, plamy oleju ani nawet kłębow dymu. Zupełnie jakby ten obszar oceanu, gdzie we wnętrzu leżącego na dnie wraku U-Bootu spoczywały szczątki kilkudziesięciu marynarzy, na okres wojny całkowicie zniknął z map.

John spytał Lloyd, czy przez ostatnie kilka godzin pobytu w archiwum może poszperać w innych dokumentach. Po chwili siedział za potężną stertą segregatorów i pudeł. Podczas gdy wszyscy dookoła zagłębiali się w stertach dokumentów, Chatterton pośpiesznie przerzucał kolejne skoroszyty, nawet ich nie otwierając, rzucał tylko okiem na etykiety. Chciał z grubsza zorientować się, co może być w środku, wstępnie oszacować nieprzebrane zasoby archiwum, by móc powrócić tutaj z konkretnym planem. Zamierzał poradzić sobie z badaniami, tak jak radził sobie z wrakiem, małymi krokami zdobywać kolejne informacje, dopóki nie dotrze do celu. Podnosząc kolejne pudełka i rozwiązując szarobrązowe, tekturowe teczki, poczuł się, jakby znów miał dwanaście lat i powrócił do niesamowitego domu, który odkrył kiedyś po całym dniu jeżdżenia autostopem. Czuł otaczające go ze wszystkich stron opowieści i pył historii. Otrząsnął się dopiero, gdy Lloyd podeszła, poklepała go po ramieniu i zwróciła uwagę:

– Panie Chatterton? Panie Chatterton? Zamykamy...

Uświadomił sobie, że już najwyższy czas wracać do domu. Podziękował za nieocenioną pomoc, jaką okazała mu podczas jego trzydniowego pobytu, i ruszył

na parking, przekonany, że wróci jeszcze do tego wspaniałego miejsca i znajdzie w nim swoją odpowiedź. Wierzył, że jeszcze nauczy się zgłębiać te dokumenty, które do tej pory nie odkryły przed nim swoich tajemnic. Gdyby tylko czas mu na to pozwalał, zrobiłby to choćby i jutro.

Dwa tygodnie później Chatterton i Yurga wylądowali w Niemczech. Kupili dużą wiązaną kolorowych kwiatów i skierowali się do Möltentort, w pobliżu portowego miasta Kilonii. Znajdował się tam pomnik ku czci poległych marynarzy U-Bootów. Na 89 tablicach z brązu wyryte były imiona i nazwiska 30 tysięcy członków załóg U-Bootów poległych w boju w czasie drugiej wojny światowej, kolejno, według okrętów, na których służyli. Przez trzy godziny, marznąc w strugach lodowatego deszczu, rozmazującego atrament notatek, wodzili palcami po tablicach, szukając litery H i nazwiska Horenburg. Udało im się znaleźć tylko jednego – Martina Horenburga *Funkmeistera*, który zginął wraz z całą załogą *U-869* u wybrzeży Afryki. Dokładnie to samo powiedzieli im specjaliści.

Tego wieczoru, wciąż przemarznięty do szpiku kości po tnącym deszczu, Chatterton zadzwonił do Mertena, asa U-Bootów, z którym ostatnio korespondował. Wiedział, że Merten chorował, ale miał cichą nadzieję, że 86-letni dowódca będzie się miał na tyle dobrze, żeby przyjąć gości i pogłównkować na temat tajemniczego wraku. Telefon odebrał jakiś młody człowiek, przeprosił bardzo, ale Herr Merten nie chciał widzieć żadnych gości. Niegdyś wielki as U-Bootów był chory i nie życzył sobie, żeby ktokolwiek oglądał go w tak opłakanej kondycji.

Pozostawało tylko Archiwum U-Bootów Bredowa w Cuxhaven-Altenbruch. Do tego czasu John dowiedział się nieco więcej o tej niezwykle prywatnej kolekcji. Weteran wojny U-Bootów, Bredow, zamienił swój dom w archiwum. Gromadził dokumenty, zdjęcia, zapiski, wspomnienia, przedmioty i akta, wypełniając nimi całe mieszkanie, łącznie z kuchnią i łazienką. Tylko potężna kotwica na podjeździe odróżniała dom Bredowa od innych w okolicy. To, co stworzył, zostało uznane zarówno przez rząd niemiecki, jak i historyków, za jedno z najlepszych archiwów poświęconych U-Bootom – zwłaszcza jeśli chodziło o informacje dotyczące ludzi, którzy na nich walczyli. Bredow posiadał unikatowe przedmioty, takie jak prywatne listy, pamiątniki i zdjęcia marynarzy. Był chodzącym muzeum ludzi związanych z U-Bootami. Kiedy poważni badacze zabierali się do rozwikływania zagadek, często rząd niemiecki kierował ich po informacje właśnie do niego.

Chatterton i Yurga zadzwonili do drzwi punktualnie o dziewiątej rano. Otworzył niski, nieco łysiejący 68-latek z białą brodą. Przywitał ich po angielsku, z silnym niemieckim akcentem:

– Aaa, witam Herr John i Herr Yurga, zapraszam do Archiwum U-Bootów. Jestem Horst Bredow. Zza jego sylwetki wyglądały ustawione rzędami szafy z dokumentami i przeszklone, wykładane aksamitem gabloty z przedmiotami, ściany obwieszone były dziesiątkami zdjęć członków załóg U-Bootów z czasów chwały. Nurkowie weszli do środka, byli tak podekscytowani, że ledwie udało im się zdjąć płaszcze – byli przekonani, że już za kilka chwil rozwikłają zagadkę.

– Wszystko, co tutaj widzicie, zbudowałem sam. Zaczęło się od jednego kawałka papieru! – wyjaśnił Bredow, rozkładając ramiona. – Tutaj kryją się odpowiedzi na wasze pytania. Nie musicie już szukać nigdzie indziej.

Chatterton westchnął głęboko. Bredow mógł rzeczywiście zidentyfikować wrak.

– Ale pozwólcie, że najpierw, zanim podam wam odpowiedź, oprowadzę was po moim archiwum – powiedział Bredow.

John omal nie wyskoczył ze skóry. Powstrzymał się jednak i razem z Yurgą wydusił:

– Och, to.... wspaniale.

Przez następne półtorej godziny Bredow oprowadzał ich po wszystkich pokojach domu. Przez półtorej godziny nurkowie powtarzali bez przerwy: „Bardzo ciekawe” i „O, to naprawdę niesamowite”, skręcając się z niecierpliwości. Tymczasem Bredow spokojnie przechadzał się po domu, bynajmniej nie spiesząc się, by podać rozwiązanie zagadki.

Wreszcie usiadł za biurkiem i poprosił nurków, by siedli naprzeciw niego. Wyjął z szuflady wąski, zapisany na maszynie skrawek papieru. Chattertonowi serce забиło mocniej. Bredow pchnął odwróconą do dołu kartkę po blacie w ich stronę.

– Oto wasza odpowiedź – powiedział.

John podniósł kartkę drżącą ręką. Odwrócił ją. Bredow wypisał na niej nazwy siedmiu okrętów.

Chatterton znieruchomiał. Siedzący obok Yurga również. Była to lista U-Bootów zaginionych wzdłuż Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych – lista dostępna w książkach ze zwykłej biblioteki. Jeden z wymienionych na niej okrętów należał do typu VII, z pewnością więc nie mógł być tajemniczym

wlakiem. Inne zatopiono kilkaset mil od miejsca, w którym spoczywał wrak. Z kolejnych udało się uratować rozbitków lub znaleziono fragmenty kadłuba potwierdzające tożsamość. Na zatopionym w pobliżu Rhode Island U-853 nurkowano już od wielu lat. Słowem, były to okręty, które wykluczili już na samym początku poszukiwań.

John wziął głęboki oddech. – Jest pewien problem ze wszystkimi tymi okrętami, proszę pana – powiedział. – To żaden z nich.

– To musi być któryś z tych okrętów – nalegał Bredow. – Wasze zamiary pewnie są niedokładne.

– Nie, proszę pana – odpowiedział Chatterton. – Zamiary, które panu przekazaliśmy, są bardzo dokładne. Wracaliśmy w to miejsce wiele razy.

Bredow zmarszczył się. Jego czoło pokryło się głębokimi bruzdami. Wypieki wystąpiły mu na policzki.

– Możecie przejrzeć wszystkie moje dokumenty – burknął Bredow. – Nie wiem, co mogę więcej powiedzieć.

Chatterton i Yurga przeprosili na chwilę Bredowa i wyszli do sąsiedniego pokoju, tak żeby być poza zasięgiem jego wzroku. Kompletnie załamani skryli głowy w ramionach. Nie mieli nic więcej do roboty, toteż postanowili przepisać listy załóg wszystkich U-Bootów typu IX, skierowanych na wody Wschodniego Wybrzeża. W ciągu dwóch godzin już zrobili wszystko. Wychodzili praktycznie z pustymi rękoma.

Kiedy stali w drzwiach, Bredow dał im jeszcze jedną radę.

– Jeśli uda się wam odkryć we wraku płuco ratunkowe, sprawdźcie dokładnie, czy właściciel go nie podpisał. Często tak robiliśmy.

Chatterton podziękował Bredowowi za radę i życzył mu miłego dnia. Wieczorem kupił w recepcji hotelu kartkę pocztową i napisał do Kohlera: „Wiemy więcej niż oni. Musimy jeszcze wrócić na wrak”. Kohler dostał kartkę kilka dni później. Pokazał ją żonie.

– Ta kartka naprawdę wiele dla mnie znaczy – oznajmił. – To coś bardzo osobistego, zupełnie nie pasuje do charakteru Johna. Myślę, że jeszcze długo będziemy ze sobą pracowali. Stajemy się zgranym zespołem.

Po powrocie do Stanów Chatterton zadzwonił do Yurgi i Kohlera. Zaprosił ich na spotkanie do siebie do domu. Najwyższy czas, żeby wzięli sprawy w swoje ręce.

Dojazd do Johna zajął Richiemu całe osiem minut. Latami mieszkali niecałe osiem kilometrów od siebie i nie mieli o tym pojęcia. Usiedli w salonie, Chatterton i Yurga przedstawili Kohlerowi rezultaty swojej podróży do Niemiec,

prześcigając się, który lepiej odda zakłopotanie na twarzy Bredowa, kiedy oznajmili mu, że jego lista bynajmniej nie rozwiązuje tajemnicy.

– Muszę przyznać, że o takich zagadkach czyta się w książkach – stwierdził Kohler. – Niemiecki U-Boot podpływa prawie pod samo New Jersey. Wybuch i tonie z 60 osobami na pokładzie i nikt, ani rząd, ani marynarka wojenna, ani uczeni i historycy nie mają nawet pojęcia, że ten wrak tam jest.

John opowiedział o swoich poszukiwaniach w Waszyngtonie.

– Przekopałem się przez dokumenty z całej wojny, strona po stronie. Okulary wrosły mi prawie w twarz, pękały mi oczy, prawie dostałem zawrotów głowy. Przez całą dokładnie wojnę w pobliżu naszego wraku nic się nie wydarzyło. Absolutnie nic.

Przyjechała pizza i sześciopak coca-coli. Kohler zapłacił i aż zapomniał poprosić o resztę. Nawet nie sięgnęli po talerze z obawy, że umknie im coś z opowieści. Byli jak w transie.

– Myślę, że wszyscy zdajemy sobie sprawę, że opowieści o U-Bootach lądujących na plaży i niemieckich marynarzach tańczących na balach przebierańców i kupujących chleb w miejscowych sklepikach możemy włożyć między bajki – oznajmił Kohler, przemierzając w tę i z powrotem pokój i wymachując trójkątnym kawałkiem pepperoni niczym wskaźnikiem. – Ale chciałbym wam coś powiedzieć. Słyszeliście zapewne i czytaliście, że pod sam koniec wojny naziści usiłowali wywieźć z Niemiec złoto? Albo opowieści o tym, że przed upadkiem Berlina Hitlerowi udało się uciec na pokładzie okrętu podwodnego? Zastanówmy się nad tym. Jeśli nasz okręt został wykorzystany właśnie do czegoś takiego, na sto procent nie ma o tym żadnych oficjalnych dokumentów. Nie mam racji?

– Ho, ho, ho! – zawołali siedzący na kanapie Yurga i Chatterton. – Chcesz powiedzieć, że na pokładzie naszego okrętu jest Hitler?

– Nie mówię nic na pewno – odpowiedział Kohler. – Chcę tylko powiedzieć, że musimy zmienić tok naszego rozumowania. Rozważyć wszystkie możliwe scenariusze, które w jakikolwiek sposób wyjaśniałyby, czemu u licha na całym świecie nikt nie ma pojęcia, skąd wziął się koło New Jersey wrak U-Bootu z martwą załogą na pokładzie. Jeśli nie dopuścimy każdej dosłownie możliwości, nawet czegoś, co brzmi kompletnie absurdalnie, rozwiązanie zagadki może nam przejść koło nosa. Muszę wam powiedzieć, chłopaki, że ta cała sprawa jest i tak mocno pokręcona.

Na chwilę zapadła cisza. Kohler podniósł brwi w oczekiwaniu – był zdecydowany rozgryźć tę sprawę, nie zważając na żadne przeszkody. John,

kompletnie wykończony po powrocie z Niemiec, czuł, jak udziela mu się jego zaciętość i determinacja. Tymczasem Kohler stał w miejscu, wpatrując się nieruchomo w Chattertona. Co chwila lekko kiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „Uda nam się”. John zauważył, że nieświadomie mu potakuje. Od czasów Wietnamu nie zetknął się z takim duchem. Człowiek potrafił biec tam naprzeciw kulom wyłącznie dlatego, że był przekonany, że to, co robi, jest słuszne.

– No dobra, potrzeba nam scenariuszy – powiedział Chatterton, zrywając się z kanapy i pozwalając Kohlerowi zająć swoje miejsce. – Proponuję, żebyśmy zabrali się do ich układania.

John przypomniał im dwie całkiem niezłe teorie. Po pierwsze, 11 lipca 1942 roku patrol Cywilnej Obrony Powietrznej zatopił niezidentyfikowanego U-Boota. Wedle drugiej teorii, wrak mógł być *U-851*, okrętem dowodzonym przez szalonego kumpla Mertena, który łamiąc rozkazy, wziął kurs na Nowy Jork. Chatterton wyłożył im swój plan. Do początku sezonu nurkowego zostały jeszcze dwa miesiące. Mogli wykorzystać ten czas, żeby przeszukać pod kątem tych dwóch hipotez archiwa w Waszyngtonie.

O dziesiątej wieczorem doszli do wniosku, że pora już kończyć. Kiedy byli w drzwiach i zakładali kurtki, któryś rzucił:

– Myślicie, że tam naprawdę może być złoto?

Ktoś inny powiedział:

– Wyobraźcie sobie, co będzie, jeśli na pokładzie jest Hitler?

Trzeci rzucił na to:

– Cóż, skoro bierzemy to pod uwagę, trzeba się zastanowić, czy ci z „Weekly World News” nie mieli czasem racji. Może nasz U-Boot wpadł w fałdę czasoprzestrzeni i przypłynął prosto z Niemiec.

Wybuchnęli śmiechem. Wtedy John stwierdził:

– Jakiegolwiek by to było wyjaśnienie, wygląda na to, że będzie niesamowite. Tym razem się już nie śmieli, doskonale wiedzieli, że to prawda.

Kilka dni po walnym zebraniu w swoim domu Chatterton wrócił do archiwum w Waszyngtonie. W trakcie pierwszej wizyty szukał zapisków dotyczących wszelkich działań, jakie mogły mieć miejsce w promieniu piętnastu mil od wraku. Wrócił z pustymi rękoma. Tym razem zamierzał rozszerzyć obszar swoich badań do 30, a jeśli zajdzie taka konieczność, nawet do 60 mil. Szperał w

papierach przez cztery dni.

Nic nie znalazł. Nawet pojedynczej wzmianki. W promieniu 60 mil od wraku ani razu niczego nie zaobserwowano.

W czasie kolejnej wyprawy, tym razem w towarzystwie Yurgi, John skupił się na *U-851*, okręcie dowodzonym przez Weingärtnera. Merten był przekonany, że jego kolega popłynął w kierunku New Jersey, żeby polować na okręty wroga. Chatterton podzielił się teorią Mertena z szefem archiwum, Cavalcante'em, który od razu zainteresował się tym pomysłem i zabrał do własnych poszukiwań.

Czekając na wyniki poszukiwań Cavalcante'a, John postanowił zająć się teorią związaną z Cywilną Obroną Powietrzną. Postawił podstawowe pytanie: czy na początku lipca 1942 roku Niemcy wysłały jakiegokolwiek *U-Booty* na patrol wzdłuż Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych? Pilot z obrony utrzymywał, że to właśnie wtedy udało mu się zatopić *U-Boota* w pobliżu New Jersey. Odpowiedź na to pytanie kryła się w BdY KTB, dziennikach prowadzonych przez Główne Dowództwo Okrętów Podwodnych. Chatterton poprosił bibliotekarza o zbiór tych dokumentów.

Bingo. Jak się okazało, na wodach amerykańskich polowało wówczas kilka okrętów. Według dzienników, do Niemiec powróciły bezpiecznie wszystkie okręty poza dwoma – *U-157* i *U-158*. Obydwa należały do typu IX, tak jak odnaleziony przez nich wrak. John poprosił o raporty ataków dotyczące zatopienia tych dwóch okrętów.

Zgodnie z zapiskami marynarki wojennej, *U-157* został zatopiony na północny wschód od Hawany, 13 lipca 1942 roku, przez kuter Straży Wybrzeża. Zginęła cała 52-osobowa załoga. Incydent miał miejsce niemal dwa tysiące mil od znalezionej przez nich wraku. Wiarygodność ataku była nie do podważenia, było kilku świadków, udało się także wydobyć szczątki wraku, wszystko świadczyło, że okręt poszedł na dno w miejscu, w którym został zaatakowany. Chatterton stwierdził więc, że to niemożliwe, aby *U-157* był ich okrętem. Następnie sprawdził raport z ataku na *U-158*. Ten wyglądał zdecydowanie bardziej obiecująco. Trzydziestego lipca 1942 roku amerykański wodnopłat namierzył *U-158* w rejonie Bermudów. Na pokładzie opalało się kilkunastu członków załogi. Kiedy okręt w pośpiechu zanurzył się pod powierzchnię, pilot samolotu zrzucił dwie bomby głębinowe, jedna z nich spadła prosto na środek kiosku – był to niesamowity wyczyn, prawdziwy strzał w dziesiątkę. Bomba eksplodowała na zanurzającym się *U-Boocie*, niszcząc go i zabijając całą 54-osobową załogę. Według raportu, jedynym świadkiem wydarzenia był pilot

samolotu – nie natrafiono na żadne szczątki okrętu. Istniała więc możliwość, że *U-158* nie zatonął w miejscu, w którym doszło do ataku. Archiwum zamykano na weekend. John skopiował dokumenty i włożył je do szarej koperty z podpisem RICHIE. Kohler znakomicie nadawał się do zbadania ostatnich dni *U-158*.

Chatterton i Yurga spędzili w Waszyngtonie trzy dni. Zbierali się już do powrotu do New Jersey, kiedy do czytelnika wpadł z piorunującymi wieściami Cavalcante.

– Jak wiecie, usiłowałem znaleźć trochę informacji o *U-851*, tym dowodzonym przez przyjaciela Mertena – oznajmił Cavalcante. – W czasie wojny nasza siatka szpiegowska działająca w Niemczech zdobyła bardzo precyzyjne informacje dotyczące ładunku tego okrętu.

Nurkowie wstrzymali oddech. Kilka dni temu rozprawiali o złocie ukrytym na pokładzie *U-Bootów*.

– Okazuje się, że w ładowniach *U-851* była rtęć. Całe tony rtęci, która miała zostać dostarczona do Japonii – kontynuował Cavalcante. – Oszacowano nawet wartość ładunku po ówczesnych cenach. W 1945 roku ta rtęć była warta ładnych parę milionów dolarów.

Chatterton i Yurga o mało nie padli z wrażenia. Pracowali zawodowo jako nurkowie przemysłowi. Zaczęli zastanawiać się, w jaki sposób wypompować z wraku rtęć. Podziękowali Cavalcante'owi i pobiegli pędem do samochodu. Zanim Chatterton włożył kluczyki od stacyjki, zaczęli krzyczeć: „Jesteśmy bogaci!”. Jadąc do domu, opracowali plan działania. Yurga zorientuje się w aktualnych cenach rtęci. John skontaktuje się z prawnikiem, żeby ustalić formalności związane z przejęciem ładunku. Zachwycali się perspektywami zostania milionerami. Parę godzin później dostrzegli tablicę witającą ich w Pensylwanii. Byli tak podnieceni bogactwem, że z wrażenia przeoczyli zjazd z autostrady w stronę New Jersey.

Następnego dnia rano Yurga zadzwonił do ojca, który robił interesy z handlarzami surowcami wtórnymi, i spytał, czy mógłby dowiedzieć się, jaką wartość rynkową ma rtęć. Ojciec oddzwonił godzinę później. Rtęć była uznawana za szkodliwy odpad. Trzeba było płacić grubą gotówką, żeby się jej pozbyć. Chatterton i Yurga byli milionerami dokładnie przez dwanaście godzin.

Uzbrojony w kopię raportu ataku na *U-158*, Kohler wyruszył do Waszyngtonu na swoje prywatne poszukiwania. Nie chcąc powtarzać pracy, jaką John wykonał w NHC, Richie skierował swoje kroki wprost do Narodowego Urzędu ds.

Archiwizacji Danych (National Archives and Records Administration), miejsca, w którym przechowywany był oryginał Deklaracji niepodległości, konstytucja i większość najważniejszych dokumentów państwowych, w tym wiele związanych z morzem. Wiedział, że w tym archiwum znajduje się także wiele dokumentów niemieckich przechwyconych w czasie wojny. Kohler chciał sprawdzić, czy są wśród nich informacje o tym U-Boocie i jego dowódcy.

W kolejnych czytelnich, wśród wpisanych na listy użytkowników Kohler spostrzegł nazwiska kilku pisarzy i historyków, których książkami zaczytywał się od wczesnego dzieciństwa. Było to dziwne, jak na chłopaka z Brooklynu, który nawet nie otarł się o szkołę średnią. Poprosił o informacje dotyczące *U-158*. Bibliotekarze przynieśli mu stertę teczek i pudełek z mikrofilmami, prosząc, by przeglądał zdjęcia w białych rękawiczkach. Większość informacji była po niemiecku, toteż Kohler co chwila szturchał swoich sąsiadów, zadając pytania w stylu: „Przepraszam, czy to słowo oznacza »karabin maszynowy«?”, na co padały odpowiedzi typu: „Nie, to znaczy »papużka«”. Pracował jednak wytrwale, kopiując fragmenty odtworzonych dzienników okrętowych *U-158* dotyczących fatalnej misji i wcześniejszych patroli. Miał nadzieję, że dzięki temu uda mu się przejrzeć umysł kapitana okrętu, Erwina Rostina. Kiedy już opuszczał archiwum, musiał zatrzymać się na chwilę i poczekać, aż jeden z urzędników przystawi na jego notatkach pieczętkę z napisem „ODTAJNIONO”. Poczuł się trochę jak w powieści płaszcza i szpady, jak za dawnych dobrych czasów.

Kilka dni później ponownie spotkali się wieczorem u Chattertona. Podczas gdy Chatterton i Yurga siedzieli na kanapie, Kohler starał się zebrać owoce swoich poszukiwań w miarę spójną całość. Otóż, jak wiedzieli już wcześniej, 30 lipca 1942 roku amerykański wodnopłat patrolujący rejon Bermudów zrzucił bombę głębinową wprost na kiosk *U-158*. Według relacji pilota, bomba eksplodowała w momencie, kiedy kret zanurzał się pod wodę, niszcząc go i zabijając całą załogę.

– A jeśli – powiedział Kohler, obracając się na pięcie – *U-158* został tylko uszkodzony? Lub jeśli uniknął jakichkolwiek zniszczeń? Przyjmijmy, że uszkodzony został jedynie kiosk, a okręt mógł dalej płynąć. Co mogliby zrobić w takiej sytuacji?

– Próbować wrócić do Niemiec – stwierdził Yurga.

– Dokładnie – zgodził się Kohler. – Zwłaszcza że był to koniec patrolu, a na pokładzie nie mieli już torped. Ale było jeszcze lepsze wyjście. Otóż udało mi

się znaleźć informację, że *U-158* miał spotkać się na otwartym oceanie z „mleczną krową” – jednym z *U-Bootów* zaopatrzeniowych. Można więc przypuszczać, że *U-158* skierował się na północny wschód, żeby uzupełnić paliwo i inne zapasy, zgadza się?

– Zgadza się – przytaknął Chatterton.

– A co powiecie na to? – zapytał Kohler. – Uważam, że okręt ani nie popłynął do Niemiec, ani też na spotkanie z „mleczną krową”. Moim zdaniem kapitan Rostin pomyślał sobie: *Skoro jestem stosunkowo blisko Nowego Jorku, to czemu tam nie popłynąć i nie zatopić kilku amerykańskich statków z działka pokładowego*. Wziął kurs na północ, w kierunku Nowego Jorku. Dopłynął na wysokość New Jersey i wtedy dostrzegł go i trafił pilot z patrolu Cywilnej Obrony Powietrznej. Teraz *U-158* był naprawdę poważnie uszkodzony. Podpłynęli z trudem jeszcze kilkadziesiąt mil, w końcu jednak stracili kiosk i poszli na dno – dokładnie tam, gdzie leży nasz wrak. Pilot z patrolu nigdy nie dostał nagrody, dlatego że zatopienie okrętu przypisano pierwszemu samolotowi.

– Dobra, dobra, chwileczkę – przerwał Chatterton. – Jaki kapitan o zdrowych zmysłach wziąłby uszkodzony okręt podwodny bez torped i skierował się w stronę Nowego Jorku, kiedy miał okazję go zreperować lub po prostu uciec na wschód?

– W takim razie opowiem wam teraz o tym kapitanie – odparł Kohler. – Sporo się o nim dowiedziałem. Facet nazywał się Erwin Rostin. Kilka miesięcy wcześniej, w czasie swojego pierwszego patrolu, zatopił cztery okręty. W trakcie tego patrolu zatopił trzynaście. Żaden inny dowódca w dziejach *U-Bootów* nie zebrał równie krwawego żniwa w trakcie zaledwie dwóch patroli. Rostin był stuprocentowym łowcą trofeów. Załatwiał okręty alianckie jak na strzelnicy. Rozwalił z karabinu maszynowego hiszpańską jednostkę i wziął jej kapitana do niewoli! Czytałem o wielu słynnych kapitanach *U-Bootów*, o tym, jak się nigdy nie poddawali i że uznawano ich za pokolenie niezniszczalnych twardzieli. Ale Rostin był wyjątkowy, nikt nie był w stanie go powstrzymać. Nadano mu Krzyż Rycerski przez radio, kiedy jego *U-Boot* był jeszcze na morzu. Rostin nie miał zamiaru płynąć do domu. Był zaledwie tysiąc mil od Nowego Jorku i wciąż miał wrogów, których musiał zniszczyć.

Chatterton i Yurga dosyć sceptycznie odnieśli się do zaproponowanego przez Kohlera scenariusza. Byli przekonani, że żaden kapitan, dysponując tak małą ilością paliwa, nigdy nie zaryzykowałby swojego okrętu i życia swoich ludzi, by strzelać do statków wroga z działka pokładowego. Zarzucili Kohlerowi, że

historia dwukrotnie trafionego okrętu konającego w końcu w miejscu, w którym spoczywał tajemniczy wrak, zakrawa raczej na fantazje Toma Clancy'ego. Kohler nie odpowiadał na ich zarzuty. Poprosił tylko, żeby wzięli poprawkę na to, że były to czasy, kiedy cały świat uznawał U-Booty za niezwyciężone. Epoka, w której kapitanowie U-Bootów urastali za życia do rangi legendy. Pisano o nich książki, nagrywano audycje radiowe, poświęcano im wspomnienia, pierwsze szpalty gazet i urządzano parady wojskowe na ich cześć. Chatterton nie do końca zgadzał się z teorią Kohlera, ale udzielił mu się jego entuzjazm, zwłaszcza kiedy patrzył na kumpla wymachującego ramionami i zaciskającego pięści. Kohler miał w jednym słusność – jeśli nie przyjmuje się pisanej historii za pewnik, nagle pojawia się całkiem sporo ciekawych możliwości.

Teraz przyszła kolej na Johna. Pogratulował Kohlerowi śmiałej teorii, łączącej *U-158* i zatopienie okrętu przez patrol Cywilnej Obrony Powietrznej. Zamierzał teraz przekazać im swoje argumenty, świadczące o tym, że wrak może być okrętem *U-851* dowodzonym przez znajomego Mertena, Weingärtnera.

– Merten dobrze go znał – stwierdził Chatterton. – Wiedział, że facet jest w głębi duszy myśliwym. Richie, wspomniałeś o tym, jak ważne jest, by znać dobrze człowieka. No więc, jeden z wielkich asów U-Bootów osobiście powiedział mi, że znał dobrze kapitana *U-851*, i jest przekonany, że ten popłynął do Nowego Jorku. Zgodnie z rozkazem okręt miał płynąć na Ocean Indyjski, dlatego w dokumentach nie ma żadnych wzmianek o *U-851* w rejonie naszego wraku. Weingärtner zignorował rozkazy. Kiedy zaginął, Niemcy uznali, że zatonął tam, gdzie go wysłano.

– Nie wierzę w coś takiego – oznajmił Kohler. – Żaden kapitan nie dopuściłby się takiej niesubordynacji. Trafiałby za to pod ścianę. Popłynąć okrętem do Nowego Jorku, kiedy otrzymało się rozkazy, by płynąć na Ocean Indyjski? To mocno naciągane. Czytałem sporo o kapitanach U-Bootów. Nigdy nie zetknąłem się z tym, żeby którykolwiek z nich tak postąpił.

Teraz odezwał się Yurga. On z kolei patrzył na to od strony technicznej. Specjalizował się w tym. Oto do czego doszedł.

– Mamy dwóch faworytów – oznajmił. – Richie obstawia *U-158*. John *U-851*. Wygląda na to, że nasz wrak musi być jednym z tych dwóch okrętów. Wydaje mi się, że wiem, jak to ustalić. Z tego, co udało mi się sprawdzić, *U-158* miał na pokładzie działko. Nie wszystkie jednak okręty typu IX je miały. Podczas następnego nurkowania poszukamy pozostałości po działku pokładowym. Jeśli

nasz U-Boot go nie ma, nie może być *U-158*. Proste.

– Jeśli to z kolei *U-851*, to powinien być okrętem typu IXD. Był to specjalny model, nazywany U-krążownikiem. Okręty tego typu były o jakieś 10 metrów dłuższe od zwykłych IX. Musimy po prostu zmierzyć taśmą długość kadłuba wraku. Jeśli ma 87 metrów, to U-krążownik. Jeśli ma mniej, to nie jest *U-851*. Wystarczy, że następnym razem trochę się rozejrzymy i trochę sobie pomierzemy i będziemy wiedzieli, na czym stoimy z naszymi dwiema teoriami.

Uścisnęli sobie dłonie i rozeszli się do domów. Tego wieczoru około północy Kohler wymknął się z łóżka i podreptał na palcach do kuchni. Odszukał na drzwiach lodówki karteczkę z numerem Johna. Było już trochę za późno, żeby dzwonić. Mimo to chwycił słuchawkę.

– John, tu Richie. Słuchaj stary, przepraszam, że dzwonię o tej porze... Kiedy byłem w archiwum, trafiłem na trochę zdjęć.

Kohler opisał zdjęcia, które widział: rękę marynarza U-Bootu leżącą na pokładzie amerykańskiego okrętu – samą rękę – z wyraźnym tatuażem na bicepsie; uśmiechniętego, brytyjskiego marynarza trzymającego wiadro pełne wnętrzności z podpisem głoszącym: „Wśród szczątków zatopionego U-Bootu znaleziono trzy metry ludzkich jelit i płuco”; ludzką wątrobę obok puszek czekoladek z niemieckich racji żywnościowych. Zwierzył się Chattertonowi, że od dawna już czytał o U-Bootach i, z bliżej niewyjaśnionych przyczyn, na podstawie tych lektur wyrobił sobie naiwny, idiotyczny obraz tonięcia okrętu podwodnego. Coś pęka, zaczyna przeciekać, marynarze trochę się miotają, po czym wszyscy w milczeniu idą na dno. Teraz patrzył na to trochę inaczej. Kiedy zobaczył te zdjęcia, pomyślał sobie o tych facetach w ich U-Boocie. Spytał Johna, o czym według niego myśleli marynarze przez ostatnie 30 sekund przed śmiercią.

Chatterton powiedział Kohlerowi, że też widział takie zdjęcia. Opowiedział mu o jednym, przedstawiającym 30 ludzi z załogi U-Bootu w tonącej tratwie ratunkowej, wyciągających ręce w kierunku statku wroga, który ich właśnie staranował. O zdjęciach pokazujących potworne uszkodzenia spowodowane przez bomby głębinowe. Najgorsze było to, stwierdził John, że wiele z tych zdjęć pochodziło z późnego okresu wojny, kiedy ci marynarze wypływali w U-Bootach, doskonale zdając sobie sprawę, że pewnie nie wrócą już do domu. Powiedział Kohlerowi, że nie potrafi sobie wyobrazić, co może czuć człowiek w takiej sytuacji.

Przez kilka chwil w słuchawce panowała cisza. Kohler jeszcze raz przeprosił, że zawraca głowę telefonami o tej porze. Chatterton powiedział mu, że nie ma

najmniejszego problemu.



26-letni kapitan Helmuth Neuerburg (salutuje po prawej) wraz z załogą podczas ceremonii oddania U-869 do służby. Arch. Herbert Guschewski

ROZDZIAŁ 9

CIEŻKI ŁUP

P

ierwszy rejs w nowym sezonie zaplanowany był na 24 maja 1992 roku. Do tej pory nurkowie przyzwyczaili się nazywać wrak U-Kto?, ale wszyscy, zwłaszcza John, żywili silne przekonanie, że już wkrótce zagadka zostanie rozwikłana. W martwym sezonie, między kolejnymi wypadami do archiwów w Waszyngtonie, Chatterton poszedł na całość i postanowił zadrzeć z samym diablem.

Przez całe dekady nurkowie oddychali ze swoich butli starym, dobrym, sprawdzonym powietrzem. Ostatnio jednak grupa ekstremalnych nurków z wód tropikalnych zarzuciła powietrze na rzecz mieszanki tlenu, helu i azotu, zwanej popularnie trimiksem. Trimiks nie był bynajmniej ich wynalazkiem, przystosowali po prostu do swoich potrzeb jedną z mieszanek stosowanych już wcześniej przez wojsko i nurków komercyjnych. Z tego, co słyszał Chatterton, w porównaniu ze zwykłym powietrzem trimiks dawał fantastyczne możliwości oddychania na dużych głębokościach:

- poszerzał pole widzenia,
- poprawiał zdolności motoryczne i koordynację ruchów,
- pozwalał na dłuższy pobyt na dnie,
- skracał czas dekompresji,
- obniżał ryzyko zatrucia tlenem i wynikającego z niego omdlenia,
- eliminował narkozę.

Chatterton był przekonany, że wykorzystanie którejkolwiek z tych zalet może zupełnie zrewolucjonizować nurkowanie na głębokich wrakach na północnym wschodzie. Wszystkie czyniły nurka kimś na kształt Supermana. Wystarczyło wyobrazić sobie badanie U-boota bez ciężącego, narastającego lęku przed narkozą, do tego dłuższe, lepsze i bezpieczniejsze nurkowanie niż kiedykolwiek dotąd. Gdy jeden z nurków z Florydy zaczął prowadzić w New Jersey warsztaty nurkowe poświęcone trimiksowi, Chatterton i Yurga od razu zgłosili się jako chętni.

Kohler mimo wszystko postanowił się wstrzymać. On również słyszał o trimiksie. Uważał, że jeśli coś brzmi zbyt pięknie, by było prawdziwe, to z pewnością mija się z prawdą. „To czarnoksiężstwo, czarna magia” – powiedział Chattertonowi. „Zamierzasz bawić się w eksperymenty na głębokości 70 metrów? We wnętrzu U-boota? Nikt nie zbadał wpływu tego gazu na ciało i umysł na tych głębokościach. Dostaniesz pęcherzyków, sparaliżuje cię albo trafi cię szlag”.

Chatterton i Yurga nie odstąpili jednak od swoich zamiarów. Warsztaty

prowadził Billy Deans, właściciel centrum nurkowego na Florydzie. W zamian za 100 dolarów uczestnicy kursu dostawali skoroszyt ze stertą kserokopii artykułów z gazet i tabel. Stosowanie trimiksu wiązało się z tak zwanym nurkowaniem technicznym – w uszach Chattertona zabrzmiało to całkiem znajomo. Zastępując część azotu helem, nurek znacznie zmniejszał ryzyko związane z narkozą, czyli przyczyną tak wielu wypadków w nurkowaniu z powietrzem. Trimiks i korzyści wynikające z jego stosowania były olbrzymim skokiem w poprawie bezpieczeństwa i wydajności.

Oczywiście ze stosowaniem tej mieszanki wiązało się też pewne ryzyko. Po pierwsze, nie było żadnych kursów nurkowania technicznego ani organizacji wydających odpowiednie certyfikaty. Nurek eksperymentujący z nową metodą był praktycznie zdany wyłącznie na siebie. Po drugie, nurkowie mogli zejść pod wodę zaledwie raz w ciągu dnia, nie dwa, jak zazwyczaj. Mechanizmy wysycania się helu z organizmu nie były bowiem jeszcze do końca poznane. Po trzecie, nurkowanie z zastosowaniem helu wymagało użycia wzbogaconych tlenem mieszanek dekompresyjnych, tzw. nitroksów, gdzie zawartość tlenu przekraczała 21%. Po czwarte, centra nurkowe na północno-wschodnim Wybrzeżu nie miały helu na składzie; jeśli ktoś chciał się zaopatrzyć w trimiks, musiał przyrządzić mieszankę samodzielnie. Poza tym nie było prawie żadnych tabel mówiących nurkom technicznym o czasie dekompresji, było to kolejne pole do eksperymentów i improwizacji.

Kiedy warsztaty miały się ku końcowi, Deans powiedział Yurdze i Chattertonowi:

– Chłopaki, jeśli się do tego zabierzecie, będziecie chyba jedynymi ludźmi w tej części kraju. Nie mamy pojęcia, jak to funkcjonuje w zimnych wodach. Musicie działać jako pionierzy.

Chatterton chciał być pionierem. Był przekonany, że w ciągu jednego, góra dwóch nurkowań uda mu się wyciągnąć z wraku coś, co pozwoli wreszcie odkryć jego tożsamość. Uważał też, że na jego barkach spoczywa coraz większa odpowiedzialność wobec rodzin członków załogi i historii. Wierzył też w nowe rozwiązania, a nurkowanie techniczne wydawało się pierwszym naprawdę nowym pomysłem od czasów kapitana Cousteau.

Kohler bał się o życie swoich kumpli. Błagał ich, by jeszcze raz przemyśleli sprawę – i tak nurkowanie we wraku przyniosło już wiele korzyści, po co niepotrzebnie ryzykować? Ostrzegał Johna, że mieszanie na tyle palnych gazów pod tak wysokim ciśnieniem może stać się przyczyną tragedii – pojedyncza iskra może spowodować eksplozję lub pożar. Jediną odpowiedzią Chattertona były

słowa:

– Richie, jeśli chodzi o tego U-Boota, to przyszłość widzę jedynie w trimiksie.

W lutym, kiedy przygotowywali się do zrobienia własnego zapasu trimiksu, dotarła do nich wiadomość od Straży Wybrzeża. Jakies sto mil od Atlantic City kuter rybacki wyciągnął ciało ubrane w suchy skafander, z butlami na plecach. Twarz nurka była doszczętnie zjedzona przez ryby, na powierzchni czaszki pozostała tylko cienka warstewka brązowawej substancji. W oberwanej żuchwie tkwiło jeszcze pięć zębów. Straż Wybrzeża zidentyfikowała ciało jako Steve’a Feldmana. Znalezione go może z pięć mil od U-Boota. Był tam od września.

W styczniu 1992 roku Chatterton i Yurga postanowili zrobić własną mieszanę gazów. Wypożyczyli półtorametrowe butle helu i tlenu od miejscowego dostawcy gazów przemysłowych, kupili specjalne, wytrzymałe wysokie ciśnienie rurki do gazów, złączki i doskonale skalibrowane manometry. Zamierzali robić trimiks w garażu Chattertona. Aby zapewnić sobie szansę na przeżycie w razie eksplozji, John postanowił stać na zewnątrz garażu i obsługiwać zawory butli przez okno lewą ręką.

– Jestem praworęczny – powiedział Yurdze. – Jeśli to rąbnie, to lepiej, żebym stracił lewą rękę.

Przez kilka tygodni Chatterton mieszał w garażu gazy. Za każdym razem, kiedy sięgał lewą ręką przez okno, wstrzymywał oddech i czekał na wybuch. Wkrótce stali się z Yurgą ekspertami w przygotowywaniu mieszanki 17-procentowego tlenu, 30-procentowego helu i 53-procentowego azotu. Byli przekonani, że zrewolucjonizuje ona ich nurkowanie. Odkupili tabele dekompresyjne od pewnego inżyniera, który odpracował je w ramach rozrywki – był jednym z może trzech osób w całym kraju, które się tego podjęły. Potem, uruchamiając wyobraźnię i ośmielając się ekstrapolować wyliczenia z tabel, opracowali system umożliwiający dwa nurkowania w ciągu dnia. Kupili większe i nowocześniejsze butle. Kiedy trochę się ociepliło, wzięli swój nowy sprzęt ze świeżo zmieszanym gazem i pojechali nurkować do kamieniołomów w Pensylwanii. Pracowali nad ustawianiem wyporności, dopasowywali sprzęt i przyzwyczajali się do oddychania magicznym gazem. W płytkiej wodzie w kamieniołomach ich umysły pozostały niezmacone, a koordynacja ruchów niezwykle precyzyjna. Na dnie Atlantyku jednak, nie mówiąc już o wnętrzu zatopionego U-Boota, mogło to wyglądać zupełnie inaczej.

Wieczorem 23 maja 1992 roku nurkowie zebrali się na pokładzie *Seekera*, szykując do pierwszej w nowym sezonie wyprawy na *U-Who*. Klepali się po plecach, opowiadali anegdoty z ostatnich kilku miesięcy i oglądali nowy sprzęt.

Wszyscy zasypywali Chattertona i Yurgę pytaniami o trimiks. Obydwaj odpowiadali tym samym zdaniem: „Tak, myślę, że przeżyjemy”. Kohler dotarł na pokład jako jeden z ostatnich. W porównaniu z Chattertonem wyglądał, jakby ukradł swój sprzęt z rekwizytorni nadawanego w 1958 roku programu „Sea Hunt”. Na plecach miał oczywiście znak Atlantyckich Nurków Wrakowych – czaszkę z pieszczelami.

– Kohler, niezły z ciebie dinozaur! – zawołał z pokładu John.

– Może i tak – odkrzyknął Richie, zerkając na nowe butle z gazem Chattertona. – Ale nie staram się wyginać.

Parę minut później wyłonił się Bill. Niewielu z nich miało okazję widzieć się z właścicielem *Seekera* od zakończenia poprzedniego sezonu. Wtedy zarzekał się, że skończy z piciem, wróci do formy i będzie znowu nurkował. Teraz wszystkich замуrowało, kiedy go zobaczyli. Na skórę wystąpiły mu żółte plamy wątrobowe, miał potwornie przetłuszczzone włosy, był straszliwie wychudzony i zmarnowany. Do tego śmierdział. Nie wziął ze sobą sprzętu do nurkowania. Wszyscy krzatali się, starając na niego nie patrzeć.

Warkot silników *Seekera* był dla nich niczym muzyka, nigdzie nie spało im się tak dobrze, jak na granatowych, poplamionych materacach pod pokładem – to właśnie na nich docierali tam, gdzie było ich miejsce. Bill i John zmieniali się na mostku za sterem. Chatterton opowiedział Nagle’owi o dwóch nowych faworytach – *U-158* i *U-851*, i o tym, że Crowell i Yurga planowali zmierzyć wrak i sprawdzić, czy są jakieś ślady po działku pokładowym – te dwie rzeczy miały przeważać szalę na korzyść któregoś z dwóch typów. Bill patrzył daleko przed siebie, czerwone światła przyrządów nawigacyjnych odbijały się w pijackich plamach na jego twarzy.

– *Seeker* mnie przerasta – stwierdził w końcu Bill. – Nurkowanie mnie przerasta. *Seeker* będzie trwał jeszcze długo po tym, jak odejdę.

John nie odpowiedział. Na szybkie sterówki osiadły bryzgi słonejskiej wody. Bill wciąż sterował, trzymając kurs na *U-Who*, najwspanialszy z wraków, jakie kiedykolwiek mógł znaleźć nurek.

Nurkowie ocknęli się rano i przywitali chwalebny dzień. Świeciło słońce, a ocean był gładki jak powierzchnia stołu. Przypuszczali, że widzialność na dnie będzie sięgać przynajmniej 30 metrów. Chatterton i Kohler zaczęli się ubierać. Już wiele tygodni temu postanowili nurkować razem i teraz wcielali ten plan w życie. Według rozeznania Johna, klapy wyrzutni torpedowych, okrągłe drzwi, które zamykano po wprowadzeniu torpedy do wyrzutni, powinny mieć na wierzchu tabliczki z numerem *U-Boota*. W trakcie pierwszego nurkowania

Chatterton miał prześlizgnąć się przez okręt aż do dziobowego przedziału torpedowego, filmując wszystko po drodze. Następnie miał przestudiować na górze nagranie, by za jego pomocą w trakcie drugiego nurkowania dotrzeć do samego końca przedziału i zerwać z klap wyrzutni tabliczki. Jeśli będą mieli szczęście, tabliczki ujawnią tożsamość wraku. Plan był typowy dla Johna: sfilmować, przestudiować i wrócić w to samo miejsce. Kohler z kolei planował zająć się rufą, przeszukać rufowy przedział torpedowy i spróbować odnaleźć tabliczki znamionowe i inne przedmioty. Do mierzenia wraku miał zabrać się Danny Crowell, podczas gdy Yurga będzie szukał śladów działka pokładowego. Do końca dnia wszystkie tajemnice powinny zostać ujawnione.

Chatterton i Kohler wskoczyli do wody tuż po świcie. Żaden z nich nie widział jeszcze tak spokojnej i przejrzystej wody na Atlantyku – zupełnie tak, jakby ocean przygotował się specjalnie na ten dzień. Trimiks Johna płynął do jego płuc i mózgu, dokładnie tak, jak przewidywała teoria, nie mącąc myśli i powstrzymując narkozę. Przy tej niesamowitej widzialności na głębokości 30 metrów ogarniali wzrokiem cały wrak, od końca do końca. Poza śmiertelną raną w burcie okręt wyglądał, jakby był gotowy do bitwy. Stalowy węgorz, uzbrojony w torpedy i działa, podstępny i zabójczy. Do tej pory w mętnej, wirującej wodzie oceanu mieli okazję oglądać jedynie kilkumetrowe odcinki kadłuba – teraz po raz pierwszy ujrzeli maszynę wojenną w całej okazałości. Zeszli niżej. Na głębokości 45 metrów, na widok ziejącej w kabine nawigacyjnej dziury poczuł całą grozę ostatnich chwil U-Bootu. Dopiero teraz, przy tak wyśmienitej widzialności, byli w stanie w pełni ocenić ogrom zniszczenia okrętu. Popatrzyli po sobie z okrzykiem „Jezus Maria!” na ustach.

Zeszli do wraku i przywiązali kotwicę. Chatterton był wciąż zafascynowany jasnością widzenia i precyzją ruchów rąk. W ogóle nie czuł narkozy. Kohler patrzył na niego, spodziewając się dostrzec objawy delirium i inne symptomy, pojawiające się u osób igrających z czarną magią. John uśmiechnął się i dał mu na migi znać, że wszystko jest w porządku. Rozdzielili się i ruszyli każdy w swoją stronę.

Chatterton dotarł do kabiny nawigacyjnej, przepłynął przez kajutę kapitana i kajutę oficerskie. Po raz kolejny zobaczył piętrzące się szczątki ludzkie, czaszki, stopy, żebra i piszczele. Tym razem, po przeprowadzonych w zimie badaniach, czuł więź z tymi kośćmi. Tak jakby wracał do domu znajomej rodziny. Czytał listy marynarzy, widział zdjęcia ich twarzy, kiedy zanurzali się pod wodę na tonących tratwach ratunkowych. Po raz pierwszy poczuł, że ci ludzie nie będą wzbraniać się przed tym, żeby poznał ich imiona.

Prześlizgiwał się przez kolejne przeszkody, omijając zwisające druty i poszarpane kawałki metalu; w końcu dotarł do przedziału torpedowego na dziobie. Oddychając trimiksem, czuł się niepokonany. Korciło go, by przeć naprzód i od razu popłynąć po tabliczki, które miał nadzieję znaleźć przyłączone do klap wyrzutni torpedowych. Ale postanowił pozostać przy starym planie i sfilmować wnętrze pomieszczenia, zdając sobie sprawę, że kamera może uchwycić pułapki nawigacyjne, które warto będzie przestudiować na górze. Kręcił jeszcze przez kilka minut, po czym zawrócił, wydostał się z wraku i zaczął wynurzać na powierzchnię.

Tymczasem Kohler dostał się do torpedowni rufowej i zaczął w niej swoje poszukiwania. Tak jak poprzednim razem w tym miejscu, znalazł kość udową, a potem czaszkę i jeszcze kilka innych kości. Rok temu na widok tych szczątków ciarki przeszłyby mu po plecach. Teraz jednak, po tym, jak przekopał się przez życiorysy członków załogi U-Bootów, wydawało mu się, że pomieszczenie tętni życiem. Patrząc na czaszki i kości, Kohler wyobrażał sobie kraciaste posłania, na których spali marynarze, i słyszał echo pieśni.

Spędził mniej więcej 20 minut, szukając jakichś wskazówek, niczego jednak nie znalazł. Już na pokładzie *Seekera* porównali z Johnem swoje wyniki. Obydwaj spędzili w wodzie około 90 minut. Trimiks pozwolił Chattertonowi spędzić we wraku pół godziny, podczas gdy Kohler już po 22 minutach musiał rozpocząć dekompresję.

– To było jak nurkowanie na Karaibach, Richie – stwierdził John. – Jasny umysł. Pewność ruchów. Zero narkozy.

– Zostanę przy sprzęcie, z którym się tutaj pojawiłem – odpowiedział Kohler.

W tym czasie Crowell przygotowywał się do zejścia do wody i zmierzenia wraku. Yurga był już ubrany i w pełni gotowy do nurkowania w poszukiwaniu śladów działka pokładowego. Yurga przyjechał w towarzystwie jednego z klientów sklepu nurkowego, w którym pracował. Facet nazywał się Lew Kohl, pracował jako lekarz w pogotowiu. Również zamierzał oddychać trimiksem.

– Przekonany, że da sobie radę? – szepnął Chatterton do Yurgi.

– Używał już w tym roku trimiksu, tyle że na płytszych wodach. Mówi, że jest gotów. Będę nurkował razem z nim – odpowiedział Yurga.

Kohl poprawił maskę, włożył do ust aparat i skoczył bokiem z burty. John i Richie nie byli w stanie uwierzyć w to, co stało się potem. Zamiast wystrzelić na powierzchnię, tak jak większość nurków po skoku do wody, Kohl pomknął na dno oceanu niczym kotwica. Nurkowie na pokładzie od razu domyślili się, co się

stało: nie ustawił odpowiedniej wyporności dla swojego sprzętu z trimiksem. Wpadł jak kamień w wodę.

Słowem znalazł się w niezłych opałach. Wściekle szybki wzrost ciśnienia słupa wody sprawiał, że ściśnięty suchy skafander opadającego na dno nurka oblepiał go niczym druga skóra. Gwałtowna kompresja wyrywała z ust automat oddechowy, miażdżyła zatoki i naczynia krwionośne, sprawiała, że pękały bębniaki, i wywoływała wymioty i skurcze. Wszystko to działo się, jeszcze zanim nurek zdążył dotknąć dna.

– O cholera, już po nim – stwierdził Kohler. – Lew Kohl jest już trupem.

Ale Chatterton zauważył, że Kohl wylądował i wciąż oddycha – widział bąbelki jego powietrza. Skupił się w sobie i starał przeanalizować całą sytuację. Powoli, niczym działający w krytycznej sytuacji sanitariusz w Wietnamie.

– Popatrzycie na jego bąbelki. Łazi po dnie, rozglądając się za wrakiem, czyli żyje – powiedział. – Yurga, dam ci linę. Będziesz śledził bąbelki i zejdziesz po niego.

– John, to zbyt niebezpieczne – odpowiedział Yurga. – Po raz pierwszy nurkuję z trimiksem.

– Dam ci linę i będę cały czas trzymał jej drugi koniec. Ani Richie, ani ja nie możemy wrócić teraz do wody. Musisz zejść do wody, płynąć za bąbelkami i go dorwać.

Yurga skoczył. Kiedy zataczał spirale, śledząc linię bąbelków, Kohl uwolnił się z pasa balastowego i jako dodatnio wyporny zaczął się wynurzać. Na głębokości 45 metrów skończyło mu się powietrze, z jego aparatu przestały wydobywać się bąbelki. W tym momencie Kohl przestał przejmować się protokołem nurkowania i zdecydował się wystrzelić w górę, ku słońcu. Kilka sekund później przebił się na powierzchnię.

– Pomknął jak rakietka! – zawołał Kohler. – Jeśli przeżyje, nie uchroni się przed pęcherzykami.

Kohl zaczął trzepotać się i miotać na powierzchni. Nie wymiotował jednak ani nie miał drgawek, toteż John doszedł do wniosku, że pęcherzyki nie są aż tak poważne.

– Był w wodzie może z pięć minut, jeszcze ma szanse – krzyknął Chatterton.

Kohl nie dał rady płynąć. Tom Packer i Steve Gatto dali nura do wody, wciągnęli go po drabinie i położyli na stole ze sprzętem.

– Dajcie mi stetoskop i apteczkę – zaordynował John. Kohler rozciął suchy skafander Kohla. Chatterton sprawdził, czy Kohl daje jakieś oznaki życia, i

zaczął robić notatki dotyczące nurkowania i stanu pacjenta – mogły się przydać później lekarzom. Pisząc w notesie, nie przestawał pytać dobitnym głosem:

– Lew, powiedz, czy cię boli? Słyszysz mnie, Lew?

Kohl nie odpowiadał. Chatterton poprosił Nagle’a, by wezwał helikopter ratunkowy Straży Wybrzeża. Wepchnął Kohlowi w gardło kilka tabletek aspiryny, zmusił go do wypicia pokaźnej ilości wody, żeby obniżyć objętość gazu we krwi, po czym założył mu na twarz maskę tlenową. Wziął stetoskop i zaczął osłuchiwać Kohla, czekając na charakterystyczne bulgotanie, oznaczające zatrzymanie krążenia. Jakąś minutę potem Kohl ocknął się, jak gdyby nigdy nic – niczym trup reanimowany w laboratorium szalonego naukowca.

– Lew, wzywamy dla ciebie helikopter – powiedział Chatterton.

– Nie, nie ma takiej potrzeby – odpowiedział Kohl. – Wszystko w porządku. Już dochodzę do siebie. Nie mam żadnych symptomów.

– W tej chwili wszystko jest w porządku – stwierdził John. – Podtrzymujemy cię w tym stanie, podając ci aspirynę i tlen. Czekają cię jednak pęcherzyki. Nie da się zrobić tego, co zrobiłeś, i wyjść z tego cało. Musimy zawieźć cię do szpitala.

Chatterton zaśwycił latarką po oczach Kohla.

– Nie widzę niczego, co świadczyłoby o jakichkolwiek uszkodzeniach układu nerwowego – stwierdził. – Ale będziesz miał pęcherzyki. To tylko kwestia czasu.

Nurkowie podtrzymywali Kohla na duchu, jednocześnie cały czas podając mu tlen i wodę. Z każdą minutą Kohl wyglądał lepiej i zdrowiej. Minął jakiś czas. Bill wystawił głowę ze sterówki i oznajmił, że helikopter straży jest już w drodze.

– Jezu, chłopaki, strasznie mi głupio – powiedział Kohl. – Zepsułem wam całą wyprawę. Jak wrócimy, stawiam wszystkim kolejkę.

John uśmiechnął się i powierzył na chwilę Kohla opiece innego nurka. Przeszedł na rufę *Seekera*, żeby pomóc Yurdze wspiąć się na pokład. Yurga pomachał do niego, był jeszcze mniej więcej 60 metrów za rufą. Chatterton chciał mu odmachać, ale ręka zamarła mu w powietrzu. Od tyłu szarżował na Yurgę sześciometrowy potwór.

– Rekin! – wrzasnął John. – Yurga! Za tobą! Rekin!

Yurga obrócił się do tyłu akurat w momencie, kiedy rekin zanurzył się pod wodę.

– Co takiego? – zawołał. – Nic nie widzę!

Rekin wynurzył się na powierzchnię, był jeszcze bliżej Yurgi.

– Rekin! Za tobą! – wrzeszczał Chatterton.

Yurga znów się obrócił i znów trafił na moment, kiedy rekin był pod wodą.

– Przestań sobie ze mnie robić jaja! – krzyknął Yurga. – Ej, no, opanuj się!

Mimo iż rekin był coraz bliżej, John nie był już w stanie powstrzymać się od śmiechu.

– Płyń, Charlie, płyń! – wrzeszczał, cytując tekst z filmu „Szczęki”.

Yurga płynął. Rekin za nim. Yurga płynął tak szybko, jak tylko mógł. W końcu rekin dał za wygraną, zawrócił i zniknął.

Bill odciął linę kotwiczną i ruszył na spotkanie helikoptera Straży Wybrzeża. Kohl wyglądał coraz lepiej. W końcu zabrał go helikopter. Poza wywołanym przez pęcherzyki bólem w stawach nie miał żadnych dolegliwości. Najprawdopodobniej ocaliło go to, że spędził na dnie bardzo mało czasu. Gdyby był tam dłużej i potem wystrzelił na powierzchnię bez dekompresji, cała zabawa przygoda skończyłaby się zapewne dosyć tragicznie. Przez to wszystko stracili najlepszy dzień na nurkowanie, jaki kiedykolwiek im się przytrafił. Crowell nie dał rady zmierzyć wraku, Yurga nie sprawdził działka pokładowego, a Chatterton nie popłynął do dziobowego przedziału torpedowego po swoje tabliczki. Sezon dopiero się jednak zaczął. To było właśnie dobre w nurkowaniu. Póki żyjesz, zawsze możesz popłynąć na kolejną wyprawę.

Bill zarezerwował następny termin na 9 czerwca 1992 roku. Doktor Kohl stwierdził, że wystarczy mu oglądania U-Bootów na całe życie. Zamiast niego popłynąć miało dwóch innych nurków, o których ani Chatterton, ani Kohler nigdy wcześniej nie słyszeli.

Byli to 39-letni Chris Rouse i 22-letni Chrissy Rouse, ojciec i syn. Obydwaj szczupli, o wyraźnie śródziemnomorskiej urodzie, byli do siebie tak podobni, że często brano ich za braci. Kiedy się uśmiechali, wyglądali zupełnie jak bliźniacy, ich zwężone źrenice kryły się pod gęstwiną ciemnych, niesfornych brwi. Śmiali się dużo. Kłócili jeszcze więcej.

Żarli się między sobą bezustannie, obrzucali obelgami, epitetami i wulgaryzmami pod byle pretekstem, czasami nawet bez najmniejszego powodu – miejsce i okoliczności były tu bez znaczenia.

– Najlepsza z ciebie całego była ta plama, którą zostawiłem na materacu – potrafił rzucić Chris przy wszystkich nurkach na pokładzie.

– Nawet nie możesz się ze mną równać, ty jebany staruchu – odpowiadał w takich sytuacjach Chrissy.

– Masz szczęście, że odziedziczyłeś po mnie trochę urody, inaczej nic by ci nie wyszło z żadną babą – brzmiała odpowiedź Chrisa.

– Ty po prostu miałeś szczęście, że udało ci się trafić na mamę, stary pierdzielu – rzucał na to Chrissy.

I tak dalej, i dalej, dopóki ludzie nie zaczęli ich nazywać Pieniaczami. Niektórzy nurkowie byli przerażeni latającymi w powietrzu bluzgami. Dla innych były one znakomitym źródłem rozrywki. Chatterton i Kohler byli wiernymi kibicami tych widowisk.

Pomijając to wszystko, Rouse'owie byli wyśmienitymi nurkami. Zaczęli swoją przygodę jako nurkowie jaskiniowi. Sport ten wymagał niezwyklej precyzji i znakomitego opanowania zasad bezpieczeństwa. Nurkujący w jaskiniach ze względu na nieprzewidywalność i ciężkie warunki na ogół nie nurkowali na wrakach¹. Rouse'owie byli wyjątkowi, pociągało ich odkrywanie historii i możliwość zdobycia fantów. Na ogół nurkowie jaskiniowi, mierząc się z wrakami, zabierali się do tego dosyć bezmyślnie. Z uporem maniaka usiłując wykorzystać techniki i zachowania, do których przywykli w jaskiniach, Rouse'owie podeszli do tego inaczej. Palili się, by nauczyć się czegoś nowego. Tak jak wielu nurków z Florydy mieli spore doświadczenie w nurkowaniu technicznym i oddychaniu trimiksem i chętnie dzielili się swoimi doświadczeniami i spostrzeżeniami dotyczącymi teorii.

Kiedy skakali do wody, widać było, że są tej samej krwi. Nurkowali w zespole i wszyscy zobaczyli, że rozwinęło się u nich coś na kształt szóstego zmysłu. Rozumieli się bez słów, tak jak potrafią to robić ludzie, którzy spędzili całe życie pod jednym dachem. Pod wodą byli zawsze lojalni wobec siebie, każdy z nich był gotów poświęcić się dla dobra drugiego. Ta niesamowita jednomysłność – wspólna miłość – sprawiała, że byli chyba najbardziej niesamowitą parą wśród wszystkich nurków.

Kiedy Bill zaprosił ich do udziału w wyprawie na *U-Who*, Chrissy zapalił się, by rozwikłać zagadkę. Powiedział Johnowi, że chciałby zidentyfikować wrak, by zapisać się na kartach historii i unieśmiertelnić nazwisko Rouse'ów. Tym razem ojciec był z nim wyjątkowo zgodny.

– Oni mają talent i naprawdę są w stanie tego dokonać – powiedział Chatterton Kohlerowi. – Być może to właśnie im się uda.

Czerwcową pogodą nawet nie porównywała się do tego, co było w maju, ale nurkowie nie zamierzali rezygnować ze swoich planów. John miał zająć się dziobowymi wyrzutniami torped i odszukać tabliczki znamionowe. Kohler miał szukać innych przedmiotów, mogących pomóc w identyfikacji. Crowell miał mierzyć wrak, a Yurga sprawdzić, czy na pokładzie *U-Who* było zamontowane działko. Rouse'owie mieli zabrać się do przeszukiwania wnętrza wraku i zacząć

się uczyć topografii U-Bootu.

Tak jak poprzednio Chatterton i Kohler skoczyli pierwsi i zabezpieczyli kotwicę. Tym razem jednak Richie popłynął razem z Johnem na dziób, skanując wzrokiem miejsca, w których członkowie załogi trzymali dokumenty i rzeczy osobiste. Chatterton przepłynął przez dziób okrętu do przedziału torpedowego, w kierunku kłap wyrzutni torpedowych. W miejscu, w którym poprzednio nic nie dostrzegł, zauważył teraz biały zarys czegoś, co mogło być tabliczką znamionową. Wziął nóż i delikatnie wsunął ostrze pod kawałek metalu. Posypało się trochę białych płatków, na powierzchni kłapy został zarys tabliczki. Tabliczki jako takiej natomiast nie było. Korozja przeżarła metal do tego stopnia, że pozostał jedynie jego zarys. John był załamany. Sprawdził kłapy trzech pozostałych wyrzutni torpedowych. Dokładnie ta sama historia. Pół wieku działania słonej wody i sztormów pożarło odpowiedź. Kończąc nurkowanie, Chatterton był do głębi zniesmaczony. Zebrał niezbite dowody istnienia tabliczek i opracował staranny plan ich zdobycia, a teraz okazywało się, że wyprzedziła go natura.

Działający kilka metrów dalej Kohler miał nieco więcej szczęścia. W pomieszczeniach zajmowanych przez podoficerów odkrył szafkę pełną butów i oficerek. Wszystkie równiutko poustawiane – lewy-prawy, lewy-prawy – dokładnie tak jak zostawili je ludzie załogi. Wziął jeden z butów, mając nadzieję, że marynarz wypisał w jego środku swoje nazwisko.

– Wygląda na to, chłopaki, że nie korzystacie już z tych butów, więc pozwolę sobie zatrzymać jeden z nich – wyjaśnił pełnej szczątków kajucie.

Następnie podpłynął do spoczywającego na piasku obok kadłuba kiosku. W jego wnętrzu natknął się na podobne do rowerowego siodło. Od razu domyślił się, że to miejsce, na którym siedział przy peryskopie bojowym kapitan okrętu. *Być może to właśnie tu zginął kapitan – powiedział sobie. Jeśli ten U-Boot zatonął w trakcie ataku, to właśnie tutaj powinien siedzieć ten facet.* Ponieważ siodło pozbawione było jakichkolwiek znaków szczególnych, Kohler postanowił zostawić je na miejscu. Przy linii kotwicznej spotkał Johna. Potrząsnęli do siebie głowami. Żaden nie rozwikłał zagadki.

W czasie gdy Chatterton i Kohler przeprowadzali dekompresję, do roboty przystąpili Yurga i Crowell. Crowell zabrał się do mierzenia wraku. Przyczepił koniec taśmy mierniczej na dziobie okrętu i zaczął płynąć w kierunku rufy, odwijając taśmę z kołowrotka. Przed zejściem pod wodę przyczepił do taśmy znaczek przy podziałce 250 stóp

(76 metrów). Była to długość zwykłego U-Bootu typu IX. Jeśli ich okręt był

dłuższy, byłaby to poważna przesłanka świadcząca o tym, że mają do czynienia z wrakiem *U-851*, jednego z nielicznych krążowników typu IXD, dowodzonego przez Weingärtnera, zbuntowanego kolegę Mertena.

Crowell płynął w kierunku rufy, pozwalając powoli rozwijać się taśmie. Dopływał już do samego końca okrętu, kiedy poczuł szarpnięcie. Popatrzył na kołowrotek. Na taśmie pojawił się przyczepiony przez niego znaczek. Czyli wrak miał około 76 metrów długości. U-krążowniki były o 8 metrów dłuższe. *U-851* odpadał.

Kiedy Crowell przygotowywał się do wynurzenia, Yurga siedział w przedniej części rozwalonej kabiny nawigacyjnej. Starannie przestudiował plany pokładów okrętów typu IX i doskonale wiedział, gdzie szukać podstawy działka pokładowego, które zamontowane było na *U-158*, okręcie dowodzonym przez niezwykle śmiałego Erwina Rostina. Yurga przeczołgał się wzdłuż szczytu wraku, odtwarzając w myślach slajdy, które pochłaniał przez cały martwy sezon niczym kryminały. Dokładnie obejrzał cały kawałek pokładu. Nie było cienia wątpliwości: ten U-Boot został na sto procent zbudowany bez działka pokładowego. W ciągu zaledwie 20 minut legły w gruzach dwie teorie, z którymi nurkowie wiązali największe nadzieje.

Zebrali się na pokładzie. Wszyscy byli kompletnie zbici z tropu, jeden bardziej od drugiego. Cała zima intensywnych badań na nic się zdała. Żaden z nich nie był w stanie wymyślić niczego bardziej konstruktywnego niż dwie teorie, które musieli właśnie odrzucić. Z ciężkimi sercami obejrzelili wnętrze wydobytego przez Kohlera buta. Tak jak się można było spodziewać, nie dało im to żadnych informacji. Po chwili na powierzchnię wynurzyli się Rouse'owie. Ani ojciec, ani syn nie znaleźli niczego ciekawego. Chatterton i Kohler zanurkowali jeszcze raz, ale też prawie nic nie znaleźli. Łódź wzięła kurs na Brielle. Nurkowie wiedzieli, że lato jest już za pasem, co oznaczało, że Bill zacznie pływać *Seekerem* na *Dorię*. Żył z tego. Nie byli w stanie przewidzieć, kiedy łódź będzie znowu do ich dyspozycji i kiedy będą mogli popłynąć po raz kolejny na *U-Who*.

Następnego dnia po powrocie z *U-Who* Chatterton napisał list do Karla-Friedricha Mertena. Wyjaśnił, że zmierzili wrak i stwierdzili, że nie może być to *U-851*, którym według Mertena Weingärtner popłynął do Nowego Jorku. Merten odpisał, wyrażając wdzięczność za podjęte przez Johna wysiłki, napisał też, że jego argumenty są przekonujące. Postanowił nie dzwonić jednak do majora Gregory'ego Weidenfelda z Cywilnej Obrony Powietrznej. Wprawdzie

nurkowie skreślili z listy

U-158, wciąż jednak dopuszczali możliwość, że okręt został zatopiony przez patrol.

Przez kolejne trzy miesiące Bill pływał na *Dorie*, a wtedy, kiedy miał wolne terminy, żeby popłynąć na *U-Who*, nie pozwalała na to pogoda. Chatterton wciąż nie mógł się pogodzić z tym, że tabliczki z klap wyrzutni torped kompletnie skorodowały, zwłaszcza że do tej pory myślał, że były zrobione z mosiądzu. W Południowej Karolinie udało mu się odnaleźć starego weterana *U-Bootów*, który pracował przez pewien czas w jednej z niemieckich stoczni. Człowiek ten wytłumaczył mu, że kiedy zaczęło brakować mosiądzu, tabliczki robiono z resztek innych materiałów, kiepskiej jakości metalu, który nie miał szans przetrwać zbyt długo w warunkach morskich. John podziękował mu i chciał się już pożegnać, kiedy mężczyzna przerwał mu w pół słowa.

– Jeszcze jedna rzecz, jeśli mogę – powiedział weteran.

– Oczywiście. Słucham? – zapytał Chatterton.

– Dziękuję za to, co robicie. Dziękuję, że zajęliście się tymi chłopakami tam, na dole. Oni nie mają nikogo poza wami.

Po ostatniej podróży na *U-Who* troska o poległych marynarzy coraz częściej pojawiała się w myślach Johna i Richiego. Żaden z nich nie przyznał się do tego otwarcie, ale powoli zaczęła do nich docierać ponura prawda: mieliby zdecydowanie większe szanse na zidentyfikowanie wraku, gdyby zaczęli przeszukiwać zwłoki. Wiele kości spoczywało jeszcze w szczątkach ubrań, w kieszeniach mogły być portfele, monety, listy miłosne, grawerowane zegarki kieszonkowe i masa innych rzeczy. Tego typu przedmioty mogły przetrwać we wraku dziesiątki lat. Kompletnie sfrustrowani i pozbawieni jakichkolwiek innych pomysłów, Chatterton i Kohler zaczęli fantazje domysły, co mogło kryć się wśród kości.

John zadzwonił do Richiego i zaprosił go na spotkanie do Scotty's Steakhouse, popularnej knajpki w pobliżu.

– Chcesz pogadać o tych ludziach? Mam rację? – zapytał Kohler.

– Tak – odpowiedział Chatterton. – Chyba już czas.

Następnego dnia pod wieczór siedli nad rostbefem z pieczonymi ziemniakami. Zaczęli dyskutować nad perspektywą grzebania w szczątkach członków załogi. Kości wyglądały na dobrze zachowane. Przedmioty osobiste wciąż pewnie były gdzieś między nimi. Pozostawało pytanie, jak obchodzić się z tymi szczątkami. Oznajmili swoje opinie.

– Według mnie, bez względu na wszystko nie powinniśmy ruszać tych

szczątków – stwierdził Kohler.

– Zgadzam się – powiedział John. – Zostawiamy je w spokoju. Nawet jeśli przez to nigdy nie uda nam się rozwikłać tajemnicy.

Siedzieli w milczeniu, zaskoczeni swoją jednomyślnością i zdecydowaniem. Po chwili zaczęli wyjaśniać sobie nawzajem, w jaki sposób doszli do tego wniosku. Wyszło na to, że kierowali się tymi samymi pobudkami. Debatowali tak ładnych parę godzin. W końcu ustalili pięć rudymmentarnych zasad, których należało za wszelką cenę przestrzegać:

1. Szacunek dla członków załogi. Ludzie z U-Boota byli marynarzami. Narazali swoje życie w służbie swojemu krajowi. Robiąc to, zasłużyli na szacunek i prawo do spokojnego spoczynku.

2. Szacunek dla ich rodzin w Niemczech. Żaden z nurków nie mógł pozwolić sobie na to, by przyznać komukolwiek z rodziny członka załogi, że rozwikłał tajemnicę, grzebiąc w kieszeniach ciała ich bliskiego. Nie zamierzali też okłamywać nikogo z rodziny, twierdząc, że nie dopuścili się czegoś takiego, gdyby to jednak zrobili.

3. Uszanowanie dla członków bractwa głębin. Jako marynarze okrętu podwodnego ludzie z załogi U-Boota podjęli się wszelkiego ryzyka, związanego z życiem pod powierzchnią oceanu. Nurkowie działali w tym samym miejscu, rządzą się tymi samymi prawami, stawiali czoła tym samym niebezpieczeństwom. Dzięki temu czuli braterską więź ze szczątkami i mieli poczucie, że powinni je chronić.

4. brona wizerunku nurków wrakowych. Odkrycie *U-Who* stało się sensacją na skalę międzynarodową, a Chatterton i Kohler zostali emisariuszami nurkowania. Ich postępowanie odbija się na długie lata na całym sporcie.

5. Postępowanie w imię dobra. Ich poświęcenie dla rozwiązania zagadki zrodziło się z chęci zrobienia czegoś dobrego dla poległych marynarzy. Pogwałcenie spokoju ich szczątków w celu znalezienia odpowiedzi byłoby zaprzeczeniem ideałów, którymi kierowali się od samego początku.

John i Richie zgodzili się co do prostych zasad postępowania. Jeśli zobaczą coś, co pozwoli na identyfikację, leżące, powiedzmy, za czaszką, przesuną czaszkę, by to wyjąć. Nie będą jednak przeszukiwać zwłok w poszukiwaniu świadectw, nawet jeśli będą przekonani, że przyniosłoby to efekty. Co więcej, będą wywierać wpływ na pozostałych nurków i zmuszą ich (jeśli zajdzie taka potrzeba, to siłą), by również przestrzegali tych zasad.

Jadąc wieczorem do domu, Chatterton myślał o tym, co tak naprawdę zaważyło na jego decyzji, by pozostawić szczątki w spokoju. Prawdziwy powód

był zbyt osobistej natury, by wyjawiał go Kohlerowi. Nurkowanie zaczęło wpływać na życie Johna bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Żył zgodnie z tymi samymi zasadami, dzięki którym stał się wspaniałym nurkiem. Gdyby teraz z powodu frustracji obniżył poprzeczkę, nie mógłby spojrzeć sobie w twarz.

Kohler również zachował w tajemnicy swój najważniejszy powód. Bliskość szczątków poległych marynarzy obudziła w nim niemieckie korzenie, stanowiące od wczesnego dzieciństwa niezwykle ważną część jego tożsamości. Nigdy nie pozwolił sobie na żarty z U-Bootów ani szaleńców, którzy wysyłali je do boju. Oczywiście, gdyby jako Amerykanin patrolował wody Atlantyku, bez wahania zaatakowałby U-Boot w obronie swojego kraju. Nie mógł jednak odrzucić myśli, że polegli marynarze byli Niemcami. *Ci ludzie – myślał Kohler – pochodzili stamtąd, skąd ja sam pochodzę.*

Minęły długie trzy miesiące, zanim *Seeker* wyruszył ponownie na *U-Who*. We wrześniu nurkowie musieli wykorzystać każdą nadarzającą się okazję, nadchodziła jesień, pogoda była nieprzewidywalna i każdy rejs mógł być już ostatnim w sezonie.

Optymizm na pokładzie nieco przygasł. Chatterton i Kohler wyczerpali już zapas swoich lepszych pomysłów i z coraz to mniejszym entuzjazmem szukali przedmiotów, które umożliwiłyby identyfikację wraku. Ich zniechęcenie nie przeniosło się jednakże na Rouse'ów. Zaraz po wejściu na pokład ojciec z synem zaczęli żreć się na całego, obrzucając inwektywami i kpiąc nawzajem ze swojego sprzętu, mocy seksualnych, wieku, umiejętności nurkowych, składu kanapek i, co dosyć dziwne jak na ojca i syna, również ze swoich przodków. Tak jak przedtem Chris był dosyć wstrzemięźliwy, jeśli chodzi o opinie na temat identyfikacji wraku. Chrissy natomiast aż rwał się do dzieła.

– Zamierzam zidentyfikować ten wrak – oznajmił młody Rouse Johnowi. – I zamierzam być tym, który tego dokona.

Tak jak poprzednio Chatterton i Kohler skoczyli jako pierwsi i zabezpieczyli kotwicę. Tym razem John popłynął na rufę i wcisnął się przez wypalony w pokładzie otwór do rufowego przedziału torpedowego. Z badań, jakie przeprowadził w martwym sezonie, wynikało, że w tym przedziale powinien znajdować się zapasowy aparat sterowy z mosiężną tabliczką znamionową. Rozejrzał się dookoła. Zobaczył buta, kamizelkę ratunkową, kilka czaszek, kości udowych i inne szczątki. Przed nim roztaczało się istne cmentarzysko. Całkiem możliwe, że gdzieś pośród tych szczątków kryło się rozwiązanie tajemnicy. Chatterton odwrócił się i wypłynął na zewnątrz.

W tym samym czasie Kohler zajął się badaniem dzioba. Kiedy wpłynął do

kajuty podoficerów, dostrzegł wystający z szafki mankiet ciemnoniebieskiej koszuli. Ubranie wisiało z dala od szczątków ludzkich, toteż bez skrępowania pociągnął za rękaw. Z mankietu podniosła się chmura czarnego mułu. Kiedy się przejaśniło, zobaczył wystające z rękawa ramię szkieletu. Odsunął się, mamrocząc pod nosem przeprosiny: „Tak, mi przykro. Nie miałem pojęcia”. Położył koszulę na miejsce i zaczął się wycofywać. Kilkadziesiąt centymetrów dalej, w pobliżu kambuza, zaświecił latarką, próbując zobaczyć, co leży pod kawałkiem drewna. W twarz zajaśniały mu puste oczodoły czaszki. Kohler poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. To był stanowczo zły dzień na nurkowanie. Przeprosił raz jeszcze i wycofał się z wraku.

Ich kolejne nurkowanie było równie bezowocne. Nieco więcej szczęścia mieli Rouse'owie. Chrissy znalazł w kambuzie fragment tkaniny z nadrukiem po niemiecku.

– Nie wiem, co znaczą te napisy – stwierdził Chrissy w obecności Johna i pozostałych nurków. – Wiem, że trzeba to coś jakoś wydobyć. Jest zaklinowane, ale wygląda na coś ważnego. Myślę, że następnym razem uda mi się to wyciągnąć. To może być naprawdę coś.

Rouse'om nie pozostawało nic innego, niż liczyć na to, że utrzyma się pogoda. Wzburzone morze i gwałtowne burze mogły pokrzyżować wszystkie plany i odwlec ich realizację do następnego roku. Zbliżał się długi martwy sezon. Kiedy Bill odpalił silniki i wziął z powrotem kurs na Brielle, wszyscy nurkowie modlili się, żeby dało się tutaj wrócić chociaż raz jeszcze przed zimą.

Bill ustalił termin ostatniej w sezonie wyprawy *U-Who* na początek października. Tym razem mieli popłynąć na dwa dni, cały weekend, na który przypadało akurat święto Kolumba². Była to ostatnia w tym roku szansa dla nurków.

Dzień przed ustalonym terminem Bill zadzwonił do Chattertona, błagając o odwołanie wyprawy.

– Nie czuję się najlepiej – jęczał Bill.

– Bill, to może być właśnie ten raz. Jesteś nam potrzebny – powiedział John.

– Nie rozumiesz? – wybuchnął Bill. – A to, że zdechnę, już nikogo nie obchodzi! Jebać tego U-Boota!

Chatterton próbował dodać kumplowi trochę otuchy, wiedział jednak, że to nic nie da. Przez całe lato widział, jak bardzo Bill się zmienia. Zaczynał ten sezon pełen nadziei, pocieszając się, że nawet jeśli nie da rady wytrzeźwieć i wrócić do nurkowania, spłynie na niego część nieśmiertelnej sławy *Seekera*. Teraz, pod koniec sezonu, z zupełnie rozwaloną wątrobą, pogrążony w chorobie bardziej niż kiedykolwiek dotąd, po wielu nieudanych próbach zerwania z

nałogiem, nie był w stanie zebrać się w sobie na tyle, żeby popłynąć własną łodzią na jedno z najbardziej niesamowitych nurkowań, jakie można było sobie wyobrazić.

– Weźmiecie z Dannym łódź – powiedział Bill. W tle zawtórował mu brzęk kostek lodu. – Mam to gdzieś. Płyńcie beze mnie.

Wieczorem 10 października nurkowie zebrali się w doku w Brielle, tam gdzie cumował *Seeker*. Wszyscy domyślali się, czemu w sterówce nie ma Nagle’a.

Podczas gdy pozostali nurkowie zajęli się przywiązywaniem swojego sprzętu, Rouse’owie zaczęli się kłócić. Tym razem ich sprzeczka wyglądała na nieco bardziej poważną niż zazwyczaj. Ani ojca, ani syna nie było tym razem stać na trimiks – musieli oddychać powietrzem, dzięki temu udało im się oszczędzić kilkaset dolarów.

– Tym razem to Chrissy miał kupić trimiks – rzucił Chris.

– Nie, to była kolej starucha – odpowiedział na zaczepkę Chrissy.

– Nie była.

– A właśnie, że była.

– Nędzarz.

– Żebak.

I tak przez cały wieczór.

Następnego dnia rano, zgodnie z tradycją, jako pierwsi skoczyli John i Richie. Kohler zajął się kajutą podoficerów, podczas gdy Chatterton wrócił po raz kolejny do torpedowni dziobowej, żeby poszukać więcej tabliczek. Udało mu się znaleźć kilka plastikowych, ale na żadnej nie było informacji pozwalających na identyfikację. Wypływając z wraku, dostrzegł sterczący ze sterty śmieci kawał blachy aluminiowej formatu kartki papieru. Normalnie nie zwróciłby uwagi na tego typu śmieci. Tego dnia jednak coś skłoniło go do wyciągnięcia tego przedmiotu i wsunięcia do siatki. Wynurzając się na powierzchnię, John nawet nie zastanawiał się nad tym przedmiotem.

Już na pokładzie *Seekera* Chatterton opróżnił swoją siatkę. Obrośnięta wodorostami i podziurawiona jak ser szwajcarski przez korozję aluminiowa blacha wypadła z brzękiem na stół. Yurga podszedłby przyjrzeć się jej z bliska. Chatterton otworzył zagięty kawałek metalu, tak jakby to była gazeta. Od wewnątrz rozrysowane były schematy techniczne – diagram ilustrujący działanie któregoś z urządzeń mechanicznych U-Bootu. John zamoczył szmatkę w wiadrze ze słodką wodą i przetarł tablicę. Warstwa wodorostów odeszła bez problemu, odsłaniając wzdłuż poszarpanego dolnego brzegu tablicy niemieckie napisy. Chatterton podsunął do twarzy tablicę. Przeczytał: „Bauart IXC.

Deschimag, Bremen”.

– Chwileczkę – powiedział Yurga. – Deschimag-Bremen to jedna z niemieckich stoczní budujących U-Booty. Ten napis oznacza, że wrak jest okrętem typu IXC zbudowanym w Deschimag-Bremen. Nie sądzę, żeby przez całą wojnę zbudowali tam więcej niż kilkadziesiąt okrętów typu IXC. Myślę, że to wielki krok w naszych badaniach.

Kilka minut później na powierzchnię wynurzył się Kohler. Tak jak Yurga, potwierdził wagę tego odkrycia.

– Myślę, że to poważnie zawęzi pole naszych poszukiwań – stwierdził, poklepując Johna po plecach. – Jak tylko wrócimy do domu, musimy poszperać trochę w literaturze i będziemy mieli gotową listę okrętów IXC zbudowanych w tej stoczní. Super.

Skoczyli tego dnia jeszcze raz, ale prawie nic nie znaleźli. Myśli wszystkich nurków były tak czy inaczej skupione wokół spektakularnego znaleziska Chattertona. Wieczorem, przy kolacji, gdy *Seeker* skakał na falach zakotwiczony przy U-Boocie, Rouse’owie obejrżeli z podziwem metalowy diagram i opowiedzieli o swoich osiągnięciach. Prawie udało im się wyciągnąć płótno z niemieckim nadrukiem, byli przekonani, że przy następnym nurkowaniu wyciągną je na powierzchnię. W mesie panował pełen optymizmu nastrój. Nurkowie życzyli sobie spokojnej nocy i poszli spać. Wyglądało na to, że ciągu zaledwie jednego dnia skończył się sezon ślepych uliczek.

Atlantyk bynajmniej nie podzielał optymizmu nurków. W nocy, gdy już spali, ocean rozszalał się i zaczął miotać *Seekerem* niczym zabawką do kąpieli, co chwila zrzucając nurków z koi. Kapitanowie Chatterton i Crowell musieli sprawdzić przez radio prognozę pogody. Warunki były parszywe, fale dochodziły do półtora metra, a według prognozy miało się pogorszyć. O 6.30 rano Chatterton zszedł pod pokład obudzić nurków.

– Robi się niezbyt ładnie – oznajmił. – Jeśli ktoś zamierza dzisiaj nurkować, powinien się już zbierać. Potem podnosimy kotwicę i wracamy do domu.

– Nurkujesz, John?

– Nie przy takiej pogodzie – odpowiedział Chatterton.

Spośród czternastu nurków na pokładzie tylko sześciu zwlekło się z koi i zaczęło przygotowywać sprzęt. Pierwszy był Kohler, który ubrał się bez chwili wahania. Pół godziny później skoczył do wody. Chwilę po nim skoczyła para: Tom Packer i Steve Gatto, oraz policjant stanowy z New Jersey, Steve McDougal. Z koi podnieśli się także Rouse’owie.

– Ja nie nurkuję, zapomnijcie o tym – oznajmił Chrissy, wyglądając na

zewnątrz przez okienko kabiny. – Wieje zbyt ostro.

– Ty pedale! – ryknął na niego ojciec. – Gdzie twoje jaja, dzieciaku?

– Nie słyszałeś, wapniaku? – zapytał Chrissy. – Chatterton powiedział, że jest parszywie, i ma się jeszcze pogorszyć. Nie dotarło do ciebie?

– Jeśli nie jesteś w stanie nurkować w takich warunkach, to nie wiem, co ty tu w ogóle robisz – rzucił Chris. – Nie wierzę, że ktoś taki jest moim synem. Zawstydzasz mnie.

– Dobra, stary pierniku – odpowiedział Chrissy. – Chcesz iść nurkować? Idziemy nurkować. Idziemy.

Chris nie odpowiedział.

Po chwili stwierdził:

– Hmm... nie ma problemu, musiałem się trochę się z tobą podrażnić. Jest naprawdę paskudnie. Lepiej zostanmy.

– Paskudnie? Może zbyt paskudnie dla ciebie, stary zrędo – krzyknął Chrissy, przechodząc do ofensywy. – Jesteś zbyt miękki, żeby nurkować. Skaczę sam. Zostań tutaj z kobietami.

– Nigdzie się nie ruszysz beze mnie – odpowiedział Chris. – Jeśli ty idziesz, to idziemy razem.

– Nie mogę z wami wytrzymać – zaśmiał się John, wychodząc z mesy.

Tymczasem Rouse'owie kłócili się dalej. Najpierw o to, co zjeść na śniadanie, potem czy się golić, czy nie, a na koniec, ile czasu mają spędzić pod wodą. Chris żartobliwie rozkazał Barb Lander, jedynej kobiecie na pokładzie, przyrządzić sobie śniadanie i pozmywać naczynia.

Zakładając sprzęt, Rouse'owie przedyskutowali raz jeszcze swój plan. Chrissy miał wrócić do kambuza i wydobyć stamtąd zadrukowany kawałek płótna, zaklinowany pod stalową szafką sięgająca do samego sufitu. Chris miał poczekać na zewnątrz wraku, oświetlając latarką wyjście z wraku. Syn miał poświęcić na pracę wewnątrz nie więcej niż 20 minut. Rouse'owie dopięli swoje „firmowe”, przypominające hokejowe, kaski i ruszyli do burty. W tym momencie w rufę *Seekera* uderzyła potężna fala i człapiący w płetwach Chrissy zwałił się na pokład jak kłoda. Yurga chwycił go pod ramiona i pomógł mu wstać. O łódź rozbija się kolejna gwałtowna fala. Tym razem runął prosto na twarz.

– Hej, Chris! – zawołał Yurga. – Twój chłopak nie może trafić do oceanu!

W końcu Chrissy przegramolił się przez burtę i skoczył. Chwilę później dołączył do niego ojciec. Zejście do wraku i przepłynięcie kawałka dzielącego linię kotwiczną od otworu w kajucie nawigacyjnej zabrało im jedną, może dwie

minuty. Chrissy zdjął z pleców dwie małe butle, z których miał oddychać podczas wynurzenia i dekompresji. Położył je na pokładzie okrętu. Następnie przypiął koniec nylonowej linki asekuracyjnej w pobliżu wejścia i wślizgnął się do wraku, powoli rozwijając z kołowrotka linę. W ten sposób, nawet jeśli widzialność spadłaby do zera i straciłby orientację lub się zagubił, mógł bez problemu wyjść wzdłuż liny i wrócić do ojca. Nurkowie jaskiniowi nazywali poręczówkę „poręczówką”³, nie bez kozery uważając, że jej obecność dzieli życie od śmierci. Nurkujący na wrakach nie mieli zwyczaju ufać nylonowym linkom ani niczemu innemu, co mogło zaplątać się lub przetrzeć w poszarpanych wnętrznościach wraku.

Po kilkudziesięciu sekundach Chrissy dostał się do kambuza i przystąpił do pracy. Kawałek płótna wielkości małego jaśka, nad którego wydobyciem już tak długo pracował, wciąż leżał pod szczątkami wielkiej stalowej szafy. Chrissy nie liczył na to, że uda mu się chociaż trochę przesunąć masywną szafę. Żeby wyswobodzić przedmiot, musiał cierpliwie kopać w butwiejących szczątkach pod szafą, dopóki nie uda mu się odsłonić wystarczająco dużo miejsca, by wyciągnąć płótno. Przez piętnaście minut kopał więc rękoma w szlamie, podnosząc chmury czarnego mułu. Widzialność w całym pomieszczeniu spadła do zera. Kopał i ciągnął dalej. Płótno zaczęło powoli wychodzić spod szafy. Chrissy pociągnął trochę mocniej. W przedziale podniosły się grzyby pyłu. W uszach coraz silniej dudniła mu narkoza. Szarpnął jeszcze raz. Pokazało się więcej płótna, po chwili jeszcze więcej. Wysuwało się niczym szal z rękawa iluzjonisty. Im bliżej był rozwikłania tajemnicy, tym mocniej czuł łomot narkozy. Zostało mu zaledwie kilka sekund nurkowania. Szarpnął mocniej. Pozbawiona oparcia od spodu stalowa szafa zaczęła się osuwać. Sto kilkadziesiąt kilogramów stali runęło Chrissy’emu na kark, unieruchamiając jego twarz w wygrzebanej w podłodze dziurze. Próbował się ruszyć. Bezskutecznie. Był w potrzasku.

Kiedy do jego świadomości dotarła cała beznadziejność sytuacji, rozszalała, wściekła narkoza z rykiem wymknęła się zupełnie spod kontroli. Łoskot rozsadał mu głowę. Myśli pierzchały na boki. Był przekonany, że jakiś potwór skoczył mu na kark, przygniatając go do podłogi – był tego pewny bardziej niż swojego imienia. Raz jeszcze spróbował się uwolnić, nie był się jednak w stanie ruszyć. Przewracając się, szafa utknęła i zaklinowała się wśród innych szczątków, stając się pokrywą sarkofagu grzebiącego Chrissy’ego w swoim wnętrzu. Czekał na zewnątrz wraku Chriss zerknął na zegarek, jego syn się spóźniał. Nie planował zagłębiania się do wnętrza U-Bootu. Nie znał przestrzeni, w której działał Chrissy. Mimo to wpłynął do wraku.

Dotarł do syna i zaczął pracować nad uwolnieniem go z potrzasku. Chrissy ze wszystkich sił starał wydostać się spod szafy, ale z każdym ruchem spalał tylko resztki powietrza z butli i pogłębiał i tak już potworną narkozę. Chris jednak się nie poddawał. W końcu po ładnych paru minutach Chrissy wydostał się spod szafy. Musieli teraz wydostać się z wraku. Chrissy rzucił okiem na zegarek. Minęło 30 minut. Przekroczyli o 10 minut planowany czas.

Normalnie poszliby wzdłuż rozciągniętej przez Chrissy'ego nylonowej liny, wydostali się z wraku i wzięli butle, z których mieli oddychać w czasie wynurzania. Jednak Chrissy, próbując wydostać się spod szafy, miotał się tak rozpaczliwe, że kompletnie poplątał całą linkę, owijając ją wokół płótna. Narkoza huczała w jego głowie niczym młot parowy, potwornie zawężając pole widzenia i wzmagając panikę. Popłynęli z ojcem w stronę kajuty nawigacyjnej. Jakoś udało im się wydostać na zewnątrz okrętu przez szczelinę między pancernem a grodzią. Butle i lina kotwiczna były teraz dokładnie przed nimi i to zaledwie nieco ponad 10 metrów. Musieli tylko popłynąć kawałek w stronę dziobu, odnaleźć butle i mogli zacząć się wynurzać. Kompletnie oszołomiony Chrissy był tak zdezorientowany, że stwierdził, iż płyną w złą stronę. Odwrócił się więc i ruszył ku rufie – oddalając się zarówno od butli, jak i liny kotwicznej. Ojciec podążył za nim.

W popłochu szukali swoich butli. Chris, który zostawił na zewnątrz wraku tylko jedną z butli pomocniczych, dał tę, która mu została, Chrissy'emu. Upłynęła kolejna minuta, a oni dalej szukali, teraz jednak byli już dobre czterdzieści metrów od butli. Z każdą sekundą wzmagala się narkoza. Mijały kolejne minuty, dwie, potem trzy i pięć – wciąż jednak nie potrafili odnaleźć butli. Szukali jeszcze przez pięć minut, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że popłynęli w złą stronę i bynajmniej nie znajdują się w pobliżu butli i liny kotwicznej. Chrissy spojrział na zegarek. Był pod wodą 40 minut. Przekroczyli czas nurkowania o 20 minut. Wymagali dekompresji, z początku tylko 60 minut. Teraz czas ten wydłużył się do ponad dwóch i pół godziny. Żaden nie miał wystarczająco dużo powietrza, by oddychać tak długo pod wodą.

Trzeźwo myślący nurek oddychający trimiksem zapewne wykorzystałby pozostały gaz, starając się przeprowadzić dekompresję najlepiej, na ile się tylko dało. Rouse'owie nie mieli tym razem trimiksu i oddychali powietrzem. Chrissy, przerażony utratą zapasowych butli, kompletnie zagubiony we wraku, zdecydował się na coś, co napawało wszystkich nurków śmiertelnym przerażeniem – postanowił wystrzelić na powierzchnię. Ojciec poszedł w górę chwilę po nim. Bill miał swoje powiedzenie o nurkach, którzy wykonali cezę⁴

po tak długim pobycie pod wodą. „Już są trupami” – mawiał. „Tylko jeszcze o tym nie wiedzą”.

Rouse'owie wystrzelili w kierunku powierzchni jak rakiety. Na głębokości 30 metrów zdarzył się cud. W bliżej niewyjaśniony sposób w trakcie lotu trafili na linę kotwiczną, podpłynęli do niej i się złapali. Pojawił się cień szansy. Mogli zaimprovizować dekompresję, wykorzystując resztki powietrza, a na głębokości sześciu metrów przerzucić się na tlen z zostawionej tam butli awaryjnej.

Chrissy przełączył się z głównych butli na zbiornik pomocniczy, który dał mu ojciec. Wziął wdech z nowej butli i zaczął się krztusić – w ustniku była dziura, toteż zamiast powietrza płynęła woda. Tego było już stanowczo zbyt wiele. Chrissy przerzucił się z powrotem na główne zbiorniki na plecach i ruszył ku powierzchni. I znów ojciec podążył za nim. Tym razem Chrissy nie zamierzał się już zatrzymywać.

Tymczasem w sterówce *Seekera* Chatterton, Kohler i Crowell sprawdzili prognozę pogody. Aż zadrżeli – morze było coraz bardziej wzburzone, a paskudny wiatr wciąż się nasilał. Minutę później zobaczyli, jak około 30 metrów od łodzi na powierzchnię wyskakuje dwóch nurków. John przyjrzał się dokładniej. Zobaczył dwa kaski hokejowe Rouse'ów. Wynurzyli się godzinę przed czasem.

– O rany boskie – powiedział. – Nie jest dobrze.

Chatterton i Kohler zbiegli pędem po schodkach i pobiegli na rufę. John podniósł rękę i dotknął koniuszkami palców głowy – w uniwersalnym języku gestów nurkowych znaczyło to: „Czy wszystko w porządku?”. Żaden nie odpowiedział. Półtorametrowe fale pchnęły nurków nieco bliżej łodzi. Chatterton i Kohler spojrzeli im w twarz. I ojciec, i syn mieli szeroko otwarte zdziwione oczy. Mrugali jak opętani.

– Skończyliście dekompresję? – zawołał John.

Żaden się nie odezwał.

– Płyńcie do łodzi! – wrzasnął Chatterton.

Chrissy ruszył ramionami i zbliżył się kawałek do *Seekera*. Chris też próbował płynąć, ale tylko wyginał się na boki i prężył jak złota rybka, która wyskoczyła z akwarium.

– Chrissy! Powiedz mi, czy skończyliście dekompresję? – nalegał John.

– Nie – udało się odkrzyknąć Chrissy'emu.

– Wypłynęliście od razu na powierzchnię?

– Tak – odpowiedział Chrissy.

Kohler zrobił się blady jak ściana. Pamiętał mantrę powtarzaną przez

Atlantyckich Nurków Wrakowych: *Wolałbym sobie poderżnąć gardło, niż strzelić na powierzchnię bez dekompresji.*

Chatterton chwycił dwie liny ratunkowe, chcąc rzucić je Rouse'om. *Seeker* niczym zabawka wznosił się i opadał na grzbietach rozszalałych fal. Każde kiwnięcie groziło Chattertonowi i Kohlerowi wypadnięciem za burtę. Dwupółmetrowa fala wepchnęła Chrissy'ego prosto pod *Seekera*. Dziób łodzi podskoczył na fali, zawisł nad nim niczym topór katowski i runął wprost na niego z ciemnego nieba. Chrissy nie był w stanie się ruszyć. John i Richie wstrzymali oddech. Kadłub spadł z hukiem, podnosząc bryzgi wody i uderzając stępką prosto w automat na butlach Chrissy'ego, ledwie kilka centymetrów od jego głowy. Pod wpływem uderzenia wykonany z mosiądzu mechanizm rozpadł się na kawałki, powietrze zaczęło uchodzić z butli w zawrotnym tempie. Chatterton rzucił liny. Tym razem obydwaj Rouse'owie zdołali je chwycić. John i Richie zaczęli holować ich wzdłuż burty w kierunku rufy. Crowell pobiegł do sterówki.

Próbował wezwać przez radio Straż Wybrzeża Atlantic City, nikt jednak nie odpowiadał.

Kurwa mać – pomyślał. Nadaję mayday.

– Mayday! Mayday! Myday! – wołał do mikrofonu krótkofalówki. – Tu jacht *Seeker*. Wzywam natychmiast helikopter do ewakuacji. Mamy rannych nurków. Odbiór. Odpowiedziała stacja Straży Wybrzeża na Brooklynie. Wysyłał helikopter.

Chatterton, Kohler i pozostali nurkowie w dalszym ciągu holowali Rouse'ów w kierunku rufy. Dziób *Seekera* podnosił się i opadał z przeraźliwym hukiem. Chris zbliżył się do drabinki. John pośpieszył ku niemu.

– Chris, łap się drabinki! – wrzasnął Chatterton.

– Wyciągnijcie najpierw Chrissy'ego – wykrztusił Chris.

Z początku John próbował nalegać, ale przestał, gdy tylko spojrzał w szeroko otwarte oczy Chrisa. Zobaczył w nich tylko strach i śmierć, taki wzrok mieli ludzie, którzy czuli, że ich los jest już przesądzony, a koniec nadejdzie już za chwilę.

– Dobra, Chrissy, wylaź! – krzyknął Chatterton do młodszego Rouse'a, który przytrzymał się liny jakieś trzy metry za ojcem. Nurkowie podciągnęli wyjącego z bólu Chrissy'ego w stronę drabinki.

– Nie mogę ruszać nogami! – zawodził Chrissy. – Kurwa mać! Boli mnie! O, kurwa, ale mnie boli!

John wiedział, że obydwaj nurkowie mogą już mieć poważne kłopoty z pęcherzykami dekompresyjnymi. Pośpieszył z Kohlerem na rufę, gdzie stanęli po obu stronach drabinki i wyciągnęli ramiona, by chwycić od spodu butle Chrissy'ego i wywindować go na pokład. *Seeker* wznosił się i opadał w rytm uderzeń rozszalałego żywiołu, w każdej chwili nurkowie mogli wylecieć do morza, a Chrissy zginąć zgnieciony pod rufą. Chatterton i Kohler naprężyli się aż do bólu, próbując utrzymać półprzytomnego nurka. Między kolejnymi uderzeniami nawałnicy udało im się powoli wciągnąć Chrissy'ego po drabinie. W końcu upadł z łoskotem na pokład niczym uwięziony w sieci tuńczyk.

– Zabierzcie go na stół! – zawołał John. Richie i inni nurkowie chwycili Chrissy'ego, wtaszczyli go na stół i zaczęli rozcinać krępujący go skafander. Barb Lander, z zawodu pielęgniarka, wmusiła w niego aspirynę i wodę i założyła maskę tlenową.

– Spieprzyłem wszystko! Spieprzyłem! Spieprzyłem! – zawodził Chrissy. – Nie mogę ruszać nogami!

Lander pogłaskała go po głowie.

– Już w porządku Chrissy, jesteś już na *Seekerze*.

Chrissy zaczął się szarpać i wyć, próbując zerwać z twarzy maskę tlenową.

– Nie mogę oddychać! – jęczał. – Płonę! Napadł na mnie potwór! Wpadłem w potrzask!

Stojący przy drabinie Chatterton postanowił zająć się teraz Chrisem.

– Chris! Chris! Chodź tutaj, teraz kolej na ciebie. Uda ci się! No dalej! – wołał.

Chris spojrzał Johnowi w oczy.

– Nie zrobię tego – oznajmił. – Powiedz Sue, że mi przykro.

Broda opadła mu na piersi, a głowa zanurzyła się w wodzie. Chatterton i Kohler, obydwaj w spodniach i koszulach, skoczyli do lodowatego oceanu. John sięgnął do wody, złapał Chrisa za głowę i wyciągnął ją na powierzchnię.

– Dajcie mi nóż! – zawołał. *Seeker* podskoczył na fali, po czym gwałtownie opadł, wciągając Chattertona i Kohlera pod wodę. Kiedy łódź znów się podniosła, John zawołał:

– Muszę odciąć jego butle.

Kohler pokazał na nóż przypięty do barku Chrisa, Chatterton chwycił nóż i zaczął ciąć na oślep uprząż, dopóki butle nie odpadły do wody. Wtedy chwycił go pod szyję chwytem ratowniczym i odholował do drabinki, walcząc, by utrzymać się na powierzchni, kiedy kadłub łodzi z hukiem opadał na fale, pryskając słonymi bryzgami do oczu. Kohler zajrzał do maski Chrisa, modląc

się, by zobaczyć w nich przerażenie. Oznaczałoby to, że Chris jeszcze żyje. Chris jednak patrzył rozwartymi oczami przed siebie. Wciągnęli go na pokład *Seekera*. Płetwy bezwładnie plaskały o namoknięty pokład. John rozpoczął reanimację.

Przez jakiś czas Chris zdawał się nie reagować na wysiłki Chattertona, a jego skóra zaczęła się powoli robić niebieska. Kohler wymamrotał:

– No dalej, Chris, nie odchodź... nie odchodź... nie odchodź.

John cierpliwie kontynuował sztuczne oddychanie. Nagle Chris zwymiotował mu prosto w usta i Chatterton poczuł smak pepsi, którą pili razem tego ranka. Kohler poderwał się na nogi, mając nadzieję, że te wymioty oznaczają powrót do życia. John spojrzał na niego z wyrazem oczu, jaki miał w 1970 roku w Wietnamie.

– Richie, leć do sterówki – powiedział Chatterton spokojnym, dobitnym głosem. Kohlerowi wydawało się, że na chwilę przestał słyszeć szalejący ocean.
– Weź coś do pisania i papier. Zapisz czas i wszystko, co się wydarzyło. Notuj dokładnie wszystko, co robi Barb na stole, i wszystko, co mówi Chrissy. Upewnij się, czy sprawdza oznaki życia. Zapisz dokładnie wszystko. Będziemy musieli podać te informacje ludziom ze Straży Wybrzeża.

John kontynuował sztuczne oddychanie, ale z każdą chwilą czuł coraz większy opór świadczący o tym, że krew Chrisa zmienia się w pianę i tężeje w jego ciele. Po pięciu minutach serce stanęło, a skóra z niebieskiej stała się brunatnoszara. Białka oczu były zupełnie przekrwione. Chatterton wiedział już, że Chris nie żyje, mimo to nie przestawał pompować. Ratując drugiego człowieka, nie poddajesz się tylko dlatego, że umarł.

Lander odgarnęła długie brązowe włosy z twarzy leżącego na stole Chrissy'ego. Trzymała jego głowę na kolanach, podczas gdy ten skręcał się, wył i co chwila odpływał w nicość.

– Dorwał mnie potwór! – wołał. – Potwór przygwoździł mnie do ziemi. Jebane bydlę! Ale to było jebane bydlę!

Kohler przygryzł wargę i zaczął robić notatki.

– Mój ojciec! Co z moim ojcem? – zapytał Chrissy.

Kohler i Lander spojrzeli w stronę Johna, który pompował powietrze w pozbawione oznak życia ciało Chrisa. Wiedzieli, że Chris już nie żyje.

– John jest z twoim ojcem – powiedział Kohler. – Podaje mu tlen. Będzie z nim dobrze. Skup się Chrissy. Możesz mi powiedzieć, co się stało?

Chrissy uspokoił się i przez chwilę mówił zupełnie trzeźwo i jasno. Powiedział Kohlerowi, że coś spadło na niego i przygwoździło go we wnętrzu

wraku, potem przypłynął ojciec i go wyswobodził, a kiedy wynurzali się na powierzchnię, skończyło mu się powietrze. I nagle, w ułamku sekundy, Chrissy odjechał z powrotem w delirium.

– Byłem we wraku, ja pierdołę! Zimno mi! Pali mnie! Nie czuję nóg!

Lander uderzyła go w twarz.

– Proszę, zastrzelcie mnie! – błagał Chrissy. – To tak potwornie boli. Niech ktoś weźmie spluwę i mnie zastrzeli. Proszę, zabijcie mnie! Tato! Tato!

Przez kolejne 90 minut Chatterton na zmianę z innymi kontynuował sztuczne oddychanie na trupie Chrisa. Crowell odciął linę kotwiczną, zwrócił się zgodnie z instrukcjami Straży Wybrzeża 30 stopni do wiatru i zaczął sprawdzać, czy wszyscy są na pokładzie. Po kolei odpowiadali: „Tutaj!”. Crowell złożył anteny *Seekera*, żeby helikopter mógł bez przeszkód zbliżyć się do łodzi. Kazał wszystkim założyć kamizelki ratunkowe i przenieść wszystkie leżące luźno na pokładzie przedmioty do mesy lub przywiązać je do pokładu. Podmuchi śmigieł helikoptera potrafił zamienić walającą się po pokładzie maskę w śmiertelny pocisk lub wessać śpiwór w rotor, powodując katastrofę.

Nurkowie dostrzegli na horyzoncie spieszący w ich kierunku pomarańczowo-biały śmigłowiec Straży Wybrzeża. Wszyscy poza Chattertonem, Kohlerem i Lander pobiegli pod pokład do mesy, żeby zejść mu z drogi. Helikopter pochylił się i zanurkował w kierunku łodzi, niebo rozbrzmiało rykiem jego silników, a pęd śmigieł podniósł na pokładzie bryzgi wody. Z bocznych drzwiczek wyłonił się muskularny nurek-ratownik w jaskrawopomarańczowym suchym skafandrze, rękawicach, czepku, goglach i płetwach. Z jedną dłonią na brzuchu, drugą przytrzymując maskę, skoczył na nogi we wzburzoną toń oceanu niczym strzała. Gdy tylko wyłonił się na powierzchnię, rzucił torbę lekarską na pokład *Seekera* i wszedł na łódź. Nie przedstawiał się ani nie zrobił żadnych gestów powitalnych. Od razu zwrócił uwagę Chattertonowi.

– Trochę za wolno naciskasz na klatkę – oznajmił zza swoich okrągłych gogli.
– Powinno być raz-dwa, przerwa, raz-dwa...

– Robię mu sztuczne oddychanie od półtorej godziny – odpowiedział John, cały czas naciskając na klatkę piersiową Chrisa. – On nie żyje.

Ratownik odwrócił się na pięcie i spojrzał na Chrissy'ego, który wciąż związał się z bólu z czerwoną twarzą.

– Dobra, bierzemy ich obu naraz – rzucił ratownik.

– Proszę posłuchać – powiedział Chatterton. – Mówię, że ten facet nie żyje. Musimy skupić naszą całą nadzieję i energię na tym dzieciaku, modlić się, żeby przeżył. Zapomnijmy o starym. Gdyby mógł mówić, powiedziałaby wam

dokładnie to samo.

– My to robimy inaczej – odpowiedział ratownik. – Zabieramy ich obu. Po kolei.

Teraz John poczuł się jak w wietnamskiej dżungli. Tak jak wtedy, kiedy kule ze świstem przelatowały obok jego uszu i zarywały w błoto u stóp. Powrócił do życia instynkt sanitariusza, który musiał podejmować decyzję, kogo ratować w pierwszej kolejności.

– Zabranie starego zajmie wam 20 minut – powiedział. – Weźcie syna i lećcie jak najszybciej zabrać go do komory rekompresyjnej. Czas, jaki zmarnujecie na ojca, może kosztować tego dzieciaka życie. Błagam pana. Proszę zapamiętać o ojcu.

– Nie zgadzam się – odpowiedział ratownik. – Bierzemy ich obu. Po kolei.

Skontaktował się przez krótkofalówkę z pilotem śmigłowca i kazał zrzuć mu kosz. Po chwili w kierunku *Seekera* zaczęły zjeżdżać na linie metalowe nosze.

– Niech nikt tego nie dotyka! – zawołał ratownik. – To coś ma potężny ładunek statyczny, który może zwalić was z nóg. Kosz musi najpierw uderzyć o reling i się rozładować.

Kosz niczym wahadło zawisł w wyjąłym wietrze nad pokładem *Seekera*. W końcu uderzył w reling i strzelił potężnym rozładowaniem. Ratownik podbiegł do niego, odczepił od liny i pomachał do pilota, żeby podniósł maszynę, by tak potwornie nie wiało.

Popchnął nosze w stronę Chrissy'ego, zawiniętego teraz w koc i wciąż zawodzącego coś o swoich nogach i potworach, które go napadły. Umieścił go na noszach i skrzyżował mu ręce na piersiach niczym mumii egipskiej. Helikopter pociągnął linę po wodzie w stronę łodzi, kiedy walnęła o burtę, Chatterton i Kohler pomogli ratownikowi podnieść nosze na burtę i przyczepić je do liny. Po chwili śmigłowiec uniósł Chrissy'ego ku niebu.

– Proszę posłuchać, błagam pana – powiedział John. – Lećcie teraz. Od tego zależy życie dzieciaka. Sprowadzenie na dół kosza i wciągnięcie na pokład śmigłowca człowieka, który i tak już nie żyje, zajmie 20 minut.

– Nie ma mowy – odpowiedział ratownik.

Chatterton zwrócił się do Kohlera.

– Richie, weź wszystkie informacje, które zebrałeś – wszystkie oznaki życia, notatki, przebieg nurkowania i wsadź je do wodoszczelnego woreczka. Leć potem do mesy i weź portfele Rouse'ów – jest tam straszny bałagan i pewnie będziesz miał kłopot, żeby je znaleźć, ale jak się skupisz, to powinno ci się udać. Też wsadź te portfele do woreczka. Dopilnuj, żeby ratownik wziął ze sobą ten woreczek.

Kohler pobiegł do mesy. Przetrzęsnał śpiwory, worki żeglarskie, przewrócił do góry dnem walizki, ale w końcu udało mu się znaleźć portfele. W jednej z szuflad w kambuzie znalazł torebkę z zamkiem. Lander dała mu wszystkie notatki. Wpakował je razem z portfelami do woreczka i porządnie zamknął. Kiedy otworzył drzwi mesy, uderzył go podmuch z wirnika helikoptera i słone bryzgi. Ruszył pod wiatr, by wcisnąć torebkę w dłonie ratownika.

Teraz spuszczano kosz dla Chrisa. John wciąż próbował robić mu sztuczne oddychanie, mrucząc pod nosem: „Ja pierdolę, o ja pierdolę...”. W dżungli, żeby ocalić Chrissy’ego, mógłby po prostu pobiec – zawsze biegł – nawet wtedy, kiedy inni kiwali z powątpiewaniem głowami. Biegł, bo uważał, że tak właśnie należy się zachowywać, i dlatego że zawsze czuł, że powinien biec. Teraz, kiedy śmigłowiec spuszczał kosz po martwego faceta, podczas gdy w żyłach żywego jeszcze dzieciaka, dławiąc serce, pieniała się krew, Chatterton nie miał gdzie biec. Ta świadomość kompletnie go dobijała, nigdy w życiu nie był w sytuacji, kiedy nie mógł biec.

Wciągnięcie Chrisa do helikoptera zajęło 20 minut. Kiedy już obydwaj Rouse’owie byli na pokładzie, po raz ostatni spuszczano kosz, tym razem po ratownika. Zawyły silniki i helikopter poleciał w stronę Jacobi Medical Center na Bronksie. Tam znajdowała się komora rekompresyjna.

Nurkowie wyłaniali się kolejno z mesy i podchodzili do Johna. Chcieli mu podziękować lub uścisnąć. Wszyscy wiedzieli, że Chris nie żyje, ale wierzyli, że uda się uratować Chrissy’ego.

Podróż powrotna do Brielle przebiegła w dosyć ponurej, ale przepełnionej nadzieją atmosferze. Rekompresja w szpitalu mogła trwać wiele godzin, mieli nadzieję, że dowiedzą się czegoś o stanie Chrissy’ego następnego dnia rano. Blaszyany schemat, który niósł tak wiele obietnic i wzbudził tyle entuzjazmu, leżał zupełnie zapomniany, zawinięty w ręcznik w koszu.

Wieczorem Lander zadzwoniła do Chattertona do domu.

– Nie udało się – powiedziała. – Chrissy zmarł w komorze.

John odłożył słuchawkę. Przez 36 lat tysiące razy nurkowano na *Dorii*, uznawanej za najbardziej niebezpieczny ze wszystkich wraków. Zginęło sześć osób. *U-Who* w ciągu zaledwie jednego roku zabrał życie trzem nurkom. Chatterton wszedł do swojego gabinetu. Od miesięcy przychodził tutaj, by spojrzeć na nóż Horenburga i po raz kolejny zadać pytanie: „Kim jesteś? Co się z tobą stało?”. Tym razem zdawał się nie widzieć noża. Siedział przez kilka godzin, o nic już nie pytając.

¹ Nurkowanie jaskiniowe w USA wywodzi się z Florydy, gdzie temperatura wody przekracza 20°C bez względu na porę roku, a widzialność kilkadziesiąt metrów. W oceanie latem temperatury sięgają najwyżej 11°C, a widzialność rzadko przekracza 15 metrów. Są to główne powody, dla których nurkowanie wrakowe może zniechęcać nurków jaskiniowych (przyp. red.).

² Columbus Day – 12 października, rocznica odkrycia Ameryki przez Kolumba (przyp. tłum.).

³ W terminologii nurkowej „guideline” (przyp. red.).

⁴ Spolszczona nazwa awaryjnego wynurzenia na ciągłym oddechu (ang. Controlled Emergency Swimming Ascent CESA) w terminologii organizacji nurkowej PADI (przyp. red.).



John Chatterton i Richie Kohler z przedmiotami znalezionymi na wraku U-869.
Arch. Richie Kohler

ROZDZIAŁ 10

ZAKŁAMANA HISTORIA

W

krótce po śmierci Rouse'ów John i Richie wyruszyli na *U-Who*, aby wydobyć sprzęt nieżyjących nurków. Słyszeli już, w jaki sposób Chrissy skończył w komorze rekompresyjnej w szpitalu Jacobi. Bąbelki zmieniły jego krew w żyłach w szlam. W drodze na wrak Kohler wypalił trzydzieści papierosów, cały czas zastanawiając się, jak długo jeszcze będzie się powstrzymywał od przejścia na magiczny trimiks.

W kambuzie wraku Chatterton obejrzał dokładnie przewróconą szafę i półki. Poplątana linka, którą asekurował się Chrissy, owinięta była wokół trzymetrowej długości kawałka płótna, który chciał wydobyć. Przy idealnej teraz widzialności John rozpoznał w tym kawałku płótna część tratwy ratunkowej. Napisy po niemiecku były po prostu ogólną instrukcją obsługi. Na zewnątrz wraku Kohler odkrył trzy zapasowe butle, których otumanieni nurkowie nie byli w stanie odnaleźć. Wszystkie podpisane były „Rouse”. Na żadnej nie było imienia, ojciec i syn wymieniali się między sobą butlami.

Po powrocie do domu Chatterton i Kohler zajęli się ponownie badaniami. Teraz, uzbrojeni w informację ze schematu, wgryźli się w książki i materiały źródłowe w poszukiwaniu U-Bootów typu IXC zbudowanych w niemieckiej stoczni Deschimag-Bremen. Okazało się, że z patrolu nie powróciły 52 takie okręty. Doszli razem do wniosku, że bez większego problemu da się zawęzić tę listę. Siedząc przy kolacji u Scotty'ego, uznali, że należy przyjąć dwa podstawowe kryteria:

Po pierwsze, wykluczyć wszystkie okręty, których członkowie załogi przeżyli zatopienie. Jeśli zostali jacyś rozbitkowie, tożsamość U-Bootu powinna być znana i uwzględniona w dokumentach historycznych.

Po drugie, wykluczyć wszystkie U-Booty z działkiem pokładowym. Już ustalili, że *U-Who* nie miał takiego działka, toteż żaden okręt typu IX wodowany w stoczni Deschimag-Bremen, wyposażony w tę broń, nie mógł być ich wrakiem.

Chatterton i Kohler wyruszyli po raz kolejny do Waszyngtonu. Tym razem, żeby przeprowadzić eliminację. Według źródeł zatopienie 22 spośród 52 okrętów przeżyli członkowie ich załóg. W rachubę wchodziło zatem tylko 30 okrętów. Dziesięć z nich miało jednak działka pokładowe. Lista ograniczyła się więc dosyć szybko do 20 U-Bootów.

– Jeden z okrętów wypisanych na tej pojedynczej kartce papieru jest naszym U-Bootem – stwierdził Kohler.

- Patrzymy właśnie na rozwiązanie naszej zagadki – odpowiedział Chatterton.
- Musimy po prostu eliminować kolejne okręty.

Nigdy wcześniej nie byli aż tak podekscytowani. To były wyjątkowe, całkowicie nowatorskie badania. Prawdziwe poszukiwania.

Po powrocie do New Jersey umówili się na burzę mózgów przy swoich ulubionych daniach u Scotty’ego. Musieli ustalić dodatkowe wyjątkowe kryteria, które pozwolą im zawęzić jeszcze listę do 20 okrętów. Dosyć szybko ustalili plan. Wrócą do archiwów BdU KTB – niemieckich dzienników wojennych – żeby sprawdzić, gdzie dowództwo U-Bootów skierowało i do którego momentu kontrolowało działania pozostałych U-Bootów z ich listy. Uznali, że można spokojnie wykluczyć wszystkie okręty, które zgodnie z rozkazami działały w odległości większej niż kilkaset mil od Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Bądź co bądź Niemcy powinni wiedzieć lepiej niż wszyscy inni, gdzie wysłali na patrol swoje U-Booty.

Planowali wybrać się jeszcze raz do Waszyngtonu w następnym tygodniu. John sprawdzi połowę okrętów, Richie zajmie się resztą. O północy w noc poprzedzającą wyjazd Kohler odebrał telefon. Nikt się nie odezwał. O tym, że ktoś jest po drugiej stronie słuchawki, świadczyło tylko stukanie kostek lodu o szkło. Ten odgłos świadczył niezbicie, że dzwoni Bill.

– Hej, Richie, to ja – odezwał się Bill. – Myślisz, że kiedykolwiek uda się nam ustalić, co to za U-Boot?

– Jasne, że tak – odpowiedział Kohler. – Co się stało? Już północ.

– Wiesz co? Siedzę sobie tutaj sam i myślę o tym U-Boocie. I wiesz co, Richie? Czasami myślę, czy nie chciałbym tego wszystkiego po prostu skończyć...

– O czym ty mówisz, Bill?

– To wszystko na nic, Richie. Mam przy sobie broń. I myślę, że właśnie teraz powinienem odstrzelić sobie ten pieprzony łeb...

– Ej, stary, daj spokój. Masz wszystko, czego można tylko chcieć od świata. Łódź, wspaniałą rodzinę, która czeka na ciebie w Pensylwanii, pieniądze, ładny dom. I żeby zarabiać, musisz tylko pływać. To naprawdę wspaniałe życie. Chętnie bym się z tobą zamienił.

– Co ty w ogóle możesz wiedzieć! – wybuchnął Bill. – Feldman nie żyje. Rouse’owie nie żyją. Mój stary kumpel John Dudas nie żyje. Widuję tych wszystkich zmarłych we snach, Richie. Muszę już kończyć...

Bill odwiesił słuchawkę. Kohler wystukał na telefonie numer Chattertona.

– John? Tu Richie. Bill chce się zabić...

– Czasami miewa takie nastroje – powiedział wciąż zaspany John. – Jest w potwornym stanie. Próbowalem już coś z tym zrobić. Jego rodzina też interweniowała, podobnie jak jego dziewczyna. Brałem go na odwyk. I wiesz, na czym się kończyło? Przeszawał na kilka tygodni. Dochodzi do siebie na tyle, żeby znów czerpać przyjemność z picia, wypisuje się i zatrzymuje w pierwszym sklepie monopolowym po drodze do domu. Nie przypuszczam, żeby się zabił, w każdym razie nie za pomocą pistoletu. Myślę, że raczej załatwi się Jimem Beamem.

– Myślisz, że możemy coś z tym zrobić? – zapytał Kohler.

– Wszyscy staramy się już od lat – odpowiedział Chatterton. – Nie wiem, czy ktokolwiek inny mógłby coś zrobić.

Następnego dnia rano wrócili do Waszyngtonu i zabrali się do dzienników bojowych U-Bootów. Według dokumentów niemieckich 18 spośród 20 U-Bootów z ich listy działało lub zostało skierowanych na wody na tyle odległe od New Jersey, że nie warto było zaprzętać sobie nimi głowy.

Pozostawały dwa U-Booty: *U-857* i *U-879*. Wedle informacji z dzienników obydwu okręty podwodne dostały rozkaz atakowania wszelkich przygodnych celów w rejonie Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Jak wynikało z dalszych zapisków, obydwie zostały zatopione bombami. Okręty te stacjonowały na początku 1945 roku w Norwegii, w tym samym miejscu i z grubsza w tym samym czasie co okręt Horenburga, *U-869*.

– To by mogło tłumaczyć, skąd wziął się nóż! – powiedział Kohler.

– Dokładnie – zgodził się John. – Być może Horenburg pożyczył nóż komuś z załogi sąsiedniego U-Bootu. Może go zgubił i nóż przez przypadek trafił na okręt obok. Może ktoś go ukradł. Tak czy inaczej nóż nabrał sensu. *U-Who* to z pewnością jeden z tych dwóch okrętów. Albo *U-857*, albo *U-879*. Zeszliśmy do dwóch okrętów.

Teraz trzeba było sprawdzić, co piszą o tych dwóch okrętach historycy. Otóż według źródeł marynarki wojennej *U-857* został zatopiony w pobliżu Bostonu przez okręt *USS Gustafson*, *U-879* zaś zniszczyły na wodach w okolicy przylądka Hatteras w Północnej Karolinie okręty *USS Buckley* i *USS Reuben James*. Szanse na to, że tajemniczy wrak był którymś z tych okrętów, były więc nikłe.

– Zróbmy tak – zaproponował Chatterton. – Sprawdźmy dokumenty dotyczące zatopienia tych dwóch okrętów. Zobaczmy sami, co marynarka pisze

o zniszczeniu tych U-Bootów.

– Chcesz powiedzieć, że mogły nie zostać zatopione tam, gdzie piszą autorzy książek?

– Mówię tylko, że powinniśmy sprawdzić – odpowiedział John. –
Zaczynam odnosić wrażenie, że powinniśmy sprawdzać dokładnie wszystko.

Było już dosyć późno, więc spakowali swoje rzeczy i pojechali na obrzeża miasta znaleźć jakiś tani hotel. Zatrzymali się w motelu za 35 dolarów. Następnego ranka wrócili do NHC, nie mogąc się doczekać, kiedy dostaną w ręce teczek marynarki wojennej dotyczące dwóch pozostałych U-Bootów. Jedna z tych teczek zawierała rozwiązanie gnębiącej ich zagadki.

Najpierw przejrzeni dokumenty dotyczące zatopienia *U-857* w pobliżu Bostonu. Znaleźli tam informację, że 5 kwietnia 1945 roku patrolujący okolice Cape Cod *U-857* wystrzelił torpedę w kierunku amerykańskiego tankowca *Atlantic States*, uszkodzając go, ale nie zatapiając. W rejon wysłano okręty wojenne, które miały za zadanie wytropić i zatopić *U-857*. Dwa dni później jeden z tych okrętów, niszczyciel *USS Gustafson*, wykrył w pobliżu Bostonu obiekt podwodny na sonarze i wystrzelił w jego kierunku kilka bomb głębinowych. Członkowie załogi twierdzili, że wkrótce potem usłyszeli eksplozję i poczuł zapach oleju napędowego.

I nic więcej. Żadnych dowodów na to, że U-Boot wypłynął na powierzchnię. Na powierzchni oceanu nie dostrzeżono też żadnych plam oleju. Nurkom trudno było uwierzyć w to, co przeczytali kilka ustępów dalej. Analitycy marynarki wojennej badający atak *USS Gustafson* doszli do następujących wniosków:

„Można przyjąć, że okręt podwodny, który wedle informacji znajdował się w tym rejonie, mógł zostać zatopiony, najprawdopodobniej jednak nie w wyniku tego ataku. Zaleca się więc zaliczyć to zdarzenie do kategorii E – prawdopodobnie lekko uszkodzony”.

– Zaraz, zaraz – odezwał się Kohler. – W tym raporcie jest wyraźnie zaznaczona kategoria B – prawdopodobnie zatopiony.

– Tak, ale popatrz tutaj – odpowiedział Chatterton, wskazując na raport. – Pierwotnie przyznana kategoria E została przekreślona. Ktoś zmienił ją na B.

Wiedzieli, co może oznaczać ta zmiana.

– Cholera jasna – rzucił Kohler. – Jakiś analityk grzebał po wojnie w tym raporcie!

O działających po wojnie analitykach John i Richie dowiedzieli się całkiem niedawno. Jako śledczy z ramienia marynarki wojennej mieli oni za zadanie opracować ostateczny raport dotyczący losów wszystkich U-Bootów. W

większości wypadków ze względu na jednoznaczne dowody ich praca była dosyć prosta. W nielicznych wypadkach, kiedy losy U-Bootu nie były dobrze udokumentowane, analitycy nieco naciągali interpretację faktów – woleli nie pozostawiać na kartach historii znaków zapytania.

– Sytuacja wyglądała zapewne tak, że *USS Gustafson* nigdy nie zatopił *U-857*. Okręt przetrwał atak bombami głębinowymi, minął Boston i zatonął gdzieś dalej. Po wojnie analitycy potrzebowali jakoś wyjaśnić zaginięcie *U-857*. Znaleźli wzmianki o tym wielce wątpliwym ataku i stwierdzili: „Zmieńmy z E na B i będzie z głowy”. Nie obchodziło ich, że ich poprzednicy byli przekonani, że *USS Gustafson* wcale nie zatopił okrętu podwodnego. Chcieli po prostu odhaczyć *U-857* i nie zaprzętać sobie nim więcej głowy.

Przez moment tylko kiwali głowami.

– No cóż, skoro *USS Gustafson* nie zatopił *U-857* w pobliżu Bostonu, to co w takim razie stało się z tym okrętem? – zapytał w końcu Kohler.

– Musimy to sami ustalić – odpowiedział mu Chatterton.

Przejrzeli kolejne niemieckie dokumenty. Po godzinie mieli już gotową odpowiedź.

Z dzienników niemieckich wynikało, że *U-857* dostał rozkaz, żeby płynąć na południe wzdłuż Wschodniego Wybrzeża. Ostatni raz przeprowadził atak na statek przepływający w pobliżu Cape Cod. Stamtąd do New Jersey i Nowego Jorku było już tylko 200 mil.

John i Richie nie mogli się ruszyć z wrażenia. Oto znaleźli U-Boot, który spełniał wszystkie ustalone przez nich kryteria, prawdopodobnie stał w porcie tuż obok okrętu *Horenburga*, zapewne przetrwał atak *USS Gustafson* i zgodnie z rozkazami kierował się w stronę New Jersey.

– To musi być *U-857* – stwierdził Chatterton.

– Myślę, że wreszcie trafiliśmy na naszego U-Bootu – przytaknął Kohler.

Wciąż jednak musieli przejrzeć pudło z dokumentami dotyczącymi *U-879*. I znów okazało się, że historia jest mocno zakłamana.

W ciągu ostatniego półwiecza różni badacze zaproponowali aż trzy możliwe wersje losu *U-879*. Na początku uznano, że okręt zaginął zupełnie bez wieści, potem, że zatopiono go w okolicach Halifaksu na wodach kanadyjskich. Trzecia teoria mówiła, że zatonął w pobliżu przylądka Hatteras w Północnej Karolinie. Zgłębiając kolejne materiały źródłowe, stwierdzili, że wiarygodna jest ostatnia z hipotez, zaproponowana przez niemieckiego historyka i marynistę Axela

Niestłé, *U-879* został najprawdopodobniej zatopiony w pobliżu przylądka Hatteras. Niemniej sprawa *U-879* świadczyła dobitnie o tym, że oficjalnie przyjęta wersja historii często nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością. Wyciągnięto zupełnie błędne i pochopne wnioski, w pośpiechu wprowadzono je do oficjalnych dokumentów. Historycy uznali je za całkiem trafne i powielili błędy w swoich opracowaniach. Jeśli ktoś nie był równie zdeterminowany jak John i Richie i nie zamierzał przekopywać archiwów w Waszyngtonie, grzebać w górach niezwykle mętnych dokumentów źródłowych, spać w zawszonych hotelach, żywić się na ulicznych straganach z hot dogami i biegać co dwie godziny, żeby wrzucać ćwierćdolarówki do parkometru, musiał ufać dziełom historyków. Opuszczając wieczorem Waszyngton, Chatterton i Kohler byli dumni ze swojej pracy detektywów – badań, które na dobrą sprawę udowodniły, że *U-Who* jest tak naprawdę *U-857*. Nie mogli się nadziwić, jak łatwo można wyrobić sobie fałszywy obraz świata, jeśli polega się tylko na opiniach ekspertów. Doszli do wniosku, że w przyszłości powinni bardziej polegać na sobie.

Mnóstwo przesłanek świadczyło o tym, że wrak to *U-857*, Chatterton i Kohler postanowili poświęcić resztę martwego sezonu 1992–1993 na potwierdzenie tej hipotezy.

Ze swojej strony Chatterton zamieścił w wydawanym przez Instytut Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych magazynie „Proceedings” ogłoszenie, że szuka informacji o zatopieniu *U-857* przez *USS Gustafson*. Odpowiedziało na nie kilku 70-letnich już członków załogi okrętu. John wypytał ich o dzień, kiedy zaatakowali w pobliżu Bostonu *U-Boot*a. Chociaż wyczyn ten był dla nich powodem do dumy, po blisko 50 latach nie byli w stanie dostarczyć więcej dowodów na to, że zatopili okręt podwodny. Odpalili bomby głębinowe i poczuł olej napędowy. I nic więcej.

Chatterton nie miał serca, by powiedzieć tym ludziom, żołnierzom, którzy wyruszyli na polowanie na *U-Boot*y, by bronić swojej ojczyzny, że wyczyn, z którego byli tak długo dumni, prawdopodobnie nigdy nie miał miejsca.

Jeden z rozmówców zaprosił Johna na nadchodzący zjazd członków załogi *Greasy Gus*. Poprosił go, by wygłosił odczyt na temat swoich odkryć. Kiedy Chatterton zastanawiał się nad przyjęciem zaproszenia, zdumiał się pewnym spostrzeżeniem. W Wietnamie biegał pod gradem kul, by ocalić rannych. Pływał pod tysiącami kilogramów przerdzewiałej stali wraku rozbitego okrętu podwodnego, ale perspektywa wystąpienia przed podstarzałymi weteranami w czasie ich święta napawała go strachem. Był przekonany, że nie będzie w stanie

przyjechać na zjazd i opowiedzieć im, że historia o zatopieniu U-Bootu, którą z dumą opowiadają swoim wnukom, jest bzdurą. Wielką pomyłką. *Greasy Gus* chybił. John serdecznie podziękował za zaproszenie i powiedział, że niestety, nie będzie mógł przyjechać.

Kohler z kolei postanowił wyruszyć na poszukiwanie wielkiego mistrza wiedzy o U-Bootach. Robert Coppock przez kilkadziesiąt lat zajmował się brytyjskimi archiwami U-Bootów, między innymi przejętymi przez aliantów niemieckimi dokumentami. Okazało się, że Coppock wciąż pracuje w Ministerstwie Obrony w Londynie. Według jednego z archiwistów, z którymi rozmawiał Kohler, nikt nie miał lepszego rozeznania w dokumentach związanych z U-Bootami niż właśnie Coppock. Nikt też nie miał lepszych kontaktów w momentami szemranym środowisku historyków, teoretyków i analityków U-Bootów.

– Czy on wciąż pracuje? – zapytał Richie.

– Od zawsze – odpowiedział archiwista.

Następnego dnia Kohler zadzwonił do Londynu.

Przez trzaski usłyszał kobiecy głos silnie naznaczony angielskim akcentem.

– Scotland Yard. W czym mogę pomóc?

Kohler był przekonany, że to pomyłka, ale nie odwiesił słuchawki. Fakt, że połączył się z siedzibą legendarnej organizacji zwalczającej przestępczość, wydał mu się niesamowity. Przez chwilę wsłuchiwał się w trzaski, wyobrażając sobie biegnącego mężczyznę w czapce Sherlocka Holmesa, krzyczącego: „To, morderstwo!”.

– Halo, tu Scotland Yard. Czy jest tam ktoś?

– To chyba pomyłka, musiałem zadzwonić pod zły numer. Chciałem połączyć się z panem Robertem Coppockiem z Ministerstwa Obrony – wydusił z siebie w końcu Kohler.

– Chwileczkę, już pana łączę z panem Coppockiem – odpowiedziała uprzejmie kobieta.

Kohler nie mógł doczekać się rozmowy. Po raz pierwszy w życiu rozmawiał z kimś z angielskim akcentem. Gdzieś po drugiej stronie Atlantyku, w mrocznym gabinecie zastawionym po sufit szarymi regałami na akta, meblami biurowymi, z matowymi oknami, podniósł słuchawkę otoczony historią U-Bootów siwowłosa mężczyzna. Richie przedstawił się.

– Ach tak, pan jest tym nurkiem z New Jersey – odpowiedział Coppock. – Kojarzę pana. Z wielkim zainteresowaniem śledziłem pana przygodę. Cała ta

sprawa wydaje się niezwykle intrygująca.

Zasypał Kohlera szczegółowymi pytaniami – o odkrycia, jakich dokonali nurkowie, o samo *U-Who*, o kontakty, jakie udało im się nawiązać, o Horenburga. Kohler cierpliwie odpowiadał ujęty tym, że Coppock rozmawia z nim jak ze starym znajomym, a nie z jakimś gościem z Brooklynu, który się spóźnił do Kentucky Fried Chicken z szybą do wymiany. Kiedy Coppock zapytał, czy nurkowie mieli jakieś swoje domysły, Richie przedstawił mu historię *U-857*.

Coppock wysłuchał w skupieniu, po czym przyznał Kohlerowi, że jego argumenty za tym, że tajemniczy wrak w pobliżu New Jersey to właśnie *U-857*, są całkiem przekonujące. Zapytał, czy Richie chciałby, żeby przejrzał jego notatki i materiały źródłowe i nieco bardziej zgłębił całą sprawę.

Kohler o mało nie ryknął: „Cholera, jasne, że tak!”. Powstrzymał się jednak i zamiast tego powiedział:

– Dziękuję panu, będę niezwykle wdzięczny za taką pomoc. Naprawdę serdecznie dziękuję.

Jadąc wymienić okno w KFC, zadzwonił z furgonetki do Chattertona.

– John, rozmawiałem właśnie z Coppockiem. Facet ma chyba z 75 lat, ale jest po prostu niesamowity. A na dodatek pracuje w osławionym Scotland Yardzie!

– I co powiedział? – zapytał John. – Umieram z ciekawości.

– Wyłożyłem mu naszą hipotezę o *U-857*. Powiedział, że brzmi całkiem wiarygodnie. Naprawdę mu się spodobała. Zamierza się tym zająć na własną rękę!

– Rewelacyjnie – odpowiedział Chatterton. – Bierzemy udział w niesamowitej przygodzie.

– Dokładnie. To naprawdę niesamowita przygoda – odpowiedział Kohler.

Wkrótce po rozmowie Kohlera z Coppockiem nurkowie skontaktowali się z Horstem Bredowem i Charliem Grutzmacherem w Niemczech i przedstawili im swoją hipotezę. Obaj przyjęli ich argumenty, pogrzebali trochę w swoich dokumentach, zadali kilka pytań i przyznali im rację – *U-Who* to niemal na pewno *U-857*. Kohler zadzwonił ponownie do Scotland Yardu (tak naprawdę do Wielkiego Scotland Yardu, zupełnie innego miejsca niż osławiony posterunek policji), aby wysłuchać opinii Coppocka. Tym razem rozmowa była krótka. Coppock powiedział Kohlerowi, że sprawdził w swoich źródłach i przemyślał wnikliwie hipotezę nurków i podtrzymuje opinię, że odkryty przez nich wrak to *U-857*.

Na początku 1993 roku Chatterton i Kohler dalej spotykali się w knajpie na steki i pizzę. Nie rozprawiali już jednak na temat tożsamości *U-Who*, tę uznawali za już ustaloną. Teraz zaczęli się zastanawiać nad tym, jaki koniec spotkał *U-Boot*. Dyskutowali już z kilkoma ekspertami od materiałów wybuchowych i amunicji. Wszystkie dowody wskazywały na to, że *U-Boot* został zniszczony potężną eksplozją, spowodowaną najprawdopodobniej przez torpedę.

Ale czyją torpedę? Gdyby aliancki okręt podwodny strzelił torpedą w *U-Boot*, zachowałyby się wzmianki o tym zdarzeniu. Jeśli inny *U-Boot* wystrzelił torpedę i omyłkowo trafił okręt ze swojej floty, też byłyby o tym wzmianki. Czy to możliwe, że przez przypadek wewnątrz okrętu eksplodowała jego własna torpeda? Niemożliwe, uszkodzenia wyraźnie wskazywały na uderzenie z zewnątrz. Zostawało tylko jedno rozsądne wyjaśnienie. Czytali kiedyś o przypadkach awarii systemu sterowania torpedy, w wyniku których pocisk zawracał w wodzie i kierował się w stronę okrętu, z którego został wystrzelony. Takie zabłąkane torpedy, nazywane *Kreisläufer*, zatopiły w czasie wojny kilka *U-Bootów*.

– Wyobraź sobie, że jesteś Rudolfem Premauerem, dowódcą *U-857* – powiedział pewnego wieczoru, kiedy siedzieli u Scotty’ego, Kohler. – Przebiłeś się przez lodowate wody północy, udało ci się uniknąć rojów alianckich samolotów i dotarłeś z Norwegii do wybrzeży Stanów Zjednoczonych. Ledwie udało ci się uciec sforcie okrętów wojennych koło Bostonu, jesteś już w New Jersey, dosłownie kilka mil od Manhattanu. Dostrzegasz w pewnej odległości cel. Rozkazujesz załodze zająć stanowiska bojowe, wchodzisz do kiosku i wysuwasz peryskop bojowy. Namierzasz cel, dajesz rozkaz: „Odpalić torpedę!”. Torpeda wylatuje z wyrzutni. Wszyscy siedzą cicho, pełni nadziei czekając na daleką eksplozję. Nic się nie dzieje. I nagle z kabiny radiowej dobiega głos radiotelegrafisty: „*Kreisläufer*! Torpeda wraca w naszą stronę!”. Premauer rozkazuje błyskawiczne zanurzenie, to ich jedyna nadzieja. Zaczyna się wyścig *U-Boot*a z jego własną torpedą, wszyscy zadają sobie pytanie, czy okręt zdąży zanurzyć się, zanim uderzy w niego torpeda? Ludzie robią wszystko, co tylko w ich mocy, żeby opuścić okręt. Ile mają czasu? Dwadzieścia sekund? Pięć? Nikt nie wie. Dają z siebie wszystko. Ale za późno. Torpeda trafia w kadłub. Siedemset ton trotylu. Jest już za późno.

– I to wyjaśnia, czemu nie ma żadnego raportu z tego rejonu – zgodził się John. – Jest pewnie noc. Zima. Kiedy torpeda trafia w *U-Boot*a, na okręcie, który był celem, nikt tego nie słyszy. Wybuch ma miejsce pod wodą, więc nawet

jeśli słyszą stłumioną eksplozję, nie zwracają na to uwagi. W końcu, do cholery, jest wojna, zewsząd dobiegają stłumione odgłosy eksplozji. U-Boot idzie na dno, ale nikt nie ma o tym bladego pojęcia.

Przez minutę wpatrywali się w milczeniu w swoje talerze.

– Wyobraź sobie, jak musiał się czuć radiotelegrafista, kiedy zdał sobie sprawę, że torpeda zawróciła – rzucił Kohler.

– Wyobraź sobie świadomość, że za kilka sekund twoje życie może się skończyć w niezwykle brutalny sposób. Jedyna nadzieja w tym, że torpeda nie trafi – odpowiedział Chatterton. – Nie ma rozwiązania pośredniego. Wiesz, że w ciągu tych kilku sekund nastąpi jedno bądź drugie.

Następnego ranka John zabrał się do przeszukiwania stert kartek z listami załóg U-Bootów, które skopiował w archiwum Bredowa w Niemczech. Na samym dniu znalazł *U-857*. Przejrzał dokładnie listę 59 mężczyzn o nazwiskach takich jak Dienst, Kausler, Löfgren czy też Wulff. Niektórzy mieli po 19 lub 20 lat. Starszym radiotelegrafistą był Erich Krahe, urodzony 14 marca 1917 roku. Jeśli okręt rzeczywiście został zniszczony przez własną torpedę, to prawdopodobnie właśnie on jako pierwszy zdał sobie sprawę z zagrożenia. Kohler przejrzał książki, szukając zdjęcia 25-letniego kapitana Premauera. Nurkowie mieli przed sobą jeszcze dwa miesiące martwego sezonu, wystarczająco dużo czasu, by dowiedzieć się nieco więcej o ostatnim roku wojny U-Bootów. Roku, który wydał ludzi, których trupy odkryli na dnie oceanu.

Do 1993 roku Kohlerowi udało się zgromadzić kolekcję literatury o U-Bootach godną biblioteki uniwersyteckiej. Teraz rozłożył te książki na podłodze salonu, niczym małe dziecko robiące przegląd swoich ulubionych zabawek. Podzielił książki na dwie sterty, jedną zamierzał pożyczyć Chattertonowi, do drugiej zabrać się sam. Gdzieś wśród tych tomów kryła się historia ludzi, którzy rozegrali ostatnią kampanię wojny U-Bootów, ludzi, których szczątki spoczywały w ich wraku.

Chatterton i Kohler usadowili się w swoich domowych fotelach i zabrali do lektury. Wszystkie książki zaczynały się podobnie. Na pierwszej stronie znajdowała się informacja, że pierwsze prymitywne okręty podwodne powstały już w czasie wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Na stronie drugiej autorzy przechodzili do roku 1866 i wynalezienia torpedy przez angielskiego inżyniera. Trzecią stronę można było sobie darować. Tak naprawdę interesowało ich tylko to, co stało się z ich marynarzami. Przerzucali strony aż do ostatnich rozdziałów. Setek stron ociekających krwią.

Przez cały okres drugiej wojny światowej poległo ponad 30 tysięcy marynarzy z załóg U-Bootów. Była to ponad połowa wszystkich, którzy służyli w liczącej 55 tysięcy ludzi U-Bootwaffe. Żadne ze współczesnych sił zbrojnych nie poniosły tak wielkich strat i mimo to nie przestały walczyć. U-Booty walczyły dalej. Śmierć zebrała największe żniwo właśnie wśród tych, którzy walczyli pod koniec wojny.

U-Booty wysłane na wojnę na początku 1945 roku (tak jak *U-857*) miały niewielkie szanse na powrót z patrolu. Połowa z nich nigdy nie dotarła z powrotem do portu. W tym okresie przeciętny członek załogi miał przed sobą zaledwie 60 dni życia. Ci, których wysłano na wody Kanady i Stanów Zjednoczonych, w większości nie wrócili już nigdy. Przez lata Chatterton i Kohler przeczytali dziesiątki książek poświęconych wojnie, żadna z nich nie poruszyła ich jednak aż tak bardzo jak ostatnie karty tych tomów. Kiedy studiowali listy poległych, zaczęli żałować, że przynajmniej część spośród tych żołnierzy nie doczekała się lepszego końca. Nie myśleli o tym, że marynarze byli nazistami i Niemcami, dla nich byli to po prostu młodzi ludzie. Ci sami, których buty wciąż stały w równiutkich rządkach, w szafach zniszczonego okrętu. Los marynarzy z U-Bootów był przesądzony. Ani Kohler, ani Chatterton nigdy wcześniej nie przeżywali tak żadnej książki, teraz czytali jednak o ludziach, którzy nie byli im obcy.

Niemal ze wszystkich źródeł wynikało, że marynarze służący na U-Bootach pod koniec wojny nie tylko walczyli aż do samego końca, ale robili to z niezwykłym męstwem i wytrwałością, mając jednocześnie świadomość, że przez ten upór tylko zmniejszają swoje szanse na przeżycie. Alianci przewidywali, że na pokładach okrętów zaczną wybuchać bunty. Nigdy do tego nie doszło. Spodziewali się, że marynarze poddadzą skazane na zagładę U-Booty. Również nigdy do tego nie doszło. Jeszcze w styczniu 1945 roku, kiedy siły alianckie polowały i regularnie zatapiały kolejne U-Booty, Churchill wezwał głównych dowódców i przestrzegł ich przed „wielce wojowniczym duchem” żołnierzy walczących na U-Bootach. To było właśnie to, co tak bardzo fascynowało Chattertona i Kohlera: ludzie ci do samego końca starali się zrobić coś więcej, niż tylko zapewnić sobie przetrwanie.

W październiku 1940 roku, w pełni okresu nazywanego przez Niemców szczęśliwymi czasami, U-Booty zatopiły 66 okrętów, tracąc tylko jeden własny. „Szczęśliwe czasy” powróciły na początku 1942 roku w czasie operacji „Paukenschlag”¹, niespodziewanego, zmasowanego uderzenia we flotę amerykańską wzdłuż Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych. W czasie ofensywy U-Booty podeszły tak blisko brzegów, że marynarze mogli poczuć na

pokładzie zapach lasu, patrzeć na samochody jadące po autostradach i słuchać amerykańskich stacji radiowych nadających jazz. Pierwsze tygodnie „Uderzenia w bęben” były rzeźnią. U-Booty masowo torpedowały bezbronne okręty amerykańskie. Wzdłuż brzegów Atlantyku unosiły się ciała, plamy oleju i szczątki wraków. Pięć miesięcy później garstka U-Bootów zatopiła na wodach amerykańskich blisko 600 statków, tracąc przy tym zaledwie sześć własnych jednostek. Była to najgorsza klęska, jaką kiedykolwiek zadano flocie amerykańskiej. Powracające do Niemiec okręty witały piękne kobiety z kwiatami i orkiestry dęte. Churchill napisał nawet: „Jedyną, rzeczą, która tak naprawdę napawała mnie w czasie wojny lękiem, było zagrożenie ze strony U-Bootów”. Bycie Goliatem w świecie, w którym Dawid mógł przyjąć niewidzialną postać, nie było już takie bezpieczne.

Ameryka nie pozostawała jednak zbyt długo bezbronna. Marynarka wojenna zaczęła zgodnie z dawną strategią organizować konwoje. Uzbrojone okręty wojenne strzegły grup wspólnie żeglujących jednostek. Teraz, gdy U-Boot atakował jeden ze statków konwoju, na miejscu były już okręty eskorty, które miały za zadanie go wytropić, doścignąć i posłać na dno. Kiedy zaczęto powszechnie pływać w konwojach, liczba zatopień spadła niemal do zera.

Do wysiłków wojennych przyczynili się także naukowcy z amerykańskich laboratoriów i uniwersytetów. Jedną z najpotężniejszych broni, jaką opracowali, był radar. Nawet w zupełnej ciemności lub pośrodku gwałtownej burzy wyposażone w radar samoloty i okręty były w stanie z dużej odległości wykryć wynurzony okręt podwodny. Do tej pory U-Booty korzystały z luksusu działania w pełnym wynurzeniu, dzięki temu mogły poruszać się zdecydowanie szybciej niż pod wodą. Teraz jednak musiały zupełnie nieoczekiwanie stawić czoła nowemu zagrożeniu ze strony pojawiających się jakby znikąd samolotów alianckich. Przez pewien czas głównodowodzący U-Bootwaffe Karl Dönitz podchodził do tego zagrożenia dosyć lekceważąco. Ginęli jednak coraz to nowi marynarze. Niemcy w końcu musieli zdać sobie sprawę z wagi zagrożenia, nie zmieniło to jednak faktu, że U-Booty nie były w stanie bronić się przed nim inaczej, niż zanurzając i pozostając pod wodą. Były wprawdzie niewidoczne dla radarów, ale poruszały się zbyt wolno, by ścigać okręty alianckie lub przed nimi uciekać.

Pod wodą również nie były w pełni bezpieczne. Załoga alianckiego okrętu, podejrzewając, że gdzieś w pobliżu pod wodą kryje się U-Boot, mogła wykorzystać sonar – urządzenie wykrywające za pomocą fal dźwiękowych obiekty znajdujące się pod powierzchnią wody. W momencie gdy fale wysyłane przez sonar odbiły się od metalowego kadłuba okrętu, U-Boot był praktycznie

skazany na porażkę – pod wodą nie był w stanie prześcignąć okrętów wroga, a wynurzając się, nie miał najmniejszych szans w walce z wykorzystaniem broni pokładowej.

Dowódcy U-Bootów komunikowali się z głównym dowództwem niemal wyłącznie drogą radiową. Alianci postanowili to skwapliwie wykorzystać. Naukowcy opracowali system detekcji fal radiowych znany jako „Huff-Duff”². Umożliwiał on okrętom alianckim określenie dokładnej pozycji U-Bootów na morzu. Od tego momentu każdy U-Boot, używając swojego radia – nawet żeby złożyć raport meteorologiczny – zdradzał swoją pozycję aliantom, którzy natychmiast wysyłali w to miejsce grupy myśliwych-zabójców.

Największym i chyba najbardziej brzemiennym w skutki dla Niemców przełomem było złamanie szyfrów przez aliantów. Od początku wojny siły niemieckie kodowały swoje depesze za pomocą maszyny liczącej zwanej Enigmą. Było to spore, przypominające maszynę do pisania urządzenie, zdolne do zapisywania milionów kombinacji. Naczelne Dowództwo Niemiec uznawało szyfr Enigmy za całkowicie niemożliwy do złamania i najdoskonalszy, jaki kiedykolwiek opracowano. Alianczy kryptoanalitycy utrzymywali, że szanse na złamanie przez kogoś kodu Enigmy mają się jak 1 do 150 000 000 000 000 000. Mimo to próbowali. Opierając się na wieloletnich pionierskich pracach polskich kryptoanalityków oraz przechwyceniu jednej z maszyn i dokumentów kluczowych, zespoły kryptografów, matematyków, egiptologów, naukowców, ekspertów od krzyżówek, lingwistów i mistrzów szachowych pracowały całymi miesiącami, by rozgryźć zagadkę Enigmy. Do pomocy skonstruowano nawet pierwszą na świecie programowalną maszynę liczącą. Alianci nie poddawali się. Po wielu miesiącach prac, z pomocą tajnego wywiadu, udało im się złamać kod. Było to jedno z większych osiągnięć myśli XX wieku. Już pod koniec 1943 roku alianci bez problemu przechwytywali depesze Enigmy i dzięki nim nasyłali grupy myśliwych--zabójców wprost na niczego niespodziewające się U-Booty. Dönitz podejrzewał, że Enigma może w końcu zawieść, ale eksperci zapewniali go bezustannie, że kodu nie da się złamać. Alianci dalej przechwytywali niemieckie komunikaty i zatapiali kolejne U-Booty.

Wiosną 1943 roku U-Booty zostały zupełnie osaczone przez aliantów i ich technologie. Nie było już dla nich bezpiecznych miejsc na oceanach. W maju tego roku siły alianckie unicestwiły 41 okrętów. Pogrom ten przeszedł do historii jako Czarny Maj. Dönitz powiedział, że nie wyobrażał sobie czegoś takiego nawet w najbardziej upiornych snach. „Szczęśliwe czasy” zamieniły się w „Sauergurkenzeit” – „czas kiszonych ogórków”. Myśliwi z początków wojny stali się teraz zwierzyną łowną.

Na początku 1945 roku U-Booty miały już znikome szanse na to, by zadać aliantom straty, teraz ciężko było im nawet przetrwać. Młode, niedoświadczone załogi zastąpiły starą, doświadczoną elitę, starannie dobieranych ludzi, którzy na początku wojny budzili grozę całego świata. Alianckie bombardowania równały z ziemią niemieckie miasta, Niemcy stracili Francję. Na terytorium Rzeszy wkroczyły oddziały sowieckie. Ludzie na pokładzie U-Bootów, otoczeni przez myśliwych wiedzących z wyprzedzeniem o wszystkich ich ruchach, mogli co najwyżej marzyć o bezpiecznym powrocie do domu. Ich Niemcy umierały.

Czytając o ostatnim etapie wojny U-Bootów, Chatterton i Kohler czuli coraz większą dumę z osiągnięć aliantów, ich inwencji i wytrwałości. Byli dumni z tego, że Stany Zjednoczone potrafiły twardo stawić czoła jednemu z najbardziej przerażających zagrożeń w historii ludzkości i zdławić je, by uczynić świat na powrót bezpiecznym. Mimo to żaden z nich nie potrafił przestać myśleć o marynarzach, którzy spoczywali martwi we wraku. Nie potrafili powiedzieć o tych przemyśleniach żonom, przyjaciółom ani współpracownikom. Postanowili spotkać się po raz kolejny u Scotty'ego.

Tego wieczoru ich rozmowa miała zupełnie inny charakter niż wszystkie dotychczasowe dyskusje prowadzone przy kolacji. Przedtem John i Richie rozprawiali o bardziej ogólnych zagadnieniach – omawiali badania, teorie, strategię, zastanawiali się, w jaki sposób rozwikłać tajemnicę *U-Who*. Teraz, gdy uświadomili sobie już całą beznadziejność końcowej fazy wojny U-Bootów, zaczęli patrzeć na to wszystko z innej perspektywy. Myśleli o życiu pojedynczych ludzi, z którymi czuli się teraz w pewien sposób spowinowaceni.

Bez przerwy zadawali sobie pytanie: „Jakim cudem ci ludzie wytrwali w walce?”. Odpowiedź po części kryła się w tym, jak określał ludzi z załóg U-Bootów sam Dönitz. Nazywał ich *Schickelgemeinschaft* – „wspólnota ludzi połączonych przez los”. Każdy człowiek był „zależny od pozostałych i tym samym na nich skazany”. Dla Chattertona i Kohlera tego typu braterstwo było przejawem jednego z najbardziej szlachetnych ludzkich instynktów. Pijąc kolejne filiżanki kawy, doszli do wniosku, że mogą w ten sam sposób określić swoją przyjaźń.

Była jeszcze jedna odpowiedź, obydwaj się nad nią zastanawiali, ale żaden nigdy o niej nie mówił. Mieli wrażenie, że większość mężczyzn przez całe życie nigdy nie ma okazji naprawdę poznać siebie samych. Mogą uważać się za szlachetnych, odważnych i prawych, ale nie są w stanie utrwalić się w tym przekonaniu, dopóki nie zostaną wystawieni na próbę. To właśnie bardziej niż cokolwiek innego poruszało ich w postaciach marynarzy U-Bootów walczących pod koniec wojny. Zdając sobie sprawę z tego, że ich wysiłki są z góry skazane

na niepowodzenie, wypływali na morze pełni determinacji. Żegnając się po kolacji, Chatterton i Kohler zastanawiali się, czy to, co robią, nie przypomina czasem poddawania się takiej próbie. Wrak *U-Who* zabił już trzech nurków. John i Richie, pewni już tożsamości wraku, mogli się teraz wycofać i porzucić raz na zawsze dalsze próby zdobycia dowodów pozwalających jednoznacznie zidentyfikować wrak. Tego wieczoru, jadąc do domów, obydwaj zadawali sobie w myślach pytania: *Jak by o mnie świadczyło, gdybym się teraz wycofał? Co, jeśli życie wystawia mnie teraz na próbę, a ja nie pokuszę się, by stawić jej czoła?*

¹ Z niemieckiego „Uderzenie w bęben” (przyp. tłum.).

² „Huff-Duff” – nazwa pochodziła od HF/DF – skrótu terminu „high frequency direction finding” – określanie kierunku wysokich częstotliwości (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 11

PRZEGAPIONY ZNAK

P

od koniec maja 1993 roku, kiedy mieszkańcy Brielle wybudzili się już ze snu zimowego, nurkowie zarezerwowali *Seekera* na pierwszy w nowym sezonie rejs do wraku U-Bootu. Chatterton i Kohler uznali wrak bezspornie za *U-857* i ogłosili swoje odkrycie na spotkaniach środowiska nurkowego. Wielu ludzi pytało ich, czemu zamierzają kontynuować poszukiwania na tak niebezpiecznym wraku, skoro ustalili już jego tożsamość. Odpowiadali, że dopóki nie wydobędą z wraku namacalnych dowodów, będą musieli opierać się wyłącznie na domniemaniach. Nie zamierzali poprzestawać na domniemaniach.

Datę pierwszej w 1993 roku podróży ustalili na 31 maja. Tym razem John i Richie byli z siebie wyjątkowo zadowoleni. Chatterton dokonał wszystkich ważnych odkryć i jako jedyny dotarł do niektórych miejsc na okręcie. Dzięki swojemu uporowi i niezłomności w poszukiwaniach doszedł do rozwiązania zagadki U-Bootu, na które nie wpadli nawet najbardziej wytrawni znawcy tematu.

Kohler czuł podobną satysfakcję. Jeszcze dwa lata temu był brutalnym królem łupów i jednym z twardogłowych Atlantyckich Nurków Wrakowych. Żył tylko po to, by wyciągać z wraków łupy, dodatkowo wszczynając burdy. W miarę jednak jak zaczął poznawać U-Bootu i czuć obecność jego załogi, obserwować Johna poświęcającego całe nurkowania na kręcenie filmów pomocnych w dalszych poszukiwaniach i samodzielnie prowadzić badania źródłowe, które poprawiły pisaną historię, wyzbył się swoich dawnych nawyków. Czuł się nie tylko nurkiem, ale również odkrywcą, zaczęły ziszczać się najskrytsze marzenia jego dzieciństwa. Ale nie wszyscy potrafili docenić jego ewolucję. Niektórzy jego dawni kumple z Atlantyckich Nurków Wrakowych nie mogli pogodzić się z tym, że zdradził ich ideały. Wypominali mu to w martwym sezonie. Kiedy Richie znalazł na wiosnę trochę czasu, by ponurkować w ich towarzystwie, dogryzali mu pytaniami w rodzaju: „I jak tam twoi nowi koledzy od nurkowania?” czy też: „Powiedz, jak się nurkuje z tym palantem, który zamontował ci przed nosem kratę na *Dorii*?”.

Tego typu uwagi potwornie bolały Kohlera. To ci ludzie wprowadzili go w świat nurkowania na głębokich wrakach, to dzięki ich radom i pomocy wciąż żył. Chatterton widział, jak bardzo jego kumpel cierpi z tego powodu. Kilka razy próbował z nim nawet o tym porozmawiać.

– Twoi kumple mają ambitne plany na ten sezon. Po raz kolejny nurkują na *Oregonie*. Jeszcze raz na *San Diego*. Czego oni jeszcze chcą, kolejnej tablicy z *Oregonu*? Kolejnej miseczki, identycznej jak tak, którą wyłowili dwadzieścia

miseczek temu? Richie, to kompletny idiotyzm. To wbrew duchowi nurkowania. Nie idź na to. Gdybyś szedł na coś takiego, nigdy nie zanurkowałbyś na U-Bootach – przekonywał John.

Kohler zawsze odpowiadał tak samo:

– Masz rację, John. Teraz patrzę na to zupełnie inaczej.

Patrzył na tyle inaczej, że sporą część martwego sezonu poświęcił przerzucaniu się na trimiks. Widział, jak bardzo trimiks zmienił nurkowanie Chattertona i Yurgi, o ile był bezpieczniejszy i ile miał plusów. Poza tym był przekonany, że Rouse'owie zginęli dlatego, że raz zdecydowali się oddychać powietrzem. Poświęcił się do tego stopnia, że aby poprawić swoją wydajność pod wodą, rzucił nawet palenie.

Parking na przystani w Brielle wyglądał na jeszcze bardziej pusty niż zwykle, kiedy przyjeżdżali na nurkowanie. Nikt się temu specjalnie nie dziwił. Śmierć Feldmana sprawiła, że *U-Who* zyskał reputację śmiertelnej pułapki. Wypadek Rouse'ów przypieczętował tę reputację. W środowisku nurkowym krążyły budzące grozę opowieści o tysiącach niebezpieczeństw czyhających na nurków we wnętrzu wraku. Jeśli nie zabije cię głębokość, wyręczą ją sterczące ostrza poszarpanej stali i upiorna płatanina przewodów. Wyprawa była dosyć kosztowana – 150 dolarów za miejsce na rejsie. Na wraku trudno było znaleźć „kominkowe” trofea. Media dawno już zapomniały o całej sprawie. Nurkowie zdolni do zejścia na taką głębokość byli żądni trofeów. Większość odpowiedziała więc na propozycję nurkowania na *U-Who*: „Nie, dziękuję”.

Zgromadzeni na pokładzie *Seekera* nurkowie ściskali sobie dłonie i wymieniali się doświadczeniami z martwego sezonu. Około północy z Potwornej Oberży wytoczył się szkielet. Skierował kroki w stronę *Seekera*. Wszyscy milczeli. Postać, powłócząc nogami, zbliżała się powoli przez parking do nabrzeża. Ktoś szepnął: „To Bill”.

Pożółkła twarz Nagle'a pokryta była fioletowymi plamami. Miał potwornie przetłuszczone włosy i brudny podkoszulek. Ważył może z 55 kilogramów, na wychudłych nogach zwisała luźna skóra, a po pokaźnym niegdyś brzuchu został mu jedynie obwisły fałd. Pod pachą niósł stary wyświechtany śpiwór w kowbojów i Indian, którego używał od wczesnego dzieciństwa. To w nim sypiał w czasach, kiedy wydobył dzwon z *Dorii* i królował nad światem.

Nurkowie zrobili wszystko, co mogli, by nadać swoim obliczom miły wyraz. Ktoś rzucił: „Siemasz, Bill”. Ktoś inny: „*Seeker* świetnie wygląda, Bill”. Kiedy pod osłoną nocy opuszczali przystań, wszyscy na pokładzie dziękowali Bogu, że

byli z nimi także Chatterton i Crowell – dwóch trzeźwych i rozsądnych kapitanów.

Kiedy *Seeker* mknął w kierunku wraku, nurkowie po raz ostatni uzgadniali szczegóły swoich planów. Packer i Gatto, najlepszy chyba w kraju duet nurków wrakowych, zamierzali spenetrować wnętrze przedziału silników spalinowych. Oprócz masywnych silników Diesla w pomieszczeniu znajdowały się również liczne zawory, telegraf i inne urządzenia, na których mogła zachować się nazwa U-Bootu. Dostęp do przedziału był zablokowany. Wejście tarasowały pozostałości potężnych przewodów wentylacyjnych, przyczepionych niegdyś w górnej części przedziału. Packer i Gatto byli przygotowani na usunięcie przeszkód siłą, nawet jeśli wymagałoby to użycia liny i kilku worków wypornościowych, mimo iż w tego typu zamkniętym pomieszczeniu było to dosyć ryzykowne. Otwarcie drogi do tego przedziału miało jeszcze jeden plus – nurkowie zyskaliby dostęp do sąsiedniego przedziału silników elektrycznych. Był to ostatni przedział, do którego nie byli w stanie się jeszcze dostać.

Plan Johna był zdecydowanie prostszy. Zamierzał wrócić do dziobowej części wraku – kabiny radiowej, kabiny dźwiękowej oraz kajut kapitana i oficerów – miejsc, które badał już wcześniej. Mógł tam pozostawić niemal w bezruchu.

– Wszystko sprowadza się tak naprawdę do tego, żeby nauczyć się widzieć – wyznał Yurdze na łodzi. – Musisz wpatrywać się w wielką stertę śmieci, dopóki nie dostrzeżesz małego przedmiotu, który wygląda nieco inaczej od reszty. Szukasz odrobiny ładu w kompletnym chaosie. Mam wrażenie, że jeśli zacznę po prostu grzebać, nigdy nie zobaczę nic więcej niż tylko stertę śmieci. Ale wydaje mi się, że jeśli pozostanę w bezruchu i będę odpowiednio długo wypatrywał, to coś jednak dostrzegę.

Plan Kohlera wyglądał podobnie. W swoich ostatnich poszukiwaniach trafił na dziesiątki zdjęć marynarzy U-Bootów z zapalniczkami, zegarkami lub czapkami ozdobionymi numerem lub znacznikiem okrętu, na którym służyli. Podobnie jak Chatterton, sądził, że ważne przedmioty znajdują się w dziobowej części wraku, tam gdzie spali i trzymali swój dobytek członkowie załogi. W przeciwieństwie do Johna, Richie postanowił grzebać w szlamie, w chmurach czarnego pyłu, bardziej ufając dłoniom niż oczom. Zamierzał szukać wszędzie tam, gdzie miał pewność, że nie leżą żadne szczątki ludzkie.

Obudziło ich wstające nad horyzontem słońce. Tak jak w poprzednim sezonie Chatterton i Kohler skoczyli razem. Richie oddychał trimiksem, mimo iż jeszcze rok temu był przekonany, że diabelska mieszanka zabija wszystkich, którzy odważą się z niej korzystać. Ku swojemu zdziwieniu żył. Na głębokości 35

metrów sprawdził, czy ma jakieś objawy narkozy. John sprawdził, czy Kohler się sprawdza. Nic nie dudniło w uszach. Na głębokości 70 metrów Richie zatrzymał się na chwilę, żeby nasycić się widokiem. Gdyby oddychał powietrzem, na tej głębokości narkoza dałaby już o sobie znać, zawężając pole widzenia. *Nie do wiary – pomyślał. Różnica jak między przenośnym telewizorkiem turystycznym a kinem.* Dał znak Chattertonowi, że wszystko w porządku. John się uśmiechnął. Wślizgnęli się do wnętrza wraku i popłynęli w stronę przedziałów na dziobie, tam gdzie zginęło tak wielu członków załogi i gdzie niezwykle ważny był dobry wzrok.

Kohler popłynął nieco dalej, dostał się aż do kajuty podoficerów, miejsca, które kojarzyło mu się do tej pory z cmentarzem. Chatterton zatrzymał się w kajucie kapitana. Nikomu się nie przyznał, ale liczył skrycie na to, że uda mu się tutaj odnaleźć dziennik pokładowy. Przedmioty z nieźle zachowanymi notatkami przetrwały we wrakach starszych niż ten. Dziennik pokładowy byłby niesamowitym znaleziskiem. Tam opisane były szczegóły misji, cele, nadzieje, obawy i koniec. Jeśli dziennik wciąż istniał, mogły odnaleźć go tylko bystre i spokojne oczy. John zaczął nieruchomieć.

Tak jak się tego spodziewał, z początku szczątki zalegające kajutę kapitana wydały mu się wielka stertą śmieci. Zatrzymał się w miejscu i pochłaniał je oczami. Śmieci. Jednak w miarę upływu czasu, kiedy tak wnikliwie wpatrywał się w rozpościerający się przed nim chaos, spośród bałaganu zaczęły wyłaniać się ślady porządku.

Ten kształt nie jest przypadkowy – pomyślał, sięgając do sterty szczątków. Wyciągnął znakomicie zachowany but.

Ten kawałek metalu wygląda na gładszy od pozostałych – stwierdził i sięgnął po kolejny przedmiot ze sterty. Tym razem udało mu się trafić na raketę sygnałową.

Ten brząz nie wygląda tu naturalnie – uznał i zagrzebał rękę w stercie połamanego drewna. Wydobył z niej płuco ratunkowe, kompletne, z małą butlą tlenową, automatem oddechowym i kamizelką.

W ciągu zaledwie 20 minut udało mu się wyciągnąć trzy całkiem nieźle przedmioty, które przeoczył w trakcie poprzednich nurkowań w przedziałach dziobowych. Każda z tych rzeczy mogła być podpisana. Najbardziej obiecująco wyglądało płuco ratunkowe. W czasie ich wizyty w Niemczech Horst Bredow wyraźnie podkreślał, że warto szukać tych urządzeń – minibutli z gumowym ustnikiem, używanych przez marynarzy w czasie ewakuacji z tonących okrętów. Marynarze często podpisywali je imieniem i nazwiskiem. Płynąc z powrotem na

powierzchnię, Chatterton był z siebie wyjątkowo dumny, chociaż przez prawie godzinę trudno było mu określić, z jakiego powodu. Na głębokości sześciu metrów, widząc nad sobą kołyszący się kadłub łodzi, zrozumiał. Odkrywając ukryte pośród stert śmieci piękno, odkrył zarazem sekret, który uczynił Nagle'a wielkim. Zawsze marzył o tym, żeby nurkować tak jak Bill Nagle. Kiedy wspiął się na pokład, Bill zbliżył się, by rzucić okiem na przedmioty. John czuł bijący od niego smród i widział brud w jego włosach. Objął Nagle'a ramieniem i poprosił kapitana, by pomógł mu zdjąć sprzęt. *To było całkiem miłe uczucie, marzyć o tym, żeby nurkować jak Bill* – pomyślał.

Kohler wdrapał się na pokład tuż po nim. Zirytowany zrzucił z pleców butle. Udało mu się znaleźć tylko kilka kawałków dzbanka do kawy, toteż podszedł do stołu i przyłączył się do oglądających znaleziska Chattertona. Nurkowie włożyli but, rakietę i płuco do wiadra ze słodką wodą i zaczęli nim energicznie potrząsać. Bill wyjął z wiadra but i wytarł go z błota ręcznikiem. Nurkowie stłoczyli się wokół niego, usiłując dopatrzeć się imienia, inicjałów lub chociaż jakiegoś napisu. But był jednak czysty – jego właściciel nic nie napisał.

Następnie Bill wyciągnął z wiadra przypominającą pocisk do strzelby rakietę. Tego typu pociski wystrzeliwano w powietrze z raketnicy, aby zasygnalizować zagrożenie. Bill pocierał rakietę delikatnymi kolistymi ruchami niczym czarodziejską lampę. W odpowiedzi pojawiły się napisy po niemiecku. Niestety, była to tylko nazwa producenta i kaliber flary.

Zostało tylko płuco ratunkowe. Składało się z brązowej pokrytej gumą płóciennej kamizelki ratunkowej, czarnego gumowego sparciałego wężyka, pomarańczowego ustnika z gumy i aluminiowej butli tlenowej wielkości termosu. Marynarze oddychali za pomocą czegoś takiego w razie katastrofy. Ze wszystkich trzech przedmiotów płuco było w najgorszym stanie. Prawie zupełnie zniszczało w słonej wodzie. Butla tlenowa miała na środku wgniecenie i była odkształcona. Bill przetarł ustnik aparatu. Odpadło trochę błota, ale pod spodem nie było żadnego napisu. Potarł trochę mocniej. Tym razem na ręczce ustnika pokazał się malutki orzełek ze swastyką.

– Jest tam napisane jakieś imię? – zapytał Kohler.

Bill potarł jeszcze trochę.

– Nie ma imienia ani nazwiska – oznajmił. – Wygląda na to, że mogło należeć do każdego z nich.

Nadzieje Johna prysły i ulotniły się gdzieś w powiewach południowego wiatru.

– Zero do trzech – powiedział. – Ten wrak to jedno wielkie wredne bydlę. –

Wziął płuco ratunkowe i włożył je do swojej lodówki turystycznej. – Wezmę je do domu, porządnie wyczyszczę i wysuszę – powiedział Yurdze. – Kto wie? Może dostrzegę jakiś napis, jeśli pozwolę porządnie wyschnąć płótnu.

Tuż przy drabinie na powierzchnię wynurzyli się Gatto i Packer. Mieli obiecujące wieści. W czasie martwego sezonu zniknął gdzieś kawał rury blokujący wejście do przedziału silników spalinowych. Prezent dla nurków od zimowej burzy. Wewnątrz przedziału znaleźli kilka narzędzi i trochę sprzętu, na którym mógł być numer okrętu. W czasie kolejnego nurkowania będą mogli przyrzeć się temu dokładniej.

– Jaką część przedziału udało się wam zobaczyć? – spytał Kohler.

– Niewielki kawałek – odparł Packer. – Wpłynęliśmy może ze trzy metry do środka. Potem trafiliśmy na kolejną przeszkodę, która blokuje drogę do dalszej części. Nadal nie można się dostać do przedziału silników elektrycznych. Myślę jednak, że udało nam się wejść wystarczająco daleko, żeby coś zdziałać.

– Gratuluję – pochwalił ich Chatterton. – Odwaliliście kawał dobrej roboty, chłopaki.

Wzburzone morze i coraz gorsza widzialność zmusiły większość osób do rezygnacji z drugiego nurkowania. Gdy tylko Bill podniósł kotwicę i uruchomił silniki, nurkowie zaczęli snuć fantazje na temat cudów, jakie przy kolejnym nurkowaniu będą mieli okazję wyciągnąć z przedziału silników spalinowych Packer i Gatto. John zaczął wymieniać wszystkie skarby, jakie widział wewnątrz podobnego pomieszczenia na *U-505*, w muzeum w Chicago. Kiedy dyskusja rozgorzała na dobre, Chatterton zamilkł, wpatrując się w zawartość swojej lodówki turystycznej i widząc w myślach zniszczone płuco ratunkowe. Zastanawiał się, czy uda mu się odnaleźć coś ciekawego w tym zniszczonym przedmiocie. Myślał też o *U-Boocie*, na którym wszystko było zupełnie inaczej, niż powinno.

John dotarł do domu około północy. Po cichu rozpakował swój sprzęt, starając się nie obudzić żony. Kiedy została już tylko lodówka, wyłowił z niej płuco i poszedł z nim do garażu. Wszystkie półki były szczelnie zapchane wyłowionymi z wraków przedmiotami, które nie mieściły się już w domu. Garaż był swoistym muzeum podwodnych osiągnięć Chattertona. Znalazł miejsce na płuco tuż obok kilkuletnich zbiorów serwisów porcelanowej zastawy i sreber z *Dorii*. Doszedł do wniosku, że musi minąć kilka dni, zanim płuco porządnie wyschnie. Wrócił do mieszkania i poszedł do łazienki opłukać twarz, myśląc: *Wygląda, że to Packer i Gatto będą tymi, którzy odkryją dowód na potwierdzenie tożsamości wraku.*

Kilka dni później John poszedł do garażu sprawdzić, co się stało z płucem. Stał w drzwiach jak wryty. Cała podłoga usiana była potłuczoną porcelaną. Sufit i ściany najeżone były odłamkami szkła. Gruba drewniana półka zwisała ze ściany kompletnie potrzaskana.

– Ktoś wysadził mój garaż w powietrze – powiedział na głos. – Ktoś musiał zostawić tutaj bombę.

Kompletnie zszokowany chwycił miotłę i zabrał się do sprzątanía. Na półkach praktycznie nic nie przetrwało. Zamiatał dalej. Wśród skorup dostrzegł kawałek srebrzystego metalu. Podniósł go. Była to butla tlenowa od płuca, a w zasadzie to, co pozostało z jej cylindrycznego kształtu. Była spłaszczona i wyglądała jak rozerwana tubka po paście do zębów.

– Cholera – powiedział. – Rąbnęła butla z tlenem. To coś cały czas żyło. Płuco ratunkowe wysadziło w powietrze mój garaż.

Przyjrzał się dokładniej spłaszczonemu cylindrowi. Eksplozja odkruszyła osad, którym przez pół wieku obrosła butla, nie dałoby się tego odczyścić zwykłą szmatką. John przybliżył butlę do twarzy. Na metalowej powierzchni było coś napisane. Numer: 15.4.44.

Od razu zorientował się, co oznaczają te cyfry. Pobiegł pędem do domu, chwycił telefon i zadzwonił do Kohlera.

– Richie, słuchaj, ta butla tlenowa rozwalila mi cały garaż – oznajmił.

– Co takiego?

– Płuco ratunkowe. Pamiętasz tę butlę tlenową? Była nabita. Zostawiłem to wszystko w garażu, żeby porządnie wyschło. Najwyraźniej korozja sprawiła, że butla eksplodowała. Wszystkie moje rzeczy z *Dorii* wzięli diabli. Garaż wygląda jak pole bitewne. Ale posłuchaj, dzięki temu wybuchowi mamy kolejną wskazówkę. Na butli jest data – *piętnaście - kropka - cztery - kropka - czterdzieści cztery* – 15 kwietnia 1944 roku. To data testu ciśnieniowego, wtedy sprawdzili butlę i uznali ją za sprawną.

– Czyli nasz U-Boot wypłynął po 15 kwietnia 1944 roku – stwierdził Kohler.

– Dokładnie.

– Zaraz u ciebie będę.

Chatterton wrócił do garażu. Chwycił miotłę, ale nie był w stanie zabrać się do zamywania. Dopiero teraz dotarło do niego, ile miał szczęścia, kiedy trzymał w rękach to płuco. Trzymał je w swojej siatce na trofea przez ponad godzinę dekompresji, nie spuszczał z niego oka na pokładzie *Seekera*, wiozł w samochodzie tuż obok zapasowego zbiornika na benzynę i przekładał z półki na półkę w garażu. Kiedy teraz czekał na Kohlera, po głowie chodziły mu dwie

myśli. Po pierwsze, wszystko wskazywało na to, że wrak rzeczywiście jest okrętem *U-857*, który wyruszył na patrol w lutym 1945 roku. Po drugie, zaczął odnosić wrażenie, że zaczęli być zbyt blisko – może brzmiało to głupio, ale wydawało mu się, że nieżyjący marynarze zaczynają się bronić.

Kilka godzin po odkryciu pobojuwiska w garażu John postanowił zadzwonić do majora Gregory'ego Weidenfelda, historyka Cywilnej Obrony Powietrznej, który za wszelką cenę starał się udowodnić, że dwóch całkiem zwykłych cywilów zatopiło w 1942 roku na wodach New Jersey *U-Boot*a, zrzucając bombę z prywatnego samolotu.

– Słuchaj, Greg, znaleźliśmy datę testów ciśnieniowych, świadczącą o tym, że nasz wrak wypłynął po 15 kwietnia 1944 roku. Nie ma więc niestety szans, że to twój *U-Boot*. Strasznie mi przykro – oznajmił Chatterton.

Przez chwilę Johnowi wydawało się, że słyszy, jak Weidenfeld próbuje wziąć się w garść. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek poznał kogoś równie mocno oddanego pamięci zwykłych ludzi.

– Dzięki, John – odpowiedział Weidenfeld. – W takim razie wszystko wskazuje na to, że musicie tam znaleźć jeszcze jednego *U-Boot*a.

Kilka dni potem do Chattertona doszła wiadomość, że zmarł jego przyjaciel, as *U-Boot*ów Karl-Friedrich Merten. Miał 87 lat. Merten od pewnego czasu poważnie chorował, toteż jego śmierć nie była wielkim zaskoczeniem. John wiedział, że odejście Mertena i pożegnanie się z Weidenfeldem oznaczały zamknięcie pewnego rozdziału w epopei nurków. Przez rok, razem z Kohlerem i Yurgą, uznawał, że *U-158* (dzięki Cywilnej Obronie Powietrznej) i *U-851* (dzięki przekazanim przez Mertena informacjom o jego przyjacielu, Weingärtnerze) są najbardziej prawdopodobnymi kandydatami do rozwiązania zagadki wraku. Zaprzyjaźnił się z tymi ludźmi, i zaostrzył ich apetyt na dalsze poszukiwania.

Pogoda i dosyć napięty harmonogram rejsów *Seekera* sprawiły, że mogli popłynąć na *U-Who* po raz kolejny dopiero 31 lipca. Nie mogli usiedzieć w miejscu, czekając, kiedy wreszcie *Seeker* dopłynie do wraku. To właśnie w trakcie tego rejsu Packer i Gatto mieli zabrać się do wydobywania łupów z wnętrza przedziału silników spalinowych.

Następnego ranka jako pierwsi skoczyli jak zwykle Chatterton i Kohler. Od razu skierowali się w stronę przedziałów dziobowych. Cały czas wierzyli, że ten obszar może kryć w swoich zakamarkach coś, co pomoże w identyfikacji wraku. Tak jak poprzednio John zabrał się do badania sterty szczątków. Próbował

opanować myśli i przestawić oczy, tak by wychwytywały z tła wszystko, co nosiło znamiona porządku. W kajucie kapitańskiej dostrzegł leżącą na samym wierzchu lornetkę.

Byłem tu z dziesięć razy i nigdy nie było tu lornetki – pomyślał sobie. Nie ma mowy, żebym ją wcześniej przegapił.

Podniósł lornetkę do maski. Brakowało części szkła, a całość obrosnięta była glonami. Włożył ją do siatki. Jeśli lornetka należała do kapitana, być może gdzieś pod warstwą błota widniało jego nazwisko. Nie znalazł już nic więcej. Przez cały czas myślał, że to niezwykle poetyckie – znaleźć lornetkę w trakcie nurkowania, w którym postanowił skupić się na patrzeniu.

Kohler natomiast przekopywał dalej pomieszczenia zajmowane przez podoficerów. Z niezwykłą uwagą omijał szafę z równiutko ułożonymi butami marynarzy i inne miejsca w przedziale, w których spoczywały liczne szczątki ludzi. W stercie mułu dostrzegł coś, co wyglądało na miskę, podniósł ten przedmiot do maski, żeby dokładniej mu się przyjrzeć. Bardzo szybko zorientował się, że to, co trzyma w dłoni, jest ludzką czaszką. Z oczodołów i nosa wypływał ciemny szlam. Rok temu pewnie by spanikował i cisnął czaszkę z powrotem w stertę szczątków. Teraz trzymał ją i patrzył jej w oczy.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby poznać twoje imię – powiedział na głos. – Twoja rodzina powinna wiedzieć, gdzie jesteś.

Nadszedł czas, by opuszczać wrak. Wziął czaszkę i delikatnie odłożył ją tak, by mogła ogarnąć swoimi pustymi oczodołami przedział i martwych towarzyszy.

Po wyjściu na powierzchnię zabrali się do czyszczenia lornetki. Nie była podpisana. Teraz nie pozostawało im nic innego, niż czekać na powrót Packera i Gatta. Tamci popłynęli zbadać przedział silników spalinowych, z którym wszyscy wiązali tyle nadziei. Godzinę później nurkowie wspięli się po drabince. Siatka Packera była wyładowana po brzegi. Otworzył ją i wyjął manometr wielkości talerza. Według książek, które studiowali Kohler i Chatterton, było to jedno z urządzeń, na których stemplowano numer okrętu. Wszyscy stłoczyli się, żeby lepiej widzieć. Na aluminiowej tarczy manometru wryty był orzeł i swastyka. Reszta tarczy zadrukowana była tylko symbolami i cyframi. Packer przetarł obudowę, która niemal rozpadła mu się w rękach. Tak jak tabliczki znamionowe w torpedowni, przyrząd zrobiony był z taniego stopu używanego przez Niemców pod koniec wojny w związku z kryzysem materiałowym. Wniosek był dosyć ponury. Reszta przedmiotów z przedziału silników spalinowych – na czele z tabliczkami znamionowymi – była prawdopodobnie wykonana z tego samego wątpliwej jakości materiału, który nie był w stanie

oprzeć się panującym w oceanie warunkom.

Nasilający się prąd skrócił większość drugich nurkowań. Tej nocy, kiedy *Seeker* ciął niebieskoczarne wody Atlantyku w drodze powrotnej do Brielle, nurkowie nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia. W sterówce, podczas gdy Bill mruczał pod nosem: „Cholerny U-Boot...”, John otworzył dziennik pokładowy i zrobił w nim krótką notatkę: „I co dalej?”.

W ciągu następnych sześciu tygodni *Seeker* odbył jeszcze cztery rejsy na U-Boota. Packer i Gatto kontynuowali swoje prace w dostępnej części przedziału silników spalinowych. Zgromadzili piękną i niezwykle ciekawą kolekcję trofeów: panel kontrolny, plastikowe tabliczki, telegraf i urządzenie do przekazywania komend typu: CAŁA NAPRZÓD, STOP, ZANURZENIE. Wszystkie te urządzenia były typowe, bez żadnych znaków szczególnych umożliwiających identyfikację. Dostęp do dalszej części przedziału był zablokowany przez potężną stalową rurę, zaklinowaną pod kątem w wąskim przejściu między dwoma silnikami spalinowymi. Kohler stwierdził, że to rękaw bezpieczeństwa, pionowy tunel z drabinką wewnątrz, przez który marynarze mogli wydostać się z tonącego okrętu. Wciśnięty między silniki, sięgający od podłogi do sufitu, skutecznie blokował drogę do dalszej części przedziału silników spalinowych i sąsiadującego z nią przedziału silników elektrycznych. Nie było dużej straty, skoro cały zestaw przedmiotów wydobytych przez Packera i Gatta nie powiedział absolutnie nic o tożsamości wraku, można było się spodziewać, że w dalszej części maszynowni również nie będzie odpowiedzi.

Chatterton i Kohler poświęcili wszystkie nurkowania przedniej sekcji U-Boota. Odkryli sporo różnych przedmiotów – miski, kubki, buty, zawory – żaden z nich jednak nie mówił nic o tożsamości wraku. John wydobył z wraku dwie prawdziwe perełki godne kolekcji muzealnych, których sam widok wzbudził westchnienia zazdrości pozostałych nurków. Pierwszą z nich, leżącą na samym środku, zupełnie na widoku, w miejscu, które Chatterton przeczesał już dziesiątki razy, był zestaw narzędzi chirurgicznych, cała kolekcja instrumentów medycznych ze stali nierdzewnej wraz ze schematami instruktażowymi wydrukowanymi na czerwono i czarno na kawałku lnianego płótna. Żaden z elementów nie zdradzał jednak tożsamości wraku.

– Chłopaki, możecie sobie wziąć te narzędzia – powiedział nurkom. – Ja sobie zatrzymam tylko ten schemat.

– Jezu, John, ten zestaw to naprawdę niesamowite znalezisko. Jedyne w swoim rodzaju. Nie możesz go tak po prostu oddać – rzucił jeden z nurków.

– Szukam czegoś, co pozwoli mi zidentyfikować wrak – odparł John. – Ten

zestaw mi w tym nie pomoże. Jest wasz.

W trakcie następnego rejsu Chatterton znalazł w kajucie kapitana chronometr – precyzyjny zegar pokładowy. Było to drugie niezwykle osiągnięcie. Tak jak z zestawem chirurgicznym, dostrzegł chronometr leżący dokładnie na samym środku otwartej przestrzeni w kajucie kapitana, w miejscu, w które przeszukiwał już wiele razy. Na górze obejrzał dokładnie piękny przyrząd, szukając czegoś, co mówiłoby o tożsamości wraku. Poza znaczkami z orłem i swastyką nie było niczego więcej. John już chciał wyrzucić drewnianą skrzynkę chronometru za burtę, powstrzymał go jednak Kohler.

– Co ty do cholery wyprawiasz? – krzyknął, rzucając się w jego stronę.

– Niczego się nie dowiemy z tej skrzynki – odparł Chatterton.

– To wspaniałe znalezisko! Odbiło ci? To naprawdę cenne trofeum!

– Ale na nic się nie przyda.

– Daj mi tę skrzynkę i zegar – poprosił Kohler. – Mam znajomego renowatora. Daj mi to, a zrobię z tego prawdziwe cacko. Ozdobę twojego mieszkania.

– Jak chcesz, Richie.

– Jezus Maria, John, co się z tobą dzieje?

Kiedy płynęli wieczorem do Brielle, John powiedział Richiemu, co się z nim dzieje. Zaczął sezon nurkowy pełen optymizmu, przekonany, że jego ciężka praca, przygotowania, instynkt i kunszt pozwolą potwierdzić tożsamość wraku. Teraz, po czterech miesiącach i sześciu wyprawach nurkowych, zaczął się zastanawiać, czy to wszystko ma jakikolwiek sens. Po raz pierwszy w życiu bał się, że jakiś żółtodziób wejdzie na drabinę *Seekera* z przyczepioną do płetwy tabliczką znamionową i stanie się wprawdzie przypadkowym, ale oficjalnym odkrywcą nazwy *U-Who*.

– Nie chodzi mi o to, na kogo spłyną laury – wyznał Kohlerowi. – Po prostu okaże się, że moje podejście na nic się nie zdało.

Zastanawiał się też, czemu zarówno on sam, jak i Richie w trakcie wcześniejszych poszukiwań przegapili tyle niesamowitych przedmiotów, widocznych jak na dłoni podczas ostatnich nurkowań.

– Tak jakby marynarze podkładali mi te rzeczy pod nos – powiedział. – Ale to nie te przedmioty, o które mi chodzi. Tak jakby robili to z przekory: „Hej, podłożmy mu tym razem lornetkę, to go naprawdę nakręca”.

Kohler odstawił swoje piwo.

– Słuchaj, John, zrobimy to – powiedział. – Nawet jeśli będę musiał wiosłować tutaj kajakiem, zrobimy to. Jestem z tobą. Wierzę w to, co robisz.

Musimy po prostu uzbroić się w cierpliwość i szukać dalej. Powiedz mi tylko, co ci jest potrzebne, i zaraz będziesz to mieć. Nie poddamy się.

Dopiero w tym momencie Chatterton w pełni docenił, co znaczy dla tego całego projektu Kohler. Był pierwszorzędnym nurkiem, jednym z najlepszych, a do tego oddanym, zapalonym i pełnym pomysłów badaczem. I co więcej, z całego serca wierzył w to, co robią. Kiedy Richie wyciągnął do niego dłoń, poczuł, że to właśnie jest najważniejsze. Niezlomna wiara we własne możliwości pomagała im wytrwać i stawić czoła zadaniu, które wymagało od nich, by dali z siebie wszystko. John uścisnął mu dłoń.

– Nie poddamy się – powiedział.

Mimo iż do New Jersey zawitała już jesień, Chatterton i Kohler byli przekonani, że przed końcem sezonu uda się jeszcze raz lub nawet dwa popłynąć na *U-Who*. Bill Nagle był odmiennego zdania. Nie był już w stanie pływać *Seekerem*, zamienił się w szkielet.

Stopniowo padał też interes. Kiedy ewentualni klienci pytali o czartery, Bill potrafił wybuchnąć:

– Hmm, niezła propozycja. Ale co powiecie na to: Pocałujcie się w dupę! Ja umieram! Mam gdzieś was, wasze promienne uśmiechy i gówniane wraki na sztucznych rafach! Nigdy mnie nie obchodziliście! Nie dociera to do was? Ja niedługo umrę! Żegnam!

Kończył się kolejny sezon. John z bólem patrzył na to, co stało się z jego dawnym przyjacielem i mistrzem.

W październiku dziewczyna Nagle’a zawiozła go na ostry dyżur z krwotokiem z krtani. Lata nadużywania alkoholu sprawiły, że doszło do przerostu naczyń krwionośnych, które w końcu nie wytrzymały ciśnienia i pękły. Lekarze natychmiast zawieźli go na operację i zatamowali krwawienie, stosując elektrokoagulację. W sali pooperacyjnej ostrzegali go:

– Jeszcze piętnaście minut krwotoku i byłby pan martwy. Jeśli będzie pan dalej pił, i to nawet tylko trochę, następnym razem może się nam nie udać.

Dziewczyna Nagle’a zerwała z nim, kiedy był jeszcze w szpitalu. Nie była w stanie patrzeć, jak Bill zapija się na śmierć. Po kilku tygodniach kapitan opuścił szpital. Po drodze do domu wstąpił do sklepu monopolowego. Tej nocy, po wypiciu niemal całej butelki wódki, dostał kolejnego krwotoku z gardła i wykrwawił się na śmierć. Bill Nagle, jeden z największych nurków wrakowych wszech czasów, człowiek, który wydobył dzwon z wraku *Dorii*, nie żył. Miał zaledwie 41 lat.

Na pogrzeb Nagle’a w Pensylwanii wybierali się nurkowie z całego

północnego wschodu. Niemal wszyscy poza Chattertonem, jednym z jego najbliższych przyjaciół. Kohler nie mógł się z tym pogodzić.

– Co to znaczy, że nie zamierzasz jechać na pogrzeb? – dopytywał się Richie.

– Ten facet w trumnie to nie jest prawdziwy Bill Nagle – odparł John. – Ten facet z trumny zabił mojego przyjaciela.

– Powinieneś jechać – nalegał Kohler. – Wypada pożegnać się ze swoim kumplem.

Chatterton jednak się nie wybrał. Na pogrzebie między innymi Richie niósł trumnę. Kiedy ją podnieśli, nie mógł się nadziwić, że jest tak lekka. *Jakby była zupełnie pusta* – pomyślał. Poczuł, że właśnie w tej chwili chciałby, żeby był obok niego John.

Od odkrycia *U-Who* minęły trzy sezony nurkowe. Mimo iż Chatterton i Kohler byli pewni, że wrak jest *U-857*, byli równie dalecy potwierdzenia tego co w 1991 roku.

Zima ogarnęła New Jersey. John zaczął dostrzegać, że w jego małżeństwie pojawiają się pierwsze pęknięcia. Podczas gdy on sam poświęcił się bez pamięci wrakowi, Kathy została jedną z najlepszych na świecie mistrzyń strzelectwa. Terminy ich zajęć dosyć poważnie ze sobą kolidowały, toteż spędzali razem coraz mniej czasu. Odmienne zainteresowania sprawiły, że wspólny czas stał się dla nich męką. Kiedy Kathy spytała się męża o jego nasilającą się obsesję związaną z *U-Bootem*, Chatterton odparł:

– Zostałem wystawiony na próbę. To, co robię z tym *U-Bootem*, świadczy o tym, jakim jestem człowiekiem.

Ani on, ani Kathy nie mieli obaw co do dalszej przyszłości związku. Wciąż się bardzo kochali i nadal pozwalali drugiej osobie na kultywowanie swoich pasji. Czasami jednak John podnosił wzrok znad biurka i uświadamiał sobie, że od kilku dni nie rozmawiał z Kathy, przychodziły mu na myśl lata, kiedy pływał jako poławiacz przegrzebek. Często kiedy stał pochylony, robiąc coś przy grabiach, czuł, jak nagle pada na niego cień. Odwracał się odruchowo, by zobaczyć jego źródło, i zawsze dostrzegał olbrzymią falę, która za chwilę miała uderzyć w łódź. Teraz, siedząc w domu, zaczynał czuć nadchodzący cień.

U Kohlera, kilka kilometrów dalej, fala już dawno uderzyła w łódź. Przez ponad rok kłócił się z Felicią o czas, jaki mógł dzielić z nią, dwojgiem ich malutkich dzieci i dziesięcioletnią córką Felicii z poprzedniego związku. Felicia zdawała sobie sprawę, że przedsiębiorstwo szklarskie było złem koniecznym – firma się rozrastała i wymagała niemal ciągłego doglądania, zwłaszcza że

Kohler myślał o poszerzeniu działalności. Ale Felicia zdecydowanie gorzej tolerowała sposób, w jaki Richie spędzał swój wolny czas. Przez okrągły rok niemal każdego dnia zajmował się swoim *U-Who* – nurkował na nim, badał go, spotykał się z Chattertonem albo jeździł do Waszyngtonu. Codziennie się o to kłócili. Felicia powiedziała mu kiedyś:

– Gdybyś tylko skończył z tym wrakiem, od razu zaczęłoby się nam lepiej układać w małżeństwie.

To podziało na Kohlera jak płachta na byka. Pod koniec 1993 roku ogłosili separację. Felicia wyprowadziła się z dziećmi na Long Island, Richie wynajął sobie kawalerkę na północno-wschodnim końcu Jersey Shore. Nalegał, żeby widywać co weekend dzieci.

Przez miesiąc lub dwa Kohler rozkoszował się odzyskaną wolnością. Umawiał się z panienkami, chodził do nocnych klubów i bez skrępowania oddawał lekturze swoich książek o U-Bootach. Tęsknił jednak za dziećmi, synkiem Richiem, córeczką Nikki i przybraną córką Jennyann. Weekendowe odwiedziny mu nie wystarczały. Czuł, że Felicia chętnie by się z nim pogodziła, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że może o tym zapomnieć, dopóki nie zgodzi się porzucić nurkowania. To tak, jakby ktoś prosił go, żeby przestał jeść. W lutym 1994 roku, kiedy plaże przy jego domu pokryły się lodem, nabrał przekonania, że coś trzeba jednak zmienić. Czuł się nieswojo, nie mogąc codziennie odprowadzać dzieci do szkoły.

Pod koniec lutego Chatterton otrzymał adresowany do niego i Kohlera list od Davida Coppocka z Ministerstwa Obrony. Zaczął go czytać w szlafroku, z filiżanką kawy w dłoni.

U-869...został [pierwotnie] skierowany na wody Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych [miał] patrolować rejon ... około 110 mil na południowy wschód od Nowego Jorku...

John zamarł. *U-869* to okręt, na którym służył Horenburg. Teoretycznie skierowano go na Gibraltar.

U-869... mógł nie otrzymać [nowego] rozkazu kierującego go w okolice Gibraltaru.

Serce zaczęło bić mu jak szalone.

Biorąc pod uwagę warunki atmosferyczne... niezwykle prawdopodobne, że [nowe] rozkazy dowództwa odwołujące U-869 na Gibraltar nie zostały odebrane...

Zaczął mu się kręcić w głowie.

Tak więc, wobec braku namacalnych dowodów na to, że U-869 odebrał sygnał

z dowództwa odwołujący go w kierunku Gibraltaru [oraz biorąc pod uwagę] dowód w postaci noża, a także bliskość pozycji wraku w stosunku do pierwotnie wyznaczonego rejonu patrolowego, wydaje mi się, iż nie można całkowicie wykluczać możliwości, że wrak jest okrętem U-869.

John pobiegł do telefonu i wykręcił numer Kohlera.

– Richie, właśnie dostaliśmy niewiarygodny list od Coppocka. To bomba. Nie uwierzysz.

– Zwolnij trochę – poprosił Kohler. – Co pisze Coppock?

– Pisz, że U-869, okręt Horenburga, który według historyków zatonął w okolicach Gibraltaru, został pierwotnie wysłany w okolice Nowego Jorku. Nie do samego Nowego Jorku, ale właśnie trochę na południe od Nowego Jorku, dokładnie tam, gdzie leży nasz wrak! Potem główne dowództwo zmieniło rozkazy i przekierowało okręt na Gibraltar. Ale posłuchaj tego, Richie, cytuję: *niezwykle prawdopodobne, że [nowe] rozkazy dowództwa odwołujące U-869 na Gibraltar nie zostały odebrane.*

– A co z tymi raportami, które mówią, że U-869 został zatopiony w okolicach Gibraltaru przez alianckie okręty eskortowe? – zapytał Kohler.

– Nie mamy pojęcia, na ile dokładne są te raporty, nie widzieliśmy ich.

– To niewiarygodne. Jestem zupełnie zszokowany.

– Richie, możesz zamówić z biura rozmowę konferencyjną z Coppockiem? Musimy dowiedzieć się, skąd wziął te informacje.

– Już dzwonię – odpowiedział Kohler.

Minutę później w Great Scotland Yard odezwał się telefon. Coppock miał tylko kilka minut. Powiedział nurkom, że wszystkie informacje wyłowił, czytając przechwycone przez aliantów depesze między U-869 a Głównym Dowództwem U-Bootwaffe w Niemczech. Coppock powiedział też, że oryginalne teksty wiadomości i ich odkodowane przez amerykański wywiad wersje powinny znajdować się w zbiorach waszyngtońskich.

Chatterton i Kohler usiedli zdruzgotani. Widzieli już teksty przechwyconych depeszy, ale nigdy nie przyszło im na myśl, żeby sprawdzać korespondencję związaną z U-869, okrętem, który uznano za zatopiony w okolicach Gibraltaru. Nie zasugerował im tego żaden z ekspertów, z którymi mieli kontakt, z Coppockiem włącznie.

– Jadę jutro do Waszyngtonu – oznajmił John. – Cała historia jest gdzieś w archiwum.

Kohler chciał wybrać się do Waszyngtonu razem z nim, ale jako wspólnik w dwuosobowej firmie nie mógł wykroić wolnego czasu. Chatterton wziął zamiast niego Barb Lander, która nurkowała już od pewnego czasu na *U-Who* i miała zacięcie do historii. John obiecał Kohlerowi, że zadzwoni do niego, jak tylko znajdzie jakieś konkretne informacje. Na wszelki wypadek wziął ze sobą kilka rulonów ćwierćdolarówek do automatu.

Na początek trafili do Archiwum Narodowego. Poprosili o zbiory raportów wywiadu Dziesiątej Floty Marynarki Wojennej, dotyczących *U-Bootów*, poczynszy od 8 grudnia 1944 roku, czyli dnia, kiedy *U-869* wyruszył na patrol. Pracownik archiwum dostarczył im cały wózek dokumentów ostemplowanych **ULTRAŚCIŚLE TAJNE**. Chatterton wiedział, że *Ultra* było kryptonimem alianckich prac nad monitorowaniem i deszyfrowaniem Enigmy. Przez całe dziesięciolecia po wojnie niewielu ludzi zdawało sobie sprawę z tego, że alianci złamali kod Enigmy i czytali niemiecką korespondencję. John i Barb mieli za chwilę obejrzyć tego efekty.

Przejrzeni podsumowania prac Wywiadu Marynarki Wojennej. Udało im się trafić na raport z 3 stycznia 1945 roku. Wywiad przechwycił komunikaty radiowe wysyłane między *U-869* a Głównym Dowództwem *U-Bootwaffe*. Łamacz kodów zapisał:

U-Boot (U-869) namierzony aktualnie na środku północnego Atlantyku otrzymał rozkaz skierowania się na pozycję leżącą około 70 mil na południowy wschód od Nowego Jorku.

Chatterton nie wierzył własnym oczom – pozycja, na którą skierowano okręt, odpowiadała dokładnie pozycji wraku. Szukał dalej. W raporcie wywiadu z 17 stycznia 1945 roku przeczytał:

U-Boot kierujący się w stronę Nowego Jorku, U-869 (Neuerburg), znajduje się obecnie około 18 mil na południowy wschód od Flemish Cap... Można spodziewać się, że dotrze w okolice Nowego Jorku na początku lutego.

John zerknął na swoją listę załogi. Neuerburg był kapitanem *U-869*. Czytał dalej z coraz mocniejszym biciem serca. W raporcie z 25 stycznia nasłuch marynarki wojennej wykrył problemy komunikacyjne między *U-869* a Dowództwem.

U-Boot może znajdować się na południe od Nowej Funlandii, kierując się w stronę Nowego Jorku. Jego pozycja nie jest pewna ze względu na bałagan w rozkazach. Dowództwo zakłada, że okręt kieruje się w stronę Gibraltaru... [ale] na podstawie sygnałów radiowych otrzymanych przez okręt wydaje się raczej, że U-869 wciąż płynie w stronę pierwotnie wyznaczonej pozycji w pobliżu Nowego

Jorku.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział Chatterton do Lander. – Kazano im płynąć dokładnie tam, gdzie leży nasz wrak. Dowództwo zmieniło rozkazy i skierowało okręt w stronę Gibraltaru. Wygląda na to, że *U-869* nigdy nie otrzymał nowych rozkazów i płynął dalej w stronę Nowego Jorku.

– O kurczę – zdziwiła się Lander, czytając kolejną stronę dokumentu. – Przeczytaj resztę tego, co piszą.

CORE zajmie się usunięciem tego okrętu przed wyruszeniem na akcję przeciwko stacjonującym na północnym Atlantyku U-Bootom składającym raporty meteorologiczne.

– *USS Core* był lotniskowcem wchodzącym w skład grupy myśliwych – wyjaśnił John. – Marynarka знаła dokładną pozycję, do której miał dotrzeć *U-869*. Czekali na niego w tym miejscu.

Chatterton wziął garść ćwierćdolarówek i pobiegł do telefonu. Zadzwoił do Kohlera i powiedział mu o swoich odkryciach.

– *Niesamowite* – stwierdził Richie. – Marynarka wysłała grupę myśliwych na spotkanie *U-869*, ale nigdy nie udało im się go dopaść ani nawet namierzyć – znaleźlibyśmy o tym informacje. W 1945 roku nie zdarzało się już, żeby *U-Booty* wymykały się grupom myśliwych, John. Ten *Neuerburg* musiał być całkiem niezłym kapitanem.

Przez chwilę milczeli.

– Nie znaleźliśmy wcale *U-857* – przerwał w końcu milczenie Kohler. – Znaleźliśmy *U-869*.

– Znaleźliśmy *U-869* – przyznał John. – Od samego początku był to *U-869*.

Wciąż jednak do rozwiązania pozostawał problem raportu zatopienia *U-869* w pobliżu Gibraltaru przez dwa okręty alianckie *L'Indiscret* i *USS Fowler*. Wspominały o nim wszystkie opracowania historyczne. Chatterton i Lander pobiegli do Centrum Historycznego Marynarki Wojennej poprosić o raporty z ataku i zatopienia *U-869*. Kilka minut później przekonali się, jak okaleczano historię.

Dwudziestego ósmego lutego 1945 roku amerykański niszczyciel eskortowy *USS Fowler* wykrył na sonarze obiekt na zachód od Rabatu i na południowy zachód od Gibraltaru. *Fowler* wystrzelił salwę 13 bomb głębinowych. Doszło do dwóch eksplozji, a na powierzchnię oceanu wypłynęły szczątki „niewiadomego pochodzenia”. *Fowler* wystrzelił kolejną salwę bomb głębinowych. Kiedy wiatr

rozwiął kłęby dymu, w miejscu, w którym unosiły się szczątki, marynarze przeciągnęli po powierzchni wody ręcznik. Pozostało na nim „coś, co wyglądało na kłaczki i krople ciężkiego oleistego szlamu, nie pobrano jednak żadnych próbek”. Niszczyciel przeszukał okolicę, próbując znaleźć inne dowody. Bezskutecznie jednak.

Kilka godzin później francuska jednostka patrolowa *L'Indiscret* zaatakowała w tym samym rejonie obiekt wykryty przez sonar. W wyniku ataku „na powierzchnię wypłynął duży czarny obiekt, który po chwili zatonął”. Załoga nie zidentyfikowała obiektu ani nie dostrzegła żadnych szczątków.

Wywiad Marynarki Wojennej odniósł się dosyć sceptycznie do ataków i naciąganych dowodów zatopienia. Obydwa ataki zostały oznaczone kategorią G „Brak uszkodzeń”.

Ale jak zauważył, czytając raporty, John, powojenni eksperci dosyć szybko przerobili G na B – „Prawdopodobnie zatopiony”.

– Czemu mieliby coś takiego zrobić? – zapytała Lander.

– Zetknąłem się z tym już wcześniej – odparł Chatterton. – Powojenni analitycy usiłowali w pośpiechu doliczyć się wszystkich zatopionych U-Bootów. Jednym z ich był *U-869*. Nie mieli pojęcia o przechwyconych komunikatach radiowych – były ściśle tajne – toteż nie wiedzieli, że *U-869* popłynął do Nowego Jorku. Sprawdzili dane niemieckie. Niemcy byli przekonani, że *U-869* płynął do Gibraltaru – sądzili, że okręt odebrał nowe rozkazy. Kiedy *U-869* nie dotarł na miejsce, uznali, że stracili go właśnie w pobliżu Gibraltaru. Eksperci skojarzyli to z atakami *USS Fowler* i *L'Indiscret* w tym rejonie. Stwierdzili, że zatopiono *U-869*, przeprawili G na B i uznali sprawę za załatwioną.

John pobiegł do automatu telefonicznego. Powiedział Kohlerowi, że autorzy opracowań zostali wprowadzeni w błąd.

– Znaleźliśmy *U-869* – powiedział Kohler. – Czyli wygląda na to, że znaleźliśmy Horenburga.

– Horenburg był tam przez cały czas – odpowiedział Chatterton. – Pomyśl sobie, Richie. Jeśli *U-869* miał problemy z komunikacją z Dowództwem, to Horenburg był w samym środku tych problemów. Był starszym radiotelegrafistą. Słuchaj, Richie, kończą mi się ćwierćdolarówki. Ale powiem ci jedno: to Horenburg musiał przez to wszystko przejść.



Oddanie U-869 do użytku. Arch. Richie Kohler

ROZDZIAŁ 12

ŻADEN Z NAS JUŻ NIE WRÓCI

Stocznia Deschimag, Brema, Niemcy, styczeń 1944 roku.

Był mroźny noworoczny poranek, nad ruinami zbombardowanego przez Brytyjczyków Berlina wciąż jeszcze unosiły się dymy. Setki młodych mężczyzn z całego kraju jechały do stoczni Deschimag w Bremie. Już wkrótce mieli zacząć tam szkolenie. Większość miała ze sobą tylko walizkę z ubraniami i zdjęcie ukochanej lub coś na szczęście. Mniej więcej pięćdziesięciu oznajmiono, że trafią do załogi okrętu podwodnego tymczasowo ochrzczonego W1077. Kilka dni później okrętowi nadano oficjalny numer U-869.

Zaledwie garstka spośród nich miała jakiekolwiek doświadczenia z okrętami podwodnymi. Wielu zgłosiło się do służby w U-Bootwaffe na ochotnika, inni zostali skierowani tu ze względu na swoje umiejętności techniczne lub dodatkowe kwalifikacje. Byli młodzi – średnia wieku wynosiła 22 lata, ale w załodze było aż 22 nastolatków, najmłodszy miał zaledwie 17 lat. Nie mogli się równać z załogami z 1939 roku, wtedy do służby w U-Bootwaffe wybierano tylko najlepszych spośród najlepszych.

Jednym z najbardziej doświadczonych ludzi wciągniętych na listę załogi U-869 był 22-letni Herbert Guschewski, operator radiowy, weteran trzech patroli wojennych na U-602. Guschewski uważał, że tylko cudem udało mu się tyle przeżyć. Odwołano go ze służby na okręcie tuż przed ostatnim patrolem U-602. Ciężkie starty poniesione przez U-Bootwaffe sprawiły, że brakowało doświadczonych radiooperatorów, był potrzebny gdzie indziej. Guschewski był załamany, marynarze stali się dla niego braćmi, a U-602 domem. Okręt wyruszył na Morze Śródziemne. Nigdy nie wrócił.

Wieczorem, kiedy Guschewski rozpakowywał swoje rzeczy, usłyszał pukanie.

– Kto tam? – zapytał.

– Kolega z załogi – padła odpowiedź.

Guschewski otworzył drzwi. Stał przed nimi przystojny mężczyzna o ciemnych oczach, z lekko falowanymi kasztanowymi włosami. Zapytał, czy może wejść do środka. Przedstawił się jako Martin Horenburg, *Funkmeister*, starszy radiooperator przypisany do U-869. Wyznał, że nie mógł się doczekać, kiedy zaczną wspólnie pracować.

Guschewski uściśnął dłoń Horenburga, ale poczuł się potwornie przybity. Spodziewał się, że będzie najstarszym radiooperatorem na okręcie. Ale Horenburg był wyższy rangą, był starszym radiooperatorem. Porozmawiali

chwilę, po czym życzyli sobie dobrej nocy. *Przynajmniej wygląda na bystrego, zdolnego i sympatycznego. Wydaje się dżentelmenem* – pomyślał Guschewski, zamykając drzwi za Horenburgiem.

Ostateczną listę załogi miano oficjalnie ogłosić dopiero za kilka dni. W tym czasie Guschewski, Horenburg i kilku innych marynarzy przypisanych do *U-869* złapali kolejkę linową do stoczni Deschimag. Chcieli zobaczyć swój okręt. W stoczni zapach morza i ryb mieszał się ze smrodem spalin silników. W powietrzu pachniało wojną morską. Zapytali o *U-869*. Strażnik skierował ich do doku.

I oto stanęli przed okrętem. Smukły, elegancki wrzecionowaty kadłub wcinał się w wodę na rufie i dziobie. Tak jakby morze na chwilę podniosło powiekę, by przyjrzeć się ciekawskim. Cały okręt pomalowany był na stalowoszaro, kolor, którego nie sposób było dostrzec, kiedy wstawał dzień lub zapadały ciemności. Właśnie o tych porach dnia *U-Booty* były najgroźniejsze. Kiosk *U-869* zdobyły koła olimpijskie na znak, że okręt będzie dowodzony przez absolwenta Szkoły Marynarki Wojennej z rocznika 1936, roku igrzysk olimpijskich w Berlinie. Przez chwilę Guschewski stał. Pod każdym względem – uzbrojenia, wielkości, linii – okręt przerastał *U-Boot*a typu VII, na którym służył poprzednio. *Nie ma porównania* – pomyślał sobie. *Wspaniały okręt. Zupełnie inna klasa.*

Przez następne dwa tygodnie ludzie z *U-869* razem z członkami innych załóg przechodzili w stoczni ogólne szkolenie. Aż do przysięgi, pod koniec stycznia 1944 roku, nie mieli okazji poznać trzech najważniejszych osób na okręcie – kapitana, pierwszego oficera i głównego mechaniku. Do tego czasu pozostawało im tylko snucie domysłów, kto poprowadzi ich na wojnę.

Datę przysięgi wyznaczono na 26 stycznia 1944 roku. Tego dnia wszyscy ludzie wciągnięci na listę załogi założyli paradne mundury i ruszyli do doku. Po raz pierwszy szli razem jako załoga. Oficer odczytywał z listy kolejne nazwiska: „Brizius, Dagg, Dietmayer, Dietz...” – czekając, aż marynarz potwierdzi swoją obecność. Przez cały czas wzrok marynarzy uciekał na bok, w kierunku wysokiego, niezwykle przystojnego mężczyzny o czarnych włosach, szerokich ramionach i przenikliwych ciemnych oczach, który z pewnej odległości przyglądał się całej ceremonii. Wiedzieli, że ten człowiek będzie ich dowódcą. Podziwiali jego szlachetną posturę, spokój i opanowanie, z jakim oddychał, i niezwykłą siłę w teutońskich rysach jego oblicza. Dorastali w kraju wytapetowanym podobiznami bohaterskich i niewzyciężonych dowódców *U-Bootów*, ludzi, dla których nie było rzeczy niemożliwych. Teraz obraz ten urzeczywistnił się w postaci 26-letniego kapitana Helmutha Neuerburga.

Weszli na okręt i stanęli na baczność w trzech rzędach na pokładzie rufowym. Czekali w gotowości. Kapitan Neuerburg popatrzył na swoich ludzi, na morze i ląd. Teraz wiedzieli już, że to jego dziewiczy rejs, niektórzy szeptali nawet między sobą, że kapitan, zanim zgłosił się na ochotnika do służby w U-Bootwaffe, był pilotem myśliwca. Neuerburg zwrócił się do nich, stojąc na szczycie kiosku. Jego przemówienie było krótkie. Mówił piękną niemczyzną, dobitnym, wojskowym tonem. Powiedział zaledwie kilka słów, oficjalnie i bez cienia jakichkolwiek emocji. Ale tych kilka słów wystarczyło, żeby nawet weteran U-Bootów, taki jak Guschewski, pomyślał w duchu: *To człowiek wielkiej odwagi i niezwykłych umiejętności. Nikt nie odważy się sprzeciwić jego opinii. Wszyscy będą mu zawsze posłuszni.*

Neuerburg skończył przemowę i wydał rozkaz, by podnieść banderę. Kiedy flaga załopotała na szczycie masztu, zasalutował. Nie nazistowskim „Heil”, ale tradycyjnie, po wojskowemu.

– Okręt jest zaprzysiężony – oznajmił.

I tyle. Nikt nie wręczył Neuerburgowi modelu U-Bootu tak jak pierwszemu kapitanowi Guschewskiego na *U-602*. Nie było orkiestry dętej i patriotycznych pieśni. Ludzie po prostu zeszli z pokładu na nabrzeże.

Żyjemy już w innych czasach – pomyślał Guschewski.

Tego wieczoru oficerowie i załoga *U-869* spotkali się na uroczystej kolacji w małym hoteliku w Bremie. U boku Neuerburga siedział pierwszy oficer, 21-letni Siegfried Brandt, i główny mechanik, 30-letni Ludwig Kessler. Guschewski potoczył wzrokiem po obskurnej sali i zaczął się zastanawiać, gdzie podążają Niemcy. Dwa lata wcześniej był na takiej samej kolacji z okazji zaprzysiężenia *U-602*. Była to prawdziwa uczta z pieczonym prosiakiem, pierogami i winem. Po niej całą załogę, zarówno oficerów, jak i marynarzy, zaproszono na bal w znanym teatrze rewiowym na hamburskim Reeperbahn. Specjalnie dla nich zarezerwowano miejsca na rewii. Po przedstawieniu ruszyli w miasto. Tej nocy nie było balu. Nawet nie było eleganckich nakryć. Zjedli śledzie i gotowane ziemniaki, po czym spłukali je piwem. Prawie nie rozmawiali.

Mimo to Guschewski był podekscytowany. Jego brat Willi przyjechał do Bremy specjalnie po to, żeby się z nim zobaczyć. Wcześniej, tego wieczoru, Guschewski poprosił kucharza o przygotowanie dodatkowej porcji dla Williego. Powiedział, że zapłaci za nią z własnej kieszeni. Kucharz przystał na tę propozycję i Willi dołączył na kolację do brata i reszty załogi. Neuerburg wstał od swojego stolika i podszedł do braci.

– Co ten człowiek tutaj robi? – zapytał.

– To mój brat, sir – odpowiedział Guschewski. – Przyjechał specjalnie z Bochum, żeby się ze mną pożegnać.

– Nie jest członkiem załogi, toteż nie wolno przybywać mu w tej samej sali co załodze – odparł Neuerburg, po czym zwrócił się do Williego: – Musi pan natychmiast opuścić tę salę. Może zabrać pan swoją kolację do innej sali w tym hotelu. Brat będzie mógł pana odwiedzić po dziesiątej wieczorem. Proszę już iść.

Guschewski był zszokowany. Zawsze podziwiał dowódców, którzy dbali o przestrzeganie dyscypliny. Modlił się jednak, żeby *U-869* dowodzony był przez człowieka o wielkim sercu. Patrząc na brata wychodzącego z talerzem z sali, doszedł do wniosku, że jeśli chodzi o Neuerburga, cecha ta wciąż stoi pod znakiem zapytania.

Po przysiedze zaczęły się szkolenia na pokładzie okrętu. Po drugiej stronie trzech umieszczonych w pokładzie okrętu włazów na marynarzy czekał istny technologiczny raj. Niezliczone przyrządy, zawory, wskaźniki, rury i przewody pokrywały każdy centymetr okrętu. Wszędzie unosił się zapach świeżutkiej farby, oleju i obietnicy. Jak poinformowano marynarzy, zegary zostały ustawione według czasu berlińskiego i miały pozostać tak ustawione bez względu na to, gdzie dotrze *U-Boot*. Na całym okręcie nie było ani jednego zdjęcia, ani Hitlera, ani Dönitza.

Kilka następnych dni spędzili, ładując na pokład zapasy i obznajamiając się z protokołem pokładowym. Na pokładzie *U-Boota* nikt nie musiał salutować oficerom. Oficerowie zwracali się do siebie po imieniu. W ciągu zaledwie kilku dni, mimo iż *U-Boot* wciąż jeszcze stał w porcie, między członkami załogi zaczęła wytwarzać się więź. Czuli, że właśnie o tym pisał przed laty Dönitz – stawali się *Schickeelgemeinschaft* – wspólnotą ludzi, których połączył los.

Od samego początku cała załoga bacznie obserwowała Neuerburga. Cokolwiek się działo, pozostawał spokojny i opanowany, był uosobieniem dyscypliny wojskowej. Przechodząc przez mesę oficerską, próbowali usłyszeć dowcipy i anegdoty, które opowiadał pozostałym oficerom, zawsze jednak zastawali go w trakcie poważnych rozmów z Brandtem i Kesslerem. Posługiwał się piękną, literacką niemieczyną. Nie używał slangowych określeń wyposażenia okrętu i przekleństw. Nawet kiedy do Bremy dotarły wieści o niepowodzeniach Niemiec na froncie, Neuerburg nie pokazał po sobie cienia strachu ani powątpiewania. Zawsze mówił o obowiązku, a nawet kiedy o nim nie mówił, jego zachowanie i postawa świadczyły, że poczucie obowiązku jest jednym z

jego pryncypiów. Oficerowie marynarki wojennej w czynnej służbie musieli należeć do partii NSDAP. Obserwując Neuerburga, marynarze odnosili wrażenie, że bynajmniej nie jest on oddanym członkiem partii. Nikt nie ośmielił się jednak podawać w wątpliwość jego poświęcenia. Kiedy prowadził ich przez pierwsze tygodnie szkolenia, przekonali się, że jest człowiekiem, który prędzej wybierze śmierć niż sprzeniewierzyć się rozkazom.

Załoga wyrobiła sobie opinię na temat charakteru Neuerburga, nie miała jednak pojęcia o jego życiu. Latał kiedyś jako pilot marynarki wojennej i całkiem niedawno przeniósł się do służby w U-Bootwaffe – tyle powiedział im sam. Niektórzy marynarze spekulowali, że Neuerburg wstąpił do służby na U-Bootach, żeby wyleczyć „suche gardło” – tak w slangu określano chęć zdobycia przez oficerów Krzyża Rycerskiego¹. Neuerburg nigdy nie zdradził swoich ideałów. Pewnego dnia kilka osób widziało na łodzi jego żonę, niezwykle piękną kobietę – sam Neuerburg nie mówił nigdy o swojej rodzinie. Jego prywatne życie nie przeszkadzało ludziom pokładać w swoim dowódcy pełnego zaufania. Jeśli jednak w pierwszych dniach szkolenia wyczuwali w czymkolwiek tajemnicę, było to właśnie życie człowieka, którego wyznaczono, by poprowadził ich do boju.

W wieku 19 lat Helmuth Neuerburg ze Sztrasburga postanowił wstąpić w szeregi marynarki wojennej. Decyzja ta mogła zaskoczyć osoby, które go znały. Miał wrodzony talent do gry na skrzypcach i z łatwością przychodziło mu rysowanie zjadliwych i niesamowicie celnych karykatur znajomych mu dorosłych. Zdał wymaganą do wstąpienia na studia maturę. Jego najbliżsi przypuszczali, że zacznie karierę jako artysta. Taki zresztą zamiar miał, wstępując do marynarki, sam Helmuth, wiedział, że jeśli poświęci kilka lat służbie wojskowej, to kiedy będzie przechodził do rezerwy, armia wypłaci mu całkiem pokaźny żołd, który będzie mógł zainwestować w dalszą edukację. Nigdy nie zastanawiał się nad wstąpieniem do U-Bootwaffe. Oczywiście, jako chłopcy często rozmawiali z bratem Friedhelmem o służbie na okrętach podwodnych, żadnego z nich jednak nie pociągała aż tak bardzo ich legenda. „Chwała jest okupiona wielkim poświęceniem, na pokładzie okrętu podwodnego bardzo szybko sam stajesz się ofiarą” – dochodzili do wniosku w rozmowach.

Tak więc Helmuth został kadetem marynarki wojennej rocznika 1936. (Rocznik odnosił się do daty wstąpienia do szkoły, nie zaś jej ukończenia). Zdobywał najlepsze stopnie z większości przedmiotów, jednego roku miał najlepszą ocenę z mechaniki i angielskiego. Jeszcze w czasie nauki założył własny zespół muzyczny i tuż przed ukończeniem szkoły skomponował hymn

swojego rocznika, za który otrzymał specjalną nagrodę Ericha Raedera, naczelnego dowódcy Floty Niemieckiej. Po ukończeniu studiów zaczął szkolenie jako pilot lotnictwa marynarki wojennej. W 1940 roku służył już jako oficer i odbywał loty patrolowe nad Morzem Północnym w pobliżu wybrzeży Anglii. Podobno na jedną z misji wziął do kabiny swojego ukochanego owczarka niemieckiego. Przez kolejne trzy lata pilotował, szkolił innych pilotów i wyrabiał sobie znakomitą renomę. Kariera wojskowa Helmutha mogła być postawiona przez NSDAP za wzór, jednakże jego serce i myśli unosiły się gdzieś daleko.

Helmuth nigdy nie ośmielił się krytykować otwarcie reżimu faszystowskiego – oficer mógł zostać stracony za taką wylewność. Nie miał jednak takich oporów w rozmowach ze swoim bratem, Friedhelmem, służącym jako czołgista w jednej z dywizji pancernych. W czasie wizyt przekonywał go, że według niego to faszyści odpowiedzialni są za upadek Niemiec. Friedhelm wzdragał się na samą myśl o dzieleniu się tego typu wątpliwościami.

– Zwariowałeś? Zupełnie otwarcie mówisz o takich rzeczach? – rzucał się na Helmutha zawsze, kiedy rozmowa schodziła na te tematy. – Wszędzie tutaj ktoś słucha! A to, co mówisz, jest bardzo niebezpieczne!

Mimo to Helmuth nie przestawał mówić. Kiedyś, po rozmowie z jednym z faszystowskich urzędników w pobliżu Norymbergii, powiedział Friedhelmowi, że antysemickie poglądy tego człowieka wzbudziły w nim grozę i obrzydzenie. Friedhelm błagał brata, by siedział cicho.

– Ściany mają uszy, Helmuth! – ostrzegał. – Wszyscy pilnie nasłuchują. Uważaj, proszę, na to, co mówisz. Samo rozpowszechnianie takich idei może się dla ciebie źle skończyć.

W 1941 roku Helmuth ożenił się z 22-letnią Erną Maas, piękną, inteligentną i pełną wigoru córką właściciela browaru. Kochali się na zabój. Erna była szczerą przeciwniczką wojny. W domu Helmuth zbierał surowo zabronione przez faszystów amerykańskie nagrania jazzowe i słuchał wieści z frontu we wrogim radiu BBC – był to kolejny poważny występ. Pewnego dnia, stojąc przed lustrem przy goleniu, usłyszał w BBC, że Ameryka przystąpiła do wojny.

– Już przegraliśmy – powiedział Ernie.

Cały czas widywał się z Friedhelmem, kiedy tylko mieli okazję. Zawsze powtarzał: „Po wojnie zrzuć z siebie tę suknię”, mając na myśli mundur.

W 1943 roku Neuerburga i jego kolegów postawiono przed wyborem: albo zostaną w lotnictwie marynarki, albo wstąpią do służby na U-Bootach. Ci, którzy pozostaną w lotnictwie, natychmiast ruszą do walki, ci, którzy zdecydują się na przeniesienie na okręty podwodne, przed wyruszeniem na front będą mieli

przed sobą rok lub nawet dłużej szkolenia. Neuerburg miał dwuletniego synka i roczną córeczkę. Wybrał U-Booty, mimo że nie miał specjalnych złudzeń co do szans na przeżycie. Kiedy powiedział Friedhelmowi o swojej decyzji, określił służbę na U-Bootach mianem *Himmelfahrtskommando*².

Kolejnych 21 miesięcy spędził na szkoleniach, wykorzystując przepustki, by zabierać dwuletniego synka Jürgena na rejsy żaglówką i kołysać na kolanie córeczkę Juttę. Tuż przed zaprzysiężeniem U-869 rozmawiał z Friedhelmem. Tym razem nie wspomniał nic o faszystach. Spojrzał mu po prostu szczerze w oczy i powiedział:

– Już nie wrócę.

Szkolenie teoretyczne dobiegło końca. U-Boot załadowany był zapasami jedzenia i sprzętu. Pod koniec stycznia 1944 roku wyruszyli z Bremy na Bałtyk, czekało ich jeszcze kilka miesięcy szkolenia na morzu. Od tego momentu nie mieli już stałego portu-bazy, rozkazy odbierali na pokładzie okrętu, a w czasie szkolenia zawijali do różnych portów na Bałtyku.

Dotarły już do nich słuchy o Czarnym Maju – miesiącu 1943 roku, kiedy to siły alianckie zniszczyły 44 U-Booty. Dokerzy szeptali o licznych okrętach, które nigdy nie powróciły z patrolu. Przez koszary przewijały się opowieści o przewadze technologicznej aliantów. Niewiele osób miało odwagę mówić o tym otwarcie, ale członkowie załogi U-869 z pewnością byli świadomi, że świat nie wygląda już tak samo jak kiedyś.

W ramach początkowego szkolenia przewidziane były pomiary hałasu wytwarzanego przez okręt pod wodą, naprawa peryskopu i obsługa działka przeciwlotniczego. (Mimo iż w U-869 nie zamontowano fabrycznie działka pokładowego do ostrzeliwania okrętów wroga, na pokładzie znajdowało się działko przeciwlotnicze). Aż do znudzenia ćwiczyli „zawijanie” – skomplikowany system obracania się i zanurzania. Doszli w tym do takiej wprawy, że mogli manewrować mierzącym niemal 70 metrów okrętem w strumyku. Z początku niektórzy na pokładzie bezustannie wymiotowali, w końcu jednak ich wnętrzności przyzwyczyły się do podwodnego żywota. Wiele osób chorowało od hałasu i spalin z silników. Doświadczeni marynarze, tacy jak Guschewski, wiedzieli, że najgorsze dopiero nadejdzie.

Luty spędzili, poznając swoje obowiązki i siebie nawzajem. Torpedowi zaznajamiali się z torpedowymi, mechanicy z mechanikami. W kabinie radiowej Guschewski i Horenburg zajmowali się dwoma *Oberfunkmaate*, radiowcami. Jeden miał osiemnaście, drugi dziewiętnaście lat. Guschewski czuł się trochę pokrzywdzony, że Horenburg jest starszy od niego rangą, ale szybko przekonał

się, że jego nowy towarzysz jest wyśmienitym radiooperatorem i bardzo miłym kumplem. Szybko się dogadali i zgrali w świetny zespół. Jeden kodował wiadomości Neuerburga, drugi nadawał je przez radio. Zaprzyjaźnili się.

Poza pełnieniem obowiązków radiotelegrafiści puszczały płyty i radio pozostałym członkom załogi. Guschewski złapał świetną stację radiową, która nadawała Glenna Millera, muzykę, za którą szaleli marynarze. Podkreślił głos. Ludzie zaczęli wybijać rytm stopami i strzelać palcami. Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, spiker przerwał muzykę i nadał komunikat: „Jeden z waszych U-Bootów wyruszył ostatnio na patrol i zaginął po dwóch dniach. Znaleźliśmy szczątki ludzkie i części wraku. W ciągu kilku dni powinniśmy poznać nazwiska członków załogi i kapitana”. Guschewski rzucił się, by ściszyć głos, wiedział, że to Radio Calais, brytyjska stacja propagandowa, nadająca komunikaty mające złamać ducha niemieckich żołnierzy. Guschewski wyłączył głos. W tym momencie do kabiny radiowej wpadł niczym burza Neuerburg, który wyskoczył ze swojej kajuty po drugiej stronie korytarza.

– Oszalałeś? – wrzasnął. – Słuchasz stacji radiowej wroga! Cała załoga to usłyszała! Jak możesz robić coś takiego!

– Nastawiłem tę stację, bo puszczały dobrą muzykę – odpowiedział Guschewski. – Kiedy zdałem sobie sprawę z tego, co się dzieje, komunikat już poszedł w eter.

– Powiem ci coś – syknął Neuerburg. – Nie zrobisz tego po raz drugi.

Neuerburg odwrócił się i poszedł do swojej kajuty. Horenburg przysunął się do Guschewskiego i poklepał go po ramieniu.

– Nie przejmuj się tym, Herbert – szepnął. – Radio Calais może skakać po wszystkich falach, nigdy nie wiesz, na jakiej częstotliwości je złapiesz. Czasami grają nawet niemiecką muzykę. Doskonale wiedzą, które piosenki lubimy. Nie masz się co tym martwić, przyjacielu. To mogło się zdarzyć każdemu radiotelegrafiście, nawet tak znakomitemu jak ty.

Nawet jeśli Neuerburg traktował swoich ludzi bezwzględnie i ostro, niewiele osób miało mu to za złe. Każdy dzień spędzony na Bałtyku uświadamiał im coraz to nowe niebezpieczeństwa, na które narażeni będą w czasie walki. Nieuchronnie zbliżał się ich patrol wojenny i coraz częściej łapali się na obserwowaniu Neuerburga – starali się przewidzieć jego posunięcia i wyczuć instynkty. Szukali w jego oczach odwagi, która mogłaby się udzielić niemal 60 osobom z załogi, podczas gdy wokół nich eksplodowałyby kolejne bomby głębinowe, a z nieba atakowałyby samoloty. Niewielu sprzeciwiłoby się opinii, że ich dowódca jest uosobieniem siły, prawości i obowiązkowości, człowiekiem,

który wymaga doskonałości nie tylko po to, żeby mogli przeżyć, ale dlatego, że wierzy, iż zgodnie z tymi zasadami powinni żyć ludzie.

Podczas gdy Neuerburg budził szacunek, nawet z pewną domieszką strachu, jego pierwszy oficer, 21-letni Siegfried Brandt stał się ulubieńcem załogi. Pod wieloma względami stanowił przeciwieństwo Neuerburga. Był niski, miał niecały metr siedemdziesiąt wzrostu, głębokie, pełne ciepła i spokoju spojrzenie i stonowany, podszyty humorem głos. Wydawał się zawsze uśmiechać. Na pokładzie U-Bootu, gdzie na porządku dziennym było, że oficerowie nawiązywali bliskie więzi osobiste z członkami załogi, Brandt czuł się w swoim żywiole. Spędzał czas wśród marynarzy, opowiadając im na wachcie na mostku dowcipy, zadając osobiste pytania o rodziny, dziewczyny i miasteczka, z których pochodzą, i słuchając o lękach i obawach, do których nie mogli się oficjalnie przyznać. Był znakomicie obeznany z protokołem wojskowym, ale w wolnym czasie rzadko się go trzymał. Wolał szczerą rozmowę i poczucie braterskiej więzi, które rodziło się, kiedy tylko żołnierze czuli, że nie muszą stać przed przełożonymi na baczność. Pewnego razu, kiedy Guschewski opowiedział dowcip o pyszałkowatym oficerze, Brandt dostał takiego ataku śmiechu, że wszyscy się bali, że umrze. Kiedy tylko złapał oddech, zaczął błagać: „Powtórz to, powtórz! Nigdy tego nie słyszałem!”. Guschewski opowiedział dowcip ponownie, cały czas jednak kołatała mu się w głowie myśl: *Nigdy nie ośmieliłbym się opowiedzieć tego Neuerburgowi.*

Brandt czuł się niezwykle swobodnie w towarzystwie większości marynarzy, ale do swoich obowiązków podchodził z niezwykłą powagą. Jako pierwszy oficer ustalał wachty na mostku, odpowiadał za przygotowanie torped i utrzymanie ich w gotowości i kierował wszystkimi atakami torpedowymi w wynurzeniu. Gdyby kapitan został zabity lub nie był w stanie dowodzić okrętem, przejmował po nim dowództwo. W nagrodę za dobrą służbę pierwszym oficerom powierzano często dowodzenie własnymi okrętami. Na stanowisku Brandt wymagał od siebie bezwzględnej skrupulatności i nie rozkazami, ale przykładem domagał się tego samego od załogi. Bardziej niż ktokolwiek inny doceniał to oddanie i umiejętności sam Neuerburg. Planując coś lub po prostu rozmawiając, wydawali się jednomyślni, w pełni zsynchronizowani. Jeśli nawet Neuerburg miał jakieś zastrzeżenia co do zbytniego spoufalania się pierwszego oficera z załogą, nigdy się z nimi nie zdradził. W miarę upływu kolejnych tygodni załoga czuła się coraz bardziej związana z Brandtem. Wielu ludzi zastanawiało się nad życiem 21-latką, który wyglądał na gotowego stawić czoła

lękom ich wszystkich. Nikomu nawet nie przeszło przez myśl, że Brandt, ze swoim uśmiechem i luźnym podejściem do życia, czuł, że całe to szkolenie odbywa się w wielkiej stalowej trumnie.

Na długo przed wstąpieniem do marynarki Siegfried Brandt Zintem, w Prusach Wschodnich, znany był w swoim miasteczku jako *aufrechter Mensch* – pocziwy człowiek. Był najstarszym z trzech braci. Otwarcie na świat i nowe poglądy rodzice wychowali Siggiego, tak bowiem go nazywano, na wiernego protestanta i dżentelmena. Ich niezwykle silna religijność stała w sprzeczności z nazistowską wiarą w Tysiącletnią Rzeszę. Kiedy Brandtowie szli do kościoła, naziści wytykali ich palcami, kpiąc z ich wiary i przypominając ojcu Siegfrieda, Ottonowi, że jego syn ma w niedzielę stawiać się również na wiecach Hitlerjugend. Otto powiedział synowi:

– Możesz chodzić na wiece trzy razy w miesiącu, ale w ostatnią niedzielę będziesz chodził tylko do kościoła.

Na wieść o tym nakazie lokalni przedstawiciele partii nazistowskiej wpadli w furję. Gdyby nie to, że Otto wiernie służył swojemu krajowi na froncie pierwszej wojny światowej, za tego typu zniewagę mógłby trafić do więzienia. Otto, walcząc za swój kraj, stracił lewą nogę i wciąż miał ranę na piersi.

W szkole Siggie i jego dwóch najlepszych przyjaciół złożyli sobie przysięgę, dziwną i dosyć ryzykowną w czasach, kiedy naziści rośli w potęgę. Od tego momentu poprzysięgli sobie, że w życiu kierować będą się starymi pruskimi zasadami: dyscypliną, porządkiem, uczciwością, tolerancją, słownością i lojalnością. Nie przyjmą żadnej innej ideologii. Siggie powoli zbliżał się do końca szkoły średniej, Niemcy sposobiły się do wojny, a naziści mieli coraz mniej cierpliwości do Brandtów. Rodzina wciąż modliła się w kościele. Otto odmówił wstąpienia do partii. Matka Siggiego, Elise, starała się wybłagać miejscowych przedstawicieli partii nazistowskiej, by zostawili w spokoju Norberta, jej młodszego syna. Norbert był nieco opóźniony w nauce, prawdopodobnie było to spowodowane jego chorobą umysłową. Z punktu widzenia nazistów tego typu słabość była hańbą dla rasy aryjskiej. Dlatego też planowali wysterylizować Norberta. Elise powiedziała im, żeby się odczepili. Straszili, że wyślą ją do obozu koncentracyjnego, mimo iż była żoną bohatera wojennego, a jej najstarszy syn chciał zgłosić się na ochotnika do marynarki. Elise była nieustępliwa. Wciąż narastało napięcie.

Po ukończeniu szkoły średniej Siggie zgłosił się na ochotnika do marynarki. W 1941 roku zaczął szkolenie oficerskie. Kiedy przyjeżdżał na urlop do domu, jego najmłodszy brat, Hans-Georg, podsłuchiwał, jak Siggie opowiada dowcipy o

„Adolfie” i z ironią opowiada o „największym” Hitlerze, który „wie wszystko” i „wie o marynarce wojennej więcej niż wszyscy admirałowie”. Mając zaledwie jedenaście lat, Hans-Georg czuł, że jego brat nie lubi nazistów ani nie ufa Hitlerowi.

Z początku Siggi służył na pokładzie wykrywacza min. Dwukrotnie znalazł się w ogniu walki, za drugim razem jego okręt poszedł na dno, Siggi musiał się ratować. Kiedy marynarka ogłosiła nabór do U-Bootów, zgłosił się na ochotnika.

W lutym 1943 roku okręt Brandta, *U-108*, został zbombardowany przez nacierające samoloty brytyjskie i niszczyce na Atlantyku, na zachód od Gibraltaru. Kiosk okrętu został poważnie uszkodzony, przez co nie byli się w stanie zanurzyć. Okaleczony U-Boot przekradł się w wynurzeniu do bazy w Lorient, we Francji, wystawiony jak na dłoni na ataki patrolujących okolice samolotów i okrętów. Dotarli bezpiecznie do portu, ale przeżycie odcisnęło się mocno na psychice Brandta. W czasie ataku błagał kapitana o pozwolenie na zanurzenie, ale ten postanowił uparcie czekać. Kiedy samoloty wroga nurkowały w ich stronę, Brandt widział, jak kapitan wpatruje się w zdjęcia swoich dzieci. Walka na U-Boocie potrafiła kompletnie sparaliżować nerwy najlepszych nawet oficerów.

W czasie urlopów Brandt siedział w domu ze swoim przyjacielem Fritzem. Słuchali jazzu i swingu i rozprawiali o całym bezsensie wojny. Kpili z Hitlera, podważając jego prawo do rządów i podejmowania decyzji. Jeśli po szkole oficerskiej coś się zmieniło w życiu Brandta, to jedynie to, że jeszcze bardziej gardził Hitlerem. Coraz bardziej poddawał się jednak myśli, że on sam i wielu jemu podobnych stanowią jedynie trybiki w olbrzymiej maszynie wojny.

Większą część 1943 roku spędził na szkoleniu podwodnym. Mniej więcej w tym czasie jego młodszy brat Norbert, ten, którego naziści chcieli wysterylizować, wstąpił do armii. Działacze partyjni z Zinten wciąż czepiali się Ottona i Elise o ich wizyty w kościele i odmowę wstąpienia do partii. Nie interesowało ich to, że Siggi służy jako oficer w marynarce. Nad domostwem Brandtów bezustannie unosiło się widmo obozu koncentracyjnego.

W październiku 1943 roku Brandt został mianowany pierwszym oficerem na *U-869*, nowiuteńkim okręcie typu IX, budowanym w stoczni Deschimag w Bremie. Poznał kapitana Helmutha Neuerburga i głównego mechanika, melancholijnego człowieka o imieniu Ludwig Kessler. W czasie szkolenia Brandt okazał się profesjonalistą w każdym calu, skrupulatny, karny i zdolny, by

umrzeć za Niemcy. W czasie wizyt w domu nazywał *U-869 – Nazi Tauschboot* – nazistowską łódką podwodną – z pełnym ironii i pogardy akcentem na słowie „nazistowska”. Trzynastoletni Hans-Georg słyszał kilka razy, jak Siggi mówi o okręcie jako „żelaznej trumnie”.

Załoga *U-869* kontynuowała szkolenie aż do wiosny 1944 roku, cały czas z niecierpliwością oczekując pierwszego z serii egzaminów prowadzonych przez inspektorów z AGRU-Front³ w pobliżu Helu. Na morzu jedną z trzech wacht pełnił pierwszy oficer Brandt, kapitan Neuerburg przyłączał się do wacht wedle swojego uznania. W oczach swoich ludzi uchodzili za silnych i doświadczonych, mimo że Neuerburg wciąż miał potworne kłopoty z przeciśnięciem swojej potężnej sylwetki i szerokich barków przez wąski właz prowadzący do kabiny nawigacyjnej.

Od końca marca do października *U-869* przeszedł pięć egzaminów AGRU-Front. Za każdym razem Neuerburg spisywał się znakomicie, panował nad okrętem i odpalał torpedy z zegarmistrzowską precyzją. Zabójcza skuteczność torped tchnęła w załogę *U-Boot* ufność. Kiedy patrzyli, jak Neuerburg unicestwia kolejne cele ćwiczebne, umacniała się ich wiara w dowódcę. W czasie alarmu, w sytuacjach awaryjnych i podczas ćwiczenia szybkiego zanurzenia załoga działała szybko i zwinnie. Bezustanne ćwiczenia i świadomość niebezpieczeństwa, jakiemu mogli stawić czoła, sprawiły, że funkcjonowali niezwykle sprawnie, niczym jeden organizm. Przechodząc przez kolejne egzaminy AGRU-Front, Neuerburg nie zdradził cienia lęku ani wahania. Niczym owiane legendą asy *U-Boot*ów, czytające ze stoickim spokojem książki, gdy wokół ich okrętów eksplodowały kolejne bomby głębinowe, Neuerburg potrafił zachować zimną krew nawet w najbardziej przerażających momentach. Załoga coraz bardziej go szanowała.

Załoga *U-869* była coraz bardziej zgrana i lepsza technicznie, mimo to marynarze byli realistami. Zdawali sobie sprawę, że zaledwie kilku z nich pływało wcześniej na *U-Boot*ach. Wiedzieli lub przynajmniej podejrzewali, że alianci dysponują technologiami zwalczania okrętów podwodnych, na które *Kriegsmarine* nie miała broni. O ile Guschewski i jego koledzy z załogi *U-602* w 1942 roku często naśmiewali się z aliantów, o tyle na pokładzie *U-869* nie było już tak zabawnie. Upadło Monte Cassino. Alianci lądowali w Normandii. Miasta rodzinne marynarzy były bezustannie bombardowane. Dziesiątki *U-Boot*ów bezpowrotnie ginęły lub tonęły na wodach wroga. Dla wielu stało się oczywiste, że Niemcy chylą się ku upadkowi.

Nikt jednak nie odważył się otwarcie zdradzać swych obaw. Żołnierz, który ośmielił się krytykować Hitlera lub wojnę, mógł zostać oskarżony z tytułu *Wehrkraftzersetzung* – podważania autorytetu dowództwa – i skazany przez trybunał wojenny. Nikt nie wiedział, komu można zaufać. Guschewski nie słyszał z ust marynarzy *U-869* żartów, z drugiej jednak strony nie był też świadkiem kłótni ani ataków hysterii i wycia, spowodowanych narastającymi frustracjami i klaustrofobią, takich jak te, które zdarzały się wśród członków załogi *U-602*. Ponurzy i opanowani marynarze z *U-869* tłumili emocje w sobie. Ku niezadowoleniu Guschewskiego, nikt się nawet z nikim nie przekomarzał.

Wczesnym latem 1944 roku, w czasie postoju w porcie Gotenhafen, Neuerburg zorganizował na pokładzie okrętu przyjęcie dla załogi. Nie zaproszono kobiet. Brandt i Kessler dostali pozwolenie zejścia na ląd, tymczasem na pokładzie strumieniami lała się wódka, schnapps i piwo. Podawano wyśmienite jedzenie. Z głośników pokładowych płynęła muzyka. W krótkim czasie wielu marynarzy było kompletnie pijanych. Przez cały ten czas Neuerburg nie wypił nawet kropli alkoholu. Po prostu obserwował swoich ludzi, studiował ich zachowanie i słuchał poglądów. Mimo zamroczenia alkoholem marynarze wydawali się zdawać sobie sprawę z prawdziwego celu przyjęcia, Neuerburg postanowił ich sprawdzić, wyczuć słabe punkty każdego z nich, wychwycić najmniejsze oznaki braku lojalności wobec niego i, jak przypuszczali niektórzy, wobec partii nazistowskiej. W pobliżu kabiny radiowej Guschewski pił, myśląc: *To nie fair. W ten sposób nie sprawdza się ludzi.* Żadnemu z marynarzy nie wymknęły się z ust niepotrzebne słowa. Nikt nie wyraził swojego powątpiewania. Kiedy przyjęcie miało się ku końcowi, Guschewski pomyślał: *Brandt nigdy nie sprawdziłby swojej załogi w ten sposób. Ci dwaj ludzie są swoimi przeciwieństwami.*

Zorganizowana przez Neuerburga uroczystość sprawiła, że niektórzy marynarze zaczęli zastanawiać nad jego nazistowskimi sympatiami. Teoretycznie oficerowie nie mogli być członkami partii, Neuerburg jednak wydawał się służbistą niezwykle silnie przywiązany do wszelkich procedur formalnych, więc nikt nie byłby specjalnie zdziwiony, gdyby nagle okazało się, że ich kapitan jest faszystą.

Pewnego dnia, kiedy Neuerburg wsiadał na pokład *U-869*, załoga pozdrowiła go nazistowskim „Heil” – zamiast zwykłego wojskowego salutowania. Po niedawnej próbie zamachu na Hitlera rząd wydał nowy rozkaz: oficerowie wojskowi mają pozdrawiać się „Heil”. Neuerburg wszedł między marynarzy i

powiedział, że spodziewał się zwykłego salutowania i nie życzy sobie, aby ktokolwiek używał „Heil” na pokładzie jego okrętu. Ktoś próbował wyjaśnić, że to nowe rozkazy. Neuerburg odparł, że nowe rozkazy go nie obchodzą. Od tej pory na pokładzie *U-869* nikt nie używał już „Heil”.

Po tym zdarzeniu nikt już nie potrafił go rozgryźć. Jednak po tym, co stało się na Helu, jego postać wydała się wszystkim zupełnie enigmatyczna. Pod wieczór Neuerburg oznajmił, że przeniosą się na noc do specjalnych baraków ukrytych w gęstym lesie na półwyspie. Kiedy dotarli na miejsce, podał im stark-bier, dobre mocne piwo, i poprosił, by usiedli na krzesłach w kręgu. Po chwili usadowił się w środku, wziął gitarę i zaczął pięknie grać. Marynarze oniemieli, nikt nie spodziewał się po kapitanie takiego talentu muzycznego. Neuerburg ruszył ku nim, zachęcając do śpiewu. Zaintonowali patriotyczne pieśni. Niektórzy śpiewali, inni udawali, że śpiewają. Nikt nie pytał, o co chodzi. Patrząc, jak śpiewa i odpływa gdzieś w dal, szarpiąc struny gitary, widzieli, że muzyka płynie wprost z jego serca. O jedenastej wieczorem Neuerburg wrócił z załogą do koszar.

Jednym z marynarzy, którzy tego wieczoru zapewne śpiewali razem z Neuerburgiem, był 19-letni torpedowy, Franz Nedel. Szkoląc się na *U-869*, starał się za wszelką cenę dochować wierności Hitlerowi i NSDAP oraz swojej narzeczonej, Giseli Engelmanna. Wyrył jej imię na klapie jednej z dziobowych wyrzutni torpedowych. Nienawiść Giseli do Hitlera i faszystów była równie silna jak jego miłość do nich.

Franz i Gisela poznali się w 1940 roku. Ona wyjechała na wieś w ramach zajęć Hitlerjugend, on zaś odbywał praktyki w rzeźni. Miał piętnaście lat, ona była o rok młodsza. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Był zafascynowany jej przemyśleniami, ognistym temperamentem i intuicją. Ona kochała jego intelekt, jak na swoje lata Franz wydawał się wyjątkowo bystrym myślicielem, cieszyła się jego współczuciem, uwielbiała tubalny śmiech i jego południowoniemiecki akcent z charakterystycznym dla okolic Settin dźwięcznym „r”. Imponowało jej mistrzostwo Nedla w jego fachu, potrafił idealnie zaplanować zarżnięcie zwierzęcia z pewnością siebie i stoickim spokojem, nigdy nie spotkała się z czymś takim u chłopców z rodzinnego Berlina. Nie minął tydzień, a zaczęli ze sobą chodzić. Mówił o niej Gila. Ona nazywała go Frenza. Czuli, że są stworzeni, by spędzić razem całe życie.

Byli nierozłączni. Kiedy Franz grał na akordeonie w zespole, który założył z przyjaciółmi, a ona śpiewała, gromadziły się tłumy. Gdy grali swoją ulubioną piosenkę, francuską melodię ze słowami „Wróć do domu, do Zurichu, wróć / Czekam na ciebie / Jesteś szczęściem mego życia”, Gisela wierzyła, że tak naprawdę kocha się tylko raz w życiu i Franz jest właśnie jej prawdziwą miłością.

Łagodne usposobienie Franza stało w sprzeczności z jedną z jego największych pasji. Był zafascynowany okrętami podwodnymi. Mówił o nich bez przerwy, obiecując sobie, że zgłosi się do służby na okręcie podwodnym, kiedy tylko nadejdzie nieuchronny moment wstąpienia do wojska. Gila błagała, by przemyślał raz jeszcze tę decyzję.

– To pływające trumny – przekonywała go. – Zgłoś się na niszczyciel lub krążownik. Cokolwiek, byle nie U-Boot.

– Nie, Gila – odpowiadał za każdym razem. – Chcę pływać na U-Boocie.

Powiedziała mu, że rozumie. Wciąż jednak nie mogła pogodzić się z przekonaniem politycznym Nedla. Faszysti więzili jego ojca, rzeźnika, za antyhitlerowskie poglądy. Franz nie mówił o tym zbyt wiele, ale jego matka powiedziała Giseli, że mąż spędził sporo czasu w więzieniu. Franz kochał ojca, ale czuł też olbrzymią sympatię do Hitlera i Trzeciej Rzeszy.

Ojca Giseli również aresztowali faszysty. Przez kilka miesięcy dostarczał jedzenie i zapasy żydowskiej rodzinie, która ukrywała się w piwnicy pobliskiego domu. W 1942 roku gestapo odkryło tę rodzinę. Powiesili mężczyznę za nogę pod sufitem i zaczęli polewać go lodowatą wodą, próbując dowiedzieć się, kto mu pomagał. Mężczyzna w końcu nie wytrzymał i zdradził, że ojciec Gili zapewnił im schronienie. Gestapo zabrał go do domu Gili, tam wskazał palcem na jej ojca, przepaszając: „Tak mi przykro. Nie mogłem już tego wytrzymać”. Ojciec Gili został aresztowany i wysłany do obozu koncentracyjnego w Dachau. Był tam jeszcze wtedy, kiedy poznali się i zakochali w sobie Gila i Franz. Gdy Gila zapytała swojego chłopaka, jak może sympatyzować z faszystami po tym, co zrobili ich ojcom, powiedział tylko: „Bardzo mi przykro, że tak się stało, Gila”.

Mimo to Gila bardzo kochała Franza. Był dla niej miły i delikatny, wyobrażali sobie wspólną przyszłość razem. Kiedy w 1943 roku Nedel zaczął szkolenie w marynarce wojennej, postanowili się zaręczyć.

– Zapewnię nam wszystko, czego tylko będzie potrzeba – obiecał. – Kiedy tylko skończy się wojna, zaczniemy wspólne życie, obiecuję.

Jeszcze tego roku Franz dostał urlop podczas szkolenia i pojechał do domu. Gisela czekała na niego w domu jego matki. Zauważyła, że na ścianie wisi

zdjęcie Hitlera. Wybuchnęła.

– Dobry Boże, powiesiliście jego portret! – krzyknęła z płaczem.

Zanim matka Franza zdążyła zareagować, Gisela wyrwała portret z ram i wydarła paznokciami oczy Hitlera. Rzuciła zniszczone zdjęcie na łóżko narzeczonego.

– O mój Boże, co on zrobi, kiedy wróci do domu i to zobaczy? – zaczęła się martwić matka Franza.

– Chcę, żeby to zobaczył! Proszę to tak zostawić! – powiedziała Gisela.

Kiedy Nedel wrócił do domu, od razu zauważył zniszczony portret.

– Jak mogłaś to zrobić? – wydarł się na narzeczoną. – Jak mogłaś wydrapać Hitlerowi oczy?

– Hitler to *Schweinehund* – krzyknęła.

Kłócili się coraz głośniej. Franz bronił Hitlera i Rzeszy. Gila nie mogła znieść jego opinii. Kłótnia skończyła się dokładnie tak jak poprzednie. Zbyt mocno się kochali.

Kilka dni później, kiedy Nedel wrócił już na szkolenie, Brytyjczycy przeprowadzili potężne bombardowanie Berlina. Kiedy skończyły się wybuchy, Gila wygrzebała skądś zdjęcie Hitlera i zaczęła się wspinać na jedną z latarni gazowych oświetlających ulice. Zawiesiła portret na jej szczycie jako symbol tego, że Hitler widzi zniszczenie Niemiec. Zaczęła wyklinać jego imię. Podszedł do niej policjant i uprzedził, że gestapo jest już w drodze.

– No dalej, wściekaj się, Gisela – powiedział. – Masz jeszcze piętnaście minut. Chwila dłużej i cię zabiorą.

– Ty świni! – wrzasnęła Gisela. – Już zabraliście mojego ojca. I co? Teraz chcecie zabrać też mnie?

– Piętnaście minut – odpowiedział.

Niecały rok później Nedel był już na pokładzie *U-869*. Wyznał Gili, że bardzo podziwia kapitana Neuerburga i gotów jest poświęcić swoje życie załodze.

– Kiedy jesteśmy na morzu, wszystko, co mamy, to siebie nawzajem – stwierdził.

Szkolenie na Bałtyku ciągnęło się aż do najgorętszych dni w samym środku lata. Wieczorami załoga *U-869* dostawała pozwolenie na opuszczenie koszar i wyjście na miasto. W dawnych, lepszych czasach marynarze *U-Bootów* byli traktowani zupełnie wyjątkowo, byli honorowymi gośćmi najbardziej znanych klubów nocnych i ulubionymi partnerami do tańca najpiękniejszych dziewczyn z okolicy. Teraz wiele knajp i klubów nocnych było zamkniętych na cztery spusty. I tak prawie nikt nie miał ochoty na tańce. Jedynym lekarstwem na smutki było

piwo. Kiedy marynarzom udawało się trafić do knajpy z orkiestrą, siedzieli cicho w swoich mundurach i po prostu słuchali muzyki.

Tego lata pierwszy oficer Brandt wziął krótki urlop, by odwiedzić rodzinę w Zinten. Pobawił się trochę z 13-letnim bratem Hansem--Georgiem, zjadł wspaniałego indyka przygotowanego przez matkę i nasycił jajkami na bekonie. Kiedy nastał wieczór, Brandt zamknął się z ojcem w swoim pokoju. Hans-Georg podszedł na palcach pod zamknięte drzwi i przycisnął ucho do dziurki od klucza.

– Biorę ze sobą pistolet na pokład – powiedział ojcu Brandt. – Jeśli coś się stanie w czasie tego patrolu, nie będę czekał, aż nadejdzie koniec.

Hans-Georg poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Co miał na myśli brat, mówiąc, że „nie będzie czekał, aż nadejdzie koniec”? Ich religia zabraniała odbierać sobie życie. Mimo to Siggi stwierdził, że nie będzie czekał, aż nadejdzie koniec. Hans-Georg nasłuchiwał dalej.

– Powiem ci coś – kontynuował Brandt. – Jeśli chodzi o moich ludzi, to mogę w pełni polegać na każdym z osobna i wszystkich naraz. Od najmłodszego majtko po samego kapitana Neuerburga, wszyscy na pokładzie *U-869* są moimi prawdziwymi kumplami.

Pod koniec urlopu Brandt założył swój mundur, pocałował brata i rodziców na pożegnanie, po czym usiadł do fortepianu. Zagrał swoją ulubioną piosenkę „La Paloma”, sentymentalną, ckliwą pieśń żeglarską, kończącą się słowami: „Żegnaj, moja gołąbeczko”. Matka przygryzła wargę i poprosiła go, by przerwał. Przytulili się do siebie. Chwilę później Brandt zniknął w dole ulicy, spiesząc z powrotem na okręt.

Kilka tygodni później Brandt zaprosił matkę i Hansa-Georga do Pilau, w którym zatrzymali się na szkolenie. Hans-Georg nie mógł usiedzieć na swoim miejscu w pociągu, całkiem niedługo miał zobaczyć prawdziwego, gotowego do boju *U-Boot*a, na którym jego rodzony brat był oficerem. Kiedy dotarli na nabrzeże, Brandt zabrał ich do małej łódki, którą popłynęli do bazy wojskowej na tyłach portu. Hans-Georg już z daleka dostrzegł masywną, przepiękną bryłę szarego kadłuba *U-869*. Okręt lśnił nowością, dumne i niezwykłe dziecko najnowszej technologii. Na kiosku widniały koła olimpijskie. Ten okręt miał chronić jego brata przed wszelkimi niebezpieczeństwami.

Brandt zaprosił Hansa-Georga na pokład *U-Boot*a, przepraszając jednocześnie matkę. Kapitan Neuerburg nie pozwalał kobietom wchodzić na okręt, wierzył, że swoją obecnością mogą spowodować nieszczęście. Spytał się, czy nie ma nic przeciwko temu, by chwilę poczekać. On oprowadzi w tym czasie Hansa-

Georga. Zgodziła się z uśmiechem. Hans-Georg poczuł wzruszenie. *To najwspanialsza chwila mojego życia – pomyślał sobie. Żaden z moich kumpli ze szkoły nie ma takiego brata.*

Ruszyli po drewnianym trapie na okręt. Kiedy stanęli na pokładzie, Hans-Georg dostrzegł ubranego w szorty mężczyznę z zawiniętym wokół szyi szalikiem. Mężczyzna leżał na plecach na pokładzie i się opalał. Kiedy zauważył Brandtów, podniósł się i podszedł do nich. Hans-Georg uklonił się nisko, jak przystało na młodego człowieka. Mężczyzna uściśnął mu dłoń.

– Ach, więc to jest Brandt junior! – zawołał.

– Kapitanie Neuerburg, proszę poznać mojego brata Hansa-Georga – przedstawił brata Brandt. – Za pańskim pozwoleniem, chciałbym oprowadzić go po okręcie.

– Ależ oczywiście – odpowiedział Neuerburg. – Czuję się zaszczycony, mogąc gościć kogoś takiego na pokładzie.

Hans-Georg stał z otwartymi szeroko oczami. Przez całe życie zdawał sobie sprawę, że ludzie z U-Bootów są wyjątkowi, najbardziej zaś wyjątkowi są sami kapitanowie. Teraz poznał kapitana, który był wysoki, przystojny i potężny. Kiedy szedł z bratem przez pokład, czuł, że to naprawdę wspaniały dzień. Dzień, w którym zobaczył kapitana U-Booty stojącego na pokładzie okrętu w szortach.

Zeszli pod pokład przez kiosk, po gładkiej, świeżo malowanej metalowej drabince. Hans-Georg stanął oczarowany cudami techniki sterczącymi ze ścian i sufitów okrętu – zastanawiał się, czy ktokolwiek potrafi zgłębić funkcję tych wszystkich maszyn. Brandt zaczął go oprowadzać. Hans-Georg wiedział, że nie wolno mu niczego dotykać. Brandt pokazał mu silniki spalinowe, silniki elektryczne, kabinę radiokomunikacyjną i torpedy. Wszystko pachniało ropą. W końcu pokazał bratu swoją koję. Chłopiec popatrzył na niego z takim wyrazem twarzy, jakby chciał się zapytać: „Czy mogę?”. Brandt skinął głową. Po chwili Hans-Georg siedział już na koi brata.

Na dole kiosku Brandt pokazał bratu peryskop.

– Możesz sobie przez niego popatrzeć – powiedział.

Młodszy Brandt ścisnął ze wszystkich sił rączki peryskopu i przycisnął twarz do okularu. Widział przed sobą cumujące w porcie okręty wojenne, wydawały się tak blisko, że bez problemu mógł odczytać ich nazwy. Kiedy patrzył tak na nie, brat mówił mu dokładnie, co widzi; znał chyba nazwy wszystkich pływających po morzu okrętów. Mimo iż byli na pokładzie U-Booty, który już wkrótce miał wyruszyć z jego bratem na wojnę, Hans-Georg czuł się niezwykle bezpiecznie. Wiedział, że jest przy nim Sigg.

Nikt nie ma takiego brata jak ja – pomyślał.

Trzydziestego sierpnia 1944 roku *U-869* stał w bazie flotylli *U-Bootów* w Szczecinie. Większa część miasta była już kompletnie zrujnowana przez alianckie bombowce. W środku nocy marynarzy obudził w koszarach dźwięk syren zwiastujących kolejny nalot. Niektórzy zbiegli do podziemnych schronów, inni, wśród nich Guschewski, zostali w łóżkach, spodziewając się, że samoloty tym razem ominą Szczecin. Kiedy usłyszał, jak odezwały się działka przeciwlotnicze niemieckich okrętów, domyślił się, że atak był jednak skierowany przeciwko nim. Wyskoczył z łóżka i pobiegł w stronę bunkra. Biegając, zauważył, że część ludzi została jeszcze w sąsiednich barakach. Otworzył drzwi.

– Ludzie! Uciekajcie! Atakują nas! – wrzasnął.

Słyszał, jak wokół spadają bomby. Podbiegł do wejścia do podziemnego bunkra, ale drzwi były zamknięte. Zaczął walić z całych sił w drzwi. W końcu ktoś mu otworzył. Guschewski wskoczył do bunkra. Wokół eksplodowały bomby. Załoga zgromadziła się i czekała we wnętrzu bunkra. Kiedy ucichły odgłosy bombardowania, wyszli na zewnątrz. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą wznosiły się baraki, ziały teraz leje po bombach. Jeden z członków załogi *U-869* zginął w trakcie bombardowania. Neuerburg i Horenburg wyciągali z dna jednego z kraterów zwęglone ciała. Kiedy wyszli na powierzchnię, marynarze pochylili głowy. Nikt nie odezwał się ani słowem, ale mogli czytać sobie w myślach. Wydawało im się, że wszyscy wokół myślą tylko jedno: *Przegraliśmy wojnę, ale czemu nie ma pokoju?*

Jesień przyniosła im chwile wytchnienia po letnich upałach, podczas których temperatura we wnętrzu okrętu sięgała 45 stopni. Wyznaczenie terminu patrolu było kwestią kilku najbliższych tygodni. W październiku na okręcie wybuchł skandal.

W nocy, kiedy okręt stał na kotwicy, a większość załogi była na brzegu, ktoś ukradł duży plaster z jednej z kilku olbrzymich, przechowywanych w pokładowej spiżarni szynek. Kiedy kucharz dostrzegł kradzież, natychmiast powiadomił Neuerburga, który wezwał całą załogę. Kradzież czegoś, co należało do współtowarzyszy – *Kamaradendiebstahl* – zdarzała się na okrętach niezwykle rzadko, ale była jednym z najbardziej poważnych wykroczeń, jakie można było sobie wyobrazić. Neuerburg dostał ataku szału.

– Zapewniam was, że wyciągnę konsekwencje! – krzyczał.

Przez minutę nikt nie drgnął. W końcu z szeregu wystąpił 24-letni bosman

Fritz Dagg.

– Nie chcę, żeby ktoś został niesłusznie oskarżony – powiedział. – To ja ukradłem szynkę.

Neuerburg zaprowadził Dagg do swojej kajuty. Cała załoga zadrżała na myśl o karze, jaką Neuerburg wyznaczy lubianemu przez wszystkich Daggowi. Po kilku minutach Dagg wyłonił się z kabiny Neuerburga. Nie został ukarany. Kapitan kazał wrócić wszystkim do swoich zajęć. Ludzie odetchnęli z ulgą. Guschewski podziwiał decyzję kapitana. Przypuszczał, że Neuerburg docenił fakt, że Dagg czuł się źle z powodu kradzieży. Poza tym był wyśmienitym bosmanem i kapitan zapewne zdawał sobie sprawę z tego, że Dagg opuści się w swoich obowiązkach, jeśli będzie ciążyło na nim poczucie winy. Ludzie z ulgą przywitali kolegę z powrotem. Nikt nie miał do niego pretensji. Wojna była coraz bardziej beznadziejna, ale przynajmniej nie brakowało im jedzenia.

Pod koniec października załoga *U-869* wiedziała, że od dziewiczego patrolu dzieli ją ledwie tydzień lub dwa. Brandt wziął jednodniowy urlop, żeby odwiedzić rodzinę w Zinten. Ojciec zgromadził wszystkich w salonie i kazał im się modlić. Siegfried ubrany był w kompletny mundur oficerski – nie przywiózł nawet ze sobą ubrań na zmianę. Za oknem padał wielkimi płatkami śnieg. Otto modlił się o pokój i bezpieczny powrót swoich synów, Siegfrieda i Norberta. Prosił Boga, by wróciły czasy, kiedy cała rodzina mogła zasiąść razem przy stole i cieszyć się wspólnie życiem.

Brandt wrócił na *U-869*. Teoretycznie przysługiwało mu jeszcze kilka dni urlopu. Postanowił jednak odstąpić wolne dni żonatym marynarzom, żeby mogli spędzić więcej czasu ze swoimi rodzinami. Kiedy ludzie rozjechali się do domów, usiadł na wąskiej koi i napisał list do rodziny.

„Dowiedziałem się wczoraj – pisał w jednym z listów – że Fritz C., radiotelegrafista, z którym się zawsze spotykałem, nie wrócił ze swojego pierwszego patrolu wojennego. Po raz pierwszy wyruszył na front. Jeszcze kilka tygodni temu siedzieliśmy razem w restauracji. Takie jest nasze życie – ciężkie i zdradzieckie”.

W połowie listopada dołączył do listu dwa małe zdjęcia z krótką notatką. Prosił rodzinę: „Myślcie o mnie”. Na jednym ze zdjęć siedział ze spuszczoną głową, kolanami podciągniętymi pod brodę i plecami opartymi o nadbudówkę, spał na pokładzie *U-869*. Jego matka miała wiele zdjęć syna, ale to jedno sprawiało, że w oczach stawały jej łzy. Kiedy Hans-Georg zapytał, czemu płacze na widok zdjęcia Siegfrieda śpiącego na pokładzie *U-Boota*, powiedziała mu, że

Siggi siadywał w ten sam sposób. Przypomniała sobie lata jego dzieciństwa. Mimo iż Siggi został męznym żołnierzem, wciąż widziała w nim swojego małego chłopczyka.

Pod koniec listopada Brandt wysłał kolejny list do rodziny. Pisał:

Kiedy dostaniecie ten list, zacznę już moją podróż... Bardzo się cieszę z wieści od Norberta – teraz mam pewność. Życzę Hansowi-Georgowi wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Mam nadzieję, że wrócę do domu na jego bierzmowanie. Życzę wam wszystkim wesołych i pogodnych Świąt Bożego Narodzenia i szczęśliwego Nowego Roku. Święta są rodzinną uroczystością, ale tym razem będę z wami tylko w myślach. Myśląc o sobie nawzajem, przypominamy sobie, jak było kiedyś. Proszę, pamiętajcie o mnie, kiedy złożycie dłonie do modlitwy, doczekamy się naszego „Wiedersehen”.

Kiedy Brandt pisał swoje listy, a U-869 przygotowywał się do dziewiczego patrolu, Neuerburg po raz ostatni pojechał do domu. Wybrał służbę na U-Bootach właśnie ze względu na wizyty w domu i od 1943 roku skwapliwie korzystał ze wszystkich nadarzających się okazji. Po powrocie do domu zawsze zrzucał mundur i przebierał się w cywilne ubrania. W ten sposób na powrót stawał się człowiekiem. Często zabierał swojego trzyletniego synka Jürgena na rejsy żaglówką. Holował go w kole ratunkowym za łodzią i pozwalał mu wydawać rozkazy. Niekiedy, ku przerażeniu swojej żony i wielkiej radości syna, sadzał go w wózku przyczepionym do roweru i ciągnął za sobą, pedałując tak szybko, jak tylko potrafił. Uwielbiał robić zdjęcia Jürgeni i swojej rocznej córeczce Juttcie. Wysłał nawet jedno ze zdjęć Jürgena do firmy produkującej puder dla dzieci do wykorzystania w reklamie. W nocy słuchali z Erną muzyki, rozmawiali i coraz bardziej się w sobie zakochiwali. Przez wszystkie szkolenia wojskowe większą część swojego małżeństwa spędzili praktycznie rozdzielni. Nigdy nie opowiadał Ernie o szkoleniach i nadchodzących zadaniach, wspominał tylko, że U-869 ma świetną i zgraną załogę i że niezwykle podziwia pierwszego oficera Siegfrieda Brandta nie tylko za profesjonalizm, ale również za sposób, w jaki zaprzyjaźnia się z załogą. Odliczając z Erną dni pozostałe do pierwszego patrolu U-Bootu, robili notatki w „Dzienniku Dzieciaków”, pamiętniku dla Jürgena i Jutty. W ostatnim wpisie dla Jürgena, tuż przed wyruszeniem na patrol, napisał:

Kilka dni temu sprytni „Tommy” [Anglicy] zrzucili wiele bomb, było strasznie dużo hałasu. Byłeś bardzo cicho, schowałeś swoją małą główkę pod płaszczyk Mamusi. Jutta, która zawsze śmiała się w czasie eksplozji, tym

razem też była cichutko. To była potworna noc i, tak jak powiedziałeś, wiele domów zostało zniszczonych. W naszym domu też zrobił się okropny bałagan. Od tego czasu nie chcesz spać sam i ciągle prosisz Mamusię, żeby pozwoliła ci lulać u niej w łóżku. Nawet ty, mój mały zbój, zaczynasz uświadamiać sobie cały koszmar tej wojny.

Już niedługo Tatuś będzie musiał wypłynąć na morze w swoim U-Boocie. Musimy mieć nadzieję, że wkrótce będziemy się mogli zobaczyć cali i zdrowi, w lepszych czasach. Mam nadzieję, że będziesz na mnie czekał z Mamusią i Juttą i krzykniesz radosnym głosem: „Mamusiu, zobacz, Tatuś przyszedł!”.

Mam nadzieję, że to nie potrwa długo i że ominą was wszystkie potworne rzeczy, że cali i zdrowi dotrzwacie do beztróskich, słonecznych dni, kiedy znów się spotkamy. Może tym razem nie będę aż tak daleko. I wtedy słoneczko znów zaświeci dla was, moje dzieciaczki, i dla waszych rodziców, którzy chcą żyć tylko z wami i tylko dla was. Będziemy znowu szczęśliwi i będziemy mieli po co żyć.

Wasz kochający

Tatuś

W połowie listopada do pierwszego patrolu zostało zaledwie kilka dni. Zgodnie z tradycją załoga wymyśliła znak i zawołanie bojowe okrętu. Najwyraźniej zainspirowani filmem „Snow White”, który ostatnio widzieli razem w kinie, wybrali zawołanie „Heigh-ho!”, napisali te słowa nad podkówną i numerem 869. Pod spodem wypisali kilka wersów piosenki popularnej szwedzkiej piosenkarki Sarah Leander. „Wiem, że pewnego dnia stanie się cud i ziści się tysiąc snów”.

U-869 miał wyruszyć na wojnę około 1 grudnia 1944 roku. Tuż przed wyruszeniem okrętu jeden z przyjaciół Neuerburga, lekarz, złożył mu cichą propozycję. Mógł napisać do dowództwa marynarki i potwierdzić, że Neuerburg zachorował na tyle ciężko, że stan zdrowia nie pozwala mu na prowadzenie okrętu. Erna nalegała, by Neuerburg skorzystał z okazji – wiedziała, że U-Booty nie wracają już z patroli. Neuerburg podziękował doktorowi. On również wiedział, że U-Booty nie wracają z patroli. Ale musiał spełnić swoją powinność wobec Niemiec i swojej załogi. Odmówił.

Kiedy Neuerburg żegnał się z rodziną, Erna zauważyła, że zostawił coś w domu.

– Zapomniałeś swojego złotego zegarka kieszonkowego, Helmuth – powiedziała. – Weź go ze sobą.

– Nie – odpowiedział Neuerburg. – Weź go i odliczaj minuty do mojego powrotu.

Mniej więcej w tym samym czasie torpedowy Franz Nedel i jeszcze kilku innych marynarzy z *U-869* pojechało do jego domu rodzinnego na przyjęcie pożegnalne. Narzeczona Nedla, Gila, rzuciła mu się na szyję. Matka wyszła do kuchni przygotować jedzenie i napoje. Normalnie Nedel i jego kumple pochłonięci byliby już rozmową i śpiewami, ciesząc się z wolnego czasu. Tym razem siedzieli w salonie, w mundurach, patrząc tępo przed siebie. Nikt się nie odzywał. Na ich widok uśmiech Gili powoli zniknął. Popatrzyła na mężczyzn. Jeden z nich zaczął płakać, po chwili zawtórowali mu pozostali.

– Co się stało? – spytała, spiesząc, by złapać Nedla za rękę.

Przez chwilę mężczyźni nie byli w stanie powstrzymać łez. Nedel się nie odzywał. W końcu jeden z mężczyzn powiedział:

– Żaden z nas już nie wróci.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała Gila. – Oczywiście, że wszyscy wrócicie.

– Nie, nie wrócimy – odparł inny.

Widzieli, jak twarz Gili się wydłuża. Dziewczyna próbowała za wszelką cenę powstrzymać łzy.

– No cóż, Franz pewnie wróci, ale żaden z nas już nie – rzucił jeden z nich.

– To nie ma sensu – próbowała protestować Gila. – Jeśli Franz wróci, wrócicie też i wy.

Mężczyźni potrząsnęli głowami, zanosząc się płaczem. Matka Nedla była kompletnie zdruzgotana tym widokiem. Zebrała się jednak w sobie i wyszła naprzód.

– Chodźcie, chłopcy, połóżcie się i porządnie wyśpijcie – zostanieie tutaj. Gila też tutaj zostanie. Rano będziecie się lepiej czuli.

Następnego ranka ubrali się i razem z matką Nedla i Gilą Engelmann wrócili pociągami do portu, w którym stał *U-869*. Przez całą kilkugodzinną podróż Gila trzymała Franza za rękę. Nikt nie wspomniał ani słowem o tym, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. W ogóle nikt nie był w nastroju do rozmowy. U bramy portu kobiety poprosiły o pozwolenie odprowadzenia mężczyzn do okrętu i pomachania im na „do widzenia”. *U-869* miał wyruszyć na patrol jeszcze tego samego dnia.

Aby dotrzeć do okrętu, kobiety wsiadły na małą łódkę, która zabrała je na wysepkę. Wtedy Gila po raz pierwszy zobaczyła *U-869* – wspaniałą i majestatyczną maszynę, od której zależała jej przyszłość. Nedel chwycił

delikatnie jej dłoń.

– Gila, proszę cię, czekaj – powiedział. – Nie będziesz żałować. Będę potrafił się tobą zająć.

– Oczywiście, że będę czekała – odpowiedziała.

– Módl się za mnie, kiedy wypłynę.

– Będę się za ciebie modlić.

Gila i matka Nedla stanęły obok okrętu. Dołączyły do nich może dwie lub trzy inne osoby z rodzin marynarzy. Załoga ustawiła się w szeregach na pokładzie okrętu, dokładnie tak jak podczas przysięgi rok wcześniej. Czteroosobowa orkiestra wyszła na nabrzeże, by zagrać sentymentalną niemiecką pieśń. U-Boot zaczął powoli oddalać się od brzegu. Nedel i większość marynarzy stali na pokładzie i machali, mimo że większość z nich nie miała do kogo. Po kilku minutach okręt zniknął gdzieś za horyzontem.

¹ Krzyżem Rycerskim z Liśćmi Dębowymi, Mieczami i Diamentami zostało odznaczonych podczas wojny dwóch dowódców U-Bootów: Wolfgang Lüth i Albrecht Brandi (przyp. red.).

² Komando wniebowstąpienia (przyp. tłum.)

³ Technische Ausbildungsgruppe für Front U-Boote (AGRU-Front) – wydział techniczny badający i oceniający U-Booty i ich załogi przed odesłaniem ich na front (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 13

TEN OKRĘT TO NASZE PRZEZNACZENIE



Od 1991 roku Chatterton i Kohler wierzyli bezkrytycznie w historię. Według wszystkich książek, ekspertów i dokumentów, *U-869* zatonął w pobliżu Gibraltaru. Teraz, dwa i pół roku później, na podstawie treści przechwyconych przez wywiad depesz między *U-869* a Dowództwem *U-Bootwaffe*, dowiedli, że wrakiem spoczywającym na dnie oceanu u wybrzeży New Jersey jest właśnie *U-869*. Teraz przekopali się właśnie przez szafy z dokumentami w poszukiwaniu listy załogi okrętu, jednej z kilkudziesięciu, które skopiował Chatterton w archiwum *U-Bootów* w Niemczech. Kohler znał niemiecki na tyle, że był w stanie rozszyfrować skróty i pozycje. Zawołał Johna i zaczął czytać.

– Na liście jest 56 osób – oznajmił. – Kapitanem był facet o nazwisku Neuerburg. Urodził się w 1917 roku, miał więc, zaraz, zaraz... 27 lat? Pierwszym oficerem był... popatrzmy... Brandt, Siegfried Brandt. Jezu, on miał zaledwie 22 lata. Tutaj jest nasz przyjaciel Horenburg, *Funkmeister*, 25 lat. Na pokładzie było czterech Willych i trzech Wilhelmów. O, popatrz, był nawet Richard i Johann. To tak jak Richie i John.

– Ile oni mieli lat? – zapytał Chatterton. Kohler zaczął coś pracowicie liczyć.

– Było 24 nastolatków – powiedział w końcu. – Najmłodszy był Otto Brizius. Kiedy *U-869* wyruszył na patrol, miał zaledwie 17 lat.

– Przez trzy lata pływaliśmy wokół tych ludzi i rozbijaliśmy się wśród ich kości, nie wiedząc nawet, kim byli – stwierdził John. – Teraz przynajmniej znamy ich imiona.

Wieści o treści przechwyconych depesz radiowych rozeszły się po środowisku ludzi zajmujących się *U-Bootami*. Wielu specjalistów uznało je za wyjaśnienie tajemnicy *U-Boota* z okolic New Jersey. Okręt nie otrzymał nowych rozkazów, zmieniających cel patrolu na Gibraltar. Płynął dalej w pierwotnie wyznaczone miejsce i został zatopiony w okolicach New Jersey.

Chatterton i Kohler również uznali tajemnicę za rozwiązana. Uważali jednak, że jeszcze nie pora zamykać sprawy *U-869*. Na razie wrak nie zdradził nic, co mogłoby potwierdzić jego tożsamość. Najwięksi sceptycy wciąż mogli wytaczać argumenty świadczące, że *U-Who* jest w rzeczywistości *U-857*, tak jak wcześniej zakładali nurkowie. Tak czy inaczej, *U-857* też zaginął w rejonie Wschodniego Wybrzeża i wciąż nie został odkryty. Nóż Horenburga mógł trafić na pokład *U-857* przez przypadek lub ktoś go po prostu ukradł, kiedy okręty stacjonowały przed patrolami w Norwegii i stały w porcie niemal burta w burcie. Niestety, nie można było odrzucić tego typu wyjaśnień i John i Richie zdawali

sobie z tego sprawę. Dopóki z wraku nie zostanie wydobyta tabliczka z numerem *U-869* lub tablica ze stocznicy z numerem kadłuba, nikt nie mógł mieć absolutnej pewności, że wrak jest okrętem *U-869*.

Chatterton i Kohler podjęli decyzję, że wrócą na wrak.

Pomysł ten nie wzbudził specjalnego entuzjazmu ich kolegów. Trzech ludzi zginęło w czasie nurkowania. Kilku innych otarło się o śmierć. Spenetrowane zostały wszystkie pomieszczenia, do których był dostęp.

– Chłopaki, wiecie, że to *U-869* – tłumaczyli znajomi. – Nikt tego nie podważa. Napisaliście od nowa pewien rozdział historii. Po co ryzykować życie?

Odpowiedzi Johna i Richiego brzmiały identycznie:

– Musimy przekonać się sami.

Dla Chattertona porzucenie *U-Who* byłoby równoznaczne z porzuceniem swoich ideałów. Przez całe lata żył i nurkował, hołdując swoim zasadom, wierzył, że ciężka praca, wytrwałość, rzetelność, przygotowanie, kreatywność i wyobraźnia leżą u podstaw bycia dobrym nurkiem i dobrym człowiekiem. Przełożył swoją filozofię życiową na nurkowanie i dzięki temu stał się jednym z najlepszych na świecie nurków wrakowych. Swój etos nurkowy wcielał w życie na co dzień, dzięki czemu żył godnie i sprawiedliwie. Nie mógł odejść od *U-Who* ot, tak sobie, i to w momencie, kiedy był już blisko.

Dla Kohlera *U-Who*, z kolejnego wraku pełnego trofeów, stał się moralną powinnością. Czuł, że to on właśnie ma obowiązek nadać imiona poległym marynarzom i powiedzieć o nich rodzinom. Tak jak John był przekonany, że *U-Who* jest *U-869*. Ale nie mógł oznajmić rodzinom Neuerburga, Horenburga i Brandta, iż jest „niemal na sto procent przekonany”, że ich bracia i synowie zginęli u wybrzeży New Jersey i że ich okręt „prawdopodobnie” zatonął na wodach amerykańskich, nie zaś w pobliżu Afryki. Już od pewnego czasu w planach na lato uwzględniał kolejne wyprawy na *U-Who*. Nie mógł zostawić znaków zapytania wiszących nad tymi ludźmi, tak samo, jak w czasie jachtowych wypraw z ojcem nie mógł pogodzić się z tym, że widzi ciała unoszące się na powierzchni morza. Zamierzał odnaleźć tabliczkę lub jakikolwiek inny niepodważalny dowód. Chciał zapewnić poległym wieczny spokój i dać pewność ich rodzinom.

Był jeszcze jeden powód, dla którego Chatterton i Kohler postanowili wrócić na *U-Who*, co do tego zgadzali się ze sobą w zupełności. Tworzyli historię i chcieli zrobić to od początku do końca tak, jak należy. W trakcie swoich poszukiwań po wielokroć mieli okazję przekonać się, że historycy popełniają

błędy, książki nie są w pełni wiarygodne, a specjaliści mogą się mylić. *U-Who* był dla nich okazją, by osobiście poprawić historię. Chcieli to zrobić najlepiej, jak tylko się dało.

Kiedy nadejście wiosny oznajmiło początek sezonu nurkowego 1994, John postanowił zabrać się porządnie do przełamania impasu. Ostatni sezon był najbardziej produktywny ze wszystkich, wydobyli wspaniałe trofea i dotarli do niezbadanych wcześniej obszarów wraku. Mimo to Chatterton czuł się przegrany. Każdy z dostępnych przedziałów okrętu został przynajmniej kilkakrotnie przeczesany. Sprawdzono wszystkie miejsca, w których teoretycznie mogła znajdować się tabliczka znamionowa lub coś, co potwierdziłoby tożsamość wraku. Rysował kolejne schematy na serwetkach z kawiarni, ale miał wrażenie, że nie różnią się one od tych, które szkicował w 1991 roku. Ćwiczył się w dostrzeganiu śladów ładunku w chaotycznych stertach przypadkowych szczątków, ale nie przychodziły mu do głowy pomysły, gdzie jeszcze mógłby wykorzystać tę umiejętność. Kwiecień, będący zwykle dla Johna miesiącem optymizmu i oczekiwania, zaczął się wyjątkowo ponuro. Chatterton nie był w stanie wymyślić niczego nowego. Nocami, leżąc na plecach u boku śpiącej żony, wpatrywał się w sufit. Zastanawiał się, dlaczego tym razem zawiodły go umiejętności – potrafił przecież patrzeć na wrak i postrzegać go zupełnie inaczej niż ktokolwiek inny. Dlaczego nie był w stanie poradzić sobie z tym akurat wtedy, kiedy tak bardzo tego potrzebował?

W takich chwilach zwątpienia zawsze niczym dar z niebios spadał mu Richie. Dzwonił, przysyłał faksy lub podjeżdżał pod jego dom furgonetką Fox Glass. Kohler, pełen energii, zawsze dodawał mu otuchy, pocieszał, zachęcał, ale też i kpił z jego narzekań swoim twardym głosem z szorstkim brooklyńskim akcentem, podnosząc z dezaprobatą brwi.

– Słuchaj, John – mówił Richie. – Nie chciałbym być niemąły czy coś w tym stylu, ale muszę cię o coś zapytać: Co się z tobą do ciężkiej cholery dzieje? O co ci chodzi? Nic nas nie zatrzyma! Zrobimy to! Jeśli będzie trzeba, popłynę na U-Boota choćby i teraz! Jest kwiecień. Na dworze jest pięć cholernych stopni, ale popłynę. Spuszczę twój cholerny tyłek na dół i będziemy obmyślać plan, wisząc na linie kotwicznej. Ktoś musi wyciągnąć z tego wraku tabliczkę. Zamierzasz usiąść i płakać, czekając, aż zrobi to ktoś od Bielendy? Chcesz, żeby jakiś żółtodziób wylazł z wody z tabliczką, która przyczepiła mu się do płetwy, i został bohaterem? My to zrobimy. My będziemy bohaterami!

– Dzięki Richie – odpowiadał Chatterton. – Tego mi właśnie było potrzeba – mówił i zabierał się do szkicowania kolejnego planu na serwetce.

Im cieplejsza stawała się woda w oceanie, tym bardziej Kohler tęsknił za rodziną. Nigdy w pełni nie doceniał przyjemności i satysfakcji płynącej z bycia pełnoetatowym ojcem. Nie zdawał sobie do tej pory sprawy, jaki wpływ ma to na jego własny wizerunek. Przez długie lata uważał się za nurka. Teraz, kiedy jego dzieci zaczęły nowe życie, w którym pojawili się nowi dorośli, Richie czuł, że tak naprawdę najważniejsze dla niego jest właśnie bycie ojcem. *Nie mogę żyć bez moich dzieci – powiedział sobie. Kocham je bardziej niż nurkowanie. Kocham je bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Zrobię wszystko, by do nich wrócić.*

Zaczął zastanawiać się nad czymś, co jeszcze nie tak dawno wydawało mu się niemożliwe. Zadzwoił do Johna. Umówili się u Scotty'ego. Wpatrując się w szklankę martini, Kohler powiedział Chattertonowi, że pogodzenie się z Felicią oznacza rezygnację z nurkowania. John spojrzał na niego z przekąsem.

– Tego typu ultimatum nie działa – stwierdził. – Małżeństwo nie polega na tym, że jedna osoba mówi: „Będzie nam razem dobrze, dopóki będziesz robił to, co ja chcę”. Chce, żebyś porzucił nurkowanie? To świadczy tylko o tym, że Felicia kompletnie cię nie zna. Nurkowanie to twoja dusza. Jak możesz godzić się na pozbycie się duszy?

– To dla dobra rodziny – odparł Kohler. – Jeśli będę musiał porzucić nurkowanie, żeby uratować rodzinę, zrobię to.

– Wspaniale, Richie – powiedział Chatterton, robiąc się coraz bardziej czerwony na twarzy. – Jesteśmy o krok od ostatecznego poskładania zagadki U-Boota, a ty zamierzasz sobie odejść.

– Wiem, że jeśli porzucę nurkowanie, to odbije się to również na tobie.

– Zapomnij o mnie! – wybuchnął John. – Jesteś nurkiem, to twoje prawdziwe ja.

Na chwilę zapadła cisza.

– To nie takie proste, John – oznajmił w końcu Kohler. – Kocham moje dzieci. One już uczą się żyć beze mnie. Muszę to poważnie przemyśleć.

Kohler coraz rzadziej odzywał się do Chattertona. Johnowi brakowało tego w chwilach zwątpienia, kiedy czuł się kompletnie zagubiony i nie miał zupełnie pomysłu, co jeszcze zrobić z U-Bootem. Przedtem w tego typu sytuacjach Kohler zawsze pojawiał się jak spod ziemi, by podsyć jego zapał i dodać mu otuchy. Teraz otaczała go cisza. Pewnej letniej nocy Richie siedział do późna w swoim biurze. W końcu wyciągnął z biurka naładowany pistolet kalibru 9 mm. Był nurkiem. Czuł się nurkiem. Potrzebował swoich dzieci i rodziny. Był ojcem. Tak naprawdę był ojcem. Położył palec na spuście i przysunął broń bliżej głowy.

Przez głowę przelatywały mu miliony obrazów, tak jakby rozpędzony film nagle urwał się z projektora. Powinien strzelić sobie w usta czy w skroń? Był nurkiem. Czuł się nurkiem. Czy będzie bolało? Mężczyzna potrzebuje rodziny. Dzieci powinny znać swojego ojca. Podniósł broń. Spojrzał na zdjęcie dzieci, stojące w rogu biurka. Jeśli się zabije – dzieci będą dorastać z obrazem ojca w wersji Felicii – bardzo stronnicznej wersji. Nigdy nie dowiedzą się, kim naprawdę był. Jego roztrzaskana głowa tylko potwierdzi to, co z pewnością Felicia powie dzieciom – ich tatuś był nieudacznikiem, który porzucił rodzinę. Spojrzał na zdjęcie. *Chciałbym poczuć zapach włosów mojej córki. Chciałbym nauczyć mojego synka jazdy na rowerze. Tęsknię za nimi.* Odłożył pistolet do szuflady.

Wkrótce potem zadzwonił do Felicii. Powiedział, że chce mieć z powrotem rodzinę. Postawiła mu ultimatum. Po pierwsze, pójdzie z nią do poradni małżeńskiej, po drugie, rzuci nurkowanie.

Wieczorem oznajmił to Chattertonowi na spotkaniu u Scotty’ego. Kohler nigdy nie widział przyjaciela tak głęboko zniesmaczonego.

– Zgodziłem się na to, John – stwierdził Richie. – Byłem do tego stopnia ogłupiały, że gdyby kazała mi pomalować tyłek na różowo i chodzić do tyłu, też bym się zgodził. Tęskniłem za rodziną.

– Odchodzisz od nurkowania?

– Odchodzę od nurkowania.

– Nie poznaję cię, Richie. To jakaś koszmarna, potworna pomyłka.

Kohler spojrzał w głąb szklanki z martini. John stał się jednym z jego najlepszych przyjaciół. Tego wieczoru pomyślał jednak: *John nie jest najdelikatniejszą osobą, jeśli chodzi o te sprawy.*

Miesiąc później Kohler wrócił do rodziny. Wynajęli dom w podmiejskim Middletown, w stanie New Jersey. Wszystkie rzeczy związane z U-Bootami, swoje notatki, książki, zdjęcia, dokumenty, przedmioty, listy i tłumaczenia zamknął na cztery spusty w szafie naprzeciwko biurka, przy którym chciał targnąć się na swoje życie. Zamknął na klucz szufladę. Nigdy nie powiedział o tym Chattertonowi. Tego dnia zaczął nowe życie jako eksnurek.

John zaplanował pierwszą podróż na *U-Who* w nowym sezonie na pierwszy weekend lipca. Cały poprzedni miesiąc zmagał się z próbą odpowiedzi na pytanie: w które miejsce wraku powinienem teraz popłynąć? W przededniu rejsu wciąż nie miał pomysłu. Każdy centymetr kwadratowy dostępnego obszaru U-Boota został już przebadany. Nurkowie i świadkowie poszukiwań zaczęli już poszeptywać, że nigdy nie uda się wyciągnąć z wraku czegoś, co potwierdzałoby jego tożsamość. Inni z uporem twierdzili, że kiedyś jakiś szczęściarz, kompletny

żółtodziób, znajdzie tabliczkę przyczepioną do swojej maski. Tego typu gadki doprowadzały Chattertona do szału, zwłaszcza że nie mógł wytoczyć żadnych rozsądnych kontrargumentów. Starał się myśleć twórczo. Nic się nie stało. Zmusił się do wypisania listy pomysłów. Sprowadzały się do tego samego co poprzednio. Kiedy przyjaciele, zaniepokojeni napięciem malującym się na jego twarzy, pytali, czy wszystko w porządku, odpowiadał: „Nie jestem sobą, skończyły mi się pomysły”.

Lipcowa wyprawa na *U-Who* była taka, jak się spodziewał. Skoczył do wody zupełnie bez planu. Pływał po wraku bez sprecyzowanego celu. Obejrzał dokładnie peryskop w poszukiwaniu plakietki stoczni, zrobił to już trzy lata temu. Po wyjściu na pokład czekał, aż z ust Kohlera posypią się przyjacielskie kpiny i obelgi. Richie był jednak sto mil dalej, ze swoją rodziną i rzeczami zamkniętymi w szafie. Panująca na pokładzie cisza aż kłuła w uszy. Rzucił tylko do Yurigi: „Przy takiej widoczności po prostu tracę tu czas”.

Jakby pragnąć zemścić się na *U-Who*, John rzucił się z pasją do polowania na inne wraki. Tylko lipcu 1994 roku odkrył i zidentyfikował wrak tankowca *Norness* – pierwszego statku zatopionego na wodach amerykańskich przez U-Booty w trakcie drugiej wojny światowej, oraz odkrył wrak *Sebastiana* – liniowca pasażerskiego z okresu pierwszej wojny światowej, który zapalił się i poszedł na dno w czasie burzy ledwie osiem mil na wschód od *Dorii*.

Podczas gdy Chatterton dokonywał tych historycznych odkryć, Kohler starał się żyć na przedmieściach jako szczur lądowy. Postanowił naprawić stosunki rodzinne tak, by nigdy już nie groziła mu perspektywa utraty dzieci. Biegał na paluszkach wokół Felicii, próbując wykrzesać z siebie entuzjazm dla wypraw do supermarketu. Pilnował się, by nie rzucić „to kompletna bzdura” w poradni małżeńskiej. Kupił dla siebie i dla niej parę rowerów. Uruchamiając mięśnie, o których istnieniu nigdy mu się nie śniło, uśmiechał się, kiedy Felicia oznajmiła mu, że w wakacje pojadą do Disney World. Czasami coś mu się wymysknęło. W słoneczne niedzielne popołudnia, kiedy pchał przed sobą wózek dziecinnie, zdarzało mu się rzucić: „Założę się, że ocean jest dzisiaj gładki jak stół. Chłopaki mają szczęście”.

– Nie chcę o tym słyszeć! – mówiła Felicia, stając i patrząc na niego z wyrzutem. – Znowu ci chodzi po głowie nurkowanie? Już ci się znudziło bycie z nami?

– Oczywiście, że chcę być z wami, kochanie – odpowiadał Richie i szedł dalej, powtarzając w myślach cichą mantrę: *Mam tego dosyć, jestem wściekły, ale robię to dla dzieci. Robię to dla dzieci. Kocham moją rodzinę. Robię to dla*

dzieci...

Z początku dosyć regularnie dzwonił do niego John.

– Richie, płynę na U-Boot. Wchodzisz w to?

– Nnnie, nie ma mowy – odpowiadał Kohler.

– Co to znaczy, że nie ma mowy? Richie, to zupełnie chore. Nie możesz tak żyć.

Kohler aż burzył się we wnętrzu. Ale odpowiadał tylko: „Przykro mi, John”. Z prawdziwą ulgą usłyszał, że z powodu pogody Chatterton ciągle odwleka rejsy na U-Boot. Natychmiast jednak poczuł się z tego powodu winny.

Starał się za wszelką cenę wytrwać w małżeństwie, nie wracając do nurkowania. Był coraz bardziej rozdarty. Wciąż pielęgnował swoje pasje. Gromadził katalogi wydawnictw zajmujących się militariami i kupował wszystkie książki, które miały chociaż troszkę wspólnego z U-Bootami. Przyciszonym głosem, zasłaniając ręką słuchawkę, prosił księgarzy o przeczytanie listy nowości. Kupił grę komputerową o U-Bootach, do której dołączona była reprodukcja niemieckiej mapy morskiej. Kiedyś porównał ją z tym, co naszkicował w czasie swoich poszukiwań w Waszyngtonie. Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu stwierdził, że jego mapa niemal dokładnie pokrywała się z oryginalną.

Miał cichą nadzieję, że jego tęsknoty skończą się wraz z nadejściem jesieni. Tymczasem nie mógł przestać myśleć o członkach załogi *U-Who*. Przez lata próbował wyobrazić sobie całą grozę ich ostatnich chwil. Teraz, znając ich nazwiska, zaczął myśleć o ich życiu. Wyobrażał sobie Niemcy nie jako kraj pełen kolumn maszerujących żołnierzy, ale jako kraj zamieszkały przez normalnych ludzi. Przed oczami widział rodziny, dziewczęta, miasteczka, specjały lokalnej kuchni – taki obraz Niemiec przekazał jego ojcu pan Segal. Studiował listę załogi i zastanawiał się, którzy z tych ludzi lubili filmy, muzykę czy kibicowali klubom piłkarskim i czy którykolwiek z nich wyrwał na kłapie wyrzutni torped imię swojej wybranki. Potrafił wyobrazić sobie ich życie aż do ostatniej chwili – ktoś dostaje puszkę brzoskwiń za zwycięstwo w pokładowym konkursie szachów, kuk przypala kiełbaski, a radiooperator puszcza muzykę z płyt gramofonowych.

Nadeszła zima. Kohler nie potrafił przestać myśleć o U-Boocie. Miał coraz mocniejsze przekonanie, że jest coś winien tym ludziom. Nie powinni leżeć tak w tej bezimiennej mogile bez wiedzy o swoich bliskich. Wydawało mu się, że to właśnie on, a nie kto inny, powinien potwierdzić tożsamość tych ludzi. Miał związane ręce, unieruchamiały go zobowiązania rodzinne. Bolało go, że

poświęcenie dla własnej rodziny nie pozwala mu spełnić powinności wobec rodzin poległych. Patrzył, jak za oknami wynajętego domu pada śnieg. Przez wiele lat śnieg oznaczał, że już za kilka miesięcy będzie można wrócić na ocean. Tego roku czuł się zupełnie zagubiony, stracił gdzieś siebie, a śnieg wyglądał, jakby miał padać przez całą wieczność.

Na początku 1995 roku John i Richie spotkali się na kolacji. Tym razem nie u Scotty'ego, ale w zupełnie zwyczajnej pizzerii. Kiedyś, kiedy czuli się w pełni sobą, takie kolacje trwały wiele godzin. Tym razem spotkali się dosłownie na chwilę.

– W tym roku też trzymasz się z dala od nurkowania? – zapytał Chatterton.

– Tak – odrzekł Kohler. – Nie mam wyjścia. Felicia doprowadza mnie już do szału, ale muszę to wytrzymać ze względu na dzieci.

– Uhm.

– Jakies przełomowe Johnowskie odkrycia na *U-Who*?

– O niczym innym nie myślę. Nie mam za grosz pomysłów. Jakbym był ślepy.

– A co z innymi nurkami? Co oni zamierzają?

– Richie, nikt nie chce już tam pływać.

W domu Kohler starał się rozpaczliwie podtrzymać swoje małżeństwo. Zapisał się do poradni, wynajął dom, zamknął na cztery spusty sprzęt nurkowy. Mimo to układało się coraz gorzej. W końcu, na wiosnę 1995 roku, napisał 12-stronicowy list do Felicii, zdjął z palca obrączkę, wpakował swoje ubrania i cały dobytek do kilkunastu worków na śmieci i przeprowadził się do kumpla w Levittown, w Pensylwanii. Wydatki, które poniósł, próbując naprawić małżeństwo, doprowadziły go na skraj bankructwa.

W weekendy zajmował się dziećmi. Starał się wykrzesać z siebie tyle energii, żeby ogolić się i zwlec z piętra, by dzieci, pięcioletni synek i dwuletnia córeczka, były przekonane, że tatuś ma się wspaniale. Trwało to kilka miesięcy. W lipcu 1995 roku przyznano mu opiekę nad dziećmi. Był wniebowzięty. Zadzwoił do agenta handlu nieruchomościami i poprosił go o znalezienie domu w dzielnicy z dobrą szkołą, w promieniu 40 kilometrów od Trenton, w którym mieściła się jego firma. Dwa tygodnie później wprowadzili się do domu w Yardley, w Pensylwanii. Wynajął opiekunkę do dzieci, zapisał je do szkoły i za resztki pieniędzy urządził im pokoje. Ustanowił własne zasady funkcjonowania rodziny.

Tymczasem z powodu złej pogody Chatterton popłynął na *U-Who* tylko raz w ciągu całego sezonu. Tak jak przed rokiem nurkował bez jakiegokolwiek planu i wrócił z pustymi rękoma. Przytłoczony *U-Bootem*, rzucił się w wir rozpoczętych

w poprzednim sezonie poszukiwań. I znowu udało mu się odkryć kilka historycznych wraków, uznanych od lat za nie do odnalezienia.

Zabrał się do pracy na *SS Carolina*, liniowcu pasażerskim zatopionym ogniem U-Bootu w czasie pierwszej wojny światowej. Dla nurków ze Wschodniego Wybrzeża nie było chyba wspanialszej zdobyczy niż *Carolina*. Był to naprawdę piękny statek. Jego 197 pasażerów i 117 członków załogi zdołało ewakuować się w szalupach ratunkowych, zanim *U-151* zatopił go 60 mil od brzegu. Kiedy w nocy przewróciła się jedna z szalup, utonęło 13 osób. Nurkowie przez dziesiątki lat szukali *Caroliny*, jednak bez skutku – była jedynym nieodkrytym jeszcze liniowcem pasażerskim spoczywającym na dnie morza, na wodach Nowego Jorku i New Jersey. John przez cały martwy sezon tłumaczył i przeglądał niemieckie zapiski. Przeprowadził wywiad z archiwistą ze stoczni, przeczytał niezwykle wnikliwie dziennik pokładowy i przestudiował mapy pogody sprzed 77 lat. Poskładał wyniki tych wszystkich badań i wpadł na pomysł. Doszedł do wniosku, że *Carolina* leży w rejonie, w którym nie spodziewałby się jej żaden nurek.

Chatterton trafił na wrak w czasie pierwszego rejsu. Zaczął usuwać wodorosty z nadbudówki rufowej. Wedle jego rozeznania, tam właśnie powinna być wypisana nazwa statku. Powoli zaczęły pokazywać się mosiężne litery C-A-R-O-L-I-N-A. W ciągu jednego dnia odkrył i zidentyfikował wrak, na który przez dziesiątki lat ostrzyli sobie zęby wszyscy nurkowie wrakowi z północnego wschodu.

Kilka tygodni później popłynął na wrak uznawany przez niektórych za frachtowiec *Texel*, kolejny statek zatopiony w czasie pierwszej wojny światowej przez U-Bootu. Bazując na zdjęciach i planach pokładów, John opracował plan poszukiwania. Zamierzał popłynąć na dziób i spróbować odnaleźć tam charakterystyczne elementy, takie jak na przykład umieszczone tuż przy nazwie statku. Legendarny nurek Gary Gentile¹ zapewniał go, że dziób jest na tyle zniszczony, że nie ma szans, by zachowała się na nim nazwa. Mimo to Chatterton popłynął. Znalazł mosiężne litery. Wyraźny napis *Texel*. W ciągu dwunastu miesięcy odkrył i zidentyfikował lub zidentyfikował cztery historyczne wraki. Ludzie zaczęli uznawać go za najlepszego nurka wrakowego na świecie. John popadał w coraz cięższą frustrację.

Postanowił podwoić swoje wysiłki mające na celu zidentyfikowanie *U-Who*. Nic jednak nie przychodziło mu do głowy. Miał mnóstwo pomysłów na inne wraki, w głowie rodziły się kolejne plany. Wyglądało na to, że jeśli tylko zechce, będzie w stanie odkryć lub zidentyfikować, co tylko zapragnie, wszystko poza

U-Who. Na konferencjach, na których miał mówić o wrakach *Lusitanii*, *Caroliny* i swoich innych niedawnych osiągnięciach, wciąż zadawano mu pytania o *U-Boota*. Nie był w stanie tego znieść i w końcu przestał jeździć na tego typu spotkania.

Po raz pierwszy w swojej karierze Chatterton czuł, że nieubłagane kończy się jego czas. Miał 43 lata, był już szacownym staruszkiem w sporcie, który potrafił zniszczyć osiłków o połowę młodszych od niego. Nurkowie nie chcieli już pływać na *U-Who*. Gdyby dostał pęcherzyków, raka albo połamano się w wypadku samochodowym, okręt podwodny prawdopodobnie nigdy nie odzyskałby swojego imienia. Wtedy wszyscy leniwi i wygodnicy nazwaliby go po prostu *U-869*. „Jesteśmy niemal na sto procent pewni” – oznajmiliby. Dla prawdziwego artysty tego typu słowa byłyby najgorszym koszmarem.

Ale John nie miał pojęcia, co robić dalej. Nocami leżał w łóżku, zwierając się sufitowi i gwiazdom, że zrobiłby wszystko, byleby tylko wyciągnąć z wraku dowód. Pomógłby każdej osobie, która miałaby konstruktywny pomysł, podzieliłby się z nią wiedzą i doświadczeniem. Gotów był zaryzykować życie pod wodą, we wnętrzu *U-Boota*, byleby mieć jasną wizję tego, co ma zrobić. Kumple, tacy jak Yurga, mówili mu: „Musisz zrobić sobie małą przerwę. W ciągu ostatniego roku zrobiłeś więcej niż większość nurków przez całe życie”.

W najbardziej ponurych momentach Chatterton zastanawiał się, czy nie rzucić tego wszystkiego. Próbował wyobrazić sobie, że idzie po pizzę lub jedzie gdzieś na przejażdżkę samochodem, nie mając przed oczami zniszczonej kabiny nawigacyjnej *U-Who*, że nie zastanawia się już, czy jest tym, kim chciałby być. Czasami udawało mu się zachować ten obraz przez minutę, potem zawsze wracały myśli w rodzaju: *Kiedy wszystko idzie zbyt łatwo, nie jesteśmy w stanie niczego się o sobie nauczyć. Dopiero w chwili, gdy robimy coś z największym wysiłkiem, możemy przekonać się, kim naprawdę jesteśmy. Niektórzy nigdy nie dochodzą w życiu do tego momentu. Ja trafiłem na U-Who. To, co teraz zrobię, pokaże, kim tak naprawdę jestem.* Porzucał wtedy myśli o tym, by wszystko rzucić, siadał za biurkiem, wpatrywał się w nóż Horenburga i zaczynał szkicować plany miejsc na *U-Who*, w które chciałby następnym razem dotrzeć.

Po rozstaniu z Felicią Richie zaczął dostawać kolejne zaproszenia na nurkowanie. Pierwsze wyszło od Johna. Kohler powiedział mu to, co powtarzał do końca sezonu innym przyjaciołom:

– Nie mogę nurkować. Ani fizycznie, ani psychicznie nie dam rady. Nie mam do tego głowy. Zabiłbym się.

Pod koniec sezonu 1995 Richie był wciąż pełnoetatowym ojcem i

biznesmenem. Sypiał nieregularnie, całe noce spędzając na wyjazdach do nagłych wypadków. Wracał nad ranem, akurat żeby zrobić dzieciom tosty na śniadanie. Dzieciaki jakoś przywykły do tej sytuacji.

We wrześniu 1995 roku Kohler dostał zlecenie od Hudson City Savings Bank. Trafił tam na bardzo ładną, trzydziestoletnią, niebieskooką blondynkę, która zgłosiła problem z drzwiami. Kiedy Kohler stwierdził, że jej problemy częściowo wynikają z tego, że kopie drzwi butami na wysokim obcasie, od razu mu się spodobała. Kobieta, Valentina Marks, dosyć opryskliwie zareagowała na jego cyniczne uwagi. Jeszcze bardziej mu się spodobała. Zaprosił ją na kolację. Udała się znakomicie. Zaprosił Valentinę po raz kolejny. To było coś poważnego.

Kohler powiedział jej o *U-Who*, rozmowa wyraźnie ją wciągnęła. Zadawała coraz więcej pytań, szczególnie ciekawili ją polegli marynarze. Miała niemieckie korzenie. Co roku jeździła z ojcem do Monachium na Oktoberfest. Wiedziała, że Kohler czuje się zobowiązany wobec tych marynarzy, jeszcze zanim odważył się jej o tym powiedzieć.

Kiedy byli u niej w domu, spacerowali po parku lub rozmawiali przez telefon, Tina kładła się na plecach, zamykała oczy i prosiła Richiego, żeby opowiedział jej dokładnie o rzeczach i chwilach w życiu, które najbardziej go poruszyły. Nazywała to malowaniem barw. Kohler często malował przed nią obraz wyprawy na *U-Who*, począwszy od momentu, kiedy *Seeker* odbił od kei, przez zjeżdżanie na dno wzdłuż liny kotwicznej, na ostrożnym lawirowaniu wśród szczątków poległych skończywszy. Opowiedział jej o tym, jak znalazł czaszkę i odłożył ją z powrotem, tak by zmarły marynarz mógł spoglądać na swoich towarzyszy. Zrozumiała, czemu to zrobił. Ona z kolei malowała dla niego obrazy z Niemiec, ze Szwarcwaldu, z okolic zamku Neuschwanstei. Opowiadała o swoim przywiązaniu do niemieckiego dziedzictwa i rodziny. Obejrzelі razem „Das Boot”. Tina siedziała przez cały film jak zauroczona. Kohler opowiedział jej o tym, jak silne jest jego przywiązanie do nurkowania. Stwierdziła, że według niej każdy powinien mieć w związku miejsce na swoje hobby. Mijały kolejne miesiące i Richie zaczął planować swoją przyszłość z Tiną.

Pod koniec 1995 roku odebrał telefon, by usłyszeć to, co dwa lata temu mówił sam. Dzwonił Chatterton, jego małżeństwo było w opałach. Spotkali się u Scotty’ego. John był w nieco innej sytuacji niż Richie. Wprawdzie kłócił się ciągle z Kathy, ale nie chodziło o to, by rzucił nurkowanie. Wyglądało na to, że już po prostu z siebie wyrosli. Każde z nich miało swoją pasję – Chatterton

nurkował, Kathy strzelała z pistoletu. Obydwoje coraz intensywniej oddawali się swojej pasji. Przez lata ich małżeństwo zamieniło się w związek z przyzwyczajenia. John znał się na prądach i wiedział doskonale, że małżeństwo gdzieś sobie odpływa.

– Najgorsze w tym wszystkim jest to – oznajmił Kohlerowi – że wisi nade mną ten U-Boot. Jest ze mną w pracy i w domu. Kiedy staram się spojrzeć na siebie z boku, widzę, że nie jestem już taki jak kiedyś. Nie jestem taki miły i taki szczęśliwy.

– John, masz mnóstwo powodów, żeby być szczęśliwy – odpowiedział Richie.
– Masz za sobą najlepszy rok w historii nurkowania. W ciągu dwóch sezonów podbiłeś świat. Przez dwa lata odkryłeś cały świat wraków, podczas gdy goście tacy jak Bielenda nie osiągnęli absolutnie niczego. Jak możesz nie być szczęśliwy?

– Ten U-Boot to co innego – odparł Chatterton. – Ten U-Boot to nasze przeznaczenie.

Przez kilka minut milczeli. W końcu John przerwał ciszę.

– Wracasz, Richie? – zapytał.

– Wiesz co? Sam nie wiem – odparł Kohler. – W sumie to kupa czasu.

Całą zimę z 1995 na 1996 rok Richie zastanawiał się nad swoją przyszłością z Tiną. Życie zaczęło mu się układać, dzieci tryskały zdrowiem, a interes się rozrastał. Bywały dni, kiedy nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby wrócić do nurkowania. Zrobiło się cieplej, nastała wiosna. Tina powiedziała mu wprost, że szkoda, by rezygnował na zawsze ze swojej pasji. Kohler stworzył składzik w biurze. Wyciągnął suchy skafander. Jego czerwień biła po oczach tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy nurkowali we dwóch z Chattertonem na *U-Who*. Był to jego firmowy kolor, kumple rozpoznawali go z dala, kiedy szedł przez parking przy Potwornej Oberży. Podeszedł do telefonu i wykręcił numer Johna.

– John? Tu Richie – powiedział. – Wracam.

Spotkali się u Scotty’ego. Chatterton nigdy wcześniej nie widział Kohlera tak ożywionego.

– Odwaliłeś kawał niezłej roboty przez te dwa lata – stwierdził Richie. – Ja, jeśli na to spojrzeć z tej strony, nie zrobiłem absolutnie nic. Ale mam nad tobą przewagę, John. Wracam żądny krwi. Przez te dwa lata wszystko się we mnie gotowało. Nie masz pomysłów? Nie wiesz, co robić z tym dalej? Powiem ci coś: nie spoczniemy, dopóki nie rozwikłamy tej zagadki. Dowód tkwi gdzieś na tym wraku, czuję to w głębi serca.

Kohler sięgnął do teczki i wyciągnął swoje spoczywające tak długo materiały. Zaczęli pracować nad planem. Ich podejście było mało wyrafinowane i prymitywne. Przebijają się siłą do przedziału silników elektrycznych, jedynek, nietkniętego jeszcze przedziału *U-Who*. Przedział i część przyległego do niego przedziału silników spalinowych były zablokowane przez rękaw awaryjny. Pionowy tunel, którym załoga mogła ewakuować się z zalanego wodą lub tonącego okrętu. Przez lata uważali, że rękaw jest nie do ruszenia i uznawali, że w przedziale silników elektrycznych znajdują się tylko maszyny. Teraz zamierzali usunąć rękaw, nawet jeśli wiązałoby się to z olbrzymim ryzykiem i jeszcze większymi kosztami. Nie zamierzali też poprzestać na domysłach, jakoby w przedziale silników nie dało się znaleźć wskazówek mówiących o tożsamości wraku. Zamierzali tam wejść i to sprawdzić. Skończyli kolację i uścisnęli sobie dłonie. Przez dwa lata nie byli do końca sobą. Teraz, znów razem, ze szkicem planu nagryzmołonym na serwetce, czuli się dokładnie tak, jak powinni się czuć.

Plan przedstawiał się następująco. Przyczepią łańcuch trzytonowej wyciągarki do rękawa blokującego rufową część przedziału silników spalinowych. Wyciągarka łańcuchowa była mocnym urządzeniem z potężną przekładnią zębatą. Za jej pomocą dało się wyciągnąć samochód z głębokiego rowu. Nurkowie niemal nigdy nie ryzykowali tego typu posunięcia. Groziły im tysiące niebezpieczeństw. Po pierwsze, rękaw mógł się na nich zawalić, miażdżąc ich lub przygniatając. Rękaw mógł się rozpaść, strzelając na wszystkie strony ostrymi odłamkami. Mogli zupełnie stracić oddech, męcząc się z przymocowaniem do łańcucha i wyciągnięciem rękawa. Pod ich stopami mogły zarwać się ażurowe gretingi. Cały *U-Boot* mógł się przewrócić lub zawalić, kiedy oderwie się rękaw. Rękaw mógł spaść tak, że odetnie im drogę odwrotu. John i Richie rozważali wszystkie za i przeciw. Uznali wszystkie zagrożenia za całkiem realne, po czym postanowili zabrać się do realizacji planu.

Chatterton wypożyczył wyciągarkę z firmy nurkowej, w której pracował. Zarezerwowali sobie kilka rejsów. Po raz kolejny paskudna pogoda zmusiła ich do odwoływania kolejnych wypraw. Minął cały sezon 1996. Jeśli mieli realizować ten plan, musieli się wstrzymać do następnego roku.

Zima upłynęła im bardzo powoli. Powstrzymywany przez dwa lata apetyt na nurkowanie nie dawał Richiemu teraz żyć. Nie pozostało mu jednak nic innego, niż czekać na lepszą pogodę. Małżeństwo Johna powoli się rozpadało. Jego żona znalazła nową pracę, przez co spędzali ze sobą jeszcze mniej czasu. Zapisali się do poradni. Nie pomogło. W maju 1997 roku, na samym początku sezonu nurkowego, wynajęli adwokata zajmującego się rozwodami, mimo iż zgodzili

się mieszkać razem jeszcze do jesieni, dopóki nie skończą ze swoimi letnimi zajęciami.

Widmo rozpadu małżeństwa potwornie przytłoczyło Chattertona. Pewnego wiosennego dnia zadzwonił do Kohlera ze słowami: „Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć”. Richie zwolnił się z pracy i spotkał z kumplem w Watchung Reservation. Poszli na spacer koło wodospadu i do lasu. John chciał się dowiedzieć, w jaki sposób Kohler poradził sobie z bólem i jakim cudem udało mu się być codziennie w pracy, podczas gdy kompletnie sypało się jego małżeństwo. Pytał o wszystkie szczegóły. Richie po prostu słuchał. Powiedział Chattertonowi, że według niego czas najlepiej goi rany. Nie mówił nic więcej. Wiedział, że tak naprawdę John musiał się wygadać przed kimś, kto go lubi i się nim przejmuje. Kohler był taką osobą.

Kiedy z początkiem sezonu 1997 kapitanowie czarterowych łodzi nurkowych spuszczały swoje statki na wodę, Chatterton i Kohler przeglądali po raz kolejny książkę Henry’ego Keatts’a o nurkowaniu wrakowym. W jednym z rozdziałów trafili na fotografie tabliczek wydobytych z *U-853* – *U-Boota* z czasów drugiej wojny światowej, identycznego jak *U-Who*. Większość tabliczek była zupełnie zwykła, bez jakichkolwiek znaczących napisów. Jedna z nich jednak zwróciła uwagę nurków. Było na niej napisane *U-853*. John i Richie znaleźli dziesiątki takich tabliczek na *U-Who*. Na żadnej z nich nie było tego typu informacji.

Kohler chwycił telefon i natychmiast zadzwonił do Keatts’a. Znali się z widzenia.

– Hank, w twojej książce jest zdjęcie kilku tabliczek z *U-853*. Z których miejsc na okręcie one pochodzą?

– Nie jestem pewien – odparł Keatts.

– Gdzie znajdują się teraz te tabliczki? Kto ma tę z napisem *U-853*?

– Wydaje mi się, że wyciągnął ją Billy Palmer.

– Bardzo ci dziękuję – odpowiedział Kohler.

Pięćdziesięcioparoletni Billy Palmer wiódł ciężki żywot jako kapitan małej łodzi nurkowej *Thunderfish*, cumującej w pobliżu Block Island. Zawsze żuł w kąciку ust niedopałek cygara. Był pierwszorzędnym nurkiem. Chatterton i Kohler widywali go dosyć często na wystawach Boston Sea Show, mieli trochę wspólnych znajomych. Kohler odgrzebał gdzieś numer domowy Palmera w Connecticut. Zadzwonił.

– Masz jeszcze te tabliczki z 85? – zapytał.

- Mam całe stosy tabliczek – odparł Palmer.
- Całe stosy?
- Taa, pełno ich tu jest.
- Przypominasz sobie może, gdzie znalazłeś tę z numerem *U-853*?
- Jak przez mgłę, Richie. To było strasznie dawno temu.

Kohler zapytał, czy mogą na chwilę podjechać z Johnem. Palmer odparł, że będzie mu bardzo miło.

Następnego dnia zadzwonili do jego drzwi. Otworzył. Na łańcuszku na szyi nosił prawdziwy Krzyż Żelazny, jedno ze swoich trofeów z *U-853*. Chatterton i Kohler spojrzeli po sobie, na usta cisnęło im się pytanie: *Czy on tak na poważnie z tym krzyżem?*, ale nie skomentowali niczego na głos. Palmer oprowadził ich po swoim domu wypełnionym niemal po brzegi przedmiotami wyciągniętymi z wraków. Nie mogli się doczekać, kiedy wreszcie zobaczą tabliczki. Palmer się jednak nie śpieszył. W końcu zaprowadził ich do piwnicy. Stał tam kobiecy manekin, odziany w pełny mundur niemieckiego marynarza, łącznie z czapką i płaszczem. Palmer przedstawił go jako Ewę i poczęstował ich piwem.

- Więc interesują was te tabliczki? – zapytał.
- Tak, i to bardzo – odparł John.

Palmer podniósł szybę przykrywającą gablotę. W środku było kilkadziesiąt plastikowych plaketek. Na jednej z nich widniał napis *U-853*. Zamurowało ich.

– Pamiętasz może, w którym miejscu na wraku udało ci się ją odkryć? – zapytał Kohler.

Palmer odwrócił się od nich w stronę manekina.

– Ewa – powiedział łagodnym głosem – kurs zero-dwa-zero.

Wpatrywali się w jego twarz. Nie byli w stanie powiedzieć, czy zwracał się do Ewy na poważnie. Palmer uśmiechnął się do nich i wrócił do rozmowy, Krzyż Żelazny obijał mu się o koszulę.

– Była na drewnianej skrzynce z częściami zamiennymi, wielkości pudełka na buty – odpowiedział.

- W którym przedziale? – zapytał Chatterton.
- W przedziale silników elektrycznych.

O mało nie spadli z krzeseł.

– Skrzynki z częściami zamiennymi musiały być opisane numerem okrętu – wyjaśnił Palmer. – Jeśli w trakcie misji zużyły się jakieś części, wysyłano skrzynkę do magazynu. Tam uzupełniano zapasy i odsyłało skrzynkę z powrotem na właściwy okręt.

John i Richie siedzieli jak skamieniali. Jedynym miejscem na *U-Who*, do którego nie dało się dotrzeć, był właśnie przedział silników elektrycznych. Nie spodziewali się, że tam znajdą coś, co pozwoli na identyfikację wraku. Teraz poczuli, że po prostu za wszelką cenę muszą usunąć masywny stalowy rękaw, blokujący dostęp do dalszej części przedziału silników spalinowych i sąsiadującego z nią przedziału silników elektrycznych. Wstali i podziękowali Palmerowi.

– To wszystko, co chcielibyście wiedzieć? – zapytał Palmer.

Powiedzieli mu, że bardzo im pomógł i że spotkanie z nim było prawdziwym przeżyciem. Zerknęli raz jeszcze na Ewę i pożegnali się.

Zarezerwowali sobie termin wyprawy na *U-Who* na 1 czerwca 1997 roku. Chatterton przywiózł ze sobą trzytonową wyciągarkę i kawał aluminiowej belki podporowej. Po raz pierwszy od niemal czterech lat zabierali się do U-Boota, mając sprecyzowany plan. *Seeker* zbliżał się do miejsca wraku, John i Richie przemierzali w tę i z powrotem pokład rufowy.

– Jestem gotów – oznajmił Chatterton.

– Wróciliśmy – odpowiedział Kohler.

Zamierzali zrealizować plan w dwóch rzutach. W czasie pierwszego nurkowania Richie miał dokładnie wymierzyć rękaw. Między nurkowaniem przestudiują dokładnie te wymiary, po czym przy drugim nurkowaniu przyczepią łańcuch do rękawa i postarają się go wyciągnąć. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zyskają dostęp do obydwu przedziałów silnikowych – i, jak mieli nadzieję, do skrzynek z częściami zamiennymi, oznakowanych tabliczkami z numerem okrętu.

Pogoda i prądy wydawały się wyjątkowo łaskawe dla nurków. John zjechał po linie kotwicznej na dół i przywiązał kotwicę do wraku. Kohler zszedł pod wodę tuż za nim, wpłynął przez wyrwę w burcie kabiny nawigacyjnej i skierował się w stronę rufy. We wnętrzu przedziału silników spalinowych stanął naprzeciw rękawa awaryjnego, potężnej stalowej rury, zaklinowanej pod kątem 30 stopni między dwoma gigantycznymi silnikami spalinowymi po obu stronach przedziału. Z rękawa na wszystkie strony sterczała płatanina drutów i przewodów, niektóre były na tyle długie, żeby przebić na wylot nurka, który zbytnio by się do nich zbliżył. Richie poruszał się powoli i ostrożnie. Miał tylko zmierzyć przeszkodę, ale zamiast tego wyciągnął swój łom przypięty do butli. Nagle przypomniała mu się maksyma, którą powtarzał ojciec, kiedy Kohler był jeszcze małym chłopcem: „Daj mi wystarczająco dużą dźwignię, a poruszę cały świat”. Richie wepchnął łom między rękaw a blok silnika, a nuż uda się trochę

ruszyć ten kawał stali. Rozejrzał się dookoła, zastanawiając się, w którą stronę i jak uciekać, kiedy rękaw zacznie się obsuwać. Pchnął łom. Rękaw zaskrzypiał i drgnął. W całym przedziale podniosły się chmury pyłu i rdzy, jakiś przewód strzelił mu przed samą maską. Zatrzymał się i niemal na siłę spowolnił oddech. Miał tylko zmierzyć przeszkodę. Ale teraz buzowały mu w głowie dziesiątki nowych pomysłów. Mógł przesunąć rękaw siłą mięśni. To nic, że mogło go to kosztować życie. Mógł się zabić i to na co najmniej kilkanaście sposobów. Za długo jednak nie był sobą. Był coś winien poległym marynarzom. Musiał przynajmniej spróbować.

Ponownie naparł na łom. Rękaw zachybotał się w odpowiedzi. Widzialność spadła do 20 centymetrów. Mógł spokojnie podważyć to coś. Odwrócił się i spojrzał na drogę ewakuacji, chociaż w tym momencie nie miało to żadnego znaczenia. Jeśli rękaw spadnie na niego, przygwoździ go do rdzewiejącej podłogi, przygniecie lub zmiażdży. Działający w dziobowej części okrętu Chatterton nawet nie usłyszy jego krzyku.

Wcisnął dłoń pod krawędź rękawa, drugą zaparł się o blok silnika. Niczym zapaśnik sumo rozstawił szeroko stopy na stalowych belkach podpierających silniki, modląc się, by nie zsunąć się z belek i nie spaść na dół przez greting. Zebrał się w sobie i napiął wszystkie mięśnie ramion, brzucha i karku. Ćwiczył je już jako ośmioletni chłopiec, podnosząc 20-kilogramowe okonie złowione przez ojca na łódce. Udało mu się podnieść rękaw jakieś 15 centymetrów do góry. Metal złowieszczo zachrobotał o bloki silników, między którymi zaklinowany był przez ostatnie półwiecze.

– Tylko się nie przewróć – powiedział do rękawa. – Nie pogrzeb mnie tutaj.

Zaparł się jeszcze mocniej. Rękaw oderwał się od podłogi. Przez chwilę Kohler czuł się jak drwał ścinający olbrzymi rozchybotany pień. Zaskrzypiała podłoga. Czuł potworny ból w ramionach. Zrobił krok do tyłu. Teraz silniki były dokładnie przed nim. Puścił rękaw, odepchnął go od siebie i pozwolił mu się osunąć. Rękaw przechylił się w lewo i z potwornym, głuchym łoskotem uderzył o podłogę, wzbijając chmury ciemnobrązowego tłustego pyłu. Richie wstrzymał oddech i rozejrzał się dookoła. Nie znalazł się w potrzasku. Był żywy. Wprawdzie nic nie widział, ale zdawał sobie sprawę, że właśnie wykonał największy i najbardziej istotny ruch w swojej karierze. Poruszył nieruchome. Zlikwidował przeszkodę, broniącą dostępu do przedziału silników elektrycznych.

Miał olbrzymią ochotę przepłynąć między silnikami spalinowymi i dostać się do przedziału silników elektrycznych. Zasapał się jednak. Poza tym widzialność spadła praktycznie do zera. Będą musieli poczekać z Johnem do drugiego

nurkowania, żeby tam wpłynąć. Po omacku wycofał się z okrętu. Wynurzając się wzdłuż liny kotwicznej, myślał: *Wspaniały dzień*.

Na górze opowiedział Chattertonowi, co udało mu się zrobić. John popatrzył na niego jak na wariata.

– Co zrobiłeś?

– Przesunąłem to na siłę. Droga wolna.

– Przywieźliśmy trzytonową wyciągarkę, żeby tego dokonać, a ty po prostu to przesunąłeś na siłę?

– Stwierdziłem, że powinno się udać. Musiałem coś zrobić.

John pokiwał z uznaniem głową.

– Ty to masz jaja, Richie – stwierdził. – Cholera, przecież to było potwornie niebezpieczne. Masz tupet, stary.

– Może lepiej nie analizujemy dokładnie wszystkich niebezpieczeństw – stwierdził Kohler, idąc za Chattertonem do mesy. – Najważniejsze jest to, że za trzy godziny będziemy w przedziale silników elektrycznych.

Około południa skoczyli drugi raz. Wzięli ze sobą siatki i worki wypornościowe, za pomocą których mieli nadzieję wydobyć skrzynki z częściami zamiennymi. Po minucie byli już we wnętrzu okrętu. Pył w maszynowni zdążył już opaść, widać było resztę przedziału. Widok, który zastali, zupełnie ich zaskoczył. Trudno było w to uwierzyć, ale zaledwie kilkadziesiąt centymetrów za usuniętym przez Kohlera rękawem piętrzyła się kolejna przeszkoda. Tym razem był to stalowy zbiornik na paliwo, o kształcie rogalika, podczepiony niegdyś pod sufitem pomieszczenia. Musiał oderwać się w trakcie katastrofy. Podpłynęli kawałek dalej, by z bliska przyjrzeć się zbiornikowi. Miał ponad trzy metry długości i wyglądał na potwornie ciężki. Był zaklinowany pod kątem między silnikami spalinowymi. Sięgał prawie do samego sufitu pomieszczenia i wyglądał na zdecydowanie trudniejszą do usunięcia przeszkodę niż rękaw, z którym poradził sobie Kohler. Już na pierwszy rzut oka było widać, że nawet trzytonowa wyciągarka łańcuchowa nie podoła takiej masie. Spojrzeli po sobie, ale nawet nie chciało im się kiwać głowami. Jedynym wymiernym efektem pracy Richiego było to, że mogli przepłynąć metr dalej w głąb maszynowni. Przedział silników elektrycznych, pomieszczenie, do którego musieli się dostać, był wciąż bardzo, bardzo daleko.

Zawrócili i popłynęli do liny kotwicznej. Wynurzała się w ponurym nastroju, ze zwieszonymi głowami. Na pokładzie łodzi rozebrali się w prawie zupełnym milczeniu. Przerywali je tylko rzucanymi pod nosem przekleństwami.

Przez pierwszą godzinę rejsu powrotnego do Brielle żaden z nich nie odezwał się ani słowem. Siedzieli na dużej łódce turystycznej i patrzyli, jak ich

miejsce niknie gdzieś w dali. Wreszcie, kiedy zaszło słońce, John odwrócił się do Richiego.

– Mam plan – oznajmił.

– Zamieniam się w słuch – odpowiedział Kohler.

Przez kolejne pięć minut Chatterton roztaczał przed nim swoją trójwymiarową wizję opłynięcia bokiem oberwanego zbiornika i przedostania się do przedziału silników elektrycznych. Kiedy skończył, Richie spojrzał mu prosto w oczy.

– Zabijesz się – powiedział.

– Zamierzam to zrobić dokładnie tak, jak ci powiedziałem – odparł John.

– Zabijesz się na sto procent.

– Zamierzam to zrobić, ale będę potrzebował twojej pomocy.

– Nie przyłożę się do tego. Nie chcę patrzeć, jak giniesz.

– Zrobię to – odpowiedział z determinacją Chatterton. – To nasza ostatnia nadzieja, Richie. Wiem, że na pewno to zrobię. I potrzebuję, żebyś mi w tym pomógł.

¹ Gary Gentile opublikował w 2006 r. pozycję „Shadow Divers Exposed: the Real Saga of the *U-869*”, w której krytykuje materiał zawarty w książce Roberta Kursona, jej bohaterów – Chattertona i Kohlera, a w szczególności teorię zwracającej torpedy (przyp. red.).



Skrzynka z częściami zapasowymi do U-869 z widocznym numerem U-Bootu.
Arch. Herbert Guschewski

ROZDZIAŁ 14

KREISLÄUFER – ZABŁĄKANA TORPEDA

Kristiansand, Norwegia, 4 grudnia 1944 roku.

Półtora tygodnia po wyruszeniu z Niemiec kapitan Neuerburg przyprowadził *U-869* do portu Kristiansand na południu Norwegii. Uzupełnili tam zapasy paliwa i żywności. Wyładowany po brzegi okręt mógł teraz ruszyć na wojnę, w dowolny rejon Atlantyku. Pierwszym zadaniem Neuerburga było prześlizgnięcie się na północ wzdłuż wybrzeża Norwegii i przedostanie na otwarty ocean, przesmykiem między Islandią a wyspami Faroe. Dalsze rozkazy bojowe okręt miał otrzymać już na otwartym morzu. Kontakty radiowe między *U-Bootem* a Głównym Dowództwem miały zostać ograniczone do niezbędnego minimum, w tym okresie wojny nawet najkrótszy komunikat mógł zostać przechwycony przez aliantów.

Ósmego grudnia okręt odpalił silniki i ruszył z bazy. Przez trzy tygodnie przemykał wzdłuż wybrzeży Norwegii i przedostawał się na otwarty Atlantyk. Praktycznie cały czas w pełnym zanurzeniu, żeby uniknąć alianckich okrętów i patroli powietrznych. Dwudziestego dziewiątego grudnia Dowództwo przekazało następny rozkaz. *U-869* miał skierować się do sektora CA 53, jego centrum leżało około 110 mil na południowy wschód od Nowego Jorku. Neuerburg otrzymał najbardziej prestiżowe zadanie, jakie można było powierzyć *U-Bootom*: *U-869* miał ruszyć na wojnę przeciwko Ameryce.

Ruszyli na zachód. Zgodnie z protokołem Neuerburg miał potwierdzić raportem radiowym wypłynięcie na otwarty ocean. Dowództwo, pilnie śledzące postępy *U-869*, spodziewało się otrzymać raport nie później niż 29 grudnia. Jednak go nie otrzymało. Trzydziestego grudnia zażądano raportu. Znowu bez odpowiedzi. Dowództwo było „zaniepokojone”, jak odnotowali w dziennikach oficerowie. Na razie było za wcześnie, by uznawać *U-869* za zaginiony. Pierwszego stycznia 1945 roku Dowództwo bardzo kategorycznie zażądało złożenia raportu o pozycji. Żądanie pozostało jednak bez odpowiedzi. Powtórzono rozkazy. Okręt wciąż nie dawał znaku życia. Dowództwo zaczęło się martwić.

Trudno było ustalić, czemu *U-869* się nie odzywa. Należało brać pod uwagę cztery ewentualności. Po pierwsze, Neuerburg mógł nie chcieć używać radia z obawy przed wykryciem przez aliantów. Było to jednak mało prawdopodobne, zwłaszcza że kapitanowie nie mieli w zwyczaju pozostawiać bez odpowiedzi tak pilnych rozkazów. Druga możliwość zakładała, że nastąpiła awaria sprzętu

radiowego *U-869*, przez co niemożliwy był odbiór lub nadawanie komunikatów. Trzecią przyczyną mogły być złe warunki atmosferyczne zakłócające fale radiowe – ten obszar Atlantyku był z tego znany. Istniała jeszcze czwarta ewentualność – okrętu po prostu już nie było.

Przez kolejnych kilka dni z coraz większym zniecierpliwieniem Dowództwo powtarzało żądania o podanie pozycji. Trzeciego stycznia wyrażono „poważne zaniepokojenie” przedłużającym się milczeniem *U-869*. Mniej więcej w tym samym czasie aliancki wywiad na podstawie analizy przechwyconych komunikatów radiowych odnotował: „*U-Boot (U-869)*, obecnie znajdujący się prawdopodobnie na środku północnego Atlantyku, otrzymał rozkaz skierowania się do punktu położonego około 70 mil na południowy wschód od Nowego Jorku”.

Szóstego stycznia Dowództwo gotowe było ogłosić żałobę po *U-869*. W większości wypadków, kiedy *U-Boot* spóźniał się o pięć dni z podaniem pozycji, oznaczało to, że został zatopiony. Mimo to wysyłano kolejne prośby o odpowiedź. I nagle zupełnie nieoczekiwanie do Dowództwa dotarł komunikat *U-869* o pozycji. Wiadomość ta wzbudziła entuzjazm, ale i zaniepokojenie. *U-869* znajdował się w sektorze AK 63, około 600 mil na południowy zachód od Islandii. W dziennikach odnotowano, że „okręt powinien znajdować się znacznie dalej na południowy zachód”. Wskazywało to jednoznacznie na to, że Neuerburg podjął bardzo odważną decyzję, której Dowództwo bynajmniej nie pochwalało. Zamiast popłynąć przesmykiem między Islandią a wyspami Faroe, najkrótszą bezpośrednią drogą z Norwegii na otwarty Atlantyk, zboczył dalej na północ, okrążył łukiem Islandię i skierował się na południowy zachód Cieśniną Duńską. Nie mieli wątpliwości, czemu Neuerburg poświęcił kilka dni i paliwo na płynięcie okrężną drogą. Cieśnina Duńska była zdecydowanie słabiej patrolowana przez alianckie samoloty i statki. Wprawdzie kapitan miał prawo podjąć takie decyzje, ale Dowództwo nigdy tego nie lubiło. Każdy dodatkowy dzień w drodze oznaczał jeszcze jeden dzień z dala od frontu. Z drugiej zaś strony załoga Neuerburga była zapewne niezwykle wdzięczna kapitanowi. Wykonał pierwszy samodzielny ruch na froncie i zrobił go, by ochronić swoich ludzi. Ani Neuerburg, ani jego załoga, ani Dowództwo nie wiedzieli jednak jednego – alianccy kryptoanalitycy przechwycili komunikat i znali dokładną pozycję okrętu.

Decyzja Neuerburga o obraniu okrężnej trasy przez Cieśninę Duńską doprowadziła strategów z Dowództwa do szału. Płynąc dłuższą drogą, zużył

przynajmniej pięciodniowy przydział paliwa, oznaczało to ni mniej, ni więcej, że kosztem stu dni patrolu *U-869* spędzi zaledwie dwa tygodnie w pobliżu Nowego Jorku. Tego typu marnotrawstwo było nie do pomyślenia. Dowództwo zażądało raportu o stanie zapasów paliwa. I znowu mimo „ponawianych próśb” nie doczekało się odpowiedzi z *U-869*. Skoro jednak Neuerburg pokazał, że korzysta z radia, i wszystko wskazywało na to, że przynajmniej czasami radio działa, Dowództwo prawdopodobnie obwiniąło za ciszę w eterze warunki atmosferyczne. Nie chcąc czekać na raport o stanie zapasów paliwa, wysłało do Neuerburga kolejny rozkaz: *U-869* miał zmienić kurs i płynąć w stronę Gibraltaru na patrol u wybrzeży Afryki. Przekierowując okręt na bliższy akwen, Dowództwo mogło liczyć na dłuższy patrol.

Dowództwo nie spodziewało się potwierdzenia przyjęcia rozkazu. Uruchomienie radia wyłącznie w celu zakomunikowania przyjęcia rozkazu byłoby dla Neuerburga zbyt ryzykowne. Przyjęto więc, że rozkaz dotarł, i Neuerburg skierował się w stronę Gibraltaru. Zgodnie z obliczeniami powinien dotrzeć tam około pierwszego lutego. Gdyby Neuerburg otrzymał rozkaz, z pewnością by się do niego zastosował – kapitan mógł sobie pozwolić na pewną dowolność w wytyczaniu trasy, ale nie mógł zignorować tak jednoznacznego polecenia. Nie wiadomo, czy z powodu problemów atmosferycznych, czy też awarii sprzętu, ale jest niemal pewne, że do *U-869* nigdy nie dotarły rozkazy przekierowujące go na Gibraltar. Neuerburg trzymał kurs na Nowy Jork.

Alianci przechwytywali jednak wszystkie informacje. Siedemnastego stycznia w notatkach wywiadu znalazł się następujący wpis: „U-Boot kierujący się w stronę Nowego Jorku, *U-869* (Neuerburg), znajduje się obecnie około 18 mil na południowy wschód od Flemish Cap... Można się spodziewać, że dotrze w okolice Nowego Jorku na początku lutego”.

Dwudziestego piątego stycznia wywiad amerykański przyjmował, że „U-Boot może znajdować się na południe od Nowej Funlandii, kierując się w stronę Nowego Jorku. Jego pozycja nie jest pewna ze względu na bałagan w rozkazach. Dowództwo zakłada, że okręt kieruje się w stronę Gibraltaru”.

Następnie typowym podczas wojny niezwykle zwięzłym językiem amerykański wywiad przedstawił plany odnośnie *U-869*: „CORE zajmie się usunięciem tego okrętu przed wyruszeniem na akcję przeciwko stacjonującym na północnym Atlantyku U-Bootom składającym raporty meteorologiczne”.

Amerykanie wysyłali grupę myśliwych, by zniszczyć *U-869*. Wiedzieli, gdzie płynie okręt.

Neuerburg i jego załoga cały czas płynęli w stronę Nowego Jorku. Na ogół U-Booty przepływały przez otwarty Atlantyk nieniepokojone. Grupy myśliwych czekały na nie na płytszych wodach, bliżej wybrzeża. Tam U-Bootom było trudniej uciec i skryć się pod wodą. Żeby jakoś zabić czas, marynarze prawdopodobnie urządzali sobie turnieje warcabów, konkursy układania limeryków lub kłamstw. Tak przynajmniej spędzały czas inne załogi. Można się o to założyć. Być może też marynarze znaleźli sobie maskotkę. Na jednym z U-Bootów maskotką była mucha, którą nazwano Emma. Cała załoga z wielką uwagą śledziła jej codzienne zajęcia.

U-869 zapewne wpłynął na wody przybrzeżne Ameryki na początku lutego. Od tego momentu Neuerburg trzymał okręt w pełnym zanurzeniu. Powietrze niezbędne do pracy silników spalinowych pobierane było chrapami. Amerykańscy myśliwi zaczęli już poszukiwania U-869. Neuerburg zdawał sobie sprawę z możliwości aliantów. Wiedział, że dysponują sprzętem pozwalającym precyzyjnie namierzyć okręty podwodne. Musiał nawigować niezwykle ostrożnie i czujnie – myśliwi nie byli go w stanie znaleźć.

U-869 był już na wodach amerykańskich, powoli zbliżał się w okolice Nowego Jorku. Celem Neuerburga miały być wszystkie jednostki wroga, jakie znajdą się w jego zasięgu. Marynarze drżeli na samą myśl o wszystkich zagrożeniach, które na nich czekały na tych wodach. Minął dzień, może kilka dni. W końcu na celowniku peryskopu Neuerburg musiał wypatrzeć statek wroga. Rozkazał swoim ludziom zająć stanowiska bojowe. Od tego momentu musieli zachować ciszę, wszystkie rozkazy wydawano szeptem.

U-869 zapewne podkradał się z prędkością około dwóch węzłów, marynarze słyszeli szum wody omywającej burty i szemranie silników elektrycznych. Może nawet dobiegał ich odgłos śrub okrętu wroga. Na pokładzie panowała cisza. U-869 był gotów do ataku. Neuerburg, Brandt i reszta załogi zdawali sobie sprawę z wielu rzeczy. Wiedzieli, że wojna jest już przegrana. Wiedzieli, że U-Booty nie wracają do domu. Wiedzieli, że to Neuerburg, a nie Dowództwo, decyduje, kiedy należy przerwać patrol.

Nikt nie wie, o czym myślał Neuerburg, podnosząc peryskop bojowy. Załoga czekała na rozkaz na stanowiskach bojowych. Po kilku sekundach Neuerburg wyszeptał we wnętrzu wrzecionowatego stalowego kadłuba U-869 rozkaz. Brzmiał on zapewne:

– Wyrzutnia pierwsza. Gotowi. Ognia.

ROZDZIAŁ 15

BRAWUROWY PLAN

P

lan Chattertona był niezwykle brawurowy i ryzykowny. Zamierzał wpłynąć do przedziału silników spalinowych, zamiast z dwiema, tylko z jedną butlą na plecach. Następnie chciał zdjąć tę butlę i trzymając ją przed sobą niczym uczące się pływać dziecko deskę, przepłynąć przez wąski przesmyk między zbiornikiem na paliwo a sufitem pomieszczenia. Po drugiej stronie przeszkody miał założyć z powrotem butlę i wpłynąć do przedziału silników elektrycznych, w którym miał nadzieję znaleźć przyczepione do skrzynek z częściami zapasowymi plakietki z numerem okrętu. Już z łupem miał wrócić do pierwszej maszynowni, przekazać go Kohlerowi, po czym znowu zdjąć butlę z trimiksem i prześlizgnąć się tą samą drogą z powrotem. John był przekonany, że to jedyna metoda, by przedostać się do przedziału silników elektrycznych. Trzeba było mieć pojedynczą butlę trimiksu i zdejmować ją z pleców, przeciskając się nad zbiornikiem blokującym drogę.

Na każdym kroku czekało niebezpieczeństwo. Był to idealny, rzecz by można podręcznikowy plan, jak krok po kroku zabić się we wnętrzu wraku. Z pojedynczą butlą John miał zaledwie 20 minut czasu po drugiej stronie przeszkody.

– Zapomnij o tym – powiedział Kohler, kiedy pewnego wieczoru John wyłożył mu przez telefon szczegóły planu. – To chyba najbardziej wariacki plan, o jakim słyszałem w życiu. Nie zamierzam patrzeć, jak się zabijasz. Nie będę brał udziału w twoim samobójstwie.

– Mam wizję – odparł Chatterton. – To musi się udać.

– To czyste wariactwo – stwierdził Kohler.

Wziął notes i zaczął wypisywać wszystkie niebezpieczeństwa, na jakie narażony był John. Większość kończyła się zdaniem: „Johnowi kończy się powietrze i tonie”. Lista przedstawiała się następująco:

– Może się zaplątać – w przewody, rury, uchwyty, zaczepy, pogięty metal lub cokolwiek innego.

– Może go pogrzebać lub przygwoździć spadający złom.

– Może się urwać element jakiejś maszyny, który odetnie mu drogę powrotną.

– Zdając się na pojedynczy zbiornik z gazem, Chatterton musi założyć, że sprzęt jest absolutnie niezawodny – jeśli zawiedzie przewód lub zawór, straci jedyne źródło gazu.

– Ryzyko związane z nurkowaniem sprawi, że John zacznie szybciej niż zwykle oddychać, będzie więc szybciej spalał swoje ograniczone zapasy trimiksu.

– Przedział silników elektrycznych będzie zawałony przewodami, drutami i

sprzętem, którego nigdy wcześniej nie widział. Chatterton nie będzie mógł polegać na zakodowanych w głowie planach pomieszczenia.

– Nie ma innej drogi wyjścia z przedziału silników elektrycznych, rufowa część pomieszczenia jest kompletnie zgnieciona.

– Woda wewnątrz przedziału silników elektrycznych przez 50 lat pozostawała w bezruchu, niezmacona przez nurków i ocean. Gdy tylko John zacznie się ruszać wewnątrz przedziału, natychmiast podniesie się gęsta zasłona rdzawego pyłu, ograniczając widzialność do zera.

– Bąble wydychanego przez Chattertona powietrza mogą zmącić olej i paliwo unoszące się pod sufitem pomieszczenia, które zalepi mu maskę, oślepi go i dostanie się do ust.

– Każda z tych rzeczy może cię zabić – powiedział Kohler. – Będziesz miał szczęście, jeśli przytrafi ci się tylko jedna z nich. Podejrzewam, że dopadną cię wszystkie naraz. Zginiesz wtedy jeszcze szybciej. I nie zapominaj o najgroźniejszym, John.

– O czym znowu – spytał Chatterton.

– Będziesz zupełnie sam w tym przedziale. Nawet jeśli przystanę na ten chory plan i będę na ciebie czekał po drugiej stronie przeszkody, nie dam rady ci pomóc, kiedy znajdziesz się w tarapatkach. Nie mogę zdjąć moich butli. Mam dzieci. Muszę je karmić. Mogę co najwyżej wyglądać znad tego zbiornika na paliwo i patrzeć, jak toniesz.

– Nie możemy się teraz wycofać – stwierdził John. – Mam plan. Dlatego nurkuję, Richie. Na tym to polega.

– To zbyt niebezpieczne.

– Potrzebuję, żebyś tam był.

– Ja w to nie wchodzę, John. Nie ma mowy.

Rozłączyli się. Wieści o planach Johna rozeszły się wśród miejscowych nurków. Ludzie podzielili się na dwa obozy. Kumple Chattertona, wśród nich John Yurga i Danny Crowell, wzywali go „żeby, się do cholery opamiętał”. Ci, którzy znali go tylko przelotnie, mówili po prostu: „Jeśli chce się zabić, to jego sprawa”.

Przez trzy dni John i Richie nie odzywali się do siebie. Kohler rozważał plan na wszystkie sposoby, od każdej strony. Za każdym razem jednak kończyło się tak samo, Chatterton tonął przytrzaśnięty kawałem stali, a Kohler nie był w stanie przecisnąć się przez szczelinę, by mu pomóc. Ale przed oczami stawała mu również inna scena, jeszcze z pierwszego nurkowania na *U-Who*. Pamiętał, jak ucieszył go widok siatki Johna pełnej porcelany. Unosili się wtedy tuż pod

powierzchnią, w czasie kolejnego przystanku dekompresyjnego. Richie odruchowo sięgnął po siatkę, chcąc przyrzeć się z bliska jej zawartości. Chatterton zabrał mu siatkę sprzed nosa – wtedy się jeszcze nie lubili, nie lubili tego, co każdy z nich sobą reprezentował. Zamarli na chwilę w bezruchu. I wtedy John zajął Richiemu do serca. Po chwili podał mu siatkę.

Kohler zadzwonił do Chattertona.

– John, cholernie się o ciebie boję – oznajmił. – Ale jesteśmy partnerami. Nie mogę cię z tym zostawić samego.

– Jesteśmy partnerami, Richie – odrzekł John. – Zróbmy to.

Pierwsze podejście zaplanowali na 17 sierpnia 1997 roku. Chatterton przez kilka tygodni przygotowywał się do zadania, ćwicząc ruchy w swoim gabinecie, garażu i kolejce do kasy w supermarkecie. Była to dziwaczna kombinacja mima i baletnicy. Upiorny balet, w którym każdy fałszywy ruch oznaczał śmierć. Rozwód zbliżał się już do końca. W 1991 roku, kiedy odkrył *U-Who*, był przekonany, że jego małżeństwo będzie trwało wiecznie. Teraz Kathy nawet nie wiedziała o jego śmiałych planach związanych z U-Bootem. Bywały noce, kiedy tak bolał nad rozpadem ich związku, że nie był w stanie się ruszyć. W takich chwilach powtarzał sobie: „Podczas tego nurkowania nie mogę myśleć o niczym innym. Muszę się skupić. Jeśli tego nie zrobię, jeśli coś mnie chociaż trochę zdekoncentruje, nie wrócę stamtąd”.

Siedemnastego sierpnia John i Richie, w towarzystwie pięciu innych znakomitych nurków wrakowych, wsiedli na pokład *Seekera* i wyruszyli na *U-Who*. Nikt nie był w nastroju do rozmowy. Rano Chatterton raz jeszcze omówił swój plan z Kohlerem. Potraktuje pierwsze nurkowanie jako wprawkę, żeby poczuć, jak jest zdjąć butlę, zorientować się, jak wygląda dostęp do przedziału silników elektrycznych, i zapamiętać układ pomieszczenia. Kohler będzie się unosił w pobliżu szczytu zbiornika paliwowego, wskazując drogę światłem latarki i czekając, by odebrać od Johna rzeczy.

– Umówmy się na trzy – zaproponował Chatterton, zakładając płetwy. – Jeśli stuknę młotkiem trzy razy lub trzy razy błysnę latarką, to znaczy, że jestem w tarapatach.

– Okej, jesteś w tarapatach – odparł Kohler. – I tak nie mogę się precyzować przez tę szczelinę i ci pomóc. Toteż trzy stuknięcia lub błyski oznaczają, że nie żyjesz.

– Masz rację. Zapomnij o tym.

Kilka minut później byli wodzie. John miał w sumie trzy butle. Jedną, za pomocą której miał oddychać w środku przedziału silników elektrycznych, i

dwie butle pomocnicze, które wykorzysta w czasie schodzenia na dół i wynurzenia. Kiedy dotarli do wraku, położył dwie butle na szczycie kadłuba i przełączył się na pojedynczą butlę.

Podpłynęli do zwałonego zbiornika paliwowego blokującego maszynownię i tarasującego przejście do przedziału silników elektrycznych. John zdjął butlę z pleców i trzymał przed sobą. Kohler podpłynął kawałek do góry w stronę prześwitu między zbiornikiem a sufitem pomieszczenia, przez który miał się przedostać Chatterton. John odepchnął się płetwami i zaczął płynąć do góry i naprzód. Brakowało mu zaledwie kilkudziesięciu centymetrów, żeby wepchnąć butlę do dziury i zabrać się do realizacji szalonego planu. Była to ostatnia chwila, żeby zawrócić i zostawić prawie rozwiązana tajemnicę. Ani przez moment się nie zawahał. Po kilku sekundach wepchnął butlę do dziury, bardzo ostrożnie, by jej nie wypuścić. Następnie sam wślizgnął się w otwór. Kiedy znalazł się po drugiej stronie maszynowni, zarzucił butlę na plecy. Żaden nurek nie był jeszcze w tej części *U-Who*. Zabrał się do eksplorowania.

Droga do przedziału silników elektrycznych była wolna. Podpłynął do prostokątnego wjazdu prowadzącego do przedziału i wpłynął weń. Unosił się teraz w maszynowni silników elektrycznych, pomieszczeniu, które powinno kryć w sobie dowód tożsamości wraku. Czuł, jak sześć lat tajemnicy popycha go naprzód. Słumił w sobie ten pęd. I tak całkiem nieźle sobie poradził jak na pierwszy raz. Zostało mu mieszanki na mniej więcej dziesięć minut. Chciał wykorzystać ją, by oswoić się z opuszczaniem tych pomieszczeń. Popłynął do zbiornika paliwowego tarasującego drogę do dalszej części przedziału silników spalinowych. Zdjął z pleców butlę. Po kilku sekundach przepchnął się przez przesmyk pod sufitem i wylądował po drugiej stronie. Założył z powrotem butlę, popłynął do miejsca, w którym zostawił podwójne butle i założył drugi aparat. Teraz miał już pod dostatkiem gazu na całą dekompresję. Kohler pokiwał głową z uznaniem. Jak na pierwszy raz John spisał się doskonale.

Z powodu złej pogody musieli zrezygnować z drugiego nurkowania. Następny rejs zaplanowali na 24 sierpnia 1997 roku. Richie trochę się uspokoił przez ten tydzień. Jeśli Chattertonowi uda się powtórzyć wyczyn, to skubaniec powinien zrealizować swoje zamierzenie.

Plan wyglądał dokładnie tak jak za pierwszym razem, z jednym tylko wyjątkiem. Gdy John przedostanie się przez przeszkodę i założy z powrotem butlę, Richie poda mu kamerę. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będzie mógł sfilmować wnętrze pomieszczenia do dalszych badań.

Tak jak poprzednio John bezbłędnie przeprowadził manewr z butlą. Kamera,

którą podał mu Richie, niestety nie chciała działać. Sfrustrowany podpłynął pod sufit pomieszczenia, chcąc oddać ją Kohlerowi. Zdążył już jednak przypiąć z powrotem butlę. Okazało się, że z butlą na plecach nie jest w stanie sięgnąć do dziury. Dostrzegł w pobliżu sufitu masywną, stalową belkę i postanowił się na niej podciągnąć. Chwycił ją, ale belka zadygotała, po czym odpuściła i runęła na udo Chattertona, przygniatając go do bloku jednego z silników. Serce zaczęło walić mu jak szalone. Zmusił się, by uspokoić oddech. Przyjrzał się belce – jej koniec utknął wśród maszynierii. John sięgnął delikatnie, próbując usunąć ciężar z uda. Belka była potwornie ciężka, ważyła przynajmniej ze sto kilogramów. Mimo to udało mu się kawałeczek ją unieść. Oddychał coraz gwałtowniej, a z każdym oddechem spadał poziom gazu w butli. Spróbował mocniej. Belka przesunęła się jeszcze odrobinę, po czym utknęła na dobre. Popchnął mocniej. Wskazówki manometrów opadły jeszcze niżej. Belka ani drgnęła. Próbował odepchnąć się nogami, ale nie był się w stanie ruszyć. Znalazł się w potrzasku.

Zaczął do siebie mówić.

Ludzie giną, kiedy wpadają w panikę – myślał. Opuść sobie na pół minuty. Zrób przerwę. Zbierz się w sobie.

Kohler zajrzał do szczeliny. Zobaczył tylko tumany pyłu. Doszedł do wniosku, że Chatterton zabrał się do swojej roboty.

Poradź sobie z problemem – powiedział sobie John. Ludzie giną, bo nie zaczynają od rozwiązywania pierwszego problemu. Nie pozwól, żeby ruszyła lawina.

Wskazówka manometru nieubłaganie zbliżała się do dna.

To coś na mnie spadło – pomyślał Chatterton. Trzeba ustalić, w jaki sposób na mnie spadło, i odwrócić ten proces. Bez paniki. Bez kolejnych problemów. Po prostu odwrócić ten proces.

Odtworzył w wyobraźni upadek belki. Przez pięć minut próbował delikatnie przepchnąć kawał stali w odwrotnym kierunku. Belka nie chciała ustąpić. Skoncentrował się jeszcze mocniej, odtwarzając w wyobraźni cały wypadek. Minęło kolejnych pięć minut. Belka ani drgnęła. W głowie Johna kotłowały się pierwotne instynkty, błagając go, by miotał się i szarpał, wył i zawodził. Uspokoił się. Miał jeszcze wystarczająco dużo gazu, by przeżyć przynajmniej pięć minut. Jeszcze raz obejrzał w zwolnionym tempie cały wypadek.

Zostało mu gazu na ledwie kilka minut. Po raz kolejny sięgnął, by odsunąć belkę. Nie miał już czasu na zastanawianie się. Musiało się udać. Popchnął do góry i poczuł, jak jeden koniec belki drgnął. Popchnął drugi koniec. Belka osunęła się do przodu i ześlizgnęła z jego uda. Odepchnął się od silnika i

zwinnie, ale nie spokojnie, podpłynął do szczeliny pod sufitem. Wskazówka manometru pogrążyła się w czerwonym polu. Zdjął butlę, przepchnął ją przez szczelinę, po czym odepchnął się płetwami i wypłynął z przedziału. Kohler ruszył, by do niego dołączyć, ale cofnął się, kiedy zobaczył, że Chatterton płynie prosto do butli, które zostawił na szczycie wraku. Po chwili John przełączył się na zapasowe butle. Pojedyncza butla była niemal zupełnie pusta. Wydostał się z przedziału silników spalinowych z rezerwą gazu na minutę.

Na górze Chatterton opowiedział o swojej przygodzie. Danny Crowell, który prowadził tego dnia *Seekera*, pokiwał głową i zwrócił się do jednego z nurków:

– Gdyby to był jakikolwiek inny nurek, musielibyśmy wzywać Straż Wybrzeża do szukania ciała – stwierdził.

Kohler zrobił się błyśnięty jak ściana. Nie był świadomy, że John miał jakieś kłopoty.

– Zapomnijmy o tym – powiedział. – To zbyt niebezpieczne. Cały ten plan był jedną wielką pomyłką. John, przemyśl to jeszcze. To naprawdę idiotyzm.

– Naprawmy kamerę – zaproponował Chatterton, sięgając do lodówki po wodę sodową. – W czasie drugiego nurkowania mam do nakręcenia sporo filmu.

Kohler odszedł na bok, mamrocząc pod nosem: „Cholerny wariat”.

Kilka godzin później John był już z powrotem w przedziale silników spalinowych, a Richie unosił się na zewnątrz w bezradnym oczekiwaniu. Tym razem kamera zadziałała. Chatterton wpłynął przez prostokątny właz do przedziału silników elektrycznych. Od razu podniósł pół wieku pyłu i rdzy. Skierował kamerę tam, gdzie zgodnie z wszelkim prawdopodobieństwem powinny znajdować się skrzynki z częściami zamiennymi i tabliczkami. Kamera zawsze widziała pod wodą lepiej niż ludzki wzrok. Kiedy widzialność spadła do zera, John wydostał się z przedziału i popłynął z powrotem w stronę Richiego, by podać mu kamerę. Zdjął butlę (powoli zaczął się już do tego przyzwyczajać) i przepłynął przez szczelinę. Nie wydobył żadnych przedmiotów. O mało nie postradał życia przy pierwszym nurkowaniu. Ale miał taśmę wideo. Kiedy przebierali się na pokładzie płynącego w stronę Brielle *Seekera*, Chatterton podziękował Kohlerowi za wsparcie.

– Następnym razem dorwę te skrzynki – stwierdził. – Czuję to. To będzie właśnie następnym razem.

Następny raz miał być już za tydzień. Zarezerwowali *Seekera* na 31 sierpnia 1997 roku. John spędził te dni, analizując swoje nagranie wideo. Na jednym z ujęć dostrzegł coś, co wyglądało na stos trzech lub czterech skrzynek. Teraz miał pewność, że następnym razem się uda.

Kohler walczył ze sobą w domu. Jego przyjaciel i partner o mały włos nie utonął. Co gorsza, w następną niedzielę planował wrócić na wrak i odnaleźć skrzynki z częściami zapasowymi. Richie wiedział, że przedział silników elektrycznych wypełnia upiorna płatanina drutów, rur i poszarpanego metalu. Wszystko pokryte jest pyłem i rdzą. Znał ducha Johna. Jego przyjaciel gotów był wyssać do sucha butle, by w tę niedzielę wyjść z odpowiedzią. W tę niedzielę gotów był się zabić we wraku.

Kohler postanowił się wycofać. Wiedział, że przekazanie prawdy o wraku rodzinom poległych marynarzy i poprawienie historii sprawiłoby mu olbrzymią satysfakcję, ale nie chciał, by okupione było to kosztem bezradnego przypatrywania się, jak tonie przyjaciel.

Za każdym jednak razem, kiedy podnosił słuchawkę, by zadzwonić do Johna i zakomunikować mu swoją decyzję, odkładał ją z powrotem na widełki. Uświadomił sobie, że był jeszcze bardziej upiorny scenariusz. Gorsze niż przyglądanie się umierającemu we wraku przyjacielowi, byłoby czekanie na wieści, czy mu się udało.

W sobotni wieczór 30 sierpnia 1997 roku *Seeker* wypłynął z portu w Brielle i ruszył w stronę *U-Who*. John i Richie prawie się do siebie nie odzywali, obaj wiedzieli, że nadszedł „ten” dzień.

Następnego ranka obudziła ich wręcz idealna pogoda. Nad miską płatków Chatterton spytał Kohlera, czy da radę wziąć od niego skrzynki z częściami zamiennymi, które spodziewał się znaleźć. Chciał podać je przez szczelinę nad zbiornikiem paliwowym. Kohler skinął głową. Godzinę później byli już w środku wraku. Chatterton zdjął butlę, wyciągnął ją przed siebie i niczym Superman przedostał się przez szczelinę między sufitem a szczytem zbiornika. Richie zapalił latarkę i umieścił ją w szczelinie, tak by jej światło wskazywało Johnowi drogę.

Wewnątrz przedziału silników spalinowych panowała całkiem niezła widzialność. Chatterton założył z powrotem butlę i popłynął w stronę prowadzącego do maszynowni silników elektrycznych prostokątnego wjazdu. Wszystko wokół wyglądało dokładnie tak jak na taśmie wideo. Spojrzał w prawo, ustawione w piramidę wznosiły się tam cztery różnej wielkości skrzynki z częściami zamiennymi. Były ze sobą zrośnięte wieloletnią rdzą i osadem. Najmniejsza z nich była wielkości pudełka od butów, po nią właśnie przyszedł John.

Podpłynął ostrożnie w kierunku skrzynek. Na górnej skrzynce, mniej więcej pod kątem 30 stopni, spoczywało coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na półtorametrowej długości odcinek rury. Prawdopodobnie oderwał się od którejś

z maszyn i spadł na skrzynki. Rura była z nimi porządnie zrośnięta. Nie dało się jej przesunąć. Zaparł się obydwoma rękami, ale nic to nie dało. Rura na dobre przygwoździła skrzynki. Sięgnął po nóż i spróbował ją podważyć. Nie był w stanie. Wokół wirowały już tumany pyłu, ograniczając widzialność niemal do zera. Chatterton zawrócił i wypłynął z pomieszczenia. Teraz wiedział już, jak wygląda ostatni etap jego planu. Musiał zastosować bardziej drastyczne środki.

Na pokładzie łodzi zdał relację Kohlerowi.

– Skrzynki są ze sobą zrośnięte i na dodatek przygwożdżone kawałem rury. Ale to są właśnie te skrzynki, Richie. Jeśli na tym wraku są jakieś tabliczki identyfikacyjne, to właśnie tam.

– To super – odparł Kohler. – Ale skoro to ani drgnie, to co planujesz zrobić?

– Użyję młota. Wezmę ze sobą młot na krótkim trzonku i skrzynki są moje.

Wymachiwanie młotem na głębokości 70 metrów było chyba najlepszym sposobem na szybkie zużycie zapasu powietrza. Richie nawet się nie sprzeciwił. John działał jak w transie i dobre rady do niego nie docierały.

– Znajdę ci jakiś młot – powiedział Kohler.

Skoczyli we dwóch do wody cztery godziny później. Chatterton zdjął butlę niczym podkoszulek i przecisnął ją razem ze sobą i młotkiem przez szczelinę między zbiornikiem paliwowym a sufitem. Po drugiej stronie założył butlę z powrotem i popłynął w kierunku przedziału silników elektrycznych. Richie sprawdził czas na zegarku. Zaczął się modlić, powtarzając co chwila „proszę”.

John wpłynął zwinnie do przedziału. Po poprzednim nurkowaniu całe pomieszczenie było brązowe od pyłu i nieco zamglone. Mimo to przez chmury pyłu wciąż widział skrzynki i spoczywającą na nich rurę. Jego plan był banalny, odstuka młotem rurę, a następnie oderwie od siebie skrzynki za pomocą łomu.

Zbliżył się do rury na odległość pół metra. Rozstawił dłonie szeroko na rękojeści młota (użycie narzędzi pod wodą wymaga zupełnie innej techniki niż na lądzie, nurek, zamiast zamachnąć się ramieniem, napiera raczej klatką piersiową). Uklęknął lewym kolaniem na podłodze przed skrzynkami, a prawą stopą zaparł się o występ jednej z maszyn. Następnie krótkim, gwałtownym impulsem uderzył obuchem młota w przyrośnięty do skrzynek odcinek rury. Całe pomieszczenie zadrżało. Od rury oderwały się płatki osadu. W przedziale zaroilo się od drobinek rdzy. John zastygł w bezruchu. Kiedy płatki opadły, oniemiał na widok, który się przed nim roztoczył. Rura ani drgnęła. I wcale nie była rurą. Naga i lśniąca, pozbawiona skorupy osadu, zdradziła swoją prawdziwą tożsamość. Była półtorametrową butlą ze sprężonym tlenem. Olbrzymią siostrą miniaturowej butli, która zniszczyła garaż Chattertona. To, że

przed chwilą nie eksplodowała, zakrawało na cud.

– Muszę się zdecydować – powiedział sobie John.

Zastanowił się nad możliwościami. Przychodziły mu do głowy tylko dwie. Mógł zawrócić i opuścić przedział albo jeszcze raz przywalić w gigantyczną butlę, a w zasadzie w jej głowicę (najbardziej niebezpieczne miejsce), żeby ją odtrącić.

Jeśli to coś rąbnie, to nawet nie usłyszę – pomyślał. Będę trupem. Rozerwie mnie na milion kawałków.

Jeśli się wycofam, wycofam się w jednym kawałku.

Zrobił krok naprzód i poszukał oparcia dla stóp.

Jeśli wszystko idzie jak z płatka, nie jesteśmy się w stanie niczego o sobie nauczyć.

Rozstawił dłonie szeroko na długiej i gładkiej rękojeści młota.

To, co przychodzi nam z największym wysiłkiem, pokazuje nam, jacy naprawdę jesteśmy.

Podniósł młot do piersi.

Niektórzy ludzie nigdy nie doczekują się takiej chwili.

Westchnął tak głęboko, jak nigdy dotąd.

U-Who jest moim przeznaczeniem.

Walnął obuchem młota w głowicę butli tlenowej.

To, co teraz robię, jest tym, czym jestem.

Młot uderzył w butlę. Po przedziale rozszedł się grzmot. Ze wszystkich stron podniósł się pył. Chatterton czekał na odgłos eksplozji tysięcy lasek dynamitu. W uszach brzmiały mu jednak tylko bąbelki wydostające się z aparatu i brzęk opadającego metalu. Popatrzył przez chmurę pyłu. Butla odpadła ze skrzynek. Był żywy.

– O Jezu – powiedział na głos.

Zbliżył się do skrzynek. Wyciągnął najmniejszą z nich i wcisnął ją do siatki na trofea. Zerknął na zegarek. Miał jeszcze pięć minut. Wypłynął z przedziału silników elektrycznych i skierował się do latarki Kohlera. Skrzynka była ciężka, udało mu się jednak przepchnąć ją przez szczelinę do Richiego, który podał ją kolejnemu nurkowi, by zabrał ją na powierzchnię. Na dobrą sprawę Chatterton powinien też już opuścić przedział silników spalinowych, zostały mu jednak jeszcze trzy minuty. Nie mógł jeszcze wypłynąć. Możliwe, że na pierwszej skrzynce nie ma żadnej plakietki. W środku maszynowni były jeszcze inne skrzynki. Musiał wyciągnąć jeszcze jedną. Richie świecił latarką. John zawrócił.

Minutę później trafił na drugą skrzynkę. Była jednak sporo cięższa od pierwszej i nie dałby rady podnieść jej i przepłynąć do Kohlera. Zaczął wytaczać

ją z przedziału po podłodze. Widzialność spadła do zera. Chatterton poświecił latarką na manometry, ale niczego nie był w stanie zobaczyć. W pomieszczeniu zrobiło się zupełnie czarno. Popchnął skrzynkę jeszcze kawałek, stękając i sapiąc, by przesunąć ją bliżej Kohlera. Przycisnął zegarek do maski. Widział tylko niewyraźny zarys tarczy. Był pod wodą dłużej, niż pierwotnie planował. Zostawił skrzynkę.

Najwyższy czas brać tyłek w troki – pomyślał.

Podpłynął kawałek do góry przedziału. Znając układ sufitu, był w stanie wymacać drogę do wyjścia z kompletnie czarnego pomieszczenia. Poradził sobie doskonale, bez problemu dotarł do wjazdu wiodącego do przedziału silników spalinowych. Od Kohlera dzieliło go już zaledwie kilka kopnięć płetwami. Płynął przed siebie. Nagle coś szarpnęło jego głowę do tyłu. Pętla z drutu chwyciła go za kark. Zaplątał się.

Spróbował delikatnie się wycofać. Nie mógł się ruszyć i tylko zaplątał w sterzące z sufitu przewody elektryczne butle i sprzęt na plecach. Był przyczepiony do wraku. Wiedział, że tym razem nie ma już czasu na relaks i odwracanie w myślach tego, co się stało, co było na dobrą sprawę konieczne w takiej sytuacji. Tym razem musiał walczyć. Richie zerknął na zegarek. John się spóźniał, i to potwornie.

Chatterton szarpnął pętlę, która owinęła mu się dookoła szyi, udało mu się z niej uwolnić. Zaczął jeszcze szybciej oddychać. Sięgnął do góry i chwycił przewody, które trzymały jego sprzęt. Nie chciały puścić. Nie był w stanie się ruszyć. Szarpał coraz mocniej. Druty zasyczały w proteście, ale nie chciały puścić. Pociągnął z całych sił. Puściły. Uwolniwszy się, rzucił się w stronę Kohlera, wiedząc, że jeśli w cokolwiek się jeszcze zaplącze, jest martwy. Po chwili był już przy szczelinie. Musiał tylko zdjąć butlę i przepłynąć na drugą stronę. Zdejmując butlę, wziął głęboki oddech. Z aparatu wydostała się tylko cienka strużka gazu. Znał to uczucie. Został mu jeden oddech.

Zerwał z pleców butlę, pchnął ją w szczelinę i przepłynął na drugą stronę. Wziął oddech, ale nic nie wydostało się z butli. Nie zostało mu już ani trochę gazu.

Wypluł aparat z ust. Jedyna nadzieja to, że uda mu się dotrzeć do zapasowych butli. Były jednak na zewnątrz przedziału, na szczycie wraku, jakieś 15 metrów od niego. Wolał nie ryzykować oddychania z jednego aparatu z Richiem, najdrobniejsze nawet opóźnienie lub pomyłka mogły okazać się zabójcze. Płynął z odsłoniętymi ustami, kopiąc płetwami jak szalony, z nadprzyrodzoną energią. Widział już, jak ludzie miotają się, umierając z braku tlenu. Był bliski śmierci, ale nie zamierzał się udusić.

Wystrzelił jak torpeda z maszynowni i ruszył do szczytu wraku. Kohler, oniemiały na widok przyjaciela płynącego bez aparatu, podążył za nim. Płuca Johna aż zawyły, kiedy w polu widzenia ukazały się butle. Wierząc pływającymi z całych sił. Każda pojedyncza komórka jego ciała wyła o porcję tlenu i krzyczała do szczęk, by wzięły oddech. Zacisnął usta. Dotarł do butli. Jednym ruchem chwycił aparat z butli, włożył go do ust i przekręcił zawór. Do płuc popłynął świeżutki gaz. Chatterton, czekając na zbawienną mieszankę, prawie wyzionął ducha.

Kilka sekund później podpłynął do niego Kohler. Spojrzał mu w oczy, pokazał palcem na swoje piersi, dając na migi do zrozumienia: „Przyprawileś mnie prawie o atak serca – teraz to ja padnę zamiast ciebie”. Zaczęli długa dekompresję. Przez niemal dwie godziny John nie mógł przestać myśleć o potwornym ryzyku, jakie podjął w czasie tego nurkowania. Co chwila mówił na głos: „Nigdy więcej nie mogę do tego dopuścić”. Już dawno zapomniał o wydobytej przed chwilą skrzynce z częściami zamiennymi, którą Richie przekazał drugiemu nurkowi.

Pod koniec dekompresji Chatterton i Kohler zobaczyli, jak wzdłuż liny kotwicznej zbliża się do nich kolejny nurek, Will McBeth. Nurek podał Johnowi tabliczkę. Taką samą jak ta, na której John sześć lat temu napisał „SUB”. Tym razem na tabliczce widniał inny napis.

„*U-Who* ma teraz swoje imię – to *U-869*. Gratulacje”.

Dawniej Richie podskoczyłby z radości i poklepał Johna po plecach, a Chatterton potrząsnąłby pięściami w geście zwycięstwa. Tego dnia po prostu spojrzeli sobie w oczy i jednocześnie, dokładnie w tym samym momencie, wyciągnęli do siebie dłonie. Uścisnęli je. Tego dnia odkryli coś naprawdę ważnego. Znaleźli odpowiedź.



Załoga U-869. W pierwszym rzędzie od prawej Siegfried Brandt, Helmuth Neuerburg i Ludwig Kessler. W drugim rzędzie pierwszy stoi Hans-Georg Reber. Łącznie rozpoznano na zdjęciu 16 marynarzy. Arch. Herbert Guschewski

EPILOG

C

hatterton i Kohler zidentyfikowali *U-869* w 1997 roku. Po dziś dzień jednak wiele pytań pozostaje bez wyjaśnienia. Czemu *U-869* płynął dalej w stronę Nowego Jorku, mimo że został skierowany w okolice Gibraltaru? Jaki koniec spotkał *U-869*? Jak zginęła załoga?

Prawdopodobnie nigdy nie poznamy odpowiedzi na te pytania; *U-Boot* zatonął z całą załogą na pokładzie, bez żadnych świadków. Można jednak spróbować odtworzyć najbardziej prawdopodobny scenariusz. Wygląda on z grubsza następująco:

Potworne uszkodzenie kabiny nawigacyjnej *U-869* niemal na pewno spowodowane zostało uderzeniem własnej torpedy. *U-Booty*, takie jak *U-869* w 1945 roku, wyposażone były w dwa rodzaje torped. Zwykle torpedy ustawiane były na konkretny kurs względem celu, trzymały się go dzięki wbudowanemu mechanizmowi żyroskopowemu. Bardziej zaawansowane technologicznie były torpedy akustyczne. Kierowały się one na dźwięk śrub okrętu wroga. Jedne i drugie typy torped niekiedy zwracały się przeciwko własnemu okrętowi. Nazywano je wtedy *Kreisläufer* – zabłąkanymi torpedami. Opisano kilka przypadków, kiedy *U-Bootowi* udało się przepuścić tego typu torpedy pod lub nad sobą. Wyjątkowo niebezpieczne były zabłąkane torpedy akustyczne, które kierowały się na dźwięk silników elektrycznych, pomp i generatorów okrętu, z którego je wystrzelono. Aby uniknąć uderzenia przez torpedę akustyczną, po jej wystrzeleniu kapitanowie na ogół wydawali rozkaz natychmiastowego zanurzenia.

Niekiedy kapitanowie byli z pewnym wyprzedzeniem ostrzegani przed zabłąkanymi torpedami. Śruby pocisków kręciły się z prędkością kilkuset obrotów na minutę, wydając z siebie charakterystyczny, intensywny, świdrujący dźwięk, niosący się w wodzie na dużą odległość. Najpierw słyszał go radiotelegrafista, potem, gdy torpeda była już blisko, cała załoga. Gdy kapitan dostawał takie ostrzeżenie, miał szansę zmienić kurs lub zanurzyć się, by uniknąć zabłąkanej torpedy. Prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się, ile spośród 65 wciąż zaginionych *U-Bootów* skończyło właśnie z powodu zabłąkanych torped. Istota torped polegała między innymi właśnie na tym, że nie ostrzegały o sobie i nie pozostawiały zbyt wielu świadków.

W idealnych warunkach, przy spokojnym morzu, dobrym rozchodzeniu się fal dźwiękowych pod wodą, wczesnym wykryciu i szybkim zgłoszeniu, *Neuerburg* mógł mieć około 30 sekund na zareagowanie na torpedę. W gorszych warunkach lub gdyby radiooperator z opóźnieniem poinformował o zbliżającym się pocisku, czasu mogło być zdecydowanie mniej.

Torpeda nie eksplodowała bezpośrednio po uderzeniu w kadłub *U-869*. Od momentu zetknięcia się z pancernem okrętu i kliknięcia zapalnika do detonacji upłynęłoby mniej więcej jedna sekunda. To kliknięcie było bardzo charakterystycznym dźwiękiem, marynarz *U-Boota* nie mógł pomylić go z niczym innym. Było je słyszeć, nawet kiedy torpeda trafiła w bardzo odległy cel. Przez tę sekundę marynarze mieli wystarczająco dużo czasu, by uświadomić sobie, co oznacza ten dźwięk.

Większość niemieckich torped niosła ładunek od 275 do 350 kilogramów silnego materiału wybuchowego. Sądząc po uszkodzeniach, torpeda prawdopodobnie uderzyła w sam środek kadłuba, tuż pod kioskiem. Wybuch zapewne zdmuchnął znajdujących się w kabinie nawigacyjnej ludzi, między innymi Neuerburga i Brandta. Siła eksplozji była tak wielka, że mogli po prostu wyparować. Ludzie w sąsiednich pomieszczeniach prawdopodobnie również zginęli bezpośrednio po wybuchu lub rozgniecieni podmuchem na maszynach. Potężna fala uderzeniowa rozeszła się na obie strony 75-metrowego kadłuba, rzucając ludźmi o sufit i ściany, przewracając ich niczym marionetki. Podmuchał stalowe drzwi. Wybuch był tak silny, że wyrzucił stalową klapę wyrzutni torpedowej na dziobie okrętu, w przedziale najbardziej oddalonym od epicentrum. Siła eksplozji była na tyle mocna, że wypchnęła na zewnątrz włazy. Na początku Chatterton i Kohler sądzili, że włazy otworzyli marynarze, usiłujący ratować się z tonącego okrętu.

Do wnętrza rozerwanego *U-Boota* wdarły się masy lodowatej wody. Niezwykle gwałtownie i z przeraźliwym hukiem woda zaczęła bezlitośnie wypierać z okrętu powietrze. Miotła ciałami marynarzy niczym gałgankowymi laleczkami, rozplaszczając je na maszynach i wyposażeniu okrętu. Pędzące z wyciem powietrze porывało tych, którzy jeszcze nie zginęli, i wystrzeliwało z impetem z wnętrza okrętu razem z częściami maszyn, sprzętem i ubraniami. Nie sposób było się utrzymać. Ciała, niektóre pozbawione głów lub kończyn, beładnie wypływały na powierzchnię.

Prawdopodobnie niecałe 30 sekund wystarczyło, żeby *U-Boot* wypełnił się wodą. Drugie tyle czasu potrzeba było, by osiadł na dnie. Jeśli komukolwiek udało się przeżyć wybuch i jakimś cudem wydostać z okrętu na powierzchnię, nie miałby szans przetrwać w lodowatej wodzie dłużej niż godzinę. Statek wroga, w który celowali, był pewnie jakieś dziesięć minut stąd. Hałas silników, szum wiatru i wody rozbijającej się o burty sprawiły, że nikt na jego pokładzie nic nie usłyszał.

Najbardziej prawdopodobną przyczyną problemów w komunikacji między *U-*

869 a Głównym Dowództwem były złe warunki atmosferyczne, chociaż niewykluczone, że okręt miał jakieś problemy techniczne z nadajnikiem. Neuerburg był zapewne dosyć wstrzemięźliwy w nadawaniu komunikatów, obawiał się bowiem ujawnienia swojej pozycji aliantom, nie narażał się jednak na niebezpieczeństwo, odbierając radio. To, że nie zmienił kursu i wciąż płynął w stronę Nowego Jorku zamiast na Gibraltar, świadczy o tym, że nie dotarły do niego nowe rozkazy.

Los *U-857* – okrętu, który polował u wschodnich wybrzeży Ameryki w kwietniu 1945 roku, za który przez wiele miesięcy Chatterton i Kohler uznawali *U-Who*, wciąż pozostaje tajemnicą. Nie wiadomo, gdzie, jak i kiedy zatonął.

W Brielle nie ma już Oberży Portowej, zwanej Potworną Oberżą. Obok parkingu portowego, w pobliżu doku, w którym cumował *Seeker*, wznosi się luksusowa restauracja Shipwreck Grill. Jej elegancko ubrani goście delektują się kremem z homara i łososiem z rusztu w sosie Dijon. Starsi nurkowie, którzy czasem wpadają tu coś przekąsić, zarzekają się, że jeśli posiedzą tam trochę dłużej, słyszą głos Billa Nagle’a proszącego o kolejnego Jima Beama.

Seeker, łódź nurkowa zaprojektowana i zbudowana przez Nagle’a, dzięki której odkryto *U-Who* i z której nurkowano na tym wraku, wciąż pływa na rejsy czarterowe z nurkami. Jej obecny właściciel, Danny Crowell, pływa na *Stolt Dagali*, *USS Algol* i inne popularne wraki. Rzadko wybiera się na *U-869*.

– Popłynąłbym tam, gdyby znaleźli się chętni – przyznaje Crowell. – Nie ma jednak zbyt wielu nurków takich jak kiedyś.

Na *U-869* pływa od czasu do czasu kilku innych kapitanów, między innymi Howard Klein na *Nest* i Joe Terzuoli na *Johnie Jacku*. Od momentu, kiedy John wyciągnął z wraku tabliczkę identyfikacyjną w 1997 roku, nikomu nie udało się wydobyć żadnych ciekawych przedmiotów z wraku. Chatterton i Kohler wciąż jednak wierzą, że jest, niewielka wprawdzie, ale szansa, że gdzieś w szlamie pod stertami śmieci leży dziennik pokładowy. Jeśli udałoby się go wydobyć i odczytać, można byłoby poznać prawdziwą historię fatalnego patrolu.

Od czasu kiedy Chatterton i Kohler zidentyfikowali *U-869*, technologia nurkowa poszła daleko naprzód. Obecnie 95 procent głęboko nurkujących używa trimiksu, jeszcze na początku lat 90. uważano tę mieszankę za wynalazek diabelski. Niemal połowa nurków technicznych przerzuciła się ze zwykłych, stosowanych przez dziesięciolecia aparatów oddechowych z butlą na automaty z zamkniętym obiegiem powietrza, sterowane komputerowo niewielkie urządzenia pozwalające na powtórne wykorzystanie wydychanego powietrza. Tego typu

automaty, zwane rebreatherami¹ umożliwiają długie nurkowania na dużych głębokościach, bez konieczności brania ze sobą kilku zapasowych butli do dekompresji. Są jednak zdecydowanie bardziej zawodne od tradycyjnych automatów. Na całym świecie co najmniej kilkanaście osób zginęło w wyniku ich awarii². John był jednym z pierwszych nurków, którzy zastosowali nową technologię. Richie wolał pozostać przy tradycyjnym sprzęcie.

W 1997 roku, niecały miesiąc po zidentyfikowaniu *U-869*, Chatterton wziął rozwód z Kathy. Rok później, jako członek elitarniej wyprawy nurkowej do Grecji, został pierwszym nurkiem, który dotarł z rebreatherem na *HMHS Britannic*, bliźniaczy statek *Titanica*. W październiku 2000 roku brał udział w sponsorowanej przez Yad Vashem, Muzeum Holokaustu w Izraelu i Amerykańskie Muzeum Pamięci Ofiar Holokaustu ekspedycji na Morze Czarne w poszukiwaniu wraku *Strumy*. Okręt ten zatonął w 1942 roku z 768 osobami na pokładzie, większość z nich stanowili rumuńscy Żydzi uciekający przed zagładą z rąk hitlerowców.

W listopadzie 2000 roku stacja telewizyjna PBS w ramach serii „Nova” emitowała program „Hitler’s Lost Sub” („Zaginiona łódź Hitlera”). Program ten cieszył się olbrzymią popularnością i największą oglądalnością z prawie całego cyklu „Nova”. W tym samym okresie u Johna wykryto zwyrodnienie rakowe migdałka, wywołane prawdopodobnie kontaktem z agent orange³ w czasie wojny wietnamskiej. Wrócił do nurkowania na wrakach w maju następnego roku. Jedenastego września 2001 roku, kiedy porwane przez terrorystów samoloty uderzyły w World Trade Center, Chatterton prowadził prace nurkowe pod World Financial Center, dokładnie po drugiej stronie ulicy. Ani jemu, ani nurkom z jego zespołu nic się nie stało.

W styczniu 2002 roku John ożenił się z Carlą Madrigal, dziewczyną, z którą spotykał się od trzech lat. Wzięli ślub w Tajlandii, tam też spędzili miesiąc miodowy. Po powrocie przeprowadzili się do domku na plaży w New Jersey. We wrześniu 2002 roku Chatterton porzucił 20-letnią karierę nurka komercyjnego, by zdobyć magisterium z historii i certyfikat nauczycielski na Uniwersytecie Kean w Union, w stanie New Jersey. Po ukończeniu studiów zamierza znaleźć posadę jako nauczyciel historii w liceum. Chatterton i Kohler pozostają bliskimi przyjaciółmi i wciąż spotykają się na kolacjach u Scotty’ego. W maju 2003 roku nawrócił nowotwór Johna, co nie przeszkodziło mu zostać miesiąc później gospodarzem programu „Deepsea Detectives” („Detektywi z dna mórz”) na History Channel. Kohler prowadził wspólnie z nim kilka odcinków.

Zaangażowanie Chattertona w dużej mierze skończyło się w dniu, w którym zidentyfikował wrak. W przeciwieństwie do Kohlera nie czuł się w obowiązku odnalezienia rodzin członków załogi i przekazania im wieści o losie bliskich. „Oczywiście to było dla mnie ważne” – przyznaje John. „Ale Richie nosił to w sercu. Nie było nikogo, kto nadawałby się do tego lepiej niż Richie”.

Pierwszą osobą, do której zadzwonił Kohler po tym, jak zidentyfikowali z Chattertonem wrak, była Tina Marks, jego dziewczyna. Wierzyła w niego, rozumiała jego uczucia i zobowiązania, jakie miał wobec poległych marynarzy i ich rodzin, i zawsze wspierała jego nurkowanie. Byli ze sobą coraz bliżej. Tina zaszła w ciążę. Przez cały czas nie dawał jej spokoju były chłopak, który błagał, by do niego wróciła. Odmawiała. Pewnego dnia, w 1998 roku, kiedy była już w ósmym miesiącu ciąży, mężczyzna zapukał jej do drzwi. Zastrzelił ją z pistoletu kalibru 9 mm, po czym popełnił samobójstwo. Policja znalazła ich ciała w domu. W jednej chwili miłość i przyszłość Kohlera runęły w gruzach.

Tak jak przez długie lata, znalazł ukojenie w nurkowaniu. W 1999 roku został jednym z kierowników brytyjsko-amerykańskiej ekspedycji mającej na celu zidentyfikowanie odkrytych wcześniej wraków U-Bootów z okresu pierwszej i drugiej wojny światowej, spoczywających na dnie kanału La Manche. Udało im się określić tożsamość czterech spośród dwunastu okrętów. Jesienią Kohler otworzył filię Fox Glass w Baltimore. Jego syn Richie i córka Nikki, mieszkający wciąż razem z nim, dostali się na studia.

Kohler po dziś dzień pożera z zapalem książki historyczne, jak sam twierdzi, od momentu, kiedy zidentyfikowali *U-869*, robi to jednak nieco inaczej. „Gdzieś w głębi umysłu analizuję wszystko po kolei” – mówi. „Dzięki temu historia staje się dla mnie jeszcze bardziej pasjonująca”.

Jego zaangażowanie w sprawę wraku wkroczyło w nową fazę w momencie, kiedy ostatecznie potwierdzili z Johnem tożsamość okrętu. W 1997 roku postanowił odnaleźć rodziny i członków załogi i poinformować ich o losie bliskich. Z pomocą Kirka Wolfingera i Rusha DeNootera z Lone Wolf Pictures (reżyserów programu „Nova”) oraz niemieckiego potentata Spiegel, który rozpoczął prace nad filmem dokumentalnym o nurkach i *U-869*, trafił na kontakt do Barbary Bowling, przyrodniej siostry Ottona Briziusa, najmłodszego członka załogi *U-869*. Znalazł też córkę Martina Horenburga.

Jak się okazało, Bowling od niemal 20 lat mieszkała w Maryland. Bowlin i Otto mieli tego samego ojca. Barbara pamiętała, że jej ojciec od zawsze niezwykle ciepło mówił o swoim synu, którego ciało spoczywało na dnie

oceanu, gdzieś w okolicach Gibraltaru. Kiedy Kohler odwiedził Bowling w jej domu, ledwie mógł uwierzyć własnym oczom. Jej syn Mac wyglądał dokładnie jak Otto, którego portrety w mundurze Kriegsmarine zdobiły ściany. Bowling, znakomicie władająca niemczyzną, zgodziła się pomóc Kohlerowi w poszukiwaniach członków rodzin.

Córka Horenburga nie była tak skora do rozmów z Kohlerem. Jej matka, dowiedziawszy się o zatonięciu *U-869*, wyszła powtórnie za mąż. Ojczym wychował ją jak swoje dziecko. Przez szacunek dla niego nie chciała się osobiście spotykać z Kohlerem. Przez pośrednika podziękowała nurkom i przekazała im kilka zdjęć swojego ojca. Chatterton wziął nóż ze swego biurka – nóż, który był z nim przez siedem lat, starannie go zapakował i zawiózł na pocztę. Tydzień później nóż trafił do córki swojego byłego właściciela.

Przez pewien czas Kohler czuł się nieco sfrustrowany, nie mogąc odnaleźć więcej rodzin. Skupił się na życiu osobistym i zaczął spotykać z kobietą, która miała zostać jego kolejną żoną, Carrie Bassetti, przedstawicielką firmy farmaceutycznej z New Jersey. Poznał ją na pokładzie *Seekera*. Poruszyła go jej pasja do nurkowania, awanturnicze usposobienie i pełne entuzjazmu podejście do życia.

W 2001 roku dzięki współpracy ze „Spieglem” udało mu się zdobyć dokładne namiary na rodziny kilku członków załogi *U-869*. Zarezerwował bilety do Niemiec. Chciał spotkać się z tymi ludźmi osobiście.

Tuż przed wyruszeniem do Europy Kohler wynajął łódź, by zabrać Bowling wraz z jej rodziną do miejsca, w którym spoczywał wrak. Przeczytał tam krótką uroczystą mowę, którą zawczasu przygotował, po czym skoczył do wody, by przypiąć do kadłuba wraku *U-869* przepasany wstęgą wieniec. W Nowy Rok 2002, w towarzystwie Bowling jako tłumaczki, wylądował w Hamburgu. Wreszcie udało mu się dokonać tego, o czym marzył od lat.

Na początku miał spotkać się z Hansem-Georgiem Brandtem, młodszym bratem pierwszego oficera Siegfrieda Brandta. Siedemdziesięcioletni emerytowany księgowy czekał z niecierpliwością na przybycie Kohlera w mieszkaniu swojego syna. Jego syn i wnuki też nie mogli się doczekać, by zobaczyć oblicze jednego z nurków, którzy zaryzykowali życie, by odnaleźć Siggiego. Kohler zapukał do drzwi. Otworzył Hans-Georg, ubrany specjalnie na okazję tego spotkania w zamszowe spodnie i brązowy cardigan. Był pod krawatem. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. W końcu Hans-Georg

zrobił krok do przodu, uściśnął dłoń Kohlera i łamaną angielszczyzną powiedział:

– Jestem naprawdę do głębi wzruszony, że raczył pan przyjść. Bardzo mi przykro z powodu tych odważnych nurków, którzy stracili życie na U-Boocie. Witam serdecznie.

Przez bitych sześć godzin Hans-Georg snuł wspomnienia o Siggim, bracie, którego kochał równie mocno jak wtedy, kiedy miał zaledwie trzynaście lat i Sigggi odkrywał przed nim sekrety U-Bootu i pozwolił mu popatrzeć na świat przez peryskop. Rozmowa była przepełniona emocjami i momentami bardzo bolesna dla Brandta. Pod koniec dnia Hans-Georg raz jeszcze podziękował Kohlerowi, po czym podał mu płaszcz.

– Przywiozłem coś dla pana – powiedział Richie. Sięgnął do walizki. Po chwili wyciągnął metalowy diagram, który nie tak dawno wydobył z przedziału silników elektrycznych *U-869*.

– Był pan pewnie w tym pomieszczeniu, kiedy odwiedzał pan brata – powiedział.

Hans-Georg wziął diagram i patrzył na metal, na pokrywające go napisy i rdzę. Przez kilka minut nie był w stanie oderwać od niego wzroku. W końcu zaczął delikatnie wodzić palcami po brzegach i chropowatej powierzchni tabliczki.

– Nie mogę w to uwierzyć – oznajmił. – To prawdziwy skarb.

Następnego ranka Kohler i Bowling pojechali kilka kilometrów za Hamburg spotkać się z 61-letnim chirurgiem, Jürgenem Neuerburgiem, synem kapitana *U-869*, Helmutha Neuerburga. Powitał ich szczupły, wysoki i niezwykle przystojny mężczyzna.

Jürgen nie pamiętał ojca. W momencie zatonięcia *U-869* miał zaledwie trzy lata. Znał go jedynie z przepełnionych miłością opowieści matki. Przez kilka godzin opowiadał te historie Kohlerowi i pokazywał dziesiątki zdjęć i wpisy z dziennika. Z zafascynowaniem przysłuchiwała się im również jego żona.

– Od dziecka wierzyłem, że mój ojciec zginął w pobliżu Gibraltaru – powiedział Jürgen. – Kiedy dowiedziałem się, że jacyś nurkowie odkryli okręt u wybrzeży New Jersey, byłem bardzo zaskoczony. Ale tak naprawdę to niewiele zmienia. Podejrzewam, że mama mogłaby być zszokowana tą rewelacją, zwłaszcza po tylu latach życia w przekonaniu, że oficjalna wersja był słuszna. Może to i dobrze, że się o tym nie dowiedziała. Kochała go z całego serca. Nigdy nie myślała o ponownym wyjściu za mąż.

Kohler spytał o rodzeństwo ojca. W rzeczy samej, ojciec Jürgena miał starszego brata, Friedhelma. Kohler poprosił o telefon. Jürgen dał mu stary numer.

– Nawet nie wiem, czy on jeszcze żyje – przyznał. – To przykre, ale zupełnie straciliśmy kontakt.

Jürgen i jego żona podziękowali Kohlerowi za wszystkie wysiłki i poprosili, żeby w ich imieniu podziękował po powrocie do New Jersey Chattertonowi. Wieczorem Kohler i Bowling zadzwonili z hotelu pod wskazany numer. Odebrała starsza pani. Bowling przedstawiła się jako siostra jednego z członków załogi *U-869*. Kobieta powiedziała, że z przyjemnością poprosi męża do telefonu.

Przez kolejną godzinę 81-letni Friedhelm Neuerburg wspominał swego brata.

– Kiedy zamykam oczy i myślę o nim, widzę go, jak wykonuje swoje obowiązki. Myślę, że on czuł, że już nigdy nie wróci. Ale wiedział, że musi spełnić swój obowiązek.

Rankiem Kohler i Bowlin wyruszyli samochodem do Berlina. Wieczorem Kohler spotkał się tam z 40-letnim doktorem Axelem Niestlém, kierownikiem prywatnej firmy inżynieryjnej, zajmującej się utylizacją odpadów. Doktorat z hydrologii Niestlé oparł na badaniach przeprowadzonych w Afryce Północnej. W wolnych chwilach oddawał się swojemu ulubionemu zajęciu, szacował i weryfikował straty poniesione przez *U-Booty*. To właśnie on, w 1994 roku, przyjrzał się dokładnie treści przechwyconych przez wywiad aliancki komunikatów z *U-869* i Dowództwa *U-Bootwaffe*. Nikt wcześniej tego nie zrobił, wszyscy byli przekonani, że *U-869* zatonął w pobliżu Gibraltaru. O swoich odkryciach doniósł Robertowi Coppockowi z brytyjskiego Ministerstwa Obrony. Ten z kolei przekazał informację Chattertonowi i Kohlerowi. Podczas spotkania Kohler zachwycił się nie tylko niezwykle głęboką wiedzą Niestlégo, ale również samą pasją, z jaką oddawał się badaniom. Spytał się nawet, czemu Niestlé nie wykłada na uniwersytecie.

– *U-Booty* są moją pasją – odparł Niestlé. – Podejrzewam, że zaczęłyby mnie nudzić, gdybym zaczął zarabiać na nich pieniądze. Podoba mi się to, że bawię się w detektywa. Wystarcza mi satysfakcja z odkrywania, badania i, jeśli mam szczęście, również prostowania błędów w opracowaniach historycznych.

Następnego dnia Kohler i Bowling pojechali metrem do malowniczej willi należącej do starszej pani. Na półce nad kominkiem w samym sercu salonu stało kilka zdjęć jej dzieci. Był wśród nich również portret przystojnego mężczyzny w

mundurze z czasów drugiej wojny światowej. Kobieta przedstawiła się jako Gisela Engelmann. Na zdjęciu był jej narzeczony, Franz Nedel, jeden z torpedowych *U-869*.

Przez kilka godzin Gisela opowiadała Kohlerowi o wyrywaniu oczu z portretu Hitlera, o wspinaniu się na latarnię gazową i pokazywaniu zdjęcia Hitlera mieszkańcom Berlina, o przyjęciu pożegnalnym, na którym Franz i jego koledzy zalewali się łzami, i o tym, co to jest jedyna prawdziwa miłość życia, i że taką miłością był dla niej zawsze Franz.

– Obaj moi mężowie wiedzieli oczywiście o Franzu – oznajmiła. – Kiedy mówiłam moim dzieciom o Franzu, patrzyły na mnie z politowaniem i mówiły: „Mamo, słyszeliśmy tę historię już ze sto pięćdziesiąt razy”.

Tak jak Brandtowie, dowiedziała się o losie swojego ukochanego bardzo długo po wojnie. Dopiero w październiku 1947 roku dostała oficjalną wiadomość, że *U-869* uznano za zaginiony.

– Tęskniłam za nim przez całe życie, każdego dnia – wyznała Kohlerowi. – Mam jego zdjęcie w sypialni, od naszego rozstania codziennie na nie patrzyłam, przez dwa małżeństwa, odchowując czwórkę dzieci.

Kohler planował jeszcze jedno spotkanie przed powrotem do Stanów. Polecieli z Bowling do Monachium, wynajęli samochód i pojechali na zachód przez cudowną, ośnieżoną okolicę. Dojechali do Memmingen. Kohler ruszył zgodnie z zapisanymi na kartce wskazówkami. Po kilku minutach znalazł się w sercu miasta, w gąszczu wąskich uliczek, wśród wiekowych domów i sięgających nieba iglic kościołów. Pomyślał, że Memmingen wygląda zupełnie jak obraz, który opisywał jego ojcu pan Segal, były siłacz cyrkowy.

Kohler długo kluczył wąskimi uliczkami, by dotrzeć w końcu do jednego z najstarszych domów w mieście. Zadzwoił. Po minucie otworzył mu przystojny i niezwykle dystyngowany 80-latek. Ubrany w granatowy garnitur, z czerwonym krawatem i starannie uczesanymi białymi jak śnieg włosami, wyglądał, jakby spodziewał się swego gościa co najmniej od kilku lat.

– Nazywam się Herbert Guschewski – przedstawił się staruszek. – Byłem radiooperatorem na *U-869*. Zapraszam do środka.

Usiedli w salonie w towarzystwie rodziny. Guschewski opowiedział Kohlerowi, jak przetrwał wojnę.

Otóż, pewnego ciepłego listopadowego ranka, na kilka dni przed wyruszeniem *U-869* na patrol, Guschewski zaczął się nie najlepiej czuć. Kiedy wyszedł na świeże powietrze, po przejściu kilku kroków zakręciło mu się w

głowie. Upadł, straciwszy przytomność. Koledzy zanieśli go do szpitala, w którym przeleżał trzy dni, zupełnie nieprzytomny, z wysoką gorączką. Kiedy odzyskał świadomość, lekarze powiedzieli mu, że ma zapalenie płuc i opłucnej. Mimo iż jego okręt miał już za kilka godzin wypływać, zatrzymano go siłą w szpitalu, na oddziale intensywnej opieki. Powiedziano mu, że ma gości.

W otwartych drzwiach sali szpitalnej stanął, trzymając czekoladki, ciasteczka i kwiaty, kapitan Neuerburg. Tuż za nim stał pierwszy oficer Siegfried Brandt i mechanik Kessler. Za nimi było jeszcze wielu kolegów z załogi. Neuerburg podszedł do jego łóżka, wytarł mu czoło i poklepał po ramieniu.

– Wszystko będzie dobrze, przyjacielu – powiedział.

Brandt wyszedł trochę do przodu i wziął Guschewskiego za rękę.

– Zdrowiej, przyjacielu – powiedział z tym samym uśmiechem, który Guschewski widział na jego ustach, kiedy Brandt opowiadał dowcipy. – Wyjdiesz z tego.

Po nim podeszli Kessler, Horenburg i pozostali radiooperatorzy. Ze łzami w oczach życzyli Guschewskiemu powrotu do zdrowia.

– Trzeba się było w końcu pożegnać – powiedział Guschewski. – Czułem się, jakbym miał już ich nigdy więcej nie zobaczyć. Kiedy patrzyłem w oczy moich kolegów, widziałem, że czują to samo.

Tak jak wszyscy inni Guschewski żył w przekonaniu, że *U-869* zatonał w okolicach Gibraltaru. Kiedy dowiedział się, że nurkowie odnaleźli okręt w pobliżu New Jersey, natychmiast zadzwonił od redakcji „*Spiegla*”. To właśnie za jej pośrednictwem się poznali.

Kohler został dwa dni, całymi godzinami gawędzili o Neuerburgu, Brandcie, Kesslerze i innych ludziach z *U-869*. Guschewski opowiedział mu o bombardowaniu Szczecina, śpiewaniu z Neuerburgiem, pomyłkowym włączeniu Radio Calais, kradzieży szynki przez Fritza Dagga i swojej przyjaźni z Horenburgiem, o pogodnym usposobieniu, życzliwości i bezinteresowności Brandta, gotowego w wieku 22 lat stawić czoła lękom i obawom wszystkich członków załogi. Wyznał Kohlerowi, że bardzo tęskni za swoimi przyjaciółmi.

– Przeraza mnie to, że okręt leży rozbity na dnie oceanu, i to w takim stanie – stwierdził Guschewski. – Przez ponad pół wieku pamiętałem go jako nowy i silny. Byłem jego częścią. Teraz, kiedy patrzę na film i zdjęcia, widzę szczątki moich towarzyszy... Bardzo ciężko i smutno jest się z tym pogodzić. Wierzę w Boga i życie pozagrobowe. Wspaniale będzie połączyć się znowu z moimi przyjaciółmi, zobaczyć ich raz jeszcze, już w czasach pokoju, nie wojny. Nie

wtedy, kiedy zupełnie bez powodu poświęcano życie tak wielu młodych ludzi. Chciałbym ich spotkać.

Pod koniec drugiego dnia Kohler i Guschewski wstali z foteli i uścisnęli sobie dłonie. Za kilka godzin odlatywał samolot Kohlera do New Jersey. Guschewski jako szanowany radca miejski miał za kilka godzin spotkanie. Mieli do siebie jeszcze mnóstwo pytań. Obiecali sobie nawzajem, że wkrótce spotkają się znowu i na nie odpowiedzą.

Kiedy Kohler zakładał już płaszcz, Guschewski zwrócił się do niego z prośbą.

– Czy mógłby mi pan przesłać jakiś przedmiot z okrętu? Cokolwiek, bylebym mógł tego dotknąć.

– Ależ z olbrzymią przyjemnością – odparł Kohler. – Wyślę coś panu, jak tylko wrócę do domu.

Wiedział już nawet co – pomyślał o mierzącej 12 na 15 centymetrów tabliczce z instrukcją użycia tratwy ratunkowej, zdjętej ze skrzynki z tratwą.

– To będzie dla mnie coś naprawdę wspianalego – powiedział Guschewski, machając na „do widzenia” Kohlerowi i zamykając drzwi.

Kohler wsiadał do samochodu z uczuciem, że spełnił swoją powinność. Nikt nie będzie już leżał bez imienia na dnie oceanu. Bliscy powinni wiedzieć, gdzie spoczywają szczątki zmarłych.

Od momentu kiedy przybył do Niemiec, sporo się ochłodziło, ale kiedy sięgał po kluczyki do samochodu, Guschewski otworzył drzwi i wyszedł na mróz. Bez okrycia. Ruszył w stronę Kohlera i objął go ramionami.

– Dziękuję za troskę – powiedział. – Dziękuję, że pan tu przyjechał.

¹ W polskiej terminologii nurkowej używa się powszechnie angielskiego określenia (przyp. tłum).

² Publicznie dostępny raport (Rebreather Fatal Accident Database, DeepLife) wymienia 297 śmiertelnych ofiar nurkowania na obiegach zamkniętych lub półzamkniętych, w tym 20 w samym 2013 roku. Ryzyko wypadku przy nurkowaniu z użyciem rebreathera autorzy raportu oceniają na 10-krotnie wyższe niż w przypadku głębokich ekspozycji na obiegu otwartym (przyp. red.).

³ Agent orange (z ang. czynnik pomarańczowy, środek pomarańczowy, mieszanka pomarańczowa) – oznaczenie wojskowe (USA) preparatu fitotoksycznego stosowanego na masową skalę (prawie 40 mln litrów) podczas amerykańskiej interwencji w Wietnamie (przyp. red.).

Kommandant: KptLt. Helmut Neuerburg

am 28.2.1945 im Mittelatlantik auf 34°30' N und 08°13' W versenkt

FkMt	Bienentreu	Mathias	04.12.21
MaschMt	Böhm	Otto	30.03.23
OLt	Brandt	Siegfried	19.06.22
MaschOGfr	Breit	Wilhelm	18.12.24
MaschOGfr	Brems	Ewald	25.03.24
MechGfr	Brizius	Otto	25.02.26
MaschMt	Dagg	Fritz	28.01.20
MaschOGfr	Dietmayer	Eduard	30.01.25
MaschGfr	Dietz	Hans	17.05.25
MaschMt	Dölcher	Karl	27.07.21
OBtsMt	Drabhoff	Walter	18.06.20
MaschOGfr	Dreyer	Karl-Heinz	13.09.24
MtrHGfr	Eder	Max	08.08.22
MaschMt	Eigenbrodt	Karl	27.12.21
MarSt Arzt Dr.	Esau	Ernst-Christian	28.12.13
FkOGfr	Gehlsen	Richard	20.10.24
MaschOGfr	Geißel	Otto	28.03.25
MaschOGfr	Geratzki	Gerhard	13.02.25
MechGfr	Gradi	Kurt	29.04.25
BtsMt	Grosser	Helmut	30.03.23
MechHGfr	Grunert	Hugo	01.10.19
MechOGfr	Häselbarth	Karl	06.02.22
MtrOGfr	Haun	Erwin	04.05.22
OMasch	Hentschel	Arthur	13.10.18
MaschOGfr	Hirsch	Horst	04.04.25
MtrGfr	Hitze	Heinz	04.02.25
FkMstr	Horenburg	Martin	01.10.19
OLt (Ing)	Keßler	Ludwig	10.06.13
MtrHGfr	Kischka	Rafael	25.09.19
OMasch	Koch	Robert	06.09.13
MaschOGfr	Kornweih	Helmut	29.01.24
MechMt	Kühnhold	Oskar	28.02.23
OSTrm	Lenk	Heinz	08.02.17
Mtr	Mehlig	Paul	21.09.19
FkOGfr	Mehnert	Rolf	19.08.24
MtrOGfr	Meineke	Georg	14.04.25
MaschMt	Mocker	Erich	01.06.23
MtrOGfr	Moosmann	Fritz	15.06.25
MtrOGfr	Nedel	Franz	22.08.24
KptLt	Neuerburg	Helmut	25.08.17
MaschOGfr	Nolte	Willi	23.10.24
MtrGfr	Obwald	Heinz	07.10.25
BtsMt	Plath	Leo	04.08.19
MtrOGfr	Reber	Hans-Georg	09.05.21
MaschOGfr	Rothsprak	Willi	26.01.21
MtrOGfr	Schnick	Willy	05.11.25
MtrOGfr	Seefeldt	Willi	18.04.19
OSTrm	Stockhorst	Wilhelm	01.10.20
MaschOGfr	Tabel	Wilhelm	07.02.23
MaschOGfr	Tölke	Erich	06.10.10
FkOGfr	Uhlarsch	Johann	23.05.25
OMaschMt	Verhülsdonk	Heinrich	01.02.20
MaschOGfr	Voigt	Heinz	05.04.23
MtrOGfr	Volderauer	Vinzenz	13.04.24
MaschMt	Wernicka	Günter	18.10.22
MtrGfr	Zander	Peter	21.03.24



Einzelverlust

MechGfr(A)	Schmelzer	Richard	05.12.24	E

INFORMACJA O ŹRÓDŁACH

Moimi partnerami przy pisaniu tej książki byli John Chatterton i Richie Kohler, dwóch nurków, wokół których obraca się cała historia. Zapewnili mi nieograniczony dostęp do swoich dokumentów, notatek, zdjęć, kaset wideo i dzienników nurkowań. Spędziłem z nimi setki godzin. Spotykaliśmy się w ich domach w New Jersey, na pokładzie *Seekera*, rozmawialiśmy całymi godzinami przez telefon, organizowaliśmy konferencje telefoniczne. Gawędziłem z Kohlerem, przemierzając niemieckie autostrady, i z Chattertonem, przeciskając się przez kolejne przedziały *U-505* w chicagowskim muzeum. Zrębem tej książki stały się ich relacje z podwodnych i lądowych zmagani, mających na celu zidentyfikowanie tajemniczego okrętu podwodnego. Obaj potrafili spojrzeć krytycznym wzrokiem na swoje opowieści. Kiedy skończyłem pisać tę książkę, poprosiłem Chattertona i Kohlera o przejrzenie rękopisu. Mieli nanieść tylko poprawki merytoryczne. Jeszcze zanim zabrałem się do pisania, uzgodniliśmy wspólnie, że nie będą sugerować mi żadnych zmian w formie tekstu.

Opisując podwodne poszukiwania Kohlera i Chattertona we wraku *U-Boota*, opierałem się często wyłącznie na ich wersji wydarzeń. Nurkowanie na głębokich wrakach jest sportem samotników, pamięć nurka jest często jedynym świadkiem wydarzeń. O ile tylko było to możliwe, oglądałem nagrania wideo z nurkowań. Studiowałem zdjęcia wraku i porównywałem je z rękopisami dzienników nurkowań Chattertona i Kohlera. Przeprowadziłem wywiady z czternastoma nurkami, którzy towarzyszyli im w wyprawach na wrak, łącznie z dziewięcioma członkami pierwszej wyprawy, która wyruszyła na poszukiwania tajemniczego obiektu, w miejscu, którego namiary przekazał Billowi Nagle'owi kapitan łodzi rybackiej.

Wygląd wraku poznałem dzięki rysunkowi autorstwa kapitana Dana Crowella, obecnego właściciela *Seekera*, i jednego z nurków, którzy przez długi czas eksplorowali *U-869*. Reprodukcję tego rysunku zamieściłem na karcie tytułowej tej książki. Szkic ten, będący niesamowitym dziełem pamięci i doświadczenia, towarzyszył mi przez cały czas pracy nad tą książką. Większość ludzi, którzy kiedykolwiek nurkowali na *U-869*, potwierdziła, że ten rysunek to istne dzieło sztuki. Kilku nurków, w tym Steve Gatto, Brian Skerry, Christina Young i Kevin Brennan, zrobiło pod wodą znakomite zdjęcia wraku. Dzięki nim łatwiej było mi wyobrazić sobie sceny i wydarzenia opisywane przez Chattertona i Kohlera. Przystudiowałem także liczne książki ze zdjęciami, schematami i planami okrętów typu IX, najbardziej użyteczna okazała się „Vom Originall zum Modell: Uboottyp IX C”¹ Fritza Kohla i Axela Niestlégo. Równie cenna okazała się wirtualna wycieczka po *U-869*, opracowana przez PBS i zamieszczona na

stronie [www Hitler's Lost Sub²](http://www.Hitler's%20Lost%20Sub), wraz z pełną dokumentacją tajemniczego wraku. Kilka razy zwiedziłem też przechwycony przez Amerykanów *U-505*, wystawiony na widok publiczny w Muzeum Nauki i Przemysłu w Chicago. Wizyty te pozwoliły mi „poczuć” U-Bootu typu IX, okrętu dokładnie takiego jak odkryty w 1991 roku przez nurków.

Udało mi się również zobaczyć *Seekera*. Kapitan Dan Crowell oprowadził mnie po wszystkich zakamarkach łodzi i opowiedział dokładnie o jej budowie, korzystając z tego, że *Seeker* stał w suchym doku w Brielle. Zaprosił mnie też na nocny rejs w poszukiwaniu kolejnych tajemniczych namiarów, do miejsca odległego o jakieś 70 mil od brzegu. Morze było potwornie wzburzone, toteż spadałem z koi kilka razy. Nie ma chyba lepszej i szybszej metody, by zrozumieć istotę pływania na łodziach nurkowych, niż spędzić dobę na pokładzie jednej z nich, na samym środku wzburzonego Atlantyku.

Przytaczane w tej książce anegdoty związane z nurkowaniem na głębokich wrakach zasłyszałem od Chattertona, Kohlera oraz innych nurków, kapitanów łodzi i naocznych świadków. Wiele z tych historii przekazywanych jest po prostu z ust do ust – zaledwie garstka ludzi uprawia ten niebezpieczny sport (w całych Stanach Zjednoczonych dałoby się zebrać zaledwie kilkaset osób). Starałem się je potwierdzić na tyle, na ile było to tylko możliwe. Niekiedy świadkowie przekazywali mi nieco inne wersje wydarzeń, zwłaszcza jeśli historie opowiadały o tym, jak o mały włos uniknęli śmierci lub wpadli w panikę, zagubili się lub puścili im nerwy. Tak naprawdę jednak ani razu nie zetknąłem się z większymi nieścisłościami. W nielicznych wypadkach starałem się podawać wersję, co do której wszyscy byli zgodni. Pisałem na przykład, że nurek był pod wodą dziesięć minut, a nie, jak utrzymywał ktoś inny, dwanaście. Naocznym świadkiem utonięcia nurka na *Texas Tower* i śmierci Joego Drozda był Chatterton. Okoliczności śmierci Steve'a Feldmana poznałem dzięki rozmowie z niemal wszystkimi obecnymi na pokładzie nurkami, między innymi partnerem Feldmana, Paulem Skibinskim, oraz Dougiem Robertsem i Kevinem Brennanem, którzy byli pod wodą, kiedy doszło do wypadku, a także Johnem Hildemannem i Markiem McMahonem, którzy przeczesywali dno oceanu w poszukiwaniu ciała Feldmana. Przejrzałem także pisemne relacje z wypadku przekazane Straży Wybrzeża przez wszystkich nurków tuż po powrocie z rejsu. Jeśli chodzi o wypadek George'a Place'a, rozmawiałem z nim samym oraz kapitanem *Eagle's Nest* Howardem Kleinem, który wypłynął mu na ratunek. Świadkiem tego wydarzenia był również Kohler. Historię doktora Lewisa Kohla

usłyszałem od niego samego, potwierdzili ją John Yurga, Chatterton oraz Kohler, wszyscy byli naocznymi świadkami całego wypadku. Opisując śmierć Chrisa i Chrissy'ego Rouse'ów, opierałem się na relacjach Chattertona, Kohlera, Yurgi i Crowella. Byli obecni na miejscu wypadku, uczestniczyli w próbach reanimacji i zajęli się wyciągnięciem utraconego przez nurków sprzętu. Przeczytałem także książkę Berniego Chowdhury „The Last Dive: A Father and Son's Fatal Descent into the Ocean's Depths”. („Ostatnie nurkowanie: Śmiertelna wyprawa ojca i syna w głębiny oceanu”) wydaną przez HarperCollins. Oprócz tragicznego wypadku Rouse'ów, w książce wyśmienicie opisane są także wszystkie niebezpieczeństwa związane z nurkowaniem głębokim.

Obraz środowiska nurków wrakowych z północno-wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych wyrobiłem sobie na podstawie spotkań i rozmów z nurkami i kapitanami. Niezwykle przydała mi się lektura książki Bucky McMahon „Everest at the Bottom of the Sea” wydanej w 2000 roku przez Esquire. Jest to chyba najlepsza jak do tej pory monografia poświęcona wrakowi *Andrei Dorii* i nurkom, którzy zajmowali się jego eksploracją. Długą i pełną dramatyzmu historię *Dorii* i nurków pomogła zrozumieć mi także książka Kevina F. McMurraya „Deep Descent: Adventure and Death Diving the *Andrea Doria*”.

Zagadnienia związane z fizjologią nurkowania udało mi się zgłębić dzięki lekturze kilku dzieł, z których najbardziej chyba użytecznym było: „Neutral Buoyancy: Adventures in a Liquid World” Tima Escotta, wydane przez Atlantic Monthly Press. Escott pięknie pisze nie tylko o samej fizjologii nurkowania, ale również o niesamowitych, ponadzmysłowych możliwościach nurkowania. Jego książka dała mi dużo do myślenia. Aspekty techniczne nurkowania głębokiego niezwykle cierpliwie wyjaśnił mi fizjolog R.W. Bill Hamilton.

Życie i czasy Billa Nagle'a opisali mi Chatterton, Kohler, Yurga, Crowell i Andrew Nagle. Niemal każdy z nurków i kapitanów, z którymi miałem okazję rozmawiać, miał coś do dodania na temat legendy Nagle'a. Kapitan Skeets Frink wyjaśnił mi dokładnie, w jaki sposób Bill wszedł w posiadanie namiarów na tajemniczy wrak.

O historii i folklorze Atlantyckich Nurków Wrakowych dowiedziałem się z pierwszej ręki od Kohlera, jednego z członków tej grupy, oraz od Pete'a Guglieriego, Johna Lachenmeyera i Pata Rooneya. O trwającej od lat rywalizacji między kapitanami łodzi nurkowych dowiedziałem się od wielu osób; w

poznaniu tego zjawiska pomogła mi także lektura książek Gary'ego Gentile'a „The Lusitania Controversies – Book Two: Dangerous Descents into Shipwreck and Law” wydanej przez Gary Gentile Productions oraz wspomnianej już wcześniej „Deep Descent” McMurraya. O Stevie Feldmanie dowiedziałem się z rozmów z jego partnerem nurkowym Paulem Skibinskim i przyjaciółmi: Tommym Crossem, Marty Dick, Johnem Hopkinsem, Andrew Rossem i kapitanem Paulem Helperem. Świetnym źródłem informacji o życiu Chrisa i Chrissy'ego Rouse'ów była dla mnie książka Chowdhury'ego „The Last Dive”. O życiu Chattertona i Kohlera dowiedziałem się od ich byłych żon, obecnych żon, przyjaciół i rodzin. O wietnamskich przeżyciach Johna opowiedział mi John Lacko, który razem nim uczestniczył w wojnie, oraz doktor Norman Sakai, chirurg batalionowy, który służył z Chattertonem. Charles Kinney, były sanitariusz z Wietnamu, przedstawił mi życie i pracę sanitariuszy w czasie wojny wietnamskiej.

Jeśli chodzi o uwiarygodnienie toku i przedmiotu badań archiwalnych Chattertona i Kohlera, polegałem na kilku niezależnych od siebie źródłach. Po pierwsze, w prywatnych zbiorach nurków znajdują się kopie wielu oryginalnych dokumentów, na podstawie których udało im się zidentyfikować tajemniczy wrak. Są tam raporty z ataków, analizy akcji przeciwko okrętom podwodnym, stenogramy przechwyconych przez wywiad meldunków radiowych, tłumaczenia wpisów z dzienników Naczelnego Dowództwa U-Bootwaffe i raporty ze spotkań z U-Bootami. W rzadkich przypadkach, kiedy nurkowie przepisywali dane z dokumentów bez wykonywania ich kopii, sprawdzałem te informacje w książkach lub konsultowałem się ze specjalistami. Tu absolutnie nieocenione okazało się niezwykle szczegółowe i pełne, dwutomowe opracowanie Claya Blaira „Hitlera wojna U-Bootów”. Opisując operacje zbrojne, szczegóły techniczne wojny i działalność wywiadu, Blair wykorzystał informacje pochodzące zarówno ze strony niemieckiej, jak i alianckiej – niestety, nie wszyscy autorzy podobnych opracowań są na tyle rzetelni. Muszę przyznać, że dzieło Blaira było najbardziej przydatnym źródłem pisanym, z którego miałem okazję korzystać, pisząc tę książkę. Wyniki badań Chattertona i Kohlera potwierdził i uściślił niemiecki historyk marynarki wojennej Axel Niestlé, korzystałem z jego pomocy nieskończenie wiele razy. Przejrzałem dziesiątki listów, które składały się na korespondencję nurków z przeróżnymi instytucjami i osobami zaangażowanymi w identyfikację U-Bootu. Listy te pomogły mi zrozumieć nastrój, charakter i ewolucję ich badań. W Centrum Historycznym Marynarki Wojennej w Waszyngtonie miałem okazję dokładnie wypytać Deana

Allarda, Bernarda Cavalcante'a, Williama Dudleya i Kathleen Lloyd o stosowane przez nurków metody, źródła, z których korzystali, a także ich podejście do całej sprawy i usposobienie. Równie pomocny okazał się Timothy Mulligan z Archiwum Narodowego w Waszyngtonie. Pisząc o Cywilnej Obronie Powietrznej i jej domniemanej roli w zatopieniu tajemniczego U-Bootu, konsultowałem się z pułkownikiem Gregorym Weidenfeldem. Przystudiowałem także monografię jego autorstwa pod tytułem „The Search for the Haggin-Farr Sub Kill”. Informacji na temat sterowców i U-Bootów udzielił mi Gordon Vaeth, w czasie drugiej wojny światowej oficer wywiadu Floty Atlantyckiej. Sporo dowiedziałem się też z jego książki: „Blimps & U-Boats: U.S. Navy Airships in the Battle of Atlantic”, wydanej przez Naval Institute Press. Dzięki lekturze listów asa U-Bootów, Karla-Friedricha Mertena do Chattertona, pisanych na samym początku badań nurków, udało mi się zrozumieć stosunek Mertena do tajemniczego wraku. Większość informacji z gazet podałem na podstawie znalezionych wśród zachowanych przez Chattertona i Kohlera wycinków. Nie było większych problemów ze sprawdzeniem ich wiarygodności. W końcu wnikliwie przystudiowałem też obszerne notatki z badań przeprowadzonych przez nurków, znalazłem w nich informację o dokonanych przez nich odkryciach i ich nastawieniu do całej sprawy. W nielicznych sytuacjach, kiedy informacje w pisanych źródłach pozostawały w sprzeczności z opiniami ekspertów, zdawałem się na książkę Blaira.

Jeśli chodzi o historię wojny U-Bootów, bez wahania przyznam, że żadne opracowanie nie może się równać z książkami Blaira. Regularnie korzystałem też z portalu internetowego uboat.net – w moim mniemaniu najlepszego internetowego źródła informacji o historii U-Bootów, ich dowódcach, losie poszczególnych okrętów i innych zagadnieniach związanych z wojną U-Bootów. Na dobrą sprawę nie wyobrażam sobie badania U-Bootów bez korzystania z tego wyśmienitego, znakomicie zaprojektowanego i pełnego informacji portalu. Ze względu na wywiady z weteranami U-Bootów i licznymi naukowcami bardzo użyteczny okazał się również dostępny na wspomnianej już stronie PBS transkrypt programu Nova „Hitler's Lost Sub”. Najlepszym źródłem informacji o dziejach i losach U-Bootów (innych niż U-869) była bez wątpienia książka Blaira. Oprócz niej korzystałem także z „German U-Boat Losses During World War II: Details of Destruction” autorstwa Niestlégo, wydanej przez Naval Institute Press. Kiedy nie byłem w stanie znaleźć potrzebnych mi informacji o U-Bootach, kontaktowałem się listownie bądź telefonicznie z Niestlém, który zawsze starał się mi pomagać. Ponieważ statystyki dotyczące U-Bootów i

poniesionych przez nie strat znacznie różnią się między sobą poszczególnymi opracowaniami, postanowiłem konsekwentnie trzymać się danych przytoczonych we wspomnianej już książce Niestlégo. Ten niemiecki badacz-amator należy do ścisłej czołówki naukowców zajmujących się ustalaniem dokładnych strat poniesionych przez U-Bootwaffe. Spod jego pióra wyszły jedne z najlepszych opracowań poświęconych U-Bootom. Oprócz dokładnych i w miarę aktualnych statystyk we wspomnianej już wyżej książce zawarta jest próba wytłumaczenia błędów powojennych ekspertów – to właśnie te błędy sprawiły, że tajemnica U-Boota była tak trudna do rozwikłania.

Zbierając informacje o życiu marynarzy U-Bootów i ich czasach, korzystałem ze znakomitej książki Timothy’ego Mulligana „Neither Sharks nor Wolves: The Men of Nazi Germany’s U-Boat Arm, 1939–1945” wydanej przez Naval Institute Press. Książka pokazuje życie ludzi w kontekście wyniszczającej wojny i zmieniających się losów Niemiec. Poświęcona jest ludziom, którzy brali udział w wojnie U-Bootów. Mulligan, archiwista zajmujący się źródłowymi dokumentami niemieckimi z okresu drugiej wojny światowej, oparł swoje badania na wywiadach z ponad tysiącem weteranów załóg U-Bootów. Przeczytałem także kilka książek Jaka P. Mallmana Showella, który w niezwykle obrazowy sposób opisuje życie na pokładzie okrętów podwodnych, struktury hierarchiczne i ludzi, którzy służyli w U-Bootwaffe. Z mojego punktu widzenia najbardziej przydatna okazała się książka „U-Boats Under the Swastika”, wydana przez Naval Institute Press. Na zaledwie 132 stronach Naval potrafił w prosty i jasny sposób przedstawić realia służby w U-Bootwaffe. Bezcenny okazał się dla mnie czas spędzony w Toronto w towarzystwie Wernera Hirschmanna, byłego głównego mechanika *U-190*. W ciągu kilku zaledwie dni rozmów z panem Hirschmannem dowiedziałem się więcej o życiu na U-Bootach, niż dałoby mi kilka lat lektury książek.

Szukając informacji o historii, losie i członkach załogi *U-869*, korzystałem z następujących źródeł:

O życiu i karierze kapitana Helmutha Neuerburga dowiedziałem się z jego dokumentów w kartotece wojskowej i rozmów z jego synem Jürgenem oraz bratem Friedhelmem, mieszkającymi w Niemczech. (W różnych źródłach można spotkać się z różnym zapisem imienia Neuerburga, konsekwentnie używałem pisowni „Helmuth”, gdyż w ten właśnie sposób pisał swoje imię w dokumentach wojskowych sam Neuerburg).

O życiu i karierze pierwszego oficera Siegfrieda Brandta dowiedziałem się z jego dokumentów w kartotece wojskowej i rozmów z jego bratem Hansem-

Georgiem Brandtem oraz mieszkającymi w Niemczech przyjaciółmi, Clemensem Borkertem i Heinzem Schleyem.

O życiu i karierze torpedowego Franza Nedla dowiedziałem się z rozmów z jego byłą narzeczoną Giselą Engelmann, mieszkającą w Niemczech.

Podczas pobytu w Niemczech spędziłem kilka dni na rozmowach z Herbertem Guschewskim, byłym radiooperatorem *U-869*. To dzięki niemu dowiedziałem się czegoś więcej o załodze i oficerach okrętu, zwłaszcza zaś Neuerburgu, Brandcie i Martinie Horenburgu, starszym radiotelegrafiście. Opowieści ze szkolenia na *U-869* i szczegóły dotyczące tego szkolenia zaczerpnąłem głównie z jego opowieści oraz dziennika szkoleniowego okrętu. Ogólne informacje o szkoleniu na *U-Bootach* zaczerpnąłem z kilku książek, między innymi „Neither Sharks nor Wolves” Mulligana oraz rozmów z Wernerem Hirschmannem.

Bez trudu mogłem wyobrazić sobie zarówno *U-869*, jak i jego załogę. Miałem do dyspozycji dziesiątki zdjęć ludzi i ich okrętu, część pochodziła z archiwów Kriegsmarine, inne podarowane zostały Chattertonowi i Kohlerowi przez członków rodzin marynarzy i pana Guschewskiego.

Fatalny patrol *U-869* w dużej mierze udało mi się odtworzyć dzięki przełomowej monografii autorstwa Niestlégo pod tytułem „The Loss of *U-869*”. Właśnie to opracowanie zmieniło sposób myślenia o losie *U-869* i (wprawdzie nie w bezpośredni sposób) przyspieszyło wysiłki nurków mające na celu potwierdzenie tożsamości wraku. Niezwykle cenny okazał się też opis patrolu autorstwa Blaira, zamieszczony w drugim tomie „Hitlera wojny *U-Bootów*”. Transkrypty depech radiowych *U-869* i Głównego Dowództwa *U-Bootwaffe* przechwyconych przez wywiad aliancki zostały skopiowane z oryginalnych dokumentów opracowanych przez kryptoanalitików. Niestlé niezwykle pomógł mi w opracowaniu najbardziej prawdopodobnego scenariusza ostatnich chwil *U-869*.

W 2002 roku towarzyszyłem Kohlerowi w wyprawie do Niemiec, opisałem tę podróż na podstawie moich osobistych wrażeń.

¹ Książka wykorzystana przy ilustracji niniejszego wydania, dzięki uprzejmości Horsta Junga z wydawnictwa Bernard & Graefe (przyp. red.).

² Film dołączony do niniejszego wydania (przyp. red.).

PODZIĘKOWANIA

Autor pragnie gorąco podziękować za wszelkiego rodzaju pomoc i wsparcie następującym osobom:

Heather Schroeder z International Creative Management. Każdy chyba pisarz marzy o agentce takiej jak Heather. Jest ciętą i nieustrudzoną obrończynią, miłośniczką wspaniałych opowieści, wyjątkową i wnikliwą czytelniczką, a do tego niezwykle miłą osobą. Nie potrafię sobie wyobrazić podróży bez jej pomocy. Dziękuję również asystentce Heather, Chrissy Rikkers, za przeczytanie mojego dzieła i pełną życzliwości cierpliwość.

Jonathanowi Karpowi, redaktorowi w Random House. W pewnym sensie Jon zrozumiał tę książkę na długo przede mną. Potrafił wydobyć istotę całej historii i przekonał mnie, bym postawił na to, co było według niego najważniejsze. Jestem mu za to dożywotnie wdzięczny. Po dziś dzień korzystam z dobrodziejstw jego gawędziarskiego instynktu i wciąż podziwiam go za niezwykle dystyngowany, pełen dżentelmenerii styl bycia. Kiedy zbierałem materiały do tej książki w Toronto, odbyłem z Jonem krótką rozmowę telefoniczną, w trakcie której przekonał mnie ostatecznie do wspaniałej idei narracyjnej literatury faktu. Ta krótka rozmowa diametralnie zmieniała moje podejście do pisania. Z pracowników Random House pragnąłbym również podziękować: asystentowi Jonathana Karpa, Jonathanowi Jao z Random House, za lekturę i komentarze dotyczące mojej książki; Dennis Ambrose, niezwykle rozważnej redaktor technicznej (w wolnych chwilach zajmującej się nurkowaniem); Bonnie Thompson, wyjątkowej korektorce, prawdziwej artystce w swoim fachu; Amelii Zalcman za wnikliwe przejście mojego rękopisu; a także: Ginie Centrello, Elizabeth McGuire, Anthony'emu Ziccardiemu, Carol Schneider, Thomasowi Perry'emu, Sally Marvin, Ivanowi Heldowi, Ann Godoff, Genemu Mydlowskiemu, Kate Kim-Centra, Claire Tisne, Nicole Bond, Rachel Bernstein, Susanne Gutermuth, Erichowi Schoeneweissowi, Stacey Ornstein, Bridget Piekarz, Tomowi Nevinsowi, Jaci Updike, Donowi Weisburgowi, Martinowi McGrathowi, Allyson Pearl, Sandy Pollack, Liz Willner, Davidowi Thompsonowi, Johnowi Grotonowi, Andrew Weberowi, Davidowi Underwoodowi, Janet Cooke, Peterowi Olsonowi i Kelle Ruden.

Johnowi Chattertonowi i Richiemu Kohlerowi. Jeśli pisarz ma bardzo dużo szczęścia, to raz w życiu może mu się przytrafić okazja pracy z prawdziwymi pionierami. Ja pracowałem z dwoma naraz. Niesamowicie bystrzy, pełni dystansu wobec siebie i niezwykle barwni. Słowem istny dar z niebios dla autora takiego jak ja. Obaj niezwykle hojnie podzielili się ze mną swoim czasem, rozmawialiśmy ze sobą setki godzin, przez telefon, na pokładzie *Seekera*, autostradzie w Niemczech i nawet przeciskając się między kolejnymi

przedziałami *U-505* w muzeum w Chicago. Mogłem pozwolić sobie, żeby dzwonić do nich w środku nocy, obydwaj doskonale zdawali sobie sprawę, że niektóre rzeczy powinienem widzieć właśnie w tym momencie, a nie nazajutrz rano. Im bardziej poznawałem tych ludzi, tym bardziej czułem, na czym polega bycie odkrywcą. Dziękuję również żonom: Chattertona, Carli Madrigal, i Kohlera, Carrie Bassetti, za ich uprzejmość, gościnność i to, że tak cierpliwie znosiły, kiedy kradłem czas ich mężów.

Annete Kurson, jednej z najwspanialszych pisarek, jakie znam, która niestrudzenie czytała i poprawiała kolejne wersje mojego rękopisu i która wiele lat temu nauczyła mnie, że dobre pisarstwo bierze się z dobrego myślenia.

Axelowi Niestlému, naukowcowi i myślicielowi, prawdziwemu dżentelmenowi. Doktor Niestlé zawsze niezwykle życzliwie i rzeczowo odpowiadał na moje niezliczone pytania związane z *U-Bootami*. Czuję się zaszczycony, mogąc się pochwalić znajomością z kimś takim.

Johnowi Yurdze, niezwykle mu nurkowi wrakowemu. Jego wkład w ustalenie tożsamości wraku był wręcz nieoceniony. Jego wizje, poświęcenie, dbałość o szczegóły i intelekt, wszystko we wspaniałej, sympatycznej oprawie, były niezwykle inspirujące.

Wernerowi Hirschmannowi, głównemu mechanikowi *U-190*. Nikt nie potrafił równie głęboko i poetycko opowiadać o życiu na pokładzie *U-Bootów* jak właśnie Hirschmann. Przyjął mnie w swoim domu w Toronto, woził swoim leciwym, pomarańczowym karmannem ghia i opowiadał cudowne, fascynujące historie o życiu oficera na pokładzie *U-Booty*. Wciąż tkwi w mojej pamięci jego opowieść o stęsknionych za domem marynarzach, którzy przygarnęli na pokładzie swojego okrętu muchę i czule się nią zajmowali przez cały rejs.

Dziękuję również kapitanowi Danowi Crowellowi, Barbarze Bowling i Timowi Requarthrowi w Stanach Zjednoczonych za to, że niezwykle szczerze dzielili się ze mną swym czasem, wiedzą i przemyśleniami.

Podczas mojego pobytu w Niemczech drzwi do swoich domów i wspomnień otworzyli przede mną: Hans-Georg Brandt ze swoją rodziną, Gisela Engelmann, Michael Foedrowitz, Friedhelm Neuerburg i Jürgen Neuerburg. Szczególne podziękowania należą się Herbertowi Guschewskiemu, który poświęcił długie dni na odświeżenie wspomnień, które przez długie lata były dla niego równie bolesne co święte.

Następujący ludzie byli tak mili i udzielili mi wywiadu, dzięki nim ta opowieść jest lepsza i bardziej kompletna:

Dean Allard, Bernard Cavalcante, William Dudley, R.W. Bill Hamilton, Hank Keatts, Kathleen Lloyd, Timothy Mulligan, Gordon Vaeth oraz pułkownik Gregory Weidenfeld.

Kapitan Sal Arena, Steve Bielenda, doktor Fred Bove, Kevin Brennan, Kip Cochran, Harry Cooper, kapitan Skeets Frink, Lloyd Garrick, Steve Gatto, Pete Gouglieri, John Hildemann, Jon Hulburt, kapitan Howard Klein, doktor Lewis Kohl, John Lachenmeyer, Mark McMahon, John Moyer, Ed Murphy, Andrew Nagle, Tom Packer, kapitan Billy Palmer, George Place, kapitan Paul Regula, Doug Roberts, Pat Rooney, Susan Rouse, Dick Shoe, Brian Skerry i Paul Skibinski.

Patricia Arison, Felicia Becker, Lisa Biggins, Clemens Borkert, Kathy Hatterton, Bernie Chowdhury, Tommy Cross, Don Davidson, Bill Delmonico, Marty Dick, kapitan Paul Helper, Hank Hoke, John Hopkins, Charles Kinney, Frank Kohler, Fran Kohler, Frankie Kohler, John Kohler, Richard Kohler senior, John Lacko, Ruby Miller, Paul Murphy, Inge Oberschelp, Andrew Ross, doktor Norman Sakai, Heinz Schley oraz znakomici filmowcy Rush DeNoyer i Kirk Wolfinger z Lone Wolf Pictures.

Ludzie ci wierzyli we mnie i uczynili mnie lepszym pisarzem: David Granger, Peter Griffin i Mark Warren z *Esquire*; Joseph Epstein z Uniwersytetu Northwestern; Richard Babock z redakcji „Chicago”. Bez hojności i cierpliwości Babocka nie byłbym w stanie napisać tej książki.

Nie sposób chyba wyrazić mojej olbrzymiej wdzięczności dla rodziny Wiśniewskich – Kazimiery, Eugeniusza i Pauli, którzy otoczyli moją rodzinę miłością oraz ciepłem i zapewnili mi czas i spokój ducha, niezbędne do ukończenia tej książki.

I na sam koniec pragnę podziękować mojemu synkowi Nate’owi. Jego radość z życia i słodycz są dla mnie niewyczerpanym źródłem natchnienia. Dziękuję również mojej żonie Amy Kurson, najbardziej sprytniej i najsympatyczniejszej osobie, jaką kiedykolwiek znałem. Pochłonięta wychowywaniem naszego małego dziecka i swoją karierą zawodową, zawsze potrafiła znaleźć czas, by porozmawiać ze mną o książce, wesprzeć mnie i dodać z uśmiechem otuchy. To dzięki niej potrafię dostrzec dobro tkwiące w otaczającym mnie świecie. Wiem, że sam pewnie bym go nie zauważył.

O AUTORZE

Robert Kurson dorastał na przedmieściach Chicago. Zdobył licencjat z filozofii na Uniwersytecie Wisconsin, a następnie dyplom z prawa w Harvard Law School. Pracował przez pewien czas jako radca prawny do spraw nieruchomości, ale porzucił karierę prawniczą na rzecz pisarstwa. Żeby zarobić na życie, pracował jako tapeciarz, instalator rolet i makler dla sieci Wal Mart na giełdzie towarowej w Chicago. W końcu znalazł pracę pomocnika w archiwum „Chicago Sun Times”, dzięki tej pracy zaczął pisać reportaże. W 2000 roku w „Esquire” ukazał się jego pierwszy reportaż „My Favorite Teacher”, nagrodzony w finale National Magazine Award. Z „Sun Times” przeniósł się do „Chicago”, a następnie „Esquire”, w którym pracuje jako redaktor. Jego artykuły ukazywały się w „Rolling Stone”, „The New York Times Magazine” i wielu innych pismach. Mieszka na przedmieściach Chicago i jest dostępny w internecie pod adresem www.robertkurson.com.



Po odkryciu wraku (todzi podwodny) wszyscy zakładaliśmy, że jego identyfikacja jest kwestią kilku nurkowań. Po sześciu kolejnych latach, w trakcie których trzech nurków zginęło, a kilku następnych zostało rannych, wrak nadal opierał się identyfikacji. Nie tyle już chcieli go zidentyfikować, ile nie chcieli się wycofać. Sześć lat prób ustalenia nazwy i pochodzenia wraku wystawiło naszą cierpliwość na próbną, ale ostatecznie potwierdziło moje przekonanie o prawdziwej wartości ciężkiej pracy i determinacji.

Rozpracowyaliśmy wrak, nie oczekując niczego uznanie z wyjątkiem może kilku rodzin marynarzy U-boota i podobnych nam nurków zajmujących się nurkowaniem głębokim. Kiedy skontaktował się z nami Robert Kurson, rozpoczęła się dla nas podróż ku nowemu odkryciu. Czas, który spędziliśmy z Robem, był równie kształtujący, jak czas spędzony na wraku. Robert zadawał trudne pytania zmuszające nas do introspekcji i przyjrzenia się samemu sobie w nowym świetle. Rezultatem intensywnego poszukiwania prawdy przez Roberta jest książka „W pogoni za cieniem”.

John Chatterton



Chatterton i Kohler weszli do wody tuż po świcie.

Żaden z nich nie widział jeszcze tak spokojnej i przystępnej wody na Atlantyku – zupełnie tak, jakby ocean przygotował się specjalnie na ten dzień. Trimaks Johna płynął do jego płuc i mózgu, dokładnie tak, jak przewidywała teoria, nie mając myśli i powstrzymując narkozę. Przy tej niesamowitej widzialności na głębokości 30 metrów ogarniali wzrokiem cały wrak, od końca do końca. Poza śmiertelną raną w burcie okręt wyglądał, jakby był gotowy do bitwy. Stalowy węgorz, uzbrojony w torpedy i działa, podstępny i zabójczy. Do tej pory w mętnej, wirującej wodzie oceanu mieli okazję oglądać jedynie kilkumetrowe odcinki kadłuba – teraz po raz pierwszy ujrzeli maszynę wojenną w całej okazałości.

Zeszli niżej. Na głębokości 45 metrów, na widok zbiegającej w kabinie nawigacyjnej dziury poczuł całą groźbę ostatnich chwil U-Boota. Dopiero teraz, przy tak wyjątkowej widzialności, byli w stanie w pełni ocenić ogrom zniszczenia okrętu. Popatrzyli po sobie z okrzykiem „Jezus Maria!” na ustach.

Po nurkowaniu przy takiej widoczności powstał poniższy szkic Crowla.



Teraz, po czterech miesiącach i sześciu wyprawach nurkowych, zaczął się zastanawiać, czy to wszystko ma jakikolwiek sens. Po raz pierwszy w życiu bał się, że jakiś złotodóg wejdzie na drabinkę Seekera z przyściępną do płytkiej tabliczki znamionową i stanie się przypadkiem, ale oficjalnym odkryciem nazwy U-Who [...]

Zgromadził piękną i niezwykle ciekawą kolekcję trofeów: panel kontrolny, plastikowe tabliczki, telegram i urządzenie do przekazywania komend typu: CAŁA NAPRZÓD, STOP, ZANURZENIE. Wszystkie te urządzenia były typowe, bez żadnych znaków szczególnych umożliwiających identyfikację.



Skrzynka była ciężka, udało mu się ją jednak przeciągnąć – ja przez szczeplinę do Richiego, który podał ją kolejnemu nurkowi, by zabrał ją na powierzchnię.



Nóż pokryty był błotem. John zanurzył go w wiadrze ze słodką wodą i zaczął pocierać ręką palcami, starając się usunąć brud. Kiedy odpadły płatki błota, poczuł pod kciukiem wyryte na rękojeści litery. Oplukał nóż w wiadrze i zaczął trzeć mocniej. Wyczuł pod kciukiem więcej liter. Z wrażenia zastygł mu się włosy na karku. Pozostali nurkowie stłoczyli się wokół niego. Chatterton wciągnął tętno. W końcu na blacie opadła warstwa błota. Pod kciukiem ukazało się wyryzione na rękojeści noża piśmami literami nazwisko **HORENBURG**.



360°
człowiek
na krawędzi



Warstwa wodorostów odeszła bez problemu, odsłaniając wzdłuż poszarpanego dna brzegu tabliczki niemieckie napisy. Chatterton podsunął do twarży tabliczkę. Przeczytał:
„Bauart IXC, Desching, Bremen”

Pod koniec dekompresji Chatterton i Kohler zobaczyli, jak wzdłuż liny kotwicznej zbliża się do nich kolejny nurek. Will McBeth. Nurek podał Johnowi tabliczkę. Taką samą jak ta, na której John sześć lat temu napisał „SUB”. Tym razem na tabliczce widniał inny napis: „U-Who” ma teraz swoje imię – to **U-867**. Gratulacje.



Kuchnia bogata.

Ktoś kto chce spróbować „Tomy” (Pommes) musi mieć trochę kłopotów. Kuchnia bogata. Ktoś kto chce spróbować „Tomy” (Pommes) musi mieć trochę kłopotów. Kuchnia bogata. Ktoś kto chce spróbować „Tomy” (Pommes) musi mieć trochę kłopotów.

Wszystko małe, ładne, to jest właśnie kuchnia bogata. Wszyscy są tu szczęśliwi. Wszyscy są tu szczęśliwi. Wszyscy są tu szczęśliwi. Wszyscy są tu szczęśliwi.

Wszystko ładne, to jest właśnie kuchnia bogata.



Helmut Neuerburg
z synem Jürgenem
przed wypłynięciem U-867
na patrol.

ISBN 978-83-62827-21-3



Prawdopodobnie jest to najlepsza książka o nurkowaniu, jaką kiedykolwiek napisano; obowiązkowa pozycja na każdej marynistycznej półce. Historia dwóch przyjaciół, których determinacja i odwaga pozwoliła na wyjaśnienie jednej z ostatnich zagadek drugiej wojny światowej – pochodzenia tajemniczego wraku łodzi podwodnej u wybrzeży New Jersey. Od odkrycia do identyfikacji minęło sześć lat, w trakcie których ginęli nurkowie, rozpadły się małżeństwa i przyjaźnie, o prawo do nurkowania na wraku walczyły konkurencyjne zespoły, a poszukiwania odpowiedzi na pytanie o jego pochodzenie rozciągnęły się na dwa kontynenty. Z czasem historyczna ciekawość ustąpiła chęci oddania czci poległym na dnie morza przez tych, których ojcowie walczyli po drugiej stronie frontu. By nikt nie spoczywał nieznany na dnie oceanu.

„Czyta się jak najlepszy thriller, doskonały reportaż o ludziach ogarniętych wielką pasją nurkowania i wyjaśniania podwodnych tajemnic”.

MARCIN JAMKOWSKI
dziennikarz

„Łodowate wody Atlantyku, poszukiwacze skarbów, tajemniczy okręt. Doskonała powieść o początkach nurkowania technicznego, o pasji, która przeradza się w obsesję, o cenie, jaką trzeba za to zapłacić”.

MAŁGORZATA POPIENIA
Wielki Błękit

„Jest w odkrywaniu historii tu ukazanej coś mistycznego. Napisana przyjaznym i angażującym językiem książka pozostanie na długo w pamięci czytelnika”.

DAWID ZARAZIŃSKI
Dziennik Turystyczny



„Podczas nurkowania mierzyłem się z grozą doczesnych szczątków spoczywających w wypęt-nionym osadem grobie. Zanurzony w głębokiej wodzie, wciśnięty w trzewia rozbitego statku, konfrontowałem się z własną śmiertelnością”.

RICHIE KOHLER
członek wypraw na U-869



„To, co zrobili John i Richie na początku lat 90., graniczy z prawdziwym szaleństwem”.

TOMEK STACHURA
nurek wrakowy



„Kurson pisze o ludziach, których tragiczny los przekuty został na zasady bezpiecznego nurkowania”.

PAWEŁ PORĘBA
instruktor nurkowania

Table of Contents

[Przedmowa](#)

[Od autora](#)

[1. Księga liczb](#)

[2. Wizura zero](#)

[3. Kształt mocy](#)

[4. John Chatterton](#)

[5. Wariacka głębokość](#)

[6. Richie Kohler](#)

[7. Nóż Horenburga](#)

[8. Tam nic nie ma](#)

[9. Ciężki łup](#)

[10. Zakłamana historia](#)

[11. Przegapiony znak](#)

[12. Żaden z nas już nie wróci](#)

[13. Ten okręt to nasze przeznaczenie](#)

[14. Kreisläufer – zabłąkana torpeda](#)

[15. Brawurowy plan](#)

[Epilog](#)

[Lista załogi U-869](#)

[Informacja o źródłach](#)

[Podziękowania](#)

[O autorze](#)

[Plan sytuacyjny nurkowań wraku na U-869](#)